

GONZALO GINER

CZWARTE PRZYMIERZE



GONZALO GINER

CZWARTE
PRZYMIERZE

Z hiszpańskiego przełożyła
MAGDALENA BIEJAT



WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału:
LA CUARTA ALIANZA

Copyright © Gonzalo Giner Rodriguez 2005
Copyright © Random House Mondadori S.A., Barcelona, 2005
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Magdalena Biejat 2007

Redakcja: Beata Słama

Konsultacja religioznawcza: prof. Zbigniew Mikolejko

Zdjęcie na okładce: Jorge Tutor

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-333-6

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa
t./f. „022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe
www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I
Skład: Laguna
Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

*Dla ciebie, Pilar. Dla Gonzala i Rocío.
Dedykowane wszystkim,
z którymi dzieliłem tę książkę*

Samo pisanie jest czystą przyjemnością. A kiedy w dodatku twoja pierwsza powieść zostaje opublikowana, jak stało się to w tym przypadku, satysfakcja jest jeszcze większa. Dlatego chcę podziękować osobom, które w taki czy inny sposób wniosły do niej swój wkład.

Mam na myśli zwłaszcza mojego wydawcę Raquel Gisbert, której jestem wdzięczny za całkowite poświęcenie się nadzorowi i publikacji tej książki. Także za jej nieustanną cierpliwość i uwagę. Nigdy nie będę potrafił wyrazić jej mojej wdzięczności.

Chcę również podziękować Loli i Oldze, które jako pierwsze uwierzyły we mnie w „Plaza y Janés”.

Wspominam z miłością moich rodziców, najwierniejszych fanów mojej pracy. Moje siostry i całą rodzinę, która cieszyła się każdym krokiem naprzód, oraz przyjaciółom, z którymi dzieliłem się znaczną częścią tej książki – dużo o niej dyskutowaliśmy i cieszyliśmy się nią.

Nie mogę zapomnieć o Juanie Carlosie, który, rozumiejąc nadarzającą mi się dzięki powieści okazję, rozpoczął realizację naszego projektu nieco bardziej samodzielnie, niż to było w planach.

Jeszcze raz serdeczne dzięki.

1.

Montségur, rok 1244

Spokojna i niema ciemność nocy zapraszała do spaceru po blankach fortecy wzniesionej na monumentalnej skale Montségur. Opływająca je wilgotna bryza wisiała w powietrzu niczym wspomnienie ulewnego deszczu w dniu poprzedzającym tamten poniedziałek czternastego marca.

Stojąc na głównej wieży, Pierre de Subignac patrzył przepęłniony smutkiem na majestatyczny krajobraz, który za kilka godzin miał stać się świadkiem przerażającej i strasznej zbrodni.

Wiedział to na pewno. Sam wybrał ten dzień. Była to jedyna sposobność ucieczki z miejsca długo obleganego przez wojska seneszala krucjaty Hugona de Arcisa. W ciągu ostatnich tygodni rozważał różne możliwości, próbując uniknąć tego rozwiązania, badając nawet najmniejszą szansę, w końcu zrozumiał jednak, że może osiągnąć cel, tylko negocjując potajemnie z krzyżowcami oddanie fortecy w zamian za przebaczenie. Jego zdrada miała kosztować życie dwustu sióstr i braci, u boku których opierał się przez ponad dziewięć miesięcy nieugiętemu oblężeniu.

Katarzy, którzy schronili się w Montségur, nieświadomi jego wiarołomstwa, nadal czekali na obiecaną pomoc Rajmunda VII hrabiego Tuluzy, mimo że ta wciąż nie nadchodziła.

Dla Pierre'a nazwisko Subignac oznaczało twardy i nienaruszalny nakaz dotrzymania świętej rodzinnej przysięgi, przecho-
dzącej z pokolenia na pokolenie przez ostatnie dwa wieki.

Chociaż jego wzburzone sumienie nie mogło znaleźć usprawiedliwienia dla ohydnej zdrady, jakiej miał się dopuścić, czuł ciążyący na nim twardy obowiązek: nie może pozwolić, by starożytny medalion wiszący na jego szyi wpadł w obce ręce, nie może sprzeniewierzyć się prawu, krwi.

Świeże powietrze chłodziło litościwie jego twarz, zmywając ślady ciężkiego upalnego dnia.

Wewnątrz fortecy morale i nadzieja ostatnich katarów stopniowo słabły po ponad dwustu siedemdziesięciu dniach okrutnego oblężenia. Ta długa agonía stała się udziałem ludzi, którzy nazywali siebie „czystymi” i wzorem swych przodków byli gnostykami. Katarzy stali się z biegiem czasu jednym z heretyckich odłamów, które najbardziej niepokoiły Kościół katolicki, prowokując urządzenie przeciw nim krucjaty, zainicjowanej i wspieranej przez samego papieża Innocentego III. Zanim zdecydowano się na zbrojne rozwiązanie, wiele prób nawrócenia zbłąkanych dusz zakończyło się fiaskiem. Dominikanie z całych sił próbowały nawrócić katarów za pomocą słowa, zawsze na próżno.

Kilka lat wcześniej, za sprawą trubadurów i podróżników, dotarły do Montségur niepokojące wieści o mordach popełnianych przez krzyżowców na katarach w Béziers, Carcassonne i innych miejscowościach na południowym wschodzie Langwedocji. Według nich w Béziers, latem 1209 roku, stracono przy akompaniamencie dzwonów dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Wielu z nich zginęło w samej katedrze, w której szukali schronienia. Krzyżowcy, z zapalem poświęcający się misji wytępienia gnostyckiej herezji, palili i niszczyli wszystko, co miało coś wspólnego z katarami. Domy, świątynie, mężczyźni i kobiety płonęły na placach. W całej Langwedocji unosiły się ogromne słupy dymu i chmury popiołu.

Tydzień wcześniej Pierre skończył czterdzieści cztery lata. Był najwyższym zwierzchnikiem katarskiej społeczności w Montségur. Wiedział o tamtych tragicznych wydarzeniach.

Wiedział też, że są ostatnimi katarami w całej Langwedocji, którzy opierają się krucjacie, lecz utrzymywał to w tajemnicy przed swymi braćmi, by nie wzmacniać jeszcze ich trwogi. Wciąż mieli nadzieję, dzięki ponowionej obietnicy pomocy hrabiego de Foix, pana tych ziem, na których wznosiła się forteca, jak też hrabiego Tuluzy.

Pierre wiedział, że żaden z nich nie pomoże im w tej dramatycznej sytuacji, gdyż sam Rajmund VII, hrabia Tuluzy, wcześniej dobroczyńca i opiekun katarów, przestał sprzyjać czystym nie ze względów religijnych, lecz by bronić swych wasali i ich rozległych ziem. Teraz poświęcił się prześladowaniom albigen-sów, wyjednaawszy przebaczenie u papieża Innocentego III, który wcześniej go ekskomunikował. Jaques de Luzac, przyjaciel Pierre'a z czasów dzieciństwa, opowiedział mu, że widział Rajmunda, jak pokutował za grzechy u wrót Notre Dame, po zawarciu układu zobowiązującego go do wierności Kościołowi i królowi Francji. W konsekwencji musiał oddać górną Prowansję papieżowi i wydać córkę, która w posagu wniosła dolną Langwedocję, za jednego z synów króla Francji. Ponadto, w ramach pokuty wyznaczonej przez samego papieża, spędził sześć tygodni zamknięty w wieży Luwru.

Rajmundem powodowało pragnienie zachowania rozległych posiadłości w Langwedocji i obawa przed osaczeniem go przez Szymona de Montforta, prawdziwego dowódcy krucjaty przeciwko katarom. Znał także zagrożenie, jakie stanowiła szlachta z Burgundii i Isle de France, pragnąca narzucić swój język i germańskie wpływy w jego dobrach. Pozbawiony możliwości działania, postanowił skapitulować i poddał się woli papieża.

Montfort, zabity w 1218 podczas oblężenia Tuluzy, był nie tylko katem katarskiej herezji, reprezentował również władzę z północy, pragnącą wyrwać katarom żyzne ziemie Langwedocji.

Pierre'owi udało się także nie dopuścić, aby w twierdzy rozeszła się wieść o terrorze i nadużyciach, jakich wicehrabia Montfort dopuszczał się wszędzie, gdzie dotarł. Jacques słyszał, że

w Bram wylupiono oczy wszystkim obrońcom miasta, w Lavaur zaś rycerze broniący placu, łącznie z Arnaudem Amaury, dawnym opatem klasztoru Poblet, zostali straceni w straszny sposób, a siostra Amaury'ego – zgwałcona i ukamienowana przy studni.

Pierre właśnie nad tym rozmyślał, kiedy podeszła do niego Ana de Ibázzurun.

– Pierre, kochany, już północ, powinieneś odpocząć. Długo tak nie wytrzymasz! Już cztery noce prawie nie śpisz, a nie chcę, żebyś zachorował z wyczerpania.

Jej delikatny głos go uspokajał. Patrzył w zielone oczy kobiety, która w ciągu szesnastu lat uczyniła go najszcześniejszym z ludzi.

– Kochana Ano, masz rację. Niedługo skończę. – Ucałował jej dłoń. – Idź pierwsza i czekaj na mnie! Chcę tylko zrobić ostatnią rundę, żeby sprawdzić warty.

Ana, unosząc ciężką spódnicę, ruszyła ku schodom północnowschodniego skrzydła fortecy. Nie przestając na nią patrzeć, Pierre podniósł rękę do twarzy, żeby uchwycić zapach Any.

Ana urodziła się niedaleko Puente la Reina, w małym miasteczku o nazwie Oscoz, w królestwie Nawarry. Była najstarszą z trzech córek zamożnych rodziców, którzy posiadali liczne ziemie i ufortyfikowaną twierdzę. To tam poznał ją Pierre, gdy wypełniał dziwne zlecenie templariuszy kilka lat przed przyjęciem wiary katarów.

Praca, dobrze płatna, polegała na zaprojektowaniu i budowie kościoła na planie ośmioboku, typowym dla specyficznego stylu świątyń templariuszy.

Uważano, że te wieloboczne konstrukcje, zrywające z tradycyjnym sposobem budowania na planie łacińskiego krzyża, są efektem kopiowania przez krzyżowców świątyń widzianych na ziemiach bizantyjskich.

Pierre wiedział jednak doskonale, iż budowle te pełne są tajemnej symboliki, o której opowiedzieli mu sami templariusze. Szukali oni miejsc, gdzie szczególnie silnie promieniuje ziemska

energia, miejsc, które ich mieszkańcy i sąsiedzi uważali od niepamiętnych czasów za magiczne enklawy. Wyjątkowe właściwości tych miejsc ułatwiały komunikację ze światem ducha. Będąc świadomymi siły tych żył energii, templariusze umieszczali główną oś swoich świątyń dokładnie nad nimi. Energia i siła ziemi były w ten sposób skoncentrowane w punkcie łączącym niebo i ziemię, to co ludzkie i to co boskie. W swych świątyniach starali się również integrować elementy sufickiej tradycji muzułmańskiej i żydowską kabałę, filozofii, które wchłonęli podczas swego długiego pobytu w Palestynie. Symboliczne zastosowanie liczb, takich jak osiem czy dwanaście, było dowodem wpływu kabały.

Pierre odwiedził raz główną siedzibę templariuszy w Jerozolimie. Znajdowała się blisko ośmiobocznej budowli, gdzie czczono wielki bazaltowy kamień. Według hebrajskiej tradycji posłużył on Abrahamowi za ołtarz do poświęcenia jego syna Izaaka na wzgórzu Moria. Również muzułmanie przypisywali mu wielkie znaczenie, gdyż to z niego prorok Mahomet wyprawił się do nieba i do piekła, prowadzony przez archanioła Gabriela, gdy został mu objawiony Koran. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym wznosiła się dawna świątynia Salomona, król Baldwin II oddał templariuszom przylegający do jego pałacu meczet Al-Aksa, „najdalszy”, zbudowany przez kalifa Ornara. W ten sposób główna siedziba templariuszy znajdowała się w jednym z miejsc o największej znanej koncentracji energii duchowej i ziemskiej: w meczecie Al-Aksa i niedaleko Kopuły na Skale.

Nowa świątynia, którą kazano zbudować w Nawarze, w okolicy Puente la Reina, w miejscu o nazwie Eunete – miejscu o stu drzwiach – miała służyć jako ośrodek kultu i schronienie dla wszystkich pielgrzymów podążających szlakiem świętego Jakuba. Znajdowała się na terenach nadania, które templariusze otrzymali siedem lat wcześniej z włości de Cizur. Niezwykły projekt zakładał także wybudowanie okrągłego krużganka. Jednocześnie Pierre miał stworzyć replikę jej portyku, co do

najdrobniejszego detalu, ze wszystkimi postaciami ozdabiającymi jego łuki, w innym, już wybudowanym kościele, godzinę drogi od Eunate, w kierunku wschodnim. Według szczegółowych instrukcji, rzeźby z drugiego kościoła miały stać się odwróconym wizerunkiem tych z Eunate, jak gdyby jedna budowla była odbiciem drugiej.

Pierre był jednym z najsławniejszych mistrzów budowniczych Langwedocji, Aragonii i Nawarry, chwalonym za urodę swych licznych dzieł wzniesionych na tych rozległych ziemiach. Należał ponadto do loży Saint-Jacques, która wybudowała niemal wszystkie kościoły ozdabiające drogi pielgrzymki Szlaku Świętego Jakuba. Mimo iż był niezwykle zajęty, zlecenia templariuszy zawsze wydawały mu się szczególnie interesujące.

Gdy dotarł do północnego skrzydła fortecy, zapytał stróżującego tam wiernego:

- Coś nowego na pozycjach tych przeklętych, drogi bracie?
- Nic godnego uwagi, mój panie. Widziałem tylko dziesięciu lub dwunastu jeźdźców oddalających się galopem na północ, kiedy zaczęło zmierzchać i aż do tej pory, a już jest ciemno, nie widziałem, żeby wrócili. Myślę, że to będzie spokojna noc!

Pierre pożegnał się i ruszył zasmucony do drzwi wieży, aby zejść po spiralnych schodach na parter. Wiedział aż za dobrze, że ta noc wcale nie będzie spokojna. Czekają go jeszcze dwie godziny pełnego napięcia czuwania, aż ciężka brama główna znacznie płonąć. Gdy tylko zostanie zniszczona, wojska krzyżowców przypuszczą ostateczny atak na fortecę i z pewnością pojماją wszystkich jego braci. Zamierzał wykorzystać zamieszanie i uciec od południowej strony, najmniej strzeżonej przez wroga, przez otwór zamurowany wiele lat temu, który odkrył przy okazji przeglądania planów zamku. Prawdopodobnie został zamurowany ze względów bezpieczeństwa, a później o nim zapomniano. Udało mu się go odnaleźć i przez niemal miesiąc, z największą

ostrożnością, usuwał zaprawę spajającą co najmniej dwadzieścia kamieni. Zakamuflował złącza mieszanką piasku i kłajstru tak, by nie wzbudzały podejrzeń.

W ciągu ostatnich nocy dużo rozmyślał o możliwości wymknięcia się razem ze swoją najdroższą Aną, jednak w końcu zrozumiał, że musi uciekać sam, jeśli chce mieć minimalną szansę na dotarcie cało i zdrowo do ziem Nawarry, gdzie miał przyjaciół, którzy będą mogli ukrywać go tak długo, jak będzie to konieczne.

Dręczyło go, iż musi zostawić Anę na pastwę losu. Myślenie o tym, że prawdopodobnie zostanie pochłonięta przez płomień, przyprawiało go o fizyczny ból. Wspomnienie wspólnie spędzonych chwil było jedynym pocieszeniem i lekarstwem, pozwalającymi przetrwać niekończące się minuty, jakie miał jeszcze przed sobą. Jego myśli frunęły ku ziemiom Nawarry, gdzie poznał Anę.

Przyjechał do Puente la Reina w środę, dwudziestego pierwszego stycznia właśnie rozpoczętego roku 1228. Dotarł tam po uciążliwej dwunastodniowej podróży z Bailes, gdzie miał swój warsztat.

Gdy zobaczył domy, marzył tylko o tym, by znaleźć się w zajezdzie, o którym mówili mu mnisi. Potrzebował odpoczynku w prawdziwym łóżku, napelniwszy uprzednio żołądek jedną z doskonałych regionalnych potraw, jakie mu polecono. Zjeść w ciepłym domu, przy stole, było tym, czego pragnął po długiej podróży.

Kiedy jechał ciężkim wozem główną ulicą, prawie nie zwrócił uwagi na urodę tego małego nawarskiego miasteczka. Stwierdził, że będzie miał jeszcze wiele dni i wiele okazji, żeby je zwiedzić i poznać każdy zakamarek.

Zajazd Armendáriz znajdował się na końcu ulicy, na brzegu szerokiej rzeki Arga, która przecinała miasteczko w jednym z jego krańców.

Zaledwie miesiąc przed przybyciem na miejsce, Pierre przyjął dwóch zakonników z komandorii templariuszy sąsiadującej z jego warszatem. Przybyli, aby przekazać mu list pochodzący z

włości z królestwa Nawarry. Była to mała koperta, a na łąkowym stemplu widniała pieczęć templariuszy z tradycyjnym ośmioramiennym krzyżem.

Gdy ją otworzył, już po wyjściu zakonników, zagłębił się z ciekawością w treść tego, co zawierała. Każde zlecenie tych rycerzy mnichów stanowiło dla niego ogromne wyzwanie jako dla budowniczego, jednak te zadania były podwójnie interesujące ze względu na ukryte w nich znaczenia. Tym razem chodziło o wybudowanie kościoła na Szlaku Świętego Jakuba, w okręgu o nazwie Eunate.

Przerwał lekturę, żeby poszukać tej miejscowości na mapie Nawarry, którą trzymał na półce. Rzeczywiście, w pobliżu Pampeluny znalazł mały punkt oznaczony tą nazwą. Miejsce budowy znajdowało się blisko Puente la Reina, na wschód od Pampeluny, o dzień drogi, według jego obliczeń.

List był podpisany przez Juana de Atareche, dowódcy komandorii templariuszy w Puente la Reina.

Łoża budowniczych, którą założył, często pracowała dla *milita christi* od jej przybycia do Europy, dziewięć lat po jej powstaniu w Jerozolimie w 1118 roku.

Pierre de Subignac był dumny, że stoi na czele najlepszej łoży budowniczych w południowej Europie. Nigdy nie brakowało mu pracy. Od kilku lat łoża miała pełne ręce roboty tak na południu Francji, jak i na północy Korony Aragonii. Tak jakby wszyscy panowie feudalni i Kościół postawili sobie jednocześnie za cel zbudowanie setki świątyń, a wszyscy domagali się przy tym pierwszego miejsca na długiej liście zleceń.

Pierre zastanawiał się nad możliwością podjęcia nowego dzieła. Wszystkie jego ekipy pracowały nad jakimiś projektami. Trzy zajmowały się budową w różnych miejscach rozsianych między Aragonią a Langwedocją. Dwie pracowały przy najbardziej skomplikowanej inwestycji – katedrze w Walencji. Ostatnia grupa, niedaleko Nawarry, miała właśnie zakończyć budowę niezwykłego kościoła, również ośmiobocznego, w pięknej miejscowości w pobliżu Logroño, o nazwie Torres del Río.

Stwierdził, że czterech budowniczych pracujących nad ostatnim zleceniem nadaje się najlepiej. Wszyscy mówili po kastylijsku i byli przyzwyczajeni do zatrudniania miejscowej siły roboczej i kierowania nią. On sam musiałby tylko przywieźć z głównego warsztatu czterech dodatkowych budowniczych i towarzyszyć im na początku prac, aż do skierowania dzieła na właściwe tory. Później wróciłby, żeby sprawdzić postępy.

Zaczął zastanawiać się nad tym, jaki wpływ owo zlecenie miało na jego życie.

Nie wyobrażał sobie, że tamto dzieło miało być ostatnim w jego karierze budowniczego. Zakątek Nawarry, gdzie kościół miał stanąć, był świadkiem dwóch wydarzeń, które całkowicie odmieniły jego los. Tam narodził się i wzmocnił jego związek z Aną, która doprowadziła do tego, że zapomniał o swojej wierze i zaniedbał pracę. Dwie strzały z jednego źródła przeszły jego serce jednym uderzeniem. Ana swoją miłością sprawiła, że ziarno, jakie zasiała w jego sercu, zaowocowało oddaniem katarskiej wierze, którą ona sama wyznawała od wielu lat. Osiągnięcie najintymniejszego zjednoczenia z Aną i dzielenie z nią losu, aby mogli podjąć razem drogę doskonałości, światła i wiary, oznaczało porzucenie wszystkiego, co wiązało się z jego dotychczasowym życiem. Uczynił to bez wahania. Również jako zazdrosny strażnik medalionu – namacalnego świadectwa najświętszych i pradawnych treści – który kierował jego losem przez całe życie. Był pewny, że i w tym przypadku widać było jego wpływ.

Wróciły obrazy z jego pierwszej podróży do Nawarry.

Po dwóch tygodniach przygotowań przebyli Pireneje przez Roncesvalles i po dwóch ciężkich dniach jazdy w śniegu, dotarli do zielonych i wilgotnych dolin w okolicach Pampeluny. Podróżując następnie po bardziej przyjaznych drogach i po przekroczeniu ostatniego mostu, ku swojej wielkiej radości zobaczyli Puente la Reina.

Na szyldzie z nazwą zajazdu wiszącego na ścianie widniały

wyrzeźbione wyniosła kuropatwa i drżący królik, symbole kulinarnych specjałów, jakimi wsławił się zajazd, poza malowniczym usytuowaniem i doskonałą obsługą.

– Bracie Pierre, wybaczenie, że nachodzę was tak późno, ale myślę, że powinniście wiedzieć, iż w głównym magazynie żywności jedzenia mamy tylko na tydzień. Dzięki temu, że oszczędzaliśmy, mogliśmy dłużej stawiać opór, ale jeśli oblężenie się przedłuży, będziemy musieli coś wymyślić, żeby nie pomrzeć z głodu.

Głos Ferrána, odpowiedzialnego za magazyn, sprawił, że Pierre powrócił do rzeczywistości.

– Rozumiem, drogi Ferranie. Dzięki za to, iż jesteś tak oddany. Pozwólmymy jednak, by nadeszło jutro. Wtedy obmyślimy, jak rozwiązać ten problem. Odpocznij. Jutrzejszy dzień może być decydujący dla nas wszystkich.

Ferrán odszedł, rozmyślając nad tymi słowami, nie rozumiejąc, dlaczego akurat jutrzejszy dzień ma być decydujący. Co jeszcze może się wydarzyć w tej bardziej niż beznadziejnej sytuacji?

Przechodząc północną stroną fortecy, Pierre zobaczył wyraźnie trzy ogniska, tworzące w lesie idealny trójkąt. Był to umówiony znak rozpoczęcia ostatecznego ataku na Montségur! Poruszony tym, że ta tragiczna chwila wreszcie nadeszła, zaczął zbiegać, potykając się, po krętych schodach wiodących na główny dziedziniec. Stąd rozchodziło się osiem alej, wzdłuż których stały domy i magazyny tworzące wewnątrz fortecy. Wcześniej nieskończenie wiele razy przebiegł w myśli całą trasę, od północnej wieży do głównej bramy. Teraz jednak pędził ulicą zwaną *Consolamentum*, która prowadziła do małego warsztatu ciesielskiego, gdzie czekały przygotowane trzy beczułki łatwopalnej mieszanki. Plan polegał na umieszczeniu ich przy jedynej bramie prowadzącej do zamku i podpaleniu ich, gdy tylko się tam znajdą.

Pierre włożył klucz do zamka małych drzwi magazynu i przekręciwszy go trzy razy, wszedł do środka. Światło księżycy pozwoliło mu szybko dostrzec trzy beczułki ukryte za stertą grubych drewnianych listew, używanych przez brata Jacquesa do budowania wyposażenia fortecy, prostego ale praktycznego.

Gdy pochylił się nad nimi, poczuł na udzie czubek tureckiego sztyletu, który ukrył na wszelki wypadek pod ubraniem, aby mieć pewność, że nikt nie przeszkodzi mu w wypełnieniu misji. W najgłębszym zakamarku serca chował nadzieję, że nie będzie zmuszony go użyć. Nigdy nikogo nie zranił, a tym bardziej nikomu nie odebrał życia.

Wziął pierwszą beczułkę i, ciągnąc ją z trudem, dotarł do drzwi warsztatu. Wyrzął, żeby upewnić się, czy nikt go nie obserwuje, i ruszył w kierunku północnym, mając do przebycia dziesięć metrów dzielących go od bramy. Pierwsza beczułka stanęła blisko olbrzymiego zawiasu po lewej stronie.

Poczuł, jak pot spływał mu po czole, aż do nosa, kiedy umieszczał drugą po prawej stronie, również blisko zawiasu, sądząc, że gdy zaczną płonąć, odrzwia zwałą się na ziemię.

Serce biło mu mocno i w ciszy nocy słyszał swój oddech, kiedy szedł po trzecią beczułkę, na wypadek gdyby dwie nie wystarczyły. Zbliżał się już do drzwi magazynu, kiedy przestraszył go czyjś głos.

– To wy, Pierre?

Głos należał do Justine de Orleans, siostry hrabiego Orleanu, która przeszła na wiarę katarską zaledwie kilka miesięcy temu.

– Justine, przestraszyłaś mnie – powiedział, odwracając się w kierunku, z którego dochodził głos. – Robię właśnie ostatni obchód przed pójściem spać. A ty co tu robisz o tej porze?

Od pierwszego dnia, kiedy był świadkiem jej przybycia do Montségur, Justine wydawała mu się najpiękniejszą ze wszystkich kobiet, jakie widział w życiu. Mimo iż gorąco kochał Anę, Justine jednym tylko spojrzeniem wzbudzała w nim niepokój, jakiego powodem nie była dotąd żadna inna kobieta.

– Zanim wyjaśnię wam powody mojej nocnej przechadzki,

chcę powiedzieć, że cieszę się, że was widzę, albowiem natknęłam się na coś, co wydaje mi się bardzo niezwykle. – Pociągnęła go za rękaw, próbując sprawić, by spojrział w jej stronę. – Widzieliście baryłki, które stoją obok wielkiej bramy? Właśnie przeszłam obok nich i bardzo mnie zastanowiło, skąd się tam wzięły. Zanim się spotkaliśmy, szukałam wartownika, bo może się pomyliłam, ale kiedy podeszłam bliżej, poczułam zapach jakby zepsutego octu i pomyślałam, że gdyby z jakiegoś powodu zaczęły płonąć, stojąc tak blisko bramy, mogłyby sprowadzić na nas poważne kłopoty. Spróbowałam je nawet przesunąć, ale są za ciężkie na moje wątłe siły.

Pierre'a przeszedł dreszcz niepokoju. Ta niespodziewana sytuacja wymagała od niego natychmiastowego podjęcia decyzji. Justine próbowała zaciągnąć go do bramy, żeby pokazać mu beczki. Pierre potrzebował trochę czasu, żeby zastanowić się, co robić.

– Pójdziemy obejrzeć te baryłki, ale wyjaśnij mi najpierw, dlaczego jesteś na dworze tak wcześnie rano.

– Jest coś, co nie daje mi ostatnio spokoju. – W oczach Justine malował się lęk. – Co noc, kiedy kładę się spać, osacza mnie straszna myśl, której nie mogę odpędzić. Dopiero po długim spacerze, czasem po mojej komnacie, czasem po fortecy, udaje mi się zmęczyć na tyle, żeby zasnąć.

– Cóż to za myśl spędza ci sen z powiek, Justine?

– Drogi Pierre, nigdy nie bałam się śmierci, zwłaszcza odkąd zrozumiałam, że, jak głosi nasza religia, umrzeć na tym świecie oznacza rozpocząć prawdziwe życie. Wiem, że dzięki niej opuszczamy ciemności tego świata, że zalało nas światło prawdziwego Boga. Ja boję się tego, w jaki sposób śmierć po mnie przyjdzie. To ta wizja nie przestaje mnie osaczać i niepokoić każdej nocy.

Zdenerwowany, że traci czas, a jednak zaciekawiony, Pierre zapytał:

– Co masz na myśli, siostrze, mówiąc o wizji twojej śmierci?

Justine zbliżyła się do Pierre'a, by móc szeptać mu do ucha.

Czuł muśnięcie jej ust na policzku, kiedy mówiła:

– Najpierw widzę siebie leżącą twarzą do ziemi w kałuży krwi, która przesiąka przez moją suknię. Próbuję się podnieść, ale nie mogę. Czuję, jak coś ciepłego spływa mi po szyi, ale nie mogę krzyknąć, nie wiem dlaczego. Nagle widzę rękę ściskającą moją szyję! Nie wiem, co się ze mną dzieje. Później zimno przenika całe moje ciało, aż w końcu czuję, jak miażdży mnie coś ciemnego. Nie wiem co to jest, ale nie pozwala mi się ruszać i nie mogę oddychać. Nagle widzę, że to, co mnie otacza to ziemia. Jestem pod ziemią!

Justine patrzyła na Pierre'a przerażona. Widząc jej twarz, pomyślał, że chyba wyczuła, iż ma on teraz na głowie ważniejsze sprawy niż słuchanie o koszmarach głupiej kobiety.

– Pierre, nie chcę, żebyście myśleli, że oszalałam. Nie wiem, dlaczego wam o tym opowiadam. Jakbyście nie mieli dość, jeszcze ja niepokoję was moimi głupimi wizjami!

Doszli do miejsca, gdzie beczułki czekały na nieuchronne podpalenie.

– Wcale nie myślę, że oszalałaś, Justine. Rozumiem, że odczuwasz skutki napięcia, w jakim żyjemy już tak długo. – Pochylił się, żeby obejrzeć pierwszą beczułkę, udając fałszywe zainteresowanie. – Dobrze zrobiłaś, mówiąc mi o tym znalezisku. Poszukam strażnika, żeby pomógł mi je odsunąć.

Justine, trochę zawstydzona, postanowiła zrobić coś dla człowieka, którego tak podziwiała.

– Nie martwcie się tym! Poszukam strażnika i poproszę, żeby je usunął – odrzekła. – Nie fatygujcie się! Dobranoc, Pierre. Zapomnijcie, proszę, o wszystkim, co wam naopowiadałam. To głupstwo!

Obróciwszy się na pięcie, Justine ruszyła energicznie w stronę muru, gdzie znajdowały się schody prowadzące do baszty strażniczej.

Pierre stał jak sparaliżowany, jednak po chwili jego dłoń powędrowała ku rękojści sztyletu. Nie mógł pozwolić, żeby jego

plan się nie powiódł. Ruszył za Justine. Poczul jej delikatny zapach wypełniający powietrze w tym samym momencie, w którym ostrze sztyletu dosięgło szyi. Nie wydawszy żadnego dźwięku, upadła ciężko na ziemię, twarzą do dołu.

Pierre, jakby zbudzony ze snu, patrzył przerażony na taki sam straszny obraz śmierci Justine, jaki przed chwilą przed nim roztoczyła. Spojrzał na swoją prawą rękę, czując ciepło krwi spływającej mu po palcach. Mdlilo go, ale nie mógł oderwać wzroku od tego, co miał przed sobą. Suknia i ziemia wokół Justine miały kolor purpury. Odrzucił sztylet i spróbował zamknąć krwawiącą ranę, zaciskając ją z całych sił, jakby chciał zapobiec pewnej śmierci. Boże, przeżywał chwila po chwili koszmar, o jakim opowiedziała mu Justine kilka minut temu! W dodatku to on był jego bohaterem!

Czy widziała w swojej wizji, kto będzie jej katem?

Po chwili Justine przestała oddychać i Pierre, przepełniony żalem i złością, podniósł ostrożnie ciało i zaniósł na tył budki stojącej po jego prawej stronie, aby ukryć je przed wzrokiem straży.

Spojrzał na nią po raz ostatni. Zamknął z czułością jej oczy i ułożył włosy, niektóre przyklejone do krwi na jej twarzy, po czym skrzyżował jej nieruchome dłonie na piersi. Zaczął się za nią modlić. Justine przeszła już do krainy światła!

Nagle stwierdził, że nie może już zmarnować ani minuty. Musi zakończyć tę bolesną misję. Pobiegł po trzecią barylkę i umieścił ją na środku bramy.

Trzy płonące w lesie ogniska były sygnałem, że oddziały krzyżowców zbliżają się do fortecy, by wyłamać bramę, kiedy będzie wystarczająco zniszczona przez ogień.

Otworzył dwie barylki i rozlał część ich zawartości, upewniając się, że również drewno bramy nasiąkło łatwopalną mieszanką. Kiedy kończył pracę przy środkowej barylce, usłyszał z drugiej strony bramy rzenie konia i zdało mu się, że ktoś rozmawia szeptem bardzo blisko niego. Podpałił pochodnią jedną z baryłek. Ogień szybko zaczął się rozprzestrzeniać.

Podpalił zawartość dwóch pozostałych beczek i w kilka sekund płomienie zaczęły pożerać dół ogromnej bramy.

Ogień płonął z coraz większą siłą; jeśli Pierre nie pomylił się w obliczeniach, w ciągu dziesięciu do dwunastu minut płomienie ogarną całą bramę. Mieszanka, którą przygotował, miała szczególną właściwość – nie wydzielala dymu, dzięki czemu straż nie zauważyły pożaru.

Gdy upewnił się, że ogień nabrał mocy, pobiegł do głównej części fortecy. Po skręceniu w szerokim korytarzu dotarł do drzwi swojej komnaty. Zanim ucieknie, chciał zobaczyć po raz ostatni ukochaną Anę.

Otworzył ostrożnie drzwi i w półmroku podszedł do łóżka. Znalazł ją otuloną pościelą, pogrążoną w głębokim śnie. Pocałował ją delikatnie w usta i odetchnął głęboko zapachem jej włosów, starając się na zawsze zachować go w pamięci. Gdy ze złamanym sercem opuszczał komnatę, przerażony tym, co czyni, po jego policzku spłynęła łza. Po raz kolejny medalion kierował jego losem, niszcząc wszystko, co kochał i o co walczył przez tyle lat. Znajdował się w jego władaniu. Ana nigdy nie poznała jego historii, a teraz, za jego sprawą, miała stracić życie.

Na zakręcie schodów, gdzie znajdował się wąż prowadzący do tajemnego wyjścia, niespodziewanie zderzył się z kimś, kogo w pierwszej chwili nie rozpoznał.

– Kto tu biega o tak późnej porze i w takim pośpiechu?

Z ziemi podnosił się jego pierwszy zastępca, Ferdinand de Montpassant. Ostrze sztyletu przeszło lewą stronę jego szyi i przecięło tętnicę. Ledwie zdążył zatopić zdumione spojrzenie w oczach swojego przełożonego, a znowu upadł i uderzył głową o ścianę. Po chwili strumień krwi popłynął po kamieniach aż do podstawy pierwszego stopnia.

Pierre nie mógł uwierzyć, że to zrobił. Z zimną krwią zabił już dwoje tak drogich mu ludzi: piękną Justine i swojego współpracownika Ferdinanda, z którym od ponad trzech lat tworzył wspólnotę. Uważali się, niezależnie od wspólnej wiary, za rodzonych braci. Ich silne przywiązanie było jednym z głównych

filarów, na których budowano los wielu katarskich braci, przybyłych na przestrzeni lat.

Nie rozumiał, skąd bierze tę determinację kazającą mu popełniać tak straszne zbrodnie.

Gdy patrzył na ciało Ferdinanda czuł przeszywający ból, szybko jednak przypomniał sobie o powadze sytuacji i wspiął się po krętych schodach w kierunku wjazdu.

W kilka minut wyjął wszystkie kamienie i odsłonił wyjście. Wyciągnął długą linę, którą za nimi ukrył i przywiązał ją do masywnej kolumny. Nie tracąc czasu, zaczął schodzić po ponadczterdziestometrowej ścianie.

Gdy odzyskał oddech, stwierdził, że znalazł się poza tym, co wkrótce miało się zamienić w piekło krwi i ognia. Patrząc na ogromny mur, który za sobą zostawił, bezwiednie dotknął złotego medalionu na swej szyi, aby upewnić się, czy nadal tam jest.

To ten medalion z wizerunkiem baranka i gwiazdy był powodem jego zdrady. Nie pozwalając, by dostał się w niepowołane ręce, wypełniał gorliwie swą szczególną misję. Podobnie jak jego dziadek i pradziadek, powinien pozostać jego jedynym strażnikiem, tak jak nakazał mu to ojciec. Medalion przechodził z rąk do rąk przez cztery pokolenia, od Ferdinanda de Subignac, pradziadka Pierre'a, pierwszego strażnika medalionu w rodzinie. Ferdinand był mężnym krzyżowcem służącym Gotfrydowi de Bouillon, wielkiemu bohaterowi krucjat i pierwszemu królowi zdobytej Jerozolimy. Wrócił z Ziemi Świętej z medalionem na szyi i strzegł go aż do śmierci. Jego wola, aby nikt poza jego potomkami nie wiedział o istnieniu, pochodzeniu i symbolicznym znaczeniu klejnotu, była skrupulatnie przestrzegana przez prawie sto pięćdziesiąt lat przez wszystkich jego następców.

Aby zapobiec dostaniu się medalionu w niepowołane ręce, Pierre musiał potajemnie negocjować poddanie fortecy, która była ostatnią katarską flanką na południu Francji i której zniknięcie oznaczało eliminację albigeńskiej herezji.

Świadomość wysokiej oceny, jaką Pierre musiał zapłacić za

zatrzymanie przy sobie medalionu była dla niego nie do zniesienia. Wydał na śmierć swoich drogich braci w wierze, popełnił dwa morderstwa i zostawił na pastwę losu ukochaną.

Spojrzał po raz ostatni na twierdzę Montségur. Jej fantastyczne kształty rysowały się na tle nocnego nieba. Pomarańczowe odbłaski płomieni, które strzelały teraz bardzo wysoko, tworzyły przerażający kontrast z ciemnością nocy. Ten obraz miał pozostać na zawsze wyryty w jego umyśle i towarzyszyć mu do końca życia.

Kiedy nad tym rozmyślał, Hugon de Arcis wdzierał się na czele dwustu krzyżowców do twierdzy, po zniszczeniu resztek tego, co pozostało ze spalonej wielkiej bramy, zdecydowany wypełnić do końca rozkazy, jakie otrzymał. Miał zabić wszystkich heretyków znajdujących się wewnątrz murów, bez wyjątków i bez miłosierdzia.

Rozkaz został wykonany w ciągu niecałej godziny. Tylko strażnicy stawiali opór. Innych stracono bez litości. Nie rozległ się przy tym żaden krzyk, nikt też nie prosił o zmiłowanie. Wszyscy przyjęli swój los z dumą, wiedząc, że krew jest świadectwem oczyszczenia*.

Niedaleko od twierdzy Pierre de Subignac dosiadał konia pozostawionego przez krzyżowców w umówionym miejscu. Wkrótce galopował na południe, w stronę Nawarry.

To tam miał dopełnić się jego los, na który skazywało go pochodzenie i przysięga.

* W rzeczywistości po zdobyciu Montségur krzyżowcy nie spalili katarów. To oni sami rozpalili wielki stos, na który weszli, zanim wojsko wdarło się do twierdzy. Podobnie uczynili zaciężni żołdacy, na ogół prawowierni katolicy, którzy zdecydowali się na przyjęcie *Consolamentum* i samobójczą śmierć, (przyp. prof. Zbigniew Mikołajko).

2.

Madryt, rok 2001

Jak zwykle w przeddzień Gwiazdki, zaparkowanie samochodu na ulicy Serrano w Madrycie było praktycznie niewykonalne. Podwójny rząd pojazdów zajmował długi odcinek ulicy, przy której znajdowała się prestiżowa Pracownia Jubilerska Luengo.

Furgonetka firmy kurierskiej „Servixpress” musiała dostarczyć przesyłkę jeszcze tego popołudnia pod numer 153. Kierowca objechał okolicę w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania, aby doręczyć paczkę panu Fernandowi Luengo.

Przy czwartym podejściu kierowca zauważył samochód, który zwalniał miejsce dokładnie naprzeciwko sklepu. Nie zawahał się ani przez moment. Skręcił gwałtownie, nadepnął na hamulec i zaparkował, zanim jakiś inny desperat zauważył to miejsce.

Portier pchnął masywne drzwi sklepu, wpuszczając kierowcę do eleganckiego wnętrza.

Po zejściu dwa piętra niżej równie elegancką klatką schodową kurier dotarł do lady, przy której jedna z pracownic porządkowała rachunki.

Przyjęła go z anielskim uśmiechem i wyjaśniła, że jej szef, pan Luengo, obsługuje właśnie ważną klientkę. Kierowca jednak, mimo że starał się uważnie słuchać, nie mógł się skupić. Przed nim, na wyciągnięcie ręki, stała prawdziwa piękność.

Odebrawszy paczkę i pokwitowawszy odbiór, dziewczyna pożegnała go kolejnym olśniewającym uśmiechem.

– Myślisz, Fernando, że ten naszyjnik będzie odpowiedni? Pomyśl o tych wszystkich klejnotach, jakie założą goście na przyjęciu w ambasadzie Włoch!

Hrabina de Villardefuente była bardzo zawstydzona, zakładając okulary w towarzystwie tak przystojnego mężczyzny. Wiedziała, że wyglądała w nich fatalnie, ale musiała widzieć się jak najlepiej w stojącym przed nią lustrze, żeby móc ocenić efekt połączenia naszyjnika z jej arystokratyczną szyją. Szukając ich w torebce, prawie nie zwracała uwagi na wyjaśnienia Fernanda Luengo.

– Blanco, pamiętaj, że ten naszyjnik zrobiony jest z platyny najwyższej jakości, a sześćdziesiąt sześć szmaragdów, jak możesz sama stwierdzić, nie ma żadnej skazy. Poza tym w rozetkach, które przeplatają się ze szmaragdami, osadzono ponad sto półkaratowych brylantów. Zapewniam cię, że to najpiękniejszy naszyjnik, jaki mamy. W całym Madrycie nie znajdziesz niczego bardziej efektownego.

Fernando Luengo próbował sprzedać najcenniejszy ze swych naszyjników. Nawet jeśli musiałby obniżyć nieco cenę, dostałby za niego około trzydziestu milionów peset*.

* Około 5000 euro.

Blanca Villardefuente poprawiła okulary, żeby móc dokładnie obejrzeć się w lustrze pod każdym możliwym kątem. Przekonała się wreszcie, że naszyjnik jest rzeczywiście stworzony dla niej. Zapytała jeszcze, czy zapięcie zrobiono z białego złota, a Fernando cierpliwie powtórzył informacje na temat naszyjnika.

Tym razem również nie słuchała go zbyt uważnie, gdyż nagle zdała sobie sprawę, że oczy jubilera mają głęboki niebieski kolor.

Jak to możliwe, że nigdy dotąd nie zauważyła, jaki jest przystojny? Ciekawe, czy kocha swoją żonę. Czy ona sama jest w jego typie?

– Fernando, nie można ci się oprzeć! Znów mnie przekonałeś. Biorę go. Ale uprzedzam, jeśli zobaczę piękniejszy naszyjnik, mimo iż rzeczywiście ten trudno będzie przyćmić, wrócę tu i ci go oddam.

– Wiesz dobrze, Blanco, że firma Luengo zawsze była jubilerem rodziny Villarde Fuente. Pamiętaj, że jeśli jest cokolwiek, co mogę dla ciebie zrobić, wystarczy, że mnie o to poprosisz.

Blanca znów spojrzała we właśnie odkryte niebieskie oczy, jednak po kilku sekundach, bez słowa komentarza, pocałowała jubilera na pożegnanie i ruszyła do wyjścia. Fernando odprowadził ją do drzwi i ucałowawszy jej rękę, pożegnał się z nią jeszcze raz. Zamknąwszy drzwi majestatycznego Bentleya, postąpił przez chwilę na ulicy, patrząc na czarną sylwetkę samochodu, który właśnie włączał się do ruchu na ulicy Serrano.

Wracając do pracowni, myślał już o nowym wzorze naszyjnika, jeszcze piękniejszego niż ten, który właśnie sprzedał, aby zadowolić swoją bez wątpienia najlepszą klientkę.

Kiedy o tym rozmyślał, podeszła do niego Mónica, jego najlepiej wyspecjalizowana w gemmologii pomocnica, z paczką w ręku.

– Fernando, przed chwilą dostarczyli tę paczkę. Ponieważ byłś akurat z hrabiną, nie chciałam ci przeszkadzać.

– Mónico, właśnie sprzedałam hrabinie ni mniej ni więcej, tylko naszyjnik „Milenium”! Otwórz butelkę moët chandon, trzeba to uczcić! Potem przygotuj rachunek i wyślij go do domu Villarde Fuente. Wpisz dwadzieścia dziewięć... co ja gadam! Trzydzieści milionów peset.

Mónica weszła do małego magazynu, gdzie stała lodówka, by poszukać szampana. Postawiła na srebrnej tacy cztery kieliszki i

przygotowała daktyle z migdałami, ulubioną przekąską szefa. Cieszyła się ze względu na Fernanda. Poświęcił temu naszyjnikowi wiele godzin pracy, przesiadując nad nim aż do świtu.

Fernando był dobrym szefem. To prawda, że interes szedł świetnie, ale on sam pracował niezmordowanie. Mónica pracowała u niego od pięciu lat. Po tak długim czasie wspólnej pracy uważała, że zna go dość dobrze. Po śmierci jego żony, trzy lata temu, myślała, że firma upadnie, albo że Fernando wystawi ją na sprzedaż. Stracił zainteresowanie biżuterią. Przestał pracować nocami i przychodził do sklepu tylko parę razy w tygodniu, nie zostając dłużej niż dwie godziny.

Fernando bardzo kochał swoją żonę Isabel, a jej śmierć i towarzyszące jej okoliczności zupełnie go załamały. Nigdy nie znaleziono winnego zbrodni. Policja nie znalazła żadnej poszlaki, która przeczyłaby hipotezie o napadzie rabunkowym zakończonym zabójstwem.

To Fernando znalazł Isabel na schodach ich mieszkania, w kałuży krwi, z poderżniętym gardłem. Depresja dręczyła go przez wiele miesięcy.

W ten sposób został wdowcem w wieku czterdziestu sześciu lat, a Mónica, wcale do tego nie pretendując, stała się jego prawą ręką, powiernicą i przyjaciółką, niezastąpionym oparciem w najcięższych chwilach. Z czasem narodziło się w niej znacznie silniejsze uczucie, które rok temu przyjęło kształt miłości.

Mónica skończyła właśnie dwadzieścia osiem lat. Dopiero co zostawiła za sobą etap uniwersytetu, nauki i prawie dzieciństwa i nie czuła się wystarczająco dojrzała dla Fernanda. Dlatego też, i ponieważ nie wiedziała, czy jego rany już się zabiły, postanowiła, że niczego nie da po sobie poznać. Wystarczyło jej, że jest blisko niego, że razem pracują, chociaż nie traciła nadziei, że któregoś dnia sytuacja się zmieni.

– Mónico, możesz przestać udeptywać winogrona! Zimny szampan jest w lodówce!

Silny głos Fernanda wyrwał ją z zamyślenia, pospieszyła z butelką, by wznieść toast za sprzedaż pięknego naszyjnika. Po raz pierwszy od śmierci żony Fernando świętował coś w zakładzie. Uznał udaną transakcję za okazję, by podziękować całemu zespołowi za wspianą pracę, jaką wykonali w ciągu ostatnich miesięcy, kładąc nacisk na spektakularny sukces, jaki odniosła nowa linia modernistycznych kolczyków zaprojektowanych przez Mónicę.

Gdy skończyła się radość i toasty, wszyscy wrócili do pracy. Mónica napawała się pochwałami, jakie usłyszała od Fernanda i drugiej sprzedawczynie, Teresy. Ściągnęła włosy gumką i wróciła do szlifowania platynowych pierścionków.

Fernando zamknął się w swoim gabinecie, żeby zadzwonić do Złotnictwa Luengo w Segowii, własności jego siostry Pauli. Musiał prosić ją o wykonanie pracy, którą zlecił mu tego ranka klient z Palestyny.

W XVII wieku w Segowii nazwisko Luengo było synonimem złotników. Warsztat, świeżo odnowiony, znajdował się wciąż w tym samym miejscu i przechodził z pokolenia na pokolenie, aż trafił do rąk Pauli. To tam rodzeństwo nauczyło się zawodu od ojca, don Fernanda, pracując z nim aż do jego śmierci. Po jakimś czasie Fernando zdecydował się pójść własną ścieżką, wyjechał do Madrytu, gdzie otworzył najpierw skromny sklep jubilerski, który szybko zamienił się w jedną z najbardziej prestiżowych firm w stolicy.

Paula zatrzymała pracownię złotniczą i udowodniła, że poza niezwykle zdolnościami artystycznymi posiada wrodzony talent do interesów. Dzięki niej Złotnictwo Luengo zaistniało na rynku międzynarodowym.

Palestyńczyk dał Fernandowi tunezyjski sztylet o ostrzu długości dwudziestu jeden centymetrów i srebrnej rękojeści, na której złotnik miał wygrawerować tekst po aramejsku. Klient napisał mu go na wizytówce. Fernando właśnie wysyłał ją faksem siostrze, żeby wykonała zlecenie w ciągu tygodnia. Taka była umowa z Palestyńczykiem.

– Fernando, zawsze musisz mi to robić! Zobowiązujesz się do terminów, choć dobrze wiesz, że nie mogę ich dotrzymać. Najpierw się przez ciebie denerwuję, a potem jak głupia zaczynam popędzać pracowników, żeby zdążyć na czas, tylko dlatego, że ty musisz dobrze wypaść. Wiesz, że o tej porze roku jest ruch w interesie, warsztat pracuje na dwie zmiany i nie ma czasu na rzemieślnicze prace, jak ta, o którą mnie prosisz. Skończy się na tym, że zrobię to sama. Jak zwykle.

Słuchając reprimendy siostry, Fernando przyglądał się paczce przyniesionej przez Mónicę, a której jeszcze nie otworzył. Nie przypominała zwyczajnych przesyłek. Fernando zaczął ją oglądać z zaciekawieniem. Papier był zniszczony, na pierwszy rzut oka wyglądał na bardzo stary. W niektórych miejscach widać było ślady pleśni. Wydzielał znajomy zapach. Przypominał mu strych w domu dziadków, pełen rupieci i starych mebli. Ta dziwna paczka przeleżała widocznie sporo czasu, zupełnie zapomniana.

Była lekka. Na etykietce, naklejce z nazwą firmy przesyłkowej, widniało jego nazwisko. Na odwrocie przeczytał: „Regionalne Archiwum Historyczne w Segowii”.

Przerywając Pauli, która właśnie tłumaczyła mu, jak podskoczyły ceny srebra w ciągu ostatnich miesięcy i że w związku z tym zaczęła je sprowadzać z Egiptu od nowego dostawcy, zapytał:

– Paulo, znasz kogoś, kto pracuje w Regionalnym Archiwum Historycznym? Właśnie dostałem stamtąd paczkę i nie mam pojęcia, co to może być.

Paula, zirytowana tym, że brat lekceważy jej problemy z zaopatrzeniem, odparła oschle:

– Nie znam nikogo z archiwum i nie muszę znać. Poza tym mam w nosie twoje historyjki. Do widzenia.

Fernando odłożył słuchawkę. Otworzył szufladę, wyjął nożyczki i ostrożnie przeciął sznurek. Zaczął rozwijać papier uważając, żeby go nie podrzeć. Wewnątrz znajdowało się kartonowe

pudełko z zatartym anagramem z zielonymi goździkami. Sądząc po wyglądzie, pudełko mogło mieć ponad pięćdziesiąt lat. Wstrzymując oddech, otworzył je i zobaczył szkarłatne etui otoczone wiórami.

Etui, podobne do tych, jakich używał w swoim sklepie, było zniszczone i trudno się otwierało. Pomagając sobie czubkiem nożyczek, podważył wieko. Jego oczom ukazała się złota, bransoleta, ozdobiona jedynie dwunastoma małymi kamieniami półszlachetnymi, ułożonymi w czterech rzędach na środku jej zewnętrznej strony.

Złoty kolor nie był jednolity, jakby wycierał się przez wiele lat. Fernando wiedział z doświadczenia, że tylko upływ wielu wieków powoduje taką zmianę koloru tego kruszcu.

Przeszukał wnętrze pudełka, ale nie znalazł w nim żadnej kartki, niczego, co mogłoby posłużyć za wskazówkę, kto wysłał tę tajemniczą przesyłkę. Spojrzał jeszcze raz na etykietkę i zauważył, że w rogu wystaje fragment pożółkłego papieru, wyglądającego równie staro jak papier, w który była owinięta paczka.

Z największą ostrożnością odkleił etykietę, odsłaniając to, co znajdowało się pod spodem. Trzeba było dużego wysiłku i skupienia, żeby rozszyfrować napis. Za pomocą lupy udało mu się przeczytać, że oryginalnie paczka była adresowana do pana Fernanda Luengo. Pod spodem znajdował się zamazany adres, a jeszcze niżej widniała wyraźna nazwa miejsca przeznaczenia: Segowia.

Nazwisko takie samo jak jego. Na pewno chodziło o jego ojca.

Na papierze widniał też stary stempel poczty z rysunkiem okazałej lokomotywy. Na podstawie maszyny znajdował się napis „Seria koleje” i rok 1933.

Fernando próbował przeczytać nazwisko nadawcy, ale wielka plama wilgoci sprawiła, że udało mu się rozróżnić tylko literę „e”, po której widoczny był napis „de los Caballeros”.

De los Caballeros? W Hiszpanii było mnóstwo miejscowości,

których nazwy miały taką końcówką. Jeśli dodać do tego „e”, pierwszą, która przychodziła mu do głowy była Ejea de los Caballeros.

Zastanowił się, czy ma tam jakichś krewnych, ale nie pamiętał żadnego. Chociaż w 1933, za czasów republiki, być może któryś z nich znalazł się z jakiegoś powodu w Ejei. Tylko dlaczego po tylu latach ta paczka, która najwyraźniej nigdy nie dotarła do miejsca przeznaczenia, trafiła do jego rąk, w dodatku wysłana przez Regionalne Archiwum w Segowii?

Podszedł do kasy panczernej marki Steinerbruck, ze stali dwustumilimetrowej grubości, gdzie przechowywał swoje najcenniejsze dzieła. Umieściwszy w niej etui z tajemniczą bransoletą, zamknął ciężkie drzwi i włączył system alarmowy o podwójnym kodzie, który znali tylko on i Paula. Następnie podszedł do lady, za którą stała Mónica. Dziewczyna zajęta była przeglądaniem katalogu kamieni półszlachetnych z Brazylii, które zamówił Fernando do nowej linii kolczyków.

– Mónico, na paczce, którą dostałem, jest bardzo mało informacji o nadawcy. Wysłano ją z Archiwum Historycznego w Segowii, ale nie ma żadnego nazwiska. Muszę się z nimi skontaktować. Mogłabyś zadzwonić, po prostu do „Serviexpressu” i poprosić o wszystkie informacje dotyczące tej przesyłki?

Mónica wykręciła numer firmy kurierskiej i połączyła się z uprzejmą operatorką, która po otrzymaniu numeru zlecenia zlokalizowała przesyłkę, nie mogła jednak podać żadnej informacji o nadawcy. Obiecała, że zadzwoni do działu wysyłkowego i sprawdzi, czy mają więcej danych.

Po pięciu minutach kompetentny pracownik zadzwonił, informując, że w Segowii również nie znają żadnego nazwiska. Znalaziono tylko kopię kwitu z podpisem osoby, która musiała nadać paczkę. Uprzedzając prośbę Móniki, poprosił już o ten kwit dział numer siedem, będący głównym oddziałem „Serviexpressu” w Segowii.

Obiecał wysłać go w ciągu kilku minut faksem na numer sklepu. Mónica podziękowała za pomoc i odłożyła słuchawkę.

Nie mogła czekać na nadejście faksu, musiała obsłużyć starszą panią we wspianiałym futrze z norek, która właśnie weszła do sklepu. Pozostali pracownicy zajmowali się innymi klientami.

Przez następną godzinę w sklepie wciąż było pełno klientów. Mónica zapomniała o faksie aż do chwili, kiedy zegar z kukułką wybił dziewiątą.

Wróciwszy za ladę, znalazła faks z kwitem z „Servieuxpressu”, na którym widać było wyraźnie podpis w ramce przeznaczonej dla nadawcy. Była to jedyna informacja, jakiej mogła dostarczyć Fernandowi. Ten ostatni właśnie stemplował gwarancję na wspianiały zegarek Cartiera z serii Panthère, sprzedany parze Japończyków, którzy weszli w ostatniej chwili.

Mónica podeszła do Fernanda z faksem w rękę, czekając, aż skończy włączać systemy alarmowe i mechanizm zamykający główne wejście, za pomocą wielkiej pancernej żaluzji osłaniającej cały front sklepu.

Kazał ją zainstalować w tym roku, żeby uniknąć kradzieży, i jakie pustoszyły ostatnio sklepy jubilerskie Madrytu – złodzieje wjeżdżali po prostu samochodem w wystawę sklepu.

– Fernando, ten faks to jedyna informacja, jaką mogłam zdobyć. W „Servieuxpressie” powiedzieli mi, że w komputerze nie było żadnego nazwiska, ale że oryginał kwitu pochodzący z ich centrali w Segowii był przez kogoś podpisany. Wysłali mi kopię.

– Dziękuję, Mónico, na razie powinno wystarczyć. Pozwól!

Wygląda na to, że nazwisko brzmi Herrera... ale nie mogę przeczytać imienia. Spójrz, może tobie się poszczęści.

– Widzę tylko, że zaczyna się na „l”, ale reszta jest nieczytelna. To prawie bazgroły.

Oddała faks Fernandowi, który złożył go i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Kiedy zamykali kasę po wyjściu wszystkich pracowników, Fernando powiedział Mónice o tajemniczej zawartości paczki

i wyraził zdziwienie faktem, że otrzymał ją on, podczas gdy była przeznaczona dla jego ojca.

Mónica słuchała go z zainteresowaniem i natychmiast zaofiarowała mu pomoc w wytropieniu, skąd pochodzi dziwna przesyłka. Fernando przyjął ją z radością, bo pogrążony w morzu wątpliwości, nie wiedział, od czego zacząć poszukiwania.

Jedyny ślad prowadził do Archiwum Historycznego.

– Jak rozumiem, powinniśmy zacząć od Segowii i wizyty w archiwum. Najbliższy czwartek mógłby być odpowiednim dniem – powiedział Fernando zdecydowanie. – Jeśli masz ochotę na przejazdkę, moglibyśmy zrobić sobie dzień przerwy po trzech tygodniach szaleństwa. Znam restaurację na obrzeżach miasta, która na pewno ci się spodoba. Co ty na to? Masz ochotę?

– Byłoby świetnie, Fernando! – wykrzyknęła Mónica, nie ukrywając radości, jaką sprawiło jej to zaproszenie. Już od miesięcy ani przez chwilę nie byli sami, a co dopiero cały dzień.

Kiedy zjeżdżali windą na prywatny parking, Fernando zastanawiał się, jak zorganizować pracę, żeby móc wyrwać się na jeden dzień. Pogrążony w myślach, poczuł w sercu gorzkie ukłucie, bo przypomniał sobie, że zbliżają się święta. Ostatnia Gwiazdka bez Isabel była nieznośnym pasmem wspomnień i jedyną rzeczą, jakiej pragnął, to spędzić ją w samotności.

Mónica patrzyła na niego kątem oka, starając się odgadnąć, o czym myśli, bardziej niż z ciekawości, powodowana pragnieniem bycia ich jedyną bohaterką. Czy nadejdzie kiedyś dzień, kiedy Fernando zobaczy w niej kogoś więcej niż tylko pracownika?

– Fernando, wesołych świąt. – Ruszyła w stronę swojego samochodu. – Widzimy się po powrocie. Pa, szefie!

Po kilku sekundach sportowy samochód ryczał już na podjeździe i zniknął z pola widzenia Fernanda, który ciągle przytrzymywał swoje drzwiczki, oszołomiony nagle przelotnym widokiem, który zatrzymał na siatkówce: wspaniałe i kuszące ciało kobiety, Móniki, którym nigdy dotąd się nie zainteresował.

Od śmierci Isabel nie zwrócił jeszcze uwagi na żadną kobietę. Jednak w tym momencie, nie rozumiejąc jak ani dlaczego, czuł, że budzi się w nim coś, co do tej pory zdawało się być uśpione. Zapalił silnik i wyjechał bez pośpiechu na Serrano.

Ulica była kompletnie zakorkowana, ale przeszkadzało mu to mniej niż zwykle, bo smakował przelotny obraz nowej Móniki.

3.

Jerozolima, rok 1099

Widok Świętego Miasta Jerozolimy ze szczytu Góry Radości, rankiem, siódmego czerwca, był najwspanialszą nagrodą, jaką mogło otrzymać prawie sześć tysięcy krzyżowców, którzy zdolali dotrzeć tak daleko po czterech długich latach, znosząc niewymowne cierpienia, okrutne bitwy i pozostawiając za sobą bolesny ślad trzystu tysięcy straconych istnień, na szlaku prowadzącym ich z Europy ku wyzwoleniu świętych miejsc.

Pierwsze promienie słońca zdawały się zapalać ogromną złotą kopułę wielkiego meczetu Ornara. Kopuła na Skale była z tego miejsca najlepiej widoczną budowlą, chociaż dawało się rozpoznać liczne minarety i wieżę, należącą prawdopodobnie do Bazyliki Grobu Świętego.

Byli o krok od osiągnięcia upragnionego celu i wyzwolenia miejsca, w którym Chrystus został pochowany i gdzie zmartwychwstał w chwale.

Upojeni radością, że widzą wreszcie Święte Miasto, jedni obejmowali się, płacząc, inni krzyczeli: „Jerozolima, Jerozolima!”, jeszcze inni, leżąc na ziemi, dziękowali Bogu, będąc u bram miasta proroków, na tej samej ziemi, po której chodził Jezus ponad tysiąc lat wcześniej.

W tej wrzawie obejmowało się serdecznie czterech rycerzy. Byli szlachcicami i frankońskimi książętami dowodzącymi Świętą Krucjatą, ogłoszoną uroczyście przez papieża Urbana II w

Clermont-Ferránd, 27 listopada 1095 roku. Gotfryd de Bouillon, książę Dolnej Lotaryngii, wyruszył z Flandrii. Tankred z Tarentu i Robert z Normandii – z Burgundii i Normandii, a Rajmund z Tuluzy – z Prowansji i Akwitanii.

Gotfryd, przywódca grupy, powtórzył głośno trzy razy:

– Bóg tak chce! Bóg tak chce! Bóg tak chce!

Sześć tysięcy gardeł powtórzyło natychmiast hasło, które głosił Urban II dla usprawiedliwienia świętej wojny.

Uwolniony sumienia od poczucia winy, tysiące chrześcijan oblegało i zdobywało miasta, jakie napotkali w czasie wędrówki przez półwysep Anatolia w drodze do Jerozolimy. Wśród nich znalazły się Nicea i Antiochia, w których roznieśli na mieczach większą część mieszkańców, nie czując się przy tym winnymi żadnego grzechu.

Sam papież przyznał uczestnikom krucjaty specjalne przywileje, tak duchowe, jak i materialne. Jednym z nich było przebaczenie dla tych, którzy polegą w boju. Kościół obiecał ponadto chronić i nadzorować doczesne dobra uczestników krucjaty w czasie ich nieobecności. Zwolniono ich także z płacenia obowiązkowej dziesięciny od dochodów z ziemi lub trzody.

Z drugiej strony skazywano na ekskomunikę każdego, kto ucieknie, zamiast bronić wiary, lub zdezerteruje bez ważnej przyczyny podczas wędrówki.

Kiedy wreszcie krzyki ucichły i zaczęto schodzić ku miastu, Rajmund z Tuluzy podszedł do Gotfryda.

– Jestem szczęśliwy, Gotfrydzie, ale nie mogę nie wspominać naszego drogiego biskupa Ademara. Zaledwie dwa tygodnie temu umarł na naszych rękach, kiedy to straszna zaraza zdziesiątkowała nas w Antiochii. Ademar z Monteil był duchowym przewodnikiem tej krucjaty, a jednak Bóg chciał, żebyśmy cieszyli się tym widokiem bez niego.

– Jestem pewny – rzekł Gotfryd – że Ademar zbiera dziś legion aniołów, aby pomóc nam zdobyć to miasto, albowiem w ciągu ostatnich lat widzieliśmy już zbyt wiele straconych dusz.

Szlachetny Rajmundzie, zobaczysz, że sam Bóg nas poprowadzi. Zdobędziemy to miasto, otworzymy jego bramy i w ciągu kilku dni wyzwolimy je ostatecznie dla całego chrześcijaństwa.

To mówiąc, uniósł sztandar z krzyżem i popędził konia, kierując się w dół zbocza.

Czterej dowódcy rozdzielili między siebie wojsko, aby otoczyć miasto. Tysiące krzyżowców zajmowało pozycje w bezpiecznej odległości od murów, by uniknąć gradu kamieni i strzał.

Oczekując nieprzyjaznego przyjęcia, nie mogli jednak nie podziwiać wspaniałości Jerozolimy. Na ich twarzach mieszały się radość, że są tak blisko celu, i rosnący niepokój na myśl o oblężeniu. W niecałe trzy godziny wokół Świętego Miasta ustawiono setkę posterunków.

Tysiące kolorowych turbanów roilo się na murach w gwałtownych przyływach i odpływach, śledząc ruchy i zamiary wroga. Przygotowania do obrony zajęły ledwie kilka dni, od momentu gdy tylko muzułmańscy szpiedzy dojrzeliby nadchodzące wojska. To niespokojne oczekiwanie, w połączeniu ze strasznymi wieściami o zbrodniach popełnionych przez krzyżowców w innych miastach zdobytych przez niewiernych Allachowi, napełniało ich przerażeniem.

Skośne promienie słońca rozpoczynającego się dnia wybuchały kolorami w morzu falujących sztandarów, lśniły na włóczniach i zbrojach, rozpraszały się w pyle wzbijanym przez tysiące koni, tworząc pejzaż pełen gorzkiego piękna.

Gotfryd, gdy tylko ustalono i sprawdzono pozycje, udał się na czele pozostałej szlachty na niewielkie wzgórze, z którego rozciągał się lepszy widok na miasto.

Po drodze kazał wezwać do siebie seneszała Ferdinanda de Subignaca, by przekazać mu nowe instrukcje.

Wraz z Rajmundem zsiadli z koni i wspięli się na wysoką skałę, żeby przyjrzeć się południowej stronie miasta.

Ferdinand de Subignac został polecony Gotfrydowi przez hrabiego Hugona z Szampanii, jednego z najbogatszych możnych Francji. Ziemie Gotfryda sąsiadowały z jego ziemiami i Hugon poprosił go, żeby zabrał ze sobą Ferdinanda i otoczył opieką. Ferdinand w wieku trzydziestu pięciu lat udowodnił, że ma zdolności przywódcze jako rządca ziem hrabiego, zdolności, które Gotfryd mógł docenić w czasie długich lat podróży do Jerozolimy. Ferdinand zdobył sobie ponadto szacunek pozostałych szlachciców z innych powodów. Oprócz niewątpliwej odwagi w bitwach, wykazał się doskonałym zmysłem taktycznym, pozwalającym skutecznie zakończyć oblężenie wielu szczęśliwie zdobytych miast, oraz żywą inteligencją, mimo że nie posiadał żadnego wykształcenia.

Gotfryd był dumny z Ferdinanda widząc, jakim szacunkiem cieszy się wśród szlachetnie urodzonych krzyżowców, wyłącznie dzięki swym zasługom.

Ferdinand pojawił się po kilku minutach, galopując na silnym karym koniu. Zeskoczył z niego, przywiązał lejce do gałęzi rosnącego u stóp dużej skały starego drzewa oliwnego i wspiał się na nią zwinnie do miejsca, gdzie stali Gotfryd i Rajmund. Przywitał ich uprzejmie i przyjął zaproszenie Gotfryda, by obejrzeć panoramę miasta. Stał wyprostowany, patrząc w dal. Nagle dobył miecza i wymachując nim w powietrzu, krzyknął:

– Dziś i teraz, moi panowie, jest koniecznym podziękować Bogu za przywilej spoglądania na wybrane miasto! Miasto, które przyjęło jego świątynię, tę, którą Jahwe nakazał zbudować Mojżeszowi i którą wznosił Salomon, aby zmienić ją w Jego święte Mieszkanie.

Robert z Normandii, słuchając mężnego Ferdinanda, zdołał wypatrzeć wielki plac świątynny i krzyknął w uniesieniu:

– Ostateczne zwycięstwo jest tak bliskie, że prawie czuję zapach kadzidła i słyszę śpiewy podczas naszej pierwszej chrześcijańskiej mszy w świątyni Grobu Świętego. Musimy tylko wypędzić niewiernych, którzy od zbyt wielu wieków palnią

ziemię obiecaną przez Jahwe, uświęconą przez naszego Pana przez Jego śmierć na krzyżu.

Gotfryd ujął pod ramię swojego seneszała, aby poprowadzić go na skraj skały, skąd można było oglądać zachodnią część Jerozolimy.

– Panowie, powinniśmy zastanowić się nad sposobem zdobycia miasta z jak najmniejszymi stratami w ludziach. My, którzy tu dotarliśmy po tylu trudach, powinniśmy wszyscy pokłonić się w modlitwie przed Grobem Świętym. Musimy się spieszyć, ale musimy też być ostrożni. Chcę, żebyś użył wyobraźni – zwrócił się do Ferdinanda. – Myślę, że będziemy musieli wymyślić nowe sposoby, odmienne od tych, jakie stosowaliśmy dotychczas, aby pokonać mury obronne. Te są wyższe od innych i, jak widzicie, strzegą ich pilnie tysiące łuczników i oszczepników stojących na ich blankach. Mają też kotły z wrzącym olejem. Już stąd można dojrzeć, jak dymią. Będą też mieli w pogotowiu tysiące kamieni do katapult. Oblężenie, trwające aż do wykończenia ich zapasów i złamania oporu, nie przyniesie zwycięstwa, bo oczekują nadejścia posiłków z południa, o czym powiedzieli nam nasi szpiedzy.

Ferdinand, odwróciwszy się, żeby lepiej przyjrzeć się miejscom, które mogły okazać się słabymi punktami baszt, zastanawiał się przez kilka sekund, zanim powiedział:

– Widzę stąd idealne zespolenie kamieni, z których zbudowano mury, nie będziemy mogli wspiąć się po nich przy użyciu lin i kotw. Wyglądają na gładkie jak marmur, dlatego taki atak byłby bardzo niebezpieczny i mielibyśmy niewielkie szanse powodzenia.

– Mamy pięćdziesiąt drabin, ale chyba są za krótkie – zauważył Rajmund z Tuluzy. – Ale gdybyśmy kazali pracować czterystu czy pięciuset rzemieślnikom, po paru dniach mielibyśmy ich tysiąc.

Gotfryd, myśląc o ilości drewna potrzebnego do zrealizowania tego przedsięwzięcia, zlustrował okolicę aż po horyzont, stwierdzając, że w pobliżu rośnie nie więcej niż dwadzieścia do trzydziestu drzew.

– Rajmundzie, twój pomysł jest mało realny! Mając tysiąc drabin, osiągnęlibyśmy wielu punktów na blankach, ale obawiam się, że napotkalibyśmy dwie poważne trudności. Po pierwsze, widzicie to równie dobrze jak ja, w pobliżu nie ma drzew. Przyuszczam, że musielibyśmy szukać drewna w dolinie Jordanu lub nawet wyżej, potem przewieźć je do tego miejsca i zbić drabiny. Zajęłoby nam to dużo czasu i opóźniło oblężenie. Po drugie, jak wspomniałem wcześniej, nasi szpiedzy potwierdzili, że z Egiptu wyruszyła na pomoc Świętemu Miastu wielka flota, a także liczni jeźdźcy, którzy przybędą z południa. Kiedy tu dotrą, powiedzmy za trzy lub cztery tygodnie, powinniśmy być już po drugiej stronie murów, żeby bronić się przed nimi z pewniejszych pozycji. Jeśli osiągną nas wcześniej, będziemy musieli walczyć na dwóch frontach lub wycofać się, co sprawiłoby, że nasi żołnierze upadliby na duchu.

Wszyscy trzej skierowali wzrok na swoich ludzi, którzy wydali im się kruchymi figurkami przy kamiennym murze otaczającym Jerozolimę i fali wrogich oddziałów, które widzieli oczami wyobraźni, jak zjeżdżają z okalających ich górskich enklaw. Każdy z trzech rycerzy miał pewność, że dojdzie do rzezi.

– Choćbyśmy mogli osiągnąć za pomocą drabin wielu miejsc naraz, nie wszyscy dotrą na blanki żywi – stwierdził Ferdinand. – Ci, którym się to uda, będą musieli walczyć twarzą w twarz z olbrzymią ilością wrogów, zanim dotrą do którejś z bram, otworzą ją, co pozwoli naszym oddziałom wejść do miasta. Oznaczałoby to duże straty w ludziach bez pewności powodzenia. Zejdźmy na chwilę ze skały. Myślę, że powinniśmy spojrzeć na tę kwestię z innej strony! Żeby lepiej to wyjaśnić, muszę posłużyć się rysunkiem.

Wygładził drobny żółty piasek i zaczął rysować patykiem coś, co przypominało wieżę.

– Myślę, że udałoby nam się osiągnąć cel, gdybyśmy mogli zbudować cztery solidne ruchome wieże wysokie jak mury, takie jak ta, którą widzicie na rysunku. Każda wieża, całkowicie

osłonięta tarczami, da ochronę naszym żołnierzom przed strzałami i włócznie. Z pomocą niewielu koni zaciągnęlibyśmy ją na odległość około piętnastu łokci od murów. Użyjemy desek jako pomostów, żeby dostać się na mury. Jeśli będziemy na tej samej wysokości, możemy nie martwić się o olej, a nasi łucznicy będą mogli z łatwością torować nam drogę. W ten sposób dostaniemy się do miasta, nie ponosząc dużych strat.

Gotfryd, zaskoczony i zadowolony z pomysłu, dodał:

– Cztery wieże na cztery bramy miasta. Mamy wystarczająco dużo drewna na zrobienie dwóch, jeśli wykorzystamy katapulty i ich ruchome podstawy, a na samą konstrukcję użyjemy drewna z wozów. Jednak żeby zbudować dwie następne, będziemy musieli zdobyć drewno w lasach Jerycha, a resztę zabrać ze statku, który przyplynie do portu w Jaffie za dwa lub trzy dni. Wiemy, że przewozi wielki ładunek drewna z Genui na rozbudowę portu, do którego z trudem zawijają większe statki. Możemy wstrzymać budowę aż do zdobycia Jerozolimy.

Gotfryd w dobrym nastroju wsiadł na konia i zachęcił pozostałych, by poszli za jego przykładem i bezzwłocznie wzięli się do pracy.

– Mamy dużo do zrobienia – rzekł. – Przygotujcie jak najszybciej cztery grupy ludzi do budowy wież. Trzy inne grupy zajmą się dostarczeniem drewna z Jaffy i Jerycha. Muszą być skończone do piętnastego lipca. Mamy więc tylko kilka tygodni. Ten dzień będzie dniem początku oblężenia.

Ferdinand zaproponował, że uda się do portu w Jaffie. Wybrał stu krzyżowców i dziesięć wielkich wozów mogących przewieźć ciężki ładunek.

Wyruszyli w południe, tworząc długą kolumnę, poprzedzaną przez grupę wyśmienitych zwiadowców, którzy przeczesywali trasę przemarszu, by nie doszło do ataku którejs z egipskich grup, rozsianych wśród gór po bitwach stoczonych na drodze do Jerozolimy.

Ferdinand de Subignac, o przydomku Waleczny, który nadał mu po podbiciu Nicei, kiedy jednego dnia pokonał ponad

pięćdziesięciu wrogów, stał na czele drużyny. W czasie podróży wspominał, razem z przyjacielem z dzieciństwa, Charlesem de Tuigny, rodzinne miasto Troyes, tak teraz odległe.

Minęły już trzy lata, odkąd je opuścili, a jednak nie było dnia, żeby nie wspomniał swojej żony Isabel. Bolał nad tym, że nie może zobaczyć ani wziąć w ramiona dziecka, będącego jeszcze w jej łonie, kiedy wyjeżdżał. Wyjechał z Troyes razem z Charlesem, kierowany tą samą ambicją: położyć kres poddaństwu i wyrzeczeniom. Nie byli szlachetnie urodzeni i ich nazwiska nie wiązały się z żadnymi księstwami, ziemiami, zamkami ani wasalami, lecz to właśnie dla nich musieli pracować: Ferdinand we włościach Hugona z Szampanii, a Charles dla Kościoła. Krucjata pozwoliła im marzyć o tym, co nie przysługiwało im z prawa krwi – o staniu się możnymi panami, posiadającymi ziemie, pałace i wasali. Mimo iż opuścili to, co było im najdroższe, czuli, że nagroda za wszystkie poświęcenia jest w zasięgu ręki. Dobrze wiedzieli, jaki los by ich czekał, gdyby zostali w domu: jeden byłby rządcą księcia do końca swoich dni, a drugi prostym garnarczem na usługach Kościoła.

Charles, widząc, że zbliża się koniec ich pielgrzymki, pragnął podzielić się z przyjacielem swoimi planami i marzeniami. Nie mając żony, która by na niego czekała, ani żadnych obowiązków w Troyes, chciał spróbować szczęścia na nowych ziemiach. Poprosi o prawo do jakiejś ziemi i jej mieszkańców, w miejscu nadającym się do siania pszenicy, żyta lub jęczmienia. Posadzi też drzewa oliwne, by wytwarzać oliwę, którą będzie sprzedawał znajomemu kupcowi z Marsylii, i duże stado owiec, żeby handlować wełną, wyrabiać sery i ożywić nieurodzajne ziemie. I zawsze miałby jagnię na kolację dla przyjaciela.

Ferdinand był zaskoczony precyzją jego planów, ale chciał przede wszystkim wiedzieć, co zamierza w kwestii ożenku, znał bowiem dobrze miłosne przygody przyjaciela. Przypuszczał, że stan kawalerski nie wchodzi w grę i zapytał go o to, rzucając mu wymowne spojrzenie.

Charles zanim odpowiedział, roześmiał się głośno.

Przede wszystkim, oświadczył, chce się dobrze urządzić, potem bez zwłoki poszuka sobie kobiety, koniecznie Arabki. Odkąd znaleźli się na tych ziemiach, ich uroda nie przestawała go zachwycać. Słyszał też, że są zrównoważone i roztropne, hojne i wierne w miłości, praktyczne w sądach i konsekwentne w wychowaniu dzieci. Po co miałby szukać kobiety ze swoich ziem, skoro te są idealne? Z taką żoną zapełniłby dom dziećmi, dzieliłby radości i patrzył, jak jego potomstwo rośnie i mnoży się na Ziemi Świętej.

Ferdinand śmiał się z sielankowej wizji, jaką przyjaciel przed nim roztoczył, tak różnej od ich przygód w pogoni za spódniczkami albo w wirze walki, kiedy wrogowie padali pod śmiertelnymi uderzeniami ich mieczy. Powietrze tej ziemi wywarło na Charlesa przedziwny wpływ, myślał Ferdinand. W ten sposób zabawiali się rozmową aż do Jaffy.

Gotfryd i Rajmund, w jednym z właśnie postawionych namiotów, studiowali plany systemu obronnego miasta.

Rozmawiali o koniecznym rozmieszczeniu oddziałów pod każdą z bram, kiedy do namiotu wpadł krzyżowiec.

– Wybaczenie najście, nie chcę zakłócać wam odpoczynku – wysapał – ale mam do przekazania ważne wieści.

– Co to za wieści, przyjacielu? – zapytał Gotfryd, zaniepokojony miną rycerza.

– Jesteśmy przerażeni, panie. Wszędzie leżą konie i ludzie, wyglądają, jakby się czymś zatruli. Niektórzy wymiotują krwią i żółcią, a ci, którzy są w najgorszym stanie, dogorywają w bólach. Są ich już setki.

– Na Boga Wszzechmogącego! Musieli zjeść coś zepsutego! – krzyknął Rajmund. – Skocz żywo i wydaj rozkaz, żeby przestano rozdzielać żywność, zanim sprawdzimy, czy jest świeża!

Żołnierz, przestraszony, mówił jednak dalej:

– Pozwólcie mi zdradzić moje podejrzenia dotyczące prawdopodobnego pochodzenia tego nieszczęścia. Myślę, że ludzie,

powodowani dręczącym pragnieniem, jakie znosiliśmy w ostatnich dniach, poszli je zaspokoić do dwóch źródeł, które znaleźliśmy niedaleko obozu.

Widok, jaki ukazał się oczom Gotfryda i Rajmunda, gdy poszli zobaczyć, co się stało, był straszny. Dziesiątki trupów koni i leżących między nimi mężczyzn i kobiet, jednych krzyczących, innych konających w strasznych męczarniach, tworzyły obraz bólu i chaosu. Powodem mogła być woda, ale żeby się upewnić, dano tę wodę do wypicia barankowi.

W ciągu kilku minut zwierzę leżało na ziemi, tocząc ślinę, wstrząsane konwulsjami. Wkrótce zaczęło wymiotować krwią, co nie pozostawiało już miejsca na wątpliwości co do źródła trucizny.

Gotfryd zabrał z rąk jednej z kobiet ciało ledwie pięcioletniego dziecka, które również padło ofiarą zatrutej wody. Wściekły, patrząc na mury miasta, krzyknął:

– Bądźcie przekłęci w miłosiernych oczach Boga! Ja, Gotfryd de Bouillon, hrabia Lotaryngii, który noszę na piersi krzyż Chrystusa, przysięgam w tym miejscu, wobec moich braci w wierze, że zapłacicie życiem za tę zbrodnię! Godzina waszej śmierci jest bliska! I przysięgam, że zadbam o to, aby żaden z was nie mógł zobaczyć Egiptu, którego, nigdy nie powinniście byli opuszczać!

Rajmund, który wiedział, że Gotfryd to człowiek zrównoważony i spokojny, widząc jego reakcję, zrozumiał po raz pierwszy, podobnie jak wszyscy obecni przy przysiędze, że ma przed sobą tego, kto dzięki swym zasługom z całą pewnością zostanie pierwszym chrześcijańskim królem Jerozolimy.

Dzień poprzedzający pogrzeb ofiar zatrucia był pełen bólu i łez, lanych nad ponad dwustoma duszami straconymi u progu Świętego Miasta i nad żywymi, którzy w pocie czoła kopali groby w suchej i twardej ziemi. Tego dnia nie budowano wież, co spowodowało znaczne opóźnienie.

Prawie sześć tysięcy krzyżowców stało na wzgórzu, na którym

odprawiający nabożeństwo kapelan Arnold z Rohes wygłaszał porywające kazanie, w którym porównywał ofiarę Chrystusa na krzyżu – tak blisko miejsca, gdzie się znajdowali – którą zmył grzech z wszystkich ludzi, z cierpieniem tych błogosławionych chrześcijańskich dusz, przybyłych tu, aby wyzwolić święte miejsce z rąk niewiernych.

Ojciec Arnold poprosił zebranych, żeby pamiętali o nich w swoich modlitwach, zwłaszcza o dniu, kiedy walczyli przeciw Egipcjanom. Obiecał też, że pierwszą mszę przy Grobie Świętym odprawi w intencji wszystkich świętych dusz, które, umierając w czasie krucjaty, już zasłużyły na niebo.

Następne dni wypełniła ciężka praca. Krzyżowcy podzielili się na grupy. Najbardziej doświadczeni myśliwi wyruszali codziennie o świcie na poszukiwanie pożywienia. W ciągu pierwszych kilku dni udało im się upolować kilka jeleni i sporo dzików, które pasły się w pobliżu lasów otaczających dolinę Jordanu. Później, z braku grubszej zwierzyny, zaczęli łapać dzikie owce i kozy, jakie znajdowali w górach i na ścieżkach prowadzących z Jerozolimy do Betanii.

Jednej z grup udało się osaczyć stado trzystu owiec należących do egipskiego osadnika, który oddał im wszystkie zwierzęta, aby ocalić życie.

Jedzenia było niewiele, ale mięso przeznaczano dla rzemieślników pracujących przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nad wykończeniem wież. Dołożono wszelkich starań, by wznieść je jak najszybciej i przy użyciu niewielu narzędzi skończono dwie z nich przed końcem pierwszego tygodnia. Ponieważ zaproponowano, żeby ochrzcić je imionami czterech ewangelistów, dwie pierwsze otrzymały za powszechną zgodą imiona świętego Mateusza i świętego Marka.

Po tygodniu Ferdinand de Subignac wrócił ze swoim oddziałem z portu w Jaffie z dziesięcioma wozami pełnymi dębowego drewna. Dzięki temu rozpoczęto budowę trzeciej wieży, świętego

Łukasza, i w kilka dni skończono ostatnią z nich, świętego Jana.

Do rozpoczęcia ataku na miasto pozostało tylko pięć dni.

Oblężeni nie wiedzieli o trwającej budowie, ale drżeli przed bliskim atakiem, widząc, jak umacniają się pozycje krzyżowców. Mogli prowadzić tylko walkę defensywną, jako że nieśmiałe ataki, jakie podjęli, nie wyrządziły żadnych szkód wojskom wroga.

Rada frankońskich panów omówiła wielokrotnie strategię ataku. Oczekiwano w gotowości na nadejście decydującego dnia.

Już od pierwszych godzin poranka piętnastego lipca upał był nieznosny. Ostatnie przemówienia dowódców rozpały ponad sześć tysięcy dusz oczekujących na rozkaz do ataku. W ciągu trudnych, pełnych napięcia chwil ich myśli krążyły wokół marzeń i powodów, jakie pchnęły każdego z nich do przyłączenia się do wyprawy krzyżowej. Najpobożniejsi wyruszyli, by uwolnić miasto i przywrócić tradycję pielgrzymek tysięcy chrześcijan do Ziemi Świętej, przerwanych wtargnięciem najpierw Turków seldżuckich, a potem Egipcjan. Inni pragnęli tylko zemścić się za tysiące umarłych, którzy złożyli daninę krwi na szlaku do Jerozolimy. Szlachetnie urodzeni marzyli o sławie, chwale, a czasem o jakimś hrabstwie lub księstwie na tych ziemiach, jeśli nie posiadali własnych.

Wielu innych krzyżowców bez wysokiego urodzenia ani nazwiska miało nadzieję na zdobycie bogactw lub przynajmniej jakiejś relikwii. Sprzedaż relikwii była w tamtych czasach jednym z najbardziej opłacalnych interesów: pół Europy biło się o możliwość posiadania i czczenia szczątków jakiegoś świętego. Te związane z życiem Jezusa lub z jego męką były najbardziej poszukiwane i najwięcej za nie płacono.

Cztery wieże posuwały się wolno w stronę bram, ciągnięte przez tuzin koni. O dziesiątej rano Gotfryd, Rajmund, Tankred i Robert z Normandii rozdzielili się, wykrzykując jeszcze raz

hasło krucjaty: „Bóg tak chce!”, i udając się w kierunku wyznaczonych im wież, aby wziąć udział w oblężeniu. Za każdą z wież czekało niecierpliwie blisko dwustu jeźdźców i około tysiąca pieszych.

Jeźdźcy znajdujący się na czele wznieśli tysiące sztandarów należących do hrabstw, księstw i regionów całej Europy, spośród których wyróżniały się, sięgające po horyzont, tysiące herbów ze Świętym Krzyżem.

Na rozkaz egipskiego gubernatora, Iftikara al-Dawla, z murów wystrzelono setki płonących strzał, które dosięgły w wielu miejscach oddziałów krzyżowców i zapaliły jedną z wież.

Bitwa się rozpoczęła.

Krzyżowcy też strzelali płonącymi strzałami. Nieprzerwany deszcz ognia dał im kilka minut przewagi, dzięki czemu trzy wieże przesunęły się w stronę murów. Nieliczne katapulty, jakie nie zostały uszkodzone, nie przestawały wyrzucać wielkich kamieni, lecz miasto odpowiadało ogniem, strzałami i potokami wrzącego oleju, wściekle odpierając atak chrześcijan.

Ferdinandowi de Subignacowi, stojącemu na wieży Świętego Jana razem z Gotfrydem i Robertem z Normandii, udało się wreszcie dosięgnąć muru. Przy wsparciu dwudziestu łuczników, którzy, strzelając niezmordowanie, oczyszczali im drogę z przeciwników, przrzucili pierwszy pomost i przeszli po nim bez większych trudności, stając się tym samym pierwszymi, którzy wkroczyli do Jerozolimy. Prawie natychmiast rozbili Bramę Damasceńską, przez którą wdarło się z krzykiem ponad trzy tysiące rycerzy pod rozkazami Rajmunda z Tuluzy.

Chaos i trwoga towarzyszyły walczącym przez kolejne godziny tego krwawego ataku, w którym ciało zwierało się z ciałem w sercu Świętego Miasta.

Miecze krzyżowców pracowały niestrudzenie, przesywając bez litości tysiące niewiernych, którzy uciekali przed nimi na oślep. Po stromych ulicach toczyły się setki głów, tworząc przerażające stopy. Wielu umarło, wykrwawiwszy się, straciwszy ręce lub nogi.

Wszystkich spotkał taki sam koniec, czy byli Żydami, Arabami czy Egipcjanami. Śmierć nie dbała o płeć, wiek lub stan. Krzyżowcy byli pijani odorem krwi, która nasączała ich ubrania i spływała po mieczach.

Można było niemal wyczuć smród nienawiści i żądzę zemsty, wyzwolonych w ciągu tych pierwszych godzin ataku.

Krzyżowcy walczyli przez cały dzień, aż uśmiercili ostatniego mieszkańca, w ostatnim zakątku domu, ulicy czy świątyni. Aby było wiadomo, jakie dobra biorą w posiadanie, zostawiali przy każdym drzwiach flagę, tarczę lub herb ze swoim nazwiskiem. W ciągu kilku godzin wszystkie domy Jerozolimy zostały zajęte. Były częścią upragnionego łupu, o którym wszyscy marzyli po długiej i ciężkiej wojnie, w czasie trzyletniej wędrówki.

Ferdinand de Subignac, który nie został w tyle w szaleństwie zabijania wrogów, posuwając się Via Dolorosa w stronę Świętego Grobu natknął się na pałac ozdobiony wielkim kamiennym herbem, na którym widniał baranek ukoronowany gwiazdą. Na bramie nie było jeszcze żadnego znaku nowego właściciela, postanowił więc, że będzie to jego pierwsza zdobycz w Ziemi Świętej.

Sforsowawszy drzwi, wraz z kilkoma krzyżowcami wszedł ostrożnie do środka i poprosił, by zostawiono go samego. Obszerna sień, bogato zdobiona pięknymi arrasami, przechodziła w duże patio, skąd widać było krużganek z drewnianą balustradą.

Na parterze, za ozdobionym owocowymi motywami kamiennym łukiem, znajdowała się jasna kuchnia. Resztki wciąż tłących się węgla kazały mu podejrzewać, że dom nie jest pusty. nMusi uważać.

Na prawo od kuchni znajdowała się obszerna jadalnia z mahoniowym stołem, a na nim dwie duże menory, siedmioramienne świeczniki żydowskie. W oszklonych szafach stały kosztowne naczynia z porcelany i srebrne dzbany różnych rozmiarów.

Nie wyczuwając niczyjej obecności, Ferdinand wrócił do sieni i wszedł na schody, z mieczem w pogotowiu. Wspiął się, nie spuszczać z oczu korytarza i znalazłszy się na piętrze, zdecydował się zbadać, zaczynając od pierwszych drzwi po prawej.

Otworzył je powoli i stwierdził, że jest za nimi niewielka sypialnia, prawie bez mebli, poza stojącym w kącie łóżkiem. Posuwając się dalej korytarzem, odkrył jeszcze trzy komnaty, niektóre pięknie ozdobione. Wyróżniała się zwłaszcza jedna z nich, w której zatrzymał się, żeby podziwiać ogromną bibliotekę pełną setek książek, których tytułów nie znał, nie wiedział też, w jakim języku zostały napisane.

Ostatnie drzwi były tak małe, że nie wiedział, czy się przez nie przecisnąć.

Zachowując ostrożność, otworzył je i zdążył tylko zobaczyć srebrny błysk sztyletu pędzącego w jego kierunku. Zdołał zatrzymać mieczem pierwsze uderzenie i skontrolować następne, dzięki błyskawicznemu przrzuceniu miecza do drugiej ręki, czym na chwilę zmylił przeciwnika. Hartowana stal przeszła szyję młodego Egipcjanina, który, padając na posadzkę, zaczął wydawać charczące odgłosy zwiastujące rychłą śmierć.

W głębi wyglądającego na kaplicę pomieszczenia stała nieruchomo druga osoba, okryta od stóp do głów czarnym płaszczem, mierząca do niego z kuszy.

Widząc groźnie błyskający bełt, Ferdinand stanął nieruchomo.

Spojrzał na swojego kata. Nie widział jego twarzy ukrytej pod kapturem.

– Natychmiast rzuć miecz na ziemię i uklęknij!

Rozkaz został wydany przez kobiecy głos, po francusku. nFerdinand odrzucił miecz i powiedział, klękając:

– Nie wiem, kim jesteś. Nie mogłem nawet zobaczyć twojej twarzy. Po akcencie poznaję, że jesteś Żydówką, chociaż przyznaję, że dobrze się nauczyłaś mojego języka. Jeśli ponadto jesteś panią tego pałacu, przypuszczam, że jesteś wykształconą kobietą o szlachetnym pochodzeniu. Jeśli przestaniesz do mnie

mierzyć, przysięgam, że nie wyrządę ci krzywdy. Jestem człowiekiem honoru.

Kobieta odrzuciła kaptur i odsłoniła twarz, nie przestając do niego mierzyć:

– Nigdy nikogo nie zabiłam – odezwała się drżącym głosem.
– Nigdy dotąd nie musiałam nawet brać broni do ręki. Widzę, że boisz się o swoje życie. Ja o moje również. – Odetchnęła i mówiła dalej: – Dajesz mi słowo, że nie zrobisz mi krzywdy, a ja muszę ci zaufać. Ale czy mogę ci wierzyć?

Ferdinand utkwiał wzrok w pięknych oczach koloru miodu.

– Obawiam się, że moje słowo jest jedyną gwarancją, jaką możesz dostać w tych okolicznościach. Ponadto nie masz innego wyjścia. Nawet jeśli mnie zabijesz, nie zdołasz uciec. W tym momencie blisko sześć tysięcy żołnierzy biega po ulicach miasta. Są podnieceni przelaną krwią i zapewniam cię, że zapomnieli, co to litość. Żydówka, sama, nie przeżyje ani minuty. Jestem twoją jedyną nadzieją, jeśli chcesz żyć.

Kobieta przestała do niego mierzyć i kazała mu wstać. Podchodząc bliżej, oddała mu broń. Jej ręce drżały. Słyszała, zmartwiała z przerażenia, krzyki dochodzące z ulicy i wypełniające każdy kąt domu. Szarpana strachem, bez możliwości ucieczki, bała się o swoje życie, ale przede wszystkim o los wisiora, który nosiła od dzieciństwa i który nadawał sens jej rodowi.

– Mam na imię Sara i pochodzę z Hebronu, stamtąd też pochodzi mój ród. Moje życie jest teraz w twoich rękach. – Jej wystraszone spojrzenie szukało w oczach Ferdinanda przeblysku miłosierdzia.

Ferdinand zaś cały czas spięty, jak ktoś, kto w każdej chwili oczekuje ataku, zapytał, czy jest w domu więcej ludzi, poza leżącym u jego stóp Egipcjaninem.

– Wszyscy zginęli, zostałam tylko ja. Uwierz mi! Mówię prawdę. – W oczach Sary malował się strach. Wiedziała, że jeśli chce żyć, musi być posłuszna temu człowiekowi. – Rozumiem, że od tej pory pałac, w którym mieszkam, i wszystkie dobra należą do ciebie. Jesteś więc moim panem i jestem ci winna

posłuszeństwo. Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa i zapewnisz mi opiekę.

Ferdinand patrzył na nią przez kilka sekund, podziwiając jej niezwykłą urodę.

– Nazywam się Ferdinand de Subignac, pochodzę z Burgundii. W tej chwili nie mogę zostać z tobą dłużej, kobieto. Proszę, czekaj tu na mnie. Postawię strażnika w drzwiach pałacu, żeby nikt nie mógł tu wejść. Staraj się nie robić hałasu. Nie próbuj uciekać, to byłoby nierozważne. Muszę iść do Grobu Świętego odebrać rozkazy od mojego pana. Kiedy wrócę, zastanowimy się, co robić.

Sara, kłaniając się z szacunkiem, odrzekła:

– Nie bój się, postaram się nie przysporzyć ci trosk. Moje życie jest w twoich rękach i obiecuję odpowiedzieć lojalnością na twoje zaufanie.

Chociaż intencje tego mężczyzny wydawały jej się szlachetne, nie mogła odpędzić niepokoju. Zastanawiała się, jak ochronić święte dziedzictwo, prastary symbol wiszący na jej szyi, ukryty pod suknią.

Kiedy Ferdinand przebywał w swoim nowym pałacu, na ulicach miasta rozgrywały się dramatyczne wydarzenia. Egipski gubernator, w otoczeniu setek żołnierzy, ukrył się w meczecie Ornara i bronił się przez wiele godzin, z pewnością świadomy, iż czeka go straszny koniec.

Krzyżowcy wyważyli w końcu główne drzwi meczetu i wdarli się do środka. Mimo iż egipscy dowódcy błagali o litość, a Rajmund z Tuluzy wydał rozkaz, by ich nie zabijać, wszyscy zginęli od chrześcijańskich mieczy i w ten sposób zdobyto ostatni bastion muzułmańskiego oporu w Jerozolimie. Podbój został zakończony.

Zginęło sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców Jerozolimy. Rzeź była tak straszna, że kronikarze mieli opowiadać w przyszłości, że krew sięgała krzyżowcom do kostek.

Ferdinand de Subignac, patrząc na ten straszny obraz rzezi,

stojąc w drzwiach Bazyliki Grobu Świętego, zapłakał gorzko, błagając Boga o wybaczenie tego, czego się dopuszczono w Jego imieniu. Gotfryd de Bouillon i Rajmund z Tuluzy zrobili to samo, prosząc wszystkich obecnych, by padli na kolana i wyznali swoje grzechy.

– Proście Boga o przebaczenie za krew, którą przelaliście u samych drzwi świętego przybytku! – mówił Gotfryd. – Nikt, kto się wcześniej nie oczyści przez spowiedź, nie będzie mógł wejść do tego przybytku ani modlić się przed grobem, który służył Chrystusowi za miejsce spoczynku przed zmartwychwstaniem. Żeby dać przykład, będę pierwszym, który wyzna swoje grzechy, aby móc tam wejść z czystym sercem. – Podniósł wzrok, patrząc na jakiś daleki punkt na niebie i dodał z emfazą: – Niech dzięki Pańskiemu przebaczeniu stanę się godny wejścia i zobaczenia tego świętego miejsca!

Podszedł do pierwszego kapłana, padł na kolana i zaczął krótką spowiedź. Po kilku minutach ustawiły się przed księżmi długie kolejki mężczyzn i kobiet. Ferdinand z Gotfrydem i pozostałą szlachtą wszedł jako pierwszy do świętego miejsca. Emocje, które czuli w momencie, o którym od tak dawna śnili, zapierały im dech. Tylko odgłos ich kroków mącił świętą ciszę królującą we wnętrzu.

Potrzebowali kilku chwil, żeby przyzwyczaić źrenice do ciemności panującej w bazylice. Wkrótce mogli zobaczyć, w jak godnym pożałowania stanie jest ta opuszczona świątynia.

Idąc przed siebie, podeszli do wielokątnego edykułu, zajmującego miejsce pośrodku bazyliki. Z kopuły, częściowo otwartej, padał na niego jasny promień światła, malując prawdziwie majestatyczny obraz. Tworząca szerokie deambulatorium absyda otaczająca edykuł miała kształt koła. Szesnaście marmurowych kolumn podtrzymywało siedemnaście łuków służących za podporę takiej samej liczbie znajdujących się pod kopułą nisz, ozdobionych mozaikami przedstawiającymi apostołów, świętą Helenę, matkę cesarza Konstantyna, która odkryła grobowiec, oraz wiele innych, trudnych do rozpoznania postaci.

Ten marmurowy edykuł musiał kryć upragniony grób.

Gotfryd wszedł do środka jako pierwszy. Zapalono znalezione na ziemi świeczniki i zrobiło się jaśniej.

Wewnątrz znajdowała się mała kapliczka z dużym okrągłym kamieniem, najpewniej tym samym, który posłużył do zamknięcia grobu, ufundowanego przez bogacza Józefa z Arymatei. Za nim można było zobaczyć małą komorę grobową zawierającą kamienną płytę opartą o jedną ze ścian. Gotfryd zrozumiał, że stoi przed świętym miejscem, w którym spoczywało ciało Chrystusa aż do zmartwychwstania. Ucałował z czcią kamień i przez kilka minut modlił się, dziękując Bogu za przywilej bycia pierwszym chrześcijaninem, który mógł znów zobaczyć to miejsce po tylu wiekach pogańskiego panowania. Pomyślał, że dzięki bożej pomocy i oddaniu tylu dobrych mężów, misję Świętej Krucjaty można było uznać za zakończoną. Wyzwolono już miejsca święte dla milionów chrześcijan, którzy będą mogli je wreszcie odwiedzić. W kilka minut grobowiec zapełnił się krzyżowcami pragnącymi oddać hołd miejscu, w którym tysiąc lat temu złożono ciało Syna Bożego.

Tego samego dnia, jednomyślną decyzją frankońskiej szlachty, Gotfryd został okrzyknięty u wrót Grobu Świętego pierwszym królem Jerozolimy. Podbój się zakończył, potrzebny był teraz silny przywódca, który poprowadzi krzyżowców do podboju całej Ziemi Świętej.

Gotfryd przyjął z wdzięcznością ten zaszczyt, ale zapowiedział swoim przyjaciołom:

– Nie chcę nosić korony ani posiadać innych zaszczytów! Nie powinno się mnie ogłaszać królem Jerozolimy w miejscu, w którym nałożono Chrystusowi koronę cierniową i ukrzyżowano. Nie jestem godzien tytułu króla, dlatego chętnie przyjmę misję kierowania losem nowych mieszkańców miasta, ale jako obrońca Grobu Świętego.

Pierwszym rozkazem Gotfryda było zarządzenie uroczystej mszy następnego dnia, szesnastego lipca w południe, w bazylice. W ten sposób wszyscy mogli odpocząć przez resztę tego długiego

dnia, oddaliwszy się do swoich nowych siedzib lub zwiedzając miasto.

Ferdinand postanowił wrócić do swego nowego pałacu i odrzucił zaproszenie Rajmunda do wspólnego odwiedzenia meczetu Al-Aksa. Marzył o ciepłej stawie i rozmowie z tajemniczą kobietą, która była teraz jego poddaną. Zaczynał zapadać zmrok.

Odprawił strażnika stojącego w drzwiach i upewniwszy się, że są dobrze zamknięte, ruszył w stronę kuchni, bo tylko stamtąd dobiegał hałas zakłócający spokojną ciszę pałacu. Kiedy wszedł do środka, zobaczył kobietę siedzącą przy masywnym drewnianym stole, ze spuszczoną głową, na której oparła rękę. Wystraszona jego przybyciem Sara wyprostowała się, podniosła na niego wzrok, po czym na powrót pochyliła głowę, pozostając w tej poddańczej pozie w czasie całej rozmowy.

– Dobry wieczór, mój panie. Kiedy cię nie było, przygotowałam kolację. Jeśli chcesz, możesz usiąść w jadalni.

Podeszła do ognia, żeby zamieszać zawartość cynowego garnka.

– Najpierw chciałbym napić się wina.

Ferdinand zdjął koleczugę i odpiął pas z ciężkim mieczem, położył to wszystko na stole i usiadł. Zaczął odczuwać zmęczenie po długim, ciężkim dniu.

Sara wzięła kielich, napełniła go po brzegi ze stojącej w rogu dużej drewnianej beczki i postawiła blisko niego, wciąż nie podnosząc wzroku.

Zauważył, że kobieta zmieniła strój. Teraz miała na sobie długą, związaną w pasie zieloną tunikę, która podkreślała jej figurę. Wziął kielich i wypił z przyjemnością wysmienity płyn, który oplukał jego wysuszone gardło.

Ferdinand obserwował jej ruchy i reakcje z mieszaniną ciekawości i niepewności. Musiała bardzo cierpieć, a jednak nie dawała tego po sobie poznać. Wziąwszy pod uwagę, że straciła wszystkich najbliższych, była świadkiem zdobycia miasta i że

musiała teraz zaspokajać życzenia obcego, od którego zależało jej życie, musiał przyznać, że jest bardzo dzielna. Jakie myśli krążyły jej teraz w głowie? Co można powiedzieć, żeby jej ulżyć? Jak zdobyć jej zaufanie, żeby przestała się bać? Było mu jej żal.

– Saro, mimo że nasze spotkanie było dość niezwykle, chciałbym, żebyś się mnie nie bała. – Kobieta podniosła oczy i ich spojrzenia się spotkały. We wzroku Ferdinanda zobaczyła coś, co pozwoliło jej się uspokoić. Znalazła w nich zrozumienie i szczerłość. – Uwierz mi, rozumiem, w jakim jesteś położeniu, ale powinnaś mi zaufać. Zważywszy na okoliczności, mam ogromne szczęście. Nie sądzę, żeby w mieście był jeszcze ktoś, kto może cieszyć się kolacją i tak miłym towarzystwem. – Nie przyszedł mu do głowy żaden inny sposób na złagodzenie wiszącego w powietrzu napięcia, może dlatego, że jego żołądek, który nie dbał o słowa, domagał się natrętnie czegoś, czym mógłby się zająć.

Ferdinand przeszedł do jadalni, gdzie zobaczył stół nakryty dla jednej osoby. Chciał poprosić Sarę, żeby mu towarzyszyła, ale uznał, że zrobi lepiej, pozwalając jej odejść do swej komnaty.

– Saro, myślę, że powinnaś odpocząć – rzekł. – Przynieś mi to, co przygotowałaś i zostaw na stole. Jutro wstanie nowy dzień i będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Spełniając jego polecenie, zostawiła mu przygotowane jedzenie, po czym poszła do swojej sypialni, nieco uspokojona. Przeszła długą drogę od strachu o swoje życie do niepewności co do intencji tego mężczyzny. Teraz musiała przyznać sama przed sobą, że dzięki jego słowom, rycerskości i szacunkowi, jaki jej okazywał, powoli przestawała się bać. Mimo wszystko zamknęła drzwi komnaty na klucz, modląc się, żeby nie musiała zbliżać się do nich przed rankiem.

Nie mogła zasnąć. Straszliwe obrazy i bolesne wspomnienia nieprzerwanie płynęły w jej umyśle, nie pozwalając odpocząć. Usłyszała kroki mężczyzny, który przeszedł korytarzem, nie

zatrzymawszy się przy jej drzwiach, co pozwoliło jej sercu odzyskać normalny rytm. Wyczerpana, wreszcie usnęła.

W czasie następnych dwóch dni mieli wiele okazji, między zajęciami Ferdinanda, żeby porozmawiać i lepiej się poznać. Zaczęło się rodzić między nimi zaufanie.

Sara opowiedziała mu pokrótce historię swojego życia; od wspomnień dzieciństwa w Hebronie, skąd pochodziła jej rodzina, aż do przybycia do Jerozolimy, po ślubie z bogatym kupcem, kiedy miała zaledwie szesnaście lat.

Nie była szczęśliwa z tym mężczyzną. Przeżyła z nim ponad dwanaście lat, ale nigdy go nie pokochała. Przyznała nawet, że poczuła ulgę, kiedy trzy lata temu owdowiała, na skutek napadu rabusiów na karawanę jej męża na szlaku prowadzącym do Damaszku.

Pewnej nocy, w czasie rozmowy przy kolacji, spod szczelnie zapiętej koszuli Sary wysunął się mały pozłacany medalion z wizerunkiem baranka z gwiazdą nad głową. Ferdinand, zaintrygowany, przypomniał sobie herb ozdabiający wejście do pałacu.

Początkowo nie wspominał o nim, ale że jego ciekawość rosła, nie mogąc się dłużej powstrzymać, powiedział:

– Przez większą część kolacji obserwowałem twój medalion.
– Sara, zaskoczona i przestraszona, ukryła go szybko pod suknią.
– Może ci się to wydać dziwne, ale on mnie przyciąga. Jakby miał niezwykłą moc. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie mogę oprzeć się pragnieniu, żeby dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Jeśli się nie mylę, widziałem taki sam herb nad bramą pałacu.

Sara poruszyła się niespokojnie, zakłopotana pytaniem, po czym popatrzyła na Ferdinanda, pełna wątpliwości. Odchrząknęła kilka razy i jeszcze milczała przez chwilę, która Ferdinandowi wydała się wiecznością. Wreszcie zdecydowała się odezwać.

– Jeśli czytałeś Biblię, przypominasz sobie na pewno historię, którą ci opowiem. Ponieważ jest dość długa, możemy wstać

od stołu i usiąść na tamtych poduszkach, będzie nam wygodniej. Przy okazji napijemy się likieru z daktyli. Myślę, że będzie ci smakował.

Gdy usiedli, Sara rozpoczęła opowieść:

– Wiele setek lat temu pewien człowiek o imieniu Abraham, który żył w Ur, mieście leżącym niedaleko Mezopotamii, otrzymał od Jahwe rozkaz podbicia sąsiadującego z jego ziemią kraju Kanaan, który Bóg obiecał jemu i jego potomkom. Abraham miał żonę, Sarę, jednak mimo wpływających lat nie doczekali się potomstwa. Wypełniając wolę Boga, wyruszył ku nowej ziemi ze swoimi stadami i całą rodziną. Gdy dotarli na miejsce, wielka susza zmusiła ich do ucieczki do Egiptu, gdzie mogli się wyżywić na żyznych brzegach Nilu, uciekając od pewnej śmierci. Dopiero po wielu latach wrócili do Kanaanu.

Abraham pragnął mieć potomka, żeby przekazać mu ziemię, którą obiecał mu Jahwe. Doczekał się go wreszcie, ale z piękną niewolnicą pochodzącą z Egiptu, albowiem Sara, jego żona, była bezpłodna. Dziecku nadano imię Izmael. Pewnego dnia jednak objawił się Abrahamowi Jahwe i powiedział mu, że Sara, która ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat, jest brzemienna i kazał nazwać dziecko Izaak.

Izaak urodził się ze staruszki Sary ku ogólnemu zdumieniu i rósł zdrowy, silny i oddany Jahwe, swojemu Bogu. Abraham, w cieniu starości, był najszcześliwszym z ojców, bo Izaak miał odziedziczyć ziemię, którą otrzymał od Boga i przez niego odnawiało się święte przymierze z Jahwe.

Ferdinand smakował delikatny likier i słuchał Sary z zainteresowaniem. Nie rozumiał jeszcze związku między tą historią a jego pytaniem.

– Pewnego dnia Abraham otrzymał rozkaz od Jahwe, który stał się źródłem największego z możliwych cierpień. Nie potrafił tego zrozumieć. Bóg rzekł: „Weź teraz twój jedyny syna, którego tak kochasz i udaj się na górę Moria i złóż go w ofierze”.

Abraham wziął osła i dwóch pachołków i udał się ze swoim

synem we wskazane miejsce. Zebrał drewno, potrzebne, by złożyć ofiarę, zostawił sługi w obozie i wspiął się z Izaakiem na górę. Niesli ze sobą drewno, ogień i nóż. Izaak zapytał: „Mamy ogień i drewno, ale gdzie jest baranek, którego złożymy w ofierze?”. Abraham odpowiedział, że Bóg zadba o baranka.

Gdy dotarli na szczyt góry leżącej w Salem, dzisiejszej Jerozolimie, Abraham wznosił ołtarz, przygotował drewno, związał syna i położył na ołtarzu. Wyciągnął rękę i wziął nóż, którym miał go zabić. Wtedy, jak wiesz, anioł boży zawołał do niego z nieba: „Nie podnoś ręki na chłopca i nie rób mu krzywdy. Widzę, że masz bojaźń bożą, bo poświęciłbyś swojego pierworodnego”. Abraham, odwróciwszy się, zobaczył baranka z rogami zaplątanymi w zaroślach. Uwolnił go i złożył w ofierze. Następnie anioł Jahwe powiedział mu: „Przysięgam na słowo Jahwe, że za to, co dziś uczyniłeś, obsypię cię błogosławieństwami i pomnożę twoje potomstwo, które będzie jak gwiazdy na niebie i jak ziarna piasku na brzegu morza, a twój ród posiadzie bramy swoich wrogów. Przez twoje potomstwo będą błogosławione wszystkie ludy ziemi, bo posłuchałeś mojego głosu”.

Po wielu latach Sara umarła i została pochowana w Hebronie, gdzie się urodziłam. Dlatego noszę jej imię. Izaak wziął za żonę Rebekę, która urodziła mu Ezawa i Jakuba. Jakub ożenił się z Rachelą i miał wielu synów, ale najslawniejszy z nich był Józef, który został sprzedany przez swoich braci i wywieziony do Egiptu. Następnie, po wielu potomkach w prostej linii, o których nie będę teraz mówiła, urodził się mój ojciec, Jozafat. Mieszkał w Hebronie przez całe życie, i jako potomek Izaaka, czuwał nad świętymi grobami patriarchów. Tam są pochowani Abraham, Izaak i Jakub. Jak widzisz, spora część świętej historii tej ziemi jest ściśle związana z moją krwią.

Ferdinand zaczął powoli pojmować zależność między barankiem złożonym w ofierze przez Abrahama a symbolem z medalionu Sary.

– A więc, Saro, jeśli pochodzisz w prostej linii od patriarchów, ten baranek wryty na medalionie jest herbem twego rodu?

Sara, napełniwszy jeszcze raz kubki likierem, usiadła na poduszce naprzeciwko Ferdinanda i odpowiedziała:

– Baranek jest dla nas symbolem poświęcenia i radości razem. Abraham odnowił swoje przymierze z Bogiem w najhojniejszy z możliwych sposobów: był gotowy oddać mu to, czego gorąco pragnął przez całe życie, swojego jedyne go syna. Jednak w ostatniej chwili, z woli bożej, poświęcił baranka. Również przed wyjściem z Egiptu ku Ziemi Obiecanej Mojżesz rozkazał, żeby poświęcono baranka i oznaczono drzwi wszystkich domów jego krwią. To był znak dla anioła Jahwe, który miał przyjść i ukarać śmiercią Egipcjan, żeby oszczędził lud boży. Dlatego obchodzimy święto Paschy, w czasie którego jemy mięso baranka. Baranek jest więc jednocześnie symbolem ofiary i święta, radości. Żywym i trwałym przypomnieniem poświęcenia żydowskiego narodu.

– Rozumiem – powiedział Ferdinand, który zaczynał łączyć wszystkie wątki. – A gwiazda jest symbolem dziedzictwa twojego rodu. Obietnicy Jahwe o mnogości waszych potomków... „jak gwiazdy na niebie”.

– Dokładnie tak, Ferdinandzie! – odparła Sara. – Zaczynasz rozumieć ich znaczenie. Te dwa symbole, baranek i gwiazda, pozostały od tamtych czasów związane z moją rodziną, przechodząc z pokolenia na pokolenie, aż do mnie. Ta tradycja oznacza również obowiązek zachowania ich na zawsze. Wcześniej powiedziałaś mi, że ten medalion – wyjęła go spod sukni i delikatnie pocałowała – działa na ciebie w sposób, który określiłaś jako silne przyciąganie. Rozumiem cię, bo nie jest tylko wizerunkiem herbu mojego rodu. Jest symbolem Jahwe, bo został wykuty i obrobiony rękami samego Abrahama, który dał go Izaakowi po ofierze na górze Moria i nakazał, żeby przekazywano go z ojca na syna aż do końca czasu, jako święty symbol przymierza z

Bogiem. Medalion, który masz przed sobą, przeszedł przez ręce wszystkich pokoleń, aż do dnia dzisiejszego. A ty, Ferdinandzie de Subignac, jesteś pierwszym człowiekiem spoza naszej rodziny, który dowiedział się o jego istnieniu. Nikt nie zna jego prawdziwej mocy jako symbolu przymierza Abrahama z Jahwe, ale zapewniam cię, że ją posiada.

Ferdinand, głęboko poruszony historią Sary, podniósł się z miejsca i dał się ponieść sile przyciągania medalionu. Delikatnie wziął go do ręki i z szacunkiem ucałował.

Sara popatrzyła na niego wzruszona i instynktownie wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać go po głowie. Widziała w tym mężczyźnie coś, co kazało jej obdarzyć go zaufaniem i zwierzyć się z trosk.

– Kiedy zobaczyłam cię w drzwiach mojej kaplicy, przeraziłam się. W pierwszej chwili to nie śmierci się bałam, ale tego, że medalion wpadnie w niepowołane ręce. Moim najświętszym zadaniem jest chronić go i przekazać moim spadkobiercom. Przez ostatnie lata małżeństwa żyłam w ciągłym niepokoju, bo nie udało mi się zająć w ciąży. Odkąd umarł mój mąż i kiedy skończyła się żałoba, myślałam tylko o znalezieniu nowego mężczyzny, który mógłby mi dać syna. Tych niewielu, do których udało mi się zbliżyć, odchodzi, kiedy dowiadują się, że jestem wdową. Dla hebrajskich mężczyzn jestem kobietą, która należała do innego i to powoduje ich niechęć. Nie mogę czekać zbyt długo, mam prawie trzydzieści dwa lata i zbliżam się do wieku, kiedy stanę się bezpłodna. Jakby tego było mało, prawo mojej rodziny nakazuje mi nie łączyć mojej krwi z inną niż żydowska.

– Jesteś piękną i wciąż młodą kobietą. Na pewno znajdziesz męża. – Ferdinand próbował ją uspokoić, nie rozumiejąc, dlaczego nie jest otoczona co najmniej tuzinem zalotników.

– Być może. Ale po waszym wejściu do Jerozolimy będę musiała szukać go poza miastem. Tutaj nie został przy życiu ani jeden Żyd.

Sara przysunęła się do niego jeszcze bliżej i spojrzała mu głęboko w oczy:

– Ferdinandzie, teraz, kiedy poznałam cię lepiej, wiem, że jesteś człowiekiem honoru, pełnym bojaźni bożej. – Poglaskała go po policzku. – Darowałeś mi życie i okazałeś szacunek jako kobiecie. Wiem, że mogę ci powierzyć moje sekrety i że będziesz potrafił przechować je w twoim sercu, nie zdradzając nikomu. – Ferdinand, słuchając uważnie, odpowiedział na jej gest, kładąc ręce na jej dłoniach. – Mam nadzieję, że odpowiesz mi z równą szczodrością na moją prośbę. Potrzebuję twojej pomocy, żeby uciec z Jerozolimy – ciągnęła. – Nie mogę się tu wiecznie ukrywać, mógłbyś zresztą ściągnąć na siebie nieszczęście, gdyby znaleźli nas tutaj razem. Mam przyjaciół w Telem, małym miasteczku na zachód od Hebronu. Gdyby udało nam się tam dostać, przyjęliby mnie w swoim domu i mogłabym zacząć nowe życie.

Ferdinand, który nie wypuszczał jej rąk ze swoich, ucałował je teraz i odpowiedział poważnie:

– Jako rycerz, przysięgam przed Bogiem i przed tobą, że zobowiązuję się dowieźć cię żywą i zdrową do miejsca, które mi wskażesz. Jutro o świcie wyruszymy w stronę Hebronu. Zdobędę dla ciebie odpowiednie ubranie i zbroję, żebyś mogła uchodzić za rycerza. W ten sposób powinniśmy zmylić strażę i nic nam nie przeszkodzi w dotarciu do Telem.

Sara, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem, zaczęła płakać z radości.

Ferdinand podniósł się i zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju, aby udać się na poszukiwanie przebrania dla Sary.

Chłód nocy pomógł mu zebrać myśli. Po krótkim wahaniu ruszył w stronę ustawionych tego popołudnia namiotów, gdzie przechowywano uzbrojenie krzyżowców.

Sara położyła się w swojej sypialni na piętze. Przez dłuższy czas nie mogła zasnąć. Niespokojna, próbowała wyobrazić sobie, co zgotuje jej los. Mimo iż znała go zaledwie od kilku dni, Ferdinand zdobył jej zaufanie, chociaż nadal nie była pewna, czy

dobrze zrobiła, opowiadając mu historię medalionu. Wreszcie usnęła głęboko.

Godzinę później Ferdinand wrócił do pałacu, niosąc potrzebne rzeczy. Ukrywszy je w bezpiecznym miejscu, położył się w ubraniu na łóżku w głównej sypialni, również próbując zasnąć.

– Saro! Saro! Pora ruszać.

Kobieta przetarła oczy. Ferdinand wyglądał **na bardzo** zmęczonego.

– Spałeś chociaż trochę? – zapytała.

– Szczerze mówiąc, nie odpocząłem prawie wcale, ale to nieważne. Zostawiam ci tutaj ubranie, zbroję i tarczę. Myślę, że powinny być na ciebie dobre. Idę przygotować konie. Jeśli będziesz miała kłopoty ze zbroją, zawołaj mnie.

Sara zaczęła się ubierać. Kolczuga była zbyt wąska, opinała się mocno na biodrach, ukrytych pod długą białą koszulą. Zebrała włosy jedwabną wstążką i założyła wełniany czepek, zasłaniając je całkowicie. Zaczęła wiązać rzemienie przy zbroi, ale nie potrafiła sobie z nimi poradzić. Włożyła czarne skórzane buty i zapięła na biodrach szeroki pas z mieczem. Wreszcie wzięła tarczę i hełm i zaczęła ciężko schodzić po schodach na parter, w poszukiwaniu Ferdinanda.

Znalazła go na patio, trzymającego uprząże karych koni, osiodłanych i gotowych do drogi.

– Dobry Boże, nikt by nie zgadł, że pod tym przebraniem krzyżowca kryje się ciało damy! Świetnie! Nikt się nie zorientuje.

Sara uśmiechnęła się z satysfakcją i poprosiła, żeby pomógł jej dopasować zbroję. Skończywszy wiązać rzemienie, mimo jej skarg, że nie może oddychać, podsadził ją na konia. Wyjechali tylnym wyjściem, w stronę otwartej przestrzeni, ku południowej bramie miasta.

Sara zdradziła Ferdinandowi miejsce, gdzie znajdzie dwa kufry pełne złotych monet i klejnotów, które ukryła w pałacu. Nie

chciała, żeby dostały się w inne ręce i mimo oporów Ferdinanda, przekonała go, żeby przysiągł, iż zachowa skarb dla siebie. Ferdinand obiecał jej wreszcie, że zabierze go ze sobą do Troyes. Sara powiedziała mu, że to oszczędności gromadzone latami przez jej męża, i że zapewnią wygodne życie co najmniej dwóm pokoleniom.

Nikt nie zatrzymał ich przy wyjeździe z miasta, strażnicy rozpoznali znakomitego seneszala Ferdinanda i dali wiarę tłumaczeniu, że wybiera się w towarzystwie swojego giermka do odebranego właśnie niewiernym Betlejem. Oddalili się galopem od murów i obrali kierunek północny. Pokonawszy zburzony most, co opóźniło nieco podróż, udali się w stronę Hebronu, gdzie mieli nadzieję dotrzeć w południe.

Po długiej galopadzie Sara, nieprzyzwyczajona do jazdy wierzchem, poprosiła o chwilę odpoczynku za wioską Halhul, żeby napić się wody ze znajdującego się przy drodze źródła.

Ferdinand zgodził się i pomógł jej zsiąść z konia. Ciężar zbroi i miecza krępowały jej ruchy. Podeszła do źródła i usiadła na kamieniu. Rozpięła przytrzymujący miecz pas i odłożyła go z ulgą na ziemię. Zdjęła też hełm i wyciągnęła przed siebie nogi, czując na policzkach ciepłe promienie słońca.

W tym czasie Ferdinand nabierał wody ze źródła, posługując się wiszącym na drzewie dzbanem.

Za plecami Sary znajdował się gęsty dębowy las, w którym za wysokimi zaroślami ukrywali się dwaj egipscy żołnierze. Sara wdychała właśnie świeże powietrze, kiedy jej plecy przeszył ostry ból, powalając ją na ziemię. Krzyknęła do Ferdinanda w chwili, kiedy następna strzała przeszływała jej ramię. Ferdynand podbiegł do niej i zobaczył krew płynącą z jej boku. Podniósł wzrok i ruszył w stronę dwóch żołnierzy, którzy opuścili już swoje pozycje i biegli na jego spotkanie.

Miecz Ferdinanda przeciął ramię jednego z nich i zagłębił się w brzuchu drugiego, a ten upadł ciężko na ziemię, śmiertelnie ranny.

Ferdinand zaatakował ponownie pierwszego napastnika, który leżał, patrząc z przerażeniem na strumień krwi płynący z odciętej ręki. Seneszał zadał mu straszny cios w głowę. Kość czaszki niewiernego rozpadła się na pół jak pomarańcza.

Krzyżowiec ukląkł przy Sarze, przesytej na wylot strzałą, której koniec wystawał jej z pleców. Wiedział, że rana jest śmiertelna.

Sara, leżąc w jego ramionach, zrozumiała, co ją czeka, widząc powagę w jego oczach.

– Nie było mi dane, panie. Mój koniec się zbliża...

Bolesny kaszel nie pozwolił jej dokończyć. Ferdinand patrzył przez łzy na płynącą z jej boku krew.

– Co chcesz, żebym zrobił, Saro? – zapytał.

Sara odpowiedziała z wysiłkiem:

– Tylko dwie rzeczy, ostatnie, o jakie cię poproszę. Po pierwsze, weź mój medalion i zawieś go sobie na szyi. Niech od tej pory przechodzi z pokolenia na pokolenie w twoim rodzie. Musisz mi obiecać, że nigdy nie wyjawisz jego pochodzenia nikomu, kto nie będzie z twojej krwi i twojej rodziny. Twoja szlachetność sprawia, że jesteś godny noszenia tej świętej relikwii. Po drugie... – urwała na kilka sekund – zmów modlitwę do mojego Boga, kiedy umrę.

Jej oczy zaczęły zasnuwać się mgłą. Ferdinand zbliżył usta do jej ust i je ucałował. Łzy spływały mu po policzkach i spadały na twarz kobiety. Kiedy się od niej odsunął, nie żyła. Przez wiele godzin płakał gorzko nad ciałem Sary, nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu. Kiedy ocknął się z odrętwienia, odszukał medalion pod jej koszulą i zawiesił go sobie na szyi, chowając pod kaftanem.

Posługując się mieczem, wykopał grób. Złożył do niego ciało Sary, zasypał piaskiem i zabezpieczył kamieniami. Następnie stanął nad nim, spojrzał w niebo, na którym już zachodziło słońce, malując je wszystkimi odcieniami pomarańcza i ochry. Wziąwszy medalion do prawej ręki, krzyknął:

– O Boże, ojciec Abrahama, Izaaka i Jakuba, z którymi zawarłeś święte przymierze. Spójrz z miłością na twoją córkę Sarę. Przyjmij ją do Twego Królestwa, by mogła się nim cieszyć w obecności swych przodków i Twojej. Daj mi, Boże mój, siłę i szlachetność. Proszę, abyś prowadził mnie w mej misji. – Odetchnął głęboko i ciągnął: – Ja, Ferdinand de Subignac, wobec ciebie i tej Świętej Ziemi zroszonej krwią twej służebnicy, przysięgam, że ten medalion nie wpadnie nigdy w ręce wrogów, ani z winy mojej, ani moich potomków!

Chwyciwszy miecz, wbił go w ziemię i zakończył słowami:

– Niech tak się stanie, przez jego świętą wolę!

W tym momencie nad Jerozolimą przetoczył się głośny grzmot. Wszyscy spojrzeli w niebo, zdziwieni, bo nie widać było na nim żadnej chmury. Niektórzy zapewniali, że był to głos Boga.

4.

Segowia, rok 2001

Gdy przejeżdżali przez tunel w Guadarramie, termometr w samochodzie wskazywał minus dwa stopnie na zewnątrz.

Godzinę wcześniej Fernando Luengo odebrał Mónica z jej domu w Madrycie. Umówili się punkt dziewiąta, żeby dotrzeć w południe do Segowii, gdzie mieli odszukać tajemniczego nadawcę dziwnej przesyłki, którą Fernando otrzymał przed kilkoma dniami.

Siedząc w samochodzie z zapalonym silnikiem, Fernando patrzył na zegarek, zdziwiony, że Mónica się spóźnia. Była dziewiąta piętnaście, kiedy drzwiczki samochodu otworzyły się i wsiadła, otulona kożuchem.

– Dzień dobry, Mónico! Gotowa na dzień pełen wrażeń?

Uśmiechając się szeroko, Mónica odparła bez wahania:

– Gotowa do odkrycia tajemnicy paczki z Segowii, drogi Holmesie.

– Radzę ci więc, drogi Watsonie, żebyś zdjęła kożuch, zanim zapniesz pasy. Ogrzewanie w tym samochodzie działa bardzo dobrze, jeśli tego nie zrobisz, będziesz zaraz mokra od potu.

Kiedy Mónica odkładała kożuch na tylne siedzenie, Fernando wybrał płytę z koncertem skrzypcowym Bacha. Świetnie pasował do ciemnego i zimnego dnia. Przy pierwszych dźwiękach muzyki Mónica, w wygodnym skórzanym fotelu, zapinała pasy bezpieczeństwa.

Fernando obserwował ją kątem oka.

Włożyła obcisłe dzinsy i wiśniowy sweter z golfem, spodziewając się złej pogody w Segowii. Zebrane w kucyk włosy podkreślały jej smukłą szyję.

– Mam nadzieję, że nie zrozumiesz mnie źle, jeśli ci powiem, że wyglądasz dziś wyjątkowo ładnie! – powiedział.

Odwróciła się do niego z lekkim rumieńcem.

– Dziękuję, Fernando, to miło z twojej strony.

Na autostradzie do Segowii prawie nie było ruchu. Napięcie wynikające z tego, że są ze sobą sam na sam spowodowało, iż początkowo prawie nie rozmawiali. Przedłużające się chwile milczenia, przy akompaniamencie muzyki, sprawiły, że oboje zatopili się w myślach. Mónica była szczęśliwa. Mając dwadzieścia osiem lat, osiągnęła swój najważniejszy cel – postawiła go sobie, kiedy była bardzo młoda. Była z siebie zadowolona i jednocześnie świadoma, jak wiele poświęciła, żeby zostać gemmologiem i zająć tak wysoko. Rodzice wymagali, żeby była najlepsza we wszystkim. „Nie do przyjęcia”, to był jedyny komentarz, kiedy przynosiła ocenę niższą niż bardzo dobry. Nauczycywsy się wszystkiego, czego wymagano od niej w szkole, poszerzała wiedzę, żeby „nigdy nie być w czyimś cieniu”, jak wciąż powtarzano jej w domu. W ten sposób jej dzieciństwo i młodość były pozbawione zwykłych rozrywek dziewcząt i chłopców w jej wieku i ograniczały się do spędzania dni powszednich i weekendów przy biurku. Wreszcie osiągnęła swoje cele i wtedy zdała sobie sprawę, jak wiele straciła. Teraz, kiedy chciała nadrobić to wszystko, co ją ominęło, nie miała przyjaciół, cudownego doświadczenia miłości i obecności brata lub siostry, którym mogłaby powierzyć radości i smutki. Wtedy właśnie poznała Fernanda i te wszystkie nowe uczucia, o których tak marzyła.

Zakochała się tak, jak zapada się na nieuleczalną chorobę. Kochała i cierpiała jednocześnie. Co mogła mu dać, nie mając żadnego życiowego doświadczenia? Jak mogła zwrócić na siebie jego uwagę? Zadawała sobie wciąż te i inne pytania, i nigdy nie

znajdowała na nie odpowiedzi.

– Muszę zatankować – powiedział Fernando. – Masz ochotę na kawę?

– Świetnie! Prawdę mówiąc, wyszłam z domu bez śniadania i chętnie napiję się czegoś ciepłego.

Fernando zatrzymał samochód i zatankował, po czym zaparkował przy sąsiadującym ze stacją benzynową hotelu. Zanim otworzył Mónica drzwi, wziął z tylnego siedzenia kożuch i podał go jej. Poczowała uderzenie zimna. Nie przyzwyczaiła się jeszcze do bycia sam na sam z Fernandem i starała się cieszyć każdym szczegółem tego dnia.

Pijąc kawę, przypomnieli sobie wszystko, co wiedzieli o dziwnej przesyłce.

– Pobrałem niewielką próbkę złota z bransolety. – Fernando wyjął ją z kieszeni, włożoną do woreczka z delikatnego filcu. – Wysłałem ją do laboratorium w Amsterdamie, specjalizującego się w datowaniu biżuterii. Potrafią określić wiek dość precyzyjnie. Mam nadzieję, że będę miał wynik za jakiś tydzień. – Poprosił kelnera o popielniczkę. – Przejrzałem też w domu dwa międzynarodowe katalogi starej biżuterii, ale nie znalazłem żadnej wzmianki o takiej bransolecie.

Podał ją Mónica, żeby mogła przyjrzeć jej się z bliska.

– Jak widzisz, ma gładką powierzchnię, bez wypukłości. Jej ozdobą jest tylko tych dwanaście małych kamieni. Rozpoznałem je. Jako ekspert w tej dziedzinie, będziesz mogła stwierdzić, czy się pomyliłem. Każdy jest inny. Mamy tutaj topaz, szmaragd, diament, rubin i szafir. Jest też sardonyks, hiacynt, agat, ametyst i wreszcie onyks, chryzolit i jaspis. Wszystkie są w stanie surowym i nigdy nie były szlifowane.

– Zgadzam się całkowicie. Widzę, że nie zapominałeś tego, co wiesz z dziedziny gemmologii.

Fernando, uśmiechając się, ciągnął:

– Najbardziej podobny wzór, jaki znalazłem, to egipska bransoleta z szesnastego wieku przed Chrystusem, znajdująca się

w British Museum. Ma ten sam kształt, chociaż różni się zdobieniem i ma wyrzeźbionego sokoła, symbol boga Horusa.

– Myślisz, że ta jest aż tak stara? – zapytała Mónica, biorąc bransoletę do rąk.

– Nie jestem pewny. Musimy poczekać na wyniki z laboratorium. Jeżeli stwierdzą, że powstała w tym wieku, może pochodzić z Egiptu. Ale musimy się upewnić, zanim zaczniemy snuć domysły. W tej chwili chcę przede wszystkim odkryć pochodzenie przesyłki. Mam nadzieję, że pozwoli mi to zrozumieć, z jakiego powodu nie dotarła do mojego ojca. – Dopił kawę i dodał: – Myślę, że już czas poznać naszego pana „L” kropka Herrere. Mam nadzieję, że otrzymam odpowiedź na wszystkie pytania, jakie mu zadam.

Mónice zrobiło się trochę zimno i narzuciła na ramiona kochanek. Bawiąc się łyżeczką, czekając, aż kelner przyniesie resztę, powiedziała:

– Jestem ci bardzo wdzięczna, że pomyślałeś o mnie i zabrałeś ze sobą. Mam nadzieję, że ci się przydam.

Fernando pogłaskał ją po brodzie, posyłając jej szeroki uśmiech. Dokończyli kawę i ruszyli w stronę parkingu. Wsiadli szybko do samochodu, żeby uciec przed dotkliwym zimnem.

Wkrótce pokonali te kilkanaście kilometrów, dzielących ich od Segowii.

Nieźródłane piękno i ogrom rzymskiego akweduktu, choćby podziwiali się go wiele razy, wywołują silne wrażenie na każdym odwiedzającym Segowię. Dla Fernanda był wspomnieniem z dzieciństwa, kiedy to bawił się w cieniu jego łuków. Zostawili za sobą akwedukt i pojechali stromą ulicą Świętego Jana w stronę rynku. Archiwum Historyczne znajdowało się przy na ulicy Capuchinos Alta, niedaleko placu. Zaparkowali bez większych problemów. Wysiedli z samochodu i ruszyli ulicą Trinidad, obok

pałacu Mansilla, w kierunku ulicy Capuchinos. Przeszedłszy kilka metrów, zatrzymali się pod kamiennym budynkiem. Mie-dziana plakietka oznajmiała, że dotarli do Regionalnego Archiwum Historycznego Okręgu Kastylii-Leon. W głębi małego przedsionka, za dużą szybą, zobaczyli urzędniczkę zajęłą porządkowaniem pliku listów.

– Dzień dobry. Przepraszam, czy mogłaby nam pani pomóc?

Kobieta odwróciła się, otworzyła drzwi i zapytała:

– Oczywiście. Słucham.

– Szukamy pracownika archiwum, pana Herrery. Czy mogłaby pani zapytać, czy zechciałby nas dziś przyjąć?

– Przykro mi, nie pracuje tutaj żaden pan o tym nazwisku – odparła urzędniczka, trochę zdziwiona. – Nasza pani dyrektor nazywa się Herrera, Lucía Herrera. Może nie o tę osobę państwu chodzi?

Fernando wyjął ksero kwitu i przyjrząwszy się nazwisku, podał go kobiecie.

– Dostałem paczkę, którą wysłano stąd i na której znajduje się ten podpis. – Pokazał przesłany z „Servieexpressu” faks. – Prawdę mówiąc, nie przyszło mi do głowy, że może chodzić o kobietę. Zresztą wszystko jedno. Czy pani Herrera jest dziś w archiwum?

– Akurat w tej chwili jej nie ma. Wyszła godzinę temu i zostawiła wiadomość, że wróci o jedenastej trzydzieści. – Kobieta spojrzała na zegarek. – To za dziesięć minut. – Wyszła z recepcji i poprosiła, żeby poszli za nią. – Zaprowadzę państwa do jej gabinetu. Jej sekretarka jest na urlopie. Jeżeli sobie państwo życzą, mogą tam poczekać.

Mónica szła obok Fernanda, przyglądając się pięknemu wewnętrznemu dziedzińcowi. Na ścianach widać było pozostałości starych fryzów. Najwyraźniej niedawno je odrestaurowano. Weszli długimi schodami na piętro i przeszedłszy długim korytarzem, dotarli do drzwi gabinetu. Na tabliczce widniało nazwisko: DR LUCÍA HERRERA. DYREKTOR.

– No dobrze, to ja tu państwa zostawiam. Muszę być na dole przy telefonie. Proszę się rozgościć. Na stoliku są czasopisma. – Odwróciła się na pięcie i odeszła.

– Mónico, możesz spojrzeć na tę publikację?

Fernando pokazał jej okładkę *Uwag historycznych o owczarzach kastylijskich w XIV wieku*.

– Dałabym się zabić dla takiego tematu.

Roześmiał się wesoło z żartu Móniki, a ponieważ nie powiedział nic więcej i zabrał się do przeglądania innej publikacji, na pewno tak samo zajmującej jak poprzednia, dziewczyna skierowała swą uwagę na wystrój gabinetu. Biurko było przykryte papierami ułożonymi w trzy niechlujne stopy. Przyjrzała się ekranowi wylaniającego się spomiędzy nich komputera. Przemierzała” je gromadka wesołych rybek w różnych kolorach, wypuszczających długie nitki bąbelków. Znudzona mało ciekawymi odkryciami, zaczęła sobie wyobrażać, jak wygląda osoba, która za kilka chwil pojawi się w drzwiach.

W końcu ta tajemnicza osoba jest kobietą. Zastanawiała się, jaka może być. Na pewno dyrektor tak ciekawego miejsca, jakim jest archiwum, pełnego akt notarialnych i starych nadpleśniałych i zakurzonych papierów, to uroczą staruszką. Mónica wyobrażała sobie, że jest niska i gruba, w małych okularach z masy perłowej, jąkate, które nosiła jej babcia, owiana lekkim zapachem kamfory.

– Dzień dobry! Jestem Lucía Herrera, właśnie powiedziano mi, że chcieli mnie państwo widzieć. W czym mogę pomóc?

Kobieta weszła energicznie do gabinetu i podała obojgu rękę.

– Nazywam się Fernando Luengo, a to moja współpracownica, Mónica García – powiedział Fernando.

Kiedy Fernando ich przedstawiał, Mónica przyjrzała się uważnie pani dyrektor. Nie mogła mieć więcej jak trzydzieści sześć, trzydzieści siedem lat, ale na jej twarzy widniały ślady, które, jak niemi świadkowie, wryły się na twarzach osób po bolesnych przejściach. Jej kasztanowe włosy były zebrane w kucyk, a rysy zdradzały silną osobowość: spiczasty, nie za duży

nos, wystające kości policzkowe, wąskie usta nad mocnym podbródkiem i zaczątki worków pod dużymi brązowymi oczami. Nie można było powiedzieć, że jest ładna, ale całość składała się na obraz atrakcyjnej dojrzałości. W każdym razie miała niewiele wspólnego z typem, który wcześniej wyobraziła sobie Mónica.

– Kilka dni temu – zaczął Fernando – do mojego zakładu w Madrycie przyszła wysłana przez panią paczka, która wydała mi się dość niezwykła. Moja asystentka ustaliła, że pochodzi stąd. Z podpisu dowiedzieliśmy się pani nazwiska i od tamtej pory marzę o spotkaniu z panią, żeby móc otrzymać więcej informacji.

– Doskonale pamiętam tę przesyłkę – odparła Lucía Herrera, wyjmując ze spodni paczkę marlboro lightów i zapalając jednego, zaproponowawszy je najpierw gościom.

– Postanowiłem przyjechać osobiście, nie uciekając się do zimnej rozmowy telefonicznej, ze względu na niezwykłą zawartość paczki, i przede wszystkim na jej zaskakujący wiek. Pozwoli pani, że wyjaśnię. Kiedy przyjrzałem jej się uważnie, odkryłem, że pierwotnym adresem był mój ojciec, Fernando Luengo. Nie udało mi się ustalić dokładnego adresu nadawcy, ale rozszyfrowałem nazwę miasta: Segowia. Sądząc ze znaczka pocztowego, wysłano ją około tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku. – Fernando, nie przestając mówić, podał jej popielniczkę, żeby strzepnęła mający właśnie spaść popiół. – Jak może sobie pani wyobrazić, po podsumowaniu wszystkich tych niezwykłych okoliczności, mam mnóstwo pytań, na które, mam nadzieję, będzie mi pani mogła pomóc znaleźć odpowiedź.

Mónica nadal przyglądała się Lucíi Herrerze, starając się ją lepiej poznać. Chociaż fizycznie nie można jej było niczego zarzucić, jej ubranie pozostawiało wiele do życzenia. Miała na sobie szare wełniane spodnie, za szerokie i workowate, i podniszczony sweter z grubej wełny.

– Czekałam z niecierpliwością na państwa wizytę. Cieszę się, że przyjechaliście tak szybko. Rozumiem chęć poznania szczegółów na temat paczki. Zanim jednak opowiem wam wszystko, co

wiem, może podam państwu kawę albo coś innego do picia?

Mónica poprosiła o colę light, Fernando tylko o kawę z małą ilością mleka. Lucía Herrera podniosła słuchawkę i poprosiła o dwie kawy i colę, po czym wyjaśniła, że Archiwum Historyczne działa od ponad sześćdziesięciu lat, a budynek właśnie odrestaurowano. Przechowywano w nim tysiące dokumentów dotyczących historii prowincji i części okręgu Kastylia-Leon. Niektóre to prawdziwe historyczne perły, zwłaszcza z okresu, kiedy dwór królewski rezydował w pobliskiej twierdzy. Zaproponowała im, żeby zwiedzili pałac, jeśli mają czas, i przyjrzeni się niektórym z najciekawszych i najstarszych dokumentów. Sekretarka przyniosła napoje i kiedy Fernando wsypywał, jak zwykle, trzy łyżki cukru do kawy, Lucía wróciła do swojej opowieści:

– Kilka lat przed wybuchem wojny domowej ten budynek służył do zupełnie innych celów, przez wiele lat funkcjonował jako więzienie. – Spojrzała prosto w oczy Fernanda. – I ten ostatni fakt leży u źródła sprawy, która was tu przywiodła. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy klasyfikowaliśmy i włączaliśmy do bazy danych wszystkie archiwa z tamtego okresu i wtedy znaleźliśmy paczkę, którą pan otrzymał. Zgubiła się wśród obszernej korespondencji, jaką zachowano w więzieniu, i wielu innych dokumentów, jak zapisy o przyjmowaniu i zwalnianiu więźniów, różne faktury i dużo pism wewnętrznych. Wydało mi się to dziwne. Nie rozumiałam, dlaczego zostawiono paczkę pocztową w magazynie, zamiast ją otworzyć. – Założyła nogę na nogę i przerwała na chwilę, żeby napić się kawy. – Najpierw sprawdziłam rejestr pracowników, a później więźniów, próbując znaleźć jakiegoś Luengo jako możliwego odbiorcę. I znalazłam jednego. – Uderzyła o kolano paczką papierosów. – Więźnia o tym samym nazwisku co pańskie. Później natknęłam się na takie samo imię i nazwisko w zakładzie jubilerskim w Madrycie. Resztę pan zna.

Fernando potarł podbródek, wspominając ze smutkiem bolesny epizod z życia swego ojca, o którym dowiedział się od matki. On urodził się wiele lat po tamtym dziwnym wydarzeniu.

– Mój ojciec był w więzieniu przez ponad rok, od tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego do trzydziestego trzeciego. Był znanym złotnikiem z Segowii, kontynuującym długą tradycję rzemieślników o nazwisku Luengo, sięgającą połowy siedemnastego wieku. Warsztat złotniczy rodziny Luengo istnieje nadal, znajduje się teraz w rękach mojej siostry Pauli i zawsze miał dużo zamówień, więcej niż jakikolwiek inny w Kastylii-Leon. – Wyraźnie niespokojny, wyjął z kieszeni marynarki grube pióro, żeby mieć czym zająć ręce. – Wiosną trzydziestego drugiego wydarzyło się coś, czego nigdy nie zrozumiałem, a co doprowadziło do osadzenia go w więzieniu kilka miesięcy później. – Mónica słuchała zdumiona. Czuła się pominięta, nie mogąc włączyć się do rozmowy, i była niezadowolona z zainteresowania, z jakim Fernando słuchał historii pani dyrektor. – Lucío, jeśli zna pani dobrze kościół Vera Cruz, w co nie wątpię, zważywszy na pani zawód, naprzeciwko głównego ołtarza znajduje się szesnastie płyt z różnymi imionami...

Lucía, gdy tylko usłyszała nazwę kościoła, pochyliła się w fotelu i przerwała Fernandezowi:

– Vera Cruz interesował mnie zawsze, od wczesnej młodości. Napisałam na jego temat doktorat i myślę, że znam go tak dobrze, jak tylko można poznać tę pełną tajemnic budowlę, zwłaszcza że zachowały się bardzo nieliczne wiarygodne dokumenty jej dotyczące. Proszę mi wybaczyć, panie Luengo, iż z góry założę, że wiem, co chciał mi pan powiedzieć. Przypominam sobie teraz, że przynajmniej na dwóch płytach widnieje nazwisko Luengo.

– Widzę, że dobrze zna pani tę świątynię! – wykrzyknął Fernando, nadal bawiąc się piórem. – Rzeczywiście, mamy dwie płyty z identycznym nazwiskiem: Juana Luengo i Pauli Luengo, oraz ich potomków. Z datą tysiąc sześćset siedemdziesiąt dziewięć na jednej i tysiąc sześćset osiemdziesiąt na drugiej, w

rozkwicie siedemnastego wieku. To najstarsze ślady mówiące o złotnikach Luengo.

Mónica, która chciała brać udział w rozmowie i naprawdę interesować się tematem, zapytała:

– Przepraszam was, ale chciałabym, żebyście odpowiedzieli mi na dwa pytania. Gdzie jest kościół Vera Cruz? I po drugie, co to wszystko ma wspólnego z wydarzeniem, które doprowadziło twojego ojca do więzienia?

– Kościół Vera Cruz znajduje się bardzo blisko Segowii – odpowiedziała Lucía, odwracając się do Móniki – po drodze do miasteczka Zamarramala. Ma niespotykaną konstrukcję, na planie dwunastokąta. Został ukończony w tysiąc dwieście ósmym roku, jak głosi tabliczka znajdująca się przy środkowym edykułe. To piękny przykład wielobocznej konstrukcji, w najczystszy stylu używanym przez templariuszy. Kościół należy obecnie do rycerzy zakonu maltańskiego, zwanych dawniej szpitalnikami świętego Jana. Wielka szkoda, że nie mam dziś czasu, żeby odwiedzić go razem z wami! Nie chcę się popisywać, ale uważam się za eksperta w kwestii templariuszy. Cóż, moglibyśmy się umówić kiedy indziej i zwiedzić go tak dokładnie, jak na to zasługuje. Zobaczysz pani, Mónico, że to nietypowa świątynia, inna niż jakakolwiek, którą mogła pani widzieć do tej pory i wyróżniająca się tym, że jej mury kryją fascynującą historię.

Fernando odpowiedział na drugie pytanie Móniki:

– Mojego ojca zatrzymano pewnej nocy w tym kościele. Wyważył drzwi i właśnie próbował podnieść za pomocą długiego żelaznego pręta jedną z płyt nagrobnych naszych krewnych, kiedy złapała go policja. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czego tam szukał, ale pech chciał, że w czasie, kiedy go zatrzymano, dokonano innego włamania, o które również oskarżono ojca. Po przeszukaniu kościoła stwierdzono brak małego starego kielicha, który powinien znajdować się na jednym z ołtarzy. Ojciec przyśięgał, że go nie ukraść i rzeczywiście niczego nie znaleziono, ale nie mogąc go znaleźć, skazano go na nieco ponad rok więzienia za zbezczeszczenie świętego miejsca, kradzież relikwii i próby zniszczenia dziedzictwa historycznego.

– Czy ojciec nigdy wam nie powiedział, dlaczego chciał otworzyć rodzinne groby? – zapytała Mónica, nie kryjąc zdumienia.

– Nie, Mónico. O tym wydarzeniu, z tego, co wiem od mojej matki, ojciec nigdy nie chciał mówić. Nawet ona nie mogła zrozumieć motywów jego postępowania.

Lucía podniosła się z fotela i zaczęła przeglądać papiery leżące na biurku, aż w końcu wyciągnęła starą książkę w niebieskiej kartonowej oprawie. Usiadła, a Mónica zauważyła, że przysunęła się bliżej Fernanda. Dyrektorka otworzyła książkę na zaznaczonej żółtą zakładką stronie.

– To jest zapis wszystkich przyjęć i zwolnień więźniów, który znalazłam wśród korespondencji. Tutaj mógłby pan – może przejdziemy na ty – możesz znaleźć nazwisko twojego ojca i datę jego wyjścia z więzienia: dwudziesty sierpnia tysiąc dziewięćset trzydzieści trzy.

Mónica pomyślała, że ta kobieta za dużo sobie pozwala. W dodatku przeszła z Fernandem na ty!

– To na pewno on! – wykrzyknął Fernando. – Podpis w rubryce po prawej jest jego. Ale, Lucío, wyjaśnij mi jedną rzecz: dlaczego nigdy nie otworzył paczki, jeżeli była zaadresowana do niego i był w tym czasie w więzieniu?

– Nie znam jeszcze odpowiedzi na to pytanie. Chodźmy do piwnicy. Przechowujemy tam wykazy przychodów i rozchodów towarów oraz przesyłek. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy datę odbioru i dane dotyczące pochodzenia paczki. Mam nadzieję, że wszystko zostało w swoim czasie zapisane i pomoże nam rozwiązać wątpliwości.

Wstała energicznie z fotela i poprosiła, żeby poszli za nią, najpierw korytarzem, potem schodami w dół, aż do drzwi piwnicy zamkniętych na klucz.

– Poczekajcie tutaj chwilę. Poszukam klucza. Myślałam, że ktoś będzie pracował tu na dole.

Mónica, gdy tylko Lucía zniknęła, chciała podzielić się z Fernandem swoimi wrażeniami.

– Zauważyłeś, że siedzimy tutaj cały dzień i jeszcze niczego nie wiemy? Już prawie wpół do drugiej i zdaje mi się, że w tym tempie nie wyjdziemy stąd przed drugą. Ta cała historia zaostrzyła mi apetyt.

– Masz rację, Mónico! Mnie też czas szybko zleciał. Choć, szczerze mówiąc, jestem zachwycony tym, co odkryliśmy do tej pory. Odbyłem podróż do przeszłości mojej i mojej rodziny, nie zdając sobie w ogóle sprawy, jak długo tu jesteśmy. – Klepnął się w czoło, na znak, że o czymś zapomniał. – Właśnie sobie przypominałem. Umówiłem się z moją siostrą Paulą na obiad w restauracji pod Segowia, w Torrecaballeros, o drugiej trzydzieści. Mam nadzieję, że uda nam się dotrzeć na czas. Jeśli nie, przekonasz się, jaki moja siostra ma charakterek.

Mónica stwierdziła, że oto runęły wszystkie jej plany dotyczące tego dnia. A na domiar złego, nawet nie zjedzą obiadu sam na sam!

Lucía pojawiła się z kluczem. Spróbowała otworzyć drzwi, ale zamek się zacinał. Fernando podszedł sprawdzić, czy będzie miał więcej szczęścia. Odebrał klucze z rąk Lucii i otworzył drzwi przy drugiej próbie. Lucía zapaliła światło i po krótkim migotaniu jarzeniówek zobaczyli magazyn pełen regałów, segregatorów i teczek. Mónica poczuła pierwsze symptomy ostrej alergii na roztocza i kichnęła trzy razy. Mój Boże, pomyślała, tutaj muszą się gnieździć biliony tych żyjątek. Cofnęła się o krok i wyjaśniła, że nie może wejść, bo ma alergię na kurz. Skorzystała z okazji, żeby zapalić papierosa. Zwykle nie paliła więcej niż jednego czy dwa dziennie, ale teraz była zdenerwowana i uznała, że sytuacja ją usprawiedliwia.

– W tym archiwum – tłumaczyła Lucía Fernandowi – mamy wszystkie dokumenty z lat tysiąc dziewięćset dwadzieścia-trzydzieści trzy. Pozwól, że znajdę księgę, w której rejestrowano przyjęcia materiałów i korespondencji.

Po kilku minutach przeszukiwania kartonowych pudeł znalazła książkę, której szukała. Otworzyła ją na zakładce z napisem

1933. Zaczęli szukać adnotacji na temat paczek albo specjalnej korespondencji. Znalazł ją Fernando. Napisana odręcznie, zawierała tylko kod: A/P. 1933.

– Co mogą znaczyć te litery i cyfry, Lucío?

– To odnośniki do archiwum, którego musimy szukać na regale „A”. „P” znaczy pewnie „poczta”, a liczba to rok. To proste, widzę, że nie jesteś przyzwyczajony do poruszania się w świecie archiwów. Poszukajmy teraz regału „A”!

Po kilku minutach mieli już w rękach wielką teczkę zawierającą ponad sto pocztowych awizo. Podzielili się nimi i usiedli, uzbroiwszy się w cierpliwość, by szukać tego, które powinno zawierać adnotację dotyczącą przesyłki wysłanej na nazwisko Fernanda Luengo. Nie minęło nawet pięć minut, kiedy Lucía pokazała Fernandowi jedno.

– Proszę, wygląda na to, że znaleźliśmy. Mamy tutaj awizo wystawione na Fernanda Luengo z datą szesnastego września trzydzieści trzy.

– Przecież wyszedł już wtedy z więzienia, Lucío! – W głowie Fernanda zaczynały się łączyć pierwsze elementy łamigłówek. Zaczął mówić o tym, o czym właśnie myślał: – Kiedy paczka przyszła do więzienia, był na wolności już od ponad miesiąca. To jasne, że nie mógł jej odebrać, ale nie rozumiem, dlaczego nikt go nie zawiadomił o jej nadejściu.

– Nie mogę dać ci pełnej odpowiedzi. Prawdopodobnie ten, kto zajmował się wtedy korespondencją, nie znalazłszy odbiorcy, odłożył ją na bok, a potem o niej zapomniał, albo, co gorsza, zgubił. Pamiętaj, że trzy lata później zaczęła się wojna domowa i nikogo to już nie obchodziło. Więzienie było pełne jeńców z frontu i o paczce zapomniano. Nie przychodzi mi do głowy inne wyjaśnienie.

– To możliwe – przyznał Fernando. – Jest tam jeszcze nazwisko nadawcy? Muszę wiedzieć, kto wysłał bransoletę.

– O jakiej bransolecie mówisz? – zapytała Lucía, patrząc na niego ze zdziwieniem.

Fernando zaczął żałować, że nie powiedział jej wcześniej, co zawierała paczka.

– Przepraszam, masz powody, żeby się dziwić. Jeszcze ci nie powiedziałem, że paczka zawierała tę bransoletę. – Wyjął z kieszeni filcowy woreczek, a z niego bransoletę.

Lucía przyglądała się jej z zainteresowaniem.

– Jest piękna. Wygląda na bardzo starą. Dziwny styl... Wydaje mi się znajomy, ale nie potrafię w tej chwili przypisać go do żadnej konkretnej epoki.

Fernando patrzył na nią, kiedy badała bransoletę. Miała piękne dłonie. Zauważył ze zdumieniem, że blask jej oczu przypomina blask oczu jego żony. Usta Lucii i były węższe i bardziej zdecydowane, o pięknym kolorze, niewymagającym używania szminki. Cała jej twarz zdradzała dojrzałą i pogodną osobowość.

Opowiedział jej, co odkrył na temat bransolety i wyjaśnił, jakie kroki podjął, żeby określić jej wiek. Niczego nie wiedział na pewno, czekał na potwierdzenie z laboratorium w Holandii.

– Rozumiem teraz znacznie lepiej twoje zainteresowanie tą historią. Spróbujmy się dowiedzieć, kto i skąd ją wysłał. W ten sposób będziesz miał solidną poszlakę, żeby zacząć rozplątywanie tego węzła – zaproponowała Lucía.

Przyjrzała się dokumentowi. Na odwrocie widniało nazwisko: Carlos Ramírez Cuesta i adres: ulica Hiszpańskiej Republiki 3 i miasto Jerez de los Caballeros, Badajoz.

– Jerez de los Caballeros! Jasne! Nie pomyślałem o tym miejscu. Na etykiecie paczki tylko koniec nazwy był czytelny, pomyślałem więc, że chodzi o Ejea de los Caballeros. Jerez de los Caballeros! – Fernando wrócił myślami do czasów dzieciństwa. Pamiętał jak przez mgłę, że spędził tam lato z rodzicami. – Myślę, że mój ojciec miał tam przyjaciół. Pamiętam, że świetnie bawiliśmy się z siostrą w tamte wakacje, chociaż musieliśmy być bardzo mali. Pamiętam basen i czerwoną huśtawkę, z której nie schodziliśmy godzinami... – Migotanie żarówki, kończącej właśnie swój produktywny żywot, przywołało go do rzeczywistości.

Spojrzał na Lucię. – Nie masz jakiejś kartki, żebym mógł zapisać te dane?

– Nie, ale zdaje mi się, że mam w kieszeni wizytówkę. Możesz zapisać dane na odwrocie.

Zapisawszy adres i nazwisko swojego następnego „kontaktu”, zadowolony z uzyskanych informacji Fernando poczuł potrzebę wyrażenia tej kobiecie swojej wdzięczności. Lucía nie widziała niczego szczególnego w odnalezieniu pana Ramireza. Ponieważ chodziło o więzienie, wszystkie przesyłki musiały zostać zarejestrowane ze względu na bezpieczeństwo. Dlatego tak łatwo było go znaleźć.

Zamknęli teczki, odłożyli na miejsce i wyszli z magazynu. Fernando, jako że udowodnił już, iż potrafi sobie radzić z nieposłusznym zamkiem, wziął na siebie zamknięcie drzwi. Mónica czekała zdenerwowana, aż wreszcie wyjdą. Nie podobało jej się, że musiała ich zostawić samych, nie mając żadnej kontroli nad rozwojem sytuacji.

– Znaleźliście coś? – zapytała, gdy tylko wyszli, uważnie patrząc na ich twarze.

Fernando uśmiechał się szeroko i triumfalnie.

– Droga Mónico, już wiem, kto wysłał bransoletę mojemu ojcu. – Wyjął wizytówkę Lucii i przeczytał na głos. – Następna wskazówka znajduje się w Jerez de los Caballeros, w prowincji Badajoz – dodał. – Muszę tam znaleźć, jeśli jeszcze żyje, niejakiego Carlosa Ramireza. To on wysłał paczkę.

Odwrócił się do Lucii, pocałował ją szarmancko w rękę i jeszcze raz wyraził swoją wdzięczność.

– Lucío, jestem ci bardzo zobowiązany za twoją nieocenioną pomoc. Bardzo mi pomogłaś w wyjaśnieniu wielu wątpliwości. Nie wiem, jak ci się odwdziaczyć. Może mógłbym zaprosić cię dziś na obiad?

Czując się dość niezręcznie, Lucía cofnęła rękę i powiedziała:

– Poszłabym bardzo chętnie, ale, szczerze mówiąc, odłożyłam na później dużo pilnych spraw, które powinnam skończyć. Jeżeli pójde teraz na obiad, stracę dużo czasu. Dziękuję za

zaproszenie. Umówimy się, kiedy wrócicie do Segowii. Poza tym – spojrzała na Mónicę – obiecałam pokazać ci Vera Cruz. Gdy będziecie już wiedzieli, kiedy przyjeżdżacie, zadzwonię do mnie kilka dni wcześniej, gdybyście mieli być tutaj w dzień powszedni. Albo lepiej przyjeździecie w weekend i w ten sposób upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu: kościół i wspólny obiad. Co wy na to?

– Będzie mi bardzo miło – skłamała Mónica, ciesząc się, że przynajmniej teraz nie będzie musiała jeść w jej towarzystwie. – Spotkamy się, kiedy Fernandowi będzie wygodnie.

On przejrzał w myślach wolne dni, jakimi dysponował, i pomyślał, że nie mogą umówić się na następną wizytę w Segowii wcześniej niż za dwa tygodnie.

– Kiedy skończą się święta, będzie mniej pracy w zakładzie. W przyszłą sobotę nie... przyjedziemy cię odwiedzić w następną. Ten dzień ci pasuje, Lucío?

– Zgoda, nie ma problemu! Jeśli nie masz nic przeciwko temu, poszukam w hemerotece jakichś informacji o kradzieży i wydarzeniach, które zaprowadziły twojego ojca do więzienia. Jeśli znajdę coś ciekawego, dam ci znać. Możesz mi zostawić jakąś wizytówkę z numerem telefonu i faksu?

Fernando dał jej wizytówkę sklepu. Lucía ucałowała Mónicę na pożegnanie i odprowadziła ich do drzwi archiwum, życząc udanego pobytu w Segowii.

Było już piętnaście po drugiej i mieli tylko pół godziny na dotarcie do restauracji, w której umówili się z Paulą. Fernando zmusił Mónicę do przyspieszenia kroku, żeby jak najszybciej wyjechać z Segowii. Nadal było dość zimno, chociaż od rana się ociepliło.

Drzwi restauracji znajdowały się w głębi dziwnie udekorowanego patia. Brukowana ścieżka prowadząca do lokalu mijała

po lewej niewielki kwadrat trawnika ozdobionego zabawnym zestawieniem warzyw i owoców rozsypanych na ziemi, obok przewróconej drewnianej taczki.

Fernando zapytał jednego z kelnerów, czy pani Luengo już przyszła. Usłużny chłopak odpowiedział twierdząco, wskazując miejsce, gdzie siedzi, przy stole w głębi. Mónica nie widziała nigdy siostry Fernanda, nie licząc zdjęcia w ramce stojącego na biurku w jego gabinecie. Paula nigdy nie przyjeżdżała do Madrytu i widywali się tylko przy okazji wizyty Fernanda w Segowii. Brat podszedł do niej i ucałował ją w oba policzki.

– Cześć, Paulo. Cieszę się, że cię widzę. To jest Mónica, moja współpracownica, o której nieraz ci wspominałem.

– To teraz nazywa się współpracownica? – mruknęła Paula, mierząc Monicę wzrokiem od stóp do głów.

– Nie bądź grubiańska, Paulo! – prychnął Fernando ze złością. – Naprawdę, jesteś nieznośna! Czasem myślę, że kiedy byłaś mała, mama musiała ci dawać ocet zamiast kaszki! Mam nadzieję, że przeprosisz Monicę, nie jest przyzwyczajona do twoich wyskoków.

Mónica, zmieszana, podeszła do Pauli i pocałowała ją w policzek, przyjrawszy się najpierw jej oczom; miały ten sam kolor i były tak samo przejrzyste jak oczy brata. Na tej wyrazistej twarzy malowała się dziwna mieszanina słodczy i złości.

– Ogromnie mi miło. Fernando dużo mi o pani opowiadał.

– Przepraszam cię, kochanie, jestem źle wychowana, wiem o tym. Ale zapewniam cię, że bycie siostrą tego typu wcale nie jest łatwe. Siadaj obok mnie. Chcę cię dobrze poznać. Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co mi o tobie opowiedział mój brat!

– Czy mogę zabrać państwa płaszcze? – zapytał kelner.

Fernando pomógł Monicie się rozebrać pod roześmianym spojrzeniem Pauli, która nie zamierzała przegapić żadnego szczegółu. Kiedy usiedli, Paula ścisnęła rękę Fernanda i szepnęła mu do ucha:

– Gratuluję wyboru, śliczna dziewczyna. Poza tym, bardzo młoda jak dla ciebie!

Fernando nie mógł odpowiedzieć na głupi komentarz Pauli, właśnie podszedł do nich *maitre*, który rozdawszy menu, zaczął opowiadać o specjalności zakładu i daniach polecanych przez szefa kuchni. Paula go nie słuchała, patrzyła i myślała o Fernandzie. Widywali się tak rzadko... Utrzymywała kontakt ze swoim małym braciszkiem – nigdy nie przyzwyczaiła się do tego, że już jest dorosły – chociaż na ogół ograniczał się do rozmów telefonicznych. Oprócz roli siostry musiała grać też rolę matki, bo ich rodzice umarli, kiedy byli bardzo młodzi. Ten instynkt opiekuńczy, który z czasem zanikł, odrodził się nagle, kiedy Fernando owdowiał w tak strasznych okolicznościach. Minęło wiele lat, ale Paula nadal miała przed oczami obraz brata w jej objęciach, złamanego bólem. Żadne z nich nie miało szczęścia w miłości. Tak jak w przypadku Fernanda, miłość jej życia zniknęła nagle i Paula przysięgła sobie, że żaden mężczyzna nie zapełni tej pustki. Życzyła bratu z całego serca, żeby ułożył sobie życie z inną kobietą, która da mu miłość. Pragnęła jego szczęścia bardziej niż swojego.

Przerwała te rozmyślania, żeby zdecydować, co zje. Kiedy *maitre* odebrał zamówienie, Paula wspomniała o sprawie, o której przede wszystkim chciała porozmawiać z Fernandem.

– Nie wiem, co przywiodło was do Segowii, chociaż nie podejrzewam, że przyjechaliście tu tylko po to, żeby mnie zobaczyć. – Spojrzała na nich porozumiewawczo. – Przyniosłam ci ten srebrny sztylet, który zamówiłeś w takim pośpiechu.

Wyjęła z torebki pudełko z marszczonego kartonu i otworzywszy je, pokazała piękny tunezyjski sztylet z arabskimi napisami na rękojeści, wykonanymi zgodnie z instrukcjami Fernanda. Ten wziął sztylet i przyjrzał mu się uważnie. Paula, nie czekając na jego opinię, powiedziała:

– Jak możesz stwierdzić, to prawdziwe dzieło rzemiosła. Zmusiłam mojego najlepszego złotnika do pracy nad nim przez trzy dni i sama zrobiłam wykończenie najdelikatniejszych detali.

– Cóż... Całkiem nieźle – zgodził się oschle Fernando.
– Jak to „nieźle”? To wszystko, co przychodzi ci do głowy? Bezczelny! Wiesz, że to najlepsza praca, jaką miałeś w rękach, odkąd się urodziłeś, niewdzięczniku!

Paula wyrwała mu sztylet z rąk i włożyła z powrotem do pudełka, nadąsana z powodu komentarza Fernanda. Mónica postanowiła jej pomóc.

– Moim zdaniem to dzieło sztuki. Jest piękny!

– Dziękuję, Mónico. Widzę, że ktoś tu jednak potrafi docenić jakość. – Spojrzała na Fernanda. – A więc lepiej nie koleguj się z tym draniem. Znam go i wiem, że szuka wymówki, żeby zapłacić mi jak najmniej. Myśli, że gdyby przyznał, że to dzieło jedyne w swoim rodzaju, musiałby dobrze zapłacić. Taki jest twój plan, co, łobuzie?

– Zgoda, przyznaję, że tym razem przeszedł samą siebie – powiedział Fernando z uśmiechem, wiedząc, że go przyłapano. – Twoje ręce są zręczniejsze niż ręce naszego zmarłego ojca... Powiedz, ile mi policzysz, nie przesadzając, i będziemy mogli cieszyć się obiadem.

– Wyślę ci rachunek do sklepu. I nie kłóć się ze mną, dobrze?

Mónica wybrała wino. Znała dobrze szczep z La Rioja i poprosiła o Viña Ardanza z 1995. Przy pierwszym daniu Fernando opowiedział Pauli, co ustalili na temat nadawcy paczki i jej wartości, a ona, nie wiedząc prawie nic o tajemniczej bransolecie, słuchała całej historii z prawdziwym zainteresowaniem.

– Pamiętasz wycieczkę do Jerez de los Caballeros, kiedy byliśmy mali? Ty miałaś pewnie dwanaście lat, ja jakieś pięć, nie mogę sobie niczego z niej przypomnieć.

Paula zastanowiła się przez chwilę, wspominając tamtą podróż, leżącą głęboko na dnie kufra pamięci.

– Ojciec bardzo chciał tam pojechać. Zostaliśmy tam tylko trzy dni, to było bardzo gorące lato. Zostawiali nas w hotelu, w

fantastycznym basenie, gdzie pysznie się bawiliśmy. Ojciec co-dziennie wychodził bardzo wcześnie i wracał późno. Nie wiedzieliśmy nigdy, co robił w ciągu dnia. Ale pamiętam, że raz usłyszałam jego rozmowę z matką. Ojciec szukał czegoś, co miał mu zostawić ktoś, kto zmarł, zdaje się. Pomyślałam, że pewnie chodzi o jakieś zlecenie, za które mu nie zapłacili. Wypytywał rodzinę zmarłego o ten dług, czy co to było, ale wiem, że w końcu wróciliśmy do domu z pustymi rękami. Pamiętam, że w drodze powrotnej ojciec był naprawdę przybity.

– Na pewno pojechał po bransoletę – stwierdziła Mónica. – Nie wiedział, że paczka dotarła już do miejsca przeznaczenia. Kiedy stracił jej ślad, postanowił poszukać w miejscu, gdzie powinna się znajdować, w Jerez de los Caballeros. – Wzięła głęboki oddech, zachwycona zainteresowanymi minami słuchaczy i ciągnęła: – Z drugiej strony z tego, co mówi Paula wynika, że jego „kontakt”, tak na razie go nazwijmy, umarł, zanim zdążył zawiadomić waszego ojca, że paczka już została wysłana. Ze śmiercią... Fernando, jakie nazwisko zapisałeś?

– Carlos Ramírez – przeczytał Fernando. – Sprawdzę dokładną datę jego śmierci. Ale sądząc po okolicznościach, musiał umrzeć tuż po dotarciu paczki do więzienia, we wrześniu, najpóźniej w październiku trzydziestego trzeciego.

– Ze śmiercią Carlosa Ramírez – Mónica wróciła do przerwanej wątku – jakakolwiek relacja, mogąca łączyć go z twoim ojcem, poszła z nim do grobu i wszystkie informacje zginęły. W czasie podróży do Jerez, którą teraz wspominaliście, twój ojciec nie mógł dowiedzieć się gdzie jest bransoleta, przyjmując, że wiedział, że chodziło właśnie o nią.

– Świetnie, Mónico! Zaczynam cię lubić. Przyznaję, że oprócz fantastycznego ciała dysponujesz też całkiem mądrą głową – wykrzyknęła Paula, której temat zaczął się podobać. – Kiedy jedziemy do Jerez de los Caballeros sprawdzić, kim był don Carlos Ramírez, kochani?

– Jak to jedziemy? – zdziwił się Fernando. – Opowiadam ci o tym wszystkim, bo jesteś moją jedyną siostrą i sprawa dotyczy

naszego ojca. Ale to nie znaczy, że będziemy robili coś razem. Będę cię informował, kiedy uznam to za stosowne.

– I to niby ja mam paskudny charakter, draniu! – prychnęła Paula, urażona bezczelnością brata. – A więc odstawiasz mnie na bok całej tej historii, jakbym była śmieciem?

Fernando otarł usta serwetką, gotów do podjęcia wyzwania. Zanim zdążył się odezwać, Paula znów zabrała głos:

– Bierzesz mnie pod uwagę czy nie, jadę! – Uderzyła pięścią w stół. – Zapewniam cię, że nie zmienię zdania. Nie mam zamiaru przegapić takiej przygody. Możesz już rezerwować w Jerez de los Caballeros pokój dla mnie i oczywiście dla Móniki. Pewnie ją też chciałeś wykiwać, biedaczkę. Wszystko jasne, kochany?

Fernando, widząc, że nie ma wyjścia, zgodził się na wszystko. Zdecydował, że następny weekend będzie odpowiedni, żeby wyjechać bez konieczności zamykania sklepu, nawet jeśli będą mieli dużo pracy.

– Wyjedziemy w przyszły piątek, który jest dniem wolnym. Spróbuję zarezerwować miejsce w zajeździe w Zafrze, która jest dość blisko Jerez. Moglibyśmy spędzić tam cały weekend. Podo-
ba wam się ten plan?

– Szalenie, braciszku!

Skończyli obiad i zapłaciwszy rachunek, pożegnali się w drzwiach restauracji. Paula odjechała na pełnym gazie, a Fernando i Mónica poszli w jej ślady. Zanim dotarli do Segowii, Fernando zapytał:

– Mónico, jest piąta po południu. Zaraz zrobi się ciemno. Ty decydujesz. Jesteś zmęczona i chcesz, żebym zawiózł cię do Madrytu, czy zrobimy sobie obiecany spacer po Segowii? Nasze plany nieco się zmieniły i nie mogłem ci pokazać moich najukochańszych miejsc w tym mieście.

– Nie jestem zmęczona. Chętnie pospaceruję po Segowii, chociaż jest późno. Ale uprzedzam, że nie mam zamiaru rozmawiać już o bransolecie, ani, bardzo proszę, o historii. – Zmarszczyła brwi w uroczym grymasie wyrażającym prośbę. – Mam ochotę na zwykły spacer.

– Możesz na to liczyć – zapewnił Fernando.

Gdy dotarli do Segowii, zaparkowali blisko akweduktu. Stamtąd, przeznaczoną tylko dla ruchu pieszego ulicą Gazola, szli powoli w stronę katedry. Fernando opowiadał anegdoty z dzieciństwa, łącząc je z młodzieńczymi marzeniami. Szkoła, przyjaciele, zabawy, rodzice, pierwsza dziewczyna, Maria, kiedy miał zaledwie dwanaście lat, wakacje w Cambrils...

Mónica słuchała z przyjemnością. Wyobrażała sobie dokładnie, jak musiały wyglądać kłótnie i sprzeczki z jego siostrą, wszystko wydawało jej się znajome.

Między jednym wspomnieniem a drugim Fernando rzucał uwagi na temat mijanego właśnie po prawej kościoła lub detali pałacu, obok którego przechodzili. Mónica nie widziała go nigdy tak zrelaksowanego i rozgadanego. Poczwała na nosie i uszach pierwsze oznaki odmrożenia.

– Fernando, zaprosisz mnie na coś ciepłego? Muszę się rozgrzać. Spacer jest wspaiały, ale prawie zamarzłam.

Przechodzili właśnie przez rynek i postanowili wejść do Kawiarni Szwajcarskiej. Usiedli przy stoliku pod wychodzącym na plac oknem i po kilku minutach stanęły przed nimi dwie parujące kawy i ciastka. Mónica słuchała Fernanda zamyślona, obejmując filiżankę obiema rękami, żeby trochę je ogrzać.

Kawiarnia była pełna ludzi. Ożywione i głośne rozmowy dobiegały jakby z oddali do uszu zauroczonej Móniki, która ani przez chwilę nie przestała patrzeć w oczy Fernanda.

– Wracając do bransolety... – Wyciągnął z kieszeni marynarki filcowy woreczek.

– Nie, proszę cię, Fernando. Umówiliśmy się, że nie będziemy o niej rozmawiali.

Fernando położył woreczek obok jej dłoni, nie całkiem rozumiejąc jej reakcję.

– Wesolych świąt! Święty Mikołaj zostawił dla ciebie prezent u mnie pod choinką.

– Ale... Co to za niespodzianka? Nie spodziewałam się...

Odwiązała sznurek woreczka i wyjęła z niego złoty pierścionek

z pięknym zielonym perydotem. Woreczek wyglądał tak samo jak ten, w którym była bransoleta. Założyła pierścionek i przyjrzała mu się w milczeniu, po czym spojrzała w oczy Fernanda, wstała i pocałowała w policzek.

– Dziękuję, Fernando. Nie musiałeś mi dawać żadnego prezentu. Nie wiem, co powiedzieć...

– Może chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłem... – Puls Móniki gwałtownie przyspieszył. Wydawało jej się, że wreszcie usłyszy coś romantycznego. – Pomyślałem, że najlepszym sposobem na okazanie ci, Mónico, jak jestem ci wdzięczny za twoją pracę, będzie prezent, a jaka okazja jest lepsza od Gwiazdki? – Mónica nie mogła opanować zawodu, który malował się na jej twarzy. – Mónico, przepraszam, jeśli gadam bzdury, ale wydaje mi się, że pierścionek ci się nie spodobał. Jeśli chcesz, wymienimy go na inny.

– Oczywiście, że nie, Fernando. – Znalazła wreszcie uśmiech, którym mogła zamaskować uczucia. – Pierścionek jest piękny i nie chcę go wymieniać. Bardzo dziękuję, naprawdę bardzo mi się podoba. – Spojrzała na zegarek. – Myślę, że się zasiedzieliśmy. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, moglibyśmy już wracać. Jestem trochę zmęczona.

Wszystkie nadzieje, jakie sprawił dzisiejszy dzień, nagle się rozwiały. Nigdy nie zdobędzie miłości Fernanda. Teraz widziała jasno, jaka była głupia. Jak mógłby zwrócić uwagę na taką dziewczynę jak ona?

Fernando zapłacił rachunek, próbując jednocześnie zanalizować sytuację. Używając pracy jako wymówki, chciał przekazać Mónice znacznie bardziej osobistą wiadomość, rozważywszy najpierw ich nietypową relację i jej możliwe skutki. Ponieważ dla niego pracowała, nieumiejętne postawienie sprawy albo odmowa z jej strony mogły poważnie wpłynąć na ich przyszłe stosunki.

Do Madrytu dotarli szybko. Ruch nie był duży i zanim się zorientowali, stali pod drzwiami domu Móniki, żegnając się.

Ona wysiadła z samochodu, pozdrowiła jeszcze Fernanda

przed zamknięciem drzwi, i ruszyła w stronę domu. Chciała jak najszybciej dotrzeć do swojego pokoju i wypłakać się na łóżku.

Fernando, jej jedyna miłość, kazał jej obudzić się ze snu, stawiając ją wobec przykrej rzeczywistości; dla niego była tylko dobrą pracownicą, którą nagradza się za sumienne wykonywanie obowiązków. Była zrozpaczona.

Fernando ruszył w kierunku Castellany. Nie rozumiał, co zmieniło Mónicę, która rano była wesoła, ujmująca i czuła w tę, z którą właśnie się rozstał, smutną i poważną. Wszystko zepsuł. Na pewno zrozumiała jego prawdziwe intencje i przestraszyła się. To na pewno to. Im więcej o tym myślał, tym bardziej był pewny, że reakcja Móniki na jego prezent mogła być tylko uprzejmą odmową.

– Co za naiwniak ze mnie! Czterdziestolatek ubzdurał sobie, że zwróci na niego uwagę dwudziestoparoletnia dziewczyna.

5

Nawarra, rok 1244

Pierre de Subignac przekroczył Pireneje jednym z mniej uczęszczanych szlaków w prowincji Huesca. Po wielu dniach jazdy wierzchem dotarł wreszcie do Puente la Reina, w królestwie Nawarry. Oddawszy fortecę w Montségur siłom katolickiej krucjaty, postanowił zniknąć na kilka miesięcy i schronić się w tym niewielkim miasteczku.

W czasie, który zajęła mu budowa świątyni w Eunate, zaskarbił sobie przyjaźń kilku templariuszy, tym bardziej że z czterech lat pracy dwa spędził w samym opactwie, w gościnie u zakonników. Czuł się, jakby był jednym z nich. Od tamtego czasu minęło ponad dziesięć lat.

Jego stosunki z templariuszami były zawsze przyjacielskie. Zaprzyjaźnił się zwłaszcza z ich komandorem, Juanem de Atareche. Z nim widywał się najczęściej i w czasie tych spotkań zrodziła się więź, która przetrwała wiele lat. U jej podstaw legło przekonanie o zbieżności ich charakterów i poglądów. Tak więc dzień po dniu ufali sobie coraz bardziej. Chociaż Juan był znacznie od Pierre'a starszy, różnica wieku nie miała znaczenia: Pierre był dla Juana jednocześnie uczniem i synem, którego nigdy nie miał. W ciągu kilku miesięcy poznali się tak dobrze, że dzielili się bez wstydu uczuciami, wrażeniami i troskami. W ten sposób Juan stał się świadkiem narodzin miłości Pierre'a i Any i jego przejścia na wiarę katarską.

Niespodziewanie, odejście Pierre'a od katolicyzmu zmieniło tę przyjaźń. Pierre z początku obawiał się reakcji Juana, jako templariusza i zbrojnego obrońcy Kościoła i wiary, znalazł jednak zrozumienie, a nawet usprawiedliwienie swej decyzji. Juan zaczął się zachowywać inaczej niż dotąd, głosząc poglądy, które wydawały się Pierre'owi bliższe katarom niż Kościołowi katolickiemu.

Mimo że znał Juana tak dobrze, Pierre nie potrafił zrozumieć, co robił ten człowiek o tak dziwnych poglądach na czele społeczności templariuszy.

W czasie swego pobytu w zakonie budowniczy odbywał w jego towarzystwie przyjemne spacer, rozmawiając o sprawach boskich i ludzkich, nad brzegiem rzeki Arga. Z upływem czasu Juan zaraził go swoim zainteresowaniem nauką i studiowaniem pradawnej wiedzy Egipcjan i Babilończyków, której był znawcą. Nauczył go rozumieć symbolikę liczb jako prawdziwych sił napędowych wszechświata. Opowiadał mu o dawnych żydowskich sektach, w tym o esseńczykach, które odnalazły światło Boga i poprzez nie, bezpośredni związek z Nim, dzięki pustelniczemu życiu, medytacji i ascezie. To oni, według jego interpretacji, położyli podwaliny wiary katarskiej.

Jako mistrz budowniczy Pierre przekazał Juanowi wiedzę potrzebną do właściwego odszyfrowania precyzyjnych informacji, które templariusze pragnęli przekazać światu poprzez swoje budowle. Wiadomości ukryte przed oczami niewtajemniczonych, które, odpowiednio odczytane, objawiały głęboką treść. Ich zaszyfrowany język wyrażał się poprzez liczby zawarte w wymiarach ich konstrukcji lub umiejscowieniu, a zwłaszcza w interpretacji zdobień wnętrz i kapiteli.

Długie życie Juana – skończył już dziewięćdziesiąt lat – ciążyło mu bardzo, nie tylko z powodu starzenia się ciała, ale z powodu skutków wielu przygód w najbardziej malowniczych zakątkach świata. Teraz przyszło mu za to płacić.

Pięćdziesiąt lat temu Juan udał się do Ziemi Świętej, tuż przed ostatecznym odebraniem jej chrześcijaństwu przez egipskie oddziały dowodzone przez Saladyna w 1188 roku. Podjął podróż jako rycerz, w odpowiedzi na wezwanie papieża do niesienia pomocy i obrony świętych terytoriów, aby chronić pielgrzymów przed ciągłym zagrożeniem ze strony muzułmańskich zastępów. Juan słyszał jednak od dłuższego czasu również wezwanie Boga. W Jerozolimie poznał templariuszy. Sposób życia tych mnichów rycerzy zaspokajał jego ambicję jako rycerza i jako sługi bożego, złożył więc prośbę o przyjęcie do zakonu i został w Jerozolimie przez wiele lat.

W świętym przybytku templariuszy poznał surowe reguły stworzone przez świętego Bernarda z Clairvaux, opata, który właściwie stworzył ten zakon i występował przed samym papieżem w jego sprawie. Jednak Juan pragnął pogłębiać swą wiedzę i poświęcił się studiowaniu myśli wschodniej, w tym kabały, i ascetyzmu sufickiego.

Nauczył Pierre'a projektowania i wznoszenia budowli tak, aby stały się narzędziami służącymi przekazaniu mądrości przyszłym pokoleniom. Wyjaśnił mu, że cyfra pięć oznacza według kabały siłę, światło życia, przedstawione jako pięcioramienna gwiazda. Zachęcił go do wprowadzenia do przyszłych projektów dziewiątki, utożsamianej z mądrością i przedstawianej pod postacią węża, cyfry wtajemniczenia i połączenia dobra ze złem.

Zbliżając się do opactwa, Pierre wspominał słowa Juana: „Pomyśl, Pierre, że ludzie umierają. Nasze myśli i idee są ulotne. Ale kamienie trwają i to w nich powinniśmy wyrażać i przekazywać prawdę, żeby ci, którzy potrafią z nich czytać, mogli znaleźć właściwe ścieżki”.

Chociaż Pierre był zmęczony długą podróżą, cieszył się na myśl o spotkaniu z Juanem. Od lat nie miał o nim żadnych wieści.

Ze wzgórza, na którym stał, rozciągał się widok na miasteczko. Przy wjeździe do niego, po lewej, zobaczył mur otaczający zakon templariuszy, serce komandorii i odgradzający go od pozostałych budynków, oraz drewnianą bramę. Odetchnął z ulgą na myśl o końcu długiej i ciężkiej podróży. Minęło dużo czasu i wiele rzeczy się zmieniło od jego ostatniego tu pobytu. Jak inaczej wszystko wyglądało! Odchodził z Aną, swoją najdroższą Aną, pełen nadziei na nowe życie, świadom tego, co za sobą pozostawiają. Silny skurecz ścisnął mu serce na wspomnienie ukochanej i zapłakał gorzko. Wracał sam, a jego jedynym towarzyszem były wyrzuty sumienia. Uciekał od przeszłości, nie wiedząc, co powinien zrobić, ani co szykuje mu los. Tak dotarł do bramy zakonu. Zatrzymał go uzbrojony mnich okryty białym płaszczem z krzyżem, którego natychmiast rozpoznał.

– Stać! Czego szukacie w tym miejscu, dobry człowieku?

Pierre z trudem zsiadł z konia i stanął przed mnichem.

– Dzień dobry, bracie! Wydaje się, że mnie nie poznajecie. Jestem budowniczym i przyjacielem tego zakonu. Mieszkałem tu przez pewien czas. Chcę się widzieć z komandorem Juanem de Atareche.

Mnich, przyjrawszy mu się uważnie, wreszcie go rozpoznał.

– Wy jesteście Pierre de Subignac, prawda? – Usłyszawszy twierdzącą odpowiedź, wyciągnął włócznię i zastąpił Pierre'owi drogę. – Możecie wsiadać na konia i odjechać stąd tak daleko, jak to możliwe. Precz, przekłety heretyku!

– Proszę, bracie, spędziłem wiele dni na koniu tylko po to, żeby móc zobaczyć mojego przyjaciela Juana. Nie chcę zostać tu dłużej niż to konieczne. – Błagalnym gestem złapał mnicha za ramię. – Proszę, pozwólcie mi wejść. Wiem, że on by mnie wpuścił. Miejcie litość.

Jego prośby zdawały się odnosić skutek. Mężczyzna wziął bez słowa wodze konia i kiwnięciem głowy zaprosił Pierre'a, by wszedł. Szli w milczeniu do stajni. Wreszcie, widząc zdezorientowaną minę przybysza, mnich wyjaśnił:

– Muszę ci powiedzieć, panie, że nasz komandor jest bardzo chory.

– Co chcecie przez to powiedzieć? Jak ciężki jest stan mojego drogiego przyjaciela? – Pierre był bardzo poruszony tą wiadomością.

– Jest umierający! Leży w agonii już piąty dzień. Obawiam się, że to kwestia godzin.

Pierre musiał zobaczyć Juana. Poprosił, żeby natychmiast go do niego zaprowadzono. Mnich pilnujący bramy nie mógł mu towarzyszyć, ale przekazał polecenie innemu, który akurat znajdował się w pobliżu, przerzucając w stajni worki owsa. Pierre poszedł za nim do budynku zakonu. Przecięli surowy romański krużganek, mijając licznych mnichów, a ci, rozpoznawszy go, pozdrawiali, jedni ze zdumieniem, inni ze szczerym uśmiechem. Weszli po schodach na piętro, gdzie znajdowały się sypialnie. Przemierzywszy dwa długie korytarze, dotarli do celi Juana. Drzwi były zamknięte. Mnich poprosił Pierre'a, żeby poczekał kilka minut.

Pierre został sam. Pragnął jak najszybciej zobaczyć przyjaciela. Był oszołomiony i zdezorientowany. Nie przyszło mu do głowy, że Juan może być umierający. To zmieniało całkowicie jego plany. Zdesperowany wpatrywał się w drzwi, które ciągle się nie otwierały. Czekanie stawało się nieznośne.

Wreszcie z celi wyszło dwóch mnichów. Ten, który towarzyszył Pierre'owi do tej pory, odszedł korytarzem, nawet na niego nie spojrzawszy. Drugi był jego starym znajomym – Pedro Uribe, pomocnik komandora i niezmordowany oszczerca Pierre'a z czasów, kiedy ten mieszkał wśród mnichów. Pedro nigdy nie zaakceptował jego obecności w zakonie, a Pierre nigdy nie rozumiał, co nim powodowało. Musiał znosić jego wyrafinowane okrucieństwo, połączone z bezczelną antypatią, okazywaną bez skrępowań przez wszystkie te lata. Jego niechęć do Pierre'a pogłębiła się, o ile to było możliwe, tuż przed jego wyjazdem, kiedy o tym, że przystał do katarów, dowiedzieli się wszyscy.

– A więc znów mamy wśród nas heretyka don Pierre'a de Subignaca! – zauważył złośliwie. – Co cię sprowadza do tego świętego i katolickiego domostwa?

– Odbyłem długą podróż, Pedro. Chciałem tylko pozdrowić waszego komandora i kiedy dowiedziałem się, w jak ciężkim jest stanie, poprosiłem o natychmiastowe widzenie. Mogę wejść na chwilę, żeby go zobaczyć?

Pedro patrzył z grymasem dezaprobaty, który Pierre odczytał jako odmowę. Zanim otrzymał odpowiedź, na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania, który wpłynął na zmianę zdania Pedra, być może zdjętego litością ze względu na okoliczności.

– Pierre, wiesz, że Juan jest już bardzo stary. Skończył dziewięćdziesiąt dwa lata i umiera. Myślę, że nie przeżyje tej nocy. Jest bardzo zmęczony i osłabiony. W ciągu ostatnich dni nie pozwalałem nikomu na odwiedziny. Pełnię funkcję komandora aż do jego śmierci i nie wiem, szczerze mówiąc, dlaczego to robię, ale pozwolę ci widzieć się z nim przez kilka minut. Wiedz, że robię to bardziej ze względu na niego niż na ciebie, bo kochał cię jak brata. Przyznaję, że miałem nadzieję nie zobaczyć cię już nigdy więcej, ale moje serce jest miłosierne i tuszę, że potrafisz to docenić.

– Dziękuję ci z całego serca. Nie będę go męczył. Posiedzę z nim krótko, obiecuję.

Pierre pchnął drzwi i zamknął je cicho za sobą. Cela była mała, jedyne łóżko znajdowało się przy oknie szczerze wpuszczającym światło dnia. Wziął krzesło i podszedł do łóżka. Przyjrzał się Juanowi, który wyglądał na pogrążonego we śnie. Był przeraźliwie wychudzony. Kości policzkowe rysowały się ostro pod cienką pożółkłą skórą. Powieki i oczodoły miały siny odcień, podobnie jak usta. Biała i zaniedbana broda okrywała mu szyję i leżała na kołdrze, przykrywającej kruche i chude ciało. Zaraźliwa siła i witalność, jakie pamiętał Pierre, zdawały się opuścić Juana na zawsze.

Pierre wziął go za rękę. Była zimna. Pod wpływem dotyku Juan otworzył oczy i zobaczył zatroskaną twarz Pierre'a.

– Co za miła niespodzianka... – wyszeptał z trudem.
– Kochany Juanie, jak się czujesz?
– Jak widzisz, Pierre, umieram. Próbują mnie oszukiwać, mówiąc, że mój stan się poprawia, ale wiem, że nadeszła moja godzina i prędko stanę przed Bogiem. – Przerwał na chwilę, żeby odzyskać wątyły oddech. – Ale nie mówmy teraz o mnie. Opowiedz mi, jak ci się wiodło w Montségur. Słyszałem o strasznych przesładowaniach, jakie cierpieliście. Jak się sprawy mają? Jak się ma Ana?

Po drodze do Nawarry Pierre zastanawiał się, jak odpowie na te łatwe do przewidzenia pytania. Rozważył wiele możliwości i zdecydował, że powie tylko część prawdy, nie wspominając, oczywiście, o swojej zdradzie. Pomyślał nawet, że straszna śmierć Any może być jak najbardziej zrozumiała, skoro doszło do obłąkania. A jednak w tej chwili, widząc Juana u bram śmierci, zdecydował, że powie prawdę. Musi zrzucić z barków ten straszny ciężar, a Juan jest jego najlepszym przyjacielem. Nie mogąc znieść nagromadzonego napięcia i widząc Juana w agonii, zaczął płakać.

– Co ci się stało? Co jest przyczyną twego bólu? – Juan pogładził go po głowie.

Pierre rozwiązał sznurek kaftana i wyjął spod niego medalion.

– Juanie, pamiętasz pewnie ten medalion, widziałeś go przed laty. – Juan skinął głową. – Nigdy nie zdradziłem ci jego pochodzenia ani znaczenia, ale dziś muszę to zrobić. – Wziął głęboki oddech. – Ma ponad dwa tysiące siedemset lat. Należał do Izaaka, syna Abrahama. Upływ czasu go zniszczył, ale, jak możesz zobaczyć, przedstawia baranka i gwiazdę. Baranek symbolizuje poświęcenie ojca, który, zgodnie z wolą Jahwe, miał zabić na ofiarę swego ukochanego syna Izaaka. Gwiazda oznacza potomstwo „jak gwiazdy na niebie”, które zostało pobłogosławione przez Jahwe, poprzez jego przymierze z Abrahamem.

Juan wziął medalion do ręki i zbliżył do oczu, żeby mu się przyjrzeć.

– Pierre, jesteś pewny tego, co mówisz? Chcesz mi powiedzieć, że nosisz na szyi najstarszą i najcenniejszą relikwię wszech czasów? Nigdy nie czytałem ani nie słyszałem żadnej wzmianki o jej istnieniu. Jak możesz być pewny, że jest autentyczna?

Pierre opisał mu szczegółowo przeżycia swego pradziadka, Ferdinanda de Subignaca, w czasie pierwszej krucjaty; niespodziewane spotkanie w czasie podboju Jerozolimy z Żydówką Sarą, pochodzącą w prostej linii od patriarchy Abrahama, i jej nagłą śmierć w ramionach Ferdinanda. Opowiedział też o świętym zobowiązaniu, które odtąd spoczywało na wszystkich jego potomkach, także na nim, aby chronić i przechowywać medalion i starać się, by nie wpadł w obce ręce. Takie przyrzeczenie złożył jego pradziad Bogu i wielkim patriarchom nad martwym ciałem Sary.

Juan de Atareche słuchał z zainteresowaniem tej opowieści, lecz na jego twarzy malował się niepokój. Musiał wyjaśnić Pierre'owi coś, co mogło mieć dla niego ogromne znaczenie.

Przedtem jednak chciał zrozumieć związek między medalionem a swoim pytaniem o Montségur.

– Pierre, dlaczego nie mówisz mi nic o Montségur? Dlaczego wiążesz je z historią medalionu?

Pierre był pełen podziwu dla Juana, który, chociaż na łożu śmierci, zachował jasność umysłu. Gdy opowiadał o wydarzeniach poprzedzających zdobycie Montségur, jego decydującym udziale w poddaniu fortecy, mającym zapobiec przejęciu medalionu przez krzyżowców, i wreszcie upokarzającej ucieczce, kiedy zostawił na pewną śmierć Anę i pozostałych ukochanych braci katarów, po jego twarzy płynęły łzy. Wyznał też, jak zadał śmierć Justine i swojemu zaufanemu pomocnikowi.

Juan patrzył na niego ze współczuciem, jak ojciec na ból syna, jednak najważniejsze dla niego było to, co usłyszał o medalionie. Oto prawdziwie święta rzecz. Symbol, którego szukał.

Nagle drzwi celi otworzyły się i wszedł Pedro Uribe, aby przypomnieć katarowi, że musi już iść. Juan wziął dłonie Pierre'a w swoje i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Pierre, jutro muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego, to dla ciebie sprawa życia i śmierci. Nie zawieź mnie za nic na świecie! Przyjdź do mnie, gdy tylko ci na to pozwolą. Obiecuję ci, że powstrzymam się jeszcze jeden dzień z odejściem z tego świata. Wiem, że Bóg nie pozwoli mi umrzeć, zanim nie powiem ci tego, co powiedzieć muszę. Jestem tego pewny!

– Co za głupstwa opowiadasz! Oczywiście, że zobaczymy się jutro! Przyjdę z samego rana, żeby posiedzieć z tobą dłużej, tak jak kiedyś, drogi przyjacielu.

Zostawiwszy Juana, Pierre wyszedł na korytarz. Pedra już nie było. Zszedł po schodach, zastanawiając się, co to za „sprawa życia i śmierci”. O co też może chodzić?

Kiedy przemierzał kapitularz, zobaczył, że mnisi zebrali się i słuchają w milczeniu Pedra Uribe. Nie mógł powstrzymać ciekawości i ukrył się za jedną z kolumn. Ten człowiek nigdy mu się nie podobał!

– Drodzy bracia, jak wiecie, nasz brat Juan stoi u progu śmierci i być może w ciągu najbliższych godzin opuści nas na zawsze. Do tej pory wypełniałem obowiązki związane z jego stanowiskiem, ale, zważywszy na sytuację i zgodnie z naszą regułą, należy wybrać nowego komandora, zwołując najwyższą radę naszej prowincji. – Wskazał palcem jednego z braci, stojącego w pierwszym rzędzie – Ty, Martinie Diéguez, wyruszysz czym prędzej do naszego mistrza prowincjalnego Guillerma de Cardony! Powiesz mu, że rada zostanie zwołana w ciągu dwóch dni! – Złączył dłonie w pobożnym geście. – Od dzisiejszej nocy aż do dnia zebrania się rady wszyscy będziemy pościli na intencję naszego przełożonego. Módlmy się teraz, bracia, aby Pan oświecił nas, gdy będziemy wybierali tego, kto zastąpi naszego komandora. – Odetchnął i zamilkł na dłuższą chwilę, w czasie której wbił po kolei wzrok w każdego z obecnych. Po kilku wymownych sekundach ciszy podjął: – Na koniec chcę was

uprzedzić, że zabrania się wam surowo rozmawiać lub pomagać osobie, która jest dziś między nami. Niektórzy już go widzieli, inni znają go z innych czasów. Mam na myśli Pierre'a de Subignaca.

Pierre podskoczył na dźwięk swego imienia. Zrobił krok do tyłu, żeby nikt go nie zauważył.

– Subignac to bezduszny katarski heretyk. Splamił nasz zakon, porzucając wiarę katolicką i głosząc herezje w czasie, kiedy żył wśród nas, nadużywając otwarcie i bezwstydnie naszej gościnności i dobrych intencji. Ale poważniejsze od jego własnego potępienia jest to, że omamił swoimi doktrynami dwóch naszych braci, którzy porzucili święte zwyczaje templariuszy i odeszli z nim do Francji, po przejściu na jego diabelską wiarę. Dziś, powodowany miłosierdziem, pozwoliłem mu odwiedzić naszego brata Juana, lecz od tej chwili, jeśli go zobaczycie, zatrzymajcie go natychmiast. Wydamy go dominikanom. Najwyższy czas, żeby zapłacili za swoją zdradę przed inkwizycją!

Pierre zrozumiał, że nie może pozostać w tym miejscu ani chwili dłużej i udał się szybkim krokiem w stronę stajni. Po drodze nie spotkał nikogo poza stróżem pilnującym wejścia. Pożegnał się z nim i nie tracąc czasu na rozmowę, dosiadł konia i oddalił się klusem w stronę miasteczka, do gospody, w której zawsze się zatrzymywał.

Kiedy znalazł się w swojej izbie, rzucił się wyczerpany na łóżko, przerażony tym, co zobaczył w zakonie. Jak to się stało, że wszystko aż tak się zmieniło? Zamknął oczy i przywołał obraz umierającego przyjaciela. Wraz z jego chorobą runęły wszystkie plany. Nie był już tam bezpieczny, choć na to liczył. Nadzieja na protekcję Juana rozwiła się. Ponadto, komplikując jeszcze jego delikatną sytuację, tymczasowy komandor wydał na niego wyrok. Powinien uciekać, gdy tylko wstanie świt. Musi jednak pożegnać się z Juanem.

Jak wejść do budynku i dotrzeć do sypialni, niezauważonym przez nikogo? Rozważywszy przeszkody, jakie mogą stanąć mu

na drodze, zdecydował, że pójdzie przed świtem, kiedy wszyscy będą jeszcze spali. Znał dobrze fortecę i wiedział, że wchodząc po linie od północnej strony, dostanie się przez okno do celi Juana. Zadanie nie wyglądało na zbyt trudne. Prześpi się trochę i o północy wymknie się po cichu z gospody. W jukach ma długą linę i kotwę. Wyczerpany wydarzeniami, po chwili spał głębokim snem.

Tymczasem wszyscy mnisi, po komplecie, przygotowywali się do snu w swych skromnych celach. W ciągu godziny pogasły wszystkie światła, oprócz świecy w celi Juana de Atareche. Jej płomień oświetlał częściowo łóżko, na którym umierający był bez litości przesłuchiwany przez Pedra Uribe'a.

– Bądź przeklęty na wieki, Juanie de Atareche! Masz mi powiedzieć natychmiast, gdzie ukryłeś küfer i papirus, zanim umrzesz i będę musiał cię pochować razem z twoją tajemnicą!

Pedro potrzasał brutalnie kruchym ciałem Juana, który oddychał z coraz większym trudem. Uribe od dłuższego czasu próbował się czegoś dowiedzieć, ale nie zdołał wydusić ze starca ani słowa. Zaczął go bić z nieokiełznaną wściekłością, rozciął mu brew i złamał nos. Twarz umierającego zalała krew.

– Widzę, że nie masz zamiaru mówić! Widocznie chcesz jeszcze trochę pocierpieć. Byłbym zachwycony, mogąc cię teraz zabić, ty szatański pomioście! Ale zapewniam, że utrzymam cię przy życiu, dopóki nie zdradzisz mi swojego sekretu. Teraz idę spać. Zachęcam, żebyś zastanowił się przez noc nad swoim uporem. Bardzo się mylisz, jeśli myślisz, że możesz ukrywać przede mną tę tajemnicę. Jeśli nie zaczniesz mówić, nie będę przebierał w środkach, żeby wydusić z ciebie prawdę.

Prześcieradłem stał z ręki krew i rzuciwszy ostatnie spojrzenie umierającemu, pożegnał się, obiecując wrócić rano.

Pedro był przede wszystkim lojalnym templariuszem. Dzięki zakonowi stał się kimś ważnym i szanowanym, za co był bardziej niż wdzięczny. Porzucił drogę pełną błędów – kiedy to

zadawał się ze złodziejami i zabójcami – i osiągnął więcej niż zadowolającą pozycję w zakonie. Choć jego przełożonym był Juan, utrzymywał bezpośrednie kontakty z siedzibą prowincji Aragonii i Katalonii, której podlegała Nawarra. Jego niezłomna wierność była źródłem żarliwości, często bezwzględnej, z jaką wypełniał polecenia przełożonych. Jej wyrazem było przesłuchanie Juana. Władze prowincji, na podstawie wieści napływających z Ziemi Świętej, podejrzewały, że Juan przywiózł i ukrył pewne przedmioty o wielkiej wartości, których oddania domagali się bez skutku wielcy mistrzowie. Świątynia, daleka od zatrzymania ich dla własnej korzyści, była pod presją Rzymu, gdzie dotarła wiadomość o skarbach. Domagano się ich oddania w imieniu tysięcy parafian. Przełożeni z siedziby templariuszy w Ziemi Świętej wiedzieli tylko, że chodzi o stary papirus i antyczną szkatułę, nie znali jednak ich zawartości.

To wszystko oznaczało dla Pedra podwójną szansę: po śmierci Juana objęcie funkcji mistrza w Puente la Reina, a po kilku latach, jeżeli udałoby mu się uzyskać to, czego pragnęli jego przełożeni, wyniesienie na jedno z najwyższych stanowisk w zakonie. Pobił umierającego starca, ale jego cele były znacznie ważniejsze niż trochę rozlanej krwi.

Po upływie kilku godzin Pierre wstał i wyruszył do siedziby zakonu. Ulice były puste. Ciemność nocy zamieniała mijane po drodze drzewa i budynki w groźne cienie. Straszna cisza, przerywana tylko odgłosem jego kroków, wydawała się ukrywać obecność niemych postaci, szykujących się, aby go pojmać. Droga z gospody do twierdzy była prawdziwym koszmarem. Wreszcie Pierre dotarł do murów i ostrożnie ruszył wzdłuż nich, aż do ich północnej ściany.

Rzucił kotwę, która zaczęła się za pierwszym razem, i zaczął wspinać się po trzymetrowym murze. Wspinaczka nie była łatwa. Ściana była oślizła, bo w wielu miejscach pokrywał ją mech. Kiedy Pierre dotarł na górę, odczepił sznur i rzucił kotwę

w stronę okna sypialni Juana – musiał trafić w mały występ we framudze, który opierał się ponawianym wciąż próbom. Wreszcie kotwa zaczepiła się o kamień. Zabezpieczywszy ją mocnym szarpnięciem, Pierre zaczął wspinaczkę po gładkiej ścianie. Wraz z wysokością rósł w nim lęk. Z obu stron mijał okna innych cel, a każda z nich oznaczała ryzyko, że zostanie zauważony. Szczęśliwie udało mu się dotrzeć do okna Juana. Złapał obydwoma rękami kamienną ramę i kopnął okno, które z łatwością ustąpiło. Wszedł do celi i zaczął szukać po omacku świecznika. Zapalił świecę i podszedł do łóżka Juana. Na posadzce widać było plamę zakrzepłej krwi. Twarz chorego była spuchnięta i sina. Z nosa spływały mu dwie strużki krwi, a policzek pokrywała zaschnięta krew z łuku brwiowego.

– Juan, dobry Boże! Co oni ci zrobili?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Pierre przysunął płomień świecy do jego ust. Ani drgnął. Juan nie oddychał!

– O nie, Juanie, wielkie nieba! Zabili cię!

Pierre zaniósł się niepohamowanym płaczem. Obejmował wątle ciało przyjaciela, nie przestając mówić:

– Zamordowali cię twoi bracia, drogi Juanie. Nie wiem, kto ci to zrobił, ale z pewnością Pedro de Uribe maczał w tym palce. Przysięgam, że ten bękart zapłaci za swoją zbrodnię!

Złamany bólem, Pierre patrzył na ciało, wspominając ostatnie słowa Juana. Miał mu przekazać jakąś ważną wiadomość. Teraz nigdy jej nie pozna.

Podniósł prawą rękę zmarłego, żeby ułożyć ją na jego piersi i w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że to, co wygląda na plamę krwi na prześcieradle, jest rysunkiem. Zbliżył świecznik, żeby lepiej się przyjrzeć. Juan, palcem umoczonym w swej własnej krwi, narysował krzyż templariuszy. Nad nim widniała litera „C”. Pierre zauważył też, że z dolnej części krzyża wychodzi linia, przedłużając jego południowo-wschodni promień, tworząc u dołu kształt strzały.

– Juanie, nie wiem, co chcesz mi przekazać! Nie rozumiem znaczenia tego rysunku! „C” i ośmioramienny krzyż ze strzałą... Wskazujesz mi południowy wschód. Ale co mam tam znaleźć? I z jakiego miejsca wyruszyć? Nic nie rozumiem, drogi przyjacielu. – Pierre patrzył z rozpaczą na twarz Juana, szukając odpowiedzi. – Nie mogę zostać tu dłużej, dobry towarzysz. Choć tego nie chcę, muszę cię opuścić. Tutaj nie jestem bezpieczny!

Oderwał kawałek prześcieradła z rysunkiem i schował go do kieszeni, żeby nie zostawić mnichom żadnej wskazówki.

– Obiecuję, Juanie, że odkryję znaczenie twojej wiadomości!

Podszedł jeszcze raz do zmarłego, pogłaskał go po włosach, zgasił świecę i ruszył w stronę okna. Złapał linę i będąc już na zewnątrz, spojrzął po raz ostatni na przyjaciela.

– Pozostaje mi tylko prosić cię, żebyś mnie ochraniał i prowadził w mojej misji. Żegnaj, Juanie! Spoczywaj w pokoju, mój przyjacielu!

Kiedy Pierre znalazł się na ziemi, zdjął linę, żeby nie pozostawić żadnych śladów swej obecności. Oddalił się od twierdzy, biegnąc w stronę gospody. Nie wszedł do niej, tylko skierował się do stajni. Odwiązał konia i w ciszy wyjechał z miasteczka na południowy wschód, nie wiedząc, czego ma szukać.

Ciemność nocy okrywała drogi prowadzące Pierre'a w jego ucieczce. Niedaleko Puente la Reina znajdowało się Eunate. Pierre czuł, że nie może odjechać, nie zobaczywszy jeszcze raz swojej świątyni. Zbliżył się, zachowując ostrożność, upewniwszy się, że nigdzie nie ma żywej duszy. Zsiadł z konia i podszedł do murów, rozkoszując się pięknem budowli.

Widok zewnętrznych krużganków przypomniał mu rysunek na prześcieradle, który Atareche zostawił dla niego jako wskazówkę i zrozumiał, że „C” nad krzyżem oznacza kościół w Eunate.

Przypomniał sobie, że w miejscowym języku *eunate* oznacza „miejsce o stu drzwiach”. Juan użył litery „C”, która w łacinie

oznaczała liczbę sto. Wskazał mu w ten sposób główny punkt, centrum, z którego powinien wyruszyć, udając się na południowy wschód.

Natychmiast pojął znaczenie rysunku. Krzyż wskazywał, jako oś współrzędnych, samo Eunate. Kościół był ośmiokątny i jeśli poprowadziło się niewidzialne linie łączące jego centrum ze zwieńczeniami tworzonymi przez mury, otrzymywało się idealny krzyż templariuszy. Strzałka musiała więc wskazywać kierunek, jaki powinien obrać. Tam, w jakimś miejscu, znajdzie wiadomość, której nie zdążył wysłuchać.

Dobry Juanie! Rysując własną krwią znaki, które teraz rozumiem, wiedziałeś, że tylko ja mogłem je odczytać. To ty nauczyłeś mnie rozpoznawać ukrytą obecność krzyża templariuszy w każdym wzniesionym przez nich budynku. Ten, kto zobaczyłby rysunek, pomyślałby, że umarłeś, czcząc do ostatniego tchnienia ten krzyż, symbolizujący twoje oddanie Chrystusowi.

Dumny ze swej zmyślności Pierre popatrzył na gwiazdy i ruszył na południowy wschód, przemierzając pola otaczające opuszczony kościół w Eunate. Naciągnął na głowę kaptur, czując dotkliwe zimno zaczynającego się właśnie kwietniowego dnia. Chroniony ciemnością, zjechał dość daleko. Wraz z pierwszymi promieniami słońca dotarł do niewielkiej osady o nazwie Lodosa. Postanowił zjeść coś ciepłego i pozwolić odpocząć koniowi. Obaj muszą zebrać siły, zanim stawia czoło drugiej drodze, jaka ich czeka. Znalazł gospodę tuż przy wjeździe do wsi, oddał konia chłopcu stajennemu, a sam wszedł do środka w poszukiwaniu schronienia i stołu. Znalazł miejsce najbliższe ognia.

– Co sobie życzycie na śniadanie, rycerzu? – Do stołu podeszła gruba kelnerka i przyglądała się Pierre'owi z antypatyczną miną.

– Jakie są specjalności tej ziemi, kobieto? – zapytał Pierre, wdychając zapachy dobiegające z kuchni.

- Polecam fasolę z pajdą białego chleba i karafkę różowego chłodnego wina – odparła krzepka kobieta.
- Przynieś mi więc to wszystko, a chyżo! Zaraz zemdleję z głodu.

Kobieta poszła do kuchni, a Pierre pogrążył się w rozmyślaniach.

W tym samym czasie, w komandorii templariuszy w Puente la Reina Pedro Uribe przygotowywał pogrzeb Juana de Atareche. Z samego rana wysłał dwóch zaufanych mnichów po Pierre'a, spodziewając się, że znajdą go w gospodzie Armendáriz. Wrócili z niczym. W gospodzie nic o nim nie wiadano. Zapłacił za noc z góry i niczego nikomu nie wyjaśnił. Pedro miał złe przeczucie. Coś mu mówiło, że Pierre odwiedził Atareche tuż przed jego śmiercią i że to spotkanie było powodem jego ucieczki. W innym wypadku przyszedłby odwiedzić przyjaciela, zgodnie z obietnicą. Postanowił obejrzeć sypialnię zmarłego i przekonać się, czyjego podejrzenia są uzasadnione.

Zbadawszy wszystko uważnie, odkrył, że okno zostało wylamane. Na podłodze znalazł odłamki drewna i grudki zaschniętego błota. Odkrył również, że z okrywającego ciała Juana prześcieradła wyrwano kawałek, co wydało mu się podejrzane. To oczywiste, że Pierre był tej nocy u Juana, z pewnością po przesłuchaniu i prawdopodobnie zanim zmarł. Po co zabrał kawałek prześcieradła? Czyżby była na nim jakaś wskazówka co do miejsca ukrycia przedmiotów, które Uribe tak pragnął znaleźć?

Pierre uciekł, zobaczywszy, w jak pożałowania godnym stanie znajdował się Atareche i Pedro był pewien, że budowniczy poznał sekret starca. Pierre wie o wszystkim, myślał Pedro, a to jest niebezpieczne dla mnie, bo może zagrozić mojej pozycji w zakonie, i dla samego zakonu, który będzie musiał tłumaczyć się papieżowi Innocentemu.

Musi go znaleźć. Nie wiedział jednak, od czego zacząć. Rozciągnął prześcieradło okrywające nieruchome ciało Atareche i

zobaczył na łożku plamę krwi, wyglądającą jak krzyż templariuszy. Stwierdził, że znajduje się dokładnie pod wyrwanym strzępem. Przyjrzawszy się dokładnie, zauważył, że z jednego z czubków wychodzi strzałka wskazująca południowy wschód.

Wszystko zaczęło się łączyć. Juan narysował zapewne własną kwią wskazówki, żeby pomóc Pierre'owi lub temu, kto by je znalazł, trafić do miejsca, gdzie ukrył skarb. Pierre zabrał je ze sobą, oderwawszy kawałek prześcieradła. Na szczęście krew przesiąkła przez płótno i odbiła się pod spodem. Uribe wiedział teraz przynajmniej, że Pierre kierował się na południowy wschód. Musi bezzwłocznie wyruszyć na jego poszukiwania. Pobiegnął do swojej celi, by zabrać broń. Znalazł dwóch zaufanych rycerzy i kazał im jak najszybciej osiodłać trzy konie. O swoim wyjeździe powiadomił sekretarza i udał się do stajni, gdzie mnisi osiodłali już jego konia i czekali na wyjaśnienia.

– Bracia, musimy natychmiast wyruszyć na poszukiwania Pierre'a de Subignaca. Dowiedziałem się, że minionej nocy dostał się do twierdzy i ukradł pewien niezwykle cenny dla zakonu przedmiot. Pojedziemy jego śladem na południowy wschód! Obliczyłem, że ma nad nami pół dnia przewagi i jeśli nie będziemy po drodze odpoczywali, dogonimy go. Wykorzystamy jego przerwy w podróży, żeby zyskać na czasie. Jeśli któryś z was go znajdzie, ma go pojmać bez przesłuchania, nie może go jednak zabić.

Trzej templariusze galopem opuścili twierdzę.

Pierre przemierzył w ciągu dnia nizinne rejony nad rzeką Ebro. Wczesnym popołudniem dotarł do zimniejszych i wyżej położonych ziem. Jedynymi jego towarzyszami były straszne wspomnienia ostatnich godzin w Montségur i chwil spędzonych przy zwłokach Juana. Podjął się misji, której celu nie znał, kierując się zaszyfrowanymi wskazówkami. Juan określił ją jako

sprawę życia i śmierci, a Pierre nie wiedział, co czynić i dokąd się udać. W południe zrobiło mu się lżej na sercu, kiedy zaczął czuć moc płynącą z medalionu, który znów go prowadził.

Wspinał się właśnie po urwistym zboczu, porzucił więc rozmyślenia i skoncentrował się na prowadzeniu konia. Na szczycie stanął na chwilę, żeby przyjrzeć się rozciągającemu się na południu krajobrazowi. Niewielka wioska Arnedo leżała u wylotu długiej doliny, w której torowała sobie drogę rzeka Cidacos, ginąca na horyzoncie.

Minąwszy Arnedo i przemierzywszy odcinek drogi biegnący brzegiem szerokiej rzeki, dotarł do miejscowości Arnedillo, gdzie postanowił zakończyć dzień i poszukać noclegu. Następnego ranka ruszy w drogę do Sorii. Powinien tam dotrzeć za dwa dni.

Prześladowcy natrafili na ślad Pierre'a w gospodzie w Lodocie. Dowiedzieli się, że wyruszył zaraz po śniadaniu. Skoro był tutaj, Pedro Uribe wywnioskował, iż musi jechać do Sorii, leżącej w pobliżu starej rzymskiej Numancji. Znał drogę, nie ścigał go więc w pośpiechu. Postanowił, że udadzą się w kierunku Sorii i kiedy się do niego zbliżą, będą go śledzili, dopóki nie dotrą do wskazanego przez Atareche celu. Pozostałą część popołudnia galopowali do Carboneras, gdzie templariusze mieli skromny majątek niedaleko Arnedo. Postanowili spędzić tam noc i następnego dnia podjąć pościg za znieprawionym heretykiem.

Carboneras zostało wzniesione na górze, z której rozciągał się widok na koryto rzeki Cidacos. Droga do posiadłości templariuszy prowadziła przez ciemny, gęsty las, który ledwie pozwalał widzieć szlak prowadzący do niewielkiej kamiennej budowli. W majątku żyło zaledwie dwunastu mnichów. Pedro Uribe był tam dwa razy, kiedy kupował kamień w pobliskim kamieniołomie na potrzeby budowy świątyni w Eunate. Administrator tego miejsca był jego kuzynem, z tego też powodu miał pewność, iż dostanie

schronienie i strawę.

Wspólnota przyjęła ich serdecznie, albowiem goście byli tu rzadkością. Ledwo zakończyły się powitania, wszyscy przeszli do małego refektarza, gdzie czekała kolacja. Mnisi postawili na stole trzy dodatkowe nakrycia i podzielili się z przybyszami gotowanymi ziemniakami z karczochami i szparagami. Reguła templariuszy nakazywała zachowanie umiaru w jedzeniu, zakazując spożywania wielu potraw, w tym mięsa. Mimo to tym razem pozwolono sobie na bardziej wystawny deser. Don Carlos Uribe wniósł na stół przepyszne słodczyce, którymi raczono się w trakcie ożywionej rozmowy. Po komplecie mnisi udali się do swoich cel. Carlos dzielił celę z kuzynem. Gdy zostali sami, zapytał:

– Pedro, nie wyjaśniłeś mi jeszcze, co cię przywiodło na tę ziemię. To, że przybywasz nocą, bez uprzedzenia, każe mi przypuszczać, że musisz mieć jakiś ważny powód.

– Nie mylisz się, drogi kuzynie! – Uribe usiadł wygodnie na prostym krzyżakowym krześle, blisko ogrzewającego pokój ognia. – Wczoraj w nocy umarł Juan de Atareche. – Jego twarz wyrażała głęboki ból.

– Dobry Boże! Jak to się stało? – kuzyn usiadł naprzeciwko Pedra.

– Juan zapadł kilka tygodni temu na gorączkę, która przeniosła się na płuca. Osłabł tak bardzo, że wczoraj w nocy jego serce nie wytrzymało i zakończył życie.

– Tak mi przykro, Pedro. Wiem, że twój przełożony był świętym człowiekiem i łączyła was bliska zażyłość. Ale teraz, kiedy wiem o jego śmierci, jeszcze mniej rozumiem powody twojej niespodziewanej wizyty. Dlaczego jesteś tutaj, zamiast uczestniczyć w uroczystościach pogrzebowych?

– Cóż... powód jest bardzo ważny dla mnie i dla całego zakonu. Wiesz pewnie, że Juan de Atareche spędził wiele lat w Ziemi Świętej. Wszyscy słyszeliśmy o intensywnych poszukiwaniach, prowadzonych przez dziewięciu pierwszych templariuszy,

jakiegoś śladu, symbolu czy dokumentu mającego związek z patriarchami, apostołami lub życiem i męką Jezusa Chrystusa. Nasz założyciel, Hugon de Paynes, wraz z pierwszymi ośmioma mnichami, szukali ich wśród ruin starożytnej Świątyni Salomona, kiedy król Baldwin Drugi oddał im część swego pałacu. Wiesz, że znaleziono pewne precjoza. Jednak wiele lat po podbiciu Ziemi Świętej Juan znalazł kilka świętych przedmiotów, o których istnieniu nikt nie wiedział, wewnątrz grot na pustyni Judzkiej, niedaleko Morza Martwego. Ukrył je przed swoimi przełożonymi i przywiózł do Nawarry. Nigdy ich nie widziałem, ale wiem, że chodzi o starożytny pergamin i niewielką szkatułkę. – Na twarzy Carlosa malowało się zdumienie – Dowiedziałem się o ich istnieniu w czasie rozmowy, jaką przeprowadziłem w tajemnicy z naszym mistrzem prowincjałem. Nakazał mi ustalenie, czy Juan nadal jest w posiadaniu tych cennych relikwii. Te rozkazy pochodziły z samej góry, z siedziby templariuszy w Akce, gdzie pewien mnich, pozostający w zażyłości z Atareche w czasie jego pobytu w Jerozolimie, wyznał wielkiemu mistrzowi, wiele lat później, kiedy został jego zaufanym współpracownikiem, że widział, jak Atareche ukrył je wśród swoich rzeczy tuż przed wyruszeniem z Ziemi Świętej. Stąd wiedzieli, że chodzi o małą szkatułkę i stary papirus, chociaż nikomu nie udało się odkryć, co zawierają. Papież Innocenty został poinformowany przez naszego wielkiego mistrza o istnieniu obydwu zagadkowych przedmiotów i nakazał naszemu zakonowi ich odzyskanie. W tych okolicznościach, jak możesz sobie wyobrazić, szukałem ich we wszystkich zakamarkach naszej siedziby, bez skutku. Później doszedłem do wniosku, że Juan musiał je ukryć w jakimś innym miejscu, wykorzystując liczne podróże, które odbył w ciągu tych wszystkich lat. To wszystko, co wiem! – zakończył Pedro, zmęczony długim monologiem.

– Pedro, dlaczego uważasz, że Juan nie chciał, żeby jego przełożeni wiedzieli o istnieniu tych relikwii? Nie rozumiem, dlaczego je ukrywał – westchnął zaintrygowany Carlos.

– Carlosie, odkryłem coś jeszcze! Juan należał do grupy braci, którzy oddawali się tajemnym ezoterycznym praktykom bez wiedzy naszych przełożonych. Wiele razy zwoływał takie zebrania za zamkniętymi drzwiami. Opowiadał mi dużo o swoich przygodach na Wschodzie, opisywał niezwykle miejsca, jakie tam odwiedził. Ale wśród tych licznych opowieści była jedna, przy której jego oczy nabierały szczególnego blasku. Zapewniam cię, Carlosie, że zmieniał się, kiedy wspominał o czymś związanym z jego poszukiwaniami i odkryciami dotyczącymi sekty współczesnej Chrystusowi – esseńczyków. Badał ich dzieje tak dogłębnie, że zaczął ich podziwiać. Mówił nawet, że Jan Chrzciciel był esseńczykiem.

Carlos drapał się po łysinie, dając do zrozumienia, że nic nie wie o tej sekcie.

– Najwyraźniej – ciągnął Pedro – ludzie ci żyli na pustyni, w jaskiniach, pozbawieni kontaktów ze światem. Wszystko tam było wspólne. Myślę, że to tam Juan znalazł szkatułkę i papirus – orzekł pewnym głosem. – Kazali się nazywać „synami światła”, w opozycji do „synów ciemności”, których uosabiali fałszywi skrybowie i faryzeusze. – Pedro uderzył w krzesło, żeby podkreślić wnioski, do jakich doszedł po długich i żmudnych dociekaninach. – Myślę, że Juan zaczął ich naśladować, zachwycony ich wierzeniami i praktykami! Najpewniej ta grupa braci, w pewnym sensie naśladowców dawnych esseńczyków, używała świętych przedmiotów do jakiegoś rytuału inicjacyjnego.

Carlos siedział bez ruchu, zasluchany w niezwykłą opowieść. Wszystko to wydawało mu się nieprawdopodobne.

– Nawet po tych wyjaśnieniach nie rozumiem, jaki to wszystko ma związek z twoją podróżą.

Pedro przeszedł do pojawienia się Pierre'a de Subignaca, opowiedział o jego udziale w budowie Eunata i zażyłości z Juanem. Zwierzył się kuzynowi ze swoich uzasadnionych podejrzeń co do wpływu Juana na utratę przez Pierre'a wiary i jego późniejsze przystąpienie do katarów. Opowiedział też o dziwnych

okolicznościach śmierci Juana, pomijając metody, jakimi się posłużył, próbując wydobyć z niego informacje. Podzielił się też swoimi podejrzeniami na temat nocnej wizyty Pierre'a przed śmiercią starca i wyjaśnił, dlaczego przypuszcza, iż ten ostatni jest w drodze do miejsca, w którym ukryto szkatułkę i papirus. Dlatego podąża jego tropem do Sorii, w nadziei na przejęcie tych przedmiotów, gdy tylko Pierre je odnajdzie.

– Wyruszymy o świcie, żeby być bliżej Pierre'a. – Przerwał na chwilę, żeby nabrać powietrza. – Cóż, Carlosie, teraz znasz całą historię!

Ponieważ rozmawiali już dość długo, Pedro uznał, że nad-szedł czas, by udać się na spoczynek.

– Drogi kuzynie, już późno. Muszę odpocząć, bo nie wiem, czy mi się to uda w najbliższym czasie.

Pedro zasnął natychmiast, ale Carlos długo jeszcze czuwał i rozmyślał o tym, co usłyszał. Pomyślał, że jego kuzyn, mimo przestępczej przeszłości w świeckim życiu, po wstąpieniu do zakonu miał więcej szczęścia niż on w kwestii miejsca, do którego go wysłano. Takie małe posiadłości zakonu, jak moja, są wyjątkowo nudne! Nigdy nie dzieje się nic ciekawego! Gdybym mógł, poprosiłbym o przeniesienie do jakiejś twierdzy!

O poranku Pierre ruszył brzegiem rzeki, której obecność zdradzał tylko szum wody, tak gęsta była unosząca się nad nią mgła. Gdy zrobiło się jaśniej, zmusił konia do galopu. Czas nagiął.

Po południu dotarł do wsi Yanguas. Ponieważ jałowe tereny, jakie przemierzał, nie rozpraszały go, oddał się rozważaniom nad celem tej podróży. Wyruszając we wskazanym przez Juana kierunku, na południowy wschód, nie miał do wyboru zbyt wielu miejsc. W grę wchodziła Soria, Segowia lub, bardziej na południu, Toledo, albo znacznie dalej – Cáceres. Ponadto, między tymi ważnymi miastami, znajdowały się liczne wsie i miasteczka,

co mogło oznaczać, że jego zadanie jest niemożliwe do wykonania.

Wiedział, że jeśli chce obrać odpowiedni szlak, kierując się zaszyfrowanym rysunkiem, musi dotrzeć do miejsca, w którym spotka kogoś zaufanego, kto będzie potrafił zinterpretować wiadomość umierającego. Zaczął przypominać sobie, co Juan mówił o swoich najbliższych przyjaciółach. Pewnego razu wspomniał młodego komandora prowincji templariuszy w Aragona i Katalonii, jednak Pierre nie mógł spotkać go na wskazanym szlaku. Nagle przypomniał sobie nazwisko Esquívez. Juan mówił o nim wiele razy i jeśli Pierre dobrze pamiętał, był jego bliskim przyjacielem i komandorem posiadłości w okolicach Segowii. Wszystko wskazywało na Esquíveza! Wobec różnych możliwości zdecydował, że powinien najpierw spróbować w Segowii. Zawsze może wrócić do poszukiwań, gdyby ten trop okazał się fałszywy.

Pierre odwiedził Segowę jeden raz, we wczesnej młodości, i pamiętał ją jako jedno z najpiękniejszych miast, jakie widział. Miał wtedy zaledwie osiemnaście lat, ale nadal widział kościoły i wspaniałą katedrę. Mimo iż od lat nie wykonywał swojego zawodu, nadal czuł potrzebę poznawania i obserwowania nowych technik i rozwiązań architektonicznych, nawet jeśli nie miał ich nigdy wykorzystać. W czasie jego poprzedniej podróży kościół Grobu Świętego, który zdobył sobie wielką sławę wśród cechu budowniczych dzięki niespotykanemu rozplanowaniu, jeszcze nie powstał. Słyszał o nim od kolegów i wiedział, że był dwunastokątny i że, podobnie jak w Jerozolimie, w jego centrum zbudowano edykuł. Uznał, że ta konstrukcja jest bardzo interesująca. Sama myśl o przyjrzeniu jej się z bliska czyniła podróż bardzo atrakcyjną. W tej budowli centralny edykuł pełnił rolę pnia drzewa lub głównej osi. Pierre nigdy nie widział takiej konstrukcji architektonicznej. Wizyta w tym kościele mogła być ciekawa, nawet jeśli to nie ona była celem, który chciał mu wskazać Juan.

Wczesnym popołudniem Pierre zostawił za sobą chłodne niziny Sarii, nie wiedząc, że podąża za nim trzech templariuszy,

trzymających się w bezpiecznej odległości.

W czasie następnych dni pogoda się pogorszyła. Pierre wyjechał z Nawarry w pełnym słońcu, lecz im bardziej osiągał południe, tym gęstsze chmury brały w posiadanie niebo. Robiło się coraz zimniej. Od Sorii, aż do Burgo de Ósma, towarzyszył mu bez przerwy ulewny deszcz. Przejechał przez piękne i bogate miasto, zatrzymując się tylko na śniadanie. Następna ważna miejscowość znajdowała się o trzy dni drogi i chociaż deszcz ustał, lodowaty wiatr zapierał mu dech w piersiach. Kilka mil za Pierre'em Pedro Uribe zastanawiał się, jak i gdzie go pojmać.

– Drodzy bracia, nie wiemy, dokąd jedzie. Minął Burgos de Ósma i sądząc po obranym kierunku, jedzie do Burgos albo Segowii. W każdym wypadku musimy czekać, aż odkryjemy jego cel.

Pedro rozkoszował się myślą o minie Pierre'a, kiedy wreszcie ich zobaczy. Satysfakcja, jaką znajdował w tych rozmyślaniach, sprawiała, że nie czuł przejmującego zimna panującego na nizinach, przez które przejeżdżali.

Jego dwaj towarzysze od kilku dni rozmawiali za jego plecami o ich dziwnym i pospiesznym wyjeździe, o pościgu bez wyraźnego celu, i o tym, że nie wiedzą nic o motywach, jakimi kieruje się Pedro. Wiedzieli o nienawiści, jaką darzył Subignaca i byli pewni, że musiał istnieć, inny, osobisty powód pościgu, poza odzyskaniem skradzionego przedmiotu. Wiele razy pytali o zrabowane rzeczy, ale Pedro nigdy nie udzielił im żadnego wyjaśnienia. Na podstawie jego dziwnego zachowania uznali, że znajdują się raczej w głowie Pedra niż w rękach Pierre'a. Musieli jednak być mu posłuszni i nie mogli nie jechać z nim, bo ich próby nakłonienia go do powrotu nie odniosły skutku.

– Bracie Pedro, ścigamy tego człowieka od wielu dni, nie wiedząc, dokąd zmierzamy i co gorsza, kiedy wrócimy. Dlatego uważamy, że powinniśmy pojmać go jeszcze tej nocy, kiedy będzie spał. Odbierzemy mu to, co ukradł, i będziemy mogli zawieźć go do jakiegoś dominikańskiego klasztoru – mówił jeden z templariuszy.

– Rozmawialiśmy o tym i uważamy, że w ten sposób oszczędzimy sobie bezsensownego pościgu, do którego nas zmuszasz – dodał drugi, bardziej stanowczo. – Mamy dużo obowiązków i nie możemy pozostawać tak długo poza twierdzą. Albo działamy natychmiast, albo wracamy.

Pedro, zirytowany nieposłuszeństwem mnichów i widząc ich pożałowania godną słabość, kazał im się zatrzymać i zsiąść z koni. Podeszedł do tego, który przemówił jako drugi, nie zsiadając z konia, uniósł skórzany bicz i wymierzył zdumionemu mnichowi silny cios.

– Jesteście mi winni posłuszeństwo! Nie pozwolę, byście mi się sprzeciwiali! Przypominam, że jesteście mnichami i rycerzami. Ja jestem waszym przełożonym, tak w pracy i modlitwie, jak w walce i na wojnie.

Zraniony mnich, zamiast okazać pokorę, jak tego oczekiwał Pedro, stracił głowę, wyjął miecz i ruszył na niego. Ten ledwie miał czas, żeby dobyć broni. Pierwsze, chybione uderzenie, zraniło go lekko w rękę. Jego odpowiedź była celniejsza, uderzył templariusza w ramię, a ten upadł na ziemię, porażony bólem. Drugi, zdumiony tą sceną, stał jak skamieniały. Pedro patrzył na niego przez chwilę i stwierdził, że jest tak przerażony, iż nie ma zamiaru pomóc towarzyszowi. Zsiadł z konia z uniesionym mieczem, nie spuszczać go z oka, i podeszedł do zranionego mnicha, który powoli się wykrawiał.

– Marcocie, wiesz, że jesteś śmiertelnie ranny. Nie możemy zawieźć cię do żadnego medyka, bo to opóźni pościg. Twoja głupota doprowadziła cię do tak smutnego końca! Sam jesteś winny swej śmierci i możesz mi wierzyć, jest mi przykro. Wolisz umrzeć z godnością czy cierpieć w agonii?

Drugi mnich patrzył zdumiony na tę scenę.

Ranny ścisnął swoje rozplątane ramię, próbując powstrzymać krwotok. Uderzenie miecza przecięło mięśnie i ścięgna, a jego głowa opadła nienaturalnie na bok. Pedro, widząc, że nie otrzyma odpowiedzi, postanowił ulitować się nad tym człowiekiem i przebił jego serce mieczem. W spojrzeniu konającego Pedro

zobaczył przerażenie i bezradność. Podszedł do drugiego mnicha, który stał sparaliżowany strachem i wpatrywał się w zmarłego brata. Mimo iż rozumiał, że Pedro działał w obronie własnej, to tak okrutne dobitcie rannego było dla niego nie do pojęcia.

– Musiałem to zrobić – powiedział Pedro. – Jeśli chcesz, żeby spotkał cię taki sam los, wiesz, jak możesz to osiągnąć, chociaż mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. – W jego lodowatym spojrzeniu można było wyczytać, z jaką łatwością przychodzi mu zabijanie. – Jeśli chcesz jechać ze mną, musisz być mi posłuszny i oddany. Co było, minęło. Mogę na ciebie liczyć, czy wolisz odejść? Jesteś wolny.

Mnich, zastanowiwszy się przez kilka sekund, postanowił zostać.

– Prawdziwy templariusz nie opuszcza swego brata w potrzebie – stwierdził.

– Twoja wierność i determinacja cieszą mnie, bracie. Wsiadajmy na konie i jedźmy.

Wbili ostrogi w boki zwierząt. Przenikliwe wieczorne zimno kłuło skórę ich twarzy setkami ostrych igiełek. Pedro zaciskał mocno zęby, myśląc o tym, że cel jest blisko. Musi odzyskać relikwie dla swojego zakonu, tak jak prosił o to wielki mistrz, a jego ustami sam papież.

Z niewielkiego wiejskiego domu templariusze ukradli ubrania, lepiej nadające się do podróży niż ich habity, które ukryli w sakwach.

Po pięciu dniach Pierre dotarł do Segowii i jej majestatycznego akweduktu, który rysował się na tle nieba. Za nim widać było kręte uliczki, pałace i domy.

Gdy dotarł do jego stóp, zsiadł z konia, zdumiony tym dziełem rzymskiej techniki, które tak dobrze zniosło upływ ponad tysiąca dwustu lat. Wielkie kamienie utrzymywały się jedne na drugich dzięki własnemu ciężarowi, bez żadnej zaprawy.

Po kilku minutach zostawił akwedukt za sobą i wjechał do miasta. Chciał dotrzeć do głównego placu, gdzie na targowisku roił się hałaśliwy tłum. Pierre z przyjemnością wdychał zapachy i oglądał towary. Niektóre widział po raz pierwszy w życiu. Na jednym z kramów wisiały najróżniejsze rodzaje kiełbas, szynki i plastry suszonej polędwicy. Na stołach, na bielusińskich bawelnianych chustach, pyszniły się w równych szeregach aromatyczne sery różnych rozmiarów, kształtów i kolorów. W rogu placu chudy mężczyzna rozlewał hojnie do kubków mocne i aromatyczne wino. Tubalnym głosem obwieszczał, że jest najlepsze w całej Kastylii. Nieco dalej Pierre zobaczył starą kobietę w żałobie, obładowaną plecionymi koszami, pełnymi smakowitych grzybów. Postanowił spróbować niektórych potraw, kupił więc wino i rozmaite wędzone wędliny, żeby zrobić zapas na najbliższe dni. Wreszcie, obejrzawszy prawie wszystkie stragany, wszedł w jedną z wąskich uliczek odchodzących od placu.

Jego śladem podążało dwóch mężczyzn. Nie tracili go z oczu ani na chwilę. Pedro Uribe uznał, że w tym ustronnym miejscu najłatwiej będzie go złapać. Przyspieszył więc kroku i zrównał się z Pierre'em.

Pierre zostawił konia w stajni przy placu, żeby go nakarmiono. Właśnie szukał gospody, w której mógłby odpocząć. Nagle ktoś złapał go za ramię. Odwrócił się i zobaczył uśmiechniętego Pedra Uribe'a w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Oprócz nie milego zaskoczenia poczuł, że w bok na wysokości nerek wbija mu się coś ostrego.

– Kto by pomyślał, że zobaczymy się tak szybko! Radzę ci, żebyś nie stawiał oporu i nie wykonywał gwałtownych ruchów. Celuję sztyłem w twoje plecy i nie zawaham się wbić go po rękojęść.

– Co tu robicie? – wyszeptał Pierre, przerażony.

– Dokładnie to samo co ty, chociaż z większym powodzeniem, bo szkatułka trafi w nasze ręce, zamiast dostać się takiemu

ohydnemu heretykowi jak ty. – Uribe popchnął go w stronę wąskiej uliczki, z dala od natrętnych spojrzeń.

– O czym ty mówisz, Pedro?

Drugi mężczyzna zagradzał mu drogę, uniemożliwiając ucieczkę. Pedro uśmiechnął się cynicznie.

– Pierre, wiem o wszystkim. Juan dał ci wskazówki, żeby szukać skarbu tutaj, w Segowii, ale zapewniam cię, że nie zdołasz go zagarnąć. Ta szkatułka należy do templariuszy i mam zamiar ją odzyskać. – Złapał Pierre'a za szyję i przyciskając do ściany, ciągnął: – Wiem, że wróciłeś w nocy do twierdzy i że Juan wskazał ci miejsce, w którym ją ukrył. Śledziliśmy cię od tamtej chwili i kiedy pojąłem, że jedziesz do Segowii, wszystko stało się jasne. Juan przyjechał do tego miasta w tysiąc dwieście dwudziestym czwartym roku, w tym samym czasie co relikwia z krzyża Jezusa Chrystusa, przeznaczona do nowego kościoła naszego zakonu, poświęconego Grobowi Świętemu. To wtedy musiał ukryć przedmioty, które teraz chcesz dostać w swoje ręce.

Pierre przez kilka sekund zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

Pedro dał mu właśnie kilka wskazówek pozwalających zrozumieć tę część przesłania z prześcieradła, której nie potrafił rozszyfrować. Teraz był pewny, że miał dotrzeć do Segowii, najprawdopodobniej do kościoła Grobu Świętego. Odkrył też, czego ma szukać: kilku przedmiotów, a przynajmniej jeden z nich jest szkatułką. Z jakiegoś powodu Juan nie chciał, żeby dostały się w ręce templariuszy. A on musi uszanować jego wolę, musi wykazywać spryt, żeby Pedro naprowadził go na ich ślad.

Uribe przyłożył mu sztylet do szyi i przysunął twarz do jego twarzy.

– Gdzie je ukrył? Masz minutę, żeby mi to wyjawić, albo pokroję ci gardło na plasterki. Jeśli nie będziesz mówił, zabiję cię i sam je znajdę.

Pierre, myśląc o medalionie, odpowiedział natychmiast:

– Juan wspomniał o kościele Grobu Świętego na przedmieściach Segowii. Tam je ukrył. Ale nie podał mi szczegółów, bo kiedy odwiedziłem go w nocy, nie żył. Zdążyłeś go zabić.

– Przykro mi, że cię zawiodę, ale nie zabiłem go, tylko przesłuchałem, powiedzmy, trochę surowo. – Pierre spojrzął na Uribe'a z obrzydzeniem. – Pójdziemy więc jeszcze tej nocy do kościoła i znajdziemy szkatułkę i pergamin. Jeśli nam pomożesz, obiecuję, że daruję ci życie. Ale jeśli spróbujesz jakichś sztuczek, nie ręczę, że spełnię obietnicę.

Pierre pomyślał, że będzie miał szansę na pozbycie się tych ludzi, jeśli najpierw zaprowadzi ich do siedziby templariuszy, którą zarządzał dobry przyjaciel Juana, Esquívez. Miał przeczucie, że ten człowiek mu pomoże. Uchwycił się tej możliwości bez wahania.

– Pedro, pomogę ci, ale wydaje mi się, że nie powinniśmy iść tej nocy. Kościół na pewno jest dobrze strzeżony i być może zamknięty. Nie wiem, czy uda nam się wejść. Zresztą, nawet gdybyśmy tam weszli, nie znajdziemy szkatułki w ciemności. W ciągu dnia moglibyśmy zbadać dokładnie świątynię i znaleźć jakieś wskazówki, które pomogą nam trafić do miejsca, gdzie ukrył ją Juan. Na pewno nie będzie to łatwe zadanie. Pojedźmy najpierw do majątku templariuszy w Zamarramali, który opiekuje się tym kościołem, i spróbujmy uzyskać zgodę na wejście do niego. Ponieważ jesteście templariuszami, nie powinni robić nam trudności.

– Zgoda! Postaram się przekonać moich braci, żeby pozwolili nam obejrzeć dokładnie kościół. Ale na wypadek, gdyby mi się nie udało, możesz zacząć myśleć o jakimś dobrym pretekście, który pozwoliłby nam zostać tam tyle czasu, żeby znaleźć te przedmioty. – Odsunął sztylet od gardła Pierre'a. – Teraz pójdziemy poszukać zajazdu. Będziemy spali w jednej izbie. Nie chcę cię stracić z oczu ani na minutę.

Kilka kroków od uliczki znaleźli zajazd. Chociaż przez całe popołudnie wymienili ledwie kilka słów, a towarzysz Pedra

wyglądał na niemowę, Pierre podczas kolacji zdołał uzupełnić swoje wiadomości na temat tajemniczej szkatułki i papirusu. Dowiedział się, że Juan przywiózł je z Ziemi Świętej, znalazłszy je w Judei. Z niezrozumiałych przyczyn ukrył znalezisko przed swoimi przełożonymi. Musiały to być przedmioty o ogromnej wartości, skoro tak wielu było zdolnych do morderstwa, żeby wejść w ich posiadanie. Było oczywiste, że Pedro i jego milczący pomocnik gotowi są na wszystko, żeby je zdobyć. Udało mu się również dowiedzieć, że z całą tą historią ma związek główna siedziba templariuszy w Akce. Dziękował w duchu za działanie mocnego wina, które Pedro pił bez umiaru podczas kolacji i które rozwiązało mu język.

Gdy znaleźli się w izbie, Pedro zaryglował drzwi i sprawdził zamknięcie wszystkich okien, żeby Pierre nie mógł uciec. Przywiązał mu ręce i stopy do narożników łóżka i położył się na swoim, upewniwszy się, że więzień nie może się ruszać. Drugi mnich spał w innej izbie.

Po kilku minutach Pierre usłyszał głośne chrapanie. Nie mógł zasnąć, myśląc o wszystkim, co mu się przytrafiło. Starał się połączyć to, co wydedukował z rysunku Juana z tym, co opowiedział mu Pedro. Przypomniawszy sobie moment, w którym pokazał Juanowi medalion. To wtedy starzec zaczął nalegać, żeby Pierre odwiedził go następnego dnia. Co łączy medalion, szkatułkę i papirus?

Z jednej strony Pierre był pewny, że wiadomość, jaką zostawił Juan, przeznaczona była tylko i wyłącznie dla niego. Rysunek musiał kryć jeszcze jakąś wskazówkę na temat miejsca, w którym powinien szukać. Postarał się odtworzyć go w myślach. Ośmiokątny krzyż, z którego wychodziła w kierunku południowo-wschodnim linia zakończona strzałą, a nad nią litera „C”.

Cel wskazywany przez strzałę był już jasny, mimo że odkrył go przypadkiem. Chodziło o kościół Grobu Świętego w Segowii. Początkowo skojarzył „C” z Eunatę, ale mogło też chodzić o jakieś inne miejsce. Trzecia litera alfabetu, nad krzyżem...

Nagle stanął mu przed oczami obraz tradycyjnej świątyni na planie krzyża. W transepcie, gdzie łączą się dwa ramiona krzyża, zawsze znajduje się ołtarz, a nad nim kopuła. Ta z kolei jest symbolem sklepienia niebieskiego. W tym centralnym punkcie, pod kopułą, katolicy uczestniczą w sakramencie komunii, aktu symbolizującego połączenie nieba z ziemią. Z tego, co ludzkie, chleb; z tego, co boskie, ciało Chrystusa.

Tok jego rozumowania był właściwy, ale kościół Grobu Świętego jest zbudowany na planie dwunastokąta i nie ma transeptu!

Juan nauczył go znajdować ośmiokątny krzyż ukryty w strukturze budowli templariuszy. Pomyślał o dwunastokącie. Jeśli połączyć ze sobą dwanaście punktów, nie otrzyma się krzyża. Jednak jeśli pominąć cztery główne punkty – północ, południe, wschód i zachód – i połączyć pozostałe, powstaje krzyż ośmioramienny. Pozostałe cztery punkty mogły tworzyć koło go opisujące. W rezultacie pojawił się krzyż templariuszy, którego środek mógł wyznaczać edykuł w kościele Grobu Świętego, otoczony kołem. To ostatnie być może symbolizuje świat albo po prostu pieczęć templariuszy, która zawsze była okrągła.

Pierre odkrył właśnie, gdzie znajduje się szkatułka ukryta przez jego przyjaciela – wewnątrz centralnego edykułu, osi krzyża templariuszy! Ponadto, idąc śladem drugiej wskazówki – litery „C” narysowanej nad krzyżem – zrozumiał, że Juan wskazywał mu z większą dokładnością, w jakim miejscu edykułu należy szukać.

Trzecia litera alfabetu, „C”, umieszczona dokładnie nad ośmiokątnym krzyżem, wskazuje, że należy szukać również nad edykułem. Zadowolony z tych wniosków, usnął wreszcie, ufając, że następnego dnia wszystko ułoży się po jego myśli.

Posiadłość w Zamarramali składała się z kilku skromnych domów pracy zbudowanych wokół świątyni, a z jej zachodniego

krańca wylaniał się brzydki dodatek w postaci budynku, w którym zapewne mieszkali templariusze. Na pierwszy rzut oka budowla wyglądała na dość skromną, co było niezwykle w przypadku rycerzy mnichów.

Zastukali do wysokiej bramy, która wydawała się niestrzeżona, i po dłuższej chwili otworzył im brat o antypatycznym i mizernym wyglądzie.

– Poza chęcią wyłamania drzwi, co sprowadza wasze moście do tego domostwa?

Przyjrzał się uważnie przez uchylone drzwi trzem postaciom. Ci z jego zakonu nie byli mu znani. Trzeci wyglądał na najbardziej rozbawionego.

– Dzień dobry, bracie! – zawołał Pedro. – Przyjeżdżamy z Nawarry i chcielibyśmy porozmawiać z komandorem tej osady.

– Po co? – zapytało oschle chude indywiduum, które najwyraźniej nie zamierzało ułatwiać im zadania.

Pedro, lekko speszony, próbował znaleźć przekonującą odpowiedź. Pierre był szybszy.

– Przyjechaliśmy pozdrowić komandora Esquíveza. – Pedro spojrział na niego zdziwiony, że zna to nazwisko. Jemu również wydało się znajome.

– Widzę, że znacie naszego przełożonego, Gastona de Esquíveza. – Wrogie nastawienie mnicha zniknęło. – Możecie wejść! Znajdziecie go przy modlitwie na krużganku. Na prawo od dziedzińca. – Otworzył drzwi, pozwalając im wejść.

Dostali się w ten sposób na wewnętrzny dziedziniec. Dwóch młodych mnichów podeszło, by zaprowadzić ich konie do stajni. Po prawej zobaczyli łukowato sklepione przejście prowadzące na krużganki.

– Skąd znasz Gastona de Esquíveza? – Pedro próbował przypomnieć sobie, gdzie słyszał to nazwisko.

– Juan podał mi je przed śmiercią. Nic o nim nie wiem – skłamał Pierre i przyspieszył kroku, żeby uniknąć dalszej indagacji.

Wszedłszy na krużganek, spojrzeli na dwa rozpoczynające się w tym miejscu korytarze, nie znalazłszy żadnego mnicha. Weszli w ten po prawej, i zanim dotarli do jego końca, ujrzeli wiekowego templariusza, pogrążonego w lekturze niewielkiej książki. Gdy do niego podeszli, podniósł wzrok.

– Szukamy komandora Gastona de Esquíveza. – Pierre domyślał się, że mają go przed sobą.

– Znaleźliście go – odparł starzec z uprzejmym uśmiechem. – W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Pedro Uribe, panie. Moi towarzysze to Lucas Asturie, mój pomocnik, i Pierre de Subignac, budowniczy. Powodem naszej obecności na tych ziemiach jest chęć obejrzenia sławnego kościoła Grobu Świętego. Przebyliśmy długą drogę w asyście naszego budowniczego z nadzieją na znalezienie inspiracji, gdyż zamierzamy wznieść nową świątynię. – Pedro wymyślił tę historię na poczekaniu. W ten sposób zyskiwał nieco na czasie. A potrzebował go, żeby upewnić się, czy można zaufać temu mnichowi i jeśli będzie to możliwe, wyjawić mu prawdziwe powody swego przybycia.

– Jeżeli tylko tego chcecie, nie będzie mi trudno was zadowolić. – Esquívez wziął Pedra pod ramię, zapraszając, by poszli za nim. – Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście obejrzeni nasz kościół. Możecie spędzić tam tyle czasu, ile uznacie za stosowne. – Wyglądało na to, że Esquívez ułatwia im zadanie – Wybaczcie jednak moją ciekawość, z jakiej komandorii przybywacie?

Pedro spojrzał porozumiewawczo na Lucasa.

– Należymy do nowej komandorii z okolicy Maestrazgo – oświadczył pewnie. Pierre nie mógł powstrzymać grymasu niechęci. – Jest tak nowa, że prawie nikt nie wie, że istnieje! – zakończył Uribe.

– Doskonale! Cieszę mnie dobre wieści o naszym zakonie i fakt, że wciąż rośnie w siłę – odrzekł Esquívez z uśmiechem. – Przyjechaliście w dobrym momencie, właśnie mieliśmy siadać

do drugiego śniadania. Zechcecie nam towarzyszyć?

Nikt tego nie zauważył, ale Esquívez rozpoznał Pedra Uribe'a, gdy tylko usłyszał jego imię. Znał też Pierre'a de Subignaca. O trzecim nigdy nie słyszał. Wiedział doskonale, że Uribe jest od dłuższego czasu koadiutorem jego przyjaciela Juana de Atareche i chociaż nigdy dotąd się nie spotkali, wiedział o nim sporo, a nie było to nic dobrego. Juan nie ufał mu i był pewny, że go śledzi. Jako że Uribe nie wyjawiał, jaką funkcję pełni i skłamał na temat komandorii, z której pochodzi, postanowił nie demaskować go, dopóki nie pozna jego prawdziwych zamiarów. O Subignacu wiedział, że z Atareche łączy go wielka przyjaźń. Juan wspominał wiele razy o nim i o szacunku, jakim nawzajem się darzyli. Sytuacja wydawała się Esquívezowi podejrzana. Po pierwsze, doszedł do wniosku, że Juan nie wiedział o tej podróży i dlatego komandor podjął grę. Po drugie, chciał poznać ich intencje.

Esquívez podszedł do Pierre'a i biorąc go pod ramię, odciągnął na bok, prowadząc do refektarza, gdzie czekał skromny posiłek.

– Ponieważ jesteście budowniczym – zaczął – pomyślałem, że może moglibyście poświęcić mi chwilę po śniadaniu, żeby doradzić w sprawie rozbudowy naszego majątku. Zrobicie co dla mnie? – Chciał porozmawiać z nim w cztery oczy, albowiem podejrzewał, że Pierre nie znalazł się tu z własnej woli.

– Nic nie sprawi mi większej przyjemności niż możliwość przysłużenia się wam.

Dotarli do obszernego refektarza, gdzie podano im czarny chleb i gotowane warzywa. Między talerzami stały gliniane dzbany z winem. Esquívez opowiadała, jak wygląda życie codzienne w tym majątku, jakie prace wykonują mnisi i o wyjątkowym winie, sławnym w całej Segowii, które sprzedają, żeby

wspomagać finansowo Ziemię Świętą.

Po śniadaniu wyszli na krużganek. Esquívez wyznaczył mnicha do oprowadzenia templariuszy po majątku, podczas gdy on i Pierre mieli obejrzeć projekt prac. Pedro Uribe próbował temu zapobiec – bez skutku. Nie podobało mu się to, że Pierre zostanie sam na sam z Esquívezem, ale ten ostatni był niezwykle przekonujący.

Pierre i Esquívez weszli do skromnie urządzonej izby i zamknęli za sobą drzwi. Starzec nie zwlekał ani sekundy

– Wiem, kim jesteś! – oznajmił zaskoczonemu Pierre'owi. – Juan de Atareche jest moim bliskim przyjacielem, ale zapewne nie wiesz, że znam cię dobrze dzięki jego opowieściom. Przeprowadziłem cię tu, żebyś mógł szczerze ze mną porozmawiać. – Wskazał mu krzesło. – Żeby cię uspokoić, wiedz, że znam również Pedra Uribe'a. Słyszałem o nim same złe rzeczy. Dzieje się tutaj coś dziwnego i musisz mi wyjaśnić, o co chodzi. Możesz liczyć na moją pomoc i dyskrecję.

Pierre spojrzął starcowi w oczy. Znalazł w nich zaufanie, którego tak potrzebował, zaczął więc mówić:

– Nasz przyjaciel Juan de Atareche nie żyje...

– Nie żyje? Co się stało? – Oczy starego templariusza zwiłgotniały. – Wiem, że był bardzo chory, ale nie wiedziałem o jego śmierci...

– Umarł kilka dni temu. Udało mi się go zobaczyć na parę godzin przed śmiercią, ale musisz wiedzieć, że nie umarł z przyczyn naturalnych.

– Chcesz powiedzieć, że sprowokowano jego śmierć? – Esquívez wytarł łzy białą chustką, wyjętą z wewnętrznej kieszeni habitu.

– Powiedzmy, że ją przyspieszono, bo był już w agonii. Wiem, że stało się to z winy Pedra Uribe'a.

– Przeklęty! Ma czelność pojawić się tutaj, kłamiąc i udając niewiniątko! – Esquívez zacisnął pięści. – Na pewno wiesz, po co tu przybył i jakie ma zamiary.

Pierre opowiedział mu, co wydarzyło się w Puente la Reina: o wskazówce, jaką zostawił mu Atareche na prześcieradle, o swojej ucieczce po znalezieniu jego ciała, o swoich domysłach na temat znaczenia wiadomości, i jak doszedł do wniosku, że Juan chciał go doprowadzić do tego miejsca. Następnie opisał ze szczegółami, jak go porwano. Wyjaśnił, w jaki sposób dowiedział się, że Pedro szuka szkatułki i pergaminu i dlaczego podejrzewa, że znajdują się w kościele Grobu Świętego.

– A więc wiedzą! – przerwał mu Esquívez, zaniepokojony. – I wysłał cię, żebyś mnie uprzedził. Zaczynam rozumieć... – Draapał się po podbródku, myśląc, jak pozbyć się Uribe'a i jego pomocnika. Pierre przerwał jego rozmyślenia:

– Po twojej reakcji widzę, że te przedmioty naprawdę istnieją.

– Oczywiście, że istnieją, i są dobrze ukryte. – Esquívez podniósł się i zaczął nerwowo spacerować po izbie, a Pierre, kręcąc głową, wodził za nim wzrokiem.

– Wiedzą, co to za przedmioty, ale nie znają ich znaczenia. Co w nich jest, że budzą zainteresowanie aż w samej Akce?

– Akka również wie o wszystkim?

Na szczęście dla szyi Pierre'a Esquívez zatrzymał się tuż przed nim.

– Tak mi wczoraj powiedzieli. Co może być tak cenne, że interesuje się tym tylu ważnych ludzi? – Pierre płonął z ciekawości.

– Nie mogę ci teraz tego wyjaśnić. Zaufaj mi, gdy nadejdzie odpowiedni moment, a zapewniam cię, że nadejdzie wkrótce, dowiesz się wszystkiego, drogi przyjacielu. Teraz musimy znaleźć twoich prześladowców i podjąć ich grę.

– Co mam robić?

Esquívez miał najwyraźniej jakiś plan i Pierre chciał wiedzieć, jaka będzie jego rola. Templariusz wyjaśnił mu, że pozwolili im pójść do kościoła. Na początku dotrzyma im towarzystwa, żeby pokazać najważniejsze fragmenty świątyni, a potem zostawi samych, chociaż nie oddali się zbyt daleko. Pierre musi przez około

godzinę udawać, że przeszukuje świątynię, a potem zwabić Pedra na drugie piętro edykułu.

– Zobaczysz klapę w suficie. Za nią znajdują się przedmioty, których szukacie. Gdy się tam znajdziecie, poczekaj na mnie. Wejść bocznymi drzwiami, niezauważony przez nikogo, i zajmę się resztą.

Pedro Uribe przyglądał się twarzom obydwu mężczyzn zastanawiając się, o czym rozmawiali przez tyle czasu, ale nie zauważył niczego szczególnego. Powiedzieli mu, że udadzą się teraz do świątyni. Ich konie były już osiodłane. Sam komandor Esquívez dotrzyma im towarzystwa. Po drodze Uribe podjechał do Pierre'a, żeby porozmawiać z nim sam na sam.

– Pierre, jesteś dziwnie spokojny. Mam nadzieję, że spełnisz, co obiecałeś i nie będziesz mówił więcej niż to potrzebne. Udało ci się go przekonać, żeby zostawił nas samych w kościele?

– Zrozumiał, że muszę wykonać dużo obliczeń, żeby odwzorować jego konstrukcję, i że potrzebuję spokoju i czasu.

– Brawo, Pierre! Przyznaję, że nie brakuje ci sprytu. Doskonale! Jestem o krok od zdobycia mojej szkatułki i papirusu.

Pierre spojrzał na niego z odrazą.

Na końcu zbocza zobaczyli zarysy kościoła Grobu Świętego. Pierre przyglądał się jego specyficznemu stylowi. Świątynia była dwunastokątna, z trzema absydami od południa i podwójną, kwadratową wieżą od zachodu. Dekoracja murów była oszczędna, nie było ozdób nawet przy ich zwieńczeniach.

Dotarli do głównej bramy, gdzie dwaj templariusze w zbrojach i hełmach, z długimi mieczami, pilnowali świątyni. Esquívez rozkazał, żeby otworzyli drzwi i wszyscy weszli w milczeniu do środka. Pierre obejrzał dekorację portalu, w kształcie dużego łuku złożonego z trzech archiwolt wspartych na sześciu kolumnach. Niektóre z kapiteli były ozdobione motywami roślinnymi, zwierzęcymi lub postaciami, którym nie zdążył się

przyjrzeć. Lubił interpretować ozdabiające świątynie rzeźby, od gzymsów po kapitele. Jedną z jego najcenniejszych ksiąg był *Bestiariusz*, wyjaśniający niewtajemniczonym znaczenie każdej z rzeźb.

– Panowie, oto sławny kościół Vera Cruz*, który znaliście jako kościół Grobu Świętego. Zmienił nazwę, gdy papież Honoriusz Trzeci podarował mu *lignum crucis*. – Gastón Esquívez przystanął, żeby opisać szczegóły budowli. – Nasz najcenniejszy skarb znajduje się wewnątrz centralnego edykułu.

* *Vera Cruz* – (hiszp.) – prawdziwy krzyż.

Wskazał palcem piękny relikwiarz ze srebra, zawierający fragment Krzyża Świętego, spoczywający na małym ołtarzu, znajdującym się w niewielkiej komnacie wewnątrz edykułu na parterze. Można się było tam dostać jednymi z czterech drzwi, zamkniętych do połowy żelaznymi kratami.

Pierre zauważył, że edykuł składa się z dwóch części. W niższej znajduje się *lignum crucis*, do wyższej prowadzą boczne schody. Główna część edykułu łączy się szpiczastym łukiem ze sklepieniem galerii. Próbował znaleźć trzeci poziom, do którego odnosiły się wskazówki Juana, ale nie udało mu się go dojrzeć ponad poziomem drugim. Musi znajdować się za klapą, o której wspomniał Esquívez.

Uklękli przed relikwiarzem, żeby pomodlić się przez kilka minut. Później obeszlą pozostałą część świątyni, podziwiając jej piękne dekoracje. Wyróżniały się tu zwłaszcza dwa freski ozdabiające dwie z trzech absyd. Jeden z nich, tuż za głównym ołtarzem, poprzedzał piękny duży krucyfiks z drewna. W samej absydzie, na postumencie, stało zniszczone tabernakulum. Kiedy obeszlą cały kościół, Esquívez podszedł do Pierre'a.

– Pierre, ponieważ już skończyliśmy oglądać kościół, możecie zostać tu tyle czasu, ile potrzebujecie, żeby zbadać go dokładnie – powiedział. – Mam nadzieję, że wasz zawód pozwoli

wam znaleźć tu inspirację do budowy nowej świątyni. Jeżeli będziecie czegoś potrzebowali, poproście o pomoc strażników. Wydam im stosowne rozkazy.

Wyszedł ze świątyni, zamykając za sobą drzwi i zostawiając Pedra i Pierre'a samych. Lucas, na polecenie Pedra, został ze strażnikami, by się upewnić, że nie będą im przeszkadzali.

– Do dzieła, Pierre! Żeby zyskać na czasie, będziemy szukali każdy w innym miejscu.

Pedro udał się w stronę absyd, przeszukując każdą najmniejszą szparę. Sprawdzał kamień po kamieniu, upewniając się, że nie przeoczył żadnego niewidocznego na pierwszy rzut oka zagłębienia.

Pierre zaczął od drugiego końca, udając, że robi to samo, czekając, aż upłynie trochę czasu i będzie mógł wejść na drugie piętro. Zastanawiał się, jak Esquívez zdoła, w tak zaawansowanym wieku, powstrzymać Pedra, kiedy ten odkryje podstęp. Po chwili wszedł po schodach na drugie piętro edykułu. Jego konstrukcja była również dwunastokątna, a na środku znajdował się niewielki kamienny ołtarz z figurą leżącego Chrystusa:

W ścianach były trzy okna, największe wychodziło na ołtarz główny. Widział z niego swojego wroga, pochłoniętego bez reszty przeszukiwaniem każdego zakamarka parteru. Sklepienie kaplicy miało rzeźbienia w stylu arabskim, a u jego podstawy znajdowało się dziewięć małych okienek, przez które wpadało światło. Wysoko ponad nimi, dobrze ukryta, znajdowała się drewniana kłapa, która natychmiast przykuła uwagę Pierre'a.

Wychylając się przez okno, zawołał do Pedra, żeby przyszedł jej się przyjrzeć. Po kilku sekundach Uribe był w edykule, patrząc w górę, w kierunku wskazanym przez Pierre'a. Pierre zaś z trudem ukrywał zdenerwowanie, nie mogąc się doczekać nadejścia Esquí veza.

– Pedro, myślę, że za tą kłapą jest to, czego szukamy. Żeby tam dotrzeć, potrzebujemy jakiejś deski albo drabiny. Zauważyłem belkę zwisającą z okna od strony ołtarza. Spróbuj jej dosięgnąć. Może nam się przydać.

Pedro ruszył zdecydowanym krokiem do okna. Wyrzał, ale nie znalazł żadnej belki. Odwracając się, zobaczył uśmiechniętą twarz Esquíveza, którego ręce pchały go w przepaść. Przerażony Pedro próbował złapać się ścian, ale nie znalazł oparcia i runął w dół.

Pierre nie zauważył nadejścia templariusza ani momentu, kiedy pchnął Pedra. Teraz stał jak sparaliżowany. Nienawidził Pedra Uribe'a za to, co zrobił jego przyjacielowi Juanowi i jemu samemu, ale nie sądził, że Esquívez znajdzie tak okrutne rozwiązanie tej sytuacji, chociaż nie miał wyrzutów sumienia.

– Nie będzie już nas dłużej dręczył! – Starzec spojrział zadowolony na Pierre'a. – Za chwilę zajmiemy się tym drugim.

Zeszli, żeby sprawdzić, czy Uribe żyje. Nie ruszał się, był zalany krwią i wyglądało na to, że nie oddycha. Jednocześnie, zaalarmowany hałasem Lucas postanowił sprawdzić, co się stało i wbiegł do środka. Jego spojrzenie padło najpierw na ciało Uribe'a, a później na Esquíveza i Subignaca.

Esquívez próbował go złapać, ale ten ruszył pędem w stronę wyjścia, minął strażników, wsiadł w biegu na konia i pogalopował w kierunku przeciwnym do Zamarramali.

Wybiegłszy ze świątyni, Esquívez patrzył, jak uciekinier znika za wzgórzami. Kazał go ścigać, chociaż nie sądził, aby można go było dopędzić.

– Niech to szlag! – krzyknął wściekły. – Jeśli to dotrze do uszu naszych przełożonych, będę miał kłopoty.

Spojrzał w dal, próbując dostrzec, czy jego ludzie złapali mnicha. Nie pozostało mu już wiele do zrobienia. Pierre obserwował go, wyobrażając sobie, w jak trudnym położeniu znajdzie się ten rycerz, gdy tylko rozejdzie się wieść o tym, co właśnie zrobił. Było mu go żal.

– Wynieśmy ciało! Pochowamy go w jakimś ustronnym miejscu, zanim moi ludzie wrócą.

To Pierre musiał nieść ciało, bo Esquívez dyszał tak ciężko, jakby zaraz miał wyzionąć ducha. Umieścili Pedra na koniu i

ruszyli w kierunku miejsca, które według Esquiveza było usiane grotami i gdzie mogli go pochować bez obawy, że ktoś ich zobaczy.

Ziemia nie była zbyt twarda, ale kopanie za pomocą kamienia stało się dla Pierre'a koszmarem.

Minęły ponad trzy godziny, gdy położył wreszcie ostatni kamień, zakrywający całkowicie miejsce pochówku Uribe'a. Wykończony, usiadł, żeby odpocząć chwilę przed powrotem do komandorii.

– Będę ci na wieki wdzięczny za twoją pomoc. – Templariusz próbował zabawić Pierre'a rozmową, ale martwił się, czy jego żołnierze zdołali pojmać Lucasa. – Jeśli ucieknie, ściągnie mi na głowę sporo kłopotów. Nie wyobrażam sobie nawet, co powiedzą moi zwierzchnicy. No, ale porozmawiajmy o tobie. Przeszedłeś już dość, nie chcę cię obarczać moimi kłopotami! Zastanawiam się, dlaczego Juan chciał, żebyś dotarł aż tutaj?

– Jeszcze tego nie wiem, a im więcej czasu upływa, tym bardziej jestem zagubiony i zdesperowany. W ciągu ostatnich tygodni widziałem śmierć wszystkich, których kochałem. Mojej żony i przyjaciela w Montségur, wraz z wieloma innymi drogimi braćmi i siostrami, a w Puente la Reina naszego umiłowanego Juana. Śmierć tego tutaj najmniej mnie obeszła. – Wskazał grób. – Prześladowano mnie, grożono mi, nie wiem, co jeszcze może się wydarzyć. Wracając do twojego pytania, nie mam pojęcia, czego miałem tu szukać.

– Pierre, drogi przyjacielu, przykro mi widzieć cię tak przybitego. Możesz zostać z nami tak długo, jak zechcesz. Chciałbym, żebyś przy mnie czuł się tak, jak przy Juanie w Nawarze.

Serdeczna twarz Esquiveza była tak podobna do twarzy Juana. Pierre czuł się bardzo osamotniony, ale przynajmniej znalazł kogoś, komu mógł powierzyć swoje tajemnice. Nagle przypomniał sobie scenę w sypialni Juana, kiedy pokazał mu medalion.

– Kiedy widziałem Juana po raz ostatni, jego zachowanie zmieniło się nagle, kiedy pokazałem mu mój medalion. Oświadczył, że musi mi powiedzieć coś, co jest dla mnie sprawą życia i śmierci. Ponieważ nie zdążył tego zrobić, narysował to swoją krwią, żywiąc nadzieję, iż zrozumie, co miał na myśli.

– O jakim medalionie mówisz? – Esquívez był wyraźnie zaintrygowany.

– O tym. – Pierre wyjął klejnot spod koszuli. – O medalionie Izaaka!

Esquívez otworzył szeroko oczy. Teraz intencje Juana de Atarache były jasne: wysyłał mu medalion, wykorzystując oszustwo i zaufanego posłańca.

– Skąd wiesz, że jest prawdziwy? – zapytał, zastanawiając się jednocześnie, jak odebrać medalion.

Pierre opowiedział mu, co słyszał od swojego ojca na temat jego pochodzenia i w jaki sposób wszedł w jego posiadanie.

Esquívez słuchał go, ciesząc się na myśl, że niedługo będzie właścicielem najstarszej ze znanych świata relikwii.

– Teraz, kiedy wyjawileś mi twój największy sekret, ja zrobię to samo – oznajmił Esquívez, a Pierre spojrział na niego zdziwiony. – Szkatułka, której szukał Uribe, należała do wspólnoty esseńczyków znad Morza Martwego. Zabrało ją dwunastu kapłanów mieszkających w Świątyni. Odeszli, żeby stworzyć nową społeczność. Szkatułka to część skarbu Świątyni Salomona, której nie udało się ukryć na górze Nebo. Esseńczycy powierzyli ją Juanowi, aby chronił znajdującą się w niej bransoletę o ogromnej wartości. Papirus zawiera bardzo ważną starożytną przepowiednię. – Nagle jego twarz zmieniła wyraz. – Musisz mi dać ten medalion! Jego energia będzie miała fundamentalne znaczenie dla naszych celów.

Pierre poczuł ukłucie nieufności. Instynktownie schował medalion pod kaftanem. Przeraziło go spojrzenie templariusza. Patrzył tak jak po zabiciu Uribe'a.

– Ten medalion zostanie przy mnie – stwierdził zdecydowanie. – Nigdy nie opuści mojej szyi.

Ten, którego uważał za przyjaciela, który pomógł mu uwolnić się od Pedra i który był przyjacielem jego drogiego Juana, nagle stał się wrogiem.

Zanim Pierre zdążył zareagować, wyciągnięty spomiędzy szat templariusza nóż wbił się w jego szyję. Strumień krwi popłynął przez tchawicę i Pierre upadł martwy.

– Już opuścił twoją szyję.

Esquívez jednym ruchem zerwał medalion i schował go do kieszeni. Ukrył ciało Pierre'a w jaskini i ruszył w drogę powrotną do Vera Cruz. Mnisi wrócili, nie złapawszy uciekiniera.

Gastón wszedł do kościoła i wspiął się na drugie piętro. Po drabinie dotarł do klapy, otworzył ją i wszedł do wąskiej komnaty. Tuż ponad nią znajdowało się drugie pomieszczenie, zwieńczone kopułą. Znalazł odpowiedni kamień, wyjął go ze ściany o wydobył z za niego niewielką szkatułkę z jałowcowego drewna. Otworzył ją i położył medalion obok pięknej bransolety. Umieścił kamień na swoim miejscu i zszedł na dół.

Teraz przepowiednia będzie się mogła spełnić! – pomyślał.

6.

Jerez de los Caballeros, rok 2002

Żwirek parkingu przy hotelu Zafra chrząścił pod szerokimi oponami samochodu. Cyfrowy zegarek pojazdu wskazywał dwudziestą drugą. Portier otworzył drzwi od strony pasażera, Mónica wysiadła. Fernando otworzył bagażnik dźwignią przy kierownicy, żeby wyjąć bagaże. Weszli do recepcji starego hotelu z XV wieku. Był piątek, druga połowa stycznia, nowo rozpoczętego roku 2002.

Wyjechali z Madrytu o szóstej po południu, żeby dotrzeć do Zafry na kolację. Fernando chciał przeznaczyć sobotni rano na wizytę w Jerez de los Caballeros, by dowiedzieć się, kim jest niejaki Carlos Ramírez, osoba związana bezpośrednio z wysłaniem bransolety jego ojcu.

Podróż upłynęła w napięciu. Mónica nie przeszła jeszcze do porządku dziennego nad rozczarowującym zakończeniem tamtego popołudnia w Segowii i zachowywała się z rezerwą. Po drodze rozmawiali przede wszystkim o pracy. Fernando też nie był zbyt rozmowny. Zauważył jednak, że Mónica założyła pierścienek od niego. Jechali sami, gdyż dwa dni wcześniej Paula zadzwoniła do Fernanda, żeby uprzedzić, że przybędzie od razu do Zafry.

W piątek rano miała podpisać umowę z liczącą się siecią sklepów jubilerskich i wieczorem zamierzała wynająć samochód, żeby pojechać do Zafry. Prawdopodobnie dotarła przed nimi.

Portiernia znajdowała się w głębi holu.

– Dobry wieczór, witamy w Zafrze. W czym mogę pomóc?

– Młoda recepcjonistka uśmiechała się, zauroczona niebieskimi oczami Fernanda.

– Dobry wieczór. Zarezerwowałem trzy pokoje na nazwisko Fernando Luengo, na dwie noce.

Sprawdziwszy dane w komputerze, recepcjonistka potwierdziła rezerwację i poprosiła ich o dokumenty.

– Może mi pani powiedzieć, czy któryś został już zajęty przez panią Paulę Luengo?

– Przykro mi, ale jeszcze nikt nie pytał o te pokoje.

Dziewczyna przyglądała się bez żenady przystojnemu klientowi, przekazując jednocześnie klucze boyowi.

– Dałam państwu przylegające do siebie pokoje, numer pięć dla pani Móniki Garcii i numer sześć dla pana, tak jak pan prosił, panie Luengo. To nasze najlepsze apartamenty. Mam nadzieję, że państwa pobyt u nas będzie pod każdym względem udany.

Ruszyli za boyem do windy. Na pierwszym piętrze, po przejściu szerokim korytarzem, dotarli do pokoju z numerem pięć na drzwiach.

– Ten pokój ma najciekawszą historię w całym zamku. Spał w nim konkwistador Hernán Cortés. Pozwolą państwo, że pokażę go pani w kilka minut, a potem zaprowadzę pana do jego apartamentu – powiedział boy, otwierając drzwi kartą magnetyczną i zapraszając ich do środka.

Zapaliwszy światło, postawił torbę Móniki na taborecie i pokazał, gdzie znajduje się barek i jak zapala się światło w całym apartamencie. Wręczając Mónice klucze, wyjaśnił, do czego służy każdy z nich.

– Mały jest od barku. A ten otwiera drzwi – wskazał na lewo – które prowadzą do apartamentu numer sześć. – Rzucił Mónice porozumiewawcze spojrzenie. – Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę zadzwonić pod dziewiątkę. Będzie nam miło pani pomóc.

Fernando odprawił go z hojnym napiwkami, otrzymawszy podobne informacje. On również dostał klucz do drzwi prowadzących do pokoju Móniki. Kiedy znalazł się sam, wybrał numer Pauli, żeby dowiedzieć się, o której przyjedzie na miejsce.

Mónica była pod wrażeniem ogromnego salonu przylegającego do sypialni – na planie prostokąta, zwieńczony kopulastym sklepieniem z kamienia i cegły, ozdobionym geometrycznymi rysunkami. Ściany pokrywały duże arras. Dwa białe fotele i niski stół w stylu francuskim zajmowały jeden z rogów pokoju. Naprzeciwko okna znajdowało się biurko i lampa z kloszem z zielonego szkła. Mónica zdjęła płaszcz i rzuciła go na jeden z foteli.

Jak tu pięknie, pomyślała po drodze do sypialni.

Znajdowała się ona w jednym z rogów zamku i była ogromna. Ściany ozdobiono pięknymi flamandzkimi arrasami, a sufit pokrywały fantastyczne drewniane kasetony z motywami roślinnymi i złożonymi inkrustacjami. Znajdujące się w jednym z rogów pokoju drzwi prowadziły do małej okrągłej sali, która musiała należeć do jednej z baszt. Łóżko było ogromne, z dębowego drewna, z adamaszkowym baldachimem.

Co za szkoda, taki piękny i romantyczny pokój, a będę w nim tylko spała, w dodatku sama, myślała, wyobrażając sobie, jak inaczej mogłoby wszystko wyglądać w towarzystwie Fernanda.

Podeszła do drzwi łączących oba pokoje. „Tak, jak pan prosił, panie Luengo”. Nie zrozumiała, czy recepcjonistka mówiła o rezerwacji obu apartamentów, czy o ich położeniu. Nie wiedząc, jakie były prawdziwe intencje Fernanda, wolała myśleć, że chodziło o tę drugą ewentualność.

- Paulo? Teraz mnie słyszysz?
- Tak, doskonale, Fernando.

Delikatny zapach kwiatu pomarańczy wypełniał wewnętrzne patio restauracji La Chica w Sewilli, na które Paula wyszła, by

mieć lepszy zasięg.

– Właśnie dojechaliśmy do hotelu. Gdzie jesteś? – zapytał Fernando w nadziei, że podczas kolacji jego siostra pomoże rozładować napięcie między nim a Mónicą.

– Ciągle jestem w Sewilli, Fer, i zostanę tu jeszcze chwilę. Właśnie siadam do kolacji z klientami. Próbowałam się wyrwać, ale uparli się, żeby uczcić naszą umowę i nie mogłam odmówić.

– Co za zamieszanie, Paulo! Naturalnie zostaniesz tam na noc? – Tak więc musi rozwiązać swój problem bez niczyjej pomocy.

– Zamieszanie będziecie mieli wy dwoje, zostawieni sam na sam bez mojej kontroli! – roześmiała się Paula. – Mam nadzieję, że rano opowiesz mi o wszystkich szczegółach waszej szalonej nocy i...

– Przestań gadać bzdury, Paulo – przerwał jej Fernando. – Nic się nie wydarzy, bo między nami nic nie ma. Zmieniając temat, o której masz zamiar jutro przyjechać?

– Raczej po obiedzie. Zadzwoń do ciebie, żeby się umówić. – Fernando zamierzał odłożyć słuchawkę. – Poczekaj, nie rozłączaj się jeszcze! Od kilku dni chcę ci coś powiedzieć i nie miałam jeszcze okazji. Chcę, żebyś wiedział, że Mónica bardzo mi się spodobała. Myślę, że świetnie do siebie pasujecie. Innymi słowy, podoba mi się, Fer!

– Dobrze, mamusiu! Widzę, że się nie zmieniłaś. Pogadamy innym razem, nie przez telefon.

Mónica chowała właśnie ubranie do szafy, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Otworzyła Fernandowi i zaprosiła go do środka. Opowiedział jej o planach Pauli i zapytał, czy ma ochotę pójść na kolację.

– Dziękuję ci bardzo, ale jest już późno, a ja jestem zmęczona i nie mam apetytu. Mam ochotę na długi prysznic i rzucenie

się do łóżka. – Była trochę zmieszana i kolacja we dwoje nie wydawała jej się dobrym pomysłem.

– Jak chcesz. W każdym razie, jeśli masz ochotę, mogę poprosić, żeby przynieśli ci coś do pokoju. – Przystała na tę propozycję. – Masz ochotę na coś szczególnego? – Fernando podnosił słuchawkę jednego z telefonów, żeby złożyć zamówienie w recepcji.

– Zamów, co chcesz! Nie mam żadnych specjalnych życzeń, tylko niech nie będzie tego dużo.

Umówili się, że Fernando zabierze ją na śniadanie o dziewiątej, po czym rozstali się, życząc sobie dobrej nocy.

Łazienkę od sypialni oddzielały rozsuwane drzwi z dębowego drewna i szkła, ozdobione białymi firankami. Długa umywalka z marmuru i szerokie lustro zajmowały przeciwległą ścianę. Po jednej stronie, za szklanym parawanem, znajdowała się wyłożona białym marmurem kabina prysznicowa.

Mónica nigdy nie mieszkała w tak luksusowym hotelu. Naciśnęła guzik i natychmiast z licznych otworów zaczęły spływać strugi wody, tworząc wodną zasłonę.

W pokoju Fernanda zadzwonił telefon.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie Luengo. – Fernando rozpoznał głos recepcjonistki. – Zapomniałam przekazać panu wiadomość, którą dla pana zostawiono. Przeczytam ją: „Bar Świetlik. Jedenasta rano”. Przekazał ją przez telefon dziś po południu pan, który przedstawił się jako Lorenzo Ramírez z Jerez de los Caballeros.

– Bardzo dziękuję! Zanim się rozłączymy, czy mogłaby pani posłać do pokoju pani Garcii razem z kolacją butelkę zimnego moët chandon z wiadomością: *Carpe diem*?

– Oczywiście. Za niecałe dziesięć minut pani García będzie miała całe zamówienie w apartamencie. Pan otrzyma swoje w tym samym czasie. Życzę smacznego!

Fernando odłożył słuchawkę i otworzył torbę podróżną, żeby

wyjąć z niej teczkę, w której przechowywał wszystkie informacje, jakie zgromadził do tej pory na temat krewnych świętej pamięci Carlosa Ramíreza. Nie było tego dużo. Znalazł tylko przez wyszukiwarkę internetową niejakiego Lorenzo Ramíreza. Umówił się z nim na następny dzień w czasie jedynej rozmowy, jaką przeprowadzili 28 grudnia. Znając tylko nazwisko, musiał poświęcić wiele energii na odszukanie obecnego profesora historii średniowiecznej na uniwersytecie cáceres. Uzyskanie numeru jego telefonu okazało się jeszcze trudniejsze. Uniwersytet był zamknięty na czas ferii i jedynym źródłem informacji na temat Ramíreza okazały się jego artykuły – w jednym z nich zamieścił swoje dane. Fernando usiadł w wygodnym fotelu i zaczął je przeglądać w oczekiwaniu na kolację.

Mónica cieszyła się pokrzepiającą kąpielą. Wypływająca z ośmiu otworów woda omywała jej ciało, pozwalając się zrelaksować. Napięcie spowodowane podróżą powoli się ulatniało. Namydliła się hotelowym żelem i czekała, aż spłucze go woda.

Fernando otworzył kopertę, którą przysłano z Amsterdamu wczesnym popołudniem. Z powodu nawału spraw do załatwienia przed zamknięciem zakładu, odłożył przeczytanie listu do czasu, kiedy będzie miał spokój.

Szybko przebiegł jego treść. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Bransoleta pochodziła z okresu między XIV i połową XIII wieku przed Chrystusem, złoto było stopem typowym dla ziem górnego Nilu, o składzie podobnym do biżuterii znalezionej w grobowcach faraonów z tej epoki.

Egipska bransoleta!, pomyślał Fernando. Jakie kryje tajemnice i przez ile rąk przeszła, zanim trafiła do moich? Myśl, że jest tak stara, była równie niezwykła, jak niezrozumiały był jej związek z jego ojcem. Dlaczego starożytna bransoleta dotarła właśnie do niego? Fernando szukał w życiu swojego ojca czegoś, co

pomogłoby mu znaleźć odpowiedź, ale nie przychodziło mu do głowy nic specjalnego. Jego wspomnienia nie różniły się niczym od tego, co wiązało zwykle ojca i syna: jego opiekuńczość, kilka kar, bajki przed snem, popołudnia w pracowni złotniczej... W miarę dojrzewania odkrywał jego nowe oblicza: niestrudzonego i odpowiedzialnego rzemieślnika, upartego perfekcjonisty i, przede wszystkim, wymagającego ojca. Gdy Fernando i Paula byli jeszcze mali, uczył ich rozumienia wartości przedmiotów. Jego zakład przechodził trudne chwile tuż przed i zaraz po wojnie domowej, przez co rodzina żyła dość skromnie. Tym trudniej było uwierzyć, że mógł wejść w posiadanie bezcennej egipskiej bransolety.

Rozległo się pukanie do drzwi. Fernando wstał i otworzył kelnerowi, który przywiózł wózek z kolacją. Odprowadził go, wręczając błyszczące dziesięć euro, zamknął drzwi i postawił wózek w salonie, obok fotela. Podniósł przykrywkę. Znalazł pod nią aromatyczną szynkę z goździkami i mały ser z Casar, najlepszy w całej Estremadurze, ułożony w wiklinowym koszyku. Dla Móniki zamówił to samo. Spojrzał na zegarek. Była dwudziesta trzecia trzydziści.

Usiadł w jednym z wygodnych białych foteli i zaczął o niej myśleć, jedząc szynkę. Przypomniawszy sobie dzień, w którym przyszła na rozmowę wstępną. Zakład sprzedawał coraz więcej i potrzebował pomocy specjalisty z dziedziny gemmologii, który odciążałby Fernanda i pozwolił zająć się innymi sprawami. Zaczął inwestować w nieruchomości i nie miał czasu na kupowanie i wycenianie kamieni. Potrzebował wykwalifikowanej osoby, która poświęciłaby się temu całkowicie i zajęła również zarządzaniem sklepem. Mónica była trzecią osobą, z którą rozmawiał tamtego popołudnia.

Przeprowadzanie rozmów kwalifikacyjnych było najgorszym z koszmarów, jakiego można było życzyć największemu wrogowi. Ten, kto je przeprowadzał, musiał wykonać tytaniczną pracę umysłową, starając się wyłapać w krótkiej rozmowie cechy

wymagane na danym stanowisku, rozpoznając jednocześnie wady kandydata.

Każda z poprzednich rozmów zajęła mu godzinę. Kiedy do pokoju weszła Mónica, Fernando był już zmęczony. Od samego początku mu się spodobała, nie tylko z powodu nienagannego wyglądu. Jej CV było idealne. Skończyła studia z wyróżnieniem, a doktorat zrobiła w Instytucie Gemmologicznym w Bazylei, jednej z najbardziej prestiżowych instytucji na świecie. Mówiła płynnie po angielsku i francusku, a miała dopiero dwadzieścia cztery lata. Brakowało jej tylko doświadczenia, właśnie wróciła ze Szwajcarii i po raz pierwszy starała się o pracę.

W porównaniu z poprzednimi kandydatami była zdecydowanie najlepsza. Nieoszlifowany diament! Fernando pomyślał, że może nauczyć ją zawodu, nie musząc walczyć z żadnym złym nawykiem i do tego skorzystać z jej znajomości najnowszych technologii. Zatrudnił ją tego samego dnia, bez wahania.

– Dobry wieczór, Fernando. Po pierwsze, chciałam, ci powiedzieć, że świetnie wybrałeś kolację i dziękuję za szampana. Naprawdę nie musiałeś. – Zapewnił ją, że to nic wielkiego. – Ach, a wiadomość, którą mi przysłałeś, *Carpe diem*, jeśli dobrze pamiętam, znaczy coś w stylu „łap chwilę” albo „korzystaj z każdego dnia”, prawda?

– Dokładnie tak. Staram się w ten sposób przyczynić trochę do tego, żeby ta sentencja się spełniła w czasie twojego pobytu w tym pięknym hotelu.

– Jesteś bardzo miły! Możesz być pewny, że ci się to udaje.

Zapadła cisza, aż wreszcie w słuchawce znów zabrzmiał głos Fernanda.

– Przed chwilą wspominałem twój pierwszy dzień w sklepie, to popołudnie, kiedy przysłaś na rozmowę. Nigdy mi nie powiedziałaś, co wtedy czułaś.

– Co za zbieg okoliczności! Myślałam o tym samym pod prysznicem. Byłam wówczas bardzo zdenerwowana. To była

moja pierwsza rozmowa w sprawie pracy i wiedziałam, że mam przed sobą jednego z najślawniejszych jubilerów w Madrycie. Chciałeś kogoś na stanowisko, które pasowało do mnie jak ulał, wiedziałam o tym od początku. Pamiętam, że siedziałeś w swoim gabinecie i wydałeś mi się bardzo przystojny. Zupełnie nie pasowałeś do mojego wyobrażenia o tobie. Spodziewałam się szacownego staruszka i kiedy cię zobaczyłam, potrzebowałam trochę czasu, żeby oswoić się z sytuacją i nie siedzieć jak idiotka, patrząc ci w oczy. Kiedy po zaledwie dziesięciu minutach powiedziałeś mi, że następnego dnia zaczynam pracę, nie mogłam uwierzyć. Nie masz pojęcia, jaki to był dla mnie szok. – Mówiła już od dłuższego czasu i pomyślała, że musi go nudzić. – Zauważam cię! – Zaprzeczył. – Cóż, zostawmy ten temat. Jestem śpiąca. Jutro czeka nas intensywny dzień!

Pożegnawszy się, oboje dokończyli kolację i położyli się. Mónica wzięła sobie do łóżka kieliszek musującego szampana. Jej spojrzenie pobiegło w stronę drzwi oddzielających ją od Fernanda. Dlaczego ich nie otworzył? Wypiła szampana jednym haustem, zgasiła światło i natychmiast zasnęła.

Kiedy się obudziła, przez ciężkie zasłony przeświecało światło dnia. Przeciągnęła się z zadowoleniem, ciesząc się ostatnimi minutami odpoczynku. Wstała, wyjęła z szafy ubranie, które przygotowała sobie na ten dzień. Podeszła do okna, rozsunęła zasłony i przyjrzała się pejzażowi. Wyglądało na to, że jest dość chłodno. Przebiegł ją dreszcz i pomyślała, że krótka spódnica, którą zamierzała włożyć, nie jest najlepszym wyborem. Znowu zajrzała do szafy i wyjęła z niej spodnie z czarnego sztruksu i kaszmirowy golf w tym samym kolorze. Przebrała się i usiadła, czekając, aż przyjdzie po nią Fernando. Po chwili zapukał do drzwi, ubrany w dzinsy i ciemnoniebieski sweter.

- Dzień dobry, Mónico! Jak się dziś czujesz?
- Hmm, wypoczęta, ale głodna!

– W takim razie, jeśli jesteś już gotowa, zejdźmy na śniadanie. Co ty na to?

Fernando spojrział na zegarek. Była dziewiąta rano. Jeśli śniadanie nie zajmie im zbyt wiele czasu, spodziewał się, że wyjadą o wpół do dziesiątej i dotrą do Jerez de los Caballeros przed wyznaczonym czasem spotkania z jedynym potomkiem tajemniczego Ramireza.

Między jedną a drugą kawą przypomniał sobie o liście z Holandii i pokazał go Mónice, żeby była świadoma ogromnej wartości i wieku bransolety. Skończywszy śniadanie, zapytali w recepcji o drogę do Jerez de los Caballeros. Recepcjonista wytyczył im najlepszą trasę na małej mapie okolicy. Wyjechali spod hotelu o dziewiątej trzydzieści.

Znaleźli się na szosie do Huelvy i po kilku kilometrach skręcili w prawo, wjeżdżając na drogę prowadzącą do Jerez de los Caballeros. Po obydwu jej stronach wzrok gubił się wśród pastwisk, na których pasły się krowy. Zadzwonila komórka Fernanda. Na ekranie ukazał się numer Pauli.

– Dzień dobry, Paulo. Gdzie jesteś?

– Już do was jadę, kochany. Przejechałam właśnie przez miasteczko El Ronquillo. Jeżeli nic się nie wydarzy, zobaczymy się na obiedzie. Jak się umawiamy?

Fernando poprosił Mónicę, żeby poszukała w przewodniku jakiejś restauracji. Znalazła trzygwiazdkowy lokal.

– Kiedy dojedziesz do miasteczka, zapytaj o restaurację, która nazywa się Pustelnia. Będziemy tam od czternastej.

– Jak tam śledztwo, braciszku? Odkryłeś coś nowego?

Fernando zastanowił się, czego jej jeszcze nie powiedział i poinformował Paulę o zaskakujących wynikach nadesłanych z holenderskiego laboratorium.

– Kiedy się zobaczymy, opowiem ci o wszystkim, czego dowiemy się w czasie naszego spotkania z jedynym potomkiem zmarłego przyjaciela ojca, jakiego udało mi się znaleźć. Mam nadzieję, że będę mógł ci przekazać więcej szczegółów.

– A więc bransoleta jest egipska? Jak myślisz, dlaczego wysłali ojcu coś tak starego i cennego?

– Im dłużej o tym myślę, tym trudniej mi znaleźć odpowiedź. Zastanawiam się, co ojciec miał wspólnego z tym zmarłym Estremadurczykiem. Muszę wiedzieć, kim był Carlos Ramírez i jaka się z nim wiąże historia. Tylko w ten sposób będziemy mogli zrozumieć, co łączyło go z ojcem. Dzisiejsza rozmowa będzie na pewno decydująca.

– Rozmawiasz przez głośnik?

– Tak, słuchamy cię oboje.

– Dobrze, więc weź telefon, muszę cię o coś zapytać. – Fernando odłączył zestaw głośnomówiący. O co jej chodzi tym razem? – Udało ci się poczynić postępy z Mónica? Powiedz tylko tak lub nie.

– Nie bardzo – odparł z wahaniem.

– Spokojnie, ja ci pomogę.

– Nie mieszaj się do tego! Tylko tego brakowało! Nawet o tym nie myśl! Nie mam ochoty gadać z tobą o głupstwach. Do widzenia! – Fernando wyłączył telefon i włożył go w uchwyt, trochę zdenerwowany.

Mónica spojrzała na niego z ciekawością, nie mając odwagi spytać, o co chodzi.

– Moja siostra jest niemożliwa. Jej zdolności artystyczne, które, przynajmniej, rozwijają się coraz bardziej, nie są w stanie zrównoważyć jej manii wtykania nosa w nie swoje sprawy. Musi wszystko kontrolować, to silniejsze od niej. Sama zobaczysz, kiedy ją lepiej poznasz.

Wjechali na wzgórze, na którym znak oznajmiał wjazd do miasteczka. Fernando zaparkował na placu Santa Catalina, zapytawszy najpierw policjanta, gdzie jest bar Świetlik. Dowiedział się, że znajduje się zaledwie dwie przecznice dalej.

Fernando spojrzał na zegar ratuszowy. Wskazywał dziesiątą trzydzieści. Mieli jeszcze chwilę na spacer i zwiedzenie miasteczka. Nie pamiętał niczego ze swojej podróży w dzieciństwie. Wszystko wydawało mu się zupełnie obce.

Bar Światlik znajdował się na jednym z boków placu, pod starą błyszczącą reklamą coca-coli. Kiedy weszli do środka, wszyscy klienci przerwali rozmowy i zlustrowali ich od stóp do głów, zwłaszcza Mónicę, która tego dnia wyglądała bardzo atrakcyjnie.

Kelner o pokaźnym brzuchu, zapytany o Lorenza Ramíreza, wskazał im mężczyznę siedzącego plecami do sali, przy stoliku w głębi. Podeszli do niego.

– Dzień dobry. Profesor Lorenzo Ramírez?

Mężczyzna, widząc Mónicę, wstał.

– To ja. Pan musi być Fernando Luengo. – Przywitał się z nim i ucałował szarmancko rękę Móniki, którą Fernando przedstawił jako swoją współpracownicę. – Proszę usiąść.

Podsunał krzesło Mónice i zawołał kelnera, który uważnie przyglądał się gościom.

– Na co mają państwo ochotę?

Kelner wykorzystał okazję, żeby wytrzeć ścierką stół, zmiatając resztki jedzenia zostawione przez poprzedniego klienta. Mónica poprosiła o colę light, a Fernando o mocną kawę. Don Lorenzo nie zamówił niczego. Mónica zaczęła mu się przyglądać. Miał chyba około pięćdziesięciu lat. Zupełnie siwe włosy, dziwne, w jego wieku, pomyślała. Nos i broda wyraziste. Prawie nie widać było oczu zza grubych szkieł okularów. Zachowywał się szarmancko, i był dobrze ubrany, z czego Mónica wywnioskowała, że ma przed sobą estremadurskiego dżentelmena.

– A więc w czym mogę państwu pomóc?

– Mam nadzieję, że w wielu sprawach. Już wyjaśniam – odrzekł Fernando. – Jestem jubilerem i mieszkam w Madrycie, chociaż moja rodzina pochodzi z Segowii. Znalazłem pańskie nazwisko w Internecie, przeszukawszy najpierw książkę telefoniczną, co okazało się prawdziwym koszmarem z powodu ilości osób o takim samym nazwisku jak pańskie. Rzecz w tym, że dowiedziałem się niedawno w dość dziwny sposób, że mój świętej pamięci ojciec był przyjacielem pana krewnego, don Carlosa Ramíreza.

– Rzeczywiście, już panu mówiłem, że jestem jego wnukiem. Ale mój dziadek zmarł wiele lat temu. Dokładnie, jeśli mnie pamięć nie myli, dwudziestego września tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku, niedługo po swoich sześćdziesiątych urodzinach. Jeśli przyjechał pan tutaj, żeby się z nim spotkać, obawiam się, że to niemożliwe.

Mónica otworzyła torebkę i wyjęła notatnik, w którym zapisała datę. Ramirez spojrział na nią podejrzliwie.

– Poza tym, że pracuje pani dla Fernanda, nie jest pani przypadkiem dziennikarką? – zapytał.

Mónica zaczerwieniła się i przeprosiła, wyjaśniając, że robi notatki, żeby porównać znane im daty, co pozwoli lepiej zrozumieć związek między obydwojma mężczyznami. Fernando przyszedł jej z pomocą.

– Pana dziadek wysłał mojemu ojcu pewną rzecz w połowie września trzydziestego trzeciego roku, cztery dni przed śmiercią. Mój ojciec nigdy jej nie otrzymał. Dotarła jednak do mnie kilka tygodni temu i próbuję dowiedzieć się, co ich łączyło.

– Chce mi pan powiedzieć, że nigdy nie otwarto przesyłki i że dotarła do pana teraz, sześćdziesiąt siedem lat od chwili nadania? Wybacz pan, może jestem ograniczony, ale trudno mi to pojąć.

– Z powodów, o których długo by mówić, przesyłka, chodzi o małą paczkę, zawieruszyła się w magazynie. Zapomniano o niej w czasie wojny domowej i w ten sposób przeleżała wiele lat, aż znaleziono ją zaledwie miesiąc temu i wysłano do mnie.

Mężczyzna drapał się po głowie, próbując coś z tego zrozumieć.

– Proszę mi powiedzieć, jeśli to nie tajemnica, co zawierała ta paczka?

– Cóż, wolałbym na razie o tym nie mówić. Chodzi o sprawy rodzinne.

Ramírez skrzywił się, ściągnął brwi i spojrzał nieufnie na Fernanda.

– Zreasumujmy! Pan, jubiler z Madrytu, dzwoni do mnie w Dzień Niewiniątek* i chce się umówić jak najszybciej, co od razu wydało mi się dość dziwne. Przyjeżdża pan tutaj i twierdzi, że pański ojciec utrzymywał kontakty, których natury pan nie zna, z moim zmarłym wiele lat temu dziadkiem. Następnie opowiada mi pan, jak to otrzymał paczkę, która potrzebowała sześćdziesięciu siedmiu lat, żeby do pana dotrzeć. Doskonały przykład sprawności działania hiszpańskiej poczty! A jej zawartość i powód państwa przyjazdu należy do prywatnych spraw rodzinnych. – Przerwał i zaczął wkładać płaszcz. – Państwo wybaczą, przykro mi, że musieliście przebyć tyle kilometrów na próżno. Opiszecie wszystko tak mętnie, że jestem zmuszony was opuścić.

* Dzień Niewiniątek upamiętnia rzeź niewiniątek dokonaną przez Heroda, jest obchodzony w Hiszpanii 28 grudnia i odpowiada polskiemu prima aprilis.

Podniósł się i miał właśnie pocałować Mónicę w rękę, kiedy ta powiedziała:

– Bardzo proszę, niech pan usiądzie. Proszę, don Lorenzo!

Mężczyzna, który nie spodziewał się takiej reakcji pięknej dziewczyny, klapnął na krzesło, czekając na bardziej wyczerpujące wyjaśnienie.

– Mimo że mieliśmy mało czasu, żeby móc się poznać, widzę, że jest pan prawdziwym dżentelmenem. Proszę wybaczyć, że przekazaliśmy panu tak nieuporządkowane i niepełne informacje.

Mężczyzna słuchał tego nieco udobruchany. Pomyślał, że dziewczyna jest rozsądniejsza. Fernando próbował coś powiedzieć, ale Mónica przerwała mu, kładąc rękę na jego ramieniu i ciągnęła:

– Musi pan zrozumieć, że ponieważ nie znamy się jeszcze zbyt dobrze, zaczęliśmy tę rozmowę, nie podając panu wszystkich informacji. Nie wiemy, jak mógłby je pan wykorzystać. Nie

mieliśmy też czasu, żeby poznać pańską wersję wydarzeń. Jestem pewna, że gdy się pan nią z nami podzieli, chętniej opowiemy panu o tym, co wiemy, żebyśmy mogli razem uporządkować ten bałagan. – Mónica poczuła się pewniej, widząc, że Ramírez się uspokoił. – Na początek mogę powiedzieć, nie wnikając na razie w szczegóły, że przedmiot przysłany mojemu szefowi to dość stara ozdoba, którą w tej chwili badamy. Pan Fernando Luengo, ojciec Fernanda, umarł w sześćdziesiątym piątym roku, ale wiemy, że przynajmniej raz był w pana miasteczku w poszukiwaniu informacji o czymś, co miał otrzymać wiele lat wcześniej od pana zmarłego dziadka. Wrócił do Segowii, nie dowiedziawszy się niczego, nie wiemy, z jakiego powodu. Teraz rozumiemy, że to, czego szukał, zostało już wysłane przez pańskiego dziadka. Chociaż nigdy się o tym nie dowiedział! – Lorenzo słuchał uważnie. – Fernando Luengo senior siedział w więzieniu w Segowii w latach trzydzieści dwa – trzydzieści trzy, za pana pozwoleniem i przez szacunek dla jego pamięci, nie będę na razie wyjaśniała dlaczego. Wyszedł na wolność dwudziestego sierpnia. – Nabrała powietrza. Nie była pewna, czy Fernando godzi się na informowanie Ramíreza o tych faktach, ale coś jej mówiło, że profesorowi można ufać. – Niedawno udało nam się sprawdzić w archiwach, że pana dziadek wysłał do więzienia paczkę z ozdobą. Niestety, przesyłka dotarła na miejsce prawie miesiąc po wyjściu Fernanda na wolność. Z nieznanых nam powodów, prawdopodobnie przez zaniedbanie jakiegoś urzędnika, zaginęła w archiwum i pozostała tam przez prawie siedemdziesiąt lat, aż niedawno, przy okazji komputeryzacji Archiwum Historycznego w Segowii, pojawiła się znowu. Resztę historii pan zna.

Don Lorenzo spojrział Fernandowi w oczy, widząc niezadowolone spojrzenie, jakie rzucił Mónice.

– Szanowny panie! – wykrzyknął. – Powinien pan być dumny, że może liczyć na pomoc takiej kobiety!

Fernando uśmiechnął się i spojrzął na Mónicę, tym razem z

wdzięcznością. Teraz zrozumiał strategię dziewczyny. Wyglądało na to, że odnosi skutek. Lorenzo wyglądał na bardziej zrelaksowanego i chętnego do rozmowy.

– Rodzina Ramírez przeniosła się na te ziemie z Leonu razem z królem Alfonsem Dziewiątym – zaczął – żeby wydrzeć ją Arabom na początku trzynastego wieku, między tysiąc dwieście dwudziestym siódmym i tysiąc dwieście trzydziestym rokiem. Pierwsze pokolenie Ramirezów walczyło ramię w ramię z królem i dzięki temu, po odniesionym zwycięstwie, ich hojność i odwaga zostały nagrodzone nadaniem ziem w tej okolicy. Jeśli przyjrzą się państwo mapie południa Badajoz, zobaczą liczne miejscowości, których nazwy świadczą o tym, że zostały podbite przez mieszkańców Leonu. Na przykład, żeby wymienić tylko nieliczne, Fuentes de León, Cañaverál de León, Calera de León i tak dalej. Większość z nich została nadana moim przodkom przez króla. Podarował on również liczne ziemie zakonowi rycerskiemu, zwłaszcza templariuszom, w podzięce za ich udział w konkwistach. Templariusze zbudowali tutaj ogromną komandorię, z centrum w Jerez de los Caballeros, którego nazwa pochodzi właśnie od nich. Proszę sobie wyobrazić, że ich włości były równie rozległe, jak dzisiejsza prowincja Santander.

Mónica robiła notatki, starając się nie uronić niczego ważnego. Można się było spodziewać takich informacji, mając do czynienia z profesorem historii.

– W czasie, kiedy templariusze przebywali na tych ziemiach, aż do rozwiązania zakonu w tysiąc trzysta dwunastym roku przez papieża Klemensa Piątego, mogą sobie państwo wyobrazić ilość politycznych i ekonomicznych kontaktów ze szlacheckimi rodzinami z okolicy, wśród których znajdowała się również moja. Stosunki między potężnymi sąsiadami nie zawsze były dobre. Czasami dochodziło do drobnych konfliktów, które wiele razy prowadziły do utraty jakiejś wsi przez jedną ze stron.

Don Lorenzo zrobił długą przerwę, w czasie której przyglądał

się twarzom słuchaczy, sprawdzając, czy są bez reszty pochłonięci opowieścią.

– Teraz proszę, żebyście zapomnieli na chwilę o tym, co wam opowiedziałem, gdyż przejdę do najważniejszej części opowieści, mającej związek ze sprawą, która was tu przywiodła. – Zniżył głos, żeby nikt oprócz nich nie mógł go usłyszeć. – Kiedy pan do mnie zadzwonił, przejrzałem rodzinne dokumenty, szukając nazwiska pana ojca. Później opowiem państwu, w jaki sposób je znalazłem. Ten fakt naprowadził mnie na trop pewnej teorii. Zanim jednak wyjaśnię szczegóły, powinni państwo wiedzieć jedną rzecz: odkryłem, że moi przodkowie utrzymywali niezwykle i tajemnicze związki z templariuszami!

Znów zamilkł, napawając się efektem, jaki wywołały jego słowa. Zawołał kelnera i poprosił go o kieliszek wina i dwie cole dla swoich słuchaczy.

– Żeby się państwo nie zgubili, skończę ten wątek. Muszę teraz wyjaśnić wszystko od innej strony. Pewnie zastanawiacie się, co mają wspólnego wydarzenia sprzed ośmiuset lat, związane z templariuszami i moją rodziną, z pańskim ojcem i moim dziadkiem, którzy spotkali się przed ponad pół wiekiem. Myślę, że jesteśmy blisko rozwiązania tej zagadki! Chociaż wolę na razie nie wyciągać ostatecznych wniosków. – Zwrócił się do Fernanda: – Odkryłem informacje na temat pańskiego ojca! I nie dlatego, że mój dziadek opowiedział o wszystkim mojemu ojcu, a ten z kolei mnie. Na nieszczęście dla nas wszystkich, obaj utrzymali wszystko w tajemnicy. To, czego się dowiedziałem, odkryłem dzięki studiowaniu dokumentów, jakie zachowały się po śmierci dziadka. Część jego biblioteki i archiwów, które kompletował przez całe życie, spaliły się w czasie wojny domowej. Pozostałe skonfiskowali republikanie, resztę ukrył mój ojciec. – Wypił łyk wina, żeby przepłukać gardło. – Poświęciłem ponad dwadzieścia lat na odzyskanie i zebranie straconych informacji, i poza tym, co spłonęło, znajduję się w posiadaniu prawie wszystkich oryginalnych dokumentów.

Fernando nie wytrzymał i zapytał:

– Z tego, co pan powiedział, zrozumiałem, że wyszedł pan związek między naszymi krewnymi. Co ich, według pana łączyło? I zanim pan odpowie, jeszcze jedno pytanie: czego się pan dowiedział o moim ojcu?

– Z jakiegoś powodu obaj chcieli ukryć coś, czego się dowiedzieli i uznali, że dobrym sposobem będzie doprowadzenie do tego, żeby nie dało się ich powiązać. Dlatego ani pan, ani ja do dziś nic na ten temat nie wiedzieliśmy.

– A jak się poznali? – chciała wiedzieć Mónica.

– To mój dziadek skontaktował się z pańskim ojcem w Segowii. Zrobił to około tysiąc dziewięćset trzydziestego. Udało mi się na to wpaść dzięki wykazowi wydatków zapisanych w jego książce rachunkowej. Dziadek zapisał i nazwał podróż jako „Wizyta w Vera Cruz”. Mówi coś państwu nazwa tego kościoła?

– Tak, i to dużo! – odparł Fernando. – Po pierwsze, to tam pochowano pierwszych Luengo, zmarłych w siedemnastym wieku. Ponadto, z nieznanym nam powodem, za próbę otwarcia ich grobów bez zezwolenia mój ojciec został osadzony w więzieniu. Teraz już pan wie, jak to się stało!

– Mój dziadek zapisał w książce na marginesie adres zakładu złotniczego w Segowii i nazwisko Fernanda Luengo. Co jest w tym najdziwniejsze, obok jego imienia, w cudzysłowie, zanotował inne: „Honoriusz Trzeci”. Wiedzą państwo, kto to taki?

– Myślę, że chodzi o papieża, ale nic o nim nie wiem. – Fernando próbował nadażyć za tokiem rozumowania profesora, lecz w miarę rozwoju opowieści było to coraz trudniejsze.

– Byłem nieuprzejmy, nie opowiadając państwu niczego o sobie. Wiecie już, że jestem profesorem historii średniowiecznej. Moja rodzina żyje na tych ziemiach od dwóch wieków, dziś zostało nam ledwie parę hektarów, z których nie da się wyżyć. Moje pokolenie musiało szukać innych źródeł utrzymania, czasem daleko od naszych korzeni.

– Zatrzymaliśmy się przy Honoriuszu Trzecim. Jaki mógł istnieć, pana zdaniem, związek między dawnym papieżem a ojcem Fernanda? – zapytała Mónica, żeby nie tracić wątku.

– Nie wiem! Jestem w trakcie badania tej kwestii. Istnieje jednak związek z kościołem Vera Cruz, który przyjął tę nazwę, zamiast Grobu Świętego, gdy papież Honoriusz Trzeci wysłał do niego relikwię Krzyża Świętego. Stało się to w tysiąc dwieście dwudziestym czwartym roku, krótko po jego wybudowaniu. Nie wiem, dlaczego mój dziadek zapisał imię pana ojca i Honoriusza Trzeciego obok siebie. Macie państwo jakiś pomysł, który mnie nie przyszedł do głowy?

– Żadnego! Moi przodkowie zostali pochowani w tysiąc sześćset siedemdziesiątym dziewiątym i tysiąc sześćset osiemdziesiątym roku, ponad czterysta lat po wydarzeniu, o którym nam pan opowiedział. Nie potrafię zrozumieć, jaki może istnieć związek między Rzymem a moją rodziną.

Fernando spojrział na zegarek. Czas minął, jak z bicia strzelił, była już prawie druga po południu. Przypomniał sobie o Pauli i zaczął czuć się nieswojo. Jeżeli zaraz nie wyjdą, spóźnią się do restauracji.

– Proszę wybaczyć, że przerywam tę arcyciekawą rozmowę. Moja siostra zaraz przyjedzie do Jerez de los Caballeros. Umówiliśmy się na obiad w restauracji Pustelnia. Byłoby nam miło, gdyby pan do nas dołączył.

Lorenzo Ramírez odmówił, musiał jechać do Sewilli w odwiedziny do chorego krewnego i zamierzał spędzić tam cały weekend. Ponadto w poniedziałek miał wygłosić wykład na tamtejszym uniwersytecie.

– Wybrali państwo dobrą restaurację! Jest znakomita! Polecam zwłaszcza trufle. To ich specjalność. W każdym razie na pewno będziemy mieli jeszcze niejedną okazję, żeby zjeść razem obiad!

Mónica, jak i Fernando, miała jeszcze wiele pytań, jednak

jedna rzecz interesowała ją przede wszystkim i nie chciała, żeby Lorenzo odjechał, nie udzielivszy jej odpowiedzi.

– Zanim się rozstaniemy, chciałam zadać panu ostatnie pytanie na temat pana dziadka. Czy był templariuszem?

Fernando zdębiał, słysząc tak dziwne pytanie. Jednak don Lorenzo uśmiechnął się i spojrział na nią z podziwem. Ta inteligentna kobieta nie przestawała potwierdzać dobrego wrażenia, jakie wywarła na nim na samym początku.

– Spróbuję odpowiedzieć pani najlepiej, jak potrafię. Templariusze zniknęli w tysiąc trzysta dwunastym roku, ale niektórzy z nich działali nadal, w ukryciu, przez setki lat. Udowodniła pani swoim pytaniem, że doszła pani do tego samego wniosku, co ja, z tą różnicą, że ja potrzebowałam lat badań, a pani zaledwie dwóch godzin, tyle, ile zajęła nam rozmowa. Rzeczywiście, podejrzewam, że mój dziadek, Carlos Ramírez, podobnie jak pana dziadek, Fernando Luengo – zwrócił się do Fernanda – należeli, najpierw ten pierwszy, potem, najpewniej za namową mojego dziadka, ten drugi, do templariuszy albo ich nowoczesnego odłamu.

– Chce mi pan powiedzieć, że mój ojciec był templariuszem? – Fernando nie posiadał się ze zdumienia.

– Nie w tradycyjnym sensie. Nie twierdzę, że był rycerzem mnichem, ale zarówno mój dziadek, jak i pana ojciec, musieli należeć do sekretnej grupy osób, które w jakiś sposób odtwarzały ceremonie podobne do tych kultywowanych przez templariuszy.

Fernando nie mógł uwierzyć własnym uszom, ale chciał wiedzieć jak najwięcej o całej tej historii. Lorenzo Ramírez był w posiadaniu znacznie ciekawszych informacji niż te, które im dotychczas przekazał.

– Don Lorenzo, myślę, że powinniśmy jeszcze porozmawiać. Jeśli od tej pory będziemy wymieniać się informacjami, do których każdy z nas dotrze, zrozumiemy, co się wydarzyło. Kiedy znów możemy się spotkać?

– Muszę pojechać do Madrytu w pierwszym tygodniu lutego. Mógłbym spróbować zostać kilka godzin dłużej, żebyśmy mogli porozmawiać.

Fernando dał mu wizytówkę sklepu, na której zapisał swój domowy numer.

– Proszę zadzwonić, kiedy będzie pan znał dokładną datę. Zapraszam pana do mnie do domu, jeśli będzie pan musiał spędzić noc w Madrycie.

– Jest pan bardzo uprzejmy. Będę to miała na uwadze!

Wstali i zaczęli wkładać płaszcze. Lorenzo pomógł Mónice. Fernando zapłacił za napoje i wyszli na plac. Pożegnali się, do następnego spotkania.

– Kochana Mónico, było mi bardzo miło panią poznać. – Ramírez znów pocałował ją w rękę. – Nie spotyka się już kobiet tego kalibru.

Mónica, wdzięczna za pochwały, pocałowała go w policzek.

– Ani dżentelmenów takich jak pan!

Mónica i Fernando, kierując się wskazówkami don Lorenza, znaleźli restaurację, do której weszli w tym samym momencie, co Paula.

– Cześć, Paulo, cieszę się, że znów cię widzę. Jak podróż? – powiedziała Mónica na powitanie.

– Długa i trochę nudna! No, ale jestem wreszcie z wami.

W drodze do drzwi restauracji Mónica przyglądała się Pauli. Wyglądała świetnie, mimo że skończyła pięćdziesiątkę. Na pewno w młodości miała wielu adoratorów. Jej zdaniem Paula była bardzo atrakcyjna, nie mogła przestać podziwiać jej nienagannego wyglądu. Miała piękne niebieskie oczy, dokładnie takie same jak jej brat, oraz świetną figurę. Mónica nie rozumiała, dlaczego jest samotna.

– Mónico, długo mi się przyglądasz. Stara prukwa ze mnie, co?

Mónica, zawstydzona, że została przyłapana, odparła, że jej

zdaniem Paula wygląda świetnie. Skorzystała z okazji, żeby zmienić temat i zapytała ją, gdzie kupiła sweter, który bardzo jej się spodobał.

Weszli do restauracji i usiedli przy okrągłym stole, blisko wspaniałego kominka z granitu.

– Świetnie wybrałaś. To wyjątkowe miejsce. Bardzo romantyczne, prawda? – Paula spojrzała na oboje ze złośliwym uśmiechem.

Fernando przerwał jej sucho:

– Paulo, czy ty się kiedyś zmienisz? Może jak dobiejesz do siedemdziesiątki, do której już ci zresztą niewiele brakuje, przestaniesz mnie męczyć złośliwościami?

– Hej, przystojniaku, nie bądź bezczelny i nie dodawaj mi lat! Ledwo skończyłam pięćdziesiątkę i wiek, o którym mówisz, jest daleko przede mną – prychnęła Paula ze złością.

– Rzeczywiście, wybacz, zapomniałem. Właśnie sobie uświadomiłem, że dopiero cztery lata temu świętowaliśmy u ciebie w domu twoje pięćdziesiąte urodziny. – Fernando nadal wytaczał ciężkie działa.

– I kto to mówi! Młodzieniaszek, który właśnie skończył czterdzieści osiem.

– Czterdzieści sześć – sprostował Fernando.

– Co najmniej czterdzieści siedem – odparowała Paula.

Mónica zaczęła mieć dość tej kłótni.

– Macie zamiar przejść do ciągnięcia się za włosy, czy możemy zjeść jak dorośli ludzie? Podobno ja jestem tu najmłodsza...

– Wybacz, Mónico! Mój brat uwielbia się ze mną kłócić, gdy tylko trafia się okazja.

Fernando znów zaprotestował, mówiąc, że to Paula go sprowokowała, ale na szczęście pojawił się kelner z kartami dań, co pozwoliło na zakończenie rodzinnej sprzeczki.

Zamówili posiłek i znów to Mónica miała wybrać wino. Tym razem poprosiła o les terrasses z 1998 roku. Musiała dołożyć

wszelkich starań i użyć swych dyplomatycznych zdolności, żeby twarze rodzeństwa się rozluźniły i mogli zjeść jak na rodzinę przystało. Doskonale wino i przystawka składająca się z sera i szynki dokonały reszty.

– No dobrze, kochani! Jak wykorzystaliście ten dzień? Rozmowa z tym krewnym Ramireza była ciekawa?

– Fantastyczna – odparł Fernando. – Przede wszystkim dzięki Mónice. Gdyby nie ona, nie osiągnęlibyśmy niczego. Nie wiem, jak to się stało, ale zacząłem rozmowę w tak niefortunny sposób, że don Lorenzo Ramírez, bo tak nazywa się wnuk Carlosa Ramireza, był bliski wyjścia bez udzielenia nam jakichkolwiek wyjaśnień. Zapewniam cię, Paulo, ten człowiek dużo wie. À propos, jest w twoim wieku.

Paula złapała Mónicę za rękę.

– Widzisz, jak on przy każdej okazji mnie prowokuje? Kochana, chwala Bogu, że miał tyle rozsądku, żeby zabrać nas ze sobą. Pamiętasz, że mało brakowało, a zostawiłby nas na lodzie? Tak właśnie radzą sobie mężczyźni, gdy próbują być samowystarczalni!

– Lorenzo Ramírez jest profesorem historii średniowiecznej i powiedział nam, że ojciec był templariuszem – kontynuował Fernando, ignorując ten komentarz.

– Co takiego? Ojciec templariuszem? Skąd ten człowiek wyciągnął podobne bzdury? Nie znam się na templariuszach, przeczytałam o nich tylko parę książek, ale jeśli mnie pamięć nie myli, to byli mnisi z epoki krucjat?

Mónica wyjęła notatnik i streściła rozmowę.

– Lorenzo Ramírez od ponad dwudziestu lat bada obszerne archiwa swego dziadka i doszedł do wniosku, że Carlos Ramírez należał do, powiedzmy, sekty kontynuującej tradycje templariuszy. Poznał waszego ojca około tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, w Segowii i najwyraźniej nawrócił go na swoją wiarę i zwerbował do tej grupy. Opowiedział nam również o historii swojej rodziny. Wygląda na to, że pochodzi od właścicieli ziemskich,

którzy osiedlili się tutaj po nadaniu im dóbr przez królów Kastylii-Leonu. Jego rodzina pochodzi z Leonu. W tym samym czasie królowie dali templariuszom ogromne połacie ziemi, obejmujące wiele miejscowości, w tym tę, w której teraz jesteśmy, i w której znajdowała się siedziba komandorii. Między templariuszami i jego rodziną nawiązały się „bardzo specyficzne kontakty”, jak to ujął Ramirez, nie wnikając w szczegóły. Wszystko to miało miejsce w trzynastym wieku. Osiemset lat później jego dziadek i Fernando Luengo senior nawiązali kontakt w Segowii, z inicjatywy Carlosa Ramíreza, prawdopodobnie w związku z kościołem Vera Cruz.

– Mónico, jesteś cudowna i fantastycznie opowiadasz, ale już się pogubiłam. Za dużo rzeczy naraz. Skąd wie, że spotkali się w trzydziestym roku?

– Dzięki dokładnemu badaniu wielu dokumentów z biblioteki swego dziadka. Najwyraźniej w jakimś starym zeszycie z rachunkami znalazł wykaz wydatków z podróży do Segowii w tym właśnie roku, i to w nich pojawiło się po raz pierwszy nazwisko twojego ojca, obok adresu pracowni. Tę część wydatków, związanych z podróżą, nazwał „Wizyta w Vera Cruz”.

– Świetnie! Wiemy, że się poznali, ale jak Ramirez doszedł do wniosku, że byli templariuszami albo członkami tej sekty będącej kontynuacją templariuszy?

– Nie wyjaśnił nam tego, jeszcze nie skończył badań. Ale, Paulo, możesz być pewna, że ten człowiek wie, co mówi. Ma sporo dowodów!

– Don Lorenzo podejrzewa – wtrącił się Fernando – że próbowali ukryć coś, czego się dowiedzieli i żeby utrzymać to w tajemnicy, nie powiedzieli o swojej znajomości żadnej bliskiej osobie. Dlatego ojciec nie mógł się niczego dowiedzieć w czasie swojej podróży do Jerez de los Caballeros, kiedy byliśmy mali. Pewnie rozmawiał z ojcem Lorenzo Ramíreza, ale ten nic nie wiedział o znajomości, którą jego ojciec utrzymywał w tajemnicy.

Paula spróbowała podsumować to, co usłyszała:

– Ten człowiek przekonał ojca, by przystąpił do templariuszy po tym, jak poznali się w Segowii, gdzie tamten pojechał zobaczyć kościół Vera Cruz, zbudowany przez rycerzy mnichów. Wiemy też, że odkryli coś dziwnego, co utrzymywali w najgłębszym sekrecie. Rozumiem, że mogło mieć coś wspólnego z bransoletą, która nie dotarła do odbiorcy. Wreszcie wiemy, że rodzina Ramirezów pozostawała od wielu lat w specyficznych kontaktach z templariuszami. Nie myłę się?

– Ani trochę, Paulo! Widzę, że chociaż raz używasz swoich nielicznych neuronów – odparł Fernando z odrobiną złośliwości.

– Nie będę komentowała twoich impertynencji! – prychnęła Paula. – Dwa lata po spotkaniu, ojca zatrzymano i wsadzono do więzienia za próbę włamania się do grobów naszych przodków, właśnie w kościele Vera Cruz. Nigdy nie poznaliśmy powodów jego zachowania, między innymi dlatego, że nigdy nam o nich nie opowiedział. Nie uważacie, że mógł istnieć związek między tamtym wydarzeniem i całą tą historią?

– Na pewno! – przyznała Mónica.

– Opowiedzieliśmy o tym don Lorenzowi, ale nie wdawaliśmy się w szczegóły. Będziemy musieli skupić się na tym punkcie następnym razem. Zapisz to sobie!

– Jeśli uznamy to wszystko za prawdopodobne, wniosek jest taki, że ojciec próbował znaleźć w grobach coś, co mogło mieć związek z odkryciem, które utrzymywali w wielkiej tajemnicy.

Fernando przypomniał sobie o imieniu papieża, które znajdowało się obok nazwiska jego ojca w książce rachunkowej.

– Nie powiedzieliśmy ci jeszcze, żeby nie skomplikować sprawy, że w notatkach z podróży, obok nazwiska ojca pojawiło się też imię papieża Honoriusza Trzeciego. Dowiedzieliśmy się, że ten sam papież wysłał do Vera Cruz relikwię w tysiąc dwieście dwudziestym czwartym roku. – Przerwał na chwilę, po czym podjął bardziej zdecydowanie: – Powinniśmy jak najszybciej

zadzwoić do Lucii Herrery! Powiedziała, że jest specjalistką od historii Vera Cruz i templariuszy. Powinniśmy powiedzieć jej, jakimi poszlakami dysponujemy. Może ona pomoże nam zrozumieć, jakie tajemnice kryje ten kościół. Jestem już prawie pewny, że z jakiegoś powodu Vera Cruz jest centrum historii bransolety, uwięzienia naszego ojca i jego tajemniczych kontaktów z Carlosem Ramirezem. Jutro zadzwonię z samego rana do Lucii i umówię się z nią!

Zaczął przeszukiwać portfel i po chwili wyjął z niego wizytówkę.

– Wiedziałem, że dała mi swój numer! – stwierdził triumfalnie.

Paula spojrzała na wizytówkę i, popatrzawszy na Mónicę, zobaczyła na jej twarzy źle skrywany wyraz niechęci.

– Ładna jest ta pani dyrektor archiwum? – zapytała, patrząc w jakiś punkt pomiędzy Mónicą i Fernandem.

– Nie bardzo – odpowiedziała Mónica.

– Jest inteligentna – stwierdził Fernando. – Ale co ma znaczyć to pytanie, Paulo?

Paula spojrzała jeszcze raz na Mónicę, która przyglądała się właśnie resztkom ryby na talerzu, i odpowiedziała bratu:

– Nic takiego... to z czystej ciekawości!

Przyniesiono kawę. Fernando zamówił jeszcze kieliszek brandy, żeby przedłużyć deser. Upiwszy łyk, podzielił się z paniami swoimi wątpliwościami:

– Im więcej szczegółów odkrywamy, tym bardziej sprawa jest niejasna. Na przykład, dlaczego pan Ramírez wysłał bransoletę ojcu i nie zachował jej dla siebie? Zastanawiam się też, co ojciec miał z nią zrobić? Zanim poznamy odpowiedź na to pytanie, powinniśmy zrozumieć, czym jest i do kogo należała bransoleta, którą datują na środkowy okres egipskiego imperium.

Mónica przerwała mu, żeby zwrócić ich uwagę na inne kwestie.

– Wszyscy zastanawiamy się, czego twój ojciec szukał w grobach Luengo. Ale równie tajemniczy, jak to, czego szukał, wydaje mi się cel, do którego mógł tego potrzebować. Wszystkie fakty zdają się wskazywać na to, że próbowali połączyć bransoletę z czymś, czego szukali w grobach. Jeśli było inaczej, po co wysłano ją twojemu ojcu do Segowii? I wreszcie, zakładając, że tak właśnie było, do czego dążyli przy połączeniu obydwu przedmiotów? – Urwała, żeby napić się likieru i kontynuowała: – Z drugiej strony, don Lorenzo prawie nas przekonał, że obydwaj byli templariuszami. Czy to wyjaśnia ich dziwaczne zachowanie i próby połączenia tych rzeczy?

Fernando zachęcił ją, żeby zapisała w notesie wszystkie pytania, by mogli podzielić się pracą, gdyż mieli już za dużo otwartych wątków, żeby zajmować się wszystkimi naraz.

Paula zwróciła uwagę na kwestię, która nie przysłała im jeszcze do głowy.

– Zastanowiliście się przez chwilę, czy działali sami, czy może było więcej osób zamieszanych w tę sprawę albo wiedzących o niej? Mam na myśli ludzi z tej samej sekty. Możliwe, że brali udział w jakimś większym planie.

– Masz sporo racji, Paulo! Nie wpadliśmy na to. Być może my też nie jesteśmy sami w całej tej historii.

Fernando przydzielił każdemu wątki do zbadania.

– Mónico, ty zajmiesz się szukaniem śladu bransolety! Myślę, że dopóki nie dowiemy się, czym naprawdę jest albo przynajmniej do kogo pierwotnie należała, nie będziemy w stanie zrozumieć do końca jej znaczenia. Ty, Paulo, powinnaś sprawdzić dane dotyczące naszych krewnych pochowanych w Vera Cruz! Szukaj wszystkiego, co może dotyczyć ich życia, może dowiemy się, co ukryli w jednym z grobów. Ja poszukam informacji o papieżu Honoriuszu Trzecim, żeby sprawdzić, jaki mógł mieć związek z tym, czego szukał ojciec.

Kelner przyniósł Fernandowi rachunek, który ten zapłacił kartą American Express. Później opowiedział swoim towarzyszkom

o planach na resztę dnia. Po owocnej rozmowie z Lorenzem Ramirezem nie mieli już nic do roboty w tej okolicy, poza zwiedzaniem. Zaprosił je na spacer, by obejrzeć zabytki znajdujące się w miasteczku.

Była prawie dziewiąta wieczorem, kiedy oba samochody podjechały pod hotel w Zafrze. Fernando poprosił o klucze i pomógł Pauli przy załatwianiu formalności. Recepcjonistka o świdrującym spojrzeniu była wyjątkowo niesympatyczna. W dodatku przydzieliła Pauli pokój numer siedem. Wszyscy razem!, pomyślał Fernando. Hotel ma na pewno mnóstwo wolnych pokoi, a musieli jej dać akurat ten sąsiadujący z naszymi. Zaczyna się męka!

– Fer, zaprosisz nas na dobrą kolację, czy załatwisz sprawę byle czym, jak zwykle? Pytam, żeby wiedzieć, w co się ubrać.

– Radzę, żebyście się wystroili. Tej nocy wydam majątek! – zapowiedział Fernando.

– Cieszę się, że udaje ci się go zmienić! Tej nocy styl „elegancka ale dyskretna”, kochanie! – szepnęła Paula Mónica.

Apartament Pauli znajdował się obok apartamentów Móniki i Fernanda, co dawało jej możliwość kontrolowania każdego ich ruchu. Umówili się o dziesiątej, ale zanim Paula zamknęła drzwi, nie wytrzymała i oświadczyła:

– Uwaga z ewentualnym bieganiem od drzwi do drzwi, będę wszystko słyszała! – Roześmiała się i zamknęła drzwi, zagłuszając okrzyk brata.

– Paulaaaaa...!

Mónica i Fernando weszli do swoich pokoi. Ona od razu otworzyła szafę, żeby wybrać kreację na wieczór. Weszła do łazienki z dwoma kostiumami. Jeden kupiła niedawno i wyglądała w nim lepiej. Drugi był może zbyt elegancki na hotelową restaurację. W każdym razie musiała sprawdzić, jak na niej leżą, żeby zdecydować, który będzie bardziej odpowiedni. Po kilku

próbach zdecydowała się na pierwszy. Składał się z dopasowanego golfa w kolorze kości słoniowej, bez rękawów, i prostej spódnicy w tym samym kolorze. Włożywszy go, stwierdziła, że leży doskonale, podkreślając figurę. Włożyła pończochy i, zaakceptowawszy ostateczny efekt, zajęła się makijażem i fryzurą. Po kilku próbach zdecydowała się na warkocz.

Fernando pukał do drzwi Móniki.

– Mónico, już dziesiąta! Długo jeszcze?

– Daj mi dwie sekundy! Już wychodzę!

Odkręciła flakon z perfumami i skropiła szyję i ramiona, po czym, rzuciwszy ostatecznie spojrzenie w lustro, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

– Jak wyglądam? – zakręciła się. – Mam pana akceptację, panie Luengo?

Fernando nie mógł powstrzymać się od komplementu.

– Wyglądasz cudownie!

Zapukali do drzwi Pauli. Ponieważ nie odpowiedziała, zeszli do restauracji. Paula siedziała przy jednym ze stolików, plecami do nich, popijając martini. Gdy tylko się zobaczyły, Mónica i Paula zbladły, widząc, że mają na sobie taki sam komplet.

Fernando zaczął się śmiać z wyrazu niedowierzania, z jakim się sobie przyglądały.

– Tej nocy wyglądacie równie pięknie, bez dwóch zdań – starał się ratować sytuację.

– Jesteś idiotą, braciszku! Takie chwile są jednymi z najbardziej zawstydzających, każda kobieta boi się ich zawsze, gdy musi się elegancko ubrać. Mógłbyś być trochę delikatniejszy, mój drogi!

– Jeśli to was pocieszy, przynajmniej nie macie takich samych włosów ani kolczyków – zauważył Fernando.

Spojrzeli na siebie i wybuchnęli wesołym śmiechem.

W czasie kolacji Mónice udało się dowiedzieć czegoś o życiu Pauli. Opowiedziała jej, że miała narzeczonego, który umarł dwa

dni przed ślubem, kiedy miała trzydzieści pięć lat. Poznali się, kiedy byli bardzo młodzi, ale potrzebowali dużo czasu, żeby zdecydować się na zalegalizowanie związku. Szok po tamtym smutnym wydarzeniu odbił się na jej psychice i postanowiła, że będzie żyła sama do końca swoich dni. Warsztat złotniczy i praca pozwalały jej zapełnić pustkę.

Mónice żal było Pauli, ale jednocześnie zaczęła bardziej ją cenić. Za jej ironią i silnym charakterem kryła się przeszłość pełna bólu i smutku. Mónica postanowiła spotykać się z nią częściej, sam na sam, żeby mogły lepiej się poznać. Bardzo ją polubiła! Zaczęła też zdawać sobie sprawę, że sympatia jest obopólna.

Umówili się, że spotkają się na śniadaniu o dziewiątej. Życzyli sobie dobrej nocy, a Paula, o dziwo, nie rzuciła żadnego figlarnego komentarza.

Przykre wydarzenia, o których sobie przypomniała, popsęły jej nieco humor.

Mónica weszła do swojego apartamentu, czując głęboki smutek na myśl o życiu Pauli. Usiadła przy biurku w saloniku i wybrała numer jej pokoju.

– Słucham? – odezwała się Paula.

– Tu Mónica!

– Nie musisz nic mówić! Wiem, dlaczego dzwonisz! Zostawili cię samą w tym pięknym pokoju i jesteś trochę zagubiona i znudzona. Nie mam racji?

– Nie, daj spokój. Żarty na bok. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że chciałabym się kiedyś z tobą spotkać. Lubię z tobą przebywać i bardzo bym chciała, żebyśmy się lepiej poznały.

– Możesz na to liczyć. Podoba mi się ten pomysł. Zadzwoń do ciebie kiedyś i się umówimy... – Paula zawahała się przez chwilę, czy zadać niedyskretne pytanie. – A tak przy okazji... nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz, chociaż nie będę mogła zasnąć, jeśli się tego nie dowiem. Wiesz, jaka ze mnie plotkara. Podoba ci się mój brat?

– Daj spokój – odpowiedziała Mónica bez namysłu.

– Cieszę się, Mónico. Powiem więcej: nie wiem, czy zauważyłaś, ale ty również mu się podobasz.

– Tak myślisz? – zapytała Mónica niewinnie.

– Wiesz, jacy mężczyźni są niezdarni, gdy muszą wyrazić, co czują. Myślę, że dobrze znam Fernanda i wiem, co mówię. Pozwól mu działać. Niech przejmie inicjatywę. Jestem pewna, że mimo iż zajmie mu to trochę czasu, powie ci, co do ciebie czuje.

Tej nocy Mónica znów patrzyła na drzwi oddzielające ją od Fernanda, ale tym razem nie marzyła o tym, żeby się otworzyły, była szczęśliwa. Zasnęła, powtarzając sobie: Fernando mnie kocha! Fernando mnie kocha!

7.

Kościół Świętego Jana na Luteranie, Rzym, rok 1244

– Jeśli możecie poczekać jeszcze chwilę, zapewniam, że papież Innocenty skończy mszę za mniej niż godzinę i będzie mógł zająć się waszą sprawą. Proszę zaczekać w Komnacie Lustrzanej, tam się z wami spotka.

Osobisty sekretarz papieża niósł gruby pakiet dokumentów. Zdenerwowany, wyjaśnił Armandowi de Périgord, wielkiemu mistrzowi zakonu templariuszy, i Guillemowi de Cardonie, mistrzowi prowincji Aragonii i Katalonii, że nie będzie mógł im towarzyszyć z powodu nawału obowiązków, którym musi sprostać przed południem. Wyszedł w pośpiechu z komnaty, pożegnawszy się uprzejmie. Templariusze usiedli w dwóch wysokich fotelach przed długim stołem z orzechowego drewna, ozdobionym dużą marmurową rzeźbą przedstawiającą ukrzyżowanego Chrystusa.

– Obawiam się, że papieża nie ucieszą nowiny, jakie przynosimy, panie Armandzie. Wy znacie go lepiej, jaki ma charakter?

Wielki mistrz wygładzał właśnie długi biały habit z czerwonym ośmioramiennym krzyżem widniejącym pod grubym sznurem zawiązanym w pasie. Na jego barkach spoczywała od dwunastu lat odpowiedzialność za zakon templariuszy, odkąd przeniesiono jego siedzibę do warownego miasta Akki, na północnym

wybrzeżu okręgu Hajfy. Od 1187 roku, po zdobyciu Jerozolimy przez oddziały Saladyna, trzeba było przenieść się do Akki, gdzie krzyżowcy nadal utrzymywali jeden z najbardziej aktywnych portów na Wschodzie.

Już nie pierwszy raz mieli rozmawiać z papieżem o sprawie, która przywiodła ich do Rzymu. Ponieważ papież Innocenty, człowiek uparty, poprzednim razem naciskał, by osobiście nadzorować poszukiwania tajemniczych relikwii – zważywszy na mizerne rezultaty ich wysiłków – niepokoiła ich jego reakcja, gdy usłyszy nowiny z Segowii.

– Drogi Guillemie, Innocenty Czwarty to święty człowiek, ale wpada w złość, kiedy sprawy nie toczą się po jego myśli. Gdy przeczytałem listy od niego z żądaniami informacji na temat naszych postępów w poszukiwaniach sławnej szkatuły i papirusu, uznałem, że nie możemy dłużej odkładać naszych wyjaśnień i powinniśmy pojechać do Rzymu. Możecie mi wierzyć, że nie cieszy mnie wcale konieczność przekazania mu tak złych wieści. Ponadto trudna sytuacja w Ziemi Świętej nie pozwala mi na podejmowanie tak długich podróży, jak kilka lat temu.

Guillem de Cardona był bardzo zdenerwowany. Uważał się za człowieka honoru i wypełniał sumiennie wszystkie zadania, jakie powierzali mu przełożeni. Tym razem było inaczej. Próba odzyskania tych przedmiotów – o których wiedzieli, że ich komandor, Juan de Atareche, przywiózł z Ziemi Świętej i ukrył – nie tylko zakończyła się niepowodzeniem, ale, na domiar złego, doprowadziła do zabójstwa Pedra, jego najwierniejszego szpiega. Dzięki temu, że jego pomocnik, Lucas Ascorbe, zdołał uciec, mógł usłyszeć z pierwszej ręki o wydarzeniach, jakie rozegrały się w Vera Cruz. Ponieważ chodziło o zlecenie papieskie, bezzwłocznie poinformował o wszystkim wielkiego mistrza Armanda. Po pewnym czasie otrzymał list z głównej siedziby templariuszy, w którym nakazywano mu stawiać się w Rzymie i udzielenie wyjaśnień samemu Ojcu Świętemu.

Wielki mistrz Périgord był również bardzo zaniepokojony. Wyobrażał sobie, jak wyjaśnia papieżowi, któremu winien był całkowite posłuszeństwo, dlaczego nie osiągnięto niczego w tej misji, zleconej jego zakonowi i jemu osobiście w czasie jednej z prywatnych audiencji.

Był przekonany, że ta sprawa przeszkodzi mu w zebraniu ludzi i dóbr, by podjąć kolejną wyprawę przeciwko niewiernym w Gazie. Zanim rozpocznie się ta krucjata, w którą zaangażował się osobiście Innocenty IV, wzywając do niej chrześcijańskich książąt, chciał odzyskać niektóre ze strategicznych enklaw w Palestynie.

Guillem, próbując skrócić sobie pełne napięcia oczekiwanie, zaczął rozglądać się po komnacie. Nie bez powodu nadano jej taką nazwę: była wyłożona wielkimi lustrami od sufitu do podłogi. Wrażenie głębi było złudne, gdyż jej wymiary były niewielkie.

– *Pax vobiscum*, moi synowie!

Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich szeroko uśmiechnięty Innocenty.

– *Et cum spiritu tuo*, Wasza Świątobliwość!

Wstawszy, ucałowali z szacunkiem pierścień następcy świętego Piotra. Zaczekali, aż usiądzie w fotelu, i dopiero potem wrócili na swoje miejsca.

– Pokażcie mi je bez zwłoki! Chcę usłyszeć całą opowieść. Ale proszę, najpierw mi je pokażcie. Tak pragnąłem nadejścia tego dnia, nie mogę dłużej czekać! – Zdenerwowany papież bawił się wiszącym na szyi krucyfiksem i patrzył na nich uważnie.

– Wasza Świątobliwość, obawiam się, że nie mogę jeszcze spełnić twego życzenia – zaczął Armand.

– Oddaliście je mojemu sekretarzowi? – przerwał mu papież. – Jeśli tak, wiedzcie, że okazaliście mi nieposłuszeństwo. Kazałem wam dać je mnie!

Wielki mistrz Armand poruszył się na krześle i odchrząknął, szukając najwłaściwszych słów, żeby przekazać złą wiadomość. Odetchnąwszy, zaczął wyjaśniać, co się wydarzyło:

– Wasza Świątobliwość, jak pisałem wam w ostatnim liście, sądzimy, że udało nam się dowiedzieć, gdzie są, dzięki pomocy waszego syna i członka naszego zakonu, który skontaktował się z obecnym tutaj Guillemem de Cardona, naszym mistrzem w królestwie Aragonii. Przykro mi jednak dodać, że nie udało nam się jeszcze ich odzyskać.

– Co takiego?! – Oczy papieża prawie wyszły z orbit.

Zmarszczył czoło tak bardzo, że zbladło. Ręka, która wcześniej bawiła się krucyfiksem, teraz uderzała w blat stołu. Następnie, z groźną miną, złapał podstawę ciężkiej lampy oliwnej. – Chcecie powiedzieć, że nie potrafiliście wykonać tak prostego zadania? – Zrobił krótką przerwę. – Wybaczcie, ale nie rozumiem! – Cisza, która zapadła, zdawała się przesywać obydwu mężczyzn na wylot. – W takim razie, gdzie, waszym zdaniem, ukryte są te relikwie?

Rozdygotany mistrz z Aragonii opowiedział papieżowi o wydarzeniach, jakie miały miejsce po śmierci Juana de Atareche i o pościgu za dawnym przyjacielem zmarłego, którego podejrzewali o to, że wie, gdzie przechowywane są te przedmioty. Pedro Uribe, zastępca komandora Atareche, śledził go wraz z innym mnichem, który jest jedynym świadkiem tego, co się wydarzyło.

– Po pojmaniu Pierre'a de Subignaca, bo tak się nazywa przyjaciel tego zdrajcy Atareche, dotarli do majątku należącego do naszego zakonu, w niewielkiej wiosce nieopodal Segowii o nazwie Zamarramala. – Papieżowi wydawało się, że słyszał już tę nazwę, jednak nie mógł sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach. Uważając, żeby nie zapomnieć o żadnym ważnym szczególe, mistrz Cardona kontynuował opowieść: – Pod groźbą śmierci – twarz papieża nie zmieniła wyrazu – Subignac wydawał się współpracować przy odzyskaniu świętych przedmiotów. Postanowili spotkać się z komandorem Zamarramali, żeby uzyskać pozwolenie na odwiedzenie i zbadanie miejsca, gdzie, jak podejrzewali, ukryto przedmioty: kościoła Vera Cruz.

– A więc są w Vera Cruz! Co za zbieg okoliczności... – przerwał mu papież.

Puścił już lampę i teraz pocierał palce, starając się je rozluźnić. Jego początkowe napięcie zaczęło najwyraźniej ustępować. Zastanawiał się, jak poradzić sobie z tą niezwykłą sytuacją. Tymczasem jego gość mówił dalej:

– Gdy ich prośba została zaakceptowana, udali się do kościoła w towarzystwie samego komandora. Od tego momentu nie wiemy dokładnie, co się wydarzyło. Pozostałe fakty znamy dzięki naszemu informatorowi, który był świadkiem tylko opłakanych skutków tego, co stało się w świątyni. Najwyraźniej zostali sami na tyle długo, żeby zbadać jej wnętrze, podczas gdy drugi mnich pilnował wejścia i dwóch strażników. Nagle usłyszał dziwny hałas. To, co zobaczył, spowodowało, że uciekł przerażony. Galopował bez odpoczynku przez kilka dni, aż udało mu się mnie znaleźć i opowiedzieć o wszystkim. – Innocenty czekał niecierpliwie na koniec historii. – Znalazł Pedra Uribe'a martwego, w kałuży krwi, u stóp jego zabójców: Subignaca i komandora. Ten ostatni próbował zatrzymać naszego informatora, na szczęście bez powodzenia. – Cardona odetchnął, nieco spokojniejszy, świadom, że najgorszą część spotkania ma już za sobą.

– Co za wyczerpujące sprawozdanie, mój synu! – Papież spojrział najpierw na Aragończyka, a później na drugiego rycerza. – Chciałbym wiedzieć jeszcze dwie rzeczy: kim jest ten komandor? A po drugie, skoro wiecie już, gdzie znajdują się szkatułka i papirus, co wam przeszkodziło w dostarczeniu mi ich?

– Ja odpowiem na te pytania. – Wielki mistrz czekał z rezygnacją na ten moment. – Komandor nazywa się Gastón de Esquívez...

– Gastón de Esquívez i Vera Cruz. Teraz już wiem, o kim mowa. – Papież pozwolił słowom zawisnąć w ciszy. – Skończ, synu, później pomówimy o tej postaci.

Périgord wyjaśnił, że chciał rozwiązać tę kwestię dyskretnie i wysyłać umyślnych po poszukiwane przedmioty, gdyż Esquívez był jednocześnie źródłem ich kłopotów i jednym z podejrzanych

w śledztwie prowadzonym w najwyższej tajemnicy przez jego ludzi. W siedzibie templariuszy wiadano, że istnieje grupa rycerzy z Europy, którzy praktykują dziwaczne rytuały. Śledztwo, mające na celu rozwiązanie tego zgniłego odgałęzienia wielkiego drzewa zakonu, miało właśnie wydać pierwsze owoce. Na razie zidentyfikowano dwóch mistrzów regionalnych i pięciu komandorów jako członków grupy, ale podejrzewano, że jeszcze co najmniej pięciu pozostaje w ukryciu.

– Nigdy nie wspomniałeś mi o tej sekcji! – wykrzyknął Innocenty IV, zawiedziony takim brakiem szczerości.

– Wasza Świątobliwość, nie brakowało mi powodów. Na początku nie uważałem sprawy za istotną, ale gdy poznałem nazwiska niektórych z rycerzy, zacząłem bardziej się nią interesować i chociaż powinienem był wam o wszystkim powiedzieć, chciałem najpierw z nimi skończyć, żeby móc przedstawić wszystkie szczegóły.

– Nie interesują mnie powody, jakimi się kierowałeś, proszę, mów dalej.

– Kiedy dowiedzieliśmy się o tym, co się wydarzyło w Vera Cruz chcieliśmy wysłać uzbrojoną grupę, żeby zbadała fakty i odzyskała relikwie. Jednak po namyśle doszliśmy do wniosku, że Esquívez należy z całą pewnością do nielegalnej sekty, i zmieniliśmy zdanie. Jeśli wiadomość o jego ujęciu dotarłaby do jego współwyznawców, śledztwo mogłoby utknąć w miejscu. Dlatego powstrzymaliśmy się od podejmowania jakichkolwiek działań, oprócz pilnowania, żeby nie przeniósł świętych przedmiotów w inne miejsce. Wie, że dowiedzieliśmy się o śmierci Uribe'a, ale nie miał jeszcze od nas żadnych wieści. Z pewnością będzie chciał chronić przedmioty, których wszyscy pragniemy.

Skończywszy, Armand poczuł taki sam spokój, jakiego doświadczał po spowiedzi u swojego kapelana.

Osoby najbliższe papieżowi wiedziały, że kiedy jest wściekły, opanowuje go uporczywy, suchy kaszel, któremu towarzyszy drżenie podbródka. Każdy, kto go znał i rozpoznawał te symptomy,

wiedział, że w takich chwilach najlepiej być jak najdalej od niego. Gdy skończył słuchać templariuszy, pojawiły się u niego oba te nerwowe tiki. Zacisnął ze złością zęby, ale po kilku sekundach zdawało się, że zaczyna się uspokajać.

– Ciekawy zbieg okoliczności, jak szybko zrozumiecie, zachęca mnie do opowiedzenia wam czegoś, co będziecie musieli potwierdzić. Mój poprzednik, Honoriusz Trzeci, wysłał relikwię Krzyża Świętego, w pięknym srebrnym relikwiarzu, do kościoła Grobu Świętego w Segowii. Dlatego kościół zmienił nazwę na Vera Cruz. Z wielu powodów, których nie będę tu wymieniał, próbowałem wielokrotnie odzyskać tę relikwię, prosząc waszego komandora Esquiveza, by ją oddał, zawsze bez skutku. Wysłano wiele listów z moją pieczęcią, na które nie otrzymałem odpowiedzi. – Uderzył w oparcie fotela. – Ten nędznik nie wie, co go czeka! Nie tylko przetrzymuje relikwiarz, ale ukrywa dwie tajemnicze relikwie, szkatułę i papirus, które próbowaliśmy odnaleźć od dłuższego czasu. – Oczy mu błyszczały. – Zdobędę te relikwie bez niczyjej przemocy i tak, że nawet się nie zorientuje!

– Ale, Wasza Świątobliwość – wtrącił wielki mistrz – jak zdołacie to zrobić? O ile znam Esquiveza, nie sądzę, żeby mogło się to udać bez użycia siły.

Papież spojrział na Armanda de Périgord. W jego oczach pojawiły się chytne błyski.

– Już odpowiadam na twoje pytanie: to nie ja się tym zajmę, zrobicie to wy! – oznajmił stanowczo. – Ja podsunę wam pomysł, jak przejąć relikwiarz z *lignum crucis*. Sposób zdobycia pozostałych relikwii będziecie musieli znaleźć sami. – Zrobił marsową minę. – A teraz pragnę, żeby było jasne, iż nie chcę słyszeć o waszym powrocie bez relikwii. Przede wszystkim musicie dostarczyć mi relikwiarz. Bez niego możecie się nie pokazywać na Lateranie. Zrozumiano? Przynajmniej relikwiarz! To jedyny przedmiot, o którym wiem z pewnością, czym jest. W przypadku pozostałych dwóch opieramy się na domysłach. A teraz wyjaśnię wam, jak macie wy dostać relikwię z Vera Cruz.

Rozkażę, żeby wykonano dokładną kopię relikwiarza, a wy zajmiecie się zamianą oryginału na kopię, która będzie zawierać zwykły kawałek drewna. W ten sposób zrehabilitujecie się po dotychczasowych wątpliwych przysługach, jakie mi wyświadczyliście. – Papież urwał i spojrzał głęboko w oczy wielkiego mistrza. – Armandzie, więcej się po tobie spodziewałem! Nie zawieź mnie znowu. Mam interesujące plany dotyczące twojej sprawy w Ziemi Świętej. Spodziewam się, iż udowodnisz mi, że na to zasługujesz!

– Wasza Świątobliwość, możemy spytać, dlaczego tak bardzo pragniecie zdobyć tę relikwię? – Guillem de Cardona, który przez dłuższy czas zachowywał dyskretne milczenie, nie chciał dłużej odkładać pytania.

Périgord uważał jednak, po otrzymanej przestrodze, że lepiej niczego nie dociekać.

– Dobrze! Teraz zdradzę wam tylko kilka szczegółów. Jeśli przywieziecie mi ją na Lateran, powiem więcej.

Poprawił się w fotelu i spojrzał na nich, obliczając, ile czasu potrzeba, żeby powiedzieć im to, co niezbędne. Tego ranka czekało na niego jeszcze wiele obowiązków, ale pomyślał, że być może dodatkowe informacje sprawią, iż mnisi wykażą więcej zapału.

– Moim zdaniem każdy papież posiada nie tylko duchową władzę nad ludem, ma także nad nim władzę doczesną. Nikt nie kwestionuje tej pierwszej, jednak zdarza się to w wypadku tej drugiej. Jako że chrześcijańscy książęta nie chcą się jej podporządkować, rywalizują o przywilej, który należy się nam, pchani własną ambicją. Nasze prawa jako przedstawicieli boskiej władzy powinny być rozumiane również w kategoriach świata ludzkiego. Próbowaliśmy to osiągnąć na dwa sposoby. Po pierwsze, połączyć w jednej osobie i w jednym przedsięwzięciu różne interesy europejskich panów. W ten sposób osiągnęliśmy postawienie najwyższego autorytetu, papieża ponad władzą poszczególnych królów. Tak narodziły się krucjaty. Nikt wcześniej nie zdołał

połączyć pod jednym wodzem całej europejskiej potęgi. Ponadto trzeba było dostarczyć ludowi powodów, by uznali ten nowy autorytet, a cóż mogło być lepszego niż relikwie? Wielu, którzy udali się na pierwsze krucjaty, zrobiło to tylko po to, by je zdobyć lub pomodlić się w Ziemi Świętej, szczególnie ci związani bezpośrednio z życiem Chrystusa. Dlatego chcę odzyskać jak największą liczbę relikwii, żeby mieć lud po naszej stronie, pałający pragnieniem czczenia ich.

W przypadku naszego relikwiarza w grę wchodzi jeszcze jedna przyczyna. Mój pontyfikat trwa dopiero niecały rok. Jak wiecie, wcześniej przez wiele lat zajmowałem się archiwum i prywatnym rejestrem papieskim. W kościele Świętego Jana na Lateranie zachowała się niezliczona ilość dokumentów dotyczących działalności następców świętego Piotra na przestrzeni niemal tysiąca lat. Nie są to dokumenty doktrynalne, to zapiski o charakterze wewnętrznym, jak prywatne listy, spisy wydatków i inne wzmianki o osobistym życiu papieży. – Papież zauważył, że jego goście są nieco bardziej rozluźnieni i kontynuował, próbując skupić się na tym, co najważniejsze. .

Opowiedział, że największy bałagan panował w dokumentach należących właśnie do Honoriusza III i z tego powodu był zmuszony poświęcić im więcej czasu. Honoriusz III został wybrany na tron świętego Piotra w 1216, zmarł w marcu 1227 roku. Zwołał piątą krucjatę i wyróżniał się zamiłowaniem do pisania, przez co pozostawił po sobie wiele dzieł. Jednak jednym z jego najważniejszych przedsięwzięć, dzięki któremu będzie wspomniany przez wieki, było odnowienie kościoła Świętego Pawła za Murami w Rzymie. Wybudowany z rozkazu cesarza Konstantyna w 320 roku, kościół znajdował się w miejscu, w którym, według tradycji, pochowano apostoła Pawła. Odnowiono go, chociaż zachowano pierwotny kształt, z trzema nawami oddzielonymi osiemdziesięcioma kolumnami z marmuru. Wiadomo, że Honoriusz chciał go upiększyć, jednak największą sławę przyniosło mu bez wątpienia pragnienie udekorowania kopuły absydy, gdzie

kazał ułożyć olśniewającą mozaikę przedstawiającą Chrystusa na tronie, w otoczeniu jego najważniejszych uczniów: świętego Piotra i świętego Pawła – tego ostatniego na specjalnym miejscu – obok świętego Łukasza i świętego Andrzeja, brata Piotra. Kazał weneckim rzemieślnikom, żeby oprócz głównych postaci umieścili u stóp Chrystusa, po lewej stronie, niewielki wizerunek jego samego, z podpisem „Honorius III”.

Kontynuując opowieść, Innocenty IV opisał transept Świętego Pawła za Murami, w którym znajdowały się cztery kaplice. Jedna z nich została odnowiona przez Honoriusza, który kazał ozdobić ją mozaiką w stylu bizantyjskim, подарowaną mu przez patriarchę Konstantynopola Germana II, z wizerunkiem Matki Boskiej z Synem, w niebieskiej szacie i na złotym tle.

– Jeśli odwiedzicie ten kościół przekonacie się, że Dzieciątko trzyma w lewej dłoni papier lub niewielki biały pergamin. Matka Boska jest przedstawiona w czystym stylu hellenistycznym, w pięknej niebieskiej sukni ozdobionej złotymi lamówkami i ma w uszach kolczyki. Ten ostatni szczegół zwrócił moją szczególną uwagę.

Innocenty wyjaśnił, że mozaika powstała w Konstantynopolu i była kopią starszego dzieła, prawdopodobnie z pierwszego wieku naszej ery. Być może ten, kto ją stworzył, znał Marię osobiście.

– Nie przypominam sobie, żebym wcześniej widział jakiś wizerunek Matki Boskiej w biżuterii. Z tego, co wiem, nie powtórzyło się to w żadnym dziele, obrazie czy rzeźbie. Dlatego myślę, że Honoriusz wysnuł z tej mozaiki wnioszek o ogromnym znaczeniu historycznym. – Innocenty najwyraźniej chciał już zakończyć spotkanie. – Nie zdradzę wam więcej szczegółów, to wszystko, co mogę powiedzieć, dopóki nie wrócicie z relikwią. Wtedy powiem resztę.

Papieski sekretarz przerwał tę opowieść, zapukawszy trzykrotnie do drzwi i poprosiwszy o pozwolenie wejścia do komnaty. Podeszedł do papieża, pocałował jego pierścień i nachylił się do jego ucha, żeby przekazać mu jakąś wiadomość, której nie

powinni usłyszeć goście. Zanim wyszedł w pośpiechu, papież poprosił go, żeby przyniósł kieliszki i karafkę toskańskiego wina.

Innocenty kontynuował opowieść, która na razie zdawała się nie mieć żadnego związku z relikwiarzem z Vera Cruz.

– Wśród wielu dokumentów Honoriusza znalazłem dwa, które wydały mi się szczególnie ciekawe. Jeden zaświadczał zakup srebrnego relikwiarza w znanym warsztacie w Rzymie. Aż dotąd wszystko wyglądało normalnie. Pojawił się jednak jeszcze jeden rachunek, opiewający na znacznie mniejszą sumę i wystawiony w małym warsztacie w mieście Ostia, za odnowienie powyższego relikwiarza.

Templariusze słuchali go z ogromną uwagą, starając się nie stracić wątku.

Kiedy Innocenty porównał daty obydwu dokumentów, zauważył, że oddziela je zaledwie tydzień. Wysnuł więc wniosek, że w rzeczywistości chodziło o ten sam relikwiarz. Tylko po co odnawiać właśnie kupiony relikwiarz, który najpewniej został sprawdzony przez swoich twórców, w dodatku w nieznanym i pozbawionym prestiżu warsztacie? Żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, uznał, że Honoriusz skorzystał z drugiego warsztatu, żeby ulepszyć albo poprawić jakiś szczegół, być może zaproponowany przez niego i nie za dobrze przyjęty przez pierwszych wykonawców. Chociaż nie było to praktykowane, czasami dzieło sztuki mogło być zmienione przez innego artystę, żeby oszczędzić pierwszemu wysiłku związanego z przerobieniem oryginalnego dzieła.

Pomyślał, że ta możliwość jest bardzo prawdopodobna, ale rozważał jednocześnie alternatywę, która okazała się bardziej przekonująca. Uznał, że drugi warsztat posłużył do wprowadzenia w dyskretny sposób drobnej zmiany we wnętrzu relikwiarza. Coś, czego Honoriusz nie chciał z niewiadomych powodów włączyć do skarbów Lateranu, żeby nie dowiedziała się o tym kuria rzymska.

Spojrzał na nich z satysfakcją, świadom, że czas, jaki mógł im poświęcić, właśnie się kończy.

– Cóż, moi synowie, ten sam relikwiarz ofiarował kościołowi Grobu Świętego w Segowii w tysiąc dwieście dwudziestym czwartym. W tym samym roku, na jego życzenie i z racji sprowadzenia relikwii, kościół zmienił nazwę na Vera Cruz. – Zrobił długą pauzę. – Myślę, że wiem, co tam ukrył! Ale zachowam to dla siebie, dopóki nie sprawdzę tego osobiście.

Dolał sobie wina i przyjrzał mu się pod światło, oceniając klarowność. Wypił łyk. Lubił pić wino powoli, ciesząc się jego smakiem. Jest bardzo dobre!, pomyślał. Napełnił kieliszki przygotowane dla gości i podał je im.

– Dzięki za wino, Wasza Świętobliwość! Jest wyśmienite! Nie chcę zabierać Waszej Świętobliwości cennego czasu, ale mam jeszcze jedno pytanie. – Tylko Guillem był w stanie mówić. Wielki mistrz Armand potrzebował jeszcze trochę czasu, żeby rozważyć konsekwencje, jakie miałyby dla jego zakonu niepowodzenie misji. – Jak wiecie, stosunki między waszym poprzednikiem Honoriuszem Trzecim a templariuszami nie były najlepsze. Czy miał jakiś konkretny powód, żeby wysłać relikwiarz właśnie naszemu zakonowi?

– Dobre pytanie, mistrzu Cardona! Ja sam zastanawiałem się nad tym nieraz. Myślę, że chodziło o rozwiązanie tymczasowe i dlatego nigdy nie powiedział wam o jego prawdziwej zawartości. Miał pewność, że w waszych rękach będzie bezpieczny, dopóki nie nadejdzie chwila przeniesienia go w miejsce przeznaczenia, czyli do Grobu Świętego w Jerozolimie. Kto lepiej mógł się nadawać do tego zadania niż jego mężni obrońcy? Myślę, że fakt, iż relikwiarz znalazł się najpierw w Segowii, był zbiegiem okoliczności. Właśnie ukończono tam budowę świątyni, skonstruowanej na podobieństwo Grobu Świętego w Jerozolimie. Honoriusz Trzeci wiedział, że nie ma żadnej gwarancji, iż relikwiarz z zawartością dotrze do Jerozolimy. Czasy były jednak niepewne. Dlatego zdecydował, że powinna pozostać przez jakiś czas w Segowii. Jednak śmierć przyszła po niego, zanim zdołał wydać rozkaz o przeniesieniu go do Jeruzalem. Ten relikwiarz nie był

jedynym, który kazał wykonać. Znalazłem ślad jeszcze jednego, zamówionego w tym samym czasie, który również trafił do warsztatu w Ostii. Honoriusz Trzeci zdecydował ozdobić nim grób świętego Jana w Efezie. Nie mogę wam teraz wyjaśnić nic więcej, ale znalazłem dokument napisany jego ręką, w którym wspominał te dwa miasta jako ostateczne miejsca przeznaczenia relikwiarzy – Jerozolimę i Efez – mimo że pierwszy z nich zatrzymał się na jakiś czas w Segowii. – Spojrzał na nich uważnie. – Rozumiecie teraz jego znaczenie i konieczność odzyskania go wraz z pozostałymi dwoma świętymi przedmiotami, w całkowitej dyskrecji i bez zwłoki?

– Wasza Świątobliwość może zostawić wszystko w naszych rękach! Tym razem nie zawiedzimy Waszej Świątobliwości!

Innocenty spojrział w oczy Armanda de Périgord. Jeśli chce uzyskać więcej pomocy w Ziemi Świętej, wie, co musi zrobić.

– W takim razie nie pozostało już nic do dodania, moje dzieci! Prześlę wam relikwiarz, gdy tylko zostanie ukończony. Nie ma potrzeby, żebyśmy się spotykali, zanim wyjedziecie. Oczekuję, iż następnym razem przyniesiecie mi prawdziwy relikwiarz!

Wstał z fotela, zmuszając rycerzy, by także się podnieśli. Podał im pierścień do pocałowania i zakończył audiencję. Zanim wyszedł, udzielił im błogosławieństwa, kładąc ręce na ich głowach.

– Idźcie z bożą pomocą! Niech Pan udzieli wam swego wsparcia, niech was prowadzi w waszej misji. Idźcie w pokoju, dzieci!

Dwaj mężczyźni opuścili komnatę i przeszli przez papieskie dobra, pozostawiając za sobą jeden z pałaców leżących przy wspaniałej Bazylice Świętego Jana na Lateranie.

Zapach i gwar ulicy pomogły im ostatecznie pozbyć się napięcia. Instynktownie zaczerpnęli świeżego powietrza i postanowili pospacerować, żeby zastanowić się spokojnie, jaką powinni obrać strategię przy realizacji nowego zadania. Załagodzenie

trudnych relacji z Esquívezem, żeby móc liczyć na jego współpracę, nie zagrażając jednocześnie trwającemu śledztwu, nie było łatwym zadaniem. Na szczęście mieli spędzić w Rzymie jeszcze kilka dni, więc zdążą obmyślić jakiś plan.

Na placu nieopodal bazyliki był targ. Po kilku minutach spaceru wśród straganów, zachwyceni różnorodnością i pięknem wystawionych towarów, zapomnieli natychmiast o rozmowie z papieżem.

Kolejne krucjaty miały na celu, poza utrzymaniem świętych miejsc i frankońskich królestw w Palestynie, zapewnienie nieprzerwanego przepływu towarów na szlakach handlowych między Wschodem a Zachodem. Mimo że w 1188 roku stracono Jerozolimę i wraz z nią wiele włości w Ziemi Świętej, port w Akce oraz Wenecja i Genua pozostawały nadal punktami, przez które przepływała większość towarów w drodze do Europy. Wiele z nich leżało teraz przed nimi na straganach.

Guillem de Cardona zatrzymał się przed kramem grubego weneckiego kupca, słuchając ożywionej rozmowy, jaką ten prowadził z klientem. Spocony sprzedawca nie pozwalał mu na najmniejszy ruch, trzymając go za ramię, żeby nie uciekł.

– Dywan, który macie w ręku, jest jedyny w swoim rodzaju! Nie znajdziecie drugiego takiego w całym Rzymie! Zrobiono go z ponad pięciuset karakułów. To owce żyjące tylko na najwyższych szczytach gór w najdalszych i najzimniejszych regionach Wschodu. Ponieważ muszą znosić taki ziąb, ich wełna staje się delikatna i jest doskonałej jakości. Dotknijcie, a poczujecie! Jakbyście dotykali skóry beduinki z pustyni. – Zaniósł się głośnym śmiechem, dając do zrozumienia, że wie, co mówi. – Żeby go utkać, rzemieślnik, zwykle kobieta, musi pracować co najmniej trzy długie miesiące. – Odetchnął, zbliżając do klienta swój mięsisty i zaokrąglony nos, i wyszeptał: – Dziś macie szczęście, drogi przyjacielu! Muszę wrócić do Akki po nowy towar i chcę się pozbyć tego, co mi jeszcze zostało. Dziś sprzedaję wszystko za bezcen.

Podał cenę, która mistrzowi Guillemowi, nieznającemu się na rzeczy, nie wydała się zbyt wygórowana. Jednak tuż przed dobieciem targu piskliwy głos rozbrzmiewający za jego plecami sparaliżował klienta, nierozumiejącego, co się dzieje. Do straganu zbliżał się protestujący głośno mężczyzna.

– Dywan, który mi sprzedałeś wczoraj był z karakułów niezrównanej jakości, tak? Wczoraj, przy kolacji, wylał się na niego dzban wody i dziś rano wzór był rozmyty. Wełna zrobiła się szorstka i wygląda ohydnie. Jeśli nie zwrócisz mi pieniędzy, przysięgam, że będziesz wyglądał jak mój dywan. Rozmyję ci twarz własnymi rękami i jutro sam się nie poznasz!

Rzymianin nie przestawał gestykulować, starając się zastraszyć grubego sprzedawcę. Ten jednak nie dał się zbić z tropu.

– Wybaczcie, panie, pamiętam was doskonale! Wczoraj przyszliście do tego skromnego namiotu z przepiękną kobietą, z pewnością waszą żoną, i uroczymi dziećmi. Sprzedałem wam doskonały dywan, ale twierdzicie, że zaledwie w jeden dzień zniknęła część wzoru. Co za nieszczeście! Pomyśleliście, że chciałem was oszukać, czyż nie?

Mężczyzna uspokoił się, widząc, że kupiec nie stara się zaprzeczać i przyznaje, że tak właśnie myślał. Wenecjanin nadal mówił, a Guillem nie ruszał się z miejsca, podziwiając spryt kupca.

– Musieli mi przemycić ten dywan wśród wielu innych, jakie kupuję od moich dostawców. Kiedy pracuję z poważnymi ludźmi, takie rzeczy się nie zdarzają, ale kiedy próbuję czegoś nowego, a tak musiało być w przypadku waszego dywanu, próbują mnie oszukać i przemycają mi między dobrymi dywanami kilka gorszej jakości. W każdym razie dziwię się, że to się stało, bo sprawdzam każdą sztukę, zanim wystawię dywany na sprzedaż.

Podszedł do mężczyzny, złapał go za ramię i wyjaśnił mu szeptem, jak mu wszystko wynagrodzi. Guillemowi udało się usłyszeć kilka słów.

– Posłuchajcie, dywan, który wczoraj kupiliście, nie nadaje się już do niczego – mówił kupiec. – Daję go wam w prezencie. Kosztował mnie dwanaście sztuk srebra, ale żebyście nie odeszli z pustymi rękami, dam wam jeszcze ten drugi. – Wziął nowy dywan z jednego ze stosów. – Jedyne za jedną czwartą ceny tego, który sprzedałem wam wczoraj. Dacie mi trzy sztuki srebra i będziecie mieli dwa dywany. Ten nowy, który naprawdę wart jest dwadzieścia sztuk i ten wczorajszy, którego możecie jeszcze używać. Zapakuję wam ten drugi. Dajcie mi teraz tylko trzy sztuki srebra i będziemy kwita.

Nie pozwalając klientowi dojść do słowa, włożył mu paczkę z dywanem do rąk i odebrał trzy sztuki srebra. Żegnając go, dodał szeptem:

– Błagam, nie mówcie nikomu, jak tanio sprzedałem wam te dywany. Twardy z was orzech do zgryzienia! Udało wam się uzyskać u mnie najlepszą cenę za dywan, a pracuję już tyle lat w tym interesie. Jeśli ludzie się dowiedzą, będę zrujnowany.

Mężczyzna, z głupim uśmiechem, obiecał absolutną dyskrecję. Zanim odszedł, Wenecjanin podarował mu plecione sznury z jedwabiu zakończone grubymi chwostami, jako prezent dla jego pięknej żony, gdyby potrzebowała ich do zasłon.

Guillem de Cardona pogratulował wzrokiem Wenecjaninowi jego zręczności, gdy ich oczy spotkały się na chwilę. Zanim zrozumiał, o co chodzi, sprzedawca wmieszał się w tłum. Guillem ruszył pełen entuzjazmu na poszukiwanie Armanda. Przez przypadek ten sprytny człowiek podsunął mu pomysł, jak oszukać Esquíveza. Znalazł wielkiego mistrza przy stoisku z owocami, gdzie kupował soczyste czereśnie.

– Armandzie, właśnie obmyśliłem strategię. Znalazłem rozwiązanie wszystkich naszych kłopotów!

Mistrz Périgord odwrócił się do niego zaintrygowany.

– Bardzo mnie to cieszy, bracie Guillemie. – Zapłacił i poczęstował go czereśniami. – Nie traćmy więc czasu. Opowiedz mi, co wymyśliłeś.

Guillem opisał mu scenę, której był świadkiem przy stoisku z dywanami i reakcje jej bohaterów. Wielki mistrz nie rozumiał, jaki związek może istnieć między handlarzem a rozwiązywaniem ich problemów.

– Zręczny Wenecjanin nie tylko potrafił rozwiązać poważny problem, ale wykorzystał go, żeby sprzedać coś jeszcze. Zadowolili klienta i zaspokoili jego próżność, wmawiając mu, że zrobił doskonały interes i że ma najpiękniejszą żonę i dzieci w całym Rzymie. Prawdziwa lekcja sprytu! Jeśli zmienimy sens naszego przesłania, Esquívez będzie przekonany, że jego sytuacja jest dokładnie odwrotna, niż się tego spodziewał. Skoro do tej pory myślał, że nasza reakcja na śmierć Uribe'a będzie gwałtowna, a jego pozycja w zakonie niepewna, sprawimy, żeby wszystko wyglądało dokładnie odwrotnie; że jesteśmy z niego zadowoleni i że słyszeliśmy o planach wyniesienia go do rangi mistrza prowincji.

– Myślę, że twój pomysł jest dobry. Jak jednak możemy zapomnieć o zbrodni, skoro on zdaje sobie sprawę, że o wszystkim wiemy?

– Pomyślałem i o tym! Pamiętaj, że nasz informator powiedział nam, że znalazł Esquíveza i katarą obok ciała Uribe'a, ale nie widział, kto go zabił. Przekonamy go, że nasze podejrzenia padły na katarę, a nie na niego. Pomyślałem też, że najlepiej będzie, jeśli odwiedzę go sam, bo gdy zobaczy nas obu, zaskoczenie na widok samego wielkiego mistrza templariuszy wraz z jego prowincjałem podkopie to zaufanie. Za to wizyta samego prowincjała, bez uzbrojonej eskorty, jedynie w towarzystwie pomocnika, przywożącego mu dobre wieści i bagatelizującego znaczenie nieszczęśliwego wypadku, uspi jego czujność.

– Doskonale, Guillemie! – Armand poklepał go po plecach.

– Myślę, że powinno się udać! – Zaczął drapać się w zamyśleniu

po brodzie. – Mam jeszcze jedną wątpliwość. Jak zdobędziesz te trzy przedmioty, kiedy już zyskamy jego zaufanie?

– Oznajmię mu, że chcę u niego spędzić dwa lub trzy tygodnie. W tym czasie postaram się, żeby czuł się jak najlepiej w mojej obecności, spróbuję wybadać mnichów i przyjrzeć się samemu kościołowi. Zamiana relikwiarza z *lingum crucis* najmniej mnie w tym wszystkim martwi. Znalezienie szkatuły i papirusu może okazać się nieco bardziej skomplikowane.

Ponieważ najpoważniejsze wątpliwości Armanda na temat planu Cardony zdawały się rozwiane, przekonał się, że wszystko to może się udać. Ponadto plan miał tę zaletę, iż nie wymagał jego wyjazdu do Segowii, gdyż jego nieobecność w Ziemi Świętej opóźniłaby na pewno początek nowej krucjaty. Żałował z całego serca, że musi złożyć całą odpowiedzialność za powodzenie lub porażkę na barki Guillem'a, nie miał jednak wyboru.

Zadowoleni, pozostawili za sobą targ i udali się do siedziby templariuszy w Rzymie. Mieli się rozstać na tydzień: jeden zostawał w Rzymie, żeby zająć się najpilniejszymi potrzebami zakonu i przyspieszyć rozmowy z Lateranem, drugi zamierzał odwiedzić Neapol, gdzie mieszkała część jego rodziny.

Uzgodnili, że zobaczą się przed wyjazdem Guillem'a, by obejrzeć sławny kościół Świętego Pawła za Murami i przyjrzeć się mozaikom umieszczonym tam na polecenie Honoriusza III, które tak interesowały obecnego papieża. Pożegnali się i każdy poszedł w swoją stronę: jeden do obowiązków, drugi do rodziny.

Mistrz Armand de Périgord i mistrz Cardona spotkali się po tygodniu przed wspaniałym kościołem Świętego Pawła. Gdy tylko weszli do jego wnętrza, ogarnął ich podziw na widok tej olbrzymiej budowli. Składała się ona z trzech prostokątnych naw, centralnej szerszej od bocznych, oddzielonych marmurowymi kolumnami. Podeszli do łuku oddzielającego środkową

nawę od transeptu i znaleźli kaplicę, w której Honoriusz III kazał umieścić mozaikę z Matką Boską z Dzieciątkiem.

– Spójrz, Guillemie, jest tutaj! Tak piękna, jak mówił papież! Spójrz, turkusowy błękit sukni Matki Boskiej kontrastuje z czerwienią szaty Dzieciątka, a wszystko to na złotym tle. Wspinał się połączenie!

Wielki mistrz Armand podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się kolczykom Maryi, które tak zaintrygowały papieża. Widać było tylko jeden z nich, drugi był ukryty przez kąt nachylenia jej twarzy, skierowanej ku Synowi. Prawa ręka Jezusa wskazywała ją, pokazując światu, że droga do Niego prowadzi przez Matkę.

Gdyby nie komentarz papieża, nie zwróciłby uwagi na kolczyk. Wielu z tych, którzy codziennie odwiedzali świątynię, z pewnością go nie zauważyli. Armand próbował zapamiętać, jak wygląda, mimo iż jego rozmiar utrudniał precyzyjne odwzorowanie na mozaice. Jeśli ten klejnot istniał, a teraz jest ukryty w jakimś miejscu, on nigdy o tym nie słyszał. Sądząc jednak z uwag papieża, mimo iż nie chciał wyjawić im wszystkiego, co wiedział, można było wywnioskować, że to, czego szukał w relikwiarzu, mogło mieć związek z mozaiką i kolczykiem.

Trzeba być bardzo ograniczonym, żeby nie powiązać ze sobą obu tych historii. Mimo że nie miał całkowitej pewności, skłaniał się ku przekonaniu, że ma rację.

Obejrzeni pozostałą część kościoła i grób świętego Pawła. Podziwiali piękno ogromnej mozaiki, również wykonanej na polecenie Honoriusza, która ozdabiała absydę. Następnie opuścili świątynię i udali się do papieskich pałaców na Lateranie, żeby odebrać fałszywy relikwiarz. Dzień wcześniej papieski wysłannik poinformował ich, że będzie na nich czekał.

Sekretarz we własnej osobie wydał im przedmiot, po który przyszli, zapakowany w niepozorną drewnianą skrzynkę, wyglądającą, jakby zawierała butelki z winem.

– Wyjadę jutro, wielki mistrzu! Dowiedziałem się, że o święcie wyrusza z Ostii statek do Barcelony. Płynąc morzem,

oszczędzę czas i będę mógł zająć się w Barcelonie tymi sprawami prowincji, które będą wymagały natychmiastowego rozpatrzenia, jeszcze zanim wyruszę do Segowii.

Zanim się pożegnali, Armand życzył mu szczęścia w jego misji i przekazał osobiste przesłanie do króla Jakuba I.

– Jestem pewny, że nam się uda, mój dobry Guillemie! Będę z niecierpliwością czekał na wieści od ciebie. Gdy tylko wrócisz z Segowii, daj mi znać, co zdołałeś, wysyłając list pierwszym statkiem płynącym z Barcelony do Akki.

W tym samym czasie, daleko od Rzymu, Gastón de Esquívez brał udział w spotkaniu z niektórymi członkami tajnego stowarzyszenia. Poinformował ich o zdobyciu medalionu Izaaka, który ukrył w Vera Cruz. Wyjaśnił ze szczegółami, w jaki sposób musiał poświęcić jego strażnika, Pierre'a de Subignaca, żeby móc wejść w jego posiadanie. Żaden z obecnych nie był zdziwiony śmiercią mężczyzny i nie mieli nic przeciwko temu sposobowi przywłaszczenia sobie relikwii. Nie po raz pierwszy i z pewnością nie ostatni trzeba było uciekać się do podobnych metod, żeby osiągnąć jakiś istotny dla ich dzieła cel. Smutniejszym już tonem opisał również śmierć Pedra Uribe'a, przyjaciela niektórych z obecnych i zastępcy Juana de Atareche, założyciela ich grupy. Zdecydowano odłożyć następne spotkanie na czas nieokreślony, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Pokazał im również ostatni list z Rzymu z pieczęcią Innocentego IV, w którym domagał się on po raz kolejny zwrotu relikwiarza z fragmentem krzyża. Nikt z obecnych nie mógł się na to zgodzić, zaczęto więc zastanawiać się, jak zatrzymać relikwie. Najstarszy z zebranych zaproponował ukrycie relikwiarza w bezpiecznym miejscu i wystawienie kopii dla potrzeb kultu. W ten sposób, jeśli ktoś spróbuje zdobyć go podstępem, zabierze falsyfikat, a fragment krzyża, potrzebny do obrzędów, pozostanie w ich rękach. Zdecydowali się przyjąć to rozwiązanie większością

głosów, przez podniesienie ręki, i powierzyli Esquívezowi zlecenie wykonania kopii, żeby wystawić ją jak najszybciej w Vera Cruz.

Dzień później na galeon wypływający tego samego ranka do Barcelony przyjęto nowego pasażera, od którego antypatyczny i cuchnący kapitan dostał, oprócz zwykłej opłaty, sowity napiwek. Guillem musiał zapłacić podwójną cenę za przewiezienie dwóch koni i całego ekwipunku.

Już na pełnym morzu, z uwagi na jego wysoki status, zakwaterowany w najlepszej kajucie, jaką dysponował statek, poświęcał długie godziny lekturze, próbując umilić sobie uciążliwą podróż.

Przez dziesięć dni towarzyszyła im wyjątkowo zła pogoda: nieustająca burza utrzymywała wysoką falę i zmuszała kapitana do użycia całej swej wiedzy, żeby nie pozwolić zboczyć statkowi z kursu. Lwia część załogi, choć przyzwyczajona do podobnych warunków, zaniemogła na skutek ciągłego i silnego kołysania. Templariusz nie stanowił tu wyjątku, był tym, który najdotkliwiej odczuł skutki podróży.

Kiedy dotarli do wysokich nabrzeży portu w Barcelonie, pragnienie dotknięcia stopą stałego lądu i zostawienia za sobą nieustannie kołyszącego się świata sprawiły, że Guillem zszedł w pośpiechu ze statku po drewnianym trapie, zleciwszy jednemu z marynarzy zajęcie się jego bagażem i końmi. Po kilku minutach, nareszcie pewien własnych kroków, usiadł na jakichś pakunkach, w oczekiwaniu na swoje bagaże, obserwując z zainteresowaniem hałaśliwą i gorączkową portową krzątanicę.

Barcelona była trzecim lub czwartym co do znaczenia portem śródziemnomorskim, gdyż udział frankońskich i weneckich rycerzy w podbiciu Ziemi Świętej spowodował przesunięcie szlaków handlowych ze Wschodem do rywalizujących z nią portów w Wenecji, Genui i Marsylii.

Z miejsca, w którym siedział, Guillem słyszał grupę Nubijczyków, o twarzach czarnych jak bazalt, rozmawiających w dziwnym języku z innymi obcokrajowcami w białych długich tunikach, ozdobionych pięknymi skórami dzikich zwierząt i we wspaniałych turbanach. Te niezwykle postacie otaczał intensywny ruch wozów z niezwykle towarami. Na jednym z nich dwie kobiety układały kupony jedwabiu z Damaszku, na innym stały wielkie szklane słoje pełne różnych przypraw pochodzących z Arabii. Tam, drewniane bale z lasów Indii, dalej kość słoniowa lub chińska porcelana. Można było stracić cały ranek na przyglądaniu się tym scenom, zapominając o upływie czasu.

Guillem ocknął się dopiero, kiedy marynarz przyszedł z jego końmi, jednym osiodłanym, drugim niosącym jego ekwipunek.

Guillem de Cardona szedł portowymi zaułkami w kierunku swojego zwykłego miejsca zakwaterowania w tym mieście, pozostawiając za sobą doki. Nagle przypomniał sobie o wiadomości wielkiego mistrza, którą miał przekazać królowi Jakubowi. Gdy tylko dotrze do domu w Barcelonie, poprosi jego sekretarza o natychmiastową audiencję. Liczył na obecność monarchy w mieście, co nie zdarzało się często, ze względu na jego liczne zajęcia. Jakub, zwany Zdobywcą, był królem, który znacznie powiększył swoje ziemie: na wschód, zdobywając Baleary w 1229 roku, na południe, odbierając Almorawidom Walencję w 1238. Te podboje zaspokoili po części pragnienie odzyskania terytoriów francuskich, straconych po śmierci jego ojca w bitwie pod Muret, kiedy bronił swoich katarskich poddanych przed frankońskimi krzyżowcami. Templariusze brali udział w każdej kampanii i ich stosunki z królem, chociaż przeszły mały kryzys, były zadowolające. Przypomniał sobie, kiedy widzieli się po raz ostatni – tuż przed jego wyjazdem do Rzymu, podczas oblężenia miasta Játiva*, za zdobycie którego templariusze otrzymali w ramach zapłaty połowę stoczni pobliskiej Denii**. Jego poprzednicy byli hojniejsi przy podziale łupów, ofiarując im zawsze

piątą część zdobyczy. Król Jakub zaczął zmniejszać tę ilość przy okazji ostatnich kampanii, co doprowadziło do konfliktów i leżało u podstaw obecnej misji zleconej przez wielkiego mistrza, który niepokoił się zmniejszeniem pomocy dla Korony Aragonii na potrzeby Ziemi Świętej.

* Miasto leżące w Walencji na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

** Miejscowość leżąca na Costa Blanca na południu Hiszpanii.

Rozwiązywanie licznych problemów prowincji, o jakich opowiedział mu jego sekretarz, zajęło Guillemowi następne dwadzieścia cztery godziny pracy w jego gabinecie. Wiele lat temu otrzymali od króla prawo do bicia monety dla całej korony, co przynosiło im takie zyski, jakie najlepsza z komandorii. Jedną z najpilniejszych kwestii, którą musiał się zająć, było tajemnicze zniknięcie zapasów monet z jednego ze skarbców znajdujących się pod jego opieką. Jeśliby sprawa ta dotarła do królewskich uszu, mogliby stracić dochodowy przywilej i szansę na nowe zlecenia. Mnichom zajmującym się mennicą kazał wyjechać do różnych komandorii, a najmłodszym do Akki, gdzie mogli odkupić swoje winy, walcząc z wrogiem. Musiał też zająć się znalezieniem kandydata na stanowisko komandora Puente la Reina, po śmierci Juana de Atareche i jego następcy, Pedra Uribe'a. W ciągu niewielu godzin, jakie dzieliły go od wyjazdu z Barcelony, rozwiązał jeszcze kilka najważniejszych kwestii, a te, które nie wymagały natychmiastowej uwagi, odłożył do powrotu z Segowii.

Następnego ranka udał się wraz ze swoim zastępcą do pałacu królewskiego. Zaraz po audiencji mieli ruszyć w drogę. Tym razem nie miał ochoty na samotną podróż.

Król Jakub przyjął ich bez zwykłych formalności. Jego żona, Wolanta Węgierska, przywitała się z nimi serdecznie i po chwili ich opuściła. Mały Pedro siedział u stóp ojca, zajęty zabawą.

– Wieść o twoim przybyciu do Barcelony bardzo mnie uspokoiła. – Głęboki głos króla zdawał się pokrywać pomieszczenie jak ciężki dywan. – Miałem nadzieję, że przyłączysz się do nowej konkwisty w regionie Murcji i w pobliżu kalifatu Granady. Gdzie ty się podziewałeś tyle czasu?

– Byłem w Rzymie, z wielkim mistrzem Périgordem. – Cardona postanowił nie wspominać o wizycie na Lateranie. – Dziś muszę znów wyruszyć w podróż, chociaż nie będzie mnie nie dłużej niż trzy czy cztery tygodnie.

– Akurat tyle czasu potrzebuję, żeby zebrać wojsko i wyruszyć do Murcji. – Guillem zauważył, że jego wyjazd z Barcelony nie wpłynie na plany Jakuba I. – A jak się miewa nasz dobry Armand? Nie widziałem go od lat.

– Od jakiegoś czasu prosi o wysłanie dodatkowych posiłków na nową kampanię na ziemi niezbędnej do odzyskania Jerozolimy: terytoriach Gazy. Kazał mi prosić was o wysłanie całej jazdy, jaką w tej chwili dysponujecie. Pragnie również, abym przypomniał wam o jego prośbie, by zwrócić zakonowi piątą część zdobyczy z konkwist.

– Rozmawialiśmy już na ten temat i decyzja została podjęta! – Tubalny głos króla wypełnił komnatę. – Rozdział łupów odpowiada rozmiarom pomocy, jaką każdy zaoferuje. Napisałem mu już, że według nowej zasady, jeśli zakon da więcej środków, będzie mógł zyskać nawet więcej niż dotychczasową piątą część. Chyba wyraziłem się dość jasno poprzednim razem i nie życzę sobie więcej dyskusji na ten temat.

Dzięki podjęciu mniej drażliwych tematów audiencja zakończyła się w nieco przyjaźniejszej atmosferze; zapowiedzią nowego spotkania po powrocie mistrza Cardony.

Po pięciu dniach jazdy dotarli do Saragossy, przeciętej szeroką rzeką Ebro, najślawniejszą na Półwyspie Iberyjskim, od którego

wzięła swoją nazwę. Wcześniej, w przytłaczającym upale, przebyli pustynię Monegros. W południe odpoczywali w cieniu nielicznych drzew, próbując nadrobić opóźnienie po południu i wieczorem, kiedy robiło się nieco chłodniej.

W Saragossie zatrzymali się, żeby odwiedzić katedrę Świętego Zbawiciela. Weszli od północnej strony i przeszli przez piękny portyk, między dwoma okrągłymi wieżami. Zadziwiające rozmiary świątyni zaskoczyły ich. Dzięki wyjaśnieniom diekana, który wyszedł im na spotkanie, gdy tylko usłyszał o przyjeździe mistrza prowincjała templariuszy, dowiedzieli się, że zbudowano ją na bazie meczetu, wykorzystując część jego murów. Teraz wstrzymano roboty we wschodniej części trzech nowych okrągłych absyd, jednej większej i dwóch mniejszych, otoczonych absydami kwadratowymi.

Z powodu wysokich kosztów kampanii w Walencji, skarbiec króla Jakuba I był prawie pusty. Ponadto wpływy docierające dotąd z hrabstw zostały zredukowane po ograniczeniu przez króla ich niezależności finansowej. Wszystko to doprowadziło do zmniejszenia funduszy potrzebnych do zakończenia budowy katedry według początkowych planów.

Po wyjeździe z Saragossy potrzebowali jeszcze pięciu dni na dotarcie do Segowii. Minęli miasto od wschodu i skierowali kroki do Zamarramali, celu długiej podróży. U wrót majątku stanęli w południe.

Komandor Gastón de Esquívez zajmował się właśnie rachunkami, jak w każdy ostatni piątek miesiąca, kiedy przerwano mu niecierpliwym stukaniem do drzwi. Powstrzymał chęć odpowiedzi krzykiem, choć wszyscy wiedzieli, że potrzebuje absolutnego spokoju, gdy zasiada do tej pracy. Odetchnąwszy głęboko, pozwolił intruzowi wejść.

– Komandorze, mistrz prowincjał stoi u bram! – Oczy mnicha, który to oznajmił, zdawały się wyskakiwać z orbit.

– Mistrz Guillem de Cardona jest tutaj? – Ciemna chmura paniki przesłoniła myśli Esquíveza. To spotkanie, którego tak się obawiał, wreszcie się odbędzie. Podniósł się pospiesznie z krzesła. – A czy towarzyszy mu wielu braci? – Wyobrażał już sobie, jak aresztuje go grupa uzbrojonych mnichów.

– Przyjechał ze swoim pomocnikiem, panie, i pyta o was.

Mnich odszedł, otrzymawszy polecenie zaprowadzenia gości do biblioteki.

Esquívez, przerażony, wyglądał przez okno, szukając śladu wskazującego na obecność uzbrojonego oddziału, który mógł czekać na rozkazy. Nie zauważył jednak niczego, co potwierdzałoby jego obawy. Zszedł po schodach i z ciężkim sercem ruszył do biblioteki.

– Mój dobry Gastónie! Cieszę się, że znów cię widzę! – Mistrz Cardona objął serdecznie zdumionego Esquíveza.

– Ja również cieszę się, że was widzę. – Esquívez starał się nie dać po sobie poznać, że się boi, chociaż z trudem wydobywał głos. – Od dawna nie zaszczycaliście nas swoją obecnością. – Odkaszlnął, żeby zyskać na czasie. – Wybaczcie, proszę, moją ciekawość, ale co was sprowadza? – Natychmiast przyszło mu do głowy, że tak bezpośrednie pytanie jest dość nieuprzejme, ale musiał poznać intencje przybysza.

– Rozumiem twój niepokój, zwłaszcza że nie zapowiedziałem mojej wizyty. – Teraz się zacznij, pomyślał Gastón. – Ale zrobiłem to specjalnie. – Cardona zawiesił głos.

Zeszywniały Esquívez czekał na nadejście straszliwej chwili. Guillem de Cardona z kolei rozkoszował się trzymaniem go w napięciu.

– Przyjechawszy do Barcelony po długiej podróży, zapragnąłem przybyć tu, żeby przekazać ci wiadomość. – Następną przedłużająca się chwila ciszy doprowadziła komandora na skraj załamania nerwowego, więc nie mogąc wytrzymać ani minuty

dłużej, zapytał zduszonym głosem, co to za wiadomość. – Postanowiłem przekazać ci nadzór nad komandorią Puente la Reina w zastępstwie brata Juana de Atareche – podjął Cardona. – Ogromne znaczenie tej komandorii skłoniło mnie do przyjazdu aż tutaj, żeby powiedzieć ci o wszystkim osobiście.

Esquívez wytrzeszczył oczy. To musi być żart albo sen na jawie. Mistrz Cardona nie mógł nie wiedzieć o jego udziale w śmierci Uribe'a. Dlaczego więc proponuje mu coś, co w niczym nie przypomina surowej kary? Mistrz zdawał się czytać w jego myślach, gdyż natychmiast przeszedł do wyjaśnień:

– Opowiedziano mi o tragicznych zdarzeniach, jakie miały miejsce w Vera Cruz i o śmierci naszego brata Pedra Uribe'a. – Serce Esquíveza zaczęło bić z trudną do wytrzymania szybkością. Kręciło mu się w głowie – Przypuszczam, że winny, ten Subignac, zapłacił za swoje występki. – Guillem był zachwycony, widząc, jak doskonale sprawdza się jego plan.

Esquívez starał się jak najszybciej znaleźć wyjaśnienie śmierci Pierre'a, korzystając z nowego punktu widzenia, jaki mu zaproponowano. Chociaż teraz wydawało się to dość nielogiczne, nie przyszło mu do głowy, że można było przypisać zbrodnię Pierre'owi, mimo iż przecież Lucas nie widział, co się naprawdę wydarzyło. Postanowił iść za ciosem.

– Przykro mi wyznać, że musiałem zabić tego zbrodniarza, panie. Próbował uciec po popełnieniu morderstwa i udało mi się temu zapobiec, odbierając mu życie.

Tego Guillem się nie spodziewał. Teraz był pewny, że Esquívez jest bardzo niebezpieczny.

– Niech tak będzie, zapłaci w piekle za swoje grzechy!

Musiał rozproszyć wszystkie wątpliwości rozmówcy na temat swych intencji. Esquívez pomyślał, że przeniesienie do Nawarry jest mu bardzo nie na rękę, biorąc pod uwagę konieczność zabrania przedmiotów, które ukrywał teraz w Vera Cruz. Przede wszystkim jednak nie mógł nadziwić się tak nagłemu zwrotowi wydarzeń. Mniej spięty, zapytał Cardonę, czy długo będą cieszyli

się jego obecnością. Cardona odpowiedział, że ma zamiar zostać z nimi dwa lub trzy tygodnie, żeby trochę odpocząć.

Esquívez okazał się bardzo dobrym gospodarzem. Towarzyszył swemu mistrzowi w długich spacerach, unikając jednak poruszania jakichkolwiek tematów mogących ujawnić jego ukryte wierzenia, do czego dążył jego mistrz, wnioskując z niektórych jego pytań.

Cardona zaś próbował zdobyć wskazówki co do miejsca ukrycia przedmiotów, których szukał. Rozmawiał z mnichami, analizując wszystko, co od nich usłyszał, przeszukiwał archiwum Esquíveza, gdy ten był zajęty obowiązkami. Mimo to nie udało mu się odkryć niczego, co mogłoby mu posłużyć jako punkt wyjścia dla późniejszych poszukiwań.

Po upływie trzech tygodni, zawiedziony, porzucił dalsze próby i postanowił ograniczyć się do zamiany przywiezionego przez siebie z Rzymu fałszywego relikwiarza na prawdziwy, który podziwiał w czasie swoich licznych wizyt w Vera Cruz. Przynajmniej papież będzie usatysfakcjonowany, nawet jeśli nie można będzie powiedzieć tego samego o nim samym i wielkim mistrzu.

– Jeszcze tego popołudnia wyjeżdżamy do Barcelony, bracie Gastónie – oznajmił pewnego jasnego poranka właśnie rozpoczętego sierpnia, skończywszy skromne śniadanie. – Chciałbym przed wyjazdem celebrować krótkie błogosławieństwo relikwią *lignum crucis* z Vera Cruz, żeby zapewnić opiekę i pomoc Pana w czasie podróży.

– Chętnie będę wam towarzyszył w ostatnich chwilach waszego u nas pobytu.

Chociaż Cardona próbował go przekonać, że jego obecność nie jest konieczna, Esquívez nalegał tak bardzo, że trzeba było przystać na jego propozycję. Guillem chciał po prostu zamienić relikwiarze, kiedy znajdzie się sam w świątyni. Uznał, że jedynym momentem, w którym może tego dokonać, jest rytuał

błogosławieństwa. Ukryje kopię pod ornatem i schowa oryginał w tym samym miejscu, dopóki nie znajdzie dobrej skrytki, kiedy będzie się przebierał w małej zakrystii.

Kiedy słońce sięgnęło zenitu, mistrz, jego pomocnik i Gastón Esquívez dotarli do kościoła Vera Cruz, pożegnawszy się uprzednio z pozostałymi templariuszami. Weszli do środka i udali się do wielokątnego edykułu na parterze, gdzie na małym ołtarzu znajdował się relikwiarz. Kaplica była otoczona kratami z kutego żelaza, które zamykały do połowy wysokości każde z czterech wejść. Esquívez otworzył jedną z furtek i wszedł przez nią razem ze swym zastępcą. Uklękli, czekając, aż mistrz wyjdzie z zakrystii, gdzie przechowywano przedmioty liturgiczne, ubrany w ornat. Odmówił założeń jednego z tych, których używano w kościele.

Guillem de Cardona obszedł mały ołtarz i stanął naprzeciwko nich, żeby zacząć błogosławieństwo. Świadom, że zbliża się decydująca chwila, był coraz bardziej niespokojny. Jego pomocnik, który znał zamiary mistrza, czuł, że uderzenia jego serca odbijają się głośnym echem tak, że inni również mogą je słyszeć.

Cardona ukląkł przed ołtarzem i zaczął modlitwę w nienaganej łacinie, przechodząc następnie do serii krótkich litanii. Gdy skończył, podniósł się i podszedł do relikwiarza.

Sprawdził, czy jest identyczny z tym, który ukrywa pod ubraniem. Wziął go w obie dłonie i zaczął przesuwac, rysując znak krzyża, najpierw przed twarzami uczestników obrzędu, potem w kierunku każdego z głównych punktów edykułu.

Gdy odwrócił się plecami do swoich towarzyszy, złapał relikwiarz jedną ręką, wyjął niezauważenie kopię spomiędzy szat i ukrył oryginał.

Odwróciwszy się, zostawił relikwiarz w tym samym miejscu ołtarza, z którego podniósł pierwszy, ukląkł i zaczął śpiewać po łacinie ostatnią modlitwę. Nie dało się zauważyć różnicy między oryginałem a kopią, nawet jeśli przyglądało mu się z bliska.

Rzymscy rzemieślnicy spisali się doskonale. Gdy Guillem skończył hymny, pobłogosławił raz jeszcze swoich towarzyszy i podszedłszy do Esquí veza, położył ręce na jego głowie i odmówił krótką modlitwę, której ten nie potrafił rozpoznać.

Po zakończonej ceremonii Guillem pożegnał się z Esquívezem, przykazując mu stawienie się w nowej komandorii z końcem lata.

Cardona ruszył w kierunku Segowii, rozpoczynając długą podróż, która miała go zaprowadzić do Barcelony i dalej do Rzymu. Poganiał konia, chcąc oddalić się jak najszybciej od Gastona, ponieważ świadomość, że znajduje się daleko od niego, poprawiała mu samopoczucie.

Dwudziestego piątego sierpnia, wczesnym popołudniem, Cardona wjeżdżał do Rzymu, w nadziei, że następnego dnia spotka się z papieżem i odda mu cenny relikwiarz. Zanim wsiadł na statek, napisał do wielkiego mistrza długi list, w którym zawiadamiał go o powodzeniu swej misji. Wyrażał zarazem żal, że nie zdołał dowiedzieć się niczego o miejscu ukrycia szkatuły i papiirusu, obiecując jednocześnie, że dołoży wszelkich starań, by je odnaleźć. Na koniec informował wielkiego mistrza, że jest absolutnie pewny, iż nic nie może zaszkodzić śledztwu, jakie prowadzono w sprawie podejmowanych działań niektórych templariuszy.

Następnego dnia już we wczesnych godzinach porannych promienie słońca ogrzewały miasto z taką mocą, jakby wybiło właśnie południe. Dla Guillema de Cardony, który właśnie opuszczał w pośpiechu siedzibę templariuszy w Wiecznym Mieście, miał to być niezwykle dzień.

Czekał na Innocentego IV w Komnacie Lustrzanej. Czuł się bez wątpienia znacznie lepiej niż podczas poprzedniej audiencji. Pragnął wręczyć papieżowi relikwiarz, żeby dać dowód niezłomnej postawy templariuszy: zawsze posłusznych jego woli i zawsze gotowych spełnić każdą misję, jaką im zleci.

– *Pax vobiscum*, mój synu, jakże cieszy mnie twój widok!

Papież Innocenty wszedł do komnaty w towarzystwie swego sekretarza.

– *Et cum spiritu tuo!* – odparł Cardona, wstając.

Zajęli swoje miejsca i mistrz, bez zbędnych wstępów, wyjął z sakwy z czarnego aksamitu srebrną szkatułę zawierającą świętą relikwię, i położył ją ostrożnie na stole. Papież przyglądał jej się rozszerzonymi oczami, wstrzymując oddech, dopóki nie wzięła jej do ręki.

– Przepiękna! Dzięki Bogu, jest już z nami! Macie moją wdzięczność za wykonanie tego, przyznając szczerze, trudnego zadania. Koniecznie musisz mi zdać sprawę, jak tego dokonałeś, ale najpierw powiedz mi, czy przywozisz również szkatułę i papirus i czy miałeś jakieś kłopoty z Esquívezem, chociaż zakładam, że wszystko poszło doskonale.

– Wasza Świątobliwość. Oszustwo poskutkowało. Wasza Świątobliwość może być pewny, że nigdy się nie zorientuje, iż zamieniliśmy relikwiarz. Przeprowadziliśmy wszystko jak najbardziej dyskretnie.

Cardona opowiedział o drugiej sprawie, żeby opisać następnie niepowodzenie w tej pierwszej. Nie znalazł najmniejszej wskazówki na temat miejsca, w którym mogły być ukryte poszukiwane przedmioty.

Mimo złych wieści, wyraz radości nie zniknął z twarzy papieża. Innocenty przekazał relikwiarz sekretarzowi, żeby zaniósł go natychmiast do małego warsztatu, gdzie miano go otworzyć. Sekretarz wyszedł w pośpiechu.

Mistrz wykorzystał czas oczekiwania na otwarcie relikwiarza, żeby opowiedzieć o planie, jaki obmyślił po poprzedniej audyencji i o wszystkich wydarzeniach, które miały miejsce do chwili odzyskania relikwiarza. Nadmienił też, myśląc o planach wielkiego mistrza Armanda w Ziemi Świętej, o wysokich kosztach, jakie musiał ponieść zakon. Wspomniął również o rozmowie z królem Jakubem I, informując papieża o planowanej kampanii przeciwko muzułmanom w Murcji.

– Żywię ogromny szacunek dla króla Jakuba. Jego wkład w krucjaty przeciwko niewiernym jest nieoceniony. Gdyby nie jego zaangażowanie na tamtych ziemiach, namawiałbym go, żeby stanął na czele najbliższej krucjaty. Jego odwaga i szlachetność zapewniłyby powodzenie. Mój drogi Jakub to doskonały król i chrześcijanin!

Rozmowę przerwało wejście bladego i spoconego sekretarza. Wyszeptał papieżowi do ucha wiadomość, która sprawiła, że Innocenty otworzył szeroko oczy w wyrazie zawodu. Zasłonił twarz dłońmi i odetchnął głęboko. Po kilku minutach podniósł głowę, spojrzął na Guillema i rzekł:

– Synu, przykro mi, że wciągnąłem was w całą tę historię. W relikwiarzu nie było niczego poza fragmentem krzyża. Jestem głęboko poruszony. Pragnąłem go odzyskać, gdyż pewne okoliczności kazały mi przypuszczać, że Honoriusz Trzeci ukrył w jego wnętrzu pewien ważny sekret. Widzę jednak, że był to tylko wytwór mojej wyobraźni. Moja teoria nie miała żadnych solidnych podstaw! – Westchnął głęboko. – Mimo to wynagrodzę wam hojnie wasze poświęcenie. Mojemu wiernemu Périgordowi dam zezwolenie na nową kampanię, a tobie wszystko, o co poprosisz.

Papież najwyraźniej nie miał zamiaru przedłużać audiencji. Z nieukrywany wyrazem zawodu wstał, zmuszając Guillema de Cardonę do pożegnania się, wydawszy uprzednio sekretarzowi polecenie wypłacenia hojnej rekompensaty jako pomocy dla jego prowincji. Kazał mu również odwołać wszystkie spotkania zaplanowane na ten dzień.

Gdy znalazł się sam, Innocenty IV nie mógł przestać zadawać sobie pytania: Jeśli nie było ich w relikwiarzu z Vera Cruz, to gdzie Honoriusz III ukrył kolczyki Matki Boskiej? Muszą znajdować się w drugim relikwiarzu, tym, który wysłał do Efezu!

8.

Kościół Vera Cruz, Segowia, rok 2002

Fernando zaparkował samochód na małym podjeździe nieopodal kościoła, obok autokaru, z którego wysypało się około trzydziestu podstarzałych turystów. Właśnie wchodzili do wnętrza świątyni śladem młodej kobiety, która udzielała im informacji na temat symboliki świątyni.

Siedząc w samochodzie, Fernando i Mónica czekali na doktor Herrere. Umówili się z nią o dwunastą, żeby zwiedzić Vera Cruz i spędzić popołudnie z Paulą. Przyjechali kwadrans wcześniej i każde z nich oddało się wspomnieniom.

Fernando przywoływał szczegóły wizyty w Jerez de los Caballeros sprzed tygodnia i rewelacje don Lorenza Ramireza, które stały się powodem przyjazdu do tego kościoła.

Umówili się z doktor Lucią Herrera, gdyż była jednym z najlepszych ekspertów od Vera Cruz. Uznali, że tylko ona będzie mogła pomóc wyjaśnić jego zagadki, co pozwoli im zrozumieć historię bransolety.

Mónica siedziała skulona obok niego, wspominając swoją rozmowę z Paulą odbytą w czwartek, dwa dni temu. Zadzwoiła do niej, żeby podzielić się z nią informacjami, jakie zdobyła na temat doktor Herrery. Mónice wydało się z początku zabawne, że siostra Fernanda traci czas na szukanie danych na temat tej kobiety.

Teraz przypominała sobie niektóre szczegóły tamtej rozmowy.

– Mónico, próbowałam dowiedzieć się czegoś o doktor Lucii Herrerze, co wcale nie było proste. Chociaż Segowia bardzo się rozrosła, w niektórych kwestiach nadal pozostaje prowincjonalnym miasteczkiem, tutaj niczego nie da się ukryć. A jednak w przypadku tej kobiety jest inaczej. Wiemy, że nie pochodzi stąd. Przyjechała do Segowii, kiedy dostała stanowisko dyrektora Archiwum Historycznego, jakieś pięć lat temu. Miała zaledwie trzydzieści lat. Z tego powodu ludzie szeroko to komentowali; jedni pozytywnie, mówiąc o jej wyjątkowej inteligencji, inni przeciwnie. Wielu uważa, że zdobyła tę posadę dzięki wpływom w radzie Kastylii-Leonu. Jak ci już mówiłam, niełatwo się czegoś o niej dowiedzieć. Poza tym nie zwykła bywać w segowiańskich kółkach towarzyskich. Znam ją tylko z widzenia i szczerze mówiąc, uważam, że fizycznie niczym się nie wyróżnia, chociaż wygląda na to, że ci, którzy mieli okazję się z nią spotkać, byli pod wrażeniem jej kultury i intelektu.

– Wcale mnie to nie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę jej stanowisko. Znasz przysłowie, które mówi, że kto z kim przestaje, takim się staje? W jej przypadku codzienna praca nad traktatami, rękopisami, tezami albo esejami historycznymi musiała wpłynąć na ukształtowanie osobowości. Ale poza tym, kto wie, jaka jest...

– Mónica nie chciała odmawiać jej inteligencji, ale miała wątpliwości co do jej charakteru.

– Dowiedziałam się też kilku rzeczy na temat jej życia osobistego. Wiem, że wyszła za mąż niecały rok temu i owdowiała bardzo szybko, tak szybko, że ślub i śmierć męża oddzielają tylko trzy tygodnie. Co ty na to?

– To rzeczywiście niezwykle. A jak zmarł jej mąż?

– Mam informacje z samego archiwum, gdzie pracuje przyjaciółka mojej koleżanki Marisy. Od niej dowiedziałam się

wszystkiego. Wygląda na to, że jej mąż był milionerem i zginął w wypadku awionetki, kiedy podróżował w interesach. Słuchaj teraz uważnie: Lucía odziedziczyła fortunę. Jej mąż, mniej więcej w wieku Fernanda, był bardzo poważnym przedsiębiorcą budowlanym i dziedzicem sporego majątku. Poza pieniędzmi Lucía odziedziczyła fantastyczną posiadłość w Estremadurze, z ogromnym gospodarstwem i prawie tysiącem hektarów terenów rolniczych, łowieckich i pasterskich. Ma też dwa domy nad morzem, jeden na Costa Brava, drugi w Puerto de Santa Maria, nie licząc tego w Segowii, w którym mieszka. Odziedziczyła też parę luksusowych samochodów i osiemdziesiąt procent akcji firmy budowlanej.

Mónica słuchała oniemiała. Wyobrażenie, jakie miała o Lucii nie pasowało w żaden sposób do bogatej właścicielki ziemskiej, jeżdżącej luksusowymi samochodami i dzielącej wolny czas między swoje liczne posiadłości. Nie wyobrażała jej też sobie wydającej polecenia służbie.

– Sądząc po tym, jak się ubiera, pasuje raczej do stereotypu kobiety spokojnej, dyskretnej, nawet skromnej. Nie wyobrażam sobie, jak można było łączyć nudną pracę badaczki i szefowej państwowego archiwum z życiem wolnym od problemów finansowych i pełnym wygod.

– Na pierwszy rzut oka – Paula próbowała dojść do jakiegoś logicznego wniosku – wygląda na to, że prowadzi podwójne życie, co nie świadczy o niej zbyt dobrze. Moim zdaniem to kobieta o skomplikowanej osobowości, na którą z pewnością wpłynęła niedawna tragedia. Mając na względzie to, co czujesz do Fernanda, radzę ci, żebyś uważała. Nie ufaj jej i miej ją na oku.

– Bardzo ci dziękuję, Paulo. Nie wydaje mi się, żeby Lucía należała do kobiet, na które Fernando zwróciłby uwagę. Wiesz, że od tygodni jest zafascynowany całą tą historią z bransoletą i moim zdaniem widzi w Lucii tylko kogoś, kto może pomóc w rozszyfrowaniu zagadki.

– Cóż, może masz rację, ale myślę, że powinnaś uważać. Wiesz dobrze, że kobiety mogą owinąć sobie mężczyzn wokół palca. I chociaż teraz nie wydaje ci się zagrożeniem, obawiam się, że mamy do czynienia z kobietą niezwykle pod każdym względem. Nie chcę cię martwić bardziej niż to konieczne, ale pamiętaj, miej oczy otwarte. Pilnuj Fernanda, kochanie.

Potężny pomruk silnika wyrwał Mónicę z zamyślenia i kazał wrócić do rzeczywistości. Przyjechała doktor Herrera.

Lucía ucałowała na przywitanie najpierw Fernanda, a potem Mónicę. Jej wygląd niezbyt się poprawił od spotkania w jej gabinecie.

– Bardzo się cieszę, że znów was widzę! – Odwróciła się w stronę kościoła. – Oto on: słynny kościół Vera Cruz! – Spojrzała na Mónicę. – Mam nadzieję, że ci się spodoba. Spróbuję podzielić się z wami tym, co wiem na temat kryjących się w nim tajemnic.

Mónica nie miała jeszcze okazji opowiedzieć Fernandowi o swojej rozmowie z Paulą i podzielić się informacjami o Lucii. Widząc ją teraz, bez żadnej konkretnej przyczyny i nie rozumiejąc dlaczego, poczuła się niepewnie. Postanowiła mieć się na baczności.

Przeszedłszy piętnaście metrów od samochodów do kościoła, zatrzymali się przed głównym wejściem, przy którym Lucía zaczęła opowiadać o okolicznościach powstania budowli, której wzniesienie rozpoczęto na początku XIII wieku. Następnie przeszła do teorii, iż budowę kościoła przypisywano zakonowi Grobu Świętego, z którą się nie zgadzała. Jej zdaniem jego autorami byli templariusze, do których należała pobliska Zamarramala, ofiarowana zakonowi czterdzieści lat wcześniej. Wspomniała o jednym z jego komandorów, na którego nazwisko natknęła się niedawno i który zarządzał tymi ziemiami w czasach, kiedy zbudowano Vera Cruz. To nazwisko – zasugerowała, żeby je zapamiętali, bo miało paść

jeszcze wiele razy w czasie tej wizyty – brzmiało Gastón de Esquível.

Podkreśliła, że znalezienie udokumentowanych, pewnych informacji na temat templariuszy było bardzo trudne. U podstaw leżały dwie przyczyny. Po rozwiązaniu zakonu w XIV wieku większość dokumentów została spalona albo zaginęła. Po drugie, na fali boomu wydawniczego, mnożyły się publikacje na jego temat, w większości zawierające zmyślane albo niepotwierdzone informacje.

– Z pomocą mojego asystenta udało mi się zebrać sporo informacji na temat tego templariusza. Dowiedzieliśmy się bardzo ciekawych rzeczy o jego życiu i niektórych niezwykłych przedsięwzięciach, jakich się podejmował. Mimo to jeszcze za wcześnie na wyciąganie ostatecznych wniosków. – Zakończywszy temat swoich badań, przeszła do bardziej konkretnych danych na temat kościoła. – Wiemy, że początkowo nadano mu nazwę Grobu Świętego, dopóki nie zmieniono jej na Vera Cruz z inicjatywy Honoriusza Trzeciego.

Jest zbudowany na planie dwunastokąta i chociaż inne kościoły templariuszy również są wielokątne, niewiele z nich jest podobnych do tego, gdyż częściej używano planu ośmiokąta, nawiązując do Kopyły na Skale w Jerozolimie, która znajdowała się pod ich patronatem, kiedy działali na terenach Bizancjum i Ziemi Świętej. Vera Cruz przypomina nieco Bazylikę Grobu Świętego, ze względu na centralny edykuł i prawie okrągły kształt otaczającego go korytarza. Obecny Grób, na skutek pożarów i prac mających na celu jego rozbudowę, nie przypomina prawie wcale tego odkrytego przez krzyżowców. Wewnątrz znaleźli drugą konstrukcję, przypominającą świątynię o ośmiu kątach, zawierającą grobowiec, w którym przez trzy dni spoczywał Chrystus. Później próbowano odtworzyć bazylikę w różnych miejscach Europy. Kiedy wejdziemy do środka zobaczycie, że w centrum znajduje się podobna pusta konstrukcja, zbudowana na planie dwunastokąta.

– Przepraszam, że ci przerwę, Lucio, ale co wpływało na to, że te kościoły miały osiem lub dwanaście boków? – Fernando odwiedzał ten kościół wiele razy, ale nigdy nie zrozumiał, dlaczego skonstruowano go w taki właśnie sposób.

Lucía spojrzała mu w oczy, zadowolona z pytania. Fernando poczuł się niezręcznie i odwrócił wzrok.

– Odpowiedź na to pytanie otwiera drzwi do jednej z największych tajemnic, jakie kryją te mury! To czysta przyjemność, mieć tak inteligentnych słuchaczy.

Mónica również zaczęła czuć się niezręcznie pod wpływem tych spojrzeń i pochwały wyraźnie skierowanej do Fernanda, gdyż ona sama nie odezwała się do tej pory ani słowem.

– We wszystkich religiach, nawet tak starych jak mitraizm, wierzenia Egipcjan czy zoroastryzm i oczywiście w judaizmie, wierzono w moc i symbolikę liczb. Kabała to traktat łączący cyfry od jednego do dziewięciu z różnymi literami, a te z kolei z częściami ciała i odpowiadającymi im symbolami i transcendentnymi ich interpretacjami.

Jedyńka, na przykład, odpowiada słowu *keter*, oznaczającemu „koronę”, czyli punkt na czubku głowy. Innym przykładem jest piątka, która wiąże się ze słowem *gebnra*, czyli „siła”, i jest utożsamiana ze światłem boskim, światłem dającym życie. Przedstawia się je jako pięcioramienną gwiazdę i pentagram. Gwiazda Dawida to symbol, który najlepiej odzwierciedla znaczenie tej cyfry: siła, życiodajne światło. Światło Jahwe, które wskazało drogę narodowi żydowskiemu na pustyni, aż do Ziemi Obiecanej. Słyszeliście kiedyś o tym sposobie interpretacji liczb?

Fernando i Mónica pokręcili głowami. Mónica, korzystając z okazji, zapytała, co oznaczała liczba dwanaście.

– Wiele rzeczy. Dwanaście to liczba dzieci Jakuba i liczba plemion Izraela, było również dwunastu apostołów. Karol Wielki przewodził dwunastu rycerzom, podobnie jak król Artur. Dawniej to nie system dziesiętny był używany najczęściej, ale właśnie ten oparty na dwunastce, który dał początek podziałowi dnia na godziny, roku na miesiące, koła na stopnie. Nie wspominając

o tym, że mamy również dwanaście znaków zodiaku.

Zaczęli zwiedzanie od środkowej części, gdyż korytarz opasujący edykuł był pełen staruszków przyglądających się kolorowym herbom na ścianach, przedstawiającym głównie krzyże zakonu maltańskiego.

Według wyjaśnień Lucii, edykuł był dawniej miejscem, w którym przechowywano relikwiarz z fragmentem Krzyża Świętego, by mogli go kontemplować przybywający do Segowii pielgrzymi.

Po schodach weszli na drugi poziom, pośrodku którego znajdował się niewielki ołtarz. Była to dwunastoboczna sala, jasna dzięki licznym oknom wychodzącym na różne strony świata. Z jednego z nich, znacznie większego od pozostałych, można było podziwiać główny ołtarz z krucyfiksem.

– Spójrzcie! Z tego okna można zobaczyć nagrobki moich przodków. To te, które znajdują się naprzeciwko głównego ołtarza. – Fernando wskazał palcem dwie płyty nagrobne znajdujące się w podłodze kościoła.

– Zauważyliście, że w sumie jest szesnaście płyt, z których te wskazane przez ciebie, Fernando, są ósmą i dwunastą?

– Znow te same liczby! – wykrzyknął Fernando, zaintrygowany takim zbiegiem okoliczności.

– Mogą mieć jakiś związek z tym, że te dwie liczby są typowe dla kościołów templariuszy?

– Brawo, Mónico! Żadne z nas nie zwróciło na to uwagi. To bardzo możliwe. Jak wam powiedziałam, ten kościół kryje wiele tajemnic, a w jego wnętrzu wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy, których nikt nie potrafił rozsądnie wyjaśnić. Na przykład, jak sami możecie stwierdzić, ten edykuł ma dwa poziomy. Jesteśmy teraz na drugim, ale istnieje jeszcze jedno piętro, niełatwe do zauważenia, tuż nad naszymi głowami.

Spojrzeni w górę i zobaczyli drewnianą klapę umieszczoną w niewielkiej kopule zwieńczającej pomieszczenie.

– Za tymi drzwiczkami znajduje się niewielka komnata czy raczej przedsionek, z dwoma wysokimi stopniami prowadzącymi jeszcze wyżej, ponad łuk sklepienia kościoła, do prawdziwej komnaty z okrągłym sklepieniem, nieco większej od poprzedniej. Dlatego właśnie można mówić o trzech wysokościach czy poziomach, jeśli się przyjmie, że ostatnia komnata jest najwyższym z nich, a poprzednia służy tylko jako przedsionek. Niektórzy badacze, którzy próbowali stworzyć bardziej ezoteryczną interpretację tego kościoła, nie ograniczając się tylko do jego ściśle architektonicznych cech, zastanawiali się nad znaczeniem, jakie mogli nadać tym komnatom jego budowniczy, zwłaszcza tej najwyższej i najbardziej ukrytej. Niektórzy uważają, że były to po prostu schowki, gdzie trzymano ważne przedmioty bądź dokumenty.

Fernando, słuchając Lucii, i uznał, iż tylko ona będzie potrafiła pomóc mu zrozumieć zawile związki między templariuszami i Vera Cruz oraz dziwaczne zbiegi okoliczności łączące papieża z XIII wieku z jego przodkami, czy też niezwykle zachowanie jego ojca, z powodu którego trafił do więzienia.

Lucia usiadła na drewnianej ławce otaczającej salę, a Fernando i Mónica zajęli część znajdującą się naprzeciwko niej. Fernando stwierdził, że do tej pory nie miał okazji dokładnie przyjrzeć się Lucii. Obserwując ją teraz, chociaż nie miał przed sobą piękności, odkrywał, że w tej kobiecie jest coś niezwykłego. Może chodziło o jej dojrzałość, nieprzeciętną inteligencję, ciekawą osobowość, a może o sumę tych wszystkich cech. Cokolwiek to było, Lucia odznaczała się szczególnym urokiem, wyróżniającym ją spośród kobiet, które znał do tej pory.

– Niektórzy znawcy świata templariuszy twierdzą, że te trzy poziomy odzwierciedlają w symboliczny sposób trzy stopnie wtajemniczenia i uważają, że Vera Cruz mógł być zaprojektowany specjalnie do tego celu. Pozwólcie, że wyjaśnię. Symbolicznie rzecz biorąc, każdy poziom oznaczałby konkretny stan przejścia,

drogi lub pielgrzymki do bardziej zaawansowanej wiedzy. W ten sposób najniższy poziom mógł mieć związek z ogólnymi naukami pobieranymi przez kandydata. Znajduje się na parterze, blisko ziemi, czyli tego, co ludzkie. Drugi poziom oznacza symboliczną śmierć, odrzucenie tego, co materialne i cielesne. Umrzeć dla siebie samego, żeby odrodzić się w Nim. Po śmierci mamy wreszcie trzecią komnatę, symboliczne zmartwychwstanie nowicjusza. Komnata trzeciego poziomu, najwyższa, oznacza nowego człowieka. W niej nowicjusz odradza się dla wyższej, transcendentnej wiedzy. Nazywano ją „latarnią umarłych”. Jeśli się nad tym zastanowić, to bardzo adekwatna nazwa.

Lucia kontynuowała opowieść o symbolice trzech poziomów, odnosząc ją do życia Jezusa, również podzielonego na trzy okresy. Pierwszy, który opierał się na kontakcie z człowiekiem, jego potrzebami i ograniczeniami, w jego młodości i w początkach nauczania. Odpowiadałby on okresowi nauki. Drugi etap, w którym oddaje się całkowicie woli Ojca, oznaczał odrzucenie życia i ukrzyżowanie. Trzeci i ostatni, którego początkiem było zmartwychwstanie, to zwycięstwo nad śmiercią i narodziny do nowego wiecznego życia.

– Zwróćcie też uwagę na fakt, że między ukrzyżowaniem i zmartwychwstaniem Chrystusa upłynęły trzy dni. I znów trójka! Tyle jest komnat i prawdopodobnie tyle dni trwała inicjacja kandydatów do zakonu. Wiadomo, że w czasie ceremonii inicjacyjnych używano relikwii. Istnieje dobrze zachowany dokument mówiący o nadaniu kościołowi *lignum crucis* przez papieża Honoriusza Trzeciego, w którym zaznacza się, że „będzie służył przysięgom inicjacji do zakonu”.

Fernando, który znał niektóre szczegóły z życia tego papieża, zgodnie z podziałem uzgodnionym w Zafrze, chciał się pochwalić swoją wiedzą przed Lucią.

– Skoro już o nim mowa, wiem, że był to papież wyjątkowo przychylny zakładaniu nowych zakonów. To dzięki niemu powstał dominikanizm, franciszkanizm i karmelici. Wiem też, że był

dość wojowniczy. Prześladował katarów, zainicjował jedną z krucjat w Jerozolimie i wszedł w konflikt z cesarzem Fryderykiem Drugim, którego ekskomunikował, mimo że wcześniej przez wiele lat był jego nauczycielem, bliskim przyjacielem i dobroczyńcą. Facet był w gorącej wodzie kąpany!

Lucia pochwaliła jego wiedzę, żartując, że będzie musiała ostro bronić swojego stanowiska, jeśli Fernando zechce na nie kandydować. Po tej przerwie wróciła do poprzedniego wątku:

– Można wreszcie spotkać się z opinią innych autorów, którzy twierdzą, że te komnaty były miejscami pokuty, gdzie oczyszczano sumienie w ciszy i samotności, aby odkupić winy lub poważne uchybienia względem reguły. Zapewniają, że mnisi mogli pozostawać w zamknięciu przez wiele dni bez jedzenia i picia, przez nikogo nie niepokojeni. Jeśli o mnie chodzi, wierzę raczej w te dwie ostatnie teorie. Dla gorliwych templariuszy, jeśli wiecie, co mam na myśli, były to komnaty inicjacyjne i miejsca pokuty dla tych, którzy już należeli do zakonu. Ale dla jakiejś tajemnej i dobrze zorganizowanej grupy działającej w jego ramach musiały mieć inne znaczenie, niezwiązane ani z pokutą, ani z inicjacją, ale raczej z naśladowaniem pustelników szukających samotności i spokoju w jaskiniach. Myślę, że niedawno udało mi się odkryć główny powód ich postępowania. Ale to temat na inną rozmowę. Wrócimy do niego później!

Skończywszy mówić, Lucia spojrzała na Fernanda, szukając na jego twarzy wyrazu zaciekawienia lub zaintrygowania, przyłapała go jednak na kontemplacji jej nóg. Nie tylko jej to nie zdziwiło, ale sprawiło satysfakcję.

Nagle zadzwonił telefon Fernanda. Zbiegł po schodach i wyszedł na zewnątrz, gdzie mógł złapać zasięg, gdy tymczasem jego towarzyszki rozmawiały o możliwości obejrzenia ukrytych komnat jeszcze tego samego dnia.

- To ty, Fernando?
- Tak, Paulo. O co chodzi?
- Jestem w warsztacie, właśnie dzwoniłam na policję. Ktoś się

tu włamał w nocy! Wszystko jest powywracane do góry nogami! Możesz przyjechać? Jestem, szczerze mówiąc, przestraszona.

– Jasne, że tak, Paulo. Za chwilę przyjedziemy tam wszyscy! Uważaj, żeby niczego nie dotykać przed przyjazdem policji. Nie ruszaj się stamtąd. Będziemy za dziesięć, piętnaście minut.

Rozłączył się i wbiegł do kościoła, by powiedzieć o wszystkim Mónice i Lucii.

– Musimy tam pojechać! – krzyknął, starając się odzyskać oddech. – Wygląda na to, że obrabowano warsztat mojej siostry, jest bardzo zdenerwowana.

Lucia jechała za Fernandem przez miasto. Mimo iż warsztat wybudowano niegdyś na jego obrzeżach, wraz z rozwojem Segowii dookoła wyrosły nowe budynki i można było powiedzieć, że mieścił się teraz w samym centrum. Przed wejściem do biura zobaczyli trzy wozy patrolowe i spory tłumek ludzi próbujących zajrzeć do środka. Drogę zastąpił im policjant.

– Jestem bratem właścicielki. Proszę pozwolić mi przejść! – powiedział Fernando.

Przemierzali długi korytarz, na którego końcu znajdowały się drzwi do gabinetu Pauli, skąd dochodziły głosy. Fernando wszedł pierwszy i zobaczył dwóch policjantów w cywilu stojących po obu stronach biurka Pauli i robiących notatki. Ona sama, gdy tylko go zobaczyła, zerwała się z fotela i rzuciła w jego objęcia.

– Fer, okropnie się przestraszyłam! Kiedy zobaczyłam ten bałagan i wyważone drzwi pomyślałam, że mogą jeszcze być w środku. To było straszne! – Fernando głaskał siostrę po głowie, starając się ją uspokoić. – Wiesz, że to pierwsze włamanie do warsztatu, ale zapewniam cię, że jedno mi wystarczy. Dziękuję, że przyjechałeś tak szybko!

Odwróciwszy się, zauważyła Lucię, która stała za Fernandem. Mónica również ją objęła, chcąc wyrazić swoje współczucie. Lucia podeszła bliżej, żeby się przedstawić.

– Jestem Lucía Herrera. Byłam z pani bratem i Mónica w Vera Cruz, kiedy dowiedzieliśmy się, co się stało. Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, Lucío. Masz rację, to rzeczywiście nie najlepszy dzień na zawieranie nowych znajomości. Tak czy inaczej, dziękuję.

Jeden z policjantów, wyglądający na starszego stopniem, zapytał niegrzecznie, czy mają zamiar przedłużyć powitania, czy też można wrócić do spisywania zeznań. Podeszedł do Fernanda.

– Inspektor Fraga. Z kim mam przyjemność?

Fernando przedstawił się i wykorzystał okazję, by przedstawić swoje towarzyszkę. Mężczyzna pocałował szarmancko każdą z nich w rękę. Paula wróciła za biurko, a inspektor znów zaczął zadawać pytania.

– Reasumując, przyjechała pani o dwunastej w południe i zobaczyła, że drzwi biura noszą ślady włamania. Stąd złodzieje mogli się łatwo dostać do warsztatu i kas pancernych, gdzie zwykle przechowywane są gotowe wyroby. Jest pani pewna, że zamknęła wczoraj drzwi do biura i włączyła alarm?

– Zgadza się. Alarm nie włączy się, jeśli jakieś drzwi warsztatu będą niedomknięte. To samo dotyczy kas pancernych: jeśli nie będą zamknięte, z założeniem wszystkich blokad, alarm nie może się aktywować. Gdybym czegoś nie zamknęła, system uprzedziłby mnie o tym łatwym do rozpoznania dźwiękiem.

– Rozumiem. Drzwi były zamknięte, a alarm włączony. Przyjrzałem się pani systemom zabezpieczeń, są dość nowoczesne, co oznacza, że osoba lub osoby, które tu weszły i wyłączyły system, nie są zwykłymi włamywaczami. Mamy do czynienia z profesjonalistami.

– Rzeczywiście, dwa lata temu zainstalowałam bardzo drogi niemiecki system bezpieczeństwa, zapewniono mi, że jest jednym z najlepszych i najpewniejszych na rynku. Myślę, że technicznie rzecz biorąc, jest bardzo trudny do dezaktywowania. Tak czy inaczej, najwyraźniej, gdy przychodzi co do czego, stopień trudności nie gra roli. I tak wchodzi, jeśli chcą.

Młodszy policjant, który spisywał zeznania, przyglądał się co jakiś czas pięknym nogom starszej kobiety i widocznemu pod przylegającymi dżinsami fantastycznemu ciału młodszej z nowo przybyłych. Co za para!, pomyślał. Lucía zdawała sobie sprawę z tych spojrzeń, zdziwiona wrażeniem, jakie wywiera tego dnia na mężczyznach.

– Nasi specjaliści oglądają właśnie kasę pancerną. Na pierwszy rzut oka wygląda na to, że otworzono ją za pomocą niewielkiego ładunku wybuchowego, z zastosowaniem tłumika. To potwierdza, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy wiedzieli, co robią i co tu mogą znaleźć. Odprawiła pani ostatnio jakiegoś pracownika, który mógł mieć szczegółowe dane na temat firmy?

– Skąd! W ostatnich latach nie musiały nikogo zwalniać. Raczej nie chodzi o nikogo z pracowników. Zatrudniam dwadzieścia osób i jestem pewna, że żadna z nich nie ma z tym nic wspólnego.

– Rozumiem panią, ale proszę nie wierzyć z góry w nic, na co nie ma dowodów. Mam w tych sprawach doświadczenie. Nigdy nie wiadomo, skąd przychodzi zdrada. W każdym razie najdziwniejsze jest to, że niczego nie brakuje.

Fernando przerwał policjantowi, zwracając się do Pauli:

– Naprawdę nie brakuje niczego?

– To jest właśnie najdziwniejsze, Fer. Prawie niczego nie zabrali. Z kasy pancernej zniknęło tylko trochę pieniędzy, nie więcej niż trzysta euro w banknotach. Co dziwne, nie zabrali nawet skończonych rzeczy o dużej wartości i srebrnych sztabek. To, co zostawili, może mieć wartość trzystu lub czterystu tysięcy euro, a jednak nawet nie ruszyli tych rzeczy.

Kiedy Paula mówiła, do gabinetu wszedł trzeci policjant i podszedł do inspektora, żeby przekazać mu jakąś informację.

Fraga mruknął coś, czego nikt nie zrozumiał, i policjant wyszedł.

– Właśnie poinformowano mnie, że ma pani założony podsłuch w telefonie. Nie nasz, naturalnie. Ktoś od dłuższego czasu

śluchał pani rozmów. Nie wiemy, od jak dawna. – Paula poczuła ciarki na plecach. Próbowwała zrozumieć, kogo mogłyby interesować jej rozmowy i co było w nich takiego ciekawego, tymczasem inspektor kontynuował: – Proszę pani, zaczynam podejrzewać, że tu chodzi o coś więcej niż zwykłą kradzież. Od jakiegoś czasu ktoś podsłuchiwał pani rozmowy. Moim zdaniem, prawdopodobnie wnioskuje z komentarza na temat jakiegoś cennego przedmiotu lub dużej ilości pieniędzy, musieli uznać, że opłaca im się przyjść tutaj i spróbować ukraść to coś. Ci ludzie myśleli, że przechowuje tu pani coś niezwykle cennego. – Pociągnął się za lewe ucho. Wszyscy, którzy go znali, wiedzieli, że to znak, iż wpadł na ważny trop. Robił to zawsze, kiedy uważał, że znajduje się w decydującym dla śledztwa momencie. – Wszystko staje się jasne jak słońce. Nie przyszli tutaj ukraść kilku sztuk srebra, żeby upłynnić je na czarnym rynku i zarobić parę groszy. Właściciele wiedzieli dokładnie, czego szukają. I zdaje się, że musieli odejść z niczym. Domyśla się pani, czego mogli szukać i pamięta może jakąś rozmowę, którą odbyła pani niedawno i która mogłaby ich zainteresować?

Tak Fernando, jak Paula i Mónica natychmiast pomyśleli o bransolecie. Rozmawiali o niej wiele razy przez telefon. Fernando próbował przypomnieć sobie rozmowę, kiedy, wiedząc już, jak jest stara, wspominał, że lepiej byłoby schować ją w kasie pancерnej warsztatu zamiast w sklepie, w związku z ostatnią falą kradzieży mających miejsce w Madrycie.

Wszyscy troje spojrzeli po sobie i postanowili jednomyślnie, że na razie nie wspomną policji o bransolecie.

Policjanci nie zauważyli tej wymiany spojrzeń, obaj byli zajęci podziwianiem nóg Lucii, która właśnie zmieniła pozycję w fotelu. Ona sama nie mogła wyjść z podziwu, że mężczyźni tak na nią reagują. Już dawno nie wkładała spódnicy i zapomniała o czasach, gdy takie reakcje były dla niej chlebem powszednim. Kiedy owdowiała, zaszła się wśród dokumentów i wiedząc, że

jej twarz nie wyróżnia się niczym szczególnym, nie myślała o tym, jakie wrażenie wywiera na mężczyznach.

Obiecała sobie, że w przyszłości zacznie korzystać z życia i przestanie być molem książkowym.

– Przejrzeni archiwa, które znajdują się w pokoju obok – powiedziała Paula – i, jak panowie widzą, przewrócili gabinet do góry nogami. Zgadza się z pana wnioskami. Szukali czegoś więcej, ale nie wiem czego. W moim zawodzie nie mam do czynienia z innymi przedmiotami, jak tymi zrobionymi ze srebra. Nie wiem, co mogło interesować tych ludzi w moich rozmowach telefonicznych. Rozmawiam z dostawcami, bankami i innymi zakładami jubilerskimi, które, jako stali klienci, składają u mnie od czasu do czasu jakieś zamówienie. Pozostałe rozmowy są natury osobistej, z moimi przyjaciółmi i rodziną. Jak łatwo się domyślić, te rozmowy dotyczą na ogół najzwyczajniejszych spraw.

– Dobrze, pani Luengo, myślę, że na dziś wystarczy. Proszę tylko, żeby przejrzała pani jeszcze swoje archiwum i zawiadomiła mnie, jeśli się okaże, że czegoś brakuje. Oto moja wizytówka z telefonem do biura i komórką. Może pani dzwonić o każdej porze. – Inspektor dał po jednej wizytówce każdemu z obecnych.

Wszyscy podnieśli się w tym samym momencie. Inspektor Fraga uściśnął rękę Fernanda i Pauli. Młodszy policjant podszedł do Lucii, żeby złożyć na jej rękę głośny pocałunek.

Poczuwszy dotyk szorstkiego wąsa mężczyzny, Lucía instynktownie cofnęła dłoń.

Kiedy zostali sami, usiedli, żeby wymienić się wrażeniami. Fernando i Lucía usiedli na jednym fotelu, zbyt wąskim dla dwóch osób. Mónica, siedząca na jednym z krzeseł i Paula, ze swojego fotela, stwierdziły z niezadowoleniem, jak niewiele milimetrów dzieli tę parę.

– Jesteś już spokojniejsza, Paulo? – spytał Fernando.

– Tak i nie. Tak, bo jesteście tu ze mną i wszystko jest w rękach policji, ale nadal nie mogę się uspokoić, bo nie mam pojęcia, po co się tu włamano. Poza tym nie wiem, co wy o tym myślicie, ale ja boję się tego, co jeszcze może się wydarzyć.

Przypomniałam sobie o bransolecie, kiedy inspektor wymieniał możliwe powody włamania i zdecydowanie wykluczył srebro.

– Bransoleta, o której mówicie, jest, jak rozumiem, tą samą, którą pokazałeś mi w archiwum i którą trzymasz pewnie w domu, czy tak? – spytała Lucía, która po wyjściu z kościoła prawie się nie odzywała.

– Tak. Ale nie ma jej u mnie w domu – odparł Fernando. – Jest lepiej chroniona, w kasie pancernej w sklepie. – Musiał jak najszybciej zapytać o coś siostrę. – Paulo, przed chwilą przypomniałem sobie, że rozmawialiśmy kiedyś o możliwości schowania bransolety w twojej kasie pancernej. Pamiętasz tę rozmowę?

– Tak, też sobie o niej przypomniałam. Martwiłeś się kradzieżami w Madrycie i zastanawialiśmy się nad schowaniem jej do mojej kasy pancernej, kiedy dowiedzieliśmy się, jaką ma wartość historyczną.

– Właśnie! Mamy już motyw włamania. Ci ludzie szukali bransolety. Podsluchali naszą rozmowę i myśleli, że to ty ją masz. – Fernanda przeszedł dreszcz. – Nie rozumiem, jak mogli się dowiedzieć, że ją mamy. Odkąd przysłano mi ją do sklepu minęło niewiele czasu. Zaczyna mnie to martwić, zwłaszcza że nie wiemy, z czym lub z kim mamy do czynienia.

Lucía położyła rękę na ramieniu Fernanda, żeby zwrócić jego uwagę na jeszcze jedną kwestię.

– Fernando, jeśli ci ludzie podsluchiwali wasze rozmowy, wiedzą coś o bransolecie i byli zdolni do włamania się tutaj, dlaczego nie mieliby próbować tego samego w twoim domu albo w sklepie?

– Masz całkowitą rację. Zaraz zadzwonię do dozorczy, żeby obszedł dom i zobaczył, czy wszystko w porządku! Zadzwonię też do firmy ochroniarskiej, żeby powiedzieli mi, jak wygląda sytuacja w sklepie. – Wyjął telefon i wybrał numer dozorczy.

– Fer, tutaj nie ma zasięgu. Wyjdź na ulicę albo zadzwoń ze stacjonarnego.

– Chyba wolę komórkę. Nie mam zaufania do twojego telefonu.

Fernando wyszedł na ulicę.

Trzy kobiety zostały same w gabinecie. Znając motywy włamania, wołały wygodny stan niewiedzy. Po kilku sekundach ciszy Paula zaczęła rozmawiać z Lucią, żeby przestać o tym myśleć.

– To dziwne, Segowia jest taka mała, a nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy.

Lucia przesunęła się na brzeg fotela i założyła nogę na nogę, patrząc na siostrę Fernanda.

– Prawdopodobnie spotkałyśmy się przy jakiejś okazji, tylko że teraz tego nie pamiętamy. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, jak mało czasu poświęcam życiu towarzyskiemu, wcale by mnie nie zdziwiło, gdybyśmy się nigdy przedtem nie widziały. Tę niewielką część wolnego czasu, jaką pozostawia mi praca, poświęcam na czytanie, nadzorowanie nudnych rozpraw doktorskich albo badanie traktatów, które wydałyby się wam równie nudne. Czasem spędzam weekend w Estremadurze, w moim majątku niedaleko Cáceres. Poza tym w Segowii mieszkam od niedawna. Wiecie, że nie jestem stąd, prawda?

– Ja nie – skłamała Mónica. – Skąd jesteś, w takim razie?

– Z Burgos, chociaż spędziłam wiele lat w Madrycie, który jest właściwie moim rodzinnym miastem.

– Nie utrzymuję zbyt wielu kontaktów ze światkiem historyków, chociaż, biorąc pod uwagę profesora z Cáceres i ciebie, powinnam powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Nie bierz mi za złe, że cię o to zapytam, ale czy twoja praca nie wydaje ci się nudna i zupełnie bezproduktywna?

Ledwie skończyła mówić, Mónica zaczęła żałować bezczelnego tonu, jakim zadała to pytanie. Nie wiedzieć czemu, obecność tej kobiety wytrącała ją z równowagi. Pomyślała, że powinna być ostrożniejsza.

Lucia szybko oceniła sytuację i już chciała ciągnąć tę grę, ale odpowiedź, jaka przyszła jej najpierw do głowy – „a wkładanie zegarków, pierścionków i kolczyków w mniej lub bardziej wyrefinowane pudełeczka, to twoim zdaniem ekscytująca praca?” –

wydała jej się niestosowna, jeśli chciała zachować klasę. Postanowiła złagodzić swoją odpowiedź. Widziała Mónicę tylko dwa razy, nie wyrobiła sobie jeszcze opinii o niej, ale wydała jej się znacznie bardziej zrównoważoną i rozsądną dziewczyną, niż wskazywała na to jej ostatnia wypowiedź. Tego ranka zauważyła jej pełne niechęci spojrzenia, ale nie zwracała na nie uwagi. Dlaczego jest dla niej taka nieuprzejma? Nagle, jakby zapaliła się jej w głowie lampka, zrozumiała wszystko: Mónica kocha się w swoim szefie i widzi w niej rywalkę! Bzdury typowe dla dwudziestoparolatki! Teraz wszystko jasne.

– Z zewnątrz tak to może wyglądać, przyznaję. Być może dlatego, że niewielu ludzi wie, na czym polega nasza praca. Wyobrażacie sobie pewnie, że przypomina kolekcjonowanie, w mniej lub bardziej zacisznym budynku, w unoszącym się zapachu stęchlizny, rozmaitych dziwnych typów, głównie zniechęconych dziadków i emerytów, oddanych ciałem i duszą, Bóg wie od ilu lat, szukaniu wśród gór książek jakiegoś nikomu niepotrzebnego faktu. Zgadza się?

Mónica otrzymywała właśnie lekcję dobrego wychowania.

Lucía odpowiedziała na jej prowokację z ironią i klasą.

– Myślę, że dobrze opisałaś wyobrażenie, jakie zwykle się mieć o tej pracy – powiedziała Paula, rzucając Mónice koło raktunkowe. – Jestem pewna, że Mónica próbowała zawrzeć w swoim pytaniu te stereotypy, o których właśnie wspomniałaś.

– Oczywiście, nie wątpiłam w to ani przez chwilę!

Umiejętność ironizowania była jedną z zalet Lucíi. No i mamy trójkąt. Mónica kocha Fernanda, Paula pomaga Mónice i pewnie jednocześnie popycha Fernanda w jej objęcia. Ciekawe, co na to sam zainteresowany?

Lucía przyznała, że część obiegujowej opinii na temat pracy przeciętnego badacza dość dobrze oddawała sytuację. Zaznaczyła

jednak, że istnieją poza tym inne aspekty jej zajęcia, które czynią je pasjonującym.

– Czasem czujemy się, jakbyśmy byli nurkami szukającymi skarbu w oceanie. Analizujemy przypadki, które miały miejsce setki lat temu, szukając naszego małego kufra ze skarbem, z uczuciem, jakbyśmy byli uczestnikami tych wydarzeń, pytamy o ich bohaterów i próbujemy zrozumieć ich intencje. Budujemy ogromną i skomplikowaną układankę i czasem poświęcamy lata na znalezienie brakującego fragmentu.

– Lucío, mogę cię zapewnić, że właśnie udało ci się zmienić obraz naukowca, jaki miałam w głowie. – Paula zaczęła patrzeć na archiwistkę z większą sympatią.

Mónica nie odzywała się, zawstydzona swoim wyskokiem, dopóki Fernando nie wrócił do pokoju. Zapytała go, jakie ma wiadomości.

– Wszystko w porządku! Nic się nie wydarzyło, chwała Bogu. Przy okazji poprosiłem ochronę, żeby zwiększyli nadzór nad zakładem i wysłali jednego ochroniarza do mnie do domu. Myślałem, że w ten sposób bransoletka będzie dobrze strzeżona. – Wyczuł lekkie napięcie unoszące się w powietrzu i stwierdził, że najlepszym sposobem na zmianę nastroju będzie wspólny obiad. – Przez tę całą awanturę, zrobiłem się głodny jak wilk. Co powiecie na to, żebyśmy poszukali dobrej restauracji?

Lucía postanowiła pojechać swoim samochodem, żeby nie musieć po niego wracać pod zakład Pauli. Jadąc za Fernandem, myślała o tym, jak ciekawy i odmienny od innych był ten dzień. Dzięki spotkaniu, które nie miało się różnić od innych zajęć związanych z jej zawodem – występowania w roli przewodnika po historycznych tajemnicach kościoła – niespodziewanie odkryła na nowo swoją kobiecość, postanowiła zmienić swoje życie i stała się niechcący powodem zazdrości dwudziestokilkuletniej dziewczyny o mężczyznę, na którego nie zwróciła większej uwagi.

Zostawiwszy samochody na parkingu w centrum, weszli do restauracji. W drzwiach przywitał ich młody kelner.

– Dzień dobry. Mm... Zarezerwowali państwo stolik?

– Nie, nie mamy rezerwacji. Jest nas czworo. Znajdzie się coś dla nas?

Kelner zajrzał do opastej książki.

– Mm, spójrzmy... Tak, dysponujemy stołem na cztery osoby! Mm... dobrze. Proszę za mną!

Przeszli na drugą stronę obszernego salonu.

– Mm... ten stolik się państwu podoba, czy wolicie inny?

– Ten jest idealny, dziękuję – odparł Fernando.

Kelner poprosił, żeby usiedli, podsuwając kobietom krzesła.

– Mm... Czego się państwo napiją?

Poprosili o trzy białe martini i sherry.

– Mm... jak wam się podoba to miejsce? – zażartował Fernando.

– Mm... ten szczegół nie umknął naszej uwadze – zaznaczyła Paula.

Roześmiali się z zabawnej manieri kelnera i zaczęli wspominać najśmieszniejsze słówka, jakie słyszeli w życiu. Wygrała historia Móniki o starym nauczycielu z jej szkoły, który skracał do „samoż” powiedzenie „takoz samoż” i powtarzał je co trzy, cztery słowa. Naturalnie w szkole był znany jako profesor „Samoż”.

Kiedy przeglądali imponującą kartę dań, napięcie zaczęło ustępować. Wybrali dania, a Fernando zamówił czerwone wino Dehesa de Canónigos z prowincji Ribera del Duero.

Przy drugim daniu podzielił się informacjami, jakie zebrał na temat Honoriusza III, które wszystkim wydały się raczej mało wyczerpujące. Tak jak się umówili w Zafrze, każde miało przygotować jeden temat.

Lucía wysłuchiwała go z uwagą i – zważywszy na jego słabe przygotowanie – dodała nieco więcej szczegółów na temat papieża.

– No, kochany, zapracowałeś się na śmierć, jak widzę! – Paula wykorzystała okazję, żeby oddać się swojej ulubionej rozrywce – dogryzaniu bratu. – Jeżeli my poszłyśmy w twoje ślady, możemy zapomnieć o poczynieniu postępów.

Mónica opowiedziała, czego dowiedziała się o bransolecie. Zajrzała do bibliografii w Narodowym Instytucie Gemmologii, żeby dokładniej określić pochodzenie złota, z którego ją wykonano. Ponieważ według raportu z holenderskiego laboratorium była to mieszanka typowa dla dolnych brzegów Nilu, z czego wywnioskowano, że bransoleta pochodzi z czasów faraonów, Mónica chciała sprawdzić, czy da się tę tezę potwierdzić.

Na pustyni w Nubii znajdowały się kopalnie, z których wydobyto duże ilości złota używanego przez egipskich rzemieślników do produkcji ozdób świątynnych i przedmiotów używanych przez faraona. Te ostatnie, jak wiadomo, były grzebane razem z nim.

– Mogę was zapewnić, że tamto złoto odpowiada w stu procentach składowi tego z bransolety. Jest to bardzo szczególna odmiana, co daje nam całkowitą pewność. – Wypiła łyk wina. – Sprawdziłam też, skąd mogło pochodzić dwanaście kamieni, które ją ozdabiają i natknęłam się na wiele zbieżności potwierdzających egipską teorię. Z moich lektur wynika, że wzdłuż łańcucha górskiego ciągnącego się równolegle do Nilu, niedaleko Morza Czerwonego, znajdowało się wiele złóż, z których pochodziły przeróżne kamienie szlachetne, od szmaragdów do diorytów i ametystów i wiele innych, w tym takich jak te osadzone w bransolecie. W masywie Synaju wydobywano również sławne turkusy, z których wyrabiano amulety i naszyjniki. Dlatego, wnioskując z rodzaju złota i kamieni, jestem pewna, że mamy do czynienia z egipską bransoletą z epoki Nowego Państwa.

Lucia, podobnie jak pozostali, pogratulowała Mónice wyczerpujących wyjaśnień, a tymczasem Paula bezlitośnie atakowała brata za brak kompetencji. Pochodzenie kamieni szlachetnych skłoniło Lucię do rozważenia pewnej możliwości. Zdecydowała się opowiedzieć o niej zebranym.

– Możecie to uznać za nadużycie, ale przyszło mi do głowy, jakie może być pochodzenie tej bransolety. Musiałabym najpierw sprawdzić coś w Biblii. Fernando, możesz zapytać kelnera, czy mają może przez przypadek egzemplarz? Jeśli nie, poproś go o numer faksu do restauracji. Mój asystent pracuje dziś w archiwum i mogę go poprosić, żeby wysłał mi parę stron.

Jak można się było spodziewać, restauracja nie dysponowała Biblią, posiadała za to faks. Kilka minut po telefonie Lucii do archiwum kelner przyniósł im dwie kartki. Sprawdziła, czy to odpowiednie strony.

– Fernandzie lub Mónico, czy któreś z was mogłoby mi powiedzieć, jakie kamienie zawiera bransoleta?

– Oczywiście! – odparł Fernando. – Jest to dwanaście nieoszlifowanych kamieni i, popraw mnie, Mónico, jeśli się mylę, w pierwszym rzędzie jest rubin, topaz i szmaragd. W drugim turkus, szafir i diament...

Lucia przerwała mu i zaczęła wymieniać pozostałe kamienie, czytając faks:

– *W trzecim rzędzie opal, agat i ametyst, a wreszcie w czwartym rzędzie chryzolit, onyks i jaspis. Będą osadzone w oprawie ze złota w odpowiednich rzędach...*

Wszyscy patrzyli na nią zdumieni, nie wiedząc, co czyta.

– *Kamienie te otrzymają imiona synów Izraela: będzie ich dwanaście według ich imion.* Księga Wyjścia, rozdział dwudziesty ósmy, wersy od siedemnastego do dwudziestego drugiego. Fernando – Lucia spojrzała mu triumfalnie w oczy – czy te kamienie są takie same jak te, które znajdują się na bransolecie?

– Tak! W tej samej kolejności. Powiedz mi, czy to, co przeczytałaś, naprawdę znajduje się w Biblii, w Księdze Wyjścia?

– Tak. W Starym Testamencie. Odpowiada instrukcjom, jakie Jahwe dał Mojżeszowi na temat wyglądu pektorału i innych ozdób, które najwyższy kapłan miał zakładać przed wejściem do Świętego Świętych, miejsca, gdzie przechowywano Arkę Przymierza, zawierającą tablice przykazań.

Paula i Mónica nie mogły otrząsnąć się ze zdumienia, ale Lucía najwyraźniej nie powiedziała jeszcze wszystkiego.

– Wszystko jasne! – Odgarnęła kosmyk włosów opadający jej na twarz i odetchnęła głęboko. – To, co wam teraz powiem, może się wydawać nieprawdopodobne, ale ta bransoleta, poza tym, że jest bardzo stara, ma nieocenioną wartość. Zaczynam myśleć, że mogła należeć do samego Mojżesza. – Jej oczy błyszczały satysfakcją. Pozostali przestali jeść. – Jeśli wnioskować po opisie z Biblii, trzeba by uznać, że nawet jeśli nie należała do niego, wiedział przynajmniej o jej istnieniu.

Fernando przerwał, żeby dodać sprostowanie do tych domysłów.

– Laboratorium z Holandii datowało tę bransoletę między czternastym a trzynastym wiekiem przed Chrystusem, i jeśli mnie pamięć nie myli, w tym czasie miało miejsce wyjście narodu żydowskiego z Egiptu do Ziemi Obiecanej. Zgadza się?

– Wygląda na to – odparła Lucía – biorąc pod uwagę naturalne wątpliwości dotyczące ustalenia konkretnej daty, że Mojżesz podjął wędrówkę do ziemi Kanaan między tysiąc trzechsetnym a tysiąc dwusetnym rokiem przed Chrystusem. Dlatego też ta analiza dowodzi, że idziemy w dobrym kierunku i czyni bardziej prawdopodobnym uczestnictwo proroka. Nie możemy mieć absolutnej pewności, bo w księgach Starego Testamentu nie ma żadnej wzmianki na ten temat, a jest to jedyny dokument mówiący o Mojżeszu, jaki przetrwał do dzisiejszych czasów. Istnieje jeszcze jeden dowód, który mógłby świadczyć o tym, że to Mojżesz ją nosił. Należy porównać wydarzenia na Górze Synaj z inną historią, która miała miejsce kilka lat wcześniej w Egipcie, na dworze faraona.

Gdy to mówiła, w jej oczach pojawił się niezwykle blask, który urzekał Fernanda, coraz bardziej poruszonego wytaczanymi przez nią argumentami. Mónica zauważyła już jakiś czas temu, że nie przestaje patrzeć na Lucię z wyrazem bezgranicznego podziwu.

– Już wyjaśniam. Wiadomo, że Mojżesz, gdy przebywał w młodości na dworze faraona, otrzymał od niego inną złotą bransoletę, którą nosił przez wiele lat. Zwrócił mu ją, kiedy wiążąca ich przyjaźń, przypominająca raczej relację między rodzonymi braćmi, została zerwana, gdy faraon nie udzielił mu zgody na poprowadzenie narodu żydowskiego do Ziemi Obiecanej, zgodnie z rozkazem Jahwe. Jeśli popatrzymy na to w ten sposób, bransoleta mogła symbolizować dla Mojżesza wierność faraonowi albo ich wzajemne oddanie. Jednak kiedy otrzymał na Górze Synaj tablice z przykazaniami, a wraz z nimi obietnicę przymierza z jego ludem, dlaczego nie miałby zapragnąć zachowania dowodu tego boskiego przymierza w postaci bransolety? Uważam, że to możliwe. Dlatego myślę, iż macie autentyczną bransoletę, którą nosił Mojżesz po zejściu z góry Synaj.

Z każdą upływającą minutą podziw Fernanda dla Lucii rósł.

Nigdy nie poznał takiej kobiety.

– Jestem prawie w stu procentach pewna, że mamy do czynienia z najważniejszą i najświętszą relikwią znaną człowiekowi od zarania dziejów!

– Lucio, to niesamowite! – Paula od dłuższego czasu próbowała zabrać głos. – Próbujesz nas przekonać, że jesteśmy w posiadaniu bransolety Mojżesza? Ale jak to możliwe, żeby coś takiego dostało się w ręce naszego ojca? To znaczy, tylko w teorii, bo biedak w końcu nigdy jej nie zobaczył.

Kelner napełnił im kieliszki winem zamówionym do dań, których jeszcze nie spróbowali. Paula zaczęła, aż odejdzie, żeby podjąć rozmowę.

– Zakładając, że masz rację, wiemy, iż bransoletę wysłał niejaki Carlos Ramírez, który, według jego krewnego, Lorenza Ramireza, mógł być powiązany z naszym ojcem tylko poprzez hipotetyczną przynależność do templariuszy i kościół Vera Cruz.

Lucia poprosiła, żeby streścili jej rozmowę z profesorem. Mónica zgłosiła się na ochotnika i opowiedziała, o czym wtedy mówiono. Słuchając tych wyjaśnień, Lucia zaczęła łączyć fakty.

Kiedy jednocześnie z końcem historii opowiadanej przez Mónicę na stół wjechały ciastka, Lucía, zastanowiwszy się przez kilka minut, przedstawiła swoją nową teorię.

– Po tym, co usłyszałam, mam nowy pomysł, który wymaga co prawda trochę czasu, żeby dojrzeć, ale mogę wam wstępnie wyjaśnić, o co chodzi. Być może bransoleta została znaleziona przez jednego z dziewięciu pierwszych templariuszy, którzy założyli zakon w Jerozolimie, prawdopodobnie przy okazji licznych wykopalisk, które jakoby prowadzili w dawnej Świątyni Salomona. – To arbitralne stwierdzenie wprawilo wszystkich w zdumienie. Po tak zaskakującym wstępie Lucía uznała, że powinna usytuować swoją teorię w szerszym kontekście historycznym. – Jeśli jeszcze tego nie wiecie, zakon powstał w tysiąc sto dziewiętnastym roku i do tysiąc sto dwudziestego ósmego pierwszych dziewięciu mnichów mieszkało przez całe dziewięć lat w obecnym meczecie Al-Aksa, który ofiarował im ówczesny król Jerozolimy, Baldwin Drugi. Żaden nowy członek zakonu nie mógł zostać do niego przyjęty, dopóki nie zaakceptowano jego reguły, co stało się na synodzie w Troyes. Zwróćcie uwagę, że przez cały ten czas rycerze ci byli pierwszymi Europejczykami, którzy od czasów rzymskich mieli okazję zbadania tej budowli, którą wzniesiono na ruinach wiele razy burzonej Świątyni Salomona. Skarb Salomona zawsze był jednym z najbardziej pożądanych celów archeologów, nie tylko ze względu na jego wartość historyczną i materialną, lecz także religijną. Mówimy o skarbie, w skład którego wchodziła Arka Przymierza z tablicami przykazań, złoty ołtarz, przedmioty sakralne przeznaczone do użytku arcykapłana i wiele innych rzeczy dokładnie opisanych w Biblii, które znajdowały się w pierwszej świątyni, zanim zniszczyły ją oddziały Nabuchodonozora. Wszystko wskazuje na to, że bransoleta była również częścią skarbu i być może, w niewiadomy sposób, znaleźli ją założyciele zakonu templariuszy.

– Lucío, gdyby to było prawdą, potwierdzałoby jej autentyczność. Ale zauważ, że mówimy o tym, co działo się nie mniej

niż tysiąc lat temu. Nie zastanawia cię, jak bransoleta mogła znaleźć się w naszych rękach po tylu latach? – spytała Paula.

– Oczywiście! Nie wiemy jeszcze, jak to się stało, ale myślę, że gdyby udało nam się spotkać z Lorenzem Ramirezem i wymienić informacjami, moglibyśmy zrozumieć, jak dotarła aż do Badajoz.

– Przypuszczam, że jeśli znaleźli ją templariusze, mogli jej strzec przez lata. Fakt, że bransoleta znajdowała się najpierw w Jerez de los Caballeros, które było jedną z najważniejszych komandorii templariuszy w Europie, a później dotarła do kościoła Vera Cruz, który należał do tego samego zakonu, czyni tę teorię bardziej wiarygodną.

Fernando poprosił kelnera o dwie kawy i rachunek.

– Mm... może napiją się państwo jakiegoś likieru?

– Nie, dziękuję. Wystarczy kawa.

Lucía nie chciała przerywać rozmowy, ale musiała wyjść do toalety.

– Powinniśmy zadzwonić do Ramíreza i dowiedzieć się, kiedy przyjeżdża do Madrytu. Mogliby razem z Lucią znacznie przyspieszyć rozwiązanie zagadki.

Wszyscy uznali, że to dobry pomysł. Mónica przypomniała sobie, że zostawiła notes, w którym zapisała jego telefon, w samochodzie Fernanda. Postanowiła pójść z Lucią do toalety.

Paula przyjrzała się bratu. Utkwił wzrok w jakimś punkcie w przestrzeni, a jego twarz miała nieobecny wyraz, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Fer, dobrze się czujesz?

– Tak? Co mówiłaś?

– Pytam, czy dobrze się czujesz. Chyba byłeś trochę nieobecny. O czym myślałeś?

– Przypomniałem sobie o Isabel, chyba z powodu Lucii. Gdyby żyła, byłaby w jej wieku. Jest w tej kobiecie coś, co mi ją przypomina i co mnie pociąga.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że podoba ci się Lucía? Chciałabym ci przypomnieć, że w Zafrze dałeś mi do zrozumienia,

że interesujesz się Mónicą. Zdaje mi się, że sam nie wiesz, czego chcesz.

– Nie wiem, czy „podoba się” to odpowiednie słowo. Myślę, że raczej chodzi o pewne szczególne zainteresowanie jej niezwykłą osobowością.

– Oczywiście, że je zauważyłam, Fer. Lucía reprezentuje dobre i złe cechy dojrzałej kobiety i widać, że wiele w życiu przeszła. Może się mylę, ale ja na twoim miejscu nie traciłabym Móniki z oczu. W niej znajdziesz wszystko to, czego nie ma tamta, niewinność połączoną z inteligencją, oddanie i umiejętność odkrywania nowych uczuć i wrażeń.

– Cała ty! Nigdy się nie poddajesz. – Fernando uszczypnął siostrę w policzek. – W każdym razie, myślę, że nadinterpretujesz mój komentarz. Po prostu powiedziałem na głos, co myślę, bo mnie o to poprosiłaś.

– Dobrze, w porządku! Ale będę się upierała, że Mónica jest lepszą kandydatką.

Obydwie panie zbliżyły się właśnie do stołu, musieli więc zakończyć rozmowę.

Pożegnali się na parkingu i każde ruszyło w swoją stronę.

W drodze powrotnej do Madrytu Fernando wydawał się nieobecny. Mónica myślała o tym, że nie będzie miała wielu okazji, by być z nim sam na sam i powiedzieć mu o swoich uczuciach. Pamiętała jednak o radach Pauli, żeby pozwolić mu przejąć inicjatywę i powstrzymała się od wzięcia sprawy w swoje ręce. Kiedy byli na przedmieściach, przerwał wreszcie milczenie pytaniem, które rozwiązało jej wątpliwości.

– Mónico, byłaś kiedyś zakochana?

– Co za pytanie, Fernando! Oczywiście, że tak, nie raz. Dokładnie rzecz biorąc, dwa razy. Pierwszego już prawie nie pamiętam, to była wakacyjna miłość, miałam może szesnaście lat. Później zakopałam się w książkach i chłopcy znaleźli się na mojej liście priorytetów na... przynajmniej setnym miejscu.

– A kto był drugi?

Rumieniec oblał jej policzki, zajmując każdy milimetr twarzy. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Powinna się przyznać, że chodzi o niego? Czy to właściwy moment?

Jej milczenie sprawiło, że Fernando powtórzył pytanie.

– Nie złość się na mnie, że pytam, dobrze? Nie było drugiego?

– Nie! Rzeczywiście, nie było. – Postanowiła skoczyć na głęboką wodę – Bo jest... jesteś nim ty.

Klamka zapadła i Mónica odetchnęła z ulgą. Teraz wszystko zależy od niego. Zbliżali się do jej domu i czekała na odpowiedź.

– Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś i czuję się zaszczycony – odrzekł poważnie Fernando. – Pewnie chcesz wiedzieć, co czuję.

– Oczywiście.

Zastanowił się nad odpowiedzią. Zatrzymał się w rzędzie samochodów stojących przed jej klatką schodową.

– Ty też mnie pociągasz, nawet bardzo. – Poglaskał ją po policzku. – Jesteś dla mnie bardzo ważna, więc chcę być z tobą szczerzy. Nie mam tej samej pewności co ty, co do moich uczuć, ale chciałbym osiągnąć ją przy tobie, jeśli dasz mi trochę czasu.

W windzie Mónica nie mogła powstrzymać łez. Udało jej się sprawić, że to, o czym od tak dawna marzyła, stało się rzeczywistością. Fernando coś do niej czuje!

Z powodu normalnego dla końca stycznia spadku popytu, nowy tydzień w zakładzie jubilerskim Luengo zaczął się dość monotennie. Mónica jednak była znacznie bardziej ożywiona niż zwykle, promieniała.

W środę, koło ósmej wieczorem, do Fernanda zadzwoniła Lucía.

- Czy mogę rozmawiać z Fernandem Luengo?
- Przy telefonie. Lucía, prawda?

Doktor Herrera chciała wiedzieć, czy mogą spotkać się w czwartek wczesnym wieczorem. Odkryła coś ważnego. Musi przyjechać do Madrytu, żeby załatwić kilka spraw w Ministerstwie Kultury i będzie miała trochę wolnego czasu koło siódmej. Umówili się, że spotkają się pod ministerstwem i wypiją razem kawę.

Fernando odłożył słuchawkę w momencie, gdy do gabinetu weszła Mónica. Przyniosła rachunki i inne dokumenty, które wymagały jego podpisu. Tego dnia wyglądała wyjątkowo pięknie. Skończywszy, zaniknęła teczkę i zastygła na chwilę bez ruchu, patrząc mu w oczy i tajemniczo milcząco.

- Wiesz, jaki jest jutro dzień?
- Czwartek. Ale znając moje roztargnienie, myślisz pewnie, że zapomniałem o jakimś ważnym zebraniu. Powinienem pamiętać o czymś szczególnym?
- Tylko o moich urodzinach.

Podniosła się, rzucając mu szeroki uśmiech i wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

No pięknie!, pomyślał Fernando. Właśnie umówił się z Lucią, żeby dowiedzieć się czegoś nowego o bransolecie. Poza tym, że akurat musiała być tego dnia w Madrycie i mogli wykorzystać okazję i się spotkać, miał szczerą ochotę ją zobaczyć. Nie zastanawiając się długo, uznał, że najlepiej będzie nie mówić nic Mónice. Zaprosi ją na kolację do domu, po spotkaniu z Lucią, i wszystko jej spokojnie opowie.

Tak zrobi. Kiedy przyjdzie do gabinetu, powie jej, że spotkamy się o dziewiątej, postanowił.

- Mónico, co ty na to, żebyśmy spotkali się u mnie w domu? Przygotuję kolację. Obiecuję, że się przyłożę z okazji twoich urodzin. Podoba ci się ten pomysł?

– Bardzo. Wpadnę do ciebie koło dziewiątej, ale mam nadzieję, że to będą „bardzo szczególne” urodziny. – Puściła do niego oko. – Zostawiam cię samego.

Pożegnała się, a Fernando wrócił do pracy, chociaż była już dziewiąta wieczorem.

Mónica wyjechała z garażu i ruszyła w stronę domu. Za nią podążał samochód, w którym jechało dwóch mężczyzn. Dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, że od paru dni jest śledzona.

Następnego dnia, po siódmej wieczorem, Fernando parkował samochód przy ulicy Alcalá, żeby odebrać Lucię z ministerstwa. Spieszył się, bo był już spóźniony. Z powodu przewróconej latarni na Serrano stracił dziesięć minut, stojąc w korku.

Lucía czekała na niego na ulicy, otulona beżowym płaszczem, spacerując dla rozgrzewki, ponieważ było przejmująco zimno. Fernando podszedł do niej, pocałował ją w policzek i przeprosił za spóźnienie. Była lepiej ubrana niż przy okazji poprzedniego spotkania i chociaż nie uznał za właściwe jej tego powiedzieć, wydała mu się bardziej atrakcyjna.

– Jestem przemarznięta! Wysłałam jakiś czas temu, nie spodziewałam się takiej zimy w Madrycie. Na szczęście włożyłam cieplejszy płaszcz. Co słychać?

– Poza tym że wstyd mi z powodu spóźnienia, cieszę się, że cię widzę. Napijemy się teraz kawy gdzieś niedaleko stąd, żebyś mogła się rozgrzać i opowiedzieć mi o swoim odkryciu.

Cały dzień zżerała mnie ciekawość!

– Dzięki za kawę, ale chciałabym jak najszybciej opowiedzieć ci, co odkryłam, a muszę w tym celu zobaczyć jeszcze raz bransoletę. Prawie nie pamiętam, jak wygląda, a chcę coś sprawdzić. Może pojedziemy najpierw do twojego zakładu, a potem na kawę? Moglibyśmy wykorzystać okazję, żeby opowiedzieć wszystko Mónice, pewnie jeszcze będzie w pracy.

Fernando wyobraził sobie scenę jak z horroru. Mónica nie może ich zobaczyć wchodzących razem do sklepu, bo nie wie nic

o tym spotkaniu. Wymyślił naprędce wymówkę i alternatywę zarazem.

– Przykro mi, Lucío, ale to niemożliwe. Ze względów bezpieczeństwa kasa pancerna jest wyposażona w automatyczny system zaprogramowany w ten sposób, że można ją otworzyć o pewnej konkretnej godzinie. Musi więc pozostać zamknięta do jutra do dziesiątej rano. Można oczywiście zrobić to wcześniej, ale nie wyobrażasz sobie, z jakim zamieszaniem by się to wiązało. – Zastanawiał się, czy jest wystarczająco przekonujący. – Mam jednak pomysł. Wziąłem do domu zdjęcia bransolety, które zrobiłem aparatem cyfrowym. Myślę, że to wystarczy. Zgadzasz się na takie rozwiązanie?

– Oczywiście! Wolalabym wziąć ją do ręki, ale rozumiem problem. Myślę, że zdjęcia też będą dobre.

Zdecydowali, że każde pojedzie swoim samochodem, żeby Lucía mogła ruszyć prosto z jego domu do Segowii.

Piękny apartament Fernanda znajdował się przy jednej z najbardziej ekskluzywnych ulic w Madrycie, w samym sercu dzielnicy Los Jerónimos. Oboje wjechali na podjazd i oddali klucze portierowi.

– Dobry wieczór, Paco. Są jakieś wieści od syna?

Pamiętał, że chłopak miał zdawać egzaminy do marynarki.

– Nic nie wiemy. Pewnie jeszcze nie wyszedł z egzaminu. – Portier wsiadał do pierwszego samochodu, żeby odstawić go na parking. – Miło, że pan pyta, don Fernando. Gdy tylko zadzwoni, opowiem panu, jak mu poszło. – Nie przypominał sobie, żeby widział wcześniej jego towarzyszkę.

Fernando otworzył drzwi mieszkania i zaprosił Lucię do obszernego owalnego przedpokoju. Na przeciwległej ścianie znajdowało się czworo drzwi zwieńczonych łukiem.

Fernando pomógł jej zdjąć płaszcz i zaprowadził do salonu z dwoma dużymi oknami, za którymi rozciągała się panorama parku Retiro. Lucía usiadła na wygodnej kremowej kanapie. Fernando zostawił ją na chwilę samą i poszedł po zdjęcia oraz przygotować kawę.

Lucia przyglądała się wystrojowi salonu. Jej uwagę przykuło kilka srebrnych ramek stojących na stoliku pod jednym z okien. Ponieważ siedziała za daleko, wstała i podeszła bliżej. Najciekawsze było jedno zdjęcie, przedstawiające młodą parę. Chociaż wyglądał trochę inaczej, nie ulegało wątpliwości, że panem młodym jest Fernando.

Nigdy nie mówił o swojej żonie. Może się rozwiedli? Odkrycie było bardzo interesujące, gdyż mimo że właściwie jej to nie interesowało, była pewna, że jest kawalerem.

Obok tego zdjęcia na stoliku stało wiele innych przedstawiających tę samą kobietę w różnych miejscach, na niektórych była sama, na innych z mężem. Nie była piękną, ale było w niej coś szczególnego.

– To Isabel, moja żona. Zginęła w tym domu prawie cztery lata temu, w bardzo tragicznych okolicznościach.

Fernando postawił tacę z kawą na stole obok kanapy i podszedł do Lucii, żeby dać jej zdjęcia.

– Przykro mi, Fernando, nie wiedziałam, że jesteś wdowcem. Czy mogę zapytać, jak to się stało?

Odstawiła ramkę na stolik i usiadła na kanapie, żeby przyrzeć się zdjęciom bransolety.

– Opowiadanie o tym nie jest dla mnie problemem, nie ma dnia, żebym nie przypomniał sobie tamtej sceny. Znalazłem Isabel na schodach prowadzących na poddasze, w kałuży krwi, z głęboką raną na szyi. Wybacz, że opisuję ci to tak dokładnie, ale tak to zapamiętałem.

– Dobry Boże, to straszne! Wiesz, jak to się stało? – Lucia poczuła gęsią skórkę.

– Policja uznała, że motywem była kradzież, chociaż prawdopodobnie, kiedy Isabel wróciła niespodziewanie do domu i złapała złodziei na gorącym uczynku, sprawy się skomplikowały. Stracili głowę i postanowili ją zabić, żeby nie zostawiać świadków. Nigdy nie uwierzyłem w tę wersję. Intuicja mi podpowiada, że od początku chcieli ją zabić, ale nie udało mi się znaleźć

żadnych dowodów, ani wymóc na policji, żeby nie zamykała dochodzenia.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Fernando. Nie wyobrażasz sobie, jak dobrze cię rozumiem! Nie wiem, czy wiesz, że ja również owdowiałam.

Fernando odparł, że nic o tym nie wie i nalał jej kawy. Lucía zapaliła papierosa i ciągnęła:

– Kiedy się pobraliśmy, byłam zakochana bez pamięci. Mój mąż był niezwykłym człowiekiem. Nasze narzeczeństwo było krótkie, ale trwało na tyle długo, żebyśmy wiedzieli, iż jesteśmy dla siebie stworzeni. Zginął w wypadku awionetki, w czasie podróży do Alicante, gdzie miał nadzorować budowę prowadzoną przez jego firmę, trzy tygodnie po ślubie i tydzień po podróży poślubnej. Kiedy nagle musisz stawić czoło tak niespodziewanej śmierci, twoje życie rozpada się na drobne kawałki. Przez rok właściwie nie wychodziłam z domu. Nie chciałam z nikim rozmawiać ani nikogo widzieć, dopóki rana się nie zablźni.

– Wygląda na to, że oboje poznaliśmy ból utraty kogoś, komu oddaliśmy całe życie. Jak sobie z tym poradziłaś?

Lucía wyjęła z torebki chustkę, żeby otrzeć łzy.

– Sama nie wiem! A ty jak sobie radzisz z czymś takim? Pewnie ktoś ci pomaga, bo sam nie masz dość sił. – Wytarła nos i przeprosiła, że się rozplakała. – W moim wypadku bardzo pomogła praca. Na szczęście krótko potem zaproponowano mi prowadzenie archiwum, co pozwoliło mi się skoncentrować na czymś innym. To okazało się dla mnie decydujące. Chociaż, mimo że teraz jestem w lepszym stanie, wiem, że nigdy już nie będę taka, jak przedtem. Pewnie tobie zdarza się to samo, ale czasem czuję się jak ranny dzik. Przesz do przodu, nawet jeśli zderzasz się ze wszystkim i wszystkimi i pozwalasz, żeby zżerał cię ból. A jeśli ktoś stanie ci na drodze, chcąc cię zranić, nie wahasz się ani przez chwilę i atakujesz bez litości. – Wytarła nos i oczy, starając się usunąć rozmazany tusz do rzęs. – Chyba

powinniśmy zmienić temat, bo zaraz oboje zaczniemy płakać.

Fernando zgodził się z nią, martwiąc się, ile czasu zajmie Lucii podzielenie się swoim odkryciem. Miał nadzieję, że zdąży przed nadejściem Móniki.

Lucía chciała obejrzeć zdjęcia, żeby sprawdzić, czy istnieje podobieństwo między bransoletą i pierścieniem, który znalazła w katalogu starej biżuterii eksponowanej w Muzeum Archeologicznym w Ammanie w Jordanii. Pierścień również miał dwanaście kamieni szlachetnych i został znaleziony na jednym z nowych stanowisk archeologicznych w okolicach góry Nebo, najbardziej czczonym miejscu Jordanii. Datowano go na znacznie późniejszy okres niż bransoletę. Przypuszczano, że mógł służyć do rytuałów w jakimś hebrajskim obrządku. Lucía przypomniała o sakralnym znaczeniu tego obszaru, to właśnie ze szczytu Nebo Mojżesz po raz pierwszy zobaczył Ziemię Obiecaną.

– Gdyby potwierdziło się podobieństwo między nimi, nie byłoby już prawie żadnych wątpliwości co do pochodzenia bransolety ani jej ścisłego związku z prorokiem Mojżeszem. Chociaż pierścień nie jest tak stary, został zrobiony w tym samym stylu co przedmioty, które Jahwe kazał wykonać Mojżeszowi dla czczenia Go w świętym miejscu, gdzie miała być przechowywana Arka Przymierza. To naturalne, że po upływie kilkuset lat spadkobiercy hebrajskiej tradycji kopiowali ten styl w przedmiotach sakralnych.

– Lucío, nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać. Jesteś niezwykła, nie wiem, co byśmy zrobili bez twojej pomocy.

Fernando czuł, że coś ciągnie go do tej kobiety.

– Dziękuję za te pochwały, ale poczekaj, aż usłyszysz, czego jeszcze się dowiedziałam. Jeśli nadal będziesz miał wątpliwości, zabiję cię na miejscu. – Uśmiechnęła się. – W apokryficznej *Księdze Machabejskiej* istnieje wzmianka, że prorok Jeremiasz

ukrył w jaskini na górze Nebo Arkę Przymierza, namiot i ołtarz kadzenia. Jak widzisz, mamy do czynienia z ważnymi symbolami przymierza Jahwe z Mojżeszem. W tym samym miejscu mówi się, że Mojżesz nigdy nie dotarł do Ziemi Obiecanej i został na górze, nie wiadomo, czy tam umarł, czy dostąpił wniebowzięcia. – Zapaliła następnego papierosa. – Dużo zbiegów okoliczności, prawda? Zgodzisz się ze mną, że bransoleta mogła pozostać ukryta w jednej z jaskiń przez wiele setek lat i zainspirować wykonanie pierścienia albo innych podobnych przedmiotów. Moim zdaniem to oczywiste, że chodzi o bransoletę wielkiego proroka i symbol jego przymierza z Jahwe.

– Doskonale, Lucio! Po tym, co mi powiedziałaś, nie mam żadnych wątpliwości.

Chociaż Fernando był zachwycony tą rozmową i nowym odkryciem, okazywał coraz większe zdenerwowanie. Mónica mogła przyjść w każdej chwili i nawet nie chciał sobie wyobrazić, co się będzie działo, jeśli spotka Lucię. Ona zauważyła jego niepokój i spojrzawszy na zegarek, uznała, że musi wracać do Segowii.

– Fernando, muszę iść. Jest już późno i nie chcę zajechać do domu w środku nocy. – Podniosła się z fotela i ruszyła do przedpokoju. – Było mi bardzo miło spędzić z tobą wieczór.

Fernando poszedł po jej płaszcz. Czekając na niego, pomyślała, iż jest doskonałym słuchaczem, a w dodatku zaczyna wywoływać w niej dziwne uczucie, które zdaje się rozrastać w jej wnętrzu, budząc pragnienie, by być bardziej kobiecą.

– Zapomniałam powiedzieć ci o pewnej rzeczy, która od jakiegoś czasu mnie zastanawia. Chodzi o starą żydowską sektę, esseńczyków, którzy, moim zdaniem, mogli odegrać pewną rolę w tej historii. – Coś skłaniało ją do umówienia się z nim jeszcze raz, jak najszybciej, i postanowiła spróbować szczęścia. – Możemy się jeszcze kiedyś spotkać, żeby o tym porozmawiać?

– Świetnie, oczywiście, że tak. – Fernando widział, że mija

dziewiąta, nie mógł przedłużyć rozmowy. – Zadzwoń do ciebie i się umówimy, dobrze? – zaproponował nieco oschle.

– Właściwie... Mam lepszy pomysł, niż umawianie się na spotkanie, tak jak dzisiaj. Powiedzieliście mi, że don Lorenzo Ramírez jest Estremadurczykiem. Mam posiadłość w Cáceres i muszę tam pojechać w przyszły weekend. Może wpadniesz mnie odwiedzić i wykorzystamy okazję, żeby spotkać się z profesorem? Moglibyśmy wymienić się wszystkimi informacjami, jakie zebraliśmy do tej pory, i na pewno uda nam się wysnuć jakieś konstruktywne wnioski.

Lucía chciała powiedzieć „wpadniecie”, włączając w plany Mónicę i Paulę, ale niechcący wspomniała tylko o nim. W każdym razie, ponieważ już było za późno, postanowiła sprawdzić, jak zareaguje.

– Weekend w twoim majątku?

Wiedząc, że musi szybko podjąć decyzję, Fernando rozważył błyskawicznie wszystkie za i przeciw. Wiedział, że jest wiele przeciwskazań, ale widząc spojrzenie Lucíi, które prosiło go, by zaakceptował propozycję, odpowiedział twierdząco.

– Bardzo się cieszę, Fernando. Postaram się, żebyś dobrze się bawił. Zanim wyjdę, powiedz mi, czy lubisz polować?

– Tak, chociaż rzadko jest ku temu okazja. Mam nawet licencję i pozwolenie na broń, ale ostatnio raczej sobie odpuściłem.

– Przygotuję trochę przepiórek do wystrzelania. Spodoba ci się!

Podeszła do niego, żeby pocałować go na pożegnanie w tym samym momencie, w którym zadzwonił telefon.

– No dobrze, Fernando, idę! Dam ci spokojnie odebrać.

Otworzyła drzwi i weszła do windy, machając na pożegnanie. Fernando odpowiedział tym samym, stojąc w drzwiach.

Podniósł słuchawkę i usłyszał głos Móniki.

– Cześć, Fernando, stoję pod twoim domem i nie wiem, czy mogę wjechać samochodem do garażu. Co mam zrobić?

– Oczywiście... jasne, że możesz. Zostaw samochód portierowi. Chociaż... no, nie wiem...

– Co ci jest, Fernando? Dziwnie się zachowujesz. Mogę zaparkować czy nie? Powiedz mi, co mam zrobić, stoję na środku ulicy i już na mnie trąbią. – Umilkła nagle. – O, z twojej klatki wychodzi właśnie... Wygląda zupełnie jak... Fernando, jak to możliwe? – W jej urywanym głosie brzmiały wściekłość i zawód. – Widzę Lucię wychodzącą z twojego domu. Właśnie z nią skończyłeś i teraz moja kolej?

– Mónico, wszystko ci wyjaśnię. Nie bądź głupia, chodź na górę, wszystko ci wyjaśnię.

– Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Wszystko, co powinienam wiedzieć, przeszło właśnie dwa metry ode mnie. Nie przeszkadzaj sobie. To, co było między nami, już się skończyło, o ile w ogóle coś było. Dobranoc, Fernando!

9.

Efez, rok 1244

Żeby dopłynąć z Wenecji do portu w Smyrnie na Półwyspie Anatolijskim zwykły statek potrzebował prawie dwóch tygodni. Smyrna utrzymywała intensywną wymianę handlową z zachodem, odkąd podróżowanie z Trypolisu i Akki stało się zbyt niebezpieczne.

Jedyni podróżujący na galerze pasażerowie siadali każdego popołudnia na jej dziobie i oddawali się modlitwie w ogromnej naturalnej świątyni zwanej Morzem Śródziemnym. Nie chcieli, żeby załoga domyśliła się, jaką religię wyznają.

Wyruszyli z Rzymu i przez Apeniny dotarli do Wenecji, żeby wsiąść tam na statek płynący do Efezu. Znaleźli galerę, która co piętnaście dni łączyła miasto kanałów z portem w Smyrnie.

Smyrna leżała na północ od Efezu, ale od tego starożytnego rzymskiego miasta, będącego celem rozpoczętej przed tygodniem potajemnej podróży papieża Innocentego IV i jego osobistego sekretarza Carla Brugnolli, dzieliło ją niewiele kilometrów. Galerze nadano nazwę „Il Leone”, podkreślając w ten sposób z dumą jej włoskie pochodzenie.

Przed przyjęciem podróżnych na pokład kapitan uprzedził ich, że będą musieli zawinąć do Konstantynopola, żeby zostawić tam część ładunku, co może zająć kilka dni.

Innocenty IV przedstawił się kapitanowi – niewysokiemu, ale energicznemu człowiekowi nazywanemu przez wszystkich Il

Pescante – swoim prawdziwym nazwiskiem, Sinibaldo de Fieschi. Powiedział mu, że jest kupcem rzymskim i że podróżuje do Efezu w interesach, w towarzystwie swojego księgowego Carla. Chciał pozostać incognito i dlatego obaj przebrali się zaraz po wyjeździe z Rzymu.

Po drodze do Wenecji musieli przejechać przez ziemie znajdujące się pod kontrolą wojsk cesarza Fryderyka II, którego stosunki z Innocentym znacznie się skomplikowały. Napięcie między nimi było tak duże, że obaj podróżnicy zachowywali wszelkie środki ostrożności, żeby ich nie rozpoznano i by uniknąć niewygodnego spotkania z Fryderykiem II, zwłaszcza po obłożeniu go ekskomuniką.

Również relacje Innocentego IV z Janem III, cesarzem Bizancjum, nie były najlepsze. Papież wielokrotnie prosił go o wysłanie posiłków na pomoc krzyżowcom, którzy nadal opierali się atakom muzułmanów w Ziemi Świętej, i zawsze otrzymywał szorstką i pełną wymówek odpowiedź.

Cesarz nadal zajęty był łagodzeniem wstrząsu, jakiego doznali jego poddani po upokarzającym brutalnym podboju Konstantynopola w czasie czwartej krucjaty. Nie mógł przekonać swoich żołnierzy, by dzielili los krzyżowców. Tłumaczył również, że nie ma wystarczającej liczby oddziałów, gdyż wszystkie zajęte są tłumieniem licznych buntów.

Z powodu tych napięć oficjalna wizyta papieża oznaczałaby niechybnie konieczność przestrzegania zasad dyplomacji, czego Innocenty za wszelką cenę chciał uniknąć.

Udał się do Efezu, gdyż chciał odnaleźć ważną relikwię, którą jego poprzednik na tronie świętego Piotra, Honoriusz III, ukrył w relikwiarzu wysłanym do tego miasta w 1224 roku. Po wielu nieudanych próbach uznał, że kolczyki Marii musiały zostać ukryte właśnie w Efezie. Pomimo trudności, jakie wiązały się z zaniedbaniem przez dłuższy czas licznych obowiązków, zdecydował się na podjęcie podróży, zmęczony mizernymi rezultatami poprzednich misji.

W dzienniku Honoriusza III znajdował się szczegółowy opis przekazania mu 15 sierpnia 1223 roku przez węgierskiego księcia skromnych kolczyków znalezionych w grobowcu, w którym prawdopodobnie pochowano Jana Apostoła, znajdującym się w ruinach bazyliki wzniesionej ku jego czci na wzgórzu na obrzeżach Efezu.

Znaczenie znaleziska uszło początkowo uwagi papieża, jednak niedługo potem miało miejsce niezwykle wydarzenie, które pozwoliło mu zrozumieć wartość kolczyków.

Patriarcha Konstantynopola, German II, wysłał mu prezent, mający przyczynić się do zmniejszenia napięcia między dwoma Kościołami, rzymskim i wschodnim. Była to mozaika w stylu bizantyjskim, która miała posłużyć do udekorowania Bazyliki Świętego Pawła za Murami, odnawianej od kilku lat z rozkazu papieża. Bizancjum było dumne z tego, że wśród jego synów znajdował się święty Paweł z Tarsu i chciało podkreślić ten fakt w miejscu jego pochówku w Rzymie.

Nie obejrzawszy jej nawet, Honoriusz III kazał umieścić mozaikę w jednej z kaplic. Jednak przyjrzał jej się kilka dni później, kiedy nadzorował postęp prac i ku swemu ogromnemu zaskoczeniu zobaczył wizerunek Matki Boskiej z Jezusem w ramionach, która miała w uszach takie same kolczyki, jakie podarowano mu kilka tygodni wcześniej.

Honoriusz, pod wrażeniem odkrycia, pisał w dzienniku o swoich wątpliwościach dotyczących celowości rozpowszechniania tego faktu. Wiedział, że świat radowałby się odnalezieniem jedynej istniejącej relikwii związanej z Dziewicą, i nie chcąc uchylać się od odpowiedzialności, na następnych dwóch stronach oddawał się rozważaniom na temat haniebnego handlu relikwiami, jaki kwitł w całej Europie.

Honoriusz był świadom popytu na wszelkie święte przedmioty. Miasta rywalizowały między sobą, żeby wejść w posiadanie jak najcenniejszej relikwii, bo te, którym się to udało, napełniały po brzegi swoje kufry dzięki napływowi pielgrzymów, przybywających z odległych miejsc, by oddać im cześć. Zapelniali

gospody, zapewniali dochody kościołom i pracę warsztatom rzemieślniczym, które dzień i noc fabrykowały repliki.

Papież podjął decyzję po głębokim namyśle i wielu godzinach spędzonych przed tabernakulum w swojej prywatnej kaplicy. Prawie tysiąc dwieście lat wcześniej chrześcijanie stanęli wobec podobnej sytuacji, zmuszeni podjąć decyzję w sprawie losu niezwykłej relikwii. Postanowili ukryć ją przy ciele świętego Jana, ukochanego ucznia Chrystusa i opiekuna Dziewicy po wniebowstąpieniu Syna. Innocenty postanowił zrobić to samo, ale rozdzielając je: jeden kolczyk wyśle do Bazyliki Świętego Jana, a drugi do Bazyliki Grobu Świętego w Jerozolimie.

Nikt poza Innocentym nie wiedział o istnieniu dziennika. Postanowił trzymać go w ukryciu wśród osobistych dokumentów, dopóki nie sprawdzi jego wiarygodności.

– Jak się dziś czujesz, Carlo? Przeszły ci już dolegliwości żołądkowe, które tak cię wczoraj męczyły? – Innocenty usiadł na długiej ławie przy jedynym stole znajdującym się w mesie, szykując się do szóstego śniadania w drodze do Konstantynopola.

– Cóż, wczoraj spałem jak suseł i nie musiałem już wstawać, żeby ulżyć żołądkowi. Jednak nadal nie czuję się dobrze.

Marynarz pełniący obowiązki kucharza podszedł do nich, żeby zaproponować im śniadanie. Od pierwszego dnia uznali zgodnie, że Paulino de Modena, bo tak się nazywał, jest nie tylko dobrym służącym, ale także świetnie gotuje.

– Panowie, dziś mogę wam zaproponować smakowite danie z gotowanych jaj z kielbaskami z Piemontu polanych doskonałym, choć nieco pikantnym sosem. Do tego mogę przygotować maniok z moich ziem, z Modeny. Podać wszystko z dzbanem wina i czarnym chlebem?

Carlo skrzywił się na myśl o skutkach takiego dania dla jego wrażliwego żołądka i poprosił o chleb i kubek ciepłego mleka.

Innocenty patrzył na niego ze współczuciem. Miał spuchnięte uszy, a jego skóra przybrała niepokojący szarawy odcień. Jego sekretarz, z natury szczupły, przypominał teraz worek kości.

Sam poprosił kucharza o całe danie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał okazję tak dobrze jeść. Jedzenie na Lateranie w niczym nie było podobne do tego, które serwowano na statku. Ponieważ w Rzymie w porze obiadu zawsze musiał się z kimś spotykać, nigdy nie jadł sam i zgodnie z własnymi upodobaniami. Dania były najczęściej przygotowane z wyprzedzeniem i wydawały mu się zbyt wyszukane. Mieszało się w nich tyle smaków, że wszystkie były mdłe.

Nie był przyzwyczajony do tak prostych i smacznych dań, jakimi mógł cieszyć się w czasie tej podróży. Zamienił delikatne haftowane obrusy, kryształowe szklanki i porcelanę z Limoges na stół z nieheblowanego drewna, bez obrusa, z glinianymi talerzami i szklankami z grubego szkła. Jednak nie przeszkadzało mu to wcale, wręcz przeciwnie, był zachwycony.

On, Sinibaldo de Fieschi, urodził się w bogatej rodzinie, blisko związanej z cesarzem Fryderykiem – z którym był teraz skłócony – i nie podróżował nigdy w tak skromnych warunkach. Naturalnie jedzenie tych marynarzy było pożywniej sze niż dania podawane na Lateranie, gdyż codziennie ciężko pracowali na morzu.

Wszystko wydawało mu się wyśmienite. Duszona wieprzowina, fasola z mięsem czy *tagliatelle* z grzybami weszły teraz w skład jego diety, stanowiąc miłe urozmaicenie.

Żaden z tych grubiańskich i nieokrzesanych marynarzy nie mógł przypuszczać, że siedzą przy jednym stole z samym papieżem. Gdyby byli tego świadomi, z pewnością nie klęliby, jak to mieli w zwyczaju, ani nie ośmieliliby się opowiadać ze szczegółami o swoich miłosnych podbojach.

W czasie posiłków śmiali się wesoło z przygód z kobietami, które odwiedzali w portach, zawsze chętnymi do ulżenia ich sakiewkom.

Dla Innocentego ta podróż okazała się nieocenioną okazją, by poznać prawdziwy świat. Po kilku dniach zaczął nawet brać udział w rozmowach załogi, ciesząc się nimi i wyrażając swoją opinię na każdy z tematów, jakie w nich poruszano. Ci mężczyźni,

niewykształceni i nieokrzescani, zaskakiwali go przenikliwością spojrzenia i otwarciem na świat. Jak często Innocenty miał do czynienia z ludźmi inteligentnymi i wykształconymi, ale o twardych sercach! W czasie tych kilku dni, przebywając z prostymi marynarzami, w fałszywej roli kupca, uczył się rozumieć ich serca, poznawał ich szlachetność, wierzenia, dowiadywał się, co jest dla nich ważne. Rozumiał teraz, dlaczego Jezus Chrystus wybrał na swoich uczniów ludzi morza. W krótkim czasie nauczył się więcej o naturze człowieka niż przez lata, które spędził na Lateranie.

Pewnego popołudnia Carlo i Innocenty zaczęli zastanawiać się nad swoimi najbliższymi planami, spacerując po pokładzie i ciesząc się powiewem morskiej bryzy.

– Carlo, kapitan mówił ci, o której godzinie możemy przybić jutro do Konstantynopola?

– Twierdzi, że jeśli nic nie stanie nam na przeszkodzie, powinniśmy zawinąć do portu przed południem. Macie już plany na te dwa dni, Wasza Świątobliwość?

– Carlo, przypominam ci, że surowo zakazałem ci nazywać mnie w ten sposób! Któregoś dnia zwrócisz się tak do mnie w czyjejś obecności i narazisz całą naszą misję na porażkę.

Carlo przeprosił i obiecał, że będzie się pilnował.

– Chcę zobaczyć Bazylikę Świętej Ireny, gdzie znajduje się oryginał mozaiki ze Świętego Pawła za Murami i katedrę Świętej Zofii. Carlo, będziemy mogli poznać najwspanialszy kościół, jaki kiedykolwiek zbudowano, najwspanialszą świątynię w całym chrześcijańskim świecie i najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek widziałeś. Od lat marzę, by obejrzeć fantastyczne mozaiki zdobiące jej kopuły, wykonane z milionów szklanych elementów, które w zależności od ich ilości i kąta padania światła oszałamiająco błyszczą kolorami i migocą, według słów tych szczęśliwców, którzy mieli sposobność je widzieć. Po przejściu miasta przez naszych krzyżowców w tysiąc dwieście trzecim roku wiele

budowli spalono lub zniszczono, a niektóre rzeźby wywieziono do Francji, chociaż większość z nich, razem z niezliczonymi relikwiami, trafiło do Wenecji. Mimo wszystko jednak pozostała tu nieprzeliczona ilość miejsc wartych zobaczenia. Spodoba ci się, Carlo! Mam nadzieję, że do jutra wyzdrowiejesz, bo inaczej będziesz musiał zostać na statku.

Wcześniej rano następnego dnia galera przepływała przez cieśninę Dardanele i kierowała dziób na północny wschód, gdzie otwierał się Bosfor i gdzie wzniesiono majestatyczny Konstantynopol, omywany przez morze Marmara.

W południe, kiedy słońce stało w zenicie, przepłynąwszy wzdłuż lewego brzegu spokojnego morza, zobaczyli przed sobą magiczne miasto z siedmioma wzgórzami i wijącym się na nich murem, oraz trzema setkami wież.

Cała załoga podziwiała w ciszy ten widok. Podobno z morza, dokładnie z tego miejsca, w którym się znajdowali, panorama była najpiękniejsza. Dlatego też, chociaż widzieli ją już wiele razy, nigdy nie mieli dość patrzenia na przepyszne kopuły Świętej Zofii, wyróżniającej się wśród pozostałych kościołów, błyszczącej ponad budynkami i pałacami.

Carlo, tak jak pozostała część załogi „Il Leone”, spoglądał na zarys miasta kontrastujący z niebieskim tłem, powstałym z połączenia błękitnego nieba ze spokojnym morzem. Przysłuchiwał się temu, co opowiadał Innocenty o mieście, będącym kiedyś stolicą świata, nazwanym „nowym Rzymem” przez samego cesarza Konstantyna, od którego imienia wzięło nazwę.

– Miasto założono w czasach króla Dawida około tysiąca lat przed Chrystusem – zaczął opowiadać Innocenty – a Rzymianie zdobyli je jakieś osiemset lat później. Dopiero w trzysta trzydziestym roku zostało wywyższone przez cesarza Konstantyna, który kazał zbudować miasto według nowego planu tak, żeby było godne miana stolicy imperium. Zyskało na znaczeniu, gdy na

Rzym najechali Wizygoci. Wtedy właśnie Konstantynopol stał się naprawdę nowym Rzymem. Największą świetność osiągnął za panowania cesarza Justyniana, na początku szóstego wieku. To on wybudował Świątą Zofię, żeby podkreślić znaczenie miasta jako centrum chrześcijaństwa całego świata wschodniego. Niedługo zobaczymy wszystkie te cuda na własne oczy. Dobrze się czujesz?

– Wyśmienicie! Myślę, że moje kiszki wskoczyły już na swoje miejsce.

– Cieszę się, że mogę na ciebie liczyć, Carlo, zwłaszcza że tu właśnie zaczyna się nasza przygoda! Chociaż nie mieliśmy w planie tego postoju, kiedy wyruszyliśmy z Rzymu, skorzystamy z okazji, żeby zbadać ikonę, która dotarła do nas z Konstantynopola i którą, jak pewnie pamiętasz, umieściłem w jednej z kaplic Świętego Pawła za Murami.

Po niecałej godzinie statek dopłynął do molo zatłoczonego portu w Konstantynopolu, na samym Złotym Rogu. Zręczny kapitan „Il Leone” wpłynął między dwa statki o mniejszej wyporności, jeden pod flagą Korony Aragonii, drugi przybywający z Genewy.

Zapytany przez dwóch rzymian mających właśnie opuścić pokład, kapitan oznajmił, że nie może powiedzieć niczego na temat podróży do Smyrny oprócz tego, że wypłyną jutro przed wschodem słońca.

Gdy odeszli, burkliwy kapitan zabrał się do wydawania załodze szczegółowych rozkazów w celu rozpoczęcia wyładunku zajmujących ponad połowę ładowni towarów.

Carlo i Innocenty udali się w stronę centrum miasta, przemierzając najpierw wąskie uliczki zastawione straganami – w większości z rybami – zrobionymi z żaglowego płótna i desek, które prawie nie pozwalały na przejście. Szli, pomagając sobie kuksańcami, Innocenty przodem, Carlo za nim. Nie mogli iść ramię w ramię z powodu tłumu wypełniającego ulice. Powoli posuwali

się naprzód, szukając placu, przy którym znajdowało się główne wejście do kościoła Świętej Ireny, niedaleko katedry Świętej Zofii, według wskazówek, jakie otrzymali w porcie.

Przeszli spory kawałek drogi, kiedy Carlo zapobiegł obrabowaniu Jego Świątobliwości, częstując kopniakiem w gołęń brudnego wyrostka, który właśnie wkładał rękę między szaty papieża, próbując przywłaszczyć sobie jego sakiewkę z pieniędzmi.

– Co za ziółko! Przykleił się do mnie jak rzep i nawet nie zauważyłem, do czego się szykuje. Dziękuję, Carlo! Jesteś moim aniołem stróżem. Uprzedzono mnie, żebyśmy uważali na złodziei, bo to miasto jest ich pełne, ale zupełnie o tym zapomniałem. Pamiętam, że dwóch włoskich kardynałów, którzy przyjechali z wizytą do Rzymu, opowiadało mi, że byli tak upojeni, chodząc po ulicach Konstantynopola, że prawie stracili świadomość. I muszę przyznać, Carlo, że czuję to samo. Te wszystkie kolory, dźwięki i zapachy upajają zmysły. Na początku myślałem, że woń ryb, która towarzyszy nam od portu i na pierwszych ulicach nigdy nie zniknie, ale odkąd przeszliśmy przez plac ze sprzedawcami koszy, każda ulica uwodziła mnie innym zapachem.

Na ulicach Konstantynopola unosiły się wszystkie aromaty świata. Przeszli przez niewielki placyk zastawiony straganami z wonnościami, gdzie na początku królował słodki zapach hiacyntu, który później mieszał się z sandałem, żeby wkrótce zabarwić się nutą różaną. Ciepłe promienie słońca pieściły kwiaty jaśminu wspinające się po murach i ścianach domów, a te odświeżały ciepłe powietrze i radowały przechodniów. Zanim Carlo i Innocenty przyzwyczaili się do tego ataku na wszystkie zmysły, na kolejnych ulicach musieli stawić czoło nowym aromatom, pochodzącym ze straganów zastawionych kolorowymi koszami wypełnionymi przyprawami sprowadzonymi z najodleglejszych zakątków Wschodu: galką muszkatolową, czarnym pieprzem,

goździkami czy wanilią. Wszystkie walczyły o swoje miejsce w powietrzu i odurzały.

Nowe wrażenia nie dotyczyły tylko powonienia i wzroku, również dotyk miał w nich swój udział: poszturchiwania, kopniaki, sprzedawcy sukna uczepli ich ramion, próbujący zaciągnąć do swoich straganów, dziesiątki dzieci ciągnących za ich tuniki, próbujących dostać monetę lub jakikolwiek inny wartościowy przedmiot. Również ich dłonie zostały poddane szczegółowym badaniom Cyganek i wróżbitów, którzy czyhali na obcokrajowców i ludzi wyglądających na zamożnych.

Gdy opuścili wreszcie labirynt uliczek i straganów, dotarli do ogromnego placu ograniczonego z lewej strony pałacem, który był najwspanialszą siedzibą cesarską na całym Wschodzie, dopóki nie zniszczyli go krzyżowcy. Jeden z przechodniów wskazał im kościół Świętej Ireny, stojący po prawej stronie placu.

– Spójrz, Carlo, jaki wielki. Jest wspaniały! Chciałem odwiedzić go w pierwszej kolejności, bo był to pierwszy duży kościół wzniesiony w tym mieście. Jego budowę rozpoczął Konstantyn i jak sam możesz stwierdzić, mimo że jego kamienie były świadkami upływu ponad sześciuset lat, nie stracił nic ze swego majestatu. Chodźmy go zobaczyć!

Wmieszali się w liczną grupę ludzi, którzy, podobnie jak oni, szli w kierunku bocznego wejścia. Wnętrze świątyni podzielone było na dwie czworokątne części. Po lewej, w głębi, widać było absydę zwieńczoną kopułą, a nieco bliżej nich znajdowała się duża kopuła, dająca świadectwo ambicji jej twórców. Gdzieś tam widniały jeszcze fragmenty mozaiki pozwalające domyślać się, jak cudowna dekoracja musiała ozdabiać kiedyś ściany i sklepienie.

Innocenty wiedział, że wiele z tych mozaik zniszczono w czasie czwartej krucjaty. Zobaczywszy, w jak złym stanie jest to, co z nich pozostało, zaczął wątpić, czy wizerunek Dziewicy będzie w ogóle widoczny. Skierowali się na prawo i weszli do obszernego

kwadratowego atrium otoczonego licznymi kaplicami. Zaczęli przechodzić niecierpliwie z jednej do drugiej, po czym przemierzali nawę główną, w której znajdowały się resztki sławnej mozaiki. Brakowało w niej ponad połowy elementów i prawie nie można było rozpoznać pierwotnego wzoru, jednak Innocenty miał pewność, że jest autentyczna.

– Carlo, zwróć uwagę na kolor. Minęły setki lat i wciąż zachowuje niezwykłą intensywność, ten magiczny kontrast, coś, co czyni ją wyjątkową. – Mężczyzna wyglądający na Żyda podszedł do nich, chcąc posłuchać objaśnień tego człowieka, który najwyraźniej wiedział, o czym mówi. – Nadal można rozpoznać zarys Dzieciątka i dłonie Maryi, kolory jej sukni i część korony.

– Za to kolczyków ani śladu! – powiedział głośno zawieszony Carlo.

Żyd, który usłyszał te słowa, podszedł jeszcze bliżej.

– Carlo, możesz być pewny, że wkrótce je znajdziemy. – Innocenty zauważył nieznanego i zniżył głos. – Jesteśmy o krok od celu. Wkrótce będziemy mogli obejrzeć je dokładniej niż na mozaice. Wyobrażasz sobie, jak to jest podziwiać kolczyki, które nosiła Dziewica Maryja? Weszlibyśmy w posiadanie najważniejszej z relikwii związanych z życiem naszego Pana. Carlo, jeszcze tylko kilka dni. Na razie jednak kontynuujmy zwiedzanie i chodźmy do Świętej Zofii. Tutaj nie mamy już nic do roboty.

Niedyskretny nieznajomy usłyszał tylko ostatnie słowa wypowiedziane przez wyglądającego na rzymianina mężczyznę, ale domyślił się, że mieli niedługo znaleźć kolczyki, których szukali również jego bracia. Od lat próbowali natrafić na ich ślad. Oznaczały dla nich zbliżenie się do ostatecznego celu i spełnienie przepowiedni. Jego wspólnota braci światła wybrała go, żeby prowadził poszukiwania. Czasami przychodził do tego kościoła, żeby zastanawiać się przed mozaiką, jakie kroki powinien podjąć. Akurat tego dnia pojawili się ci mężczyźni, którzy, w

przeciwieństwie do innych odwiedzających świątynię, zdawali się wiedzieć więcej niż on. Postanowił, że nie straci ich z oczu nawet na minutę, dopóki nie dowie się, kim są i dokąd się udają. Zachowując bezpieczną odległość, zaczął śledzić ich w drodze do Świętej Zofii, znajdującej się zaledwie dwieście kroków od Świętej Ireny.

Nie zauważywszy niczego i przemierzywszy szeroki plac, Innocenty zatrzymał się, żeby popatrzeć na majestatyczną Bazylikę Świętej Zofii z jej licznymi kopułami, jakimi nie mógł poszczycić się żaden inny kościół na świecie.

– Dzięki, Boże, że pozwoliłeś mi oglądać te cuda! – Innocenty klepnął swojego towarzysza w ramię. – Carlo, stoisz przed kościołem Boskiej Opatrzności, transcendentnej inteligencji, największym ze skarbów istniejących na świecie, pełną wiedzą, najwyższym zrozumieniem.

Kiedy zbliżali się do głównego wejścia, setki pielgrzymów zmierzało razem z nimi do tego samego miejsca z każdej ze stron placu.

Z przodu, niedaleko nich, zatrzymała się bogato zdobiona lektyka, zamknięta i niesiona przez czterech ludzi. Wysiadła z niej kobieta o szlachetnym wyglądzie, za którą podążały dwie damy do towarzystwa, wzbudzając powszechne zainteresowanie. W kilka sekund kobiety dotarły do wejścia, wyprzedzając bez skrupowania tych, którzy czekali na swoją kolej. Nie udało im się zobaczyć, kim są, ale papieża Innocentego ogarnął niepokój.

– Powinniśmy pozostać niezauważeni, Carlo! W tym miejscu mogą znaleźć się ludzie, którzy mnie znają!

Przeszedłszy przez bramę, dotarli do pierwszego portyku, który ciągnął się wzdłuż całego budynku. Jego ściany były nagie. Przeszedłszy przez następny portyk czy też wewnętrzną salę, mogli podziwiać wyłożone marmurem ściany i kopułę wieńczącą sklepienie, pokrytą przepięknymi geometrycznymi mozaikami, gwiazdami i krzyżami obramowanymi złotem. Nieznajomy szedł za nimi krok w krok.

– Te sale to miejsca oczyszczenia, gdzie dusza, która przychodzi nieczysta ze świata zewnętrznego, może się pozbyć zaślepiających ją cieni w kontemplacji Prawdy. Ten brud to egoizm, pycha, ambicja, pragnienie władzy. Dusza musi się z nich wyzwolić, żeby móc wejść do domu Boga oczyszczona i gotowa na Jego przyjęcie. Te i inne grzechy zasnuwają spojrzenie człowieka i nie pozwalają mu zobaczyć światła bożego.

Nagle Innocenty złapał swojego sekretarza za ramię i obydwaj wycofali się na koniec portyku, żeby móc spokojnie rozmawiać, z dala od strumienia pielgrzymów zmierzających do głównej nawy.

– Bizantyjscy budowniczowie pierwsi wiedzieli, jak wznosić tak niezwykle świątynie, które miały zbliżyć ludzi do nieba – ciągnął papież. – My znaleźliśmy świątynie ciemne i zimne, o grubych murach i wąskich oknach. Tutaj nauczyliśmy się nowych technik budowania, które pozwoliły również naszym kościołom wznieść się ku niebu. Ich mury stały się cieńsze i otworzyły się w nich szerokie okna, a we wnętrzu zagościło światło. Taka będzie katedra w Paryżu, na wyspie Cité, poświęcona Naszej Pani, po francusku Notre Dame. Jak już mówiłem, ówcześni mistrzowie zaprojektowali te kościoły tak, aby miały wysokie sklepienia i były jasne. Tak samo światło boże rozświetla duszę człowieka, który przychodzi, niepozorny i pełen wad, żeby porozmawiać z Najwyższym i Wiecznym.

– Wybaczcie, panie, ale chciałem zapytać, czy wybudowanie dwóch sal przed wejściem do świątyni ma jakiś sens?

Carlo przyznawał, że jest ignorantem w kwestiach sztuki. W młodości chciał zostać cystersem, ale przeor szybko zauważył jego wyjątkową inteligencję i polecił go przełożonym, a wreszcie zaproponowano mu, zanim skończył trzydzieści lat, posadę papieskiego sekretarza. Pokonał innych kandydatów o większym doświadczeniu i obyciu w polityce, którzy również pragnęli służyć Bogu na tym zaszczytnym stanowisku. Innocenty wybrał Carla i prawie od samego początku traktował go jak ojciec, stawiając mu jednocześnie wysokie wymagania.

– Drogi Carlo, w wielu świątyniach można znaleźć dwa przedsionki, przypominające wszystkim duszom, które pragną wejść do Domu Bożego, że najpierw muszą pozbyć się grzechów, wszystkich ludzkich niedostatków, albo, że posłużą się metaforą, prochu z drogi, która wiąże ich ze światem, z ziemią. W pierwszej sali człowiek musi zmyć swoje winy. Powiedzmy, że jest to miejsce oczyszczenia. Dlatego też, jak sam możesz stwierdzić, jest zwykle pozbawiona ozdób, gdyż symbolizuje miejsce przejścia, które jest czyste i w którym to, co ludzkie, góruje jeszcze nad tym, co boskie. W drugiej sali, w której teraz się znajdujemy, powinno nastąpić wyrzeczenie się swego ja. Żeby dotrzeć do Niego, trzeba umrzeć dla siebie. Rozumiesz?

– Tak, Wasza Świątobliwość... to znaczy, panie. To sala, w której należy wyrzec się swojej własnej osoby. W pierwszej dusza obmywa się z ziemskich nieczystości, a w drugiej musi umrzeć dla wszystkiego, co sobą reprezentuje, żeby wejść z pokorą do domu Pana. To dlatego na sklepieniu znajdują się krzyże, są symbolami śmierci i poświęcenia.

– Wybaczę ci „Waszą Świątobliwość”, ale tylko dlatego, że zrozumiałeś w lot znaczenie tych symboli. Wejźmy do środka. Nie mogę się już doczekać tego widoku!

Innocenty wyprzedził swojego sekretarza i wszedł przez drzwi zwane cesarskimi, które dzieliły ich od imponującej nawy głównej.

Papież doskonale znał bazylikę, mimo że nigdy wcześniej w niej nie był. Przeczytał wszystko, co o niej napisano. Słyszał ponadto opowieści kardynałów, którzy zwiedzili ją i opisali szczegółowo, tak z zewnątrz, jak i od środka, miał więc wrażenie, iż przemierzył ją setki razy, badając każdy zakątek i każdy detal.

Kiedy weszli do nawy, pierwsze uderzenie światła nie pozwoliło im przyjrzeć się ogromowi tego, co na nich czekało, ale już po kilku sekundach ich oczom ukazało się imponujące pomieszczenie na planie czworokąta, z ogromną kopułą, która wydawała

się unosić w powietrzu, pozbawiona wsparcia filarów, i dwoma mniejszymi kopułami, jedną położoną przed, a drugą za kopułą główną. Byli pod takim wrażeniem ich ogromnych rozmiarów, że Innocentemu przypomniał się cytat doskonale pasujący do tej chwili.

– Carlo, pamiętam, że czytałem, iż kiedy cesarz Justynian zobaczył ukończoną bazylikę, krzyknął: „Chwała niech będzie Bogu za to, że uznał mnie godnym wzniesienia takiego dzieła! Salomonie, przewyższyłem cię!”. Teraz rozumiem te słowa. Spójrz! Na pierwszy rzut oka kopuła główna wygląda, jakby była zawieszona w powietrzu. Jednak gdy się dokładniej przyjrzeć, można zauważyć, że jest podtrzymywana przez pozostałe dwie kopuły i cztery żebrowania, które z kolei opierają się na czterech wielkich filarach ukrytych pod murami. Efekt jest zaskakujący!

Szli w stronę środka wielkiej bazyliki, podziwiając ogromne rozmiary kopuły, która jaśniała wpadającym z wielu stron światłem odbijającym się w szklanych elementach zdobiących jej powierzchnię.

– Nie wydaje się wam, Wasza Świątobliwość, że oglądamy niebo w gwiazdzistą noc? Wygląda, jakbyśmy mieli nad sobą samo sklepienie niebieskie ozdobione tysiącami gwiazd.

Innocenty był pochłonięty podziwianiem cudownego widowiska rozgrywającego się pod sklepieniem i nie zauważył kobiety, która wkroczyła do bazyliki z damami do towarzystwa na chwilę przed nimi i która szła teraz w ich stronę.

– Wasza Świątobliwość?

Kobieta chciała wiedzieć, czy mężczyzna to naprawdę papież Innocenty IV. Była pewna, że tak! Rozmawiała z nim trzy czy cztery razy, ostatnio zaledwie przed rokiem, w czasie prywatnych audiencji w Rzymie, i dwa razy przy okazji jego wizyt w Genui, gdzie mieszkała. Widząc go z daleka, nie była pewna, czy to on, teraz jednak nie miała żadnych wątpliwości. Nie zapomniała jego twarzy, chociaż w tej chwili nosił strój wysoce nieodpowiedni dla papieża.

Innocenty spojrział na damę i natychmiast przypomniał sobie, kim jest: hrabina Genui.

– Wybaczcie, pani, ale obawiam się, że się mylicie. Jestem zwykłym rzymskim kupcem zwiedzającym to piękne miasto.

Hrabina nie uwierzyła mu, bo im uważniej mu się przyglądała, tym większą miała pewność, że ma przed sobą papieża.

– Wasza Świątobliwość, wiem, że to wy! Poznaję wasz głos. Poza tym wydaje mi się, że wy również wiecie, kim jestem. Nie myślę się? – Mówiła coraz głośniejszym głosem, zwracając uwagę wielu zwiedzających świątynię, którzy, zaciekawieni, zaczęli ich otaczać.

– Wybaczcie, pani, ale powtarzam, że się mylicie. Przyznaję, że nie po raz pierwszy brany jestem za papieża, dlatego wasz upór ani mnie dziwi, ani złości. Zaręczam jednak, że macie przed sobą tylko skromnego kupca, który zajmuje się skupowaniem tkanin na tych ziemiach, żeby sprzedać je później w Rzymie i w Wenecji.

Grupa ciekawskich powiększała się z każdą chwilą, przyciągana możliwością oglądania na własne oczy samego papieża.

Innocenty i Carlo czuli się coraz bardziej nieswojo.

– Wasza Świątobliwość – nalegała hrabina – będę wam do zgonnie wdzięczna, jeśli pozwolicie mi wziąć udział we mszy, którą z pewnością będziecie celebrowali w tej bazylice.

– Pani, wasze naleganie wydaje mi się zbyt natarczywe. Naprawdę nie jestem tym, za kogo mnie bierzecie! Spieszmy się, musimy już iść. Przykro mi!

Musieli wyjść ze świątyni jak najszybciej, zanim sprawy skomplikują się jeszcze bardziej. Skinęli damom i ruszyli w stronę drzwi.

Człowiek, który od dłuższego czasu nie spuszczał ich z oczu, był świadkiem całej rozmowy, stojąc w grupie gapiów. Jeśli to, co słyszał, jest prawdą, ci ludzie są znacznie bardziej godni uwagi, niż się spodziewał.

Podszedł do dam, przyglądając się wyrazowi niedowierzania malującemu się na twarzy hrabiny Genui, która nie rozumiała,

dlaczego papież nie chciał, by go rozpoznano.

– Wybaczcie, pani. Usłyszałem część rozmowy z tamtymi panami i jeśli dobrze zrozumiałem, wzięliście jednego z nich za samego Innocentego Czwartego. Macie na myśli papieża Rzymu?

– To był on, nie mam co do tego wątpliwości. Nie rozumiem tylko, co robi tutaj incognito.

Ledwie wybrzmiały ostatnie słowa hrabiny, mężczyzna już biegł za rzymianami. Zobaczył ich od razu. Zmierzali szybkim krokiem w stronę centrum miasta. Musiał się spieszyć, żeby nie zgubić ich w tłumie. Przyspieszył więc, starając się nie stracić ich z oczu ani na chwilę. Zanim doszli do końca ulicy i znaleźli się w bardziej zatłoczonej części miasta, nieznamy szedł tuż za nimi i musiał uważać, żeby go nie dostrzegli.

Na początku obaj mężczyźni oglądali się za siebie przynajmniej co dwadzieścia kroków, sprawdzając, czy nikt ich nie śledzi. Jednak po przejściu kilku przecznic, wiedząc, że są daleko od bazyliki, robili to coraz rzadziej.

Żyd starał się ich nie zgubić, zachowując jednocześnie bezpieczną odległość. W ten sposób przemierzali wiele ulic i wyszli na plac tuż przy porcie. Innocenty i Carlo zwolnili kroku i szli nabrzeżem, przy którym stały przycumowane statki. Minąwszy kilka z nich, weszli na trap galery o nazwie „Il Leone”, pod we-necką banderą, i zniknęli Żydowi z oczu.

Ten odczekał kilka chwil i podszedł do statku. Zaczepił wyglądającego na kapitana mężczyznę, który właśnie poganiał dwóch marynarzy kończących załadunek worków na wóz stojący obok galery.

– Dzień dobry. Nazywam się Izaak Ibsaal. Jesteście kapitanem tego statku?

– Tak jest. W czym mogę pomóc? – odparł kapitan, przyglądając się chudemu mężczyźnie.

– Muszę szybko wyjechać i szukam statku, pomyślałem więc, że zapytam, dokąd płyniecie.

– Jutro z samego rana wypływamy do Smyrny. Gdy zostawimy tam ładunek, zabierzemy nowe towary, które zawieziemy do Wenecji. Nie wiem, dokąd chcecie się dostać, ale nie przyjmuję pasażerów. Ta galera przewozi tylko towary.

– Do Smyrny? Doskonale! Dokładnie tam chcę płynąć. – Mężczyzna wyjął sakiewkę pełną monet i wręczył bez słowa zdumionemu kapitanowi. – Możecie je policzyć, ale myślę, że jest tu wystarczająco dużo złota, żeby wynagrodzić kłopoty, jakich mogę wam przysporzyć jako pasażer.

Kapitan otworzył sakiewkę, zamknął ją i włożył za pazuchę.

– Panie Izaak, czujcie się na moim statku jak w domu. Witam na pokładzie „Il Leone”. Macie przed sobą najszybszą galerę na całym Morzu Śródziemnym, dopłyniecie do Smyrny wcześniej niż jakimkolwiek innym statkiem zacumowanym w tym porcie. – Podał mu rękę, dotykając jednocześnie ukrytej pod kaftanem sakiewki. – Jeśli sobie życzycie, możecie spędzić tu noc. Jeśli nie, oczekuję was jutro rano. Odpływamy o świcie. – Znowu podał mu rękę na znak, że dobili targu.

– Dziękuję za propozycję, ale muszę zamknąć kilka spraw, zanim wyjadę. Nie martwcie się! Będę na miejscu przed wschodem słońca.

Pożegnał się z kapitanem silnym uściskiem dłoni.

Przeszedłszy przez targ, Izaak dotarł do niewielkiego zajazdu, w którym podawano najlepszą zieloną herbatę w całym Konstantynopolu. Znalazł tam trzech mężczyzn zajętych paleniem i ożywioną rozmową w języku hebrajskim. Jeden z nich, wyróżniający się długą rudą brodą, pozdrowił go i przysunął mu krzesło, zapraszając, żeby się do nich przyłączył.

– Gdzieś ty się podziewał, bracie Izaaku? Umówiliśmy się tutaj jakiś czas temu, a ty się nie pojawiłeś. Martwiliśmy się!

Izaak kazał im mówić ciszej i poprosił, żeby zbliżyli się do niego, bo ma im coś ważnego do opowiedzenia.

– Na pewno mi nie uwierzycie, ale właśnie widziałem papieża z Rzymu. Wie o koczownikach!

Rudobrody mężczyzna aż podskoczył. Potrącił filiżankę z herbatą, rozlewając jej zawartość na kolana sąsiada i wywołując jego głośne protesty.

– Zamilknij, Izmaelu, przestań narzekać! – przerwał mu brodacz o imieniu Dawid. – Posłuchaj Izaaka, sprawa wygląda poważnie.

– Poszedłem raz jeszcze przyjrzeć się mozaice, którą wszyscy znacie, przedstawiającej Matkę Nazarejczyka, w kościele Świętej Ireny, w poszukiwaniu jakiejś nowej wskazówki. Ku mojemu zdumieniu usłyszałem dwóch obcokrajowców rozmawiających o kolczykach. Jak wiecie, mozaika jest tak zniszczona, że nie da się na niej rozpoznać twarzy, dlatego myślę, że ci ludzie musieli wcześniej wiedzieć o ich istnieniu, podobnie jak my.

– Jak to możliwe, że ktoś się o tym dowiedział? – zastanawiał się Dawid.

– Nie wiem, ale co dziwniejsze, byli pewni, że wkrótce je odnajdą. Naturalnie zacząłem ich śledzić. Potem poszli do Świętej Zofii.

– Powiedziałeś, że jednym z nich był papież Innocenty. Jak to odkryłeś? – Izmael był najmniej bystry ze wszystkich.

– Wkrótce się dowiesz. W świątyni było kilka kobiet, cudzoziemek, które rozpoznały jednego z mężczyzn. Obserwowałem z bliska całą scenę. Dama wyglądająca na najbogatszą zapewniała, że to papież Innocenty Czwarty, mimo że nie nosił papieskich szat. Podeszedłem do nich, żeby upewnić się, czy dobrze usłyszałem, kiedy tamci, widząc, że ich rozpoznano, opuścili w pośpiechu kościół.

– Rzymski papież w Bizancjum! Ciekawe, co on robi na tych ziemiach, skoro wie doskonale, że nie jest tu mile widziany. Jeśli przyjechał tylko po kolczyki, powody, dla których chce wejść w ich posiadanie, muszą być zupełnie odmienne od naszych. – Dawid, zaniepokojony tym, iż ma poważnych rywali, musiał podzielić się tą myślą, zanim Izaak skończy swoją opowieść.

– Nie wiem tego, Dawidzie – odparł Izaak. – Ale najwyraźniej chce podróżować incognito. Zwróćcie uwagę, że gdy tylko został rozpoznany przez tę kobietę, wybiegł z kościoła. Szedłem za nimi przez całe miasto, aż weszli na wenecki statek zacumowany w porcie, który, jak się dowiedziałem, wypływa jutro rano do Smyrny. Nie zastanawiając się długo, zapłaciłem kapitanowi za wzięcie mnie na pokład. – Przerwał, żeby przepluć gardło łykiem wyśmienitej herbaty. – Myślę, bracia, że powinniśmy go śledzić, dopóki nie dowiemy się, jakie ma zamiary. Jestem pewien, że cokolwiek robił w Konstantynopolu i co będzie robił w Smyrnie, chce to zachować w całkowitej tajemnicy. Dlatego, korzystając z tego, że mnie nie widzieli, jutro o świcie odpłynę z nimi na tym statku.

Wszyscy uznali to za dobry pomysł.

– Chcesz, żebyśmy towarzyszyli ci do Smyrny? – zapytał Izmael.

– Nie, w żadnym razie. Myślę, że powinniście zostać tutaj i badać te poszlaki, które już mamy. Dostanie się na statek kosztowało mnie fortunę! Musimy działać z najwyższą ostrożnością. Nikt nie może odkryć, jaki jest nasz ostateczny cel. Jak wiecie, prawie nikt nie jest świadom naszego istnienia i tak powinno pozostać. Jako esseńczycy, czekamy na nadejście ostatecznego rozwiązania, kiedy to w naszym posiadaniu znajdują się wszystkie święte przedmioty.

– Zgoda, będziemy prowadzili poszukiwania na miejscu. Bądź czujny, bracie. Jeśli okaże się, że potrzebujesz pomocy, pamiętaj, że w Efezie znajduje się niewielka wspólnota braci esseńczyków.

– Doskonale, Dawidzie, będę miał to na uwadze! Teraz idę po ubrania i pieniądze potrzebne mi w podróży. Powiedziałem kapitanowi, że zaokrętuję się jutro, myślę jednak, że lepiej będzie, jeśli spędzę noc na statku. W ten sposób będę miał obydwu mężczyzn na oku.

Wypił duszkiem herbatę, wstał i pożegnał się ze wszystkimi.

- Niech Bóg światła rozjaśnia twoją podróż, Izaaku! – pożegnał go Izmael.
- Niech tak będzie, bracie!

Tymczasem na pokładzie „Il Leone” Innocenty rozmawiał w swojej kajucie z Carlem.

– Co za pech! Ta niezdolna kobieta zorientowała się, kim jestem i o mało nie wywołała groźnego kryzysu polityczno-religijnego. Wyobraź sobie, jak zły byłby władca Konstantynopola, gdyby się dowiedział, że papież przyjechał na jego ziemie bez uprzedzenia i na dodatek w przebraniu kupca!

– Myślicie, Wasza Świątobliwość, że jej niedyskrecja mogłaby zagrozić naszej wyprawie?

– Carlo, widziałem hrabinę Genui na dwóch czy trzech audiencjach, ale wiem od tych, którzy dobrze ją znają, że ma opinię plotkarki. Zachowa dyskrecję, tylko jeśli nie zna nikogo w Konstantynopolu, a tego nie możemy być pewni. Powinniśmy w każdym razie przygotować się na najgorsze i dlatego najlepiej będzie, jeśli nie zejdziemy już ze statku aż do wypłynięcia do Smyrny. Myślę, że w tych okolicznościach to najrozsądniejsze wyjście.

– Jak każecie, Wasza Świątobliwość!

Resztę popołudnia spędzili w swojej kajucie, korzystając ze spokoju panującego na statku, żeby odprawić mszę i zastanowić się, co będą robili w Efezie. Zapadał już zmrok, kiedy zapukano do drzwi, żeby zaprosić ich na kolację. Wyszli z kajuty prosto do mesy. Otworzywszy drzwi, zobaczyli ze zdziwieniem, że przy stole siedzi jakiś nieznajomy.

– Dobry wieczór, panowie – powitał ich kapitan. – Nasz kucharz Paulino przygotował wyśmienitą kolację. Usiądźcie z nami, proszę!

Zajęli miejsca, nie spuszczać z oka mężczyzny o kręconych włosach i orlim nosie, który również bacznie im się przyglądał.

– Przedstawiam wam pana Izaaka... – rzekł kapitan. – Wybaczcie, ale nie pamiętam waszego nazwiska.

– Izaak Ibsaal.

– Pan Ibsaal będzie nam towarzyszył do Smyrny. Musi się tam udać bez zwłoki i poprosił mnie, żebym przyjął go na naszą galerę. Był bardzo przekonujący, nie mogłem mu odmówić, mimo iż uprzedziłem go, że to statek handlowy.

Innocenty podał mu rękę.

– Nazywam się Sinibaldo de Fieschi, jestem rzymianinem i podróżuję w interesach. To mój towarzysz, Carlo Brugnolli. Płyniemy do Efezu, do naszych dostawców. Skąd jesteście, panie?

– Z Antiochii, chociaż cała moja rodzina pochodzi z Jerycha. Moi rodzice musieli stamtąd uciekać przed oddziałami Saladyna. Mieliśmy sporo ziemi między Jerychem a Morzem Martwym, ale wpadły w ręce Egipcjan, a my musieliśmy uchodzić na północ.

Do mesy wszedł Paulino de Modena, niosąc dwie duże misy.

– Dziś na pierwsze danie przygotowałem tuńczyka z oliwą i grzanki z sezamem. Na tych, którym nie zaspokoi to apetytu, czeka doskonale drugie danie: sardynki z Adriatyku w zalewie octowej.

– Doskonale, Paulino! Jesteś mistrzem. Do szczęścia brakuje nam tylko paru dzbanów chłodnego białego wina – zauważył kapitan, który jako pierwszy nałożył sobie sporą porcję tuńczyka na wierzch grzanki. – Umieram z głodu! Zapraszam do jedzenia. Uprzedzam, nie biorę odpowiedzialności, jeśli nie dla wszystkich wystarczy. Jestem tak głodny, jakbym nie jadł od stu lat!

Czterej biesiadnicy zaatakowali obie misy, których zawartość potwierdzała jak zwykle zdolności kulinarne mistrza z Modeny.

Innocenty starał się jednocześnie znaleźć w twarzy nieznanego coś, co pomogłoby mu zrozumieć jego intencje, czuł, że nie można mu ufać. Widział coś w jego głębokich czarnych oczach, co wywoływało w nim rosnący niepokój.

Gdy skończyli tuńczyka, Paulino przyniósł ogromny półmisek pełen smakowicie pachnących sardynek. Kiedy nakładali sobie po słusznej porcji, Innocenty zapytał Izaaka:

– Jak zrozumiałem, jesteście Żydem. Nie myłę się?

– Zgadza się, w moich żyłach płynie żydowska krew, która pozostała nieskazona przez wiele pokoleń. Moja rodzina zachowała i przekazała długą i żywą tradycję ustną, dzięki czemu mógłbym teraz opowiedzieć wam historię moich przodków, jednego po drugim, przynajmniej od dwusetnego roku przed naszą erą aż do dziś. Obawiam się jednak, że bym was zanudził.

– Jestem pewien, że opowieść byłaby ciekawa, ale nie sądzę, abyśmy mieli czas, by móc wysłuchać historii życia, na oko licząc, około czterdziestu pokoleń – wtrącił Carlo.

– Dokładnie czterdziestu sześciu. Ale nie martwcie się, nie mam zamiaru tego robić.

– Jeśli to nie jest niedyskretne pytanie, jaki jest powód waszej podróży do Smyrny? Czyżby interesy?

– Cóż... chodzi o to... – Izaak zastanawiał się gorączkowo nad odpowiedzią. – Mam krewnego w Efezie, który ciężko zaniemógł, stoi u progu śmierci i chcę być przy nim w tych ostatnich chwilach.

– Wierście mi, Izaaku, przykro mi z powodu twojego krewnego, ale poza tym taki zbieg okoliczności wydaje mi się zabawny. Wszyscy jedziemy do Efezu z tego czy innego powodu. Wasz jest oczywiście poważniejszy niż nasz, ale moglibyśmy ulżyć wam w smutku, jeśli odbędziemy podróż wspólnie, oczywiście jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Naturalnie, będzie mi bardzo miło mieć was za towarzyszy podróży.

Skończyli kolację i udali się do swoich kajut.

Gdy Innocenty i Carlo zamknęli za sobą drzwi, ten ostatni powiedział:

– Wasza Świątobliwość, jakie wrażenie wywarł na was ten człowiek? Będziemy go mieli na karku aż do Efezu i nie będziemy mogli swobodnie rozmawiać o naszych sprawach. Odniosłem

wrażenie, że nie był szczery, kiedy wyjaśniał, jakie są powody jego podróży.

– Zgadzam się z tobą, Carlo. Izaak skłamał. Nie wiem dlaczego, ale jestem pewien, że wymyślił sobie tego krewnego. Zdradziły go oczy. Uważam jednak, że nie powinniśmy martwić się bardziej niż to konieczne. Pewnie ma jakiś poważny powód, żeby nie zdradzać nam wszystkiego. Pomyśl, że my również go okłamaliśmy. Pojedziemy z nim do Efezu, co zajmie nam nie więcej niż pół dnia. Gdy już zostaniemy sami, będziemy musieli odszukać pewnego franciszkanina, który zarządza zakonem przy Bazylice Świętego Jana. Gdy będziemy z nim sam na sam, wyjaśnię mu, kim jestem i zażądam relikwiarza z *lignum crucis*, który wysłał Honoriusz Trzeci. Kiedy będziemy go już mieli, wrócimy do Rzymu. Jestem przekonany, że nic nie powinno stanąć nam na przeszkodzie. A teraz połóżmy się, żebyśmy jutro byli wypoczęci. Czeką nas kilka dni podróży. Będziemy mieli dość czasu, żeby poznać tego Żyda!

– Macie rację, Wasza Świątobliwość, śpijcie dobrze.

Izaak tymczasem, leżąc w swojej kajucie, obmyślał odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie bez wątpienia padną w czasie podróży. Wreszcie i on zapadł w sen.

Dwa dni, jakie miała im zająć podróż do Smyrny, zamieniły się w półtora, dzięki zdolnościom kapitana, mniejszemu obciążeniu „Il Leone” i niespodziewanej pomocy północnego wiatru, który zaczął wiać, gdy minęli cieśninę Dardanele i który pchał statek prosto do celu.

Prawie nie rozmawiali z Izaakiem, który z powodu silnego wiatru, a co za tym idzie kołysania okrętu, źle się czuł. W rezultacie prawie całą podróż spędził w swojej kajucie, gdyż każdy spacer po pokładzie kończył się dla niego zwracaniem morzu

resztek jedzenia, jakie jeszcze miał w żołądku. W ten sposób nie zamienili z nim ani słowa.

Drugiego dnia w południe zobaczyli rysujące się na horyzoncie zachodnie wybrzeże Anatolu. Wiatr ucichł, co przywróciło Izaakowi zdrowy kolor twarzy i apetyt, zaostrzony po przymusowym poście.

Wczesnym popołudniem dopłynęli do olśniewającej zatoki otoczonej górami od południa i wschodu, w której głębi leżały port i miasto Smyrna. W panoramie wyróżniała się zrujnowana twierdza na wzniesieniu, która według kapitana została wybudowana przez Aleksandra Wielkiego. Wykonawszy niezbędne manewry, „Il Leone” przybił do nabrzeża. Jego pasażerowie pożegnali się z kapitanem i załogą, ze szczególnym uwzględnieniem kucharza Paulina, który przygotował im mięsne pierożki na wypadek, gdyby nie udało im się zjeść porządnej kolacji.

Trzej podróżni zagłębili się w miasto i w pierwszej napotkanej tawernie zapytali, jaki kierunek powinni obrać w drodze do Efezu. Rzymianie wyjaśnili Izaakowi, że nigdy wcześniej nie byli w Smyrnie, gdyż zwykle jechali prosto do Efezu. Hebrajczyk natomiast oświadczył, że również nie zna drogi, ponieważ zwykle rozpoczynał podróż z głębi lądu, a nie z wybrzeża.

– Czujecie się już lepiej, Izaaku? Podróż była nieprzyjemna? – spytał Innocenty.

– Marzyłem tylko o tym, żeby stanąć na suchym lądzie i żeby świat przestał wirować. Nigdy nie przeszedłem takiego piekła! Przykro mi, że okazałem się tak kiepskim towarzyszem podróży. Z mojej winy nie mogliśmy nawet porozmawiać. Powiedzieliście mi, że jesteście kupcami. Można wiedzieć, co chcecie kupić na tych ziemiach?

– Tkaniny. Handlujemy tkaninami. Chcemy kupić najlepsze jedwabie i inne materie z Damaszku i Persji, żeby sprzedać je później po dobrej cenie w Rzymie. Wierzcie mi, to mało ciekawy zawód – odpowiedział Innocenty, z pewnością zyskaną przy okazji poprzednich kłamstw.

– Ale wy nie powiedzieliście nam, czym się zajmujecie. Poznaliśmy się w Konstantynopolu i powiedzieliście, że jesteście z Antiochii, ale między jednym miejscem a drugim, co zwykliście robić? – spytał Carlo.

– Kupuję i sprzedaję stare dzieła sztuki. Mam magazyn w Konstantynopolu i szukam antyków. Odnawiam je, jeśli zachodzi taka potrzeba, a później sprzedaję możliwym, którzy ozdabiają nimi swoje pałace. – Zatrzymał się na chwilę na brzegu urwiska, żeby przyjrzeć się przepięknemu błękitowi Morza Egejskiego. Zachęcił ich do zrobienia tego samego, po czym podjęli wędrówkę. – Jak widzicie, podobnie jak wy, zajmuję się handlem. Ja ozdabiam domy, a wy ich właściciele. – Uśmiechnęli się do siebie. – Te okolice mają tak bogatą historię, że możecie sobie wyobrazić, ile przedmiotów, dzieł i ozdób można tu znaleźć. Wystarczy tylko uważać na falsyfikaty, których jest bardzo dużo. Możecie być pewni, że to łatwy zawód. Tylko na tym wybrzeżu przez dwa tysiące lat następowały po sobie wielkie imperia, po których została wspaniała spuścizna. – Przygotował sobie wcześniej kilka gotowych zdań dotyczących jego rzekomego zajęcia i wyglądało na to, że jest przekonujący, sądząc po wyrazie twarzy towarzyszy.

Po wielu godzinach marszu po piaszczystej drodze i minąwszy kilka karawan jadących w przeciwną stronę, dotarli na wzgórze. Mogli z niego zobaczyć rozległe zabudowania Efezu: port na zachodzie i wielki teatr rzymski na wschodzie.

Zeszli drogą, która, w miarę zbliżania się do pierwszych domów, była coraz bardziej zatłoczona.

Odkąd Anatolia przestała zależeć od Rzymu, Efez nie korzystał z jej wpływów, mimo iż nadal był jednym z ważniejszych miast Azji.

Im bliżej centrum miasta byli, tym wpływy rzymskie stawały się coraz wyraźniejsze. Po prawej minęli stary ogromny gimnazjon, za którym znak wskazywał w łacinie i grece kościół Marii Panny.

Innocenty czuł podniecenie na myśl, że jest tak blisko świątyni,

w której murach odbył się trzeci sobór chrześcijaństwa, w roku 431, gdzie oficjalnie ogłoszono Marię Matką Bożą. Niestety, upływ czasu i zaniedbanie odcisnęły na nim swoje piętno i budynek był bliski zawalenia.

Następnie, zszedłszy ze zbocza, znaleźli się naprzeciwko najwspanialszej części miasta. Po lewej stronie ulicy znajdował się ogromny teatr rzymski w doskonałym stanie. Kasy były otwarte, a przed bramą stała długa kolejka ludzi chcących kupić jeden z dwudziestu pięciu tysięcy biletów, jakimi dysponował teatr, jak ogłaszało kamienne obwieszczenie umieszczone przy wejściu.

Idąc dalej główną ulicą, natknęli się na okazały dwupiętrowy budynek – bibliotekę. Zatrzymali się, żeby popatrzeć na piękną fasadę, w której niszach mogli rozpoznać ustawione między kolumnami rzeźby przedstawiające klasyczne dziedziny wiedzy. Nieopodal biblioteki, po przejściu pod imponującym rzymskim łukiem, odkryli elegancką ulicę willową, przy której również stały zabytki. Jedna z pierwszych rezydencji, jakie zobaczyli, pomalowana była na jaskraworóżowy kolor. W drzwiach stały skąpo ubrane i mocno umalowane kobiety. Zorientowali się natychmiast, że mają przed sobą dom publiczny. Naprzeciwko niego stała gospoda. Innocenty uznał, że nadszedł moment pożegnania się z Izaakiem. Zostaną tu na noc. Zapadł już zmierzch i byli zmęczeni podróżą.

– Cóż, mój dobry Izaaku, zostaniemy na noc w tym zajęździe. – Wskazał na stojącą w pobliżu willę, na której widniało ogłoszenie o wolnych pokojach.

– Słusznie. Ja pójdę dalej, do domu mojego krewnego na obrzeżach miasta. Tam spędzę noc. Miło mi było dzielić z wami podróż, chociaż chwile, jakie spędziłem na statku, nie należały do najprzyjemniejszych. W każdym razie życzę wam udanego pobytu i owocnych targów, rzecz jasna.

Zanim się rozstali, Innocenty i Carlo życzyli mu, żeby wypoczął i zastał swojego kuzyna w lepszym zdrowiu. Weszli do willi, gdzie mieli nadzieję odpocząć.

– Dobry wieczór, panowie. – Za ladą z wypolerowanego marmuru stała piękna dziewczyna.

– Potrzebujemy pokoju na noc. Przybywamy z daleka i chcemy odpocząć. Mam nadzieję, że znajdzie się coś dla nas – powiedział Carlo, szczęśliwy, że może pełnić rolę papieskiego sekretarza.

– Spójrzmy... Pokój dla dwóch osób... Macie szczęście, jest wolny pokój kapitoliniński, najlepszy ze wszystkich. Ma mały basen i ogród. Spodoba się wam. – Zapisała ich dane w księdze. – Jeśli lubicie teatr, to dziś wystawiana jest komedia. Mamy zarezerwowane miejsca dla naszych gości, możecie z nich skorzystać, jeśli sobie tego życzyacie. Jeżeli nie, polecam jeden z zajazdów znajdujących się w okolicach portu. Efez słynie z najlepszych ryb w całym Bizancjum!

– Dziękuję bardzo. Skorzystamy z waszej uprzejmości i pójdziemy do teatru. – Porozumieli się wzrokiem. – Widzieliśmy długą kolejkę, sztuka na pewno jest warta uwagi. Wasze zaproszenie to dla nas miła niespodzianka. Dzięki raz jeszcze – powiedział Innocenty.

Zapytana przez Carla dziewczyna podała im cenę pokoju. Usłyszawszy, jak jest wysoka, zaprotestował grzecznie, ale kobieta przypomniała mu, że są w Efezie, gdzie wszystko jest znacznie droższe niż w pobliskich miastach.

Wręczyła im klucz i bilety do teatru, uprzedzając, że przedstawienie zaczyna się o dziesiątej wieczorem. Wskazała im drogę do pokoju i życzyła udanego pobytu w mieście.

Budynek był klasyczną willą rzymską z wewnętrznym otwartym patiem, ozdobionym znajdującą się pośrodku fontanną. Na jego bokach, pod portykami, znajdowały się pokoje. Dzięki wskazówkom dziewczyny znaleźli swój apartament bez przeszkód i przekonali się, że nie przesadziła, zachwalając go jako najładniejszy ze wszystkich. Położyli się na chwilę, ciesząc się, że mają pod plecami prawdziwe łóżka, po ponad dwóch tygodniach spania w wąskich kojach.

Po kolacji zjedzonej w jednym z zajazdów w porcie poszli do

teatru. Był wypełniony po brzegi. Oświetlenie było doskonałe, a sztuka ogromnie im się podobała. Była to jedna z modnych komedii, przedstawiających w zabawny i ironiczny sposób historię miłosną, której bohaterami byli krzyżowcy i muzułmańskie damy.

Gdy przedstawienie się skończyło, poszli na spacer po tętniącym życiem mieście, po czym wrócili do zajazdu. Izaak śledził ich przez całą noc.

Następnego ranka wyruszyli wcześniej rano, kierując się na wzgórze Ayasuluk, zgodnie ze wskazówkami dziewczyny z hotelu. To tam znajdowała się Bazylika Świętego Jana, wzniesiona na ruinach świątyni bogini Artemidy.

Innocenty czuł podniecenie na myśl, jak bardzo bliski jest osiągnięcia celu, wyobrażając sobie tę chwilę, o której tak marzył, kiedy będzie miał w ręku kolczyki Matki Boskiej. Nie przyszło mu do głowy, że jest śledzony.

Po stromym podejściu północnym zboczem wzniesienia, umiłym przyjemnym zapachem rozmarynu i mięty, dotarli na szczyt. Przed nimi wznosiła się majestatyczna bazylika świętego Jana Apostoła, ulubionego ucznia Jezusa, który był z Nim od momentu, kiedy poznał Go w czasie chrztu w Jordanie i który nie opuścił Go już nigdy.

– Spójrz, Carlo, jaka jest wspaniała. Rozmiarem niewiele ustępuje Świętej Zofii.

Zaczęli iść wzdłuż murów, przyglądając się opłakanemu stanowi budowli. Znaczna część kościoła była w ruinie. Bazylikę zwieńczało siedem kopuł, ale tylko trzy pozostały nietknięte.

– Wasza Świątobliwość wiedział, jak zrujnowana jest ta świątynia? Wygląda, jakby zaraz miała się rozpaść – zauważył Carlo, przyglądając się łukowi, na którym opierała się jedna z kopuł i w którym widać było szerokie pęknięcie.

– Nie, szczerze mówiąc! Słyszałem, że potrzebuje odnowienia, ale nie wyobrażałem sobie, że jest w tak złym stanie. Widząc,

jak jest zaniedbana, zastanawiam się, gdzie może się znajdować relikwiarz. Z pewnością nie ma go w środku. W tych warunkach kościół nie może być otwarty dla wiernych.

Obeszli go dookoła i weszli przez jedną z bocznych kaplic, omijając stertę gruzu. Wewnątrz starali się nie przechodzić pod nielicznymi zadaszonymi częściami, które w każdej, chwili groziły zawaleniem. Innocenty wyjaśniał Carlowi, że bazylika, podobnie jak Święta Zofia, została wzniesiona przez Justyniana, pragnącego oddać hołd ewangelistcie, autorowi Apokalipsy i jedynemu apostołowi, który nie zginął śmiercią męczeńską.

– Według tradycji, Jan napisał swoją ewangelię w Efezie, w podeszłym wieku, ponieważ prosili go o to jego uczniowie. Właśnie odzyskał wolność po długim uwięzieniu na pobliskiej wyspie Patmos, po śmierci cesarza Dioklecjana, jego prześladowcy i największego wroga. Efez nie był dla niego obcym miastem, gdyż odwiedził go wcześniej z Marią. Po wniebowstąpieniu Jezusa Maria spędziła trzy lata w Betanii, w domu Łazarza, dopóki nie wypędzono jej wraz z siostrami. Jan zaopiekował się nią wtedy i zabrał ze sobą do Efezu, gdzie spędzili sześć lat. Spełniał w ten sposób polecenie, które Chrystus dał mu przed śmiercią na krzyżu: żeby opiekował się jego matką. Ponadto Jan chciał jej strzec i uciec z Jerozolimy przed brutalnością Heroda.

– Jeśli relikwiarz nie znajduje się w tym kościele, jak go odnajdziemy?

– Z tego co wiem, w pobliżu bazyliki znajduje się niewielka wspólnota franciszkanów. Ich opat, niejaki Luciano Lilli, powinien udzielić nam informacji. Być może nawet jest w jego posiadaniu!

– Chodźmy więc go poszukać! – wykrzyknął Carlo. – Wasza Wielbność, kiedy byliśmy z drugiej strony bazyliki, dostrzegłem za lasem jakiś budynek z kamienia. Jego mieszkańcy na pewno będą mogli wskazać nam drogę.

Carlo był pewny, że powinni spróbować szczęścia, i ruszył w tamtym kierunku.

W tym czasie Izaak obserwował ich ukryty wśród skał, nie rozumiejąc, co robią, ale mając nadzieję, że nie przyszli w to miejsce po to, żeby oglądać ruiny, ale żeby coś odnaleźć.

Skromny dom z kamienia, z uroczym ogródkiem pod jedną z bocznych ścian, w niczym nie przypominał zakonu. Gdy zapukali do drzwi, wyłoniła się z nich otyła kobieta i wyjaśniła, że bracia przenieśli się dawno temu na Górę Słowicza, znajdującą się na południe od Efezu. Tam zbudowali kilka domów wokół budowli zwanej Meryemana, co w ich języku oznacza „dom Marii”. Wskazała im drogę omijającą miasto.

Po dwóch godzinach wędrówki dotarli na szczyt góry. Stało tam wiele domów z cegły, otaczających największy z nich, zbudowany z kamienia na planie czworoboku. Po chwili podeszły do nich kobiety, wyraźnie wrogo nastawione.

– Co tu robicie? Czego szukacie w domu Marii? – zapytała najstarsza z nich.

– Przybywamy z Rzymu i szukamy opata Luciana. Powiedziano nam, że możemy go tu znaleźć. Wiecie, gdzie mieszka? – odezwał się Carlo.

Niewiasty wymieniły spojrzenia i zaczęły szeptać między sobą, przyglądając im się uważnie. Wreszcie jedna poprosiła, żeby poszli za nią. Przeszli długą łąkę pełną fioletowych kwiatów i dotarli do jednego ze skromnych domów. Kobieta zatrzymała się przed drzwiami i zapukała głośno.

– Tutaj mieszka opat Luciano. Musicie mówić do niego głośno, jest przygłuchy.

Nie czekając na odpowiedź, kobieta pożegnała się z nimi i odeszła w stronę jednego z pobliskich domów. Odczekali kilka sekund, zdziwieni, że nikt im nie otwiera. Kobieta odwróciła się i widząc, że nadal stoją przed domem, krzyknęła:

– Jeśli nie otworzy, zapukajcie mocniej! Źle słyszycy!

Innocenty zapukał jeszcze trzy razy, aż wreszcie usłyszeli starczy głos:

– Pchnijcie drzwi, są otwarte!

Innocenty i Carlo weszli do środka. Zobaczyli przed sobą staro-
rego mnicha siedzącego pod oknem z dużą księgą w rękę.

– Brat Luciano? – zapytał Innocenty.

– Mówcie głośniej, proszę! Nie słyszę zbyt dobrze.

Nabrawszy powietrza, Innocenty krzyknął:

– Brat Lucianoooo?!

– Tak, synu, to ja. Wejdźcie, niech wam się przyjrzę. Hmm, chyba was znam. Nie wstydźcie się, podejdźcie do światła, żeby-
m mógł was lepiej widzieć. Kogo mam przyjemność gościć w
mym skromnym domu?

Zamknęli drzwi, upewniwszy się, że są sami. Podeszli do ok-
na i Innocenty odpowiedział:

– Jestem Innocenty Czwarty, papież, a to mój sekretarz, Car-
lo Brugnoli.

– Możecie powtórzyć? Chyba źle zrozumiałem.

– Mówię, że jestem papieżem Innocentym, bracie!

– Dobry Boże! Papież w moim skromnym domu?

Starzec podniósł się z trudem i ukląkł, żeby pocałować Inno-
centego w rękę.

– Proszę, bracie Luciano, usiądźcie i nie przejmujcie się ety-
kietą. Z pewnością dziwi was moja wizyta i rozumiem, że chce-
cie wiedzieć, co mnie sprowadza. Podejrzewam, że dziwi was
również nasze przebranie. Mam rację?

– Tak, Wasza Wielbność. Ale nie musicie udzielać żadnych
wyjaśnień naszemu skromnemu słudze.

Usiedli naprzeciwko starca i Innocenty ponownie zabrał głos:

– Jednak chcę ich wam udzielić! Stosunki między Rzymem
a Bizancjum są bardzo złe. Cesarz Jan Trzeci stara się, w poro-
zumieniu ze mną doprowadzić do dialogu między dwoma Ko-
ściołami, łacińskim i greckim, żeby umożliwić ich zjednoczenie,
choć napotykamy ogromne trudności. Zdobycie Konstantyno-
pola przez krzyżowców w tysiąc dwieście trzecim roku i walki,
jakie miały tu miejsce między braćmi w wierze, poważnie za-
szkodziły naszemu celowi. Wracając jednak do mojej podróży...

Mój sekretarz i ja zdecydowaliśmy, że rozsądniej będzie uniknąć konfliktów i niepotrzebnych swarów z patriarchą Konstantynopola i podróżować w przebraniu.

Opat zbliżył prawe ucho do twarzy papieża, żeby nie uronić ani słowa. Innocenty kontynuował, podnosząc głos:

– Przyjechałem tutaj kierowany dwoma powodami. Po pierwsze pragnę odebrać relikwię, którą papież Honoriusz Trzeci wysłał do Bazyliki Świętego Jana w Efezie, żeby móc zbadać ją na Lateranie. Czy możemy zobaczyć relikwiarz?

– Tak, Wasza Świątobliwość. Wystawiliśmy go w kaplicy w domu Marii. Dostałem go, kiedy jeszcze zarządzaliśmy Bazyliką Świętego Jana, ale kiedy zawaliła się jedna z naw bocznych przestraszyliśmy się i zdecydowaliśmy się nie narażać życia wiernych i ostatecznie porzuciliśmy ją. Moja mała wspólnota przeniosła się wtedy na górę, na której mieszkała Dziewica, szukając tu spokoju. Relikwiarz, o którym mówicie, zawierający fragment Krzyża Świętego, został przeniesiony do kaplicy. Cała społeczność oddaje mu cześć, ale, naturalnie, uszanujemy waszą świętą wolę. Możecie uznać go za swoją własność!

– Niech wasze poświęcenie Bogu i posłuszeństwo zostaną nagrodzone, drogi opacie! Pozwólcie, że wyjaśnię wam drugi powód. Chciałem również odwiedzić święty dom Marii, co odkładałem zbyt długo z najróżniejszych przyczyn. Odkąd dowiedziałem się, że ustalono, iż znajduje się właśnie tutaj i że wybudowano tu kaplicę, co dzień myślałem o tym, żeby ją odwiedzić i móc pomodlić do Matki Bożej w miejscu, w którym znalazła schronienie na tyle lat.

– Ojciec Święty, nie zwlekajmy ani chwili! Chodźmy tam!

Brat Luciano wstał, zachęcając gości, żeby zrobili to samo. Wyszli z domu i ruszyli w stronę budynku zajmującego centralne miejsce w osadzie, jedyne zbudowanego z kamienia. Nie widniał na nim żaden znak mówiący o tym, że jest to dom Marii. Zdziwieni zapytali, co jest tego powodem. Opat wyjaśnił, że chodzi o bezpieczeństwo. Opowiadano przerażające historie o

mongolskich barbarzyńcach, którzy podbijali północne terytoria i wkrótce mogli przedrzeć się na południe.

Weszli do małego domu przerobionego na skromną kaplicę. W głębi stał niepozorny ołtarz z kamienia. Na ścianie wisiał prosty drewniany krucyfiks. Naprzeciwko w dwóch rzędach stały wąskie ławki, gdzie modliło się dwóch mnichów. Podnieśli głowy, zaciekawieni nadejściem obcych. Na ołtarzu stał relikwiarz: srebrny krzyż w stylu wschodnim, z podwójnymi ramionami ozdobionymi perłami o nieregularnym kształcie i srebrnymi guzami. W jego centrum znajdowały się dwa małe kawałki drewna pochodzące z krzyża, który był niemym świadkiem śmierci Chrystusa.

Innocenty był pod wrażeniem skromnego wystroju świątyni, tak sprzecznego z jej znaczeniem. Rozumiał jednak zagrożenie, jakie wiązało się z bogatą dekoracją, zważywszy na niepewne czasy. Jedynym cennym przedmiotem znajdującym się w kaplicy był właśnie relikwiarz, a on miał go ze sobą zabrać.

Poczuł żal na myśl o swoich synach, którzy wiernie strzegli świętego przybytku i mieli bronić go przed najazdem Egipcjan od południa i dzikich Mongołów od północy. Ich jedyną obroną była modlitwa. Tak czy inaczej, relikwia nie mogła pozostawać dłużej w tym miejscu. Ryzyko było zbyt duże!

– Ojciec Święty, musicie ją zabrać, prawda?

Opat zobaczył ból malujący się na twarzy papieża i chciał mu pomóc, domyślając się, co czuje.

– Dziękuję, Luciano, Tak, muszę stąd bezzwłocznie wyjechać.

– Nie martwcie się, Wasza Świątobliwość, przygotujemy relikwiarz, żebyście mogli go przewieźć, nie zwracając niczyjej uwagi.

Wydał polecenia jednemu z mnichów i wyprowadził swoich gości z kaplicy. Rozmawiali o założonym niedawno zakonie franciszkanów i Luciano wspomniał niektóre z rozmów, jakie przeprowadził z jego założycielem, Franciszkiem z Asyżu, którego uważał za świętego.

Po chwili przyniesiono skórzaną torbę, a w niej święty przedmiot owinięty w bawełnianą chustę. Carlo wziął ją ostrożnie. Innocenty udzielił wszystkim błogosławieństwa i pożegnał się życzeniami pokoju i silnej woli. Wracając, odwracali się wielokrotnie, żeby pomachać na pożegnanie. Na pierwszym skrzyżowaniu dróg skręcili w stronę Efezu.

Byli zadowoleni, że po długiej podróży i wielu wyrzeczeniach udało im się znaleźć relikwiarz. Innocenty pragnął jak najszybciej dotrzeć do Efezu, żeby móc go otworzyć i obejrzeć jego zawartość. Nie wiedzieli, że tuż za nimi podąża Izaak.

Po godzinie dotarli do miasta i znaleźli ulicę, która doprowadziła ich do zajazdu. Pracująca w nim dziewczyna rozpoznała ich i przywitała, podając im klucz. Odebrali go i szybko poszli do swojego pokoju. Byli brudni i spoceni, ale na szczęście nikogo po drodze nie spotkali.

Innocenty czekał niecierpliwie, aż Carlo otworzy drzwi. Wpadli do pokoju i zamknęli je z takim rozmachem, że lampa oświetlająca małą sień zadrżała.

Innocenty usiadł na łóżku, wziął sztylet i zabrał się do otwierania relikwiarza, żeby dowiedzieć się wreszcie, czy kryje to, czego szukają. Carlo, nie chcąc przegapić wielkiej chwili, siedział tuż obok papieża, przytrzymując relikwiarz, żeby ułatwić mu manewrowanie ostrym narzędziem. Poprosił go, żeby się uspokoił, kiedy dwukrotnie zobaczył metalowe ostrze uderzające w srebro tuż przy jego ręce.

W tym samym momencie jakiś mężczyzna pytał, w którym pokoju zatrzymali się mężczyźni, którzy właśnie weszli. Żeby nie wzbudzić podejrzeń dziewczyny, przyglądającej mu się nieufnie, podał ich nazwiska i wyjaśnił, że są jego przyjaciółmi i że chce im zrobić niespodziankę.

Dziewczyna dała się przekonać i opisała, jak dojść do pokoju. Izaak po kilku chwilach zapukał do drzwi.

Otworzył Carlo, zaskoczony widokiem Izaaka trzymającego w rękach dwa długie noże, z których jeden dotykał właśnie szyi sekretarza.

– Radzę, żebyście zachowali milczenie i spokój – powiedział.

Zamknął drzwi i spojrzał na Innocentego, który siedział na łóżku z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy. Obok niego leżał piękny relikwiarz. Papież trzymał w ręku niebieski kolczyk. Hebrajczyk zobaczył, jak ją zacisnął, starając się instynktownie go ukryć.

– Wasza Świątobliwość, nie musicie ukrywać tego, co macie w dłoni. Oddajcie mi to natychmiast, a nic wam się nie stanie. Jeśli nie, będziecie mieli do czynienia z moimi sztyletami.

Żyd podszedł do łóżka, prowadząc przed sobą Carla. Wyrwał kolczyk z ręki Innocentego i schował go do kieszeni.

Nie tracąc czasu, podbiegł do drzwi. Odwrócił się jeszcze i spojrzał w twarz papieża, patrzącego, jak wymyka mu się to, czego tak pragnął. Izaak otworzył drzwi, wyszedł i zamknął je z hukiem.

– Wasza Świątobliwość, życzę udanej podróży do Rzymu! – rzucił jeszcze.

10.

Posiadłość Vistahermosa, Cáceres, rok 2002

Telefon komórkowy Lucii Herrery dzwonił uparcie w jej torebce. Szukając go wśród niezliczonej ilości drobiazgów, obiecała sobie, że powyrzuca z torebki wszystkie zbędne szpargały.

– Słucham?

– Lucía? Tu Fernando.

– Cześć, Fernando. Gdzie jesteś? – Spojrzała na zegarek. – Już prawie jedenasta. Musisz już być niedaleko, prawda?

– Chyba tak, ale mam problem.

Lucía nie słyszała go zbyt dobrze, musiał przejeżdżać przez okolicę, gdzie nie było zasięgu.

– Fernando! Nie słyszę cię! Ty mnie słyszysz?

– Teraz tak. Prawie straciłem zasięg, ale teraz słyszę cię doskonale. Nie mogę znaleźć twojej posiadłości. Powiedziałaś, żebym minął Naval moral de la Mata i pojechał w stronę Navatejada. Tak zrobiłem. Znalazłem też drogowskaz z Navatejada na Almaraz, ale dotarłem do miasteczka i nie znalazłem zjazdu. Wracam teraz tą samą drogą.

– Rozumiem. Nie martw się, jesteś już bardzo blisko. Musisz minąć po lewej stronie zniszczony dom.

– Tak, właśnie go widzę!

– Zwolnij, bo za jakieś dwieście metrów zobaczysz wylot drogi. Płot z zieloną bramą z metalu to wjazd do posiadłości. Ponieważ potem jest dość trudno trafić do domu, poczekaj na

mnie przy bramie. Wyjadę po ciebie.

– Właśnie skręcam, już widzę bramę. Czekam tu na ciebie!

Fernando rozłączył się i zatrzymał samochód kilka metrów za bramą. Przed nim rozciągał się piękny dębowy las, którego koniec ginał na horyzoncie. Między drzewami pasły się krowy, świnie i sporo owiec. Po lewej zaczynała się długa kręta ścieżka, ograniczona z jednej strony dużymi kamieniami, a z drugiej dębami.

O tej porze roku na polach prawie nie było paszy, ale mimo to owce próbowały wykorzystać tę odrobinę trawy, która wyrastała w nielicznych kępkach pod koronami drzew.

Po drodze do Cáceres Fernando rozmyślał o niespodziewanym rozwoju wydarzeń, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, od jego spotkania z Lucią. Wyglądało na to, że zaproszenie na weekend było spontaniczne, kiedy zegnali się w poniedziałek u niego w domu, i jak najbardziej usprawiedliwione: mieli przyjrzeć się postępom badań prowadzonych przez profesora Ramíreza i podzielić się z nim informacjami, jakie zdobyli.

Jeśli patrzyło się na to w ten sposób, wszystko było jasne. Jednak tamtej nocy pech chciał, że Mónica zobaczyła Lucię, co spowodowało, że wszystko wyglądało teraz inaczej.

Mónica podała w wątpliwość jego koleżeńską relację z Lucią, co było zrozumiałe, zważywszy na to, że nie powiedział jej o spotkaniu. Następnego dnia była dla niego nieprzyjemna, nawet kiedy wyjaśnił jej, jak doszło do nieporozumienia. Postanowił w związku tym nie wspominać o tym, że Lucía zaprosiła go na weekend do swojego majątku, żeby nie komplikować i tak już niezręcznej sytuacji.

Mimo woli zaczął oszukiwać Mónicę, niszcząc w ten sposób to, co ich łączyło, i czekał właśnie przy wjeździe do wiejskiej posiadłości na kobietę, która budziła w nim nieokreślone i niepokojące uczucia.

Myślał też o ostatnich latach i swoich nieudolnych próbach odzyskania równowagi emocjonalnej. Po śmierci Isabel nie zwracał uwagi na kobiety. Były dla niego tylko klientkami lub kelnerkami, sąsiadkami, sprzedawczyniami w sklepie za rogiem, kasjerkami albo prezenterkami w telewizji. A jednak nagle, w ciągu niespełna miesiąca, wszystko się zmieniło.

Zwrócił uwagę na Mónicę tak niespodziewanie, że nie potrafił określić czasu ani przyczyny tego nagłego zainteresowania. Znał ją od lat i nigdy nie zauważył, że jest fascynującą kobietą. Okoliczności towarzyszące pojawieniu się bransolety stały się pretekstem do odkrycia, że coś ich do siebie ciągnie i stworzyły okazję do wyznań.

Fernando zastanawiał się, jak wszystko mogło skomplikować się w tak głupi sposób. W niecały tydzień ich stosunki pogorszyły się do tego stopnia, że obecnie, pogrążony w morzu wątpliwości, nie potrafił jasno określić, co czuje.

Jeśli Mónica ma miejsce w jego sercu, dlaczego zgodził się na spędzenie weekendu z Lucią? Doszedł do wniosku, że jest idiotą.

W końcu zobaczył zielony samochód terenowy zbliżający się ścieżką z lewej strony. Po kilku minutach zatrzymał się i wysiadła z niego Lucía z olśniewającym uśmiechem. Widać było, że jest szczęśliwa.

Fernando wysiadł z samochodu.

– Witam w Vistahermosa, Fernando! – Pocałowała go na powitanie. – Jedź za mną. Jeśli chcesz, zostawimy twój bagaż w domu i pojedziemy na koniach obejrzeć posiadłość. Co ty na to?

– Zdaję się na ciebie, Lucío! Jestem w twoich rękach!

– To się jeszcze okaże... – Uśmiechnęła się. Była teraz zupełnie inna, rozluźniona i wesoła.

– Nie... chciałem powiedzieć... – wyjąkał Fernando.

– Och, nie martw się, to był żart. Nie traćmy czasu! Będę jechała powoli. Droga jest w kiepskim stanie, a twój samochód ma niskie zawieszenie. Uważaj!

Fernando włączył silnik i przyjrzał się, jak Lucía wsiada do rovera. Miała na sobie spodnie z zielonego sztruksu i wełnianą kamizelkę w tym samym kolorze, narzuconą na białą koszulkę. Na szyi zawiązała wzorzystą chustkę, również zieloną, a całości dopełniały buty do konnej jazdy. Fernando stwierdził, że z każdym dniem wydaje mu się coraz bardziej atrakcyjna.

Po przejechaniu dwudziestu kilometrów i krótkim postoju w celu obmyślenia sposobu przejechania dwóch miejsc, tak, aby nie ucierpiał sportowy samochód Fernanda, dojechali do wzniesienia, z którego widać było stojący w dolinie dom. Był ogromny i składał się z trzech części. Środkowa była większa, dwupiętrowa, a dwie pozostałe, jednopiętrowe, oskrzydlały ją, tworząc literę „u”. Nieopodal widać było dwa duże magazyny i stajnię, przed którą po ogrodzonym placu chodziło kilkanaście koni.

Zjechali stromą drogą aż do wejścia do domu. Lucía zatrzymała się, Fernando zrobił to samo. Podszedł do nich mężczyzna w średnim wieku.

– Pozwól, że przedstawię ci Manola. Jest zarządcą majątku.

Fernando uściśnął rękę mężczyzny i przedstawił się.

– Manolo mieszka tutaj z rodziną od... dwudziestu lat, Manolo?

– W kwietniu będzie dwadzieścia pięć, proszę pani – spreyczował mężczyzna.

– Jego żona, Elvira, gotuje i sprząta dom. Mają dwóch synów, są już dorośli i pomagają nam przy krowach i pracach w polu. W posiadłości pracuje jeszcze czterech mężczyzn, którzy mieszkają w pobliskich wsiach, ale dziś ich nie zobaczysz, mają wolne.

Manolo wyjął torbę Fernanda z bagażnika i wszedł do domu, życząc mu udanego pobytu.

- Jaki nosisz numer butów, Fernando? – zapytała Lucia.
- Czterdzieści dwa.
- Świetnie, będą na ciebie pasowały buty mojego męża.

Chodź ze mną do stajni! Umiesz jeździć konno?

– Jeździłem dużo, gdy byłem młody. Przypuszczam, że tego się nie zapomina. Ale już od dwudziestu lat nie siedziałem na końskim grzbiecie.

– Nie martw się! Spodziewałam się tego, więc kazałam osiodłać dla ciebie Księżniczkę. To bardzo łagodna klacz, łatwa w prowadzeniu.

Dotarli do drewnianego ogrodzenia otaczającego plac i zatrzymali się, żeby przyrzeć się koniom, które dla nich siodłano.

– Spójrz, twoja klacz to ta na wprost! Kasztanka z jasną grzywą. Jest piękna! Zobaczysz, poradzisz sobie z nią bez problemu.

Fernando przyjrzał się kasztanowym włosom Lucii. Były dość krótkie i niezwiązane. Przyszedł mu do głowy żart.

– Chcesz powiedzieć, że nie będę miał z nią problemu, bo jest łagodna, czy dlatego, że myślisz, że lubię kasztanki bardziej niż inne konie?

Lucia natychmiast zrozumiała aluzję i odpowiedziała z ironią:

– Wspomniałam o tym, Fernando, bo nie wszystkie kasztanki są tak łagodne jak ta. Jazda na innych może kosztować cię więcej wysiłku. Mówię o klaczach, rzecz jasna! Nie wiem, czy myślałeś o czymś innym...

– Oczywiście, że nie, Lucio! Widzę, że oboje mieliśmy na myśli to samo.

Spojrzelili na siebie porozumiewawczo.

– Chodźmy do stajni! Tam będziesz mógł się przebrać. Mam spodnie, które powinny na ciebie pasować, żebyś nie ubrudził tych, które masz na sobie.

Weszli do stajni i Lucia przedstawiła mu jednego z synów zarządcy, który sprzątał boks.

Podeszła do szafy i wyjęła z niej bryczesy i buty. Wskazała

Fernandowi małe pomieszczenie, w którym mógł się przebrać. Sama zaczęła rozmawiać z chłopakiem, żeby dowiedzieć się o stan zdrowia jednego z koni, który cierpiał na silną kolkę.

Buty były na Fernanda trochę za ciasne, miał też kłopot z dopięciem o dwa numery za małych spodni. Musiał wciągnąć brzuch. Wyszedł na korytarz w momencie, kiedy Lucía zmierzała w jego stronę, żeby go ponaglić. Zlustrowała go od stóp do głów, zdając sobie sprawę z jego problemu z bryczesami, ale widząc, jak źle się w nich czuje, oszczędziła mu komentarza. Wzięła go pod rękę i zaprowadziła na plac, gdzie czekały konie. Wsiadła na swoją klacz z zaskakującą zwinnością. Fernandowi zajęło to nieco więcej czasu, ale osiągnął wreszcie cel bez potrzeby uciekania się do pomocy stajennego. Wyjechali za bramę i ruszyli przez pole. Po przejechaniu kilku metrów Lucía wyjaśniła, co będą oglądali.

– Zacniemy od zachodniej części majątku. To tam pasą się krowy, na pastwiskach leżących najbliżej dużego jeziora. Objedziemy je, żeby potem pojechać na północ. Nie będziemy się zagłębiali w tamtą część, jest najdzikszym obszarem posiadłości i najtrudniej tam dojechać. Ten obszar zasiedla większość zwierzyny łownej, głównie dziki i jelenie. Okrążymy ją od wschodu, zobaczysz, że jest porośnięta dębami. Trzymam tam świnie iberyjskie i stado merynosów. Skończymy spacer w południowej części. Warto się zatrzymać na jednym ze wzniesień, ale poza tym została przeznaczona pod uprawę i nie jest zbyt ciekawa.

– Jestem pod wrażeniem rozmiarów tej posiadłości. Ile ma hektarów?

– Niecały tysiąc. Nie pamiętam dokładnie, ale, chociaż może ci się wydawać, że to dużo, pamiętaj, że połowa to nieużytki. W sumie jest tu dużo ziemi, ale zysk mam z bardzo niewielkiej części.

Jechali przez dębowy las, pełen rozłożystych stuletnich drzew, ciesząc się promieniami słońca, które wyjrzało właśnie

zza chmur.

– Fernando, mam nadzieję, że nie miałeś trudności, żeby umówić się tutaj z don Lorenzem Ramirezem.

– Żadnych! Przyjedzie po południu, koło piątej, uprzedził mnie, że ma nowe informacje o moich przodkach.

– Doskonale! Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam! Jeżeli rozmowa się przeciągnie, zaproszę go na kolację. Co ty na to?

– Jasne, Lucío. Jestem pewien, że dziś poczynimy postępy w naszym śledztwie.

Niespieszny spacer zajął im prawie trzy godziny. Wrócili do stajni koło drugiej po południu. Fernando przyznał, że zaczyna być głodny, nie wspominając o bólu pleców i nóg. Zsiadli z koni, oddali wodze rżący i poszli do domu na obiad.

– Wydaje mi się, że ciepły prysznic dobrze ci zrobi – powiedziała Lucía, a Fernando przytaknął. – W takim razie, chodźmy! Pokażę ci twój pokój i łazienkę. Wykąpiemy się, zjemy, a potem oprowadzę cię do domu.

Przeszli przez ogromny hol, w którym oparta o ścianę stała stara młockarnia. Po lewej stronie ustawiono staroświecki powóz wypełniony donicami z kwiatami. Fernando zwrócił też uwagę na dwa duże obrazy, przedstawiające dwóch chłopów o zmarszczonych czołach i nienaturalnych uśmiechach, ubranych w stroje ludowe i stojących na tle pól i byków. Lucía wyjaśniła mu, że to pierwsi właściciele posiadłości, należący do rodziny jej zmarłego męża. Weszli na drugie piętro. Otworzyła pierwsze drzwi i zaprosiła go do środka.

– To twój pokój! – Fernando zobaczył swoją torbę podróżną, stojącą na niskim stoliku. – Łazienka jest po lewej. – Rozsunęła ciężkie zasłony, pozwalając popołudniowemu słońcu zalać pokój. – Proszę, Fernando, czuj się jak u siebie w domu! Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, nie krępuj się i dzwoń po służbę.

– Mogę prosić o wszystko?

Miły spacer w towarzystwie Lucii podziałał na duszę Fernanda jak balsam, pozwalając zapomnieć o problemach, które osaczały go od czwartkowego wieczoru. Przestał się usprawiedliwiać, czuł się wolny, pozwalając sobie na spontaniczność i mając coraz większą ochotę na flirtowanie z Lucią. Zresztą, zwykle poważna i zdystansowana pani doktor, była w podobnym nastroju.

– Tylko o rzecz, o której służba nie powinna się dowiedzieć.

– Lucía postanowiła podjąć grę.

– Dobrze! Będę to miał na uwadze.

Weszła do łazienki, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie mogła uwierzyć, że zachowuje się jak podłotek, ciesząc się tym niewinnym flirtem z Fernandem. Wbrew rozsądkowi, nie tylko jej to nie przeszkadzało, ale postanowiła wręcz dać się ponieść rozwojowi wypadków tego weekendu, jeżeli w ogóle coś się wydarzy.

Wróciwszy do pokoju, zobaczyła, że Fernando próbuje zdjąć buty.

– Poczekaj, pomogę ci! – Ukucnęła naprzeciwko niego i złapała za but. Zaczęła obracać go w różne strony, aż wreszcie udało jej się go poruszyć. Pociągnęła zdecydowanie. – A teraz drugi!

Przy drugim bucie powtórzyła tę samą taktykę, jednak bez rezultatu. Podniosła się, odwróciła plecami do Fernanda i pociągnęła z całej siły, przytrzymując but między nogami. Wreszcie ustąpił, ale przy okazji ostatniego szarpnięcia Lucía wylądowała razem z butem na podłodze. Fernando zaczął się śmiać. Lucii udzieliła się jego wesołość i wkrótce od śmiechu zaczęły ją boleć policzki.

– Dawno tak się nie śmiałam, Fernando! – wykrztusiła między wybuchem śmiechu. – Jeśli się szybko nie wykapiemy i będziemy się zabierali do obiadu w tym tempie, don Lorenzo zaskoczy nas przy stole. Zostawiam cię. Spotykamy się za piętnaście minut w holu!

Kiedy Fernando schodził po schodach, zegar wybił trzecią. U stóp schodów czekała Lucía.

Stół, za duży dla dwóch osób, był wykonany z mahoni i mogło przy nim zasiąść dwudziestu biesiadników. Lucía usiadła na jego szczycie, a Fernando zajął miejsce po jej lewej stronie. Do jadalni weszła kobieta w średnim wieku, niosąc dużą wagę.

– Fernando, przedstawiam ci Elvirę, żonę Manola.

– Bardzo mi miło. Przed chwilą poznałem w stajni jednego z pani synów i już wiem, po kim odziedziczył urodę.

– Jest pan bardzo miły. Mam nadzieję, że rosół będzie panu smakował. Jest zrobiony na bażancie z truflami, to jeden z moich ulubionych przepisów – odrzekła kobieta.

– Na pewno będzie mi smakował, ale proszę nie nakładać mi zbyt dużo.

W czasie obiadu Lucía opowiadała o trudnościach, z jakimi musiała sobie poradzić, przejmując posiadłość. Teraz wiedziała, kiedy powinno się siać, jakie są rodzaje nasion, maszyn, nawozów... Naturalnie od samego początku mogła liczyć na doświadczenie i pomoc Manola, który znał się dobrze na swojej pracy. Nie chciała jednak być typową dziedziczką, która przyjeżdża do swojej posiadłości na weekendy, nie wiedząc, co się w niej dzieje i oddając wszystko w ręce nadzorcy.

Opowiedziała, że właśnie czyta książkę o hodowli świń iberyjskich i że nauczyła się obliczać optymalne zagęszczenie tych zwierząt, biorąc pod uwagę pory dojrzewania żołądki. Musiała się też nauczyć wszystkiego o owcach, krowach, a nawet o pszczelarstwie.

– Jak widzisz, musiałam się sporo napracować. Ale zapewniam cię, że było warto. Wieś jest czymś bardzo szczególnym! Trzeba tego doświadczyć na własnej skórze.

Na drugie danie zjedli duszone mięso jelenia, a na deser biszkopt z miodem i likierem. Kolejna specjalność Elviry.

– Jeśli mają państwo ochotę, mogę podać kawę. – Manolo odsunął krzesło Lucii, pomagając jej wstać.

Przeszli do przylegającego do jadalni salonu, gdzie usiedli w wygodnych skórzanych fotelach, stojących naprzeciwko kamiennego kominka. Żarzyły się w nim dwa duże polana, dając przyjemne ciepło. Elvira postawiła na niskim stoliku tacę z kawą.

– Smakował ci obiad, Fernando? – Lucía nalała mu kawy.

– Już dawno nie jadłem takich rarytasów! – Zwrócił się do Elviry: – Gotuje pani równie dobrze jak moja matka, która była prawdziwą artystką. Wydaje mi się jednak, że pani ją przewyższa!

– Dziękuję! Jest pan bardzo miły. Nie zasługuję na takie pochwały.

– Dziękujemy, Elvira – rzekła Lucía. – Proszę zamknąć drzwi, kiedy będzie pani wychodziła i proszę się postarać, żeby nie przeszkadzano nam przez jakiś czas...

– Oczywiście, proszę pani! Przynieść państwu jakiś alkohol?

– Tak, proszę nam przynieść dwa kieliszki koniaku – odparła Lucía.

Kobieta napełniła kieliszki, nalewając trochę więcej Fernandowi i postawiła je na stole, po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Zdobyłeś sobie jej sympatię! Znam ją dobrze, widać było po minie, że cię polubiła. Zobaczysz, jak wieczorem będzie ci dogadzała. Możesz być tego pewien! – W głębi duszy Lucię cieszyła uprzejmość Fernanda. – Nareszcie sami! – westchnęła.

– Mamy dokładnie godzinę do przyjazdu don Lorenza. Opowiedz mi o esseńczykach – poprosił Fernando.

– Zgoda, w takim razie zacznijmy. – Lucía rozparła się w fotelu z kieliszkiem koniaku w ręku. Upiła mały łyk i zaczęła:

– Pamiętasz, że powiedziałaś ci kiedyś, iż prowadziłam badania na temat komandora templariuszy w Zamarramali o nazwisku Gastón de Esquívez?

– Pamiętam. Wspomniałaś o tym tego dnia, kiedy zwiedzaliśmy kościół Vera Cruz.

– Z tego, co do tej pory odkryliśmy wynika, że Gastón de Esquívez, gdyby żył teraz, mógłby być szefem mafii albo kimś podobnym. Spróbuję ci wyjaśnić dlaczego. Na temat templariuszy zachowało się mało wiarygodnych dokumentów. Rozwiązanie zakonu przez papieża Klemensa Piątego, w połączeniu z zatrzymaniem w ciągu jednej nocy wszystkich ważnych osobistości zakonu wywołało napięcie wszędzie tam, gdzie działali, w tym w Kastylii, Aragonii i Katalonii. Mam na myśli okres między tysiąc trzysta dwunastym a tysiąc trzysta piętnastym rokiem. Papież, Francuz z pochodzenia, uległ naciskom króla Francji Filipa Pięknego, pragnącego zagarnąć bogactwa i ziemie templariuszy (u których zaciągnął wysokie pożyczki i którzy przechowywali skarby Korony). Filip chciał w ten sposób podreperować finanse państwa i zdobyć środki na nowe kampanie wojskowe. Wskutek zamieszania, do jakiego to doprowadziło, wiele komandorii próbowało pozbyć się dokumentów przechowywanych w archiwach, żeby nie użyto ich przeciwko nim. Pozostałe papiery trafiły w ręce innych zakonów, które przygarnęły wielu templariuszy. Niektórzy mieli przy sobie ważne dokumenty, które uratowali przed spalaniem i które weszły w skład nowych archiwów. Część dokumentacji przejęli szpitalnicy (czyli obecni kawalerowie maltańscy), trochę dostało się zakonowi Calatrava, ale większość trafiła do zakonu Montesa, założonego w celu przejęcia spuścizny templariuszy. – Lucía wyjęła z drewnianego pudełka paczkę papierosów i zapaliła jednego. – Opowiadam ci o tym wszystkim, bo kosztowało nas dużo czasu odnalezienie i zebranie dokumentów należących do templariuszy z Zamarramali i podpisanych przez ich komandora, Gastona de Esquíveza, w okresie między tysiąc dwieście osiemnastym a tysiąc dwieście trzydziestym czwartym rokiem, kiedy to ukończono budowę kościoła Vera Cruz.

– Przepraszam, że ci przerwę, Lucío. Co było w tych

dokumentach, że doszliście do wniosku, iż Esquívez był typem spod ciemnej gwiazdy?

– Cierpliwości, zaraz wyjaśnię. – Zaciągnęła się ponownie.

– Dzięki nim odkryliśmy, osiem wieków po ich napisaniu, że Esquívez łączył obowiązki komandora z innymi zajęciami, bardziej tajemniczymi i niebezpiecznymi. Był członkiem grupy złożonej z dwunastu templariuszy, którzy nazywali siebie „synami światła”, *fili lucis* po łacinie. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o liczbie dwanaście w Vera Cruz?

– Oczywiście! A jak doszliście do tego wniosku? Bo raczej nie napisali tego otwarcie w jakimś dokumencie, prawda?

– Udało nam się zinterpretować niektóre dokumenty dzięki potężnemu systemowi informatycznemu, który pomógł nam wydobyć klucze kryptograficzne, jakich używali do ukrycia ich treści. Innymi słowy, były spisane przy użyciu bardzo skomplikowanych szyfrów. Na pierwszy rzut oka wyglądały na zwyczajne teksty, ale ukrywały bardzo ciekawe informacje. W ciągu ostatnich dwóch tygodni udało nam się przetłumaczyć około czterdziestu dokumentów. Chociaż zajmuje nam to coraz mniej czasu, nie odcyfrowaliśmy wszystkich, brakuje jeszcze dziesięciu. – Jedno z polan płonących w kominku pękło z głośnym sykiem, przerywając ich rozmowę. – Dobrze, wracając do tematu. W zbadanych do tej pory dokumentach znaleźliśmy ciekawe informacje o Vera Cruz, ale dowiedzieliśmy się również o strasznych wydarzeniach. Jednym z najbardziej dramatycznych było zabójstwo niejakiego Pierre'a de Subignaca, dokonane przez samego Esquíveza w pobliżu Vera Cruz. Tekst, spisany przez jednego z jego współwyznawców, mówi również o tym, że „uzyskano od zmarłego, przybywającego w poszukiwaniu szkatuły i papirusu, dzięki oszustwu brata Atareche, dla dobra wspólnoty, starożytny medalion o wielkim znaczeniu”. Nie wiemy jeszcze nic o szkatule, papirusie czy medalionie. Nie wspomina się o nich w żadnym innym dokumencie. Musimy to zbadać!

– Poczekaj, Lucío! – Fernando przesunął się na brzeg fotela i upił łyk koniaku. – Dla kogo były przeznaczone te pisma? A zanim odpowiesz, chciałbym wiedzieć, czy odkryłaś, o jaką grupę chodzi?

– Większość listów przeznaczona była dla innych komandorów, takich jak Juan de Atareche z komandorii w Puente la Reina w Nawarze, czy sześciu francuskich templariuszy z Langwedocji, Szampanii i Rosellón. Dwóch odbiorców było Anglikami, jeden, niejaki Joan Pinaret, pochodził z Katalonii, z Begur, był też jeden Włoch. Informacją, jaka pozwoliła nam ostatecznie zidentyfikować tych ludzi jako członków grupy, był szczegół pojawiający się niezmiennie w listach od Gastona de Esquíveza, zawsze przy ich nazwiskach. Były to dwie litery. „F.L.”. Nie miały one związku z ich inicjałami nie był to również żaden skrót dotyczący ich pozycji. Po rozważeniu wielu możliwości uznaliśmy, że chodzi o skrót od łacińskiego *filii lucis*, czyli „synowie światła”. Co prowadzi do odpowiedzi na twoje drugie pytanie o rodzaj grupy, jaką tworzyło tych dwanaście osób. – Poważna mina Lucíi podkreślała znaczenie jej słów. – Fernando, jestem pewna, że mamy do czynienia ze wspólnotą esseńczyków w dwunastym wieku!

– Lucío, powoli. Już któryś raz słyszę, jak mówisz o esseńczykach. Przykro mi, ale wiem o nich tyle co nic. Możesz mi wyjaśnić, kim byli lub są?

– Masz rację, Fernando. Powinnam zacząć od początku. Zostawmy na chwilę naszego przyjaciela i jego grupę i zajmijmy się esseńczykami. Ale najpierw napijmy się jeszcze kawy. Czarną? – Wstała z fotela i wzięła jego filiżankę.

– Tak, czarną, ale nie za dużą, proszę.

Lucía wróciła do opowieści, wyjaśniając Fernandowi, że esseńczycy byli niewielką grupą, wyznającą jedno z odgałęzień judaizmu, który współistniał z dwoma oficjalnymi odłamami: saduceuszami i faryzeuszami, między drugim wiekiem przed Chrystusem a siedemdziesiątym rokiem naszej ery. Początkowo tworzyli wspólnoty w wielu miejscowościach w Samarii, Judei

i Galilei, jednak około osiemdziesiątego roku przed naszą erą oddzieliła się od nich sekta, która przeniosła się na pustynię w okolice Morza Martwego. Można być prawie pewnym, że wraz z nimi narodziła się jedna z klasycznych form ascety religijnej: życie pustelnicze. Polega ono przede wszystkim na odsunięciu się od świata, żeby poświęcić się modlitwie w jaskiniach albo innych miejscach odosobnienia, ale zawsze we wspólnocie, nigdy w samotności, jak to robią anachoreci. Esseńczycy stworzyli w górach na pustyni osady wykute w skale. Żyli tam bardzo skromnie, wyrzekli się kontaktów seksualnych, dzieląc jedzenie, głosząc miłość braterską i starając się czynić dobro. Znaczną część dnia poświęcali studiowaniu świętych ksiąg i pisaniu. Nie nawidzili saduceuszy i faryzeuszy, których oskarżali o łamanie praw Mojżeszowych, o ograniczanie się tylko do przepisów i prawa pisanego, zapominając o tradycji ustnej.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, na terenach dzisiejszej Jordanii, miało miejsce przełomowe wydarzenie. Tamta pustynna okolica usiana jest dziesiątkami wzgórz, podziurawionymi tysiącami niewielkich grot. W jednej z nich, niedaleko Morza Martwego, w Qumran, arabski pasterz, który krążył tam ze stadem kóz, znalazł gliniane naczynie zawierające około dwunastu zwiniętych pergaminów i kilka papirusów, które na pierwszy rzut oka wydały mu się bardzo stare. Zakładając, że są cenne, sprzedał je na targu handlarzowi, przeszły przez wiele rąk, aż dotarły do żydowskiego badacza, który je upublicznił. O zwojach z Qumran zaczęło być głośno, natychmiast zorganizowano ekspedycję archeologiczną, która miała zbadać tamten rejon. Wkrótce znaleziono jeszcze około ośmiuset zwojów ukrytych w glinianych dzbanach, w różnych grotach na całej pustyni. Wszystkich zaskoczyło, jak doskonale były zachowane. Niska wilgotność i umiarkowana temperatura we wnętrzu jaskiń pozwoliły im przetrwać bez uszczerbku przez setki lat. Szybko potwierdzono, że rękopisy mają około dwóch tysięcy lat i zostały spisane przez wspólnotę esseńczyków zamieszkującą grotę.

Możesz sobie wyobrazić, jaka to była sensacja. Pisano o tym na pierwszych stronach gazet: *Odnaleziono rękopisy współczesne Chrystusowi*. Gdy potwierdzono ich wiek, zaczęto je tłumaczyć w wielu miejscach świata. Wraz z postępem odkryto, że większość zwojów to kopie Pięcioksięgu Starego Testamentu. Były również wśród nich starożytne przepowiednie pochodzące sprzed naszej ery, jak przepowiednia Enocha, Jeremiasza czy Eliasza. Jednak najbardziej zaskoczyły naukowców teksty dotyczące samych esseńczyków. Ukryli oni pergaminy około sześćdziesiątego siódmego roku naszej ery, w czasie powstania żydowskiego przeciw Rzymianom, obawiając się, że ich wspólnota może zostać zaatakowana przez rzymskich żołnierzy. Nie pomylili się, gdyż esseńczycy zniknęli z Qumran około sześćdziesiątego dziewiątego roku po Chrystusie. Żeby uratować święte księgi, ukryli je w dzbanach umieszczonych w różnych jaskiniach, mając nadzieję, że w ten sposób trudniej będzie je odnaleźć.

– I udało im się, Lucio! Musiało minąć prawie dwadzieścia wieków, żeby się odnalazły!

– To prawda. Dzięki badaniom nad manuskryptami zdobyto wiele informacji na temat esseńczyków. Wygląda na to, że wspólnota z Qumran, na której czele stał tak zwany Nauczyciel Sprawiedliwości, schroniła się na pustyni po oddzieleniu się od większej grupy esseńczyków rozsianych po całej Palestynie. – Lucía przerwała, upijając łyk koniaku. – Teraz uważaj! Mam nadzieję, że coś ci to przypomni. – Wzięła Fernanda za rękę, skupiając na sobie całą jego uwagę. – Jeden z pergaminów mówił: *Tak zaczęła się wojna między synami światła i synami ciemności*. Opisował on założenie wspólnoty w Qumran, a początek jej dało dwunastu kapłanów ze świątyni w Jerozolimie, którą opuścili, skłóciwszy się z faryzeuszami. Dlatego nazywali pozostałych kapłanów świątyni, podobnie jak Rzymian, *Kittim*, czyli „synowie ciemności”. Wygląda na to, że nie mogli znieść dłużej tego, że faryzeusze mamili lud fałszywymi obietnicami, bardziej zainteresowani utrzymaniem dobrych stosunków z władzami

religijnymi niż wiarą. Tekst wspominał o tym, że synowie światła założyli na pustyni nową świątynię, która miała zastąpić poprzednią. Zawarli nowe przymierze z Bogiem, a Qumran i pustynia miały być ich Ziemią Obiecaną. W ciągu kilku lat utworzyli liczne wspólnoty żyjące z dala od cywilizacji.

Fernando zaczął łączyć opis pierwszych esseńczyków z tajną grupą komandora Esquíveza.

– Dwunastu kapłanów... ze świątyni... którzy tworzą nową wspólnotę, szukają przymierza z Bogiem... na nowej ziemi... – myślał głośno Fernando. – Już rozumiem! Twój templariusze, z Gastónem de Esquívezem na czele, byli kapłanami, było ich dwunastu, stworzyli tajną wspólnotę i nazywali siebie synami światła. Za dużo zbieżności, żeby myśleć o przypadku, prawda?

Fernando zaczynał pojmować sens całości. Teraz rozumiał, jak Lucía odkryła, że chodzi o esseńczyków, mimo że wcześniej wyciąganie wniosków na podstawie liter „F” i „L”, które mogły mieć przecież wiele innych znaczeń, wydawało mu się zbyt pochopne.

– Już rozumiem twój tok rozumowania, Lucío! Jesteś genialna!

– Dziękuję, ale to nie tylko moja zasługa. Kiedy mój asystent i ja dostrzeżliśmy analogię, zaczęliśmy wiązać ze sobą różne wątki, które możemy teraz interpretować razem, a nie, jak dotąd, pojedynczo. Mam na myśli na przykład dane dotyczące kościoła Vera Cruz. Dwunastokątna świątynia – znów dwunastka. Wzniesiona przez templariuszy, zwanych tak od miejsca, w którym powstał zakon i w którym wznosiła się wcześniej Świątynia Salomona. Honoriusz Trzeci przesłał relikwię do Vera Cruz w tysiąc dwieście dwudziestym czwartym roku, dwanaście plus dwadzieścia cztery. W świątyni było dwudziestu czterech kapłanów, Fernando! A dwunastu opuściło ją, żeby założyć sektę esseńczyków.

Twarz Fernanda nie mogła wyrażać większego zaskoczenia.

– Mam kontynuować? – zapytała Lucía, która miała ogromną ochotę relacjonować dalej swoje odkrycia.

– Oczywiście! Jestem oczarowany!

– Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę na szczególną orografię naszego kochanego kościoła Vera Cruz. Od jego północnej strony znajduje się niewielkie wzgórze pełne małych grot, zwanych popularnie „gawrońcami” od gnieźdzących się w nich gawronów. Jeszcze jedno podobieństwo do surowych gór pełnych jaskiń, na brzegach Morza Martwego! – Kolor oczu Lucii i stawał się coraz intensywniejszy, w miarę jak mówiła.

– Myślisz, że ta grupa templariuszy o, nazwijmy to, esseńskich sympatiach, mogła wybrać to miejsce właśnie z tego powodu?

– Nie wiem, ale mamy do czynienia ze zbyt wieloma zbiegami okoliczności.

– Zgadzam się z tobą. Za dużo tu przypadków!

– Pozwól więc, że będę kontynuowała, bo jest ich więcej. Kiedy zwiedzaliśmy kościół Vera Cruz, rozmawialiśmy o ukrytych komnatach i powiedziałam wam, że mogły być używane jako miejsca odosobnienia przez jakąś grupę mnichów, chcących wieść pustelnicze życie, przynajmniej przez krótki czas.

– Pamiętam! Niektórzy badacze uważają, że były miejscami pokuty; inni, że to tam dokonywała się inicjacja nowicjuszy, lub że były to po prostu skrytki.

– Świetna pamięć, Fer!

Lucia puściła jego rękę, którą trzymała od dłuższego czasu i zapytała, czy nie ma nic przeciwko temu, żeby nazywała go, używając zdrobnienia, które słyszała tyle razy z ust Pauli.

Fernando zgodził się natychmiast.

– Nie odrzucając tamtych wyjaśnień – Lucia wróciła do przerwanej opowieści – myślę, że nasz przyjaciel Esquívez i jego esseńska wspólnota kazali go wybudować lub przynajmniej chcieli go wznieść jako nową świątynię na wzór pierwszych kapłanów, którzy stworzyli wspólnotę w Qumran. Powiem więcej, uważam, że podobnie jak ich poprzednicy, nadali Vera Cruz podwójną funkcję: miejsca, w którym można było prowadzić pustelnicze życie z jednej strony, a z drugiej, jestem coraz

bardziej o tym przekonana, chcieli ukryć w jakimś sekretnym miejscu przedmioty, których używali do rytuałów. Nie mam na to dowodów, ale intuicja podpowiada mi, że chcieli mieć swoje sanktuarium albo tajne miejsce, podobne do Świątyni Salomona.

– Kiedy będziemy mogli zbadać dokładnie kościół, Lucío? Myślisz, że można tam jeszcze coś znaleźć? – Fernando był podniecony perspektywą poszukiwania skarbu.

– Twój ojciec z pewnością tak uważał! Ja też tak myślę, Fernando, chociaż, niestety nie mogę odpowiedzieć na twoje pierwsze pytanie. Złożyłam już w ministerstwie wnioski o zamknięcie kościoła, żeby móc przeprowadzić dokładne badania. Chcę wiedzieć, czy naprawdę coś się w nim kryje. Czekam na oficjalną odpowiedź, która powinna nadejść za około dwa tygodnie.

– Pamiętaj o mnie, Lucío, bardzo cię proszę! Chcę być na miejscu, kiedy coś znajdziesz! – Fernando złapał jej rękę błagalnym gestem.

– Nie martw się, nie zapomnę o tobie. Poza tym chcę obejrzeć wnętrze grobowca twoich przodków i myślę, że powinienes być przy tym obecny.

Drzwi salonu otworzyły się i wszedł Manolo, oznajmiając, że przyjechał pan Ramírez.

– Manolo, zanim go tu wprowadzisz, daj nam jeszcze pięć minut – poprosiła Lucía. – Fernando, myślę, że zanim podzielimy się z nim tym, co wiemy, powinniśmy się zorientować, co wie on. Jeśli nie będzie miał żadnych nowych informacji, sugerowałabym, żeby nie odkrywać jeszcze kart i nie wspominać o czym mówiliśmy. Właśnie, nie spytałam cię jeszcze, czy wie o bransolecie.

– Nie, wie tylko, że chodzi o stary klejnot. Myślę jednak, że powinniśmy się postarać, żeby się nie zorientował, iż staramy się coś przed nim ukryć. Za pierwszym razem prawie się pożegnał, nie udzielając nam informacji. Bądźmy ostrożni, ale coś będziemy musieli mu powiedzieć.

Manolo otworzył drzwi salonu, zapukawszy najpierw trzy razy, i zaprosił don Lorenza Ramireza do środka.

Lucía i Fernando wstali, Fernando podał mu rękę i przedstawił Lucię.

– Bardzo się cieszę, że pana widzę, don Lorenzo! Oto Lucía Herrera, pana koleżanka, szefowa Archiwum Historycznego w Segowii i właścicielka tego domu. Lucío, don Lorenzo Ramírez jest profesorem zwyczajnym historii średniowiecznej na uniwersytecie w Cáceres i, jak wiesz, wnukiem Carlosa Ramireza, przyjaciela mojego ojca i nadawcy sławnej paczki, która pojawiła się w twoim archiwum.

Lucía spojrzała profesorowi w oczy i podała mu rękę. Lorenzo ucałował ją szarmancko.

– Witam w moich progach, don Lorenzo. Proszę usiąść przy ogniu, jeśli ma pan ochotę.

– Owszem! Chętnie skorzystam z ciepła kominka. Nie ma porównania między dzisiejszym słonecznym porankiem a tym zimnym i ciemnym popołudniem – odparł Ramírez, przyglądając się wyszukanemu umeblowaniu salonu.

– Don Lorenzo, ma pan ochotę na kawę albo kieliszek koniaku dla rozgrzewki? – zapytała Lucía, gdy wszyscy zajęli miejsca.

– Chętnie, obydwie rzeczy, jeśli łaska. Dziękuję!

Don Lorenzo patrzył na Fernanda, wahając się, czy zadać mu pewne pytanie. Lucía poprosiła Manola, żeby przyniósł kawę i wstała, by nalać wszystkim koniaku.

– Co pan na to, żebyśmy mówili sobie po imieniu? – zapytała Lucía.

Wszyscy zgodzili się, że formalności są zbędne. Don Lorenzo, po kilku sekundach milczenia, zapytał o Mónicę.

– Fernando, przypuszczam, że Mónica nie mogła być tu dzisiaj z nami.

– Niestety nie – odpowiedziała niespodziewanie Lucía. – Jej nieobecność jest spowodowana tylko moim brakiem taktu, bo nie zaprosiłam jej razem z Fernandem.

Fernanda zaskoczyło to wyjaśnienie. Stwierdził też, że przez cały czas nawet nie wspomnieli o Mónice. Właściwie to cieszył się, że nie ma jej z nimi po fiasku czwartkowego wieczoru.

Don Lorenzo z kolei wyczuł w tej wypowiedzi coś więcej niż wyjaśnienie. Intuicja mówiła mu, że ta kobieta nie pomaga Fernandowi tylko dlatego, że jest historykiem. Zorientował się, że jubiler gra na dwa fronty. Nie znał zbyt dobrze Lucii, ale uważał, że Mónica jest znacznie ładniejsza.

– Cóż... Jak mówi Lucía, nie będzie jej dzisiaj z nami. Mónica jest w Madrycie – wtrącił Fernando, czując, że i on powinien coś wyjaśnić.

– Wielka szkoda! Nadal uważam, czemu dałem wyraz przy okazji ostatniego spotkania, że jest wyjątkową osobą, niezależnie od jej urody.

– Na pewno będziemy mieli jeszcze sporo okazji do spotkania się w pełnym gronie – podsumował Fernando, który chciał jak najszybciej zmienić temat. – Jak idą badania, Lorenzo?

– Uważam, że zmierzają w dobrym kierunku. Sam się z mną zgodzisz, kiedy opowiem ci o niektórych z moich odkryć. Zanim jednak zacznę, chciałbym się dowiedzieć, co wiecie o klejnocie i o jakim rodzaju biżuterii mówimy. – Zwrócił się do Lucii: – Rozumiem, że to ty jesteś odpowiedzialna za pojawienie się paczki, którą mój dziadek wysłał do ojca Fernanda. Zgadza się?

– Owszem – odparła Lucía, nie mając ochoty udzielać dalszych wyjaśnień.

Nie ufała profesorowi i nie podobał jej się sposób, w jaki jej się przyglądał.

– Chodzi o bransoletę... – zająknął się Fernando, nie wiedząc, czy powinien podzielić się z nim swoją wiedzą, czy poczekać, aż zrobi to Ramírez, tak jak radziła Lucía. Nie mogąc się zdecydować, mówił dalej, co chwila przerywając: – Wiemy o bransolecie... że jest bardzo stara... że jest wykonana ze złota... i że mogła należeć do święt...

Lucia, widząc, że zamierza wyjawic jedną z najważniejszych konkluzji, do jakich doszli, przerwała mu, kończąc rozpoczęte przez niego zdanie.

– ...świętyń grobowych Górnego Egiptu. Tak! Fernando chciał powiedzieć, że może chodzić o egipską bransoletę, wydobytą z pewnością przy okazji jakichś wykopalisk w jednej ze świętyń.

Lorenzo nie posiadał się ze zdumienia. Wyjaśnienie wydało mu się co najmniej dziwne i zaczął podejrzewać, że Fernando i Lucia nie są z nim szczerzy. Pochylił się w fotelu i westchnął głęboko, a na jego twarzy zagościł wyraz powagi.

– Wyjaśnijmy sobie pewne rzeczy. Spotkaliśmy się tutaj jako dwoje ekspertów z dziedziny historii, żeby rozwiązać tę zagadkę i, jak rozumiem, jedziemy wszyscy na tym samym wózku. Zgadza się ze mną?

Oboje odpowiedzieli twierdząco.

– Świetnie!... Zgoda! – zaczerpnął powietrza. – W takim razie, co chcecie osiągnąć, ukrywając przede mną informacje, jakimi dysponujecie?

Przeprosiwszy go, Fernando bez dalszej zwłoki zaczął opowiadać o wszystkim, co wiedzą na temat bransolety. Podzielił się z nim przekonaniem, że należała do Mojżesza, wyjaśniając, co naprowadziło ich na tę hipotezę: niewątpliwe zbieżności ze wzmiankami w biblijnej Księdze Wyjścia, dwanaście kamieni szlachetnych, które ją ozdabiały, nubijskie złoto, z jakiego została zrobiona, i analizy potwierdzające jej wiek. Poinformował go również o ich podejrzeniach dotyczących okoliczności jej odnalezienia przez pierwszych templariuszy i założycieli zakonu w podziemiach dawnej Świątyni Salomona, najpewniej w czasie ich pobytu na terenie ruin budowli.

– Doskonale! Moje uznanie dla ogromnych postępów, jakie poczyniliście! – Użył liczby mnogiej, by zyskać sympatię Lucii. Zauważył, że nie czuje się swobodnie w jego obecności. – Lucio, rozumiem, że twój udział w odkryciach musiał być decydujący i nie mówię tego po to, żeby ci schlebiać. Czuje się tu rękę kogoś,

kto zna się na badaniach historycznych i kto potrafi wyciągać tak precyzyjne wnioski, jak te, które mi przedstawiliście, mając do dyspozycji tak niewiele danych.

– Masz rację, podkreślając rolę Lucii. Gdyby nie jej pomoc, nigdy nie zaszedłbym tak daleko. To ona wpadła na trop!

Obaj patrzyli na kobietę, która, zawstydzona, próbowała umniejszyć swoje zasługi.

– Bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że dojście do tych wniosków było dość łatwe, choć jest jeszcze wiele aspektów tej teorii, których nie poddałam naukowej analizie. Zdaję sobie sprawę, że w przypadku niektórych z nich będzie to niemożliwe z powodu braku dokumentów.

Wyglądało na to, że Lucía stała się bardziej otwarta niż na początku spotkania. Patrzyła uważnie na Lorenza, dzieląc się z nim swoimi wątpliwościami:

– Zaszedłszy tak daleko, oboje uważamy, że twoja opinia i postępek w badaniach mają zasadnicze znaczenie. Chcemy zrozumieć, jaki rodzaj powiązań mógł istnieć między templariuszami a twoimi przodkami w średniowieczu i dlaczego wasi najbliżsi krewni pojawiają się nagle w tej historii, przesyłając sobie bransoletę.

– Zgoda. Opowiem wam, do jakich doszedłem wniosków – odrzekł Ramírez. – Ciesz się mnie, że idziemy w dobrym kierunku. Podczas naszej rozmowy w Jerez de los Caballeros wspomniałem, nie wchodząc w szczegóły, że odkryłem ciekawe zależności między moimi przodkami i templariuszami, którzy zarządzali komandorią od trzynastego do czternastego wieku. Należy interpretować te pierwsze kontakty jako zwykłe dla sąsiadów, którzy wchodziły w częste konflikty w związku z tym, że ich ziemie ze sobą graniczą. Ta okoliczność doprowadziła do nawiązania obfitej korespondencji na temat spraw dotyczących obu stron, również tych spornych. Oto przykład: w jednym z listów znajduje się wzmianka na temat nawadniania za pomocą wspólnych rowów irygacyjnych. W innych pismach starano się osiągnąć ugodę w sprawie granic między włościami. Znalazłem też żądania zwrotu

zwierząt, które przeszły z jednych ziem na drugie. I masę innych spraw. Wszystkie dokumenty znajdowały się w archiwum mojego dziadka, które starałem się odtworzyć. Najpierw porządkowałem je według dat, a później według tematów. Znalazłem, już po naszym spotkaniu, list z dwudziestego drugiego kwietnia tysiąc trzysta dwunastego, podpisany przez rządcę komandorii w Jerez de los Caballeros, który już na pierwszy rzut oka wydał mi się bardzo dziwny. Był skierowany do mojego przodka, Gonzala Ramireza. Wspominano w nim o przekazaniu pewnego przedmiotu, który miał trafić do rąk mojego przodka z jasnym nakazem – wyjął z kieszeni marynarki złożoną kartkę i okulary do czytania – *Powinniście uważać, żeby go chronić, wobec innych roszczęcych sobie do niego w przyszłości prawa, zachowując go przy sobie, dopóki podpisany nie zwróci się po niego, zawsze we własnej osobie.*

Złożył kartkę i schował ją na powrót do kieszeni.

– Nie wspomniano, o jaki przedmiot chodzi – zaznaczył.

– Czy data dokumentu nie jest zbieżna z wydaniem bulli przez Klemensa Piątego na synodzie w Vienne, w sprawie rozwiązania zakonu templariuszy? – wtrąciła Lucia.

– Masz dobrą pamięć, Lucio – pochwalił Lorenzo. – Nie dokładnie jednak tak było. Bulla *Vox in excelso* została podpisana miesiąc wcześniej, dwudziestego drugiego marca, chociaż dopiero trzeciego kwietnia ogłoszono ją publicznie na soborze. W każdym razie w tym czasie komandor musiał już wiedzieć, co się szykuje przeciw zakonowi we Francji i w całej Europie. Mógł być świadom, że sprawa nie może się dobrze skończyć i że majątek komandorii zostanie przekazany innemu zakonowi, zgodnie z rozkazem papieża.

– I myślisz, że przekazując go twojemu krewnemu, uniknął oddania tego przedmiotu komuś z zakonów pod warunkiem, że wszystko odbędzie się w tajemnicy?

– Z całą pewnością! – odpowiedział don Lorenzo bez wahania. – Co więcej, jestem pewien, że to właśnie bransoleta jest przedmiotem, o który chodzi. Na początku na to nie wpadłem,

bo nie powiedzieliście mi, co zawierała paczka. Ja ze swej strony próbowałem sprawdzić, co działo się z tamtym komandorem. Nie udało mi się jednak dowiedzieć o nim niczego poza tym, że był w podeszłym wieku. Nie wiem... Prawdopodobnie umarł, zanim zdołał poprosić o zwrot bransolety, która w ten sposób przechodziła z pokolenia na pokolenie, aż dotarła do mojego dziadka.

Lorenzo wziął kieliszek z koniakiem i w tym samym momencie przypomniał sobie o pewnym szczególe.

– Ach, prawie bym zapomniał! Chciałem zbadać znaczenie dziwnych inicjałów, które pojawiają się często w pismach, chociaż nie we wszystkich, zawsze na końcu i po imieniu komandora, i w tych, w których pojawia się nazwisko mojego przodka Gonzala. Jednak jeszcze nie odkryłem ich znaczenia. Powtarzają się zawsze te same litery, „F.L.”. Przykładem jest chociażby list, który cytowałem wam przed chwilą.

Lucia otworzyła szeroko oczy. Podskoczyła jak na sprężynie i przerwała Ramirezowi:

– „F.L.” to inicjały *fili lucis*!

– Synowie światła – przetłumaczył Lorenzo. – Nigdy o nich nie słyszałem! Ale widzę, że wy wiecie coś na ten temat. Co to oznacza waszym zdaniem?

– Że komandor templariuszy i twój przodek byli esseńczykami! – odpowiedział Fernando.

– Jak to, esseńczykami? Esseńczykami jak ci, którzy żyli nad Morzem Martwym w czasach Chrystusa? – Spojrzał na nich z niedowierzaniem, nie widząc związku między dwoma mężczyznami z XIII wieku a żydowską sektą, która zniknęła setki lat wcześniej.

Lucia opowiedziała o wszystkim, co udało jej się odkryć w Segowii na temat przygód komandora z Zamarramali, Gastona de Esquíveza. Streściła wyniki badań na temat jego życia i wyjaśniła, jak odkryła jego nietypowe zajęcia łączące zabójstwo z przynależnością do tajnej grupy złożonej z dwunastu templariuszy.

Na koniec opisała Lorenzowi, w jaki sposób wychwyciła podobieństwa między grupą kapłanów z pierwszej połowy XIII wieku i pierwszymi esseńczykami, uciekinierami ze Świątyni w Jerozolimie. Objasniła swoją teorię na temat szczególnego znaczenia liczb, które można było znaleźć – w dowolnym aspekcie – w tajemniczym kościele Vera Cruz i w samej tajnej grupie. Miała dwunastu członków, podobnie jak osada w Qumran została założona przez dwunastu esseńczyków. Kościół Vera Cruz został wzniesiony na planie dwunastokąta i w okolicy podobnej do tej nad Morzem Martwym.

Lucia wspomniała również o istnieniu tajnych komnat jako prawdopodobnych miejsc odosobnienia. Na koniec opowiedziała o inicjałach „F.L.”, „synowie światła”, które znalazła w dokumentach komandora Esquíveza i które pojawiały się przy nazwiskach pozostałych jedenastu członków grupy.

Lorenzo nie docenił tej kobiety. Miał przed sobą profesjonalistkę z wybitną umiejętnością dedukcji, która potrafiła utrzymać nienaganną strukturę dialektyczną wyводу, używając zarazem wyszukanego słownictwa. Lucia była niezaprzeczalnie wybitną kobietą.

– Doskonale, Lucio. Nie pozostaje mi nic innego jak uznać, że dałaś mi właśnie prawdziwy pokaz przeprowadzania badań. – W jej sprawozdaniu była intuicja i naukowa precyzja, zręczność i rozsądek. – Słuchanie ciebie to prawdziwa przyjemność.

Lucia zarumieniła się. Lorenzo, nie dając jej czasu na odpowiedź, kontynuował:

– Mogłabyś sobie przypomnieć nazwiska ludzi, z którymi kontaktował się Esquívez? Pytam, bo może któryś z nich pochodził z komandorii w Jerez de los Caballeros, co pomogłoby nam połączyć więcej wątków.

– Spróbuję, chociaż nie będzie to łatwe. – Spojrzała na Fernanda, prosząc go, żeby jej pomógł, zapisując je na kartce. – Było sześciu Francuzów: Philippe Juvert, François Tomplasier i Charles du Lipont. Kolejny nazywał się... a tak! Guillaume

Medier, a potem Richard Depulé, a ostatni... nie przypomnę sobie... A! Philippe Mareé.

– Jesteś niesamowita, Lucío! Jak udało ci się zapamiętać te wszystkie nazwiska? – Fernando był zachwycony inteligencją tej kobiety.

– Chyba mam po prostu dobrą pamięć. Ale, wracając do tematu, wymieniłam tylko Francuzów. Było też dwóch Anglików, jeden Włoch i Hiszpanie. Zacznę od tych ostatnich nazwisk, bo są najłatwiejsze! Mamy Juana de Atareche z Nawarry, Gastona de Esquíveza i na koniec Katalończyka, Joana Pinaret. Angl...

Lorenzo przerwał jej w pół słowa:

– Lucío, powiedziałaś Joan Pinaret, prawda?

– Tak, jeden z nich nazywał się Joan Pinaret. Musiał być najmłodszy z całej grupy, sądząc po komentarzach, jakie można znaleźć pod jego adresem w korespondencji. Jakby był uczniem, który miał dopiero dołączyć do wspólnoty.

– Zdaje mi się, że jeszcze wam tego nie powiedziałem – Lorenzo odetchnął z namaszczaniem – ale komandor, który podpisał list mówiący o przekazaniu bransolety, nazywał się Juan Pinaret... – Spojrzał na każde z osobna, robiąc efektowną pauzę. – Jak myślicie, mówimy o tej samej osobie?

Lucía policzyła w myślach, ile upłynęło lat. Z dokumentów wspominających o Pinarecie najstarsze pochodziły z 1244 roku. Jednak Lorenzo mówił o roku 1312 i Jerez de los Caballeros, daleko od Katalonii! Minęło sześćdziesiąt osiem lat. To dużo czasu! Ale to mogła być ta sama osoba. Dlaczego nie?, pomyślała Lucía.

– W moich dokumentach Pinaret pojawia się jako młody nowicjusz, właśnie przyjęty do wspólnoty. Wyobraźmy sobie, że miał około szesnastu lub osiemnastu lat. Lata później, wszystko jedno z jakiego powodu, mógł zostać wysłany do komandorii w Jerez de los Caballeros. Jeśli się nie mylę, mógł podpisać dokument, który znalazł Lorenzo, w wieku osiemdziesięciu trzech lub osiemdziesięciu pięciu lat. Brzmi dziwnie, ale nie jest niemożliwe!

– Niewątpliwie nazwisko się zgadza, chociaż w Jerez nie podpisał się jako Joan, a jego przynależność do esseńczyków jest oczywista. Myślę, że możemy uznać, że pan Pinaret jest ogniwem, które ostatecznie łączy dwie posiadłości templariuszy, tę w Zamarramali i komandorię w Jerez de los Caballeros. – Fernandowi wszystko zaczynało się wydawać coraz bardziej klarowne.

– Reasumując, wiemy, że dwóch templariuszy, jeden związany z Vera Cruz, a drugi, najpierw w Katalonii, a później w Jerez de los Caballeros, było członkami tajnej grupy esseńczyków. Ten z Jerez przekazał mojej rodzinie przedmiot, który był ni mniej, ni więcej bransoletą Mojżesza. O świątyni w Zamarramali wiem niewiele...

– My wiemy nieco więcej – przerwała mu Lucía. – Znalazłam również wzmianki o pewnych przedmiotach w jednym z listów, wyjaśniającym zabójstwo niejakiego Pierre'a de Subignaca. Wspominano w nim o medalionie, kufrze i papirusie. To wszystko, co wiemy!

– Zastanawiające – mruknął Lorenzo. – Na razie w naszej wycieczce mamy bransoletę, medalion, kufer i papirus. – Zwrócił się do Fernanda: – Zauważyłeś, że dwa z tych przedmiotów to biżuteria? Wydaje mi się, że w tej historii nic nie dzieje się przez przypadek. Zwróćcie uwagę na te zbieżności: spotkaliśmy się tutaj, dwoje historyków i jubiler, żeby spróbować rozwikłać skomplikowaną zagadkę sprzed prawie ośmiu wieków, i im bardziej zagłębiamy się w szczegóły, tym więcej odnajdujemy klejnotów lub przedmiotów o nieocenionej wartości historycznej i religijnej. Jestem bardzo ciekaw, czy pozostałe rzeczy miały wartość porównywalną do Mojżeszowej bransolety.

Lucía opowiedziała mu o swoich podejrzeniach na temat możliwości, choć mało prawdopodobnej, że niektóre z przedmiotów mogły być ukryte w Vera Cruz. Dlatego też złożyła w ministerstwie wnioski o pozwolenie na zbadanie świątyni. Przy okazji obiecała, że zawiadomi go, jeżeli jest zainteresowany uczestnictwem w badaniach.

– Dziękuję, Lucío! Liczę na to. – Poprawił się w fotelu i spojrział na Fernanda. – W takim razie możemy zamknąć ten rozdział, dopóki nie sprawdzimy, co kryje się w Vera Cruz. Teraz pozostało nam tylko dowiedzieć się, co w całym tym zamieszaniu robili mój dziadek i twój ojciec.

Zmęczona długim siedzeniem Lucía wstała z fotela i stanęła naprzeciwko nich, tyłem do kominka. Zegar w salonie wybił właśnie ósmą. Pomyślała, że wytłumaczenie tego byłoby interesujące, ale z innej perspektywy niż ta proponowana przez Lorenza.

– Proponuję, żebyście spróbowali napisać na kartce wszystko, co pamiętacie na ich temat: daty, kontakty, prace, dokumenty, które przechowujecie, czy wspomnienia, które mogą być interesujące. Zróbcie to oddzielnie, w jak najbardziej syntetyczny sposób. Nie chodzi o pisanie biografii! Kiedy skończycie i je porównamy, spróbujemy poszukać zbieżności, jeśli takie istnieją, z historią templariuszy, którzy żyli w Jerez de los Caballeros i w Segowii w trzynastym wieku. Zgoda?

Obydwaj uznali pomysł za ciekawy i zabrali się do pracy.

Lucía zapaliła papierosa i wyszła z salonu, żeby pomówić z Elvira o kolacji. Nie była pewna, czy powinni mieć na uwadze don Lorenza. Prawdę mówiąc, wołała cieszyć się spokojną kolacją w towarzystwie Fernanda.

Całe popołudnie upłynęło im na rozmowie. Przypuszczała, że po omówieniu kwestii bliskich krewnych nie pozostaje już nic więcej, czym mogliby się zająć. Mogli skończyć w pół godziny. W każdym razie na wypadek, gdyby spotkanie się przedłużyło, kazała Elvirze położyć dodatkowe nakrycie i poprosiła Manola, żeby rozpalili ogień w obydwu sypialniach.

Poszła do swojego pokoju, gdzie spędziła długą chwilę przed garderobą, zastanawiając się, w co się ubrać.

Tego ranka ona i Fernando podjęli emocjonującą grę w aluzje, które pozwoliły jej przypuszczać, że jubiler jest nią zainteresowany.

Przyznawała, że Fernando jest bardzo interesujący, nawet

jeśli nadal czuła się dziwnie w nowej roli. Nie powinna zmarnować takiej okazji, zwłaszcza gdy w grę wchodzi mężczyzna, którego bolesne doświadczenia są tak bardzo podobne do jej własnych. Co mają do stracenia kobieta i mężczyzna, którzy są sobą zainteresowani? Nawet jeśli to tylko jeden dzień!

Wybrała prostą czarną sukienkę, nieco kokieterijną. Nie pamiętała, kiedy ostatnio miała ją na sobie. Zdjęła ją szybko z wieszaka i przymierzyła, żeby stwierdzić, że leży idealnie. Zostawiła ją na łóżku, by włożyć tuż przed kolacją.

Zeszła do salonu sprawdzić, jak panowie radzą sobie z zadaniem i usiadła obok Fernanda. Już skończyli i don Lorenzo pierwszy odczytał swoje notatki.

– Mój dziadek otrzymuje w spadku po dalekich przodkach bransoletę. Jedzie do Segowii w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, żeby odwiedzić kościół Vera Cruz i nawiązać kontakt z właścicielem warsztatu złotniczego, Fernandem Luengo. Zapisuje w swojej książce rachunkowej notatkę z tego wyjazdu, w której wspomina o papieżu Honoriuszu Trzecim. Wysłał on w tysiąc dwieście dwudziestym czwartym roku relikwiarz z fragmentem *lignum crucis*. Włącza twojego ojca do tajnej grupy pseudotemplariuszy i postanawiają ukryć tę znajomość przed otoczeniem. Następnie wysła bransoletę twojemu ojcu, kiedy ten przebywa w więzieniu, w połowie września tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku. – Podniósł na chwilę wzrok. – Tutaj chcę nadmienić, że nie rozumiem, co skłoniło go do wysłania przedmiotu o takiej wartości do więzienia, narażając się na jego utratę... Ale spróbujemy zająć się tym później. – Wrócił do lektury: – Mój dziadek umiera kilka dni po wysłaniu bransolety, dokładnie pod koniec września tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku.

Lorenzo złożył powoli kartkę i położył ją na stole, w pełnym napięciu milczeniu. Wreszcie rozparł się w fotelu i spojrzał na nich z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– To, co opowiedziałem do tej pory wyda się jednak mało istotne w porównaniu z tym, o czym teraz chcę wam powiedzieć.

– Powietrze można było ciąć nożem, tak gęste było od napięcia.
– Kiedy to pisałem, zdałem sobie sprawę, dzięki temu, co mi powiedzieliście, z istnienia pewnego szczegółu, który do tej pory mi umykał. Możecie przyjrzeć się mojemu sygnetowi i powiedzieć mi, czy widzicie coś niezwykłego?

Don Lorenzo podniósł dłoń, żeby mogli zobaczyć z bliska prostokątną pieczęć osadzoną w złocie i ozdobioną herbem wyciętym w niebieskim szafirze. Zdjął sygnet z palca i podał Lucii.

– Widzę herb, przypuszczam, że waszej rodziny: lew stojący na czymś, co przypomina kamień, z błyszczącym słońcem w prawym rogu i drzewem oliwnym po lewej. To wszystko, co widzę! – stwierdziła, podając pierścień Fernandowi.

– W rzeczy samej, Lucio. Jak słusznie zauważyłaś, jest to herb, herb rodziny Ramirezów. Lew* odnosi się do ziemi, z której rodzina pochodzi. Nie wiem, czy o tym wiesz, Fernando, ale moi przodkowie odbili Arabom część obecnej prowincji Badajoz i otrzymali od króla rozległe ziemie, jako zapłatę za wierną służbę. Stąd skała i drzewo oliwne, symbolizujące tę ziemię. – Fernando przyglądał się sygnetowi pod różnymi kątami. – Fernando... – ciągnął Lorenzo – możesz przyjrzeć się dokładniej skale, na której stoi lew? Widzisz, co jest tam napisane małymi literami?

* Po hiszpańsku *león*.

– Prawie nie da się przeczytać... – Fernando zbliżył sygnet do oczu. – Są tu dwie małe litery, ale nie mogę ich rozróżnić. Poczekajcie! Tak. Zdaje mi się, że to „F” i „L”.

– *Filii lucis!* Synowie światła! – wykrzyknął Lorenzo podniecony. – Ten pierścień należał do mojego dziadka. Nosił go aż do śmierci.

– Czy to możliwe, żebyś nigdy nie zauważył tych liter? – zdziwił się Fernando.

– Widziałem je wcześniej, ale nigdy nie zastanawiałem się, co oznaczają, bo nie odpowiadały inicjałom mojego dziadka.

Podejrzewam, że dziadek mógł również należeć do esseńskiej sekty. – Radość z odkrycia upodabniała Ramireza do dużego dziecka. – Wszystko układa się w całość! Tak, jak wam powiedziałem wcześniej, myślałem, że chodziło o jakiś odłam templariuszy, ze względu na dziwne kontakty, jakie utrzymywał i jego częste podróże do różnych siedzib templariuszy. To przekonanie wzmacniała również korespondencja, jaką prowadził z różnymi dziwnymi osobami i organizacjami. Z ich lektury można wydedukować, że należał do jednej z tych organizacji. Suma tych wszystkich faktów kazała mi przypuszczać, że był kimś w rodzaju templariusza.

– Z tego, co wiemy, twój dziadek należał do długiego łańcucha osób, które były w posiadaniu bransolety. Chociaż musiało być przed nim wielu ludzi, pierwsze znane nam ogniwo mógł stanowić Esquívez, który przekazał ją następnemu, Juanowi Pinaretowi ponad osiem wieków temu. Trzecim mógł być twój przodek Gonzalo, przy którego nazwisku pojawiły się również esseńskie inicjały. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że później pozostawała zawsze w rękach esseńczyków. – Lucía łączyła te oddalone w czasie wydarzenia. – Dlatego twój ojciec – zwróciła się do Fernanda – również musiał być esseńczykiem. Jeśli nie, to po co Carlos Ramírez wysyłałby bransoletę komuś, kto nie należał do tej tajnej sekty?

W związku z tym, co odkryli na temat sygnetu, Fernando przypomniał sobie, że jego siostra Paula odziedziczyła po ojcu pierścień, którego nigdy nie zdejmowała. Starał się bezskutecznie przypomnieć sobie, jak wygląda.

– Moj ojciec miał sygnet, który po jego śmierci odziedziczyła moja siostra, Paula. Mogę do niej zadzwonić! Jeśli tamten pierścień jest podobny do tego, będziemy mogli ostatecznie zamknąć łańcuch wydarzeń. Co wy na to?

Fernando wziął swój telefon komórkowy i odszukał numer Pauli.

– To ty, Fernando?

– Tak, Paulo. Co słychać?

– U mnie wszystko dobrze, ale gdzie ty się podziewasz? Dzwoniłam kilka razy do ciebie do domu, ale nie odbierałeś. Chciałam z tobą porozmawiać!

– Jestem poza Madrytem i dzwonię, bo chcę cię prosić, żebyś pomogła mi w wyjaśnieniu pewnej kwestii...

– Czekaj! Czekaj! – przerwała mu oburzona – za kogo ty się masz, że uważasz, iż możesz zapomnieć o wszystkim, co wybrałaś w ciągu ostatniego tygodnia? Jakby nic się nie stało! To, co zrobiłaś biednej Mónice jest oburzające.

– Słuchaj, Paulo, to nie jest najlepszy moment, żeby o tym rozmawiać. Obiecuję ci, że usiądziemy kiedyś razem i wszystko omówimy. – Fernando był zły, że musi poruszać ten temat w obecności Lucii i don Lorenza. Przeprosił ich i wyszedł z salonu.

– Teraz nie mogę rozmawiać o tych sprawach, które...

– O nie. Mónica jest zrozpaczona. Zamknęła się w domu po kuble zimnej wody, jaki wylałaś jej na głowę w czwartek. Opowiedziała mi, że umówiła się z tobą, żeby świętować jej urodziny w twoim domu po to tylko, żeby odkryć, że ty już zaczęłaś je świętować w towarzystwie Lucii.

– Paulo! – podniósł głos, był wściekły. – Daj mi coś powiedzieć!

– Nie mam ochoty! Jesteś wieprzem i musisz to wiedzieć! Wiem, że nie powinnam się wtrącać w twoje życie uczuciowe, ale ta kobieta nie jest dla ciebie odpowiednia. – Jej głos był stanowczy. – Możesz zaufać swojej siostrze!

– Zgoda, Paulo... Rzeczywiście nie powinnaś się wtrącać, ale przyjmuję twoje siostrzane rady. Chociaż musisz zrozumieć, że to nie znaczy, że zawsze będę cię słuchał. W każdym razie myślę, że powinniśmy się spotkać, żeby porozmawiać o tych sprawach. Sprawdzę, kiedy będę miał więcej czasu i się umówimy, zgoda?

– Zgoda... Zawsze robisz ze mną, co chcesz! W głębi duszy, chociaż bardzo, bardzo głęboko, nadal trochę cię kocham, głupku!

– Dobrze, a teraz chcę, żebyś wyświadczyła mi przysługę. Pamiętasz sygnet ojca?

– Oczywiście, mam go na palcu. Prawie nigdy go nie wkładam, ale czasami nachodzi mnie ochota i noszę go przez jakiś czas. Ostatnio, w dniu włamania, przypomniałam sobie o rodzicach i go założyłam. Dlaczego sobie o nim nagle przypomniałeś?

– Wyjaśnię ci to, kiedy się zobaczymy. Teraz chcę tylko, żebyś mi go opisała jak najdokładniej, z najdrobniejszymi szczegółami.

– Nigdy cię nie zrozumiem, mój drogi. Ostatnio wyrabiasz dziwaczne rzeczy, ale mniejsza z tym. Sygnet jest ze złota. Na powierzchni jest dwanaście małych brylantów, które otaczają wytłoczone inicjały naszego ojca. Nic więcej. To wszystko, co chciałeś wiedzieć?

– W środku znajdują się w takim razie inicjały, „F” i „L”, Tak?

– Oczywiście! Wolno dziś kojarzysz, czy to u ciebie normalne? Dokładnie to ci właśnie powiedziałam! Jeśli jeszcze tego nie rozumiałeś, mogę ci to wyjaśnić po angielsku. Słuchaj : *Ring has got two letters in the middle, the „F” and the „L”, that's right?*

– Dobrze, dobrze, nie błaznuj. Chciałem się tylko upewnić. Podałaś mi właśnie informację, której potrzebowałem! Dziękci, siostrzyczko. Do zobaczenia.

– Czekam na twój telefon!

Fernando już miał się rozłączyć, kiedy usłyszał głos Pauli:

– Zanim odłożysz słuchawkę, obiecasz mi, że zadzwonisz do Móniki?

– Taaak... obiecuję, marudo.

– A skoro już o tym mowa... Po co zwlekać. Nie mógłbyś zaprosić ją dziś na kolację? No... dlaczego nie?

– Tak naprawdę, nawet gdybym chciał, dziś byłoby to trudne do zrobienia, bo jestem poza Madrytem.

– Gdzie jesteś? Sam czy w towarzystwie? – Paula zaczęła coś podejrzewać.

– Cóż... Jestem z Lorenzem Ramirezem. Pamiętasz profesora historii, którego odwiedziliśmy w Zafrze, krewnego człowieka, który wysłał ojcu bransoletę?

– Fernando, coś mi się zdaje, że tak naprawdę jesteś z Lucią w jej majątku w Estremadurze. Prawda, że się nie mylę, ty draniu? – Zawsze zauważała zmianę w tonie jego głosu, kiedy próbował ją okłamać.

– Dobrze, tak... jestem w posiadłości Lucii, ale z Lorenzem Ramirezem. Żeby było jasne, że nie skłamałem!

– Z don Lorenzem, ale z Lucią też, rzecz jasna. A ja namawiam cię jak idiotka, żebyś zaprosił Mónicę na kolację. Zresztą wolę już nic nie mówić, bo źle się to skończy. Jesteś już dużym chłopcem, pewnie wiesz, co robić ze swoim życiem. Poza tym, jak widzę, nie masz zamiaru mieć nas na uwadze, jeśli chodzi o historię bransolety.

– Przyjechałem tu tylko po to, żeby spotkać się z Ramirezem. – Próbował ją przekonać, świadom, że to praktycznie niemożliwe.

– Słuchaj, Fernando, nie urodziłam się wczoraj. Dam ci już spokój. Ale przedtem ostatnia siostrzana rada: uważaj na siebie i nie rób niczego, czego byś musiał potem żałować! Do widzenia, Fer!

Fernando stał bez ruchu, przetrawiając rozmowę. Przejął się tym, że Mónica jest załamana. Zaczynał wątpić, czy dobrze zrobił, przyjeżdżając na weekend do domu Lucii.

Mógł się umówić z Lorenzem w Madrycie, tak jak to ustalili wcześniej.

Drzwi salonu otworzyły się i pojawiła się w nich Lucía, zaniepokojona jego długą nieobecnością.

– Skończyłeś rozmawiać z siostrą?

– Tak, przepraszam, Lucío. Właśnie się rozłączyłem. Wejdzmy do salonu, wszystko wam opowiem!

Lucía natychmiast zauważyła w twarzy Fernanda coś, co wydało jej się dziwne. Wyglądał na smutnego. Usiedli w salonie. Zaczął bić zegar. Lucía spojrzała na zegarek. Ósma trzydzieści.

Choćby mieli jeszcze tematy i ochotę na rozmowę na najbliższych kilka godzin, liczyła, że szybko skończą. Chciała, żeby Lorenzo odjechał i nie został na kolację.

– Jest prawie pewne, że mój ojciec również był esseńczykiem. Na jego sygnecie znajdują się obie litery. Co prawda zgadzają się z jego inicjałami, podobnie jak z moimi, co jeszcze nie czyni ze mnie esseńczyka, ale otacza je dwanaście małych brylantów. Dwanaście!

– Dwunastu pierwszych kapłanów błyszczących jak gwiazdy – zauważył Lorenzo. – Dwunastu synów światła! Te brylanty to symbol, podobnie jak słońce po lewej stronie pierścienia mojego dziadka. Słońce, gwiazda, która obdarowuje i zalewa ziemię światłem.

Don Lorenzo był zachwycony. Lucía wykorzystała okazję, żeby przerwać rozmowę po wysłuchaniu ostatnich hipotez, powodowana przede wszystkim nieobecny wyrazem twarzy Fernanda. Musi się dowiedzieć, czy siostra przekazała mu jakąś wiadomość!

– Dobrze, moi panowie! Ponieważ omówiliśmy już prawie wszystko, powinniśmy umówić się na następne spotkanie, które odbędzie się w Segowii, jeśli oczywiście nic nie stanie nam na przeszkodzie. Kiedy tylko dostanę upoważnienie na badanie kościoła, dam wam znać. Zobaczymy, czy groby twoich przodków kryją jakiś sekret, Fernando. Marzę o przeszukaniu każdego zakamarka, żeby sprawdzić, czy te przedmioty naprawdę istnieją. – Mówiła dalej, nie pozwalając im dojść do głosu, żeby ostatecznie zamknąć temat: – Dlatego, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, myślę, że moglibyśmy na dziś skończyć. – Wstała z fotela, zmuszając tym samym obu mężczyzn do zrobienia tego samego.

Lorenzo spojrział na zegarek i stwierdził, że musi już iść.

– Wybaczcie, ale popołudnie minęło w mgnieniu oka, a mnie czeka jeszcze podróż do Zafry.

– Szkoda, że musisz jechać tak wcześnie. Byłoby miło, gdybyśmy zjedli razem kolację – powiedziała Lucía wbrew temu, co

czuła, ciesząc się, że spędzi wieczór tylko w towarzystwie Fernanda.

– Dziękuję, jesteś bardzo miła, Lucio! Mam nadzieję że nadrobimy to przy najbliższej okazji. Jeśli teraz zostanę, dotrę do domu nad ranem. Dziękuję raz jeszcze!

Odprowadzili go do samochodu i pożegnali, życząc dobrej drogi. Gdy tylko odjechał, wrócili biegiem do domu, żeby się ogrzać. Noc była bardzo zimna.

– Mam wrażenie, że rozmowa z twoją siostrą cię zmartwiła. Nie chcę być wścibska, ale czy coś się stało? – Fernando zapewnił, że nie i podziękował za zainteresowanie. – Cieszę się, w takim razie! Mamy jeszcze pół godziny do kolacji. Muszę iść na chwilę do mojego pokoju, żeby się przebrać. Ty rób, co chcesz. Jeśli masz ochotę posłuchać muzyki, w salonie jest sprzęt i sporo płyt w szafce naprzeciwko kominka. Jeśli wolisz, możesz odpocząć chwilę w swoim pokoju. Zresztą nie będę ci mówiła, co masz robić.

– Chyba się ubiorę i pójde się przejść. Uwielbiam wieść nocą, a w Madrycie mało mam okazji do spacerów.

– Jak chcesz. – Lucía przypomniała sobie nagle jeden z żartów z tego ranka. – I przypominam, że jeśli czegoś potrzebujesz, wiesz, do kogo się zwrócić. – Jej spojrzenie było jednoznaczne. – Poza pewnymi rzeczami, oczywiście. – Puściła do niego oko i ruszyła w stronę schodów. – Zostawiam cię, Fernando. Widzimy się o dziewiątej trzydzieści!

Fernando włożył grube futro i szalik. Niebo było bezchmurne i usiane gwiazdami, pod przewodnictwem magicznego księżyca w pełni. Była to jedna z tych zimowych nocy, która poprzedza lodowaty poranek.

Fernando czuł na twarzy przejmujące zimno, które zapierało dech w piersiach. Nie myśląc o tym, przeszedł około dwustu metrów do niewielkiego wzniesienia, skąd rozciągał się jeden z lepszych widoków na posiadłość, z jeziorem rozjaśnionym księżycową poświatą.

Zdając sobie sprawę, że zbyt wiele myślał o bransolecie,

zapominając prawie zupełnie o innych sprawach, którymi powinien się zająć, zaczął myśleć o Mónice, chociaż zaproszenie, jakie otrzymał właśnie od Lucíi, nie dawało mu spokoju.

W ciągu dnia dali sobie do zrozumienia, że są gotowi na wprowadzenie nowego elementu do ich dotąd oficjalnej znajomości. W głębi duszy Fernando pragnął dać się ponieść rozwojowi wypadków, jednak widział twarz Móniki na każdym kroku. Paula powiedziała mu, że była zrozpaczona. Nalegała też, żeby nie zwlekał ani dnia dłużej i do niej zadzwonił. Dlaczego nie zrobić tego w tej chwili? Co jest najrozsądniejsze w tej sytuacji? Był o krok od romansu z niezwykłą kobietą, która chciała tego samego, co on. Kusząca perspektywa.

Tak długo chowali uczucia w jakimś ciemnym zakamarku, że odkrycie ich na nowo byłoby cudowne... Instykt zwyciężał nad poczuciem obowiązku. A niech to! Nagle zdał sobie sprawę z czegoś, co dotąd nie było wcale dla niego jasne. Jeżeli nie będzie zachowywał się rozsądnie, ucierpią obydwie kobiety. Nie może się dłużej zadrećzać.

Wyjął telefon z kieszeni.

– Słucham? – To był głos Móniki.

– Dobry wieczór.

– Cześć, Fernando. Co za zbieg okoliczności! Dosłownie przed minutą zadzwoniła do mnie twoja siostra. Mówiła, że z tobą rozmawiała.

– Przypuszczam, że powiedziała ci, gdzie jestem.

– Nie, nic mi nie powiedziała. Tylko tyle, że nie ma cię w Madrycie. Ale skoro już o tym wspomniałeś, to gdzie jesteś?

– Przede wszystkim chciałbym, żebyś wiedziała, że bardzo mi zależy na tym, żebyśmy się spotkali. Bardzo cię o to proszę!

– Jeśli o mnie chodzi, nie widzę przeszkód. Ale proszę, żebyś najpierw przyjrzał się swoim uczuciom. Jeśli tego nie zrobisz, wolę cię nie oglądać. Nie martw się, przejdzie mi.

– Mónico, wydaje mi się, że widzę wszystko coraz jaśniej i dlatego do ciebie dzwonię. Poza tym chcę, żebyś wiedziała, że

jestem w Estremadurze, w majątku Lucíi. Spotkaliśmy się tu z twoim przyjacielem, don Lorenzem Ramírezem, i zapewniam cię, że było warto. Przyjechałem tu tylko dlatego, no i dlatego, że Lucía mnie zaprosiła. – Po drugiej stronie linii Mónica słuchała w ciszy. – Ale bądź spokojna, wiem już dokładnie, czego chcę!

Minęło kilka długich sekund, zanim się odezwała.

– Zgoda, Fernando. Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miał ochotę. Tak naprawdę to cię nie rozumiem. Wiesz, co mam na myśli?

– Jasne. Zaufaj mi!

– W takim razie do zobaczenia, Fernando.

Spojrzał na zegarek. Do wpół do dziewiątej brakowało pięciu minut. Powinien wracać. Rozmowa z Monicą nieco go uspokoiła. Był teraz trochę bardziej pewny swoich uczuć. Opanowało go wspaniałe poczucie spokoju.

Mimo to Lucía nadal była problemem. Unikanie jej mogło okazać się trudne. Wracając do domu, przypomniał sobie o aluzjach, jakie sam sprowokował tego ranka. Zziębnięty, zamknął drzwi wejściowe w tym samym momencie, w którym Lucía zeszła po schodach.

Na jej widok oniemiał. Miała na sobie wydekoltowaną dopasowaną czarną sukienkę, podkreślającą figurę. Całości dopełniał dyskretny makijaż i naszyjnik z pereł w komplecie z kolczykami. Musiał przyznać, że wyglądała wspaniale.

– Wyglądasz jak sople lodu, Fernando. Chcesz usiąść najpierw przy kominku, żeby się ogrzać?

– Dobry pomysł! Usiądziemy na chwilę, a potem zjemy kolację.

Lucía wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu. Posadziła przy kominku i pomogła zdjąć futro. Powietrze wypełnił zapach palonej dębiny. Fernando czuł, jak ciepło rozchodzi się po jego ciele. Najpierw Lucía roztarła energicznie jego plecy, potem ramiona i ręce, wreszcie przyłgnęła całym ciałem do jego pleców.

– Mam nadzieję, że tak rozgrzejesz się szybciej – wyszeptła mu do ucha.

Zdenerwowany tymi niebezpiecznymi zabiegami, Fernando postanowił je przerwać, tłumacząc, że jest bardzo głodny. Odsunął się od niej i ruszył w stronę jadalni, zachęcając ją, żeby poszła w jego ślady.

– No, Lucío, chodźmy na kolację! Już nie czuję zimna, za to mam wilczy apetyt. Nie mogę się doczekać, czym też mnie zaskoczy pani Elvira!

W czasie kolacji Lucía zachowywała się z większym dystansem, co pozwoliło im zająć się podsumowaniem popołudnia spędzonego z Lorenzem. Wiedzieli już, że ich przodkowie byli esseńczykami, podobnie jak dawni templariusze. Jedni i drudzy żyli w tych samych miejscowościach: Segowii i Jerez de los Caballeros, ale dzieliło ich osiemset lat.

Wiedzieli też, że jedną z podstawowych misji esseńczyków było wzniesienie nowej Świątyni, godnej stania się Domem Bożym, w którym mogliby czcić święte przedmioty i symbole, jak to robiono wieki wcześniej w Świątyni Salomona.

Ponadto liczne przedmioty, najpewniej związane z Vera Cruz, mogą być ukryte właśnie w tym kościele. Chociaż dowody wskazywały na to niezbicie, Fernando nie mógł uwierzyć, że jego ojciec był zamieszany w całą tę historię.

Podczas kolacji Elvira była dla niego wyjątkowo uprzejma. Mężczyzna, który przyjechał na weekend, wydawał jej się bardzo sympatyczny. Odwdzięczyła mu się za jego komplementy pyszną przystawką, którą Fernando pochwalił co najmniej trzy razy. Było to danie na bazie szparagów związanych liściem szpinaku, otoczonych smażonymi warzywami polanymi sosem. Na drugie podano nadziewane połędwiczki. Na deser zjedli po puchariku sorbetu z cytryny. Kawę podano w salonie.

Małżeństwo posprzątało ze stołu i uporządkowało kuchnię. Zajrzeli do salonu, żeby zapytać, czy są jeszcze potrzebni, wreszcie zamknęli drzwi, zostawiając Fernanda i Lucię samych. Nadchodził najtrudniejszy moment.

Lucía, nalawszy sobie baileys'a i koniak Fernandowi, usiadła w fotelu tak blisko niego, że czuł jej perfumy. Zapadła pełna napięcia cisza.

– Nie mogłam się doczekać tej chwili spokoju, po tak intensywnym dniu.

Lucía próbowała zapanować nad nerwami. Sytuacja była niezwykła. Zapaliła papierosa. Palenie pomagało jej się uspokoić.

– Jestem bardzo zadowolony z postępów, jakie dziś poczyniliśmy, Lucío. – Jego komentarz wydawał się dość suchy, ale w tym momencie nie był w stanie budować dłuższych zdań.

– Cieszę się, że twoja decyzja przyjechania aż tutaj okazała się słuszna. – Lucía również miała problemy z ciągnięciem rozmowy.

Kiedy Fernando sięgnął po kieliszek, poczuł, że Lucía przysunęła się do niego.

Jego wzrok padł na półkę pełną starych książek i poderwał się z drinkiem w rękę, żeby przyjrzeć się tytułom. Lucía poszła za nim.

– Jak widzisz, to bardzo cenne książki. Niektóre to pierwsze wydania sławnych autorów. – Wzięła do ręki jedną, wyglądającą na najstarszą. – To pierwsze wydanie *Galatei* Cervantesa.

Fernando otworzył tom, żeby stwierdzić, że jest w doskonałym stanie. Lucía znów stała bardzo blisko, a on przeglądał książkę coraz bardziej gorączkowo.

Lucía czekała, aż Fernando przejmie inicjatywę, ale tego nie robił. Pragnęła go. Mimo że zdawał się nie być nią zainteresowany, miała zamiar sprawić, żeby zwrócił na nią uwagę. Patrzyła na niego, a on zdawał się uczyć na pamięć każdej z książek, które zdejmował z półki.

– Przypuszczam, że już od dawna nie byłeś z kobietą. – Wkraczamy na niepewny grunt, pomyślał Fernando. – Na pewno ci tego brak! – Lucía zamknęła książkę i stanęła przed nim, patrząc na niego uwodzicielsko. – Chciałabym, żebyś mnie pocałował. – Zamknęła oczy, czekając na dotyk jego ust.

Fernando patrzył na nią, czując pożądanie, nie potrafiąc zrobić niczego innego, poza spełnieniem jej prośby. Pocałował ją delikatnie. Gdy ich usta się zetknęły, ona objęła go i mocno przytuliła do niego. Jej ręce głaskały jego włosy, a usta nie odrywały się od jego ust.

Czuł się bezradny wobec jej namiętności i cierpiał, widząc, że nie jest w stanie jej powstrzymać.

Lucía całowała jego twarz i szyję, chociaż zdawała sobie sprawę, że jest spięty.

Fernando czuł się osaczony. Nie może kierować się emocjami. Nie jest z Lucią szczery, tak samo jak nie jest szczery z Mónica, którą chciał uspokoić, mówiąc, że powinna mu ufać. Jak może zakończyć to, co się dzieje, żeby nie urazić Lucíi?

Fernando podjął wreszcie decyzję i łapiąc ją za ramiona, odsunął od siebie.

– Lucío, muszę ci powiedzieć...

Zasłoniła mu usta ręką, nie pozwalając dokończyć, i zamierzała go pocałować, kiedy Fernando ją powstrzymał.

– Poczekaj, Lucío. To ważne! Muszę ci coś powiedzieć!

Lucía wróciła na fotel, nie kryjąc zawodu.

– To przez Mónica, prawda?

– Tak, Lucío. Skłamałbym, gdybym powiedział coś innego. Przypuszczam, że zauważyłaś, iż coś między nami jest.

– Chyba bardziej z jej strony niż z twojej.

Lucía czuła wstyd. Wbiła wzrok w jakiś nieokreślony punkt.

– Przyznaję, że nie byłem wobec ciebie szczery. Prowokowałem cię nawet i myślałaś, że chcę czegoś więcej.

– Owszem, tak to zrozumiałam.

– Przykro mi! Mogę tylko dodać, że byłoby niesprawiedliwe nie zahamować tego, co się dzieje, mimo iż kosztuje mnie to bardzo dużo wysiłku.

Lucía czuła się upokorzona. Była na siebie zła, dała się ponieść emocjom. A także zawiedziona, bo wyobrażała sobie, że

ten mężczyzna mógłby sprawić, że znowu nauczyłaby się kochać. Miała ochotę się rozplakać, ale nie w jego obecności.

Trzeba zakończyć tę scenę jak najszybciej.

– Fernando, nie ciągnijmy tego tematu. Chcę być sama. Chyba pójdę do łóżka. – Podniosła się z fotela. – Porozmawiamy jutro.

Weszli w milczeniu na piętro i powiedzieli sobie dobranoc. Fernando zamknął za sobą drzwi, zgnębiony swoim idiotycznym zachowaniem i zmartwiony krzywdą, jaką wyrządził Lucii i.

Tuż przed zaśnięciem przed oczami pojawił mu się obraz Móniki. Zasnął spokojniejszy, że udało mu się wybrnąć z sytuacji, nie zdradzając jej.

Następnego dnia żadne z nich nie wspomniało o wydarzeniach poprzedniej nocy. Lucía zachowywała się uprzejmie, udowadniając, że potrafi przyjąć cios z uśmiechem.

Połowanie skończyli w południe. Fernando zdołał ustrzelić ledwie parę przepiórek, za to Lucía aż piętnaście. Przynajmniej pozwoliło im to rozluźnić się trochę i nawet żartowali. Po południu Fernando zaczął czuć się niezręcznie. Chciał wrócić do Madrytu. Postanowił wyjechać o pierwszej, żeby uniknąć niedzielnych korków.

– Lucío, jestem ci bardzo wdzięczny, że mnie zaprosiłaś.

Zamknął bagażnik i złapał ją za ramiona, żeby pocałować w policzek. Ona zrobiła unik i ku jego zaskoczeniu pocałowała go w usta.

– Daj spokój, Fernando, nic się nie stanie, jak mnie pocałujesz. – Zrobiła to jeszcze raz i spojrzała mu z powagą w oczy. – Chcę, żebyś wiedział, o czym myślałam dziś rano, chociaż miałam poważne wątpliwości, czy powinnam ci to powiedzieć po tym, co wydarzyło się wczoraj. Jak widzisz, ostatecznie zdecydowałam się to zrobić.

Fernando czekał z ciekawością.

– Chcę, żebyś wiedział, że bardzo mi się podobasz. Twoje wczorajsze zachowanie, chociaż przyznaję, że początkowo czułam się okropnie, wydaje mi się godne dżentelmena i czyni cię tym bardziej interesującym. – Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. – Oboje jesteśmy dorośli i dlatego powinniśmy rozmawiać o tych sprawach otwarcie. Chociaż zrozumiałam twoją reakcję, czułam, że ja również cię pociągam. Jednym słowem, chciałabym, żebyśmy nie zamykali jeszcze tych drzwi. Moje będą otwarte. Chciałam tylko, żebyś był tego świadom. Zobaczymy się w Segowii! Do widzenia i dobrej drogi!

Fernando odjechał, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. W głowie wciąż rozbrzmiewały mu słowa Lucii.

Skręcił w kierunku Almaraz, lecz nie przejechał nawet dwustu metrów, kiedy zadzwonił jego telefon. Usłyszał głos o lekkim obcym akcencie.

– Fernando Luengo?

– Tak, to ja. Kto mówi?

– To nie ma znaczenia. Ma pan coś, co należy do nas i powinien nam pan to niezwłocznie zwrócić. Mam na myśli bransoletę. – Fernando chciał coś powiedzieć, ale mężczyzna nie dopuścił go do głosu. – Ponieważ założyliśmy, że nie da się pan przekonąć, wypożyczyliśmy sobie coś, co pana interesuje. Może pan z nią porozmawiać!

– Fernando? – To był głos Móniki. – Rób, co ci każą! Mówią, że jeśli nie zastosujesz się do ich instrukcji, zabiją mnie!

– Mónico! – Czując nagły skok ciśnienia, Fernando zatrzymał samochód na poboczu.

– Wystarczy, już ją pan usłyszał! Na razie nic jej nie jest. Radzę, żeby nie dzwonił pan na policję, jeśli nie chce dostać pan jej z powrotem pocztą, w kawałkach. Proszę słuchać uważnie! Ma pan zanieść bransoletę na Puerta del Sol, koło pomnika Niedźwiedzia, w poniedziałek o czternastej. Jeśli pan to zrobi, odzyska pan swoją śliczną przyjaciółkę całą i zdrową. Ale powtarzam,

jeśli przyjdzie panu do głowy jakiś numer, będzie pan musiał zastanowić się nad datą pogrzebu.

– Ale kim wy jesteście?

Rozmówca się rozłączył. Fernando próbował sprawdzić, skąd dzwonił, ale na ekranie nie pojawił się żaden numer.

Był wściekły i bezsilny, i czuł ból na myśl o biednej Mónice w rękach tych ludzi pozbawionych skrupułów. Wcisnął pedał gazu, żeby jak najszybciej dotrzeć do Madrytu. Po kilku minutach zadzwonił do siostry.

– Fernando, słyszę, że dzwonisz z samochodu. Już zadowolęś Lucię?

– Przestań gadać bzdury i usiądź, bo mam złą wiadomość!

– Nie strasz mnie. Miałaś wypadek?

– Nie chodzi o mnie, Paulo. Chciałbym, żeby to mnie się coś stało! Mónica została porwana!

11.

Kościół Vera Cruz, rok 1244

W każdym z dwunastu narożników głównego pomieszczenia edykułu kościoła Vera Cruz zatknięta była pochodnia, lecz paliło się tylko jednaście, na znak, że jeden z członków grupy nie bierze udziału w tajnym spotkaniu. Światło rozchodziło się, oświetlając tylko dolną część ścian, wypełniając powietrze tajemnicą i zapachem wosku.

Gastón de Esquívez, Nauczyciel Sprawiedliwości w tej esseńskiej wspólnotce, czekał przy wejściu na przybycie, według ściśle przestrzeganej kolejności, dziesięciu członków pochodzących z odległych miejsc, którzy mieli wziąć udział w tym najważniejszym jak do tej pory spotkaniu.

Przyjmował każdego, kładąc mu dłonie na głowie, co symbolizowało komunie w światłości i umocnienie w braterskiej miłości, a następnie klękał, żeby obmyć im stopy, przypominając w ten sposób starożytny rytuał oczyszczenia, który jego bracia w wierze powtarzali od wieków przed każdym spotkaniem.

W niższej komorze wyłożono habity z lnu i pastorały dla każdego z uczestników. Ceremoniał wymagał, żeby mieli na sobie szaty w białym kolorze czystości, bose stopy w hołdzie ziemi i miłość na znak znajomości praw.

Otrzymawszy błogosławieństwo z ust mistrza i usłyszawszy słowa: „Jesteś oczyszczony, wejdź z nami”, przechodzili na

swoje miejsce między dwunastoma ławami otaczającymi kaplicę, pozostawiając puste to, które należało do Juana de Atareche. Kiedy usiadł ostatni, najmłodszy, Esquívez zajął swoje miejsce i odczekawszy kilka chwil, zaczął recytować modlitwę.

Był to tekst w starożytnym hebrajskim, który tłumaczył na łacinę.

– *Jeszcze przez krótki czas jest wśród was światłość. Chodźcie, dopóki macie światłość, aby was ciemność nie ogarnęła. A kto chodzi w ciemności, nie wie, dokąd idzie. Dopóki światłość macie, wierzcie w światłość, abyście byli synami światłości**. Ta modlitwa – Esquívez uznał, iż należy wyjaśnić, dlaczego wybrał właśnie tę – pochodzi z Ewangelii Jana Apostoła. Cytuje on słowa Chrystusa, które uznałem za bardzo odpowiednie. Po raz pierwszy rozpoczynam nimi nasze spotkanie, ale, jak mogliście stwierdzić, zdają się skierowane do nas, esseńczyków. – Zrobił pauzę, by zebrani mogli rozważyć jego słowa, i przyglądał się każdej twarzy. Zwracał się do nich po łacinie, gdyż najmłodszy nie znał hebrajskiego. – Z moich listów dowiedzieliście się o śmierci brata Atareche. Wraz z nim straciliśmy wzór esseńskiego ducha, oczyszczonego w oczach Boga i przepelnionego niestrudzoną wolą walki. Jego podróży do Palestyny zawdzięczamy naszą wiarę, to on uratował nas od bezprawia i pomógł zbadać nasze dawne zasady, sprowadzając je do prostego podziału na dobro i zło. Zostawił nam naszą obecną regułę i przekazał całą wiedzę. Każdy z was odebrał inicjację z jego rąk i chociaż później wybraliście na Nauczyciela Sprawiedliwości mnie, z mocy prawa zaszczyt ten należał się jemu. – Oblicza mnichów wyrażały ten sam ból, który wypełniał serce Esquíveza. – Po jego stracie jedyłą radość znajdujemy w pewności, że jest już u źródła wszelkiego światła.

* Jan, 12, 35-36

John Wilcom i Neil Ballitsburg, dwaj komandorzy pochodzący z Anglii, najmłodszy stażem, stali po obu stronach zgaszanej

pochodni, która symbolizowała utratę światła, rozjaśniającego jej dawnego właściciela.

W ciszy zmówili za niego modlitwę, która towarzyszyła śmierci esseńczyka. Jedenaście serc łączyło się w jeden strumień, który zdawał się wznosić po pionowej osi komnaty, niczym promień światła lecący do samego nieba.

Gastón de Esquívez wstał, wyjął spod habitu skórzaną sakiewkę i nie otwierając, położył na stole. Wszyscy wbili wzrok w tajemniczy przedmiot, marząc, żeby był tym, o czym myślą.

– Drodzy bracia, tej nocy będziecie świadkami jednego z najwspanialszych odkryć w historii ludzkości. Wielu oddałoby życie, żeby dowiedzieć się, że istnieje, a wy nie tylko je zobaczycie, ale będziecie mogli zrozumieć, jakie ma dla nas znaczenie. Wierzcie mi, kiedy mówię, że dostąpicie zaszczytu bycia? jednymi z niewielu śmiertelników, którzy mogli go dotknąć.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, spotęgowała aurę tajemniczości.

– Macie przed sobą klejnot o niezwyklej wartości. Podkreślam raz jeszcze znaczenie tego, co dziś zobaczymy i uczynimy. Jak dobrze wiecie, jest to powód waszej obecności tutaj.

Żrenice dziesięciu templariuszy rozszerzyły się pod wpływem pragnienia, by dowiedzieć się wreszcie, co kryje sakiewka.

Esquívez odwiązał rzemyk i wyjął z niej złoty medalion na prostym skórzanym rzemieniu.

– Oto medalion proroka Izaaka! – oznajmił.

Mnisi oniemieli. Żaden z nich nie słyszał o istnieniu takiego klejnotu. Otrzymawszy zaproszenie na tajne zebranie, przypuszczali, że mistrz miał wystarczające powody, żeby zainicjować proroctwo, co nadawało spotkaniu jedyne w swoim rodzaju znaczenie.

– Bracia... – Esquívez, świadom znaczenia swoich słów, przybrał uroczysty wyraz twarzy – mamy przed sobą nowy symbol świętego przymierza między Bogiem a człowiekiem! –

Doniosłość tej chwili i waga jego słów skłaniały go do robienia przerw, żeby dać mnichom czas na zrozumienie każdego zdania. – Oto symbol pierwszego przymierza, zawartego między Jahwe a Abrahamem! – Po kolei spojrzął w oczy każdemu z obecnych i kontynuował: – Wraz z nim nasza wspólnota posiadała symbole wszystkich największych przymierzy.

Mnisi nie kryli radości. Byli pewni, iż są blisko spełnienia najświętszej misji esseńczyków: połączenia trzech przymierzy. Trudy podróży, wyjaśnienia, jakich trzeba było udzielić przełożonym, żeby pozwolili im porzucić obowiązki, i długie lata spędzone na poszukiwaniu tych przedmiotów zostały wreszcie nagrodzone.

Esquívez przypomniał pierwsze znalezisko brata Atareche, kiedy współwyznawcy znad Morza Martwego przekazali mu bransoletę Mojżesza, symbol drugiego przymierza między Jahwe i człowiekiem. Przymierza, które miało zapewnić ludowi na wygnaniu Ziemię Obiecaną i nowe prawo.

Medalion zaczął przechodzić z rąk do rąk. Wszyscy mieli świadomość, iż obcują ze świętym przedmiotem, mającym ponad dwa tysiące dziewięćset lat.

– Mistrzu, co symbolizuje baranek i to, co wygląda na gwiazdę? – zapytał John.

– Czy ktoś chce odpowiedzieć na pytanie naszego brata?

Zrobił to Lombardczyk Nicola, który wyjaśnił najpierw, co oznaczał w tamtej epoce i dla tamtych ludów symbol baranka.

– Pomyślcie, że starożytni Hebrajczycy składali ofiarę z baranka, gdyż był to lud zajmujący się hodowlą i wypasem zwierząt. Składano go w ofierze jako wyraz wdzięczności, na przykład przy okazji narodzin syna, lub żeby przebłagać Boga. Musimy pamiętać o tamtych czasach i szczególnych okolicznościach. Abraham był pasterzem, który wyruszył z całym swoim stadem na poszukiwanie nowej ziemi, obiecanej przez Jahwe. W pewnym momencie Jahwe podarował mu to, czego pragnął najbardziej, syna, którego nigdy nie mógł mieć. Urodził się Izaak,

jednak kiedy dorósł, Jahwe wystawił Abrahama na próbę, kazając mu złożyć ukochanego potomka w ofierze.

– Wtedy anioł – podjął opowieść Charles du Lipont, komandor z Chartres – w ostatniej chwili powstrzymał jego rękę i kazał poświęcić baranka, który zaplątał się w zaroślach. Jahwe, w nagrodę za posłuszeństwo, odnowił przymierze z Abrahamem i jego rodem, obiecując mu, że jego potomstwo będzie tak liczne, jak gwiazdy na niebie.

– Doskonale, bracia – pochwalił Esquívez. – Właśnie objaśniliście znaczenia obu symboli z medalionu. Baranek symbolizuje samego Izaaka. Jest ofiarą, poświęceniem, jakiego żądał Jahwe od Abrahama. A gwiazda oznacza jego ród.

– Nauczycielu – przerwał mu Philippe – wiemy też, że wraz z Mojżeszem baranek nabrał nowego znaczenia, jako symbol świętowania, dając w ten sposób początek świętu Paschy. Jeśli pamiętacie, Jahwe powiedział Mojżeszowi przed wyjściem z Egiptu, że chce, aby w każdym domu poświęcono baranka i zjedzono go tej nocy, nie łamiąc żadnej jego kości, tylko z ziołami i podpłomykiem. Uprzedził ich, że muszą zaznaczyć swoje drzwi jego krwią, jako znak dla bożego anioła, żeby przeszedł, nie wchodząc do środka. W każdym domu pozbawionym znaku z krwi umarł syn. Wobec tej ostatniej bolesnej próby i po siedmiu plagach faraon pozwolił im wyruszyć z Egiptu do Ziemi Obiecanej.

– Napawa mnie dumą świadomość, że tak dobrze znacie stare pisma. To obowiązek dobrego esseńczyka! – Esquívez przyjrzał im się z zadowoleniem i zaczął wyjaśniać, jak wszedł w posiadanie relikwii.

Dzięki mimowolnej hojności pewnego kataru, który był jego powiernikiem, i poprzez pośrednie uczestnictwo Juana de Atareche, zdobył go kilka tygodni wcześniej, choć musiał w tym celu zabić kataru. Atareche był jego przyjacielem i przed śmiercią zostawił mu zaszyfrowaną wiadomość.

– Kiedy Pierre de Subignac, bo tak nazywał się katar, zdołał ją odszyfrować, zrozumiał, że musi mnie odszukać, nie wiedząc,

co ma odnaleźć lub uzyskać. Nie był świadomy, że śledziło go dwóch templariuszy z komandorii Juana, którzy myśleli, że wie, gdzie ukryta jest szkatułka z bransoletą Mojżesza i rękopisem z prorocstwem Jeremiasza. Pedro Uribe i Lucas Asturie, bo tak się nazywali jego prześladowcy, wykonywali rozkazy głównej siedziby świątyni i samego papieża Innocentego, żeby zagarnąć cenne przedmioty, gdy tylko katar je znajdzie. Żaden z nich nie wiedział jednak, że dobry Juan wysłał go do nas, żebyśmy zdobyli medalion Izaaka, gdy tylko dowiedział się, że jego przyjaciel jest w jego posiadaniu. Musiałem zabić również jednego z myśliwych, Uribe'a, lecz drugi uciekł, żeby powiedzieć o wszystkim swoim przełożonym – Esquívez odetchnął głęboko. – Na koniec podzielił się z mnichami swoimi obawami przed represjami, gdy tylko wieść o medalionie dojdzie do przełożonych templariuszy. Wiem na pewno, że prawie wszyscy tutaj obecni są śledzeni, dlatego musimy wzmóc czujność. Jeśli chodzi o mnie, niedawno przybył tu z wizytą mój mistrz, Guillem de Cardona, który przyjechał powiadomić mnie o moim rychłym przeniesieniu do komandorii w Puente la Reina, gdzie mam zastąpić naszego zmarłego brata Juana de Atareche. – Dlatego po raz ostatni spotykamy się w tym miejscu i dlatego to spotkanie powinno stać się najważniejszym ze wszystkich, które do tej pory odbyliśmy.

Wszyscy pomyśleli natychmiast o konsekwencjach tego przeniesienia. Jeśli stracą kontrolę nad kościołem Vera Cruz, ich najdroższą świątynią, sekrety, które w sobie kryje, relikwie i jej ostateczne cele będą poważnie zagrożone.

Brat z komandorii w Carcassonne, Guillaume Medier, myślał nie tylko o tych konsekwencjach, ale również o popełnionych morderstwach. Nigdy nie popierał wyboru Esquíveza na Nauczyciela Sprawiedliwości ich wspólnoty. Uważał, że jest intrygantem niewiedzącym, co znaczy dobroć, konieczna, by przewodzić grupie esseńczyków. Ponadto przywłaszczył sobie stanowisko, które prawnie należało się jemu, ponieważ był pierwszym

esseńczykiem wybranym przez Atareche. Od tego momentu ich stosunki były bardzo napięte. Medier oskarżył nawet Esquiveza o przekupienie niektórych braci, żeby zapewnić sobie wybór, ale ponieważ nie potrafił tego udowodnić, został zmuszony do odbycia dotkliwej pokuty. Dlatego nie zamierzał pozwolić, żeby umknęła mu jakakolwiek okazja do podważenia autorytetu mistrza.

– Nauczycielu, nasza reguła nakazuje kochać bliźniego i żyć w pokoju, jednak opowiedzieliście nam właśnie, jak własnoręcznie zabiliście dwóch mężczyzn i wygląda na to, że niezbyt was to obeszło. Wobec waszego grzechu, moje sumienie nie pozwala mi być wam dłużej posłusznym. Chcę skorzystać z okazji i oskarżyć was przed całą wspólnotą o zachowanie, które uważam za niegodne. – Wstał i uderzył pięścią w stół. – Głosuję za natychmiastową i publiczną naganą!

Jego głos poniósł się echem, a wśród mnichów zapanowało poruszenie.

– Proszę o spokój! Brat Guillaume wniósł na mnie skargę, która jest ze wszech miar usprawiedliwiona. – Twarze zebranych zastygły w wyrazie zaskoczenia wobec tak nieoczekiwanego oświadczenia. – Tak. To prawda! Nie dziwcie się, że to mówię! Czyn, jaki popełniłem, odbierając życie katarowi, to zbrodnia przeciw naszej moralności. Spróbuję wyjaśnić wam, co mnie do tego pchnęło. Wszyscy wiecie, że nasze bractwo czekało od wieków na nadejście Królestwa Światła, żeby pokonać ostatecznie cienie i ciemność. – Urwał na dłuższą chwilę, patrząc uważnie na zebranych. – Bracia, przeżyjemy chwile spełnienia! – Uniósł triumfalnie brwi. – Posiadamy trzy symbole trzech wielkich przymierzy!

– Nadal uważacie, że relikwia krzyża odpowiada trzeciemu przymierzu? Jak dotąd, mieliśmy wątpliwości – zauważył François Tomplasier z Blois.

– To prawda, bracie François. Nigdy nie mieliśmy całkowitej pewności, ale to możliwe, bo symbolizuje narzędzie, które

towarzyszyło śmierci Jego ukochanego Syna, a jaki może być większy znak przymierza, niż ofiarowanie człowiekowi Jego życia? Muszę wam powiedzieć, że na nadzwyczajnym spotkaniu, które było mniej liczne niż dzisiejsze, zdecydowaliśmy się wystawić kopię relikwiarza w świątyni, żeby nie stracić oryginału. Od jakiegoś czasu wiem, że kuria rzymska jest nim zainteresowana i stara się go odzyskać. Na szczęście oryginał nadal pozostaje w moich rękach.

W komnacie panowało przejmujące zimno. Była mroźna zima, już dawno zapadła noc.

– Ponad tysiąc osiemset lat temu wielki prorok Jeremiasz wyjawiał – ciągnął Esquívez – że tylko kiedy zostaną odnalezione i zgromadzone wszystkie symbole przymierzy z Jahwe, rozpocznie się wielka bitwa, wojna między synami światła i synami ciemności. Zwycięstwo dobra nad złem. – Gdy mówił, jego głosowi towarzyszyło tylko skwierczenie świec. – Kiedy dowiedziałem się, jakie jest pochodzenie medalionu i zobaczyłem, że mogę go zdobyć, dzięki czemu mielibyśmy wreszcie po raz pierwszy trzy wielkie symbole przymierzy, krzyż Chrystusa, bransoletę Mojżesza i medalion Izaaka, zrozumiałem, że śmierć niewiernego jest niczym wobec ostatecznej wojny. Dlatego go zabiłem!

Przyjrzał się twarzom zgromadzonych, nie widząc w nich niczego poza zrozumieniem i radością. Nadzieja na nadejście ery, kiedy to światło ostatecznie pokona mrok zdawała się oświetlać salę jaśniej niż pochodnie.

– Jeżeli jednak nadal uważacie, że zasługuję na naganę, poddam się sądowi z całą pokorą i przyjmę najsurowszy wyrok. – Pochylił głowę na znak posłuszeństwa.

Guillaume obserwował twarze mnichów, myśląc, że oto raz jeszcze stracił okazję pokonania Esquíveza. Musiał przyznać, że człowiek ten ma niezwykłą umiejętność kierowania ludźmi, i że umie doskonale przemawiać. Nie tylko przeszli na stronę mistrza,

sluchając jego wyjaśnień, ale zaczęli nawet patrzeć na Mediera z niechęcią, oczekując, że wycofa swoje oskarżenia. Nie miał innego wyjścia.

– Wysłuchawszy waszych wyjaśnień, mistrzu, muszę wycofać moją skargę i proszę was o wybaczenie.

Esquívez podniósł się, żeby go uściskać na znak wyrozumiałości. Wszyscy byli pewni, że jest stworzony na Nauczyciela Sprawiedliwości. Godne zachowanie wobec komandora z Langwedocji wzmacniały tylko jego obraz jako uosobienia dobroci, szczodrości i mądrości.

Dla brata Richarda Depulé, jednego z najstarszych we wspólnocie, ta strata czasu, spowodowana błędzeniem brata Guillaume'a, umniejszała tylko znaczenie i uroczysty charakter zebrania i dlatego postanowił wrócić do głównej kwestii.

– Nauczycielu! Wszyscy pragniemy, aby światło zwyciężyło nad ciemnością i żeby zło zniknęło na zawsze. Jeśli posiadamy wszystkie symbole przymierza, co mamy czynić? Jak zainicjujemy ostateczny proces?

Głowy wszystkich zwróciły się w stronę Esquíveza.

– Mój dobry Richardzie, odpowiedzi na twoje pytania zostały wyjawione przez Jahwe prorokowi Jeremiaszowi przed wieloma wiekami. Wiecie, że rękopis, przywieziony przez naszego brata Juana znad Morza Martwego jest kopią oryginału należącego do Jeremiasza, której strzegli z oddaniem przez setki lat nasi bracia z pustyni. Pamiętacie, że zawiera przepowiednię, którą zawsze uważaliśmy za wiarygodną, chociaż później odnaleźliśmy w niej pewne podobieństwa do innego proroctwa, tego samego autorstwa, zawartego w Biblii w trzydziestym pierwszym rozdziale i teraz jestem pewien, że nasza przepowiednia jest tylko dalszym ciągiem tamtej. Przeczytam wam najpierw tę, którą znacie i którą przywiózł nam Atareche:

Tylko kiedy trzy święte symbole prawdziwego przymierza, które wam zostawiłem, znajdą się w komnacie komnat, pojawią

się trzy znaki, w trzech kolejnych dniach, poprzedzane słupem dymu i słupem ognia. Te trzy będą odpowiadały trzem twarzom świata: twarzy niebieskiej, ziemskiej i ludzkiej. W tych dniach każda straci swój zwykły charakter, objawiając się w odwrotnym stanie. Tak pierwszego dnia słońce nie wyda światła. Ziemia poruszy się nagle pod naszymi stopami, a trzeciego dnia pojawi się człowiek niemy, ślepy i głuchy, bo bez tych zmysłów – wrót rozumu – będzie bardziej podobny do zwierzęcia niż człowieka. – Zwinął pergamin i położył go na stole. Następnie otworzył Biblię na zaznaczonej wcześniej stronie i zaczął czytać na głos fragment Drugiej Księgi Machabejskiej, rozdział drugi, wers czwarty, chcąc, żeby zrozumieli zbieżności tekstu z przepowiednią Jeremiasza. – *Było w tym piśmie podane, jak na podstawie wyroczni, do niego skierowanej, prorok kazał nieść za sobą Namiot Spotkania, i arkę, i jak wyszedł na górę, gdzie wszedłszy, Mojżesz obejrzał Boże dziedzictwo. Przyszedłszy tam znalazł Jeremiasz pomieszczenie w postaci pieczary. Umieścił tam Namiot Spotkania, arkę i ołtarz kadzenia.* – Przerwał na chwilę lekturę, żeby wyobrazić sobie Jeremiasza próbującego chronić najświętsze symbole przymierza przed Nabuchodonozorem, który wkrótce po zdobyciu Jerozolimy kazał zburzyć Świątynię Salomona. Przeczytał następny werset, który odnosił się do samej grotty – *Miejsce to pozostanie nieznanie, aż Bóg na powrót zgromadzi swój lud i okaże mu miłosierdzie. Wtedy to Pan ponownie pokaże to wszystko i będzie można oglądać chwałę Pańską i obłok, podobnie jak za Mojżesza można ją było widzieć i jak wtedy, gdy Salomon modlił się, aby miejsce zostało w uroczysty sposób poświęcone.*

Esquívez zamknął Biblię i milczał przez chwilę, po czym podjął:

– Według Biblii Jeremiasz jako jego wierny naśladowca ukrył w grocie na górze Nebo symbole przymierza z Mojżeszem. Mojżesz przeniósł je tam z Synaju, a Jeremiasz chciał je chronić przed bezprawiem, które rządziło w Świątyni w Jerozolimie. Te

trzy symbole, które powinny zostać połączone według wizji zesłanej przez Jahwe, są tymi samymi, które pojawiają się w tekście biblijnym i które prorok próbował ukryć. I zgodnie z tym, co usłyszał od Jahwe, miały pozostać ukryte, dopóki Bóg nie zawrze ze swoim ludem przymierza, które pozwoliłoby na ponowne odkrycie jaskini i tego, co się w niej znajdowało. Wtedy ukazałaby się chwała boża poprzez pionową chmurę widoczną w ciągu dnia, taką samą jak ta, którą oglądali Mojżesz i Salomon, i kolumnę ognia w nocy. Bracia, to jasne, że nasz rękopis jest rozwinięciem tekstu z Biblii. Przede wszystkim uważam jednak, że Jeremiasz pomylił się, sądząc, iż chodzi o Arkę Przymierza, ołtarz i tabernakulum. To te trzy przedmioty znajdujące się tutaj naprawdę odpowiadają każdemu z trzech przymierzy: medalion Izaaka, symbol pierwszego przymierza Jahwe z człowiekiem, bransoleta Mojżesza, symbol drugiego i krzyż Chrystusa jako symbol trzeciego. Ponadto, jak sami słyszeliście, nasz tekst zawiera szczegóły pozwalające zrozumieć, jakie będą znaki Jahwe ogłaszające zawarcie nowego czwartego przymierza z człowiekiem. Po pierwsze, trzeba znaleźć i połączyć w świętej komnacie symbole trzech poprzednich przymierzy, po czym ukaza się trzy znaki poprzedzone dymem i ogniem.

Zapytany, czy jego zdaniem tajemna sala w Vera Cruz nadaje się do ich celów odparł, że świątynia, w której się znajdują, została wzniesiona na potrzeby esseńskiej społeczności, mającej wpływy wśród wyższych szarż zakonu i miała służyć właśnie temu celowi. Dlatego na najwyższym poziomie znajdowała się ukryta komnata, wyłożona złotem, która odpowiadała świętemu miejscu – Świętemu Świętych – na podobieństwo tego, które było sercem Świątyni Salomona. Jeremiasz uważał zapewne, że to Jerozolima jest odpowiednim miejscem, ale, według Esquiveza, ważniejsza była obecność wszystkich symboli niż ich umiejscowienie.

– W komnacie umieścimy trzy symbole, które posiadamy: bransoletę, medalion i fragment krzyża.

– Nie wiem, co nas powstrzymuje przed zrobieniem tego w tej chwili! – wykrzyknął Lombardczyk ogarnięty, podobnie jak pozostali, pragnieniem wypełnienia przepowiedni.

Esquívez przyglądał się braciom świadom, że jest narzędziem mającym doprowadzić do wydarzenia najbardziej upragnionego przez jego poprzedników i mistrzem ceremonii, która miała przynieść nowe życie wszystkim dzieciom bożym, które szanowały Jego prawo, dane im od czasów Mojżesza.

Niektórzy z obecnych osiągnęli już podeszły wiek, jednak najmłodszy przechowują nauki i przekażą je następnym pokoleniom. Z powagą, jaką nadawała mu jego misja, badał ich twarze ledwo oświetlone płomieniem pochodni w kaplicy będącej przedśionkiem świętej komnaty zbudowanej z kamienia, tak solidnej, jak wiara, która ich łączyła. Zdawał sobie sprawę ze znaczenia tego przedsięwzięcia, ale najpierw musiał doprowadzić do końca inną rzecz, choć była drugorzędna.

– Zanim rozpoczniemy ceremonię nad ceremoniami, musimy wybrać następcę naszego brata Juana de Atareche. Zrobimy to, jak nakazuje tradycja. Każdy mentor zaproponuje swojego kandydata i opowie o jego zasługach. Musi on wyznawać naszą wiarę od co najmniej trzech lat i mieć za sobą trzydniową medytację, niezbędną, by zostać pełnoprawnym bratem. Jak zwykle przyjęty do wspólnoty zostanie ten, kto otrzyma najwięcej głosów. Na razie mamy dwóch kandydatów. Przedstawię jednego, gdy tylko Philippe Juvert opowie o swojej propozycji.

– Nauczycielu – wymieniony brat zabrał głos, ochrypły z przejęcia – i bracia, niestety nie mogę przedstawić wam mojego kandydata, gdyż nowicjusz, o którym mowa, dopuścił się poważnego uchybienia, przez co nie może zostać członkiem naszej wspólnoty. – Przerwał, przyglądając się wyrazowi zdumienia malującemu się na twarzach braci, pragnących poznać szczegóły. – Templariusz Laurent Traubelier, z komandorii w Luzca, był moim wychowankiem. Odkryto jednak, że jest zamieszany w fałszerstwo dokumentów skarbowych. Został surowo ukarany,

zgodnie z naszą regułą, i w związku z tym nie może żadną miarą należeć do naszej sprawy.

Esquívez, ubolewając nad zgubnym wpływem pieniędzy na ludzi, wykorzystał okazję, żeby przypomnieć raz jeszcze ich zobowiązanie do odrzucenia dóbr doczesnych i obowiązek dzielenia się wszystkim, co posiadają.

– To są, wśród innych, moralne zasady, jakimi powinniśmy się kierować, abyśmy byli godni miana esseńczyków – podkreślił. – Żeby zastąpić tak wybitną osobowość, jak Juan de Atareche – ciągnął, rozpoczynając prezentację swojego kandydata – pragnąłem wybrać najlepszego z moich uczniów. Nazywa się Joan Pinaret, uczę go od prawie czterech lat. Obecnie jest młodym zakonnikiem, templariuszem, podobnie jak my, liczącym ledwie dwadzieścia jeden lat, więc osiągnął minimalny wiek potrzebny do wstąpienia do wspólnoty. Można by powiedzieć, że jeśli Juan de Atareche był rzeczywistością, ten jest tylko możliwością, ale możliwością o szlachetnym rdzeniu, zapewniam! – Uporządkował leżące przed nim papiery, skupiając się na jednym z nich. – Opowiem wam o nim nieco więcej. Muszę powiedzieć, że jest przykładem cnót, hojny i skromny, z zapałem oddaje się pracy i wewnętrznemu oczyszczeniu. Obecnie należy do komandorii Korony Aragonii i mimo młodego wieku włada pięcioma językami: greką, łaciną i arabskim, jakby były jego językami ojczystymi, a obecnie uczy się starożytnego hebrajskiego. Pomyślcie, jakie korzyści przyniosłaby nam obecność brata potrafiącego czytać w oryginale wszystkie dokumenty, które od dłuższego czasu czekają na rozszyfrowanie.

– Nauczycielu, zagłosujmy! Podaliście nam dość powodów, żeby poprzeć jego kandydaturę – przerwał Esquívezowi Richard.

– Zgoda. Przez podniesienie ręki i w jednym głosowaniu, jak zwykle! Kto godzi się na przyjęcie kandydata Pinareta?

Podniosło się dziewięć rąk. Anglicy wstrzymali się od głosu.

– Wstąpienie brata Pinareta do naszej wspólnoty zostało zaaprobowane większością głosów. Poinformuję go o tym osobiście

przy najbliższej okazji. Mam nadzieję, że wkrótce będziecie mogli go poznać!

Wydawało się, że pozostało im rozpocząć ostatnią ceremonię, poprzedzającą połączenie trzech symboli. Na polecenie Esquiveza wszyscy wstali i podali sobie dłonie, tworząc koło, on zaś rozpoczął rytuał. Złota komnata była zbyt mała, żeby mogło do niej wejść więcej niż dwie osoby. Guillaume zszedł na parter po drabinę, dzięki której można było dosięgnąć klapy. Gdy oparł ją o ścianę, mistrz Esquivez wszedł po niej, by za chwilę zniknąć obecnym z oczu.

Znał mechanizm otwierający ukrytą komnatę – kamień ukrywający wejście osadzony był na osi pozwalającej mu się obracać, zostawiając dość miejsca, żeby sięgnąć ręką do najtajniejszej z czterech komnat Vera Cruz. Na pierwszy rzut oka nie widać było żadnej różnicy między nim a pozostałymi kamieniami, z których zbudowano ścianę. Nie było na nim żadnego wcięcia, zagłębienia czy znaku. Żeby go poruszyć, trzeba było popchnąć inny kamień, rozmiarów oliwki, który znajdował się w poprzedniej sali i uruchamiał cały mechanizm. Niewielu z obecnych wiedziało, jak działa.

Gastón de Esquivez złapał mały kamień i przekręcił go o ćwierć obrotu w prawo. Dał się słyszeć cichy trzask. System został odblokowany. Wszedł po ostatnich dwóch kamiennych stopniach i położył się w wyższej komorze. Po jego prawej stronie, na wysokości brzucha, znajdował się drugi kamień, który musiał popchnąć. Zrobiwszy to, otworzył małą wnękę o wymiarach dwa na trzy łokcie, w której znajdowały się rękopis Jeremiasza i szkatułka z bransoletą Mojżesza. Otworzył tę ostatnią i schował do niej medalion. Przypominał sobie przażenie w oczach kataru, kiedy nóż przeszywał jego szyję.

Poprosił Guillaume'a o relikwiarz z *lignum crucis*. Ten wszedł za nim po drabinie i czekał w przyległej sali, żeby mu go podać, gdyż nie mógł nieść go ze sobą ze względu na jego rozmiary. Nauczyciel, nie bez pewnych trudności, włożył go do wnęki i

przekręcił ponownie kamień, żeby zamknąć dostęp. Opuścił komorę i umieścił mały kamień w poprzedniej pozycji. Wreszcie zszedł po drabinie do komnaty, myśląc o tym, że po raz pierwszy trzy relikwie znalazły się w jednym miejscu.

– Drodzy bracia, zaczęło się odliczanie. Symbole każdego z trzech przymierzy zostały połączone i znajdują się w tajnej komorze. Zmówmy teraz modlitwę, prosząc Boga, żeby proroctwo zaczęło działać.

– O Jahwe, Ty, który jesteś wszystkim i zechciałeś zawrzeć z człowiekiem trzy wielkie przymierza: z Abrahamem, z Mojżeszem i z Jezusem, zechciej teraz, gdy ich trzy symbole połączyły się w najświętszym ze świętych, rozpocząć czas, w którym na zawsze zapanuje Twoje światło nad światem cieni i ciemności. Niech przepadną wszyscy synowie ciemności, którzy występowali przeciw Twojej woli i niech triumfują na ziemi synowie światła, na zawsze i na wieczność!

Wszyscy obecni, wrzuceni doniosłością chwili, obejmowali się, intonując hymny Salomona. Esquívez patrzył na nich, przepełniony radością, dziękując Jahwe za przywilej bycia inicjatorem potrójnego przymierza i wybranym do rozpoczęcia wojny z synami ciemności.

Mistrz Esquívez poradził wszystkim, żeby udali się do majątku w Zamarramali, żeby odpocząć przed jutrznią. Przy okazji poprzednich spotkań zawsze się tam zatrzymywali, żeby odpocząć przez kilka godzin, zanim wyruszą w drogę. Ich obecność dziwiła innych zakonników, którzy nie zadawali jednak żadnych pytań, związani obowiązkiem dyskrecji i posłuszeństwa wobec komandora.

Wspięli się po wzniesieniu w stronę Zamarramali, aż do domów będących częścią posiadłości templariuszy. Natychmiast położyli się do łóżek, żeby odpocząć przed czekającym ich dniem.

– Bracia! Drugie wezwanie na jutrznię!

Poważny ton głosu zakłócił spokój śpiącego Charles'a du Li-ponta, który dzielił komnatę z komandorem Esquivezem. Odwrócił się do niego, żeby sprawdzić, czy się obudził, ale jego łóżko było puste. Podniósł się i otworzył drewniane okiennice, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda. Było jeszcze ciemno. Musieli przenieść jutrznię do czasu, aż wszędzie słońce. Zgodnie z przepowiednią tego pierwszego dnia powinno jeszcze wzejść, najwyraźniej jednak musiało wydarzyć się coś, co sprawiło, że tak się nie stało.

Charles udał się do kaplicy. Modły prowadził komandor. Wśród mieszkańców majątku było dziesięciu członków wspólnoty. Skończywszy, opuścili kaplicę i przeszli do refektarza, żeby zjeść śniadanie. Właśnie dniało i po niebie nie płynęła ani jedna chmurka. Nie było się czym martwić. Przed nimi cały dzień!

W południe esseńczycy zaczęli się niepokoić, gdyż nie tylko nie ukazał się znak, na który czekali, ale dzień wydawał się pogodniejszy niż poprzednie. Gastón de Esquívez starał się ich uspokoić, ale na razie nic nie wskazywało na zmianę sytuacji.

W południe zaczęło się chmurzyć. Nikt nie wiedział dokładnie, na co czekają, ale przypuszczali, że może chodzić o zaćmienie słońca lub inne dziwne zjawisko. A jednak popołudnie przebiegało spokojnie.

Wreszcie zapadła noc, a wraz z nią zgasły nadzieje na spełnienie się przepowiedni. Coś się nie udało! Po oktawie zebrali się ponownie na drugim piętrze edykułu Vera Cruz.

– Bracia, tej nocy nie będę prosił was o ciszę, gdyż milczenie zaniepokojeni – zaczął Esquívez. – Przez cały dzień nie wydarzyło się nic i rozumiem wasz zawód, ale nie możemy pozwolić umrzeć nadziei. Czegoś musiało zabraknąć!

– Nauczycielu, jesteś pewien, że medalion Izaaka jest prawdziwy? Nie oszukano was? – zapytał Neil Ballitsburg.

– Jestem pewien, Neilu! Sam usłyszałem z ust jego właściciela, gdzie i jak się pojawił, i nie mam żadnych wątpliwości. Nie sądzę, żeby chodziło o święte przedmioty, bo autentyczność

bransolety również jest niepodważalna. Atareche dostał ją od esseńczyków. Bali się, że tracą ją na skutek częstych ataków i najazdów Egipcjan i Seleukidów. Nasi esseńscy bracia ukrywali bransoletę od wieków, żeby któregoś dnia móc jej użyć do wypełnienia przepowiedni. Jest jeszcze fragment krzyża. On jeden budzi pewne wątpliwości. Chociaż o jego autentyczności zaświadcza dokument nadania podpisany przez samego papieża Honoriusza Trzeciego, wszyscy wiecie, że Krzyż Święty przeszedł przez wiele rąk.

– W trzysta trzydziestym roku – wtrącił Nicola – znalazła go w Jerozolimie Helena, matka cesarza Konstantyna. – Nicola znał dobrze historię Krzyża Świętego i miał najwięcej wątpliwości, czy jest autentyczny. – W siódmym wieku zagarnął go Pers Cosroes i zabrał do swojego pałacu. Wkrótce potem odzyskał go cesarz Herakliusz, który zwrócił go Jerozolimie, co zostało uwiecznione na fresku zdobiącym jedną z absyd tej świątyni. Ale na tym nie kończy się jego historia. W czasie krucjat niesiono go w niezliczonych bitwach, w całości lub w częściach, jako duchowe wsparcie dla Franków, pewnych, że pomoże pokonać muzułmanów. Po przejściu przez tyle rąk mógł się łatwo zgubić lub zostać uszkodzony.

– Może masz rację – przyznał Esquívez. – Ale chociaż także mam wątpliwości, wiemy wszyscy o staraniach papieża Innocentego mających na celu odzyskanie go. Nie wydaje mi się logiczne myśleć, że jest fałszywy, skoro ma na nas taki wpływ. Pamiętajcie, że wykonaliśmy kopię, żeby uniknąć jego utraty. Obawialiśmy się, że będą chcieli go zabrać, nie pytając nas o zgodę... Rozumiecie, co mam na myśli! – Podniósł się z ławki i zaczął spacerować, myśląc na głos: – Wątpliwości dotyczące Krzyża ostatecznie mnie opuściły. Chociaż nadal zastanawiam się, do czego potrzebuje go Innocenty.

– Za pozwoleniem, skoro wspomnieliście o papieżu Innocentym, chciałbym opowiedzieć wspólnocie o czymś, co może okazać się ważne dla naszej sprawy. – Wszyscy skupili uwagę na bracie Guillaume. – Niedawno w mojej komandorii w Chartres,

dzięki świadectwu naszego brata z Palestyny o imieniu Izmael, poznałem dziwną historię. Zapewnił mnie, że jego brat, niejaki Izaak Ibsaal, widział kilka tygodni temu papieża Innocentego Czwartego wraz z jego sekretarzem, przebywającego incognito w Konstantynopolu. Izaak usłyszał, jak rozmawiali o jakimś starym przedmiocie, którego szukali, i postanowił za nimi pójść. Zaokrętowali się na galerze, która zawiozła ich do Efezu. Izaak popłynął z nimi i śledził aż do miejsca zwanego Meryemana, czyli „dom Marii”, które okazało się celem ich podróży. Nie wiedział, co wydarzyło się wewnątrz domu, gdyż ukrył się, żeby go nie zauważyli. Gdy z niego wyszli, wywnioskował po radości, jaką okazywali, że papież znalazł to, czego szukał. Wróciwszy do Efezu, wykorzystał pierwszą nadarzącą się okazję, żeby odebrać papieżowi kolczyk (mówią, że należał do samej Matki Boskiej), który ten właśnie odnalazł. Obecnie znajduje się w rękach tego Izaaka, w Konstantynopolu. Cóż, to wszystko. Uważałem, że powinniście o tym wiedzieć!

– To zaskakujące i bardzo ciekawe, bracie Guillaume – odpowiedział Esquívez – Dlaczego nie wspomniałeś o tym wcześniej? Dlaczego nasi bracia nie powiedzieli nam, że jeden z nich szukał tego klejnotu? – Irytowała go myśl, że kiedy sądził, iż udało im się zebrać wszystkie przedmioty, jakich potrzebowali, mogły pojawić się nowe relikwie. – A jednak teraz ukrywa się przede mną fakt istnienia tego kolczyka! Żądam, żeby Izaak przybył tu razem z kolczykiem i udzielił nam wyjaśnień!

Opowieść Guillaume'a wzbudziła ogólne niezadowolenie. Czy zgodnie z zapewnieniami Esquíveza posiadają już wszystkie potrzebne relikwie, czy muszą zacząć od początku? Kiedy mistrz uznał, że ich niepowodzenie zależy od czynników zewnętrznych i że prawdopodobnie przepowiednia się nie spełniła, gdyż potrzeba było dwunastu, a nie jedenastu członków do przeprowadzenia ceremonii, wszyscy wyczuli, jak wątle były to argumenty i mieli wrażenie, że tracą kontrolę nad sprawą.

Esquívez, którego rolę przywódcy uznano wcześniej bez sprzeciwu, widział, że bracia mają coraz więcej wątpliwości. Uznał, że lepiej będzie poczekać na więcej informacji na temat kolczyka. Ponieważ nie mógł pozwolić, by jego autorytet został nadszarpnięty, postanowił skupić się na odzyskaniu zaufania braci i zakończyć zebranie.

– Drodzy bracia – powiedział – wygramy tę wojnę. Gdy będziemy mieli kolczyk, spotkamy się ponownie i zapewniam was, że osiągniemy cel, do którego dążymy od wieków. Synowie światła, rozświetlajcie wasze drogi nadzieją i nie poddawajcie się wątpliwościom, bo nasz czas nadszedł!

12.

Madryt, Puerta del Sol, rok 2002

Do drugiej po południu, godziny wymiany z porywaczami, brakowało dziesięciu minut.

Z furgonetki dostawczej sieci spożywczej „Rodilla”, służącej za kamuflaż dla specjalnej policyjnej stacji monitorowania, inspektor Fraga porozumiewał się ze swoimi ludźmi rozstawionymi na placu Puerta del Sol, kończąc przygotowania do akcji. Każdy zakątek placu widać było na jednym z dwunastu monitorów, które odbierały sygnał z różnych kamer miejskich zainstalowanych na samym placu i pobliskich ulicach. Operacja „Legowisko” została rozpoczęta.

Fernando Luengo zostawił samochód na parkingu przy ulicy Arenal i zmierzał właśnie na najgorsze ze spotkań, jakiemu musiał sprostać w całym swoim życiu. Czuł, jakby wszystko, co go otacza, stanęło w miejscu. Najwyraźniej jego uczucia nie mogły w żaden sposób wpłynąć na zgiełk panujący zwykle na placu. Sklepy nadal sprzedawały towary, bary serwowały kawę i piwo, cukiernia na rogu uwodziła czarodziejskimi zapachami, a autobusy wypluwały i połykały ludzi zajętych banalną krzątaniną.

Czuł się w tym tłumie samotny. Był przytłoczony niepokojem, jaki czuje ktoś, kto wsiada na statek w czasie sztormu świadom, że morze będzie wzburzone. Niepewność co do losu Móniki wywołała w nim dręczące poczucie winy, połączone z udręką

związaną z brakiem kontroli nad sytuacją. Poprzedniej nocy Paula zdecydowała się przyjechać do Madrytu, żeby być przy nim, widząc, jak jest załamany. Chciała go uspokoić i towarzyszyć mu w tych trudnych chwilach, jednak jego nastrój udzielił jej się do tego stopnia, że nie odzyskała spokoju, dopóki nie wzięła środków uspokajających i trochę się nie przespaała. Fernando położył się po czwartej nad ranem, gdy był już pewien, że jego siostra głęboko śpi.

Zanim zasnął, rozmyślał nad okolicznościami, które doprowadziły ich aż do tego miejsca. Czerpanie radości z czegoś, co wydawało się ekscytującą przygodą, na pierwszy rzut oka pozbawioną ryzyka, pełną zaskakujących i tajemniczych odkryć i zadziwiających historycznych powiązań, nagle zamieniło się w historię, w której nic nie było pewne.

Zadzwoiła do niego bardzo przejęta Lucía. Również uważała, że nic nie wskazywało na taki zwrot akcji i że od tej pory wszystko się zmieni.

To ona zadzwoniła na policję, żeby poinformować o porwaniu, podając wszystkie szczegóły dotyczące miejsca, w którym miało się dokonać przekazanie okupu. Nie zawiadomiła o tym Fernanda, ponieważ uważał, że sam sobie poradzi. Uznała, że nie powinna zostawiać go samego, nawet jeśli miał się za to na nią obrazić.

Zadzwoiła do jedyne go policjanta, jakiego znała, inspektora Fragi, którego wizytówkę nadal miała w portfelu. Ten obiecał, że nie zrobi niczego, co mogłoby komukolwiek zagrozić. Zapewnił, że nie będą interweniowali, dopóki nie dojdzie do wymiany i nie zyskają absolutnej pewności, że Mónica i Fernando są bezpieczni.

Kiedy Fernando dotarł do pomnika Niedźwiedzia był zdenerwowany i marzył o tym, by jak najszybciej zobaczyć Monicę. Starał się ją wypatrzeć w tłumie, który o tej porze zalewał plac.

Dwóch policjantów w cywilu stało niecałe dziesięć kroków od niego, nie tracąc go z oczu ani na chwilę. Na każdej z prowadzących na plac ulic czekało po dwóch ludzi, gotowych do odcięcia drogi porywaczom, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Operacja ruszyła. Królik dotarł do legowiska. Ma ciemny garnitur i niebieski krawat. Stoi obok pomnika.

– Zlokalizowany. Odbiór.

– Zlokalizowany również. Odbiór – potwierdził drugi policjant.

– Nie stracie go z oczu, ani lisów, które pojawią się przy legowisku.

Do Fernanda podeszła Cyganka sprzedająca losy na loterię.

– Panie słodki! Chcesz pan, żebym mu sprzedała szczęście? Mam numer, co wygra w tę sobotę!

Kobieta szarpała go za marynarkę, starając się zwrócić jego uwagę, chociaż Fernando w ogóle nie reagował. Rozglądał się, szukając ukochanej Móniki.

– Podeszła do niego kobieta z loterią, szefie! Odsunąć ją?

– Nie wkraczajcie bez rozkazu! To tylko Cyganka.

Kobieta nadal stała obok Fernanda, próbując zwrócić na siebie jego uwagę.

– Panie słodki, niech mnie pan posłucha, mam panu coś przekazać! Kup pan los, żeby nie wyglądało podejrzanie. – Fernando wyjął z kieszeni banknot i wziął los. – Jacyś ludzie kazali mi powiedzieć, że ma pan iść do działu promocji w Corte Inglés*, tam się pan spyta o adidas. – Pociągnęła go za marynarkę, żeby móc mówić mu do ucha. – Kawalerze, nie wiem, co wy planujecie i nie chcę się pchać, gdzie mnie nie proszą, ale coś mi się zdaje, że nie powinien się pan zadawać z takimi ludźmi. Z pana jest prawdziwy panicz! Niech pan uważa na te elementy. To źli ludzie! Ja to panu mówię, jak się jest cały dzień na ulicy, to się widzi dużo rzeczy.

* Corte Inglés to hiszpańska sieć domów towarowych.

– Dziękuję, postaram się zastosować do pani rady!

Fernando zaczął iść szybko w stronę Corte Inglés.

– Uwaga wszyscy, królik oddala się od legowiska. Carlos, Paco, idźcie za nim.

Inspektor nie widział już Fernanda na monitorze, gdyż na ulicy, w którą wszedł, nie było tyłu kamer.

O tej porze duże centra handlowe pełne były ludzi korzystających z ostatnich dni poświątecznych obniżek. W drzwiach sklepu wisiał ogłaszający je plakat, ale Fernando nawet go nie zauważył, przechodząc przez nie w biegu, sprawdzwszy położenie działu promocji, który znajdował się w podziemiu. W niewielkiej odległości szło za nim dwóch policjantów.

Fernando znalazł windę, która właśnie się zamykała. Zaczął biec, żeby zdążyć do niej wsiąść. Dwaj policjanci przyspieszyli kroku, ale drzwi windy zamknęły im się przed nosem.

– Szefie, zgubiliśmy królika! Właśnie wsiadł do windy i nie wiemy, na jakim piętrze wysiada.

– Cholerni partacze! Jak mogliście pozwolić mu uciec! – Inspektor Fraga poczerwieniał z wściekłości. – Wszystkie jednostki do drzwi Corte Inglés! Pilnować wyjść i niech pięciu wejdzie do środka szukać królika. A wy dwaj podzielcie między siebie podziemne piętra!

Inspektor wyskoczył z furgonetki i ruszył w kierunku sklepu. Tymczasem Fernando wysiadł z windy na półpiętrze i natychmiast zobaczył stoisko z ubraniami sportowymi. Gdy tylko doszedł do przejścia między dwoma gablotami z tenisówkami, drogę zastąpiło mu dwóch mężczyzn. Jeden z nich, Palestyńczyk, który zlecił mu wykonanie srebrnego sztyletu, powiedział:

– Niedobrze, panie Luengo! Mówiliśmy, żeby pan nie dzwonił na policję, ale pan najwyraźniej nas nie posłuchał. Właśnie skomplikował pan nam wszystkim życie. Obawiam się, że wszystko pan zepsuł.

– Jak to? Do nikogo nie dzwoniłem... Przysięgam! – wyjąkał Fernando.

– Niech się pan przestanie tłumaczyć i da mi bransoletę. – Mężczyzna najwyraźniej nie miał ochoty na zarty.

- A dziewczyna?
 - Zawieźliśmy ją w bezpieczne miejsce. Na placu było za dużo policji, nie chcieliśmy ryzykować. Niech mi pan da bransoletę, a obiecuję, że zobaczy pan swoją dziewczynę całą i zdrową!
 - Nie ma mowy. Najpierw muszę ją zobaczyć!
 - Jak pan chce. Jak nie można po dobroci...
- Fernando poczuł ostrze noża kłujące go w bok.
- Jeśli pan krzyknie, wbiję go panu – zagroził drugi nieznanomy.

Wzięli go pod ramiona i zaprowadzili do jednej z przymierzalni. Przerażony Fernando zaczął krzyczeć. Grubszy z porywaczy uderzył go mocno w głowę ręką pistoletu. Fernando stracił przytomność.

- Panie Luengo... panie Luengo, proszę się obudzić!

Fernando powoli otwierał oczy. Czuł silny ból głowy. Leżał na podłodze przymierzalni, otoczony trzema mężczyznami i kilkoma przestraszonymi sprzedawczyniami. Przy drzwiach utworzył się krąg próbujących zajrzeć do środka gapiów. Twarz jednego z mężczyzn była mu znajoma.

- Proszę spróbować się podnieść. Powoli, dostał pan w głowę. Jestem inspektor Fraga. Spotkaliśmy się w Segowii, w warsztacie pana siostry.

Fernando odruchowo włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, szukając bransolety. Zabrali ją!

- Złapali tych, którzy mi to zrobili?
- Przykro mi, uciekli. Tutaj jest za dużo ludzi, było nam trudno odszukać nawet pana. Znalazła pana jedna z klientek, kiedy chciała skorzystać z przymierzalni.

Fernando był oszłomiony, ale próbował zrozumieć, skąd wziął się ten policjant.

- A co pan tu robi, inspektorze?
- To proste, próbuję pana chronić i złapać porywaczy, jak każdy szanujący się policjant.

- Skąd pan wiedział, że chodzi o porwanie?
- Zadzwoiła do nas pana przyjaciółka, Lucía Herrera. Proszę mi wierzyć, dołożyliśmy wszelkich starań, żeby ich zatrzymać, ale wszystko się skomplikowało, kiedy wszedł pan do sklepu.

Fernando był wściekły na Lucię. Policjant próbował go przekonać, że postąpiła słusznie, ale dla Fernanda rezultat był taki, że Mónica nadal jest w rękach porywaczy, świadomych, że policja wiedziała o wszystkim, a to mogło tylko pogorszyć i tak już trudną sytuację.

Zgodzili się odwiedzić go do domu, najpierw jednak musieli pojechać do szpitala, żeby obejrzał go lekarz.

Wyszli ze sklepu, wywołując poruszenie wśród licznych ciekawskich zebranych koło przymierzalni. Fernando trzymał w ręku zakrwawioną chustkę, którą przyciskał do otwartej rany.

Po drodze do domu spisano jego zeznania. Gdy dotarli na miejsce, podszedł do niego zaniepokojony portier, pytając, co się stało i informując go, że przed godziną przyjechali rodzice Móniki.

Jadąc windą, Fernando zastanawiał się, jak im wytłumaczy, co się stało, jak ich uspokoi. Bał się o życie dziewczyny. Wyobrażał sobie z przerażeniem scenę, która zaraz będzie miała miejsce w jego domu. Poznanie jej rodziców w takiej sytuacji i w towarzystwie policji nie było najlepszym początkiem znajomości.

Był przytłoczony porażką, zmęczony i zły na Lucię.

Stara winda wjechała na najwyższe piętro przy akompaniamencie zgrzytów i trzasków. Jeden z policjantów wpatrywał się w nieokreślony punkt między przyciskami trzeciego i czwartego piętra, a drugi zabawiał się interpretacją małego rysunku, który ktoś wykonał na jednej z drewnianych ścian, zapewne przy użyciu klucza. Fernando był tak zdesperowany, że myślał tylko o tym, żeby zbiec po schodach na dół, gdy tylko zostawią go samego. Wolał aresztowanie od stawienia czoła napięciu, które królowało teraz w jego domu.

Kiedy winda zatrzymała się z suchym trzaskiem, zobaczyli, że drzwi mieszkania Fernanda są uchylone. Najpewniej Manolo zadzwonił z portierni. Nie było ucieczki. Fernando przełknął ślinę i wszedł do przedpokoju w towarzystwie inspektora Fragi i jego dwóch pomocników. Jeden z nich był tym samym młodym policjantem, którego poznali z warsztacie Pauli. W drzwiach salonu stanęli rodzice Móniki, którzy właśnie przyjechali z Pampeluny. Obok nich pojawiła się Paula i to ona odezwała się pierwsza:

– To straszne, Fer, kiedy zadzwoniłeś, nie mogliśmy w to uwierzyć! Pan Gabriel García i pani Maria, rodzice Móniki.

Fernando podszedł najpierw do matki, która objęła go i natychmiast zaczęła płakać. Fernando z trudem powstrzymywał się od zrobienia tego samego. Uścisnął mocno rękę ojca, przyglądając się jego twarzy. Mónica była bardziej podobna do niego niż do matki.

Paula objęła go czule, dotykając jego rany przykrytej opatrunkiem.

– Bardzo cię boli?

Fernando zbagatelizował sprawę i skorzystał z okazji, żeby zaprosić wszystkich do salonu.

– Co macie zamiar zrobić, żeby uwolnić moją córkę? – szlochała matka Móniki, zwracając się do policjantów.

– Dzięki informacjom, które podał nam Fernando, wiemy, że porywacze są obcokrajowcami, a jeden z nich to Palestyńczyk – odparł inspektor Fraga.

– Paulo, rozpoznałem go natychmiast! – wtrącił Fernando. – To ten sam, który w zeszłym miesiącu zamówił u nas srebrny sztylet.

Inspektor Fraga znów zabrał głos i przypisał porwanie tym samym ludziom, którzy włamali się do warsztatu Pauli. Wewnątrz znaleźli odciski palców jednego ze sprawców i zidentyfikowali go przy pomocy Interpolu. Chodziło o Żydówkę, Raquel Nahoim, profesor historii starożytnej na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, co wydawało się dziwne. Nie wiedzieli jeszcze niczego o pozostałych przestępcach, ale podejrzewali, że

musiał być wśród nich Hiszpan.

Przerwał, żeby przyjrzeć się twarzom obecnych, po czym kontynuował, informując, że wydano już rozkaz poszukiwania i zatrzymania kobiety i Palestyńczyka, mimo że dysponowali tylko jego portretem pamięciowym sporządzonym na podstawie zeznań Fernanda.

– Jeśli chodzi o państwa córkę – spojrział na matkę Móniki – myślę, że fakt przejścia przez nich bransolety to dobra wiadomość. Jestem pewien, że próbowali osiągnąć ten cel już w warsztacie złotniczym. Fraga wbił spojrzenie w twarze Fernanda i Pauli, nie ukrywając dezaprobaty, że nie poinformowali go w swoim czasie o istnieniu bransolety.

– A moja córka? Co się teraz stanie z moją córką? – dopytywała się pani Maria.

Policjant wyjaśnił, że nie dysponują zbyt wieloma informacjami, gdyż od porwania upłynęło mało czasu. Zapewnił, że podjęto konieczne kroki, żeby jak najszybciej rozwiązać sprawę. O wszystkim poinformowano policję w Madrycie oraz państwowe służby bezpieczeństwa, uruchomiono też specjalne procedury, mające na celu znalezienie porywaczy, z postawieniem zapór przy wszystkich wyjazdach z Madrytu. Chociaż Fraga zwykle działał na terenie Segowii, osobiście zajął się tą sprawą, współpracując z kolegami z Madrytu. Zapewniał, że porywacze zwykli uwalniać swoich więźniów, kiedy dostaną już okup, chociaż prawdopodobnie w tym wypadku zaczekają, aż zmniejszy się presja ze strony policji.

– Czy możemy jakoś pomóc? – zapytał Fernando.

– W tej chwili nie. Jeśli przypomni pan sobie jakiś szczegół na temat mężczyzny, który groził panu sztyletem, powinien pan nam o tym powiedzieć. Jak już mówiłem, w takich wypadkach nie pozostaje niestety nic innego, jak czekać, aż...

– Właśnie sobie przypomniałem – przerwał mu Fernando. – Zostawił mi w sklepie swoją wizytówkę, z tekstem, który chciał wygrawerować na sztylocie. Może sana niej odciski palców?

– Świetnie! Właśnie tego potrzebujemy. – Inspektor włączył krótkofalówkę i kazał komuś natychmiast jechać do sklepu jubilerskiego Luengo.

– Chyba powinienem pojechać z wami. Nie pamiętam, gdzie ją schowałem, jeśli to ja ją miałem. Mogła to być Mónica, ale teraz...

Matka Móniki na dźwięk imienia córki znów zaczęła płakać.

Policjanci wyszli, rodzice Móniki pojechali do mieszkania dziewczyny.

Po dwóch godzinach Fernando był z powrotem, tym razem sam. Znalazł wizytówkę w archiwum i oddał ją do policyjnego laboratorium. Był wściekły.

– Paulo, wiedziałaś, że Lucía zadzwoniła wczoraj na policję, z nikim tego nie konsultując? – Opadł na fotel, wyczerpany dwudziestoczterogodzinnym napięciem.

– Nie miałam pojęcia. Skąd o tym wiesz? Rozmawiałaś z nią?

Fernando powtórzył jej, co powiedział mu inspektor Fraga i że zirytował się tak bardzo, że nie zadzwonił jeszcze do Segowii, żeby opowiedzieć Lucii, co się wydarzyło. Jej postępek skomplikował tylko sytuację, która i tak była już wystarczająco trudna. Mónica nadal znajdowała się w rękach porywaczy, stracili bransoletę, która była jedyną szansą na dokonanie wymiany, a przestępcy wiedzieli, że policja została poinformowana o wszystkim, przez co stali się jeszcze bardziej bezwzględni.

Paula przyznała mu rację, ale była zdania, iż utrzymywanie Lucii w niewiedzy byłoby niesprawiedliwe. Starła się ją wytłumaczyć, mówiąc że miała dobre intencje, i że Fernando nie powinien winić jej za to, co się wydarzyło, bo przecież jedynymi winnymi są ludzie, którzy przetrzymują Monicę.

Nie pozwoliła mu do niej zadzwonić, widząc, że nie udało jej się go przekonać i nadal zamierza oskarżać ją o spowodowanie

nieszczęścia. zaproponowała mu, że zrobi to sama, podając jako pretekst jego zły stan psychiczny.

– Ja z nią porozmawiam. Ty napij się ziółek, to powinno cię uspokoić.

Kiedy Lucía podniosła słuchawkę telefonu w swoim gabinecie i zobaczyła na wyświetlaczu numer Fernanda, była bliska zawału. Paula opowiedziała jej, co się wydarzyło, a także o złości Fernanda wywołanej jej telefonem na policję. Próbowała wyjaśnić Pauli, dlaczego mu o tym nie powiedziała: nie chciała go denerwować i miała na względzie jego bezpieczeństwo. Zanim skończyły rozmowę, zapytała, jakie kroki zamierza podjąć policja i poprosiła, żeby Paula wyjaśniła jej pewną sprawę.

– Czy Fernando opowiedział im, co odkryliśmy na temat bransolety?

– Z tego, co mi mówił, nie. Powiedział im tylko, jak i kiedy trafiła w jego rękę.

– Przypuszczam, że Fernando będzie potrzebował trochę czasu, zanim przejdzie mu złość na mnie. Chciałabym cię prosić, żebyś informowała mnie o wszystkim i żebyś się ze mną spotkała, jeśli będziesz miała wolną chwilę. Wpadłam na trop związany z twoimi przodkami pochowanymi w Vera Cruz i chciałam poznać twoją opinię.

Paula znalazła Fernanda w kuchni, zajętego sączeniem wina z dużego kieliszka, które uznał najwyraźniej za lepsze lekarstwo niż zioła. Jej wytłumaczenie zachowania Lucii wcale go nie przekonało, chociaż wyglądał na nieco uspokojonego. Wybuchnął jednak znowu, kiedy Paula wspomniała o zainteresowaniu Lucii informacjami, jakich udzielił policji na temat bransolety.

– Paulo, nie obchodzi mnie ta bransoleta! Interesuje mnie tylko życie Móniki. – Uderzył pięścią w stół. Kieliszek z winem zadrżał.

– Tak jak wszystkich, Fer! Ją również. Przypuszczam, że ze wszystkich rzeczy, o których musiała myśleć, kiedy czekała na wiadomości od nas, ta była najważniejsza.

– Nie zauważyłem. Doprowadziła tylko do tego, że teraz mają i Mónicę, i bransoletę. I powiem ci jedno, jeśli zrobią Mónicę krzywdę, choćby niewielką, nigdy jej tego nie wybaczę! – krzyczał Fernando, energicznie gestykulując.

Paula popatrzyła na niego z niepokojem. Całą złość wyładował na Lucii i zdecydowanie przesadzał. Postanowiła jednak powstrzymać się od komentarza. To nie był odpowiedni moment na przywoływanie go do porządku.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Paula przypomniała sobie, że kiedy byli dziećmi, znali się tak dobrze, że mogła przewidzieć każdą jego reakcję, po prostu patrząc mu w oczy. Odkąd dorosli i zamieszkali daleko od siebie, rozumiała go coraz mniej, zwłaszcza w kwestii związków z kobietami. W niecały tydzień prawie zerwał rozwijający się związek z Mónicą i spędził weekend w towarzystwie Lucii – Bóg raczy wiedzieć, do czego między nimi doszło – która teraz okazała się bohaterką jego najgorszego koszmaru.

Przyjrzała mu się uważnie. Zmarszczone czoło, spojrzenie pełne goryczy i niepokój wyrażający się w nerwowych ruchach założonych jedna na drugą nóg. Wydał jej się bardzo dziecinny.

Wszyscy cierpieli, nie tylko on. Najwyraźniej nie nauczył się jeszcze, że nie należy przenosić swoich problemów i odpowiedzialności na innych.

Fernando dopił wino jednym haustem i spojrzał na Paulę z miną, która przypomniła jej, jak wyglądał jako dziecko, kiedy coś przeszkrobał.

– Fernando, muszę ci to powiedzieć, czy jesteś w stanie zobaczyć to sam?

– Myślę, że znów wykazałem się brakiem rozsądku i nie traktuję Lucii sprawiedliwie. Pewnie to masz na myśli, prawda?

– Owszem, kolego. Jak sam mogłeś ostatnio stwierdzić, twoje relacje z kobietami należą raczej do sportów ekstremalnych, w których nie kierujesz się żadną logiką. Dajesz nadzieję jednej, a po kilku dniach wylewasz jej na głowę kubel zimnej wody. Teraz jesteś oburzony i prawie nienawidzisz drugiej, z którą jeszcze dwa dni temu tarzałeś się w pościeli i za którą biegałeś jak dureń. Prawda?

– Nie. Do niczego między nami nie doszło. Raz w życiu się pomyliłaś.

– Proszę, wygląda na to, że mój młodszy braciszek dorośleje. Najwyższy czas! – Pogłaskała go po rękę macierzyńskim gestem. – Cieszę się, że obrałeś dobrą drogę, chociaż szósty zmysł mówi mi, że jeszcze nie jesteś pewny, która z tych dwóch kobiet jest dla ciebie odpowiednia.

Zadzwoił telefon.

Fernando szybko podniósł słuchawkę.

– Słucham?

– Fernando? Tu Mónica. Proszę, przyjedź po mnie!

Nie upłynęło pięć minut, a Fernando i Paula włączali się do ruchu w centrum Madrytu, jadąc na plac Castilla, skąd dzwoniła Mónica. Rozmawiali z nią tylko sekundę, ale jej apatyczny głos zdradzał skrajne wyczerpanie. Fernando pragnął zobaczyć kobietę, którą tak dobrze znał, pełną słodyczy, młodzieńczej energii.

Jednocześnie rosła w nim obawa przed tym, co ujrzy. Znaleźli Monicę po piętnastu minutach, zagubioną, samotną w tłumie przechodniów. Oparta o słup ze światłami, czekała cierpliwie, aż świat zacznie znów kręcić się tak jak dotąd, bez niespodziewanych przystanków.

Fernando zatrzymał samochód i ruszył biegiem, żeby ją objąć i uspokoić. Chciał ją uściskać, żeby wiedziała, że nie jest sama, żeby wiedziała, że jest częścią jego życia. Głaskał ją po policzkach, ocierał łzy i odgarniał włosy z twarzy, nie potrafiąc wyrazić

słowami, jak jest szczęśliwy, mogąc znów ją objąć. Mónica, szlochając, powtarzała wciąż, jak bardzo się bała. Wtuliła się w jego ramiona, nareszcie czując się bezpiecznie.

W drodze do domu, mimo że była bliska omdlenia, starała się opowiedzieć, co się wydarzyło. W niedzielę po południu, kiedy wracała do domu ze spotkania z przyjaciółkami, zaatakowało ją dwóch mężczyzn. Podali jej środek nasenny, ale pamięta, że zanim straciła przytomność, znalazła się w samochodzie prowadzonym przez jakąś kobietę. Ocknęła się bez zegarka, w pokoju z brudną łazienką.

– Jak cię traktowali? Grozili ci? Widziałaś ich? Mówili o bransolecie? – dopytywał się Fernando.

– Tak. Wspomnieli o niej na końcu. Było ich czworo i rozmawiali w dziwnym języku. Uważali, żeby nie wymieniać imion. Wiem tylko, że dzwonili do jakiegoś Philippe'a, dwa lub trzy razy, bo rozmawiali z nim po francusku. Mówili mu, że wkrótce odzyskają bransoletę, żeby uczcić wielki dzień czy coś w tym stylu.

– Pewnie najadłaś się strachu, co? – Paula głaskała ją po ramieniu.

– Strach to mało powiedziane. W ciągu tych godzin wyobrażałam sobie, co mogą mi zrobić. – Jej głos słabł, jakby coś ścisnęło jej krtań. Fernando nie mógł patrzeć na jej strach. Mónica chciała jednak mówić. – To była tylko jedna noc i jeden dzień, ale byłam pewna, że umrę i zostanę pogrzebana. – Ukryła twarz w dłoniach. – Nie rozumiałam, czego ode mnie chcą. Najpierw myślałam, że się pomylili. Słyszałam, jak krzyczeli na siebie i nie rozumiałam, co się dzieje, dopóki nie podsłuchałam jednego z nich, jak rozmawiał przez telefon po francusku. Wtedy zrozumiałam, że chcą czegoś od ciebie, Fernando. Dziś rano zawieźli mnie na Puerta del Sol, myślałam, że chcą mnie wymienić na pieniądze lub bransoletę, ale nagle wróciliśmy do samochodu. Byli bardzo zdenerwowani. Znowu mnie uspiłi i znów obudziłam się w tamtym pokoju. Nie wiem, czy podróż zajęła nam godzinę, dwie czy dziesięć minut.

– Chyba nie myślałaś, że zostawimy cię na pastwę losu, nie płacąc okupu, prawda? – Fernando pogłaskał ją po rękę.

– Kiedy się ocknęłam, porywacze byli bardzo zadowoleni. Słyszałam, jak się śmiali i rozmawiali z ożywieniem. Nie rozumiałam, co się stało, ale domyśliłam się, że udało im się zdobyć to, czego szukali, chociaż ja nadal byłam zamknięta, co zbijało mnie z tropu.

– Zabrali bransoletę Mojżesza. Wygląda na to, że tylko ona ich interesowała – wyjaśnił Fernando. – Wiemy, że kobieta jest Żydówką i nazywa się Raquel Nahoim. Zidentyfikowali ją dzięki odciskom palców, jakie zostawiła w warsztacie Pauli. Dziś rano rozpoznałem innego porywacza, tego Palestyńczyka, który zamówił u nas srebrny sztylet. Wiesz, o kim mówię?

– Tak. Kto to jest?

– Byłem z policją w sklepie, żeby dać im wizytówkę, którą nam zostawił. Spróbuj znaleźć na niej jego odciski palców.

– Muszę teraz odpocząć.

Mónica znów wybuchła płaczem. Paula nie wiedziała, jak ją uspokoić. Szlochając, dziewczyna poprosiła, żeby zawieźli ją do mieszkania, w którym czekali jej rodzice.

Mónica, pod wpływem zmęczenia i środków uspokajających, jakie zaaplikowali jej rodzice, spała do późnego ranka następnego dnia.

Fernando dzwonił co godzinę, pytając o jej samopoczucie. Kiedy po południu Mónica odmawiała jedzenia i leżała w łóżku po ciemku, przeszywana dreszczami, Fernando zaczął się martwić. Postanowił pojechać po nią o dziesiątej wieczorem i zawieźć ją do szpitala.

Po wielu badaniach, które niczego nie wykazały, wylądowała na psychiatrii, gdzie rozpoznano u niej klasyczny stres pourazowy, będący konsekwencją niedawnych przeżyć.

Specjalista zalecił poddanie się psychoterapii, żeby nauczyć ją stawiania czoła wspomnieniom. Doradził również, żeby uważali

na wystąpienie innych zaburzeń, które zwykły towarzyszyć podobnym przypadkom, jak fobie, depresja, obsesje albo napady hysterii. Stosując się do rady lekarza, postanowili zająć Mónicę czymś, co lubi robić, dlatego też, po pierwszej serii wizyt u psychoterapeuty, rodzice zawieźli ją na kilka dni w Alpy.

Fernando wykorzystał wolne dni, żeby zadzwonić do Lorenza Ramíreza i opowiedzieć mu o porwaniu. Poinformował go również o utracie bransolety. Profesora jednak znacznie bardziej interesowało zdrowie Móniki niż bransoleta. Napomknął jednak, że od jakiegoś czasu czuł się obserwowany. Po spotkaniu w majątku Lucii zaczął podejrzewać, że obecnie istnieje jakaś eszeńska grupa, której interesy zbiegały się z ich badaniami i której członkowie mogli być sprawcami porwania. Wziąwszy pod uwagę zainteresowanie bransoletą ich przodków, ta hipoteza była całkiem prawdopodobna.

Fernando chciał towarzyszyć Mónice w czasie jej pierwszych wizyt u psychologa i wykorzystać jedyną możliwość, kiedy mógł ją zobaczyć.

Czy to z powodu lekarstw, czy pogorszenia stanu psychicznego, Mónica sprawiała wrażenie otępielejszej. Nie okazywała zainteresowania tym, co opowiadał jej o sklepie ani żadnym innym tematem, chociaż Fernando unikał jakiegokolwiek wzmianki o bransolecie. Nic nie wskazywało na to, że czuje coś do Fernanda, co sprawiało, że cierpiał podwójnie.

W południe pierwszej soboty po porwaniu do Fernanda zadzwonił inspektor Fraga, żeby poinformować go, że zidentyfikowali Palestyńczyka. Nazywał się Mohammed Benhaimé, urodzony w Jerychu i mieszkający w Hiszpanii od dziesięciu lat. Był przedsiębiorcą budowlanym inwestującym na Costa del Sol i w Kadyksie. Nienotowany ani w Hiszpanii, ani w swoim kraju, chociaż już wysłano za nim list gończy. Nie wiedzieli nic o pozostałych członkach grupy, ale dochodzenie nie zostało jeszcze

zamknięte. Policja przypuszczała, że ukrywają się w Madrycie lub w którejś z otaczających go prowincji.

Lucía dzwoniła do Fernanda co dwa dni, żeby dowiedzieć się o stan zdrowia Móniki. Po kilku tygodniach rozmów, zauważyła u niego zmianę. Nie miał już poczucia winy, choć zamierzał opiekować się Mónica. Zdała też sobie sprawę, że stosunki między nimi znacznie się ochłodziły. Chociaż Lucía martwiła się szczerze o Mónica i chociaż oznaczało to brak lojalności z jej strony, nie mogła zapomnieć o Fernandzie, zwłaszcza po tym, co wydarzyło się w jej majątku. Walcząc z lekkim poczuciem winy, widziała jasno, że najskuteczniejszym sposobem związania go ze sobą jest włączenie go w jej badania, a nie opowiadanie mu o ich rezultatach, jak to robiła do tej pory.

Otworzyła nowe kierunki badań związane z jego przodkami pochowanymi w Vera Cruz i postanowiła umówić się na obiad nie tylko z nim, ale również z Paulą, tak jak to wcześniej uzgodniły. Znając wpływ siostry na Fernanda, uważała, że powinna zyskać w niej sprzymierzeńca.

Po kilku dniach Lucía zadzwoniła do Fernanda pod pretekstem opowiedzenia mu o opóźnieniu rozpoczęcia prac w Vera Cruz z powodu problemów administracyjnych między władzami Kastylii i Leonu a ministerstwem. Poinformowano ją, że nie dostanie oficjalnego zezwolenia przed połową lipca. Próbując przyspieszyć sprawę, pojechała do Madrytu, żeby omówić wszystko osobiście. Korzystając z okazji, zaproponowała Pauli, żeby spotkali się we troje na obiedzie.

Fernando miał ochotę na to spotkanie – przeszła mu już złość na Lucię – i umówili się w japońskiej restauracji. Był pierwszy piątek kwietnia, prawie miesiąc od porwania. Przez ten czas nie widzieli się ani razu.

Spotkali się, kiedy parkowali samochody przed restauracją. Fernando przyjechał z Paulą. Weszli do holu udekorowanego w minimalistycznym stylu, gdzie kelner przyjął ich imponującym ukłonem, na który odpowiedzieli w nieco bardziej dyskretny

sposób. Lucía zapytała o stan zdrowia Móniki i Fernando opowiedział jej o ostatnich postępkach. Mimo że widać było pewną poprawę, osiągnęła etap nazywany wyparciem, w którym emocje, tak negatywne, jak pozytywne, stawały się dla niej zagrożeniem, co powodowało odrzucenie wszystkich uczuć. Jednym słowem – dramat. Lucía zauważyła, że Fernando marzy o zmianie tematu.

Weszli do małej salki oddzielonej od reszty pomieszczenia przesuwanymi drzwiami. Usiedli na rozłożonych na podłodze poduszkach, co wywołało głośne protesty Fernanda, będącego tradycjonalistą.

Obserwował Lucię, kiedy mówiła o zaletach japońskiej kuchni. Chociaż ostatnio starał się zbliżyć do Móniki i okazywać jej czułość, Lucía nie przestawała go fascynować. Przyjrzał się jej brązowym oczom, wąskim ustom, które wydawały mu się przez to jeszcze bardziej wymowne, smukłej i delikatnej szyi. Ona zauważyła z satysfakcją jego zainteresowanie i kiedy ich spojrzenia się spotkały, jej oczy dały mu do zrozumienia, że czuje to samo co on.

Paula wychwyciła krążące nad stołem wibracje. Wzięła kartę dań i schowała się za nią, czując się trochę nieswojo.

– Lucío, wybierz za nas troje i opowiedz nam o twoich odkryciach.

Lucía, zmuszona do porzucenia dyskretnych prób uwodzenia, zabrała się za wybieranie dań.

Zapisanie zamówienia zajęło kelnerowi całą wieczność. Wreszcie skończył i zostawił ich samych, zamykając za sobą drzwi.

– No dobrze, zanim przyniosą nam pierwsze danie, opowiem wam, nad czym teraz pracuję. Myślę, że wpadłam na coś, co ostatecznie wyjaśni, jaka była rola waszych przodków w całej tej przygodzie – zaczęła Lucía. – W zeszłym tygodniu w probostwie w Zamarramali znalazłam stary dokument, który na pewno was zainteresuje. Kiedy szukaliśmy jakiegoś wydarzenia mającego związek z relikwiarzem, znalazłam notkę mówiącą o wydatku z

tysiąc sześćset siedemdziesiątego, opiewającym na pięćdziesiąt reali wplaconych anonimowemu warsztatowi złotniczemu w Segowii. – Spojrzała na Paulę. Myślisz o tym, co ja?

Paula odczekała kilka minut, w czasie których podano im wino. Ona również znalazła dwa dni temu interesującą informację. Gdy kelner się oddalił, odpowiedziała:

– Chyba tak. Przedwczoraj przeglądałam rzeczy z małego pokoju w warsztacie, w którym ojciec przechowywał stare papiery. Poza tym, że znalezienie czegoś w tym bałaganie było prawie niemożliwe i musiałam sobie kupić maseczkę, żeby zapanować nad kichaniem z powodu kurzu, znalazłam dziennik ojca z tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego, rok przed wysłaniem mu bransolety przez Carlosa Ramíreza. W dzienniku zapisał treść starego dokumentu, który musiał należeć do naszych krewnych w osiemnastym wieku. Straciłam sporo czasu, zanim go odcyfrowałam. Tusz trochę rozmazał się od wilgoci, przez co można było odczytać tylko niektóre słowa.

Wyjęła z torebki kartkę, na której zapisała wszystko, żeby nie pominąć ani jednego słowa, i zabrała się do czytania, odsuwając ją jak najdalej od oczu. Niestety od jakiegoś czasu miała problemy ze wzrokiem, założyła więc okulary, które wyjęła z torebki.

– Wiem, że dobrze widzisz, kochana siostró, potrzebujesz tylko dłuższych rąk. – Fernando roześmiał się serdecznie.

– Naprawdę, Fer, jesteś jednak głupi! Kiedy przestaniesz się zachowywać jak dzieciak? – Paula była przejęta swoim odkryciem i nie miała zamiaru wdawać się w dyskusję. – Jak mówiłam, tekst znajdował się w dzienniku i był zatytułowany „Zamaralama”, przez co zwrócił moją uwagę. Przeczytam wam go bez wyciągania rąk. – Spojrzała nad okularami na brata. – *Dla jego odnowienia użyto uncji srebra i*, potem było praktycznie nieczytelne, pewnie następował dokładny opis użytych materiałów. Dalej można przeczytać: *Pobrano pełną opłatę w wysokości*, nie

wiadomo, jaka była cena, ale właśnie podałaś ją ty, Lucio. Później znów nie da się zidentyfikować liter, ale pod podpisem można przeczytać coś, co wygląda na notatkę dodaną później: *Ponieważ nie zgłoszono się po niego, zdecydowaliśmy go zatrzymać*, po czym można rozróżnić trzy czy cztery słowa, tekst kończy cię na *cenny*. To wszystko.

– Doskonale, Paulo! Po tym, co opowiedziałas, nie ma już chyba wątpliwości, że chodzi o nich.

– Jeśli to rzeczywiście byli oni, najwyraźniej znaleźli przedmiot, który wydał im się cenny i o którego istnieniu jego właściciele nie wiedzieli, bo się po niego nie zgłosili.

– To bardzo prawdopodobne, Fernando – zgodziła się Lucía. – Mam dowody, że później kościoła nie odnawiano, więc wasi przodkowie mogli być jedynymi osobami, które przez setki lat miały dostęp do jego wnętrza. Pamiętaj, że twój ojciec próbował otworzyć groby. Mógł podejrzewać, tak jak my, że znaleźli coś i postanowili, że ten przedmiot lub przedmioty powinny zostać w nich ukryte.

– To możliwe, jeśli znalazł oryginalny dokument, który przepisał do dziennika. Ale na tym etapie trudne do udowodnienia – wtrącił Fernando.

– Tak samo jak jego związki z esseńczykami. Chociaż jeśli rzeczywiście istnieli, mogli się z nim skontaktować, ponieważ był jedynym, który nie wzbudziłby podejrzeń, występując o ekshumację swoich krewnych. Jeżeli tak było, esseńczycy mogli go nakłonić, żeby przystąpił do wspólnoty, by wykorzystać go później do swoich celów. – Lucía zaczerpnęła powietrza, zanim przeszła do dalszego ciągu swoich przemyśleń. – Nie wiem dlaczego, ale twój ojciec musiał mieć jakiś problem przy uzyskaniu zgody lub za bardzo na niego naciskano, skoro nie czekał na pozwolenie i postanowił po prostu groby otworzyć, co ostatecznie zaprowadziło go do więzienia.

Dwie kelnerki, pochodzące ze Wschodu, postawiły przed nimi talerze z dwoma rodzajami dań. Lucía poświęciła kilka minut na wyjaśnienie, z czego się składają.

Zaczęli od *kushiage*, rodzaju szaszłyku na pałeczkach bambusa z krewetkami i chrzanem. Lucía wróciła do przerwanej rozmowy.

Żeby uwiarygodnić hipotezę przypisującą restaurację relikwiarza rodzinie Luengo i fakt ukrycia czegoś cennego w grobach, przypomniała, że nagrobki powstały po 1670 roku. Jeden pochodził z 1679, a drugi z 1680. Dlatego też ich krewni mogli ukryć w jednym z grobów to, co znaleźli w relikwiarzu.

Chociaż przyznała, że ta teoria mogła być jedną z setki równie wiarygodnych możliwości – zwłaszcza że przedmiot, o który chodziło, musiał być niewielki, zważywszy na rozmiary relikwiarza – opierała się również na tym, co Lorenzo Ramírez opowiedział im na temat związku między imieniem ich ojca i papieża z XIII wieku, zapisanych obok siebie w notesie jego dziadka, jakby chodziło o tę samą sprawę. Dlaczego Carlos Ramírez nie mógł znaleźć w archiwach jakiejś informacji na temat odnowienia relikwiarza, podobnie jak to zrobiła ona? W XVII wieku w Segowii musiało być niewielu złotników. Powiązanie wszystkiego z nazwiskiem Luengo było łatwe, choćby przez eliminację.

Jeśli Carlos Ramírez wiedział, że złotnicy Luengo odnowili relikwiarz w 1670 roku i jeśli podejrzewał, że zawierał coś cennego, było dobrą strategią nakłonienie ojca Fernanda, żeby wstąpił do sekty i przekonanie go później, że musi zbadać groby, dzięki czemu nie angażował się w sprawę osobiście.

– Fernando, Paulo, teraz wszystko jest jasne! Podsumowując, rodzina Luengo odnowiła relikwiarz, a jednocześnie znaleźli coś, co próbowali ukryć. Nie będziemy mieli pewności, dopóki nie otworzymy ich grobów. Około tysiąc dziewięćset trzydziestego roku grupa domniemyanych esseńczyków, świadomych, że ten przedmiot został schowany w relikwiarzu przez Honoriusza Trzeciego, odkryła, iż odrestaurowano go pod koniec siedemnastego wieku. Ta informacja naprowadza ich na trop jego restauratorów, twoich przodków, i postanawiają go odzyskać z pomocą twojego ojca. Gdybyśmy to potwierdzili, oznaczałoby to, że

rodzina Luengo brała udział może nie bezpośrednio, ale bardzo intensywnie w tych wszystkich wydarzeniach, tak w siedemnastym wieku, jak i teraz. Najpierw twój ojciec, a teraz ty. – Odechnęła, żeby zakończyć. – Powiedziałabym nawet, że jesteście fundamentem, na którym opiera się spora część tej historii.

– Nie możemy przyspieszyć badań w Vera Cruz? – zapytał Fernando. – Nie mogę się doczekać, kiedy odkryjemy wszystkie tajemnice drzemiące w jego murach. Sama nie raz wspominałaś o tym. Lucío, do lipca jest jeszcze tyle czasu. Teraz rozumiem ojca! On pewnie też nie chciał czekać i tamtej nocy po prostu poszedł sprawdzić, co znajduje się w środku.

– Czy właśnie usłyszałam propozycję popełnienia przestępstwa? Wejść potajemnie do Vera Cruz przed lipcem?

– Dlaczego nie, Lucío? Jeśli się odważysz, zrobimy to razem. – Fernando patrzył na nią uważnie.

– To niemożliwe, Fernando. Po co niepotrzebnie się narażać, skoro możemy to załatwić legalnie? Co zyskamy, ryzykując w ten sposób? Pomyśl, że to nie jest wcale prosta sprawa. Podniesienie płyt nagrobnych wymaga ciężkiego sprzętu, którego nie da się tak po prostu przemycić. Trzeba poczekać!

Paula zgadzała się z Lucią.

– Dobrze, być może masz rację. Poczekamy na biały dym! – mruknął Fernando.

Skończyli *nanban-zuke*, które składało się z wyśmienitej smażonej ryby morskiej, i zmienili temat rozmowy. Mówili o tak błahych sprawach, jak różnice między życiem w Madrycie i Segowii.

Paula przypominała sobie co chwilę o biednej Mónice. Myślała, że to, iż jej z nimi nie ma, nie jest wcale takie złe. Przynajmniej nie musi patrzeć na flirty i znaczące spojrzenia, jakie Fernando wymieniał z Lucią podczas obiadu. Uraził ją zwłaszcza pocałunek w usta, którym Lucía pożegnała jej brata z taką

naturalnością, jakby wszystko między nimi było już przesądzone.

Od tamtego dnia Paula nie widziała ich przez kilka tygodni, chociaż wiedziała, że spotkali się przynajmniej dwukrotnie. Fernando nadal chodził z Mónicą na sesje terapeutyczne i jej stan się poprawiał. Paula nie rozumiała, jak jej brat może zachować spokój, biegając od jednej kobiety do drugiej. Postanowiła nie dzwonić do niego przez jakiś czas, żeby się nie denerwować. Żadna z kobiet nie wydawała jej się lepsza od drugiej, chociaż życzyła Mónice jak najszybszego powrotu do zdrowia, żeby mogła walczyć z równorzędnej pozycji.

Wreszcie to Fernando zadzwonił do niej, żeby powiedzieć, iż spotkał się z Lucią z powodu dziwnych wydarzeń, jakie miały miejsce w Vera Cruz prawie miesiąc po obiedzie w japońskiej restauracji, w połowie maja.

Tym razem spotkali się w komisariacie w Segowii, wezwani przez inspektora Fragę.

Wydarzenie to odbiło się szerokim echem w prasie. W rowie w pobliżu Vera Cruz znaleziono głuchoniemego chłopaka w stanie agonii; wyłupiono mu oczy. Musiał wykrwawiać się od wielu godzin, bo zapadł w śpiączkę, jeszcze zanim dotarł do szpitala. Prasa nie potrafiła znaleźć wyjaśnienia okaleczenia niepełnosprawnego ani związku, jaki mógł istnieć między tym przestępstwem a próbą kradzieży, jaka miała miejsce w pobliskim kościele Vera Cruz, gdzie wyłamano drzwi i zapadniętą prowadzącą do jednej z sal, nie wynosząc jednak żadnego ze znajdujących się wewnątrz przedmiotów.

– Zadzwoniłem do państwa z dwóch powodów – zaczął inspektor Fraga. – Do pani, Lucío, ponieważ jest pani historykiem i ekspertem w sprawach dotyczących kościoła. Potrzebna mi jest pani pomoc. Do pana, Fernando, ponieważ podejrzewam, że

sprawcy mogą być tymi samymi ludźmi, którzy porwali Mónica. Okaleczenie chłopaka przypomina raczej rytuał niż zwykły akt przemocy. Jeśli rzeczywiście chodzi o Raquel Nahoim i tego Palestyńczyka – zwrócił się do Lucii – pani koleżanka po fachu może się okazać znacznie bardziej niebezpieczna i okrutna, niż przypuszczaliśmy. Odkąd poznaliśmy jej tożsamość i zawód, nie przestaję się zastanawiać nad tą sprawą. Zakładam, że nie mamy do czynienia z grupą zwykłych przestępców i skłaniam się coraz bardziej ku hipotezie, że tworzą coś w rodzaju sekty. W każdym razie sprawdzamy teraz wynajmowane mieszkania w niektórych dzielnicach Segowii i mam nadzieję, że niedługo ich znajdziemy.

– Urwał i znów spojrzął na Lucię. – Pani, jako specjalista i znawczyni Vera Cruz, zgodzi się ze mną, że możemy mieć do czynienia z grupą, której celem wcale nie jest kradzież. I jeśli tak, o jaką sektę albo grupę chodzi?

- Myślę, że to wspólnota esseńska! – odpowiedziała Lucia.
- Proszę mi to wyjaśnić! Nigdy o niej nie słyszałem.

Lucia streściła, co wie na temat esseńczyków: historię założenia wspólnoty, wydarzenia mające miejsce po żydowskim powstaniu przeciwko Rzymianom, klasztory wybudowane na pustyni w Qumran i rękopisy znalezione nad Morzem Martwym. Opisała dualistyczną religię, którą wyznawali i która znajdowała swoje odzwierciedlenie w wiecznej walce między synami światła i synami ciemności, uosabiającymi ziemskie zło.

Inspektor Fraga notował zawzięcie. Nowe informacje były bardzo interesujące.

Nagle ktoś zapukał do drzwi i pojawił się w nich zdyszany policjant.

– Inspektorze, znaleźliśmy ich! Zadzwonili z pierwszej brygady. Zatrzymali kobietę i pięciu mężczyzn w mieszkaniu w Segowii, wszyscy odpowiadają opisowi porywaczy.

Kapitan wstał i zdjął kurtkę z wieszaka.

– Proszę pojechać ze mną. Mogę państwa potrzebować do identyfikacji, zwłaszcza pani, Lucío. – Spojrzał na Fernanda. – Może pan zadzwonić do Móniki i poprosić ją, żeby jak najszybciej przyjechała? Jej zeznania są niezbędne!

Fernando wyjaśnił mu, że jej stan psychiczny nie pozwala na konfrontację. Inspektor Fraga ustąpił niechętnie, prosząc, żeby przynajmniej obejrzała zdjęcia, jakie zrobią podejrzanym w czasie przesłuchania.

Budynek zabezpieczony przez policję znajdował się cztery przecznice od komisariatu. W mieszkaniu panował nieład. W małym salonie, w towarzystwie dwóch policjantów, siedziała przy stole szóstka zakutych w kajdanki przestępców. Przed nimi leżało kilka przedmiotów znalezionych przez policjantów.

Fernando natychmiast zauważył bransoletę, tymczasem jeden z funkcjonariuszy wymieniał nazwiska zatrzymanych.

– Kobieta nazywa się Raquel Nahoim, urodzona w Hebronie. Ma trzydzieści lat, od trzech mieszka w Hiszpanii. Jej papiery są w porządku, ustaliliśmy, że prowadzi wykłady na Uniwersytecie Complutense. Po prawej siedzi Mohammed Benhaimé, Palestyńczyk. Urodzony w Jerychu, obecnie przedsiębiorca budowlany. – Fernando rozpoznał właściciela sztyletu. – A naprzeciwko nich siedzą dwaj Hiszpanie...

Lucía przerwała policjantowi na widok twarzy jednego z nich. Był pracownikiem archiwum! Niczego nie rozumiała. Co on tu robi?

– Julián! Jakim cudem wplątałeś się w tę sprawę? – Mężczyzna spojrzał na nią zawstydzony i spuścił głowę. – To jeden z naszych pracowników. Dobry Boże, to jakieś szaleństwo! – Nie mogła uwierzyć, że Julián ma coś wspólnego z tymi ludźmi.

– Nazywa się Julián García Benito – ciągnął policjant, trzymając w ręku dowody osobiste i paszporty zatrzymanych – ...i został nam czwarty, Pablo Ronda. Pan Ronda powiedział nam, że mieszka w Segowii i że jest właścicielem sklepu papierniczego. Pozostali dwaj są Francuzami i nie chcą podać swoich nazwisk.

Nie znaleźliśmy przy nich żadnych dokumentów.

Inspektor Fraga był teraz pewny, że nie chodzi o zwykłych przestępców. Wszyscy mieli dobrą pracę i byli wykształceni. Spojrzał na leżące na stole przedmioty i wziął do ręki mały, brązowy, zwinięty papirus, wyglądający na bardzo stary. Rozwinął go i nie rozpoznawszy języka, w którym go napisano, podał Lucii.

– To starożytny hebrajski, inspektorze. Nie jestem specjalistką, ale mogę go przetłumaczyć.

– Niech mu się pani przyjrzy, żebyśmy mniej więcej wiedzieli, o co chodzi.

Fraga przeglądał teraz zawartość teczki, w której znajdowały się między innymi zdjęcia Fernanda i Móniki lub samej Móniki, informacje na temat ich rozkładu dnia, adresy i zapisy rozmów telefonicznych między nimi lub z Paulą. Inspektor zamknął teczkę i spojrzał na zatrzymanych.

– Nie wywiniecie się. Mamy dość dowodów, żebyście gnili w więzieniu przez najbliższe dwadzieścia lat. Będziecie musieli zeznawać przed sędzią i przysięgam, że postaram się, żebyście nie mieli szans. – Nikt się nie odezwał. – Niestety chłopak, którego okaleczyliście, nie będzie mógł zeznawać, ponieważ zapadł w śpiączkę. Mam nadzieję, że uda mi się udowodnić wasz udział w tej sprawie, żebyście odpowiedzieli za to barbarzyństwo.

Znów spojrzał na przedmioty na stole. Jego uwagę zwróciła drewniana szkatułka. Otworzywszy ją, zobaczył stary medalion ze złota i kolczyk złożony z dwóch kamieni; jeden z nich, większy, był niebieski, prosty złoty łańcuszek łączył go z drugim, mniejszym i białym.

– Lucio, chce pani przyjrzeć się tym przedmiotom, zanim wyślemy je do laboratorium muzeum archeologicznego? Wystarczy, że podpisze pani zaświadczenie o odbiorze.

Lucia wzięła szkatułkę i włożyła ją do plastikowej torby, którą podał jej policjant.

Inspektor kazał sfotografować zatrzymanych, żeby wysłać ich zdjęcia do Madrytu i przygotować konfrontację z Mónica. Jeśli ich zidentyfikuje, będzie można zamknąć sprawę.

Ponieważ podejrzani odmawiali złożenia zeznań bez obecności adwokata, uznał, że można ich zabrać do komisariatu.

Lucía wyszła ostatnia. Gdy stała w drzwiach, Żydówka odezwała się do niej czystym hiszpańskim:

– Proszę pani, jesteśmy koleżankami po fachu i proszę, żeby przez wzgląd na to, odwiedziła mnie pani w więzieniu, kiedy przeczyta pani manuskrypt.

Lucía obiecała jej to bez zastanowienia.

Następne dwa tygodnie przeznaczyła na tłumaczenie rękopisu. Musiała zasięgnąć opinii ekspertów, gdyż język hebrajski, w którym został spisany, charakteryzuje się brakiem samogłosek i ma charakter fonetyczny, przez co każde słowo może mieć wiele znaczeń. Udało jej się ustalić czas jego pochodzenia na przełom VII i VI wieku przed Chrystusem i kierując się tym faktem, próbowała znaleźć jakąś informację, która mogłaby jej pomóc w ustaleniu kto jest autorem.

Tekst był utrzymany w tonie proroczym i wyglądał na część większej całości. Sposób, w jaki się zaczynał, powodował, że nie miał sensu *per se*, a jedynie jako kontynuacja poprzedniego akapitu. Biorąc pod uwagę okres, w którym powstał, można było przypisać jego autorstwo Izajaszowi lub prorokowi Jeremiaszowi. Nie mogła uwierzyć, że ma w rękach taki skarb i że przedtem należał do przestępców. Łączyła ze sobą przetłumaczone fragmenty jak układankę, dopóki nie uzyskała spójnych zdań.

Żeby ustalić, kto jest autorem tekstu, wysłała ostateczną wersję tłumaczenia do specjalisty z dziedziny religioznawstwa. Zadzwoił do niej po kilku dniach. Sądząc po apokaliptycznym tonie, można go było przypisać Jeremiaszowi, który często mówił o groźbie zagłady narodu żydowskiego, jeśli nie usłucha

Bożych przykazań. Izajasz odwrotnie, głosił miłość do Boga i przepowiedział z dużą dokładnością nadejście Mesjasza siedemset lat przed narodzinami Jezusa.

Procektwo z rękopisu wróżyło pojawienie się trzech znaków, jeśli wcześniej zostanie spełniony warunek zgromadzenia w specjalnej komnacie symboli trzech przymierzy. Następnie opisywało szczegółowo znaki potrzebne do ich rozpoznania, ale ta część, zdecydowanie metaforyczna, okazała się niezwykle trudna do zinterpretowania. Tekst nie pozwalał stwierdzić, co się wydarzy, jeśli te warunki się spełnią. Wszystko potwierdzało hipotezę, że zapis jest niepełny.

Lucia codziennie zdawała Fernandowi relację z postępów. W dniu, w którym skończyła najbardziej skomplikowaną część, zadzwoniła do niego przerażona zbieżnością między przepowiednią a przypadkiem okaleczonego chłopaka. Najwyraźniej stał się bohaterem trzeciego znaku. Lucia przeczytała fragment, który się do niego odnosił.

– *...a trzeciego dnia pojawi się człowiek niemy, ślepy i głuchy, bo bez tych zmysłów – wrót rozumu – będzie bardziej podobny do zwierzęcia niż człowieka.* Fernando, czy to nie straszne?

– Tak, okropne. Cieszę się, że dranie już siedzą w więzieniu!

Jego myśli pobiegły na ułamek sekundy ku Mónice. Ci nikczemnicy mogli jej wyrządzić straszną krzywdę. Na szczęście skończyło się tylko na szoku, z którego już prawie się otrząsnęła. Po tym, co opowiedziała mu Lucia, w natłoku znaków, symboli przymierzy i dziwacznym grup esseńczyków Fernando zupełnie się pogubił i nie potrafił znaleźć zadowalającego wyjaśnienia tej historii. Zastanawiał się, co mogły oznaczać przymierza, do których odnosi się procektwo.

– Myślisz, że może istnieć jakiś związek między naszą branżą i przedmiotami znalezionymi w domu porywaczy?

Zapytał też Lucię, czy jej zdaniem mogą mieć coś wspólnego z przymierzami, o których mówił rękopis.

– Na razie nie dysponuję tyloma danymi, żeby móc to stwierdzić. Ale odwiedzę Raquel Nahoim. Nie wspomniałam ci o tym, ale poprosiła mnie, żebym do niej przyszła, kiedy skończę tłumaczenie. Mam przeczucie, że chciała wtajemniczyć mnie w szczegóły całej sprawy. Zmieniając temat, przyspieszyli nam termin badań w Vera Cruz. Możemy zacząć w połowie czerwca.

Fernando zapytał o przedmioty, które znajdowały się w szkatule.

– Nie uwierzysz, jak ci powiem, co odkryliśmy. Szacujemy, że medalion ma około trzech tysięcy siedmiuset lat. Czteryście lat więcej niż bransoleta Mojżesza. To epoka wielkich patriarchów: Abrahama, Izaaka i Jakuba. Myślę, że i o tym powinnam porozmawiać z Raquel, żeby dowiedzieć się, skąd naprawdę pochodzi. O kolczyku wiem tylko tyle, że jest równie stary jak szkatuła i że prawdopodobnie zrobiono go na początku naszej ery. Jak sam widziałeś, kolczyk nie jest zbyt cenny. Jest skromny i to mnie dziwi. Zrobiono go z dwóch kamieni półszlachetnych o małej wartości. Nie wiem, jakie może mieć znaczenie dla tych ludzi, ale mam zamiar się tego dowiedzieć.

Inspektor Fraga został poinformowany o odkryciach dotyczących rękopisu i pozostałych przedmiotów. Udzielił Lucii zgody na odwiedzenie Żydówki w więzieniu w Alcalá de Henares. Lucía postanowiła pójść na to spotkanie sama.

Czekając, aż przyprowadzą więźniarkę, Lucía przyglądała się skąpej dekoracji ścian pomieszczenia: dużemu zegarowi i kalendarzowi, który wydał jej się bardzo nie na miejscu, bo zawierał zdjęcia najpiękniejszych pejzaży świata. Co za okrucieństwo.

W drzwiach stanęła Raquel prowadzona przez strażniczkę.

– Nie zdejmę jej kajdanek. Jeśli będzie pani miała jakikolwiek problem, proszę nacisnąć ten guzik. – Wskazała stół stojący między dwoma plastikowymi fotelami. – Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, jesteśmy za drzwiami. Przypominam, że ma pani godzinę.

Gruba strażniczka wyszła i zamknęła drzwi od zewnątrz. Lucia spojrzała kobiecie w twarz. Miała ciemną karnację, oczy w kolorze miodu i bardzo czarne włosy. Schudła od ich spotkania w mieszkaniu w Segowii.

– Dzień dobry, Raquel! Jak cię traktują? – Lucía próbowała przełamać lody, pamiętając, że ma do czynienia z bardzo niebezpieczną kobietą.

– Dajmy spokój uprzejmościom i przejdźmy do sedna sprawy. Przetłumaczyłaś rękopis? – Jej oczy były niepokojąco głębokie.

– Tak, przeczytałam go w całości i...

– Wierysz w prorocтва?

– Obawiam się, że nie, a już na pewno nie w to z rękopisu.

– Otwórz te twoje czyste oczy i pozwól światłu dostać się do wnętrza! Nie neguj z góry czegoś, czego nie znasz, siostró.

Lucía podziwiała jej nienaganną hiszpańszczyznę.

– Po pierwsze, nie jestem twoją siostrą, a po drugie, jak mam się zachowywać, będąc naukowcem? Nigdy nie zakładam, że coś jest prawdą, dopóki tego nie udowodnię.

– Jak chcesz, Lucío! Jeśli zamierzasz dowiedzieć się czegoś o mnie albo o nas, wszystko ci opowiem, ale najpierw musisz przysiąc, że zrobisz to, o co cię poproszę, niezależnie od swoich wątpliwości.

– Cóż, zależy, co to będzie... – Lucía, nie miała pojęcia, czego może od niej chcieć ta dziwna kobieta.

– Jak sama powiedziałaś, nie wiesz, czy coś jest prawdziwe, dopóki tego nie sprawdzisz. Tak to ujęłaś?

– Tak, to właśnie powiedziałam!

Raquel poprawiła się w fotelu i przybrała poważny wyraz twarzy. Jej jedyna nadzieja na spełnienie przepowiedni siedziała naprzeciwko niej. Nie знаła tej kobiety i nie mogła jej ufać, wiedziała jednak od samego początku, że to ona została wybrana. Wierzyła w przeznaczenie i ta kobieta, nie będąc tego świadoma, została wybrana setki lat temu. Objawił jej to Bóg światła tego dnia, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy.

– Przysięgnij, że wypełnisz wszystkie zalecenia przepowiedni i że zrobisz to siódmego listopada tego roku!

– Poczekaj, poczekaj... Nie spiesz się tak! Nie obiecuję, że zrobię coś, co może mieć związek z okaleczaniem ludzi, co, jak zauważyłam, jest częścią waszego planu spełnienia przepowiedni.

– Możesz być spokojna, ty nie będziesz musiała tego robić. Czasem musieliśmy stosować wątpliwe metody, zapominając o miłości, szacunku do bliźnich i czynieniu dobra. Zmierzałyśmy ku tak cudownemu celowi, że środki się nie liczyły. To prawda, musieliśmy zająć się tamtym chłopakiem, kiedy natknęliśmy się na niego przypadkiem po tym, jak próbowaliśmy wypełnić proroctwo i kiedy wnieśliśmy do Vera Cruz wszystkie niezbędne przedmioty. Uznaliśmy jego pojawienie się w pobliżu świątyni za zrządzenie opatrności, bo za jego pośrednictwem mógł się objawić trzeci znak. Zadbaliśmy tylko, żeby mały szczegół jego fizjonomii nie przeszkodził powodzeniu proroctwa. – Widząc przerażenie na twarzy Lucii, przestała opisywać detale i próbowała ją uspokoić. – Ty masz osiągnąć rezultat bez użycia przemocy, tylko przez połączenie trzech przymierzy. Nie trzeba niczego więcej!

– To, o co mnie prosisz brzmi bardzo dziwnie. Nie rozumiem też, jakie są twoje cele. Chcesz, żebym ci przysięgła, iż połączę trzy przymierza, o których mówisz, niczego mi nie wyjaśniając?

Lucia czuła się dziwnie. Wszystko to było absurdalne. Jak może spełnić prośbę religijnej fanatyczki? Jednak, mimo że nie rozumiała samej siebie, czuła wewnętrzny silny impuls, który pchał ją do zrobienia tego, o co prosiła ta kobieta. Było to pragnienie całkowitego poddania się, pęknięcie w jej wnętrzu, które pozwalało ulecieć jej woli ku temu, o co ją proszono.

– Dobrze... tak, mogę to zrobić, dlaczego nie? – Wyrzuciła z siebie te słowa, jakby musiały zaistnieć poza nią, żeby nie wyrządzić jej szkody, pozostając dłużej w jej wnętrzu.

Kobieta odetchnęła uspokojona.

– Godzę się, nie wiedząc nawet dlaczego. Możesz mi wyjaśnić, czemu muszę to zrobić akurat siódmego listopada?

– Z powodu zbieżności liczb. W kabale siódemka oznacza triumf, początek ostatecznej sprawy, wysiłek skierowany ku konkretnemu celowi. Listopad odpowiada jedenastemu miesiącowi roku, jedenastu towarzyszy wybrańcowi i razem tworzą dwunastu. Kiedy dodamy siedem i jedenaście, otrzymamy osiemnaście i jeśli rozdzielimy cyfry, osiemnaście to jeden i osiem, które po dodaniu dają dziewiątkę. Cyfrę mądrości, nauki, pełni. – Lucía próbowała nadażyć za tym dziwnym wyjaśnieniem, nie rozumiała jednak, czemu ma służyć. Kobieta ciągnęła: – Przypuszczam, że wiesz już, iż jesteśmy esseńską wspólnotą. Wiem, że dużo czytałaś na nasz temat, ale na pewno niewiele wiesz o trzech przymierzach, które połączysz zgodnie z tym, co przysięgłaś. Powinnaś wiedzieć, że przez ostatnich osiem wieków wiele naszych wspólnot próbowało bezskutecznie zrobić to, czego teraz podejmiesz się ty. Niektórzy byli w ciele Vera Cruz. Wiemy, że wypróbowali wszystkie furtki, które prorocstwo pozostawiło otwarte, ale nigdy nic się nie wydarzyło. My również spróbowaliśmy, ale bez skutku, jak już wiesz.

Lucía weszła kobiecie w słowo, jej głowę wypełniały setki pytań:

– Zacznijmy od początku. Opowiedz mi o rękopisie. W czasie naszych badań odkryliśmy sporo rzeczy. Po pierwsze, rozumiem, że chodzi tylko o fragment dłuższej przepowiedni. Wnioskując z jego wieku, uznaliśmy, że jego autorem mógł być prorok Jeremiasz. Mam jednak dużo pytań, na które mogłabyś odpowiedzieć. Gdzie go znaleziono i jak dostał się w wasze ręce? I czy mamy rację, przypisując go Jeremiaszowi?

Raquel zaczęła udzielać jej niezbędnych wyjaśnień. Założycielami esseńskiej wspólnoty w Qumran było dwunastu kapłanów ze Świątyni Salomona, którą opuścili, żeby stworzyć nowy zakon na pustyni, będącej dla nich nową ziemią wybraną po

kolejnym wygnaniu. Pisma proroka Jeremiasza były chronione w świątyni i tylko nieliczni mieli dostęp do pełnego proroctwa. Ostatecznie jeden z jego fragmentów został wywieziony przez nich razem z bransoletą Mojżesza do nowej symbolicznej świątyni utworzonej w Qumran. Ponieważ brakowało tej części przepowiedni, w Biblii nie zapisano w całości objawienia Jahwe.

Zaznaczyła, że według tradycji Jeremiasz ukrył część skarbu świątyni, samą Arkę Przymierza z Tablicami Dziesięciorga Przykazań i innymi świętymi przedmiotami, żeby chronić je przed Nabuchodonozorem. Zachęciła Lucię do przeczytania rozdziału 31, w Księdze Jeremiasza. Opisywał w niej zawarcie nowego przymierza między Jahwe i jego ludem i podawał pierwszą wskazówkę potrzebną do jego rozpoznania. Wyrecytowała ją z pamięci: *Miejsce to pozostanie nieznane, aż Bóg na powrót zgromadzi swój lud i okaże mu miłosierdzie. Wtedy to Pan ponownie pokaże to wszystko i będzie można widzieć chwałę Pańską i obłok, podobnie jak za Mojżesza można ją było widzieć i jak wtedy, gdy Salomon modlił się, aby miejsce zostało w uroczysty sposób poświęcone.* Każdy, kto nie dysponował dalszą częścią proroctwa, którą posiadali esseńczycy, musiał dojść do wniosku, że odkrycie miejsca, gdzie ukryto arkę wraz z pozostałymi przedmiotami, byłoby tym znakiem. Gdyby jednak tak było, nie znaleziono by symboli trzech przymierzy, lecz jednego, które Jahwe zawarł z Mojżeszem.

Lucia pamiętała fragment, który niedawno przetłumaczyła i w którym Jeremiasz podawał więcej szczegółów potrzebnych do wypełnienia przepowiedni.

– Rzeczywiście, rękopis mówi o trzech przymierzach, a Arka Przymierza i Tablice Dziesięciorga Przykazań symbolizują tylko to Mojżeszowe. A jednak doszliśmy do wniosku, że bransoleta, którą próbowaliście nam odebrać, również jest związana z tym przymierzem. Zgadzasz się z nami? Jakie w takim razie będą pozostałe dwa?

– Każdemu z przymierzy, o których mówi Jeremiasz, odpowiada jeden symbol. Jesteśmy pewni, że bransoleta odpowiada

drugiemu z nich. Medalion znajdujący się w szkatule jest tym samym, który Abraham kazał wykonać dla swego syna Izaaka i jego potomków, jako symbol świętego przymierza z Jahwe, pierwszego zawartego z człowiekiem. Medalion ten był przekazywany z pokolenia na pokolenie, aż trafił w nasze ręce w połowie trzynastego wieku, kiedy znalazł go esseńczyk Gastón de Esquívez, ukrywający swoją prawdziwą wiarę pod płaszczem templariusza, podobnie jak wielu innych naszych braci w tamtych czasach.

– Wiem sporo o tym człowieku. Czytałam nawet o medalionie, chociaż przyznaję, że nie mieliśmy pojęcia o jego pochodzeniu – powiedziała Lucía.

– Śledziliśmy na bieżąco twoje badania dzięki jednemu z naszych braci, który, jak już wiesz, obserwował cię w archiwum. Wracając do medalionu, templariusz Esquívez odebrał go katarowi, niejakiemu de Subignakowi, który odziedziczył go po swoim przodku, uczestniku pierwszej krucjaty, kiedy to zdobyto Jerozolimę. Wiemy, że dostał go od Żydówki pochodzącej z prostej linii od Izaaka, kobiety urodzonej w Hebronie, skąd pochodzi. Pozwól jednak, że opowiem ci o pozostałych symbolach. Jeśli chodzi o bransoletę Mojżesza, nad którą nie będę się rozwodziła, skoro udało wam się ją zidentyfikować, powiem ci, jak trafiła w nasze ręce. Przywiózł ją do Nawarry jeden z naszych, Juan de Atareche, z ukrytego miejsca nad Morzem Martwym, gdzie dali mu ją nasi bracia. Atareche należał do esseńczyków z Segowii, chociaż był komandorem templariuszy w Puente la Reina. Ukrył bransoletę w Vera Cruz, gdzie pozostała przez kilkadziesiąt lat. Kiedy na początku czternastego wieku przyszłość templariuszy stanęła pod znakiem zapytania, Atareche nie żył od lat, a bransoletę miał Joan Pinaret, który również był templariuszem i esseńczykiem. Kiedy wysłano go do komandorii w Jerez de los Caballeros, zabrał ją ze sobą. Pozostałe przedmioty, medalion i rękopis, zostały rozdzielone i ukryte przez członków wspólnoty. Wiedzieliśmy mniej więcej, gdzie się znajdują i potrzebowaliśmy zaledwie kilku lat, żeby je odzyskać.

– Znamy dobrze tę historię, aż do momentu, kiedy bransoleta trafiła do rodziny Luengo – przerwała jej Lucía, która pamiętała rozmowę Fernanda z Lorenzem Ramirezem.

– Rodzina Luengo przysparzała nam nieustannych kłopotów, zmuszając do przemocy, jak to miało miejsce w przypadku żony Fernanda. Podejrzewaliśmy od jakiegoś czasu, że mogli wejść w posiadanie jakiegoś ważnego dla nas przedmiotu, chociaż nie wiedzieliśmy jeszcze nic na temat bransolety, o której dowiedzieliśmy się dopiero teraz, dzięki naszemu szpiegowi w archiwum. – Raquel była świadoma efektu, jaki mogą wyrzucić na Lucii jej słowa. Nadała twarzy poważny wyraz, spojrzeniu otwartość i słodycz, żeby złagodzić szok. – Kilka lat temu jeden z braci, który szukał w ich domu jakiegokolwiek śladu, mogącego nas zainteresować, natknął się na nią i musiał ją zabić. Nie przestawała krzyczeć i grozić mu pogrzebaczem. Chociaż może ci się to wydać okrutne, jej los był przesądzony.

– To wy ją zabiliście? To straszne. Nie wiem, co ja tu robię, razem z bandą zabójców przygotowujących jakieś apokaliptyczne szaleństwo. – Lucía już chciała nacisnąć przycisk, żeby wezwać strażniczkę i jak najszybciej uciec, Raquel ją powstrzymała, prosząc o ostatnią szansę na udzielenie wyjaśnień.

Zaczęła, zapewniając, że od tamtego czasu ich sumienie nie zaznało spokoju, chociaż istniało coś, co dawało im siły, kiedy plamili ręce krwią. Była to uniwersalna idea, która nadawała sens życiu i śmierci.

– „Żeby zbudować, trzeba było najpierw zburzyć”, Lucío. Jeśli spokojnie się nad tym zastanowisz, przyznasz, że wszystko na tym świecie tak się właśnie toczy. Musisz mi zaufać, chociaż może ci się to wydawać bolesne, niewiarygodne czy odpychające. Możesz i musisz to zrobić. – Lucía była zdezorientowana, słuchając słów tej kobiety. Jej wola była z nią związana i nie mogła zrobić nic, żeby to zmienić. Słuchała jej, czując, jak paraliżuje ją jej władza. – Najtrudniej było nam znaleźć trzeci symbol.

– Raquel, widząc, że kryzys został zażegnany, kontynuowała opowieść: – Myśleliśmy najpierw, że chodzi o krzyż, na którym umarł Jezus. Coś, co dla wszystkich chrześcijan oznacza największe przymierze z Bogiem. Krzyż Święty był świadkiem ofiary i śmierci Syna Bożego. Z tego powodu kościół Krzyża Świętego miał dla nas zawsze fundamentalne znaczenie. Między innymi dlatego, że przechowywano w nim fragment tego krzyża. Kościół połączył trzy symbole trzech przymierzy: krzyż Jezusa, medalion Izaaka i bransoletę Mojżesza. Spełniliśmy trzy warunki, których wymagało proroctwo, ale nigdy nic się nie wydarzyło. Nie pojawił się żaden ze znaków, o których mówił Jeremiasz, a nawet jeśli tak się stało, nie doszło do niczego więcej. Nasza grupa z Zamarramali odkryła w tym czasie, że pojawił się nowy święty przedmiot. Komandor z Chartres zobowiązał się wysłać go do Esquíveza wraz z jego właścicielem. Wiedział, że odebrano go w Efezie samemu papieżowi Innocentemu Czwartemu. Chodziło o kolczyk. Ten sam, który teraz masz ty. Należał do matki Nazarejczyka. – Lucía z niedowierzaniem słuchała tej opowieści. – Gdy Esquívez miał go w Zamarramali, musiał dojść do wniosku, że to właśnie on, nie krzyż, jest trzecim symbolem, o którym mówiło proroctwo. Można rzeczywiście uznać, że trzecie przymierze zostało zawarte poprzez Marię, jako powierniczkę Syna, a nie przez Niego lub jakiś przedmiot, który mógł należeć do Jezusa. A jednak próba z kolczykiem również się nie powiodła.

Lucía zastanawiała się, dlaczego ta kobieta opowiada jej o sprawach, które utrzymywano w tajemnicy od wieków. Dlaczego jej o tym wszystkim mówi? Wyglądało to tak, jakby wszystko przewidziano i jakby teraz musiała odegrać dawno wyznaczoną jej rolę.

– Dlaczego wybrałaś właśnie mnie? Nie rozumiem tego. Opowiadasz mi o tak ważnych rzeczach, a prawie mnie nie znasz.

– Na pewno nie uznasz mojej odpowiedzi za rozsądną. Wyjawilo mi to źródło całego światła! To On mi ciebie wskazał. Tak było i tak być musi!

Chociaż Lucía uważała, że kobieta bredzi, czuła, że pcha ją do niej jakaś nieodparta siła.

– To, co mi opowiedziałas, jest niezwykle. Naprawdę, Raquel! Teraz lepiej rozumiem wasze postępowanie w średnio-wieczu i próby odzyskania bransolety, tak samo jak znaczenie, jakie mają dla was medalion i kolczyk. Zgoda! Rozumiem, że teraz wszystko zależy ode mnie. Ale co mogę zrobić, skoro do tej pory wszystkie próby zawiodły? – Była zdecydowana, żeby doprowadzić sprawę do końca.

– Brakuje czegoś jeszcze! – Raquel wbiła w nią swoje czyste spojrzenie. – Zawsze czegoś brakowało i ty możesz to znaleźć! Lucío, tylko ty możesz połączyć wszystko i rozpocząć czwarte przymierze, przymierze światła. Wszystko jest w twoich rękach!

Mimo że Lucía nie potrafiła tego wyjaśnić, czuła, że z tej kobiety emanuje coś czystego, co zmusza ją do bycia posłuszną jej woli. Chciała teraz przede wszystkim spełnić obietnicę i wydawało jej się, że wie, czego brakuje do wypełnienia proroctwa. Raquel czytała w jej myślach.

– Wiesz, gdzie szukać tego, czego zawsze brakowało, żeby połączyć trzy przymierza, prawda?

– Myślę, że tak! W grobie rodziny Luengo, tak?

– To tam musi znajdować się drugi kolczyk, Lucío – zapewniła ją Raquel. – Honoriusz Trzeci dostał kolczyki i rozdzielił je, wysyłając każdy do odległych miejsc: jeden do Efezu, a drugi do Vera Cruz, oba ukryte w relikwiarzach. Wiemy, że jego następcą, Innocenty Czwarty, próbował je odzyskać, ale poszczęściło mu się tylko z tym z Efezu, chociaż długo się nim nie cieszył. Drugi pozostał ukryty aż do siedemnastego wieku, kiedy to złotnicy Luengo odnowili relikwiarz i z jakiegoś powodu postanowili zabrać sekret do grobu. – Wypiła łyk wody i ciągnęła: – Kiedy będziesz już miała wszystkie symbole, w dniu, który ci wskazałam,

musisz je połączyć w ukrytej komorze, którą znajdziesz, przekręcając mały okrągły kamień w przedsionku do trzeciej komnaty, znajdującej się nad edykułem w Vera Cruz. Otworzy się wtedy przejście do świętego miejsca wyłożonego złotem, w najwyższej komorze. Tam ułożysz wszystkie trzy symbole. W Świętym Świętych naszej nowej świątyni, świątyni esseńczyków. Później zmówisz modlitwę, którą ci zapiszę, i będziesz czekała na pojawienie się trzech znaków. Nie powinnaś robić tego sama. Wtajemnicz jeszcze przynajmniej jedną osobę, która będzie wiedziała, o czym rozmawialiśmy. Jeśli mimo wszystko nic się nie wydarzy, będziesz zwolniona z przysięgi i nigdy nie podejmiesz drugiej próby.

– Zgoda, Raquel. Zrobię to! Przysięgam ci to i to zrobię. – Lucía czuła dziwny wewnętrzny ucisk, jakby coś dusiło ją od środka. – To, o co mnie prosisz, przyprawia mnie o zawrót głowy. To szaleństwo! Przyszłam tu tylko po to, żeby porozmawiać z tobą o rękopisie i nie wiem, jak to się stało, że zostałam nagle współniczką waszych dziwacznych praktyk. Nie wiedziałam, że mogę być do tego zdolna! Czuję, jakby coś przeniknęło do mojego wnętrza i zmieniało w nim wszystko, odbierając mi kontrolę nad czymkolwiek. – Lucía złapała kobietę za ramiona, chcąc wydobyć z niej szczerą odpowiedź. – Czego oczekujecie? Co ma się wydarzyć, jeśli zawiąże się wasze nowe przymierze?

Kajdanki utrudniały Raquel ruchy. Lucía zauważyła to i zawołała strażniczkę, prosząc, żeby je zdjęła. Kiedy zostały znów same, Raquel odpowiedziała na pytanie:

– Wniknęło już w ciebie światło. Już nigdy nie będziesz taka jak dawniej. – Potarła z ulgą nadgarstki. – Dziękuję ci za pomoc. Niestety, ani ja, ani nikt inny nie potrafi odpowiedzieć na twoje pytanie. Tym światem rządzą siły zła. Wiemy, że przez nie mogą się wydarzyć wielkie rzeczy, tak samo jak mogą powstać przeciw nim. Dzieci światła będą walczyły z tymi siłami, ale nie wiemy, co się wydarzy. Wiem tylko, że gdy nadejdzie ta chwila, będziemy potrafili odczytać jej znaczenie.

Lucia patrzyła z żalem na tę kobietę, która miała spędzić najbliższe lata w zimnym więzieniu, zamiast wykładać na uniwersytecie. Chciała dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

– Raquel, nie opowiedziałas mi o sobie. Co doprowadziło cię aż tutaj? Jak udało ci się skontaktować ze wspólnotą, o której tak mało wiadomo?

– Dotarłam do niej w ramach pracy naukowej. Urodziłam się w Hebronie, ziemi, gdzie znajdują się groby wielkich patriarchów. Tam przeżyłam dzieciństwo, otoczona przeszłością, która wyglądała zza każdego rogu. Myślę, że to podczas zabaw wśród ruin, niektórych mających ponad trzy tysiące lat, zapragnęłam je poznać i postanowiłam studiować historię starożytną. Badałam esseńskie wspólnoty żyjące w Qumran i wielu innych miejscach. Gdy pisałam doktorat, poznałam profesora, który nawrócił mnie ostatecznie na nową wiarę. Później wszystko działo się bardzo szybko... Pierwsze praktyki we wspólnocie, nauki, asceza, przyjazd do Hiszpanii. Resztę znasz. Cóż! Miałam nadzieję, że to ja będę kluczem, który otworzy drzwi do naszej wielkiej wojny, a skończyłam, licząc mijające dni zza kratki, jak zwykły przestępca. – Urwała, żeby otrzeć łzy.

Lucia widziała w Raquel przedziwną niekonsekwencję. Promieniowały z niej dobroć i wrażliwość, chociaż najwyraźniej była zdolna do okrucieństwa, jeśli wymagało tego dobro sprawy. Pamiętała o okaleczonym chłopaku, którego zostawili na pastwę losu, wyłupiwszy mu oczy.

– Poza tym – ciągnęła Raquel – starałam się żyć z moimi braćmi, przeznaczając trzecią część dnia na modlitwę, żyjąc w czystości i obmywając się wodą trzy razy dziennie. Porozmawiajmy jednak o tobie, Lucio. To ja cię śledziłam przez te ostatnie miesiące i trochę cię poznałam.

Lucia wolałaby nie wiedzieć, że była śledzona. Pomyślała jednak, że poznanie opinii tej kobiety na swój temat może być interesujące.

– Jesteś wyjątkową kobietą, dojrzałą, inteligentną, pełną życia, profesjonalistką. Myślę, że przechodzisz teraz okres niepewności i bólu. Okres zmian, przez które nie czujesz się do końca sobą. Tego dnia, kiedy nas zatrzymali, zauważyłam, że masz dobry kontakt z Fernandem Luengo. Jesteś w nim zakochana?

– Tak, chyba tak. – Raquel nie przestawała jej zaskakiwać. Teraz rozmawia z nią o jej życiu, jakby były bliskimi przyjaciółkami. Nie rozumiejąc dlaczego, miała ochotę opowiedzieć jej o rzeczach, którymi nie podzieliłaby się z nikim. – Ma wiele wspólnego z tym dziwnym okresem, o którym wspomniałaś. Wiesz o mnie tak dużo. Ból po śmierci męża spowodował, że mężczyźni przestali mnie interesować, dopóki nie pojawił się Fernando. Przy nim znów poczułam się kobietą. Nie wiem, jak możesz żyć, nie kochając mężczyzny! On na razie nie potrafi określić swoich uczuć i dryfuje między Mónica a mną. To wszystko!

Zapukano do drzwi na znak, że wizyta dobiegła końca. Kobiety wstały i się pożegnały, całując w policzek. Raquel poprosiła Lucię, żeby odwiedziła ją znowu, kiedy zbada groby Luengo.

Lucia poczekała, aż założą Raquel kajdanki i wyprowadzą z pokoju, i wyszła z więzienia ogarnięta dziwnym uczuciem. Nie rozumiała, dlaczego to ona ma być tą, która wywoła wydarzenia przepowiedziane przez Jeremiasza sześćset lat przed Chrystusem. Uznała, że powinna spotkać się z Fernandem, żeby o wszystkim mu opowiedzieć. Zadzwoiła na jego komórkę, żeby umówić się z nim jeszcze tego samego dnia

Nie odbierał telefonu.

Postanowiła pojechać do jego sklepu. Zrobi mu podwójną niespodziankę!

Była tu po raz pierwszy i musiała zapytać o niego jedyną pracownicę, która znajdowała się akurat w sklepie. Ta pokazała drzwi jego gabinetu.

Lucía weszła, nie pukając, gotowa powtórzyć bezpośrednio powitanie. Chciała znów go pocałować.

Nie spodziewała się, że będzie z nim Mónica. Nagle stała się świadkiem namiętnej sceny: całując Fernanda, Mónica gładziła jego nagi tors, a jego ręce pieściły tę część ciała dziewczyny, której wolała bliżej nie określać. O ile dla niej sytuacja okazała się wyjątkowo nieprzyjemna, dla złapanych na gorącym uczynku kochanków była tym bardziej przykra.

– Jak widzę, Mónico, już doszłaś do siebie i nie tracisz czasu. – Spojrzenie Lucii wyrażało wszystko poza radością z powrotu rywalki do zdrowia. – Nie będę wam przeszkadzała. Chciałam cię tylko pozdrowić Fernando. Możecie wracać do pracy.

Zamknęła za sobą drzwi, nie dając im czasu na odpowiedź.

Po trzech minutach zadzwonił do niej Fernando.

– Przykro mi, że to widziałaś.

Lucía z trudem powstrzymywała wściekłość i łzy.

– Fernando, nie zobaczyłam niczego, przed czym mnie nie ostrzegalesz. Wina leży po mojej stronie, myślałam jak idiotka, że zdobędę twoją miłość. Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Pogadamy kiedy indziej!

13.

Kościół Vera Cruz, Segowia, czerwiec 2002

Plastikowa tabliczka na drzwiach kościoła Vera Cruz ogłaszała, że z powodu prac restauracyjnych kościół pozostanie zamknięty dla zwiedzających do połowy lipca.

Grupa naukowców pod kierownictwem doktor Lucii Herrery pracowała w środku, próbując znaleźć rozwiązanie zagadek jego historii.

Uzyskano pozwolenie na rozpoczęcie badań dziesiątego czerwca, ale w ostatniej chwili problemy z administracją Zamarramali spowodowały opóźnienie o pięć dni.

Lucía zadzwoniła do Fernanda tydzień po spotkaniu z Raquel i zaskoczeniu go z Mónicą w sklepie. Potrzebowała czasu, żeby przejść do porządku dziennego nad sceną, jakiej była świadkiem. Mimo to czuła potrzebę podzielenia się z nim tym wszystkim, co odkryła dzięki esseńskiej historyczce, tak na temat zarekwirowanych w dniu jej zatrzymania przedmiotów, jak i przemiany, jaka zaszła w niej, gdy obiecała wypełnić proroctwo. Przez cały tydzień nie odpowiadała na telefony Fernanda, aż wreszcie uznała, że ma dość siły, by z nim porozmawiać.

Kiedy wreszcie się do niego odezwała, opowiedziała mu o wydarzeniach ostatnich dni i zwierzyła się z ogromnej presji, jaką czuła, będąc odpowiedzialną za wypełnienie przepowiedni

zapisanej ponad dwadzieścia sześć wieków temu i posiadając symbole trzech najświętszych przymierzy z Jahwe. Opowiedziała mu też o nieznannej irracjonalnej sile, która pcha ją ku przeznaczeniu wbrew jej woli.

Fernando z trudem zmuszał się do rozmowy o tych sprawach. Starał się skupić na pracy, był zaangażowany w związek z Mónicą i uważał, że cała ta historia przysporzyła im wystarczająco dużo problemów. Dlatego słuchając Lucíi, nie rozumiał, jak daleko sięgają konsekwencje jej decyzji. Czuł się odpowiedzialny za wciągnięcie jej w tę historię i to zmusiło go do zobowiązania się, że będzie ją wspierał do samego końca. Było dla niego jasne, że powinien trwać u jej boku, żeby nie czuła się osamotniona wobec niepewnej przyszłości.

W rezultacie, żeby nie narażać nikogo na niepotrzebne niebezpieczeństwo, postanowili utrzymać w tajemnicy to, co postanowili w sprawie przedmiotów, i nie informować o niczym ani Móniki, ani Pauli. Następnym krokiem było odkrycie zawartości grobów rodziny Luengo.

Lucía zorganizowała brygadę do podniesienia ciężkich płyt i poinformowania wszystkich zainteresowanych, że powinni być dyspozycyjni w trzecim tygodniu czerwca, nie podając konkretnej daty. Liczyła na obecność Lorenza Ramireza, który mógł mieć najwięcej problemów ze znalezieniem wolnej chwili.

W czasie długiej rozmowy Lucía nie zamierzała dać do zrozumienia, że interesuje ją związek Fernanda z Mónicą, chociaż musiała wielokrotnie gryźć się w język, żeby o to nie zapytać. Była zdecydowana zdobyć Fernanda, niezależnie od przeciwności, jak ktoś, kto musi usunąć wielki kamień, który zagradza mu drogę do celu i który stara się ominąć, nie przerywając biegu. Uznała też, że nie powinna mówić mu przez telefon, kto jest winny śmierci jego żony. Poczeka na dogodniejszą okazję, żeby opowiedzieć mu o wszystkim, wesprzeć go i pocieszyć.

Było koło dwunastej w południe, upalna środa trzeciego tygodnia czerwca, kiedy Fernando i Mónica zobaczyli z samochodu

charakterystyczny kształt kościoła Vera Cruz. Paula miała przyjechać dopiero po pierwszej. Lorenzo Ramírez zapowiedział przybycie na dwunastą trzydzieści.

Lucía stała w towarzystwie dwóch członków ekipy badawczej i notowała dane na temat kamienia i stanu zachowania jego zewnętrznej części, kiedy ich zauważyła. Przyjrzała się wysiadającej z samochodu Mónica, stwierdzając, że nie widać po niej niedawno przebytego wstrząsu. Jej jasne włosy, duże zielone oczy, świetna figura i uroczy uśmiech tworzyły obraz dawnej Móniki. Patrząc, jak się zbliża, uznała, że jest bezczelnie idealna.

Mónica wiedziała, że wreszcie ma przewagę nad tą kobietą. Fernando wynagradzał jej niegdysiejszy brak zainteresowania całkowitym oddaniem. Zaraził ją swoją energią, sprawiając, że czuła, że żyje, i pozwolił jej odzyskać wiarę w siebie, dając do zrozumienia, że jego serce należy do niej. To dzięki niemu tak szybko doszła do siebie.

Kobiety ucałowały się, a później Lucía pocałowała Fernanda, powstrzymując się od zrobienia tego tak, jak miała to w zwyczaju.

– Lucío, opowiedz nam, jaki jest plan na dzisiaj – poprosił Fernando.

Lucía wzięła go za rękę i pociągnęła do wnętrza świątyni, wyjaśniając, że zamontowali już małe rusztowania wyposażone w bloczki do podniesienia ciężkich płyt. Zaczną od starszej, ósmej z kolei a potem przejdą do tej z 1670 roku, dwunastej.

Kościół wypełniało dzwonienie dłut robotników, usuwających spojenia z cementu uszczelniające każdy z grobów.

– Kiedy skończymy z grobami, na pewno nie wcześniej niż o drugiej, pójdziemy na obiad. Później sami zbadamy wyższe sale, bo dałam wolne całej ekipie. Nie chcę, żeby oglądał je ktoś poza nami!

– Rozumiem, że zaczekamy, aż zbiorą się wszyscy?

– Lorenzo powinien zaraz przyjechać, z nim nie ma problemu.

Ale nie mogę pozwolić, żeby cała ekipa traciła czas, czekając na Paulę. Mam nadzieję, że zdąży na czas.

Lucía przeprosiła i poszła nadzorować ostatnie prace, a Fernando i Mónica postanowili zwiedzić kościół. Fernando był niepokojny o Mónicę, która po raz pierwszy od porwania uczestniczyła bezpośrednio w historii bransolety, i bał się, jaki to będzie miało na nią wpływ. Chociaż przekonywał ją, że nie powinna z nim jechać, zapewniła go, że ma dość sił, by stawić temu czoło.

Kiedy wchodzili na drugie piętro edykułu, Mónica myślała o złych i dobrych chwilach w jej życiu od pojawienia się paczki w sklepie Luengo. Bycie u boku Fernanda, tak jak teraz, wynagradzało jej prawie wszystko. Jej miłość do niego była gorąca i szczerza i chociaż uważała, że Fernando potrzebował zbyt wiele czasu, żeby zdecydować się, co do niej czuje, była przekonana, że w przyszłości zawsze będzie u jego boku.

Fernando podszedł do okna wychodzącego na główny ołtarz, skąd mógł obserwować pracę ekipy. Naliczył sześć osób zajętych różnymi czynnościami.

Po kilku minutach, kiedy Lucía uznała przygotowania do otwarcia pierwszego grobu za zakończone, usłyszeli nadjeżdżający samochód. Po chwili w drzwiach ukazała się łysina don Lorenza, który ruszył w stronę Lucii. Fernando pozdrowił go z edykułu, pokazując na migi, że już schodzą, żeby się z nim przywitać.

Profesor ucieszył się, widząc Mónicę w dobrym zdrowiu i powiedział, że wygląda jeszcze piękniej niż w Jerez de los Caballeros. Ucałował ją najpierw w rękę, a potem w oba policzki. Widząc, jak Fernando schodzi z nią po schodach, trzymając za rękę, Lorenzo zrozumiał, jaki obrót przybrały sprawy w miłym trójkącie, w jaki uwikłał się Fernando.

Lucía poprosiła, żeby stanęli w bezpiecznej odległości od miejsca prac, dopóki ciężka płyta nie zostanie podniesiona i położona z boku. Wydała polecenia ekipie i czterech młodych mężczyzn uruchomiło pneumatyczne mechanizmy umieszczone w

czterech punktach płyty. W kilka sekund uniosły ją wystarczająco, żeby można było przeciągnąć pod nią dwie liny, które przymocowali do bloczków. W ten sposób, poruszając korbami, podnosili płytę coraz wyżej. Po chwili leżała na ziemi obok epitafiów. Oświetlono wnętrze grobu dwoma dużymi lampami i wszyscy podeszli do jego brzegu zobaczyć, co zawiera. Grób był przedzielony na pół kamienną ścianą. Gdy opadł pył podniesiony przez poruszenie płyty, ich oczom ukazały się dwa ciała.

Mónica była jedyną osobą, która nie próbowała zajrzeć do środka, ponieważ przyglądała się twarzy Fernanda. Trzymała go za ramię, czując jego napięte mięśnie i obserwując malujące się na twarzy emocje: najpierw niecierpliwość, później zdenerwowanie, może niepewność i odrobinę spokoju. Nie chciała niczego uronić. W tej samej chwili do kościoła wpadła Paula. Zdyszana, ucałowała i pozdrowiła wszystkich i stanęła obok Lorenza.

Lucía założyła maskę i weszła do pierwszego grobu. Podeszła do ciała i odchyliła szczypcami strzępy ubrania. Na mostku spoczywał piękny krucyfiks ze srebra, pociemniały ze starości.

Lucía podniosła go ostrożnie i podała jednemu z asystentów, który schował go do plastikowej torebki. Przy ciele nie widać było żadnego innego interesującego przedmiotu. Lucía poruszała się powoli w niewielkiej przestrzeni między ciałami i ukucnęła obok drugiego. Na pierwszy rzut oka było lepiej zachowane niż pierwsze. Resztki delikatnej lnianej sukni przykrywały je prawie w całości. Długie włosy świadczyły o tym, że to kobieta. Lucía poprosiła, żeby zmienić kąt padania światła, które rzucało cień na ciało, i kiedy widoczność się poprawiła, skamieniała ze zdumienia.

– To ciało kobiety i nie uwierzycie, jest nienaruszone!

Wśród obecnych rozległ się pomruk zdziwienia.

– Wygląda na to, że była młoda, mniej więcej trzydziestolletnia, o delikatnych rysach twarzy i wąskich ustach. Włosy są kasztanowe. – Spróbowała odsunąć je z jej twarzy. – I miękkie, chociaż są przyklejone do czaszki. To niesamowite! Jej twarz

nał jest pełna wyrazu, jakby słodczy, szczęścia, albo spokojnej śmierci. – Zaskoczona Lucía zobaczyła między włosami kobiety klejnot, który ponad sześćset lat temu papież ukrył w relikwiarzu i którego szukało tylu ludzi. – Ma w uchu jeden piękny kolczyk. Składa się z dwóch kamieni połączonych złotym łańcuszkiem. Jeden jest dłuższy, owalny, niebieski, drugi bardziej okrągły i biały. – Podniosła wzrok, szukając oczu Fernanda, i posłała mu triumfalny uśmiech. Znaleźli drugi kolczyk Marii!

Wzięła ostrożnie kolczyk do ręki po zrobieniu ciała kilku pierwszych zdjęć i włożyła go do torebki, którą schowała do kieszeni spodni. Przy ciele nie znalazła niczego więcej, wyszła więc z grobu z pomocą Fernanda i rudego pomocnika Claudia.

Gdy znalazła się na górze, spojrzała na Fernanda i objęła go. Ku zdumieniu zebranych wybuchła płaczem. Mónica i Paula patrzyły na nią zupełnie zbite z tropu. Lorenzo podszedł do nich i wziął Lucię w ramiona, co Mónice wydało się bardziej na miejscu. Lorenzo był nie tylko taktowny, ale też sprytny.

– Daj spokój, Lucío! Co się z tobą dzieje? To tylko nerwy, prawda? – Próbował ją uspokoić, chociaż Lucía odsunęła się od niego i przeprosiła wszystkich za swoje zachowanie.

– Przepraszam, tak długo czekałam na ten moment, że się wzruszyłam. Przepraszam, zapomnijmy o tym.

Wszyscy uznali, że nie ma o czym mówić, a Lorenzo próbował nawet znów ją objąć, żeby wyrazić swoją solidarność i zrozumienie, na co Lucía mu nie pozwoliła i zajęła się nadzorowaniem prac przy drugim grobie.

Znaleźli w nim trzy ciała, które nie wyróżniały się niczym ciekawym. Położyli płyty na miejsce i zamurowali je przygotowaną zaprawą. Spojrzawszy na zegarek, Lucía stwierdziła, że właśnie minęła druga. Uznała, że to odpowiedni moment, by pójść na obiad. Jej współpracownicy nie przestawali dopytywać się o znaczenie znalezionych przedmiotów, próbując zrozumieć, co wywołało taką a nie inną jej reakcję. Odpowiedziała wymijająco,

że poinformuje ich o wszystkim, kiedy będą mieli więcej danych i skończą konieczne badania.

Mónica i Paula rozmawiały o kolczyku. Obie zauważyły triumfalne spojrzenie, jakie Lucía rzuciła Fernandowi i uznały, że coś przed nimi ukrywają. Podeszły do Fernanda, zdecydowane wydobyc z niego informacje, po dobroci lub nie.

– Fer, wyjaśnij nam, co wiesz o tym kolczyku. Zakładam, że jest taki sam jak ten, który zabrała Lucía z mieszkania, gdzie przetrzymywano Mónicę. Co przed nami ukrywasz? – Paula przyglądała się uważnie twarzy brata, by się upewnić, czy powie prawdę. Lorenzo, nie wiedząc, o czym mówią, rozmawiał z ludźmi z ekipy Lucíi, którzy przygotowywali się do opuszczenia świątyni.

– To niełatwe do wyjaśnienia, zwłaszcza teraz! Obiecuję, że opowiem wam o tym ze szczegółami, ale nie w tej chwili. W każdym razie masz rację, Paulo. Kolczyk znaleziony w tym grobie odpowiada temu, który mieli porywacze i który zabraliśmy do analizy. – Popatrzył na Mónicę, niewyglądającą na zainteresowaną rozmową. – Teraz nie mogę wam powiedzieć nic więcej. Dowiedcie się wszystkiego w odpowiedniej chwili, zaufajcie mi, proszę tylko o trochę czasu.

– Rozmawiałeś z Lucią i nic mi nie powiedziałeś? – Mónica zmarszczyła czoło, niezadowolona z jego braku zaufania.

– To prawda! Dowiedziałem się od Lucíi nowych rzeczy, ale przez telefon – pogłaskał Mónicę po brodzie. – Obiecałem jej, że na razie nikomu nic nie powiem z powodów, które niedługo zrozumiecie. Wiedziałem, że nie będziecie zadowolone, ale mam nadzieję, że wkrótce będę mógł się usprawiedliwić, chociaż na razie mogę tylko liczyć na wasze zaufanie i cierpliwość. Musicie wiedzieć, że dziś po południu będę musiał zostać w kościele sam na sam z Lucią, żeby zbadać wyższe komnaty. Nie chcę, żeby towarzyszył nam Lorenzo i chciałbym, żebyście pomogły mi się go pozbyć. Mogę na was liczyć? – Podeszedł do Móniki i pocałował ją w policzek.

– Masz duże wymagania, braciszku. – prychnęła Paula. – Mówisz, że mamy uzbroić się w cierpliwość, zrozumieć cię i zaufać, chociaż ty sam najwyraźniej nie ufasz nam, nie chcąc powiedzieć tego, co wiesz. Jakby tego było mało, nie możemy być obecne przy pozostałych badaniach. Trudno, widocznie tak musi być. Dobrze. Zgoda. Poczekamy!

Podczas obiadu w pobliskiej restauracji don Lorenzo, który usiadł obok Lucii, starał się wydobyć z niej szczegóły na temat kolczyka. Lucia czuła się coraz bardziej niezręcznie. Ten człowiek nadszkakiwał jej, próbując uzyskać jakąkolwiek informację i nie rozumiał jej milczenia. Nie mogła sama posolić sobie dania ani przez chwilę nie zabrakło jej chleba, wina ani wody. Wymienił jej kotlet jagnięcy na swój, gdy zauważyła, że jest za twardy, a podczas deseru zamówił budyń, na który wreszcie się nie zdecydowała, uznając, że woli truskawki. Lorenzo oferował jej swój deser co kilka minut, nie spróbował go nawet, aż wreszcie poprosiła go sucho, żeby nie nalegał. Nie chciała opowiadać nikomu o kolczykach i obiecała mu, że poinformuje go o nich kiedy indziej. Nie przekonało go to, postanowił jednak przestać naciskać.

Pozostała część ekipy zajęła stolik obok i śmiała się teraz wesoło. Byli zrelaksowani i mieli zamiar przedłużyć deser, korzystając z tego, że szefowa dała im wolne popołudnie.

Po obiedzie Lucia i Fernando poszli na piechotę do Vera Cruz. Don Lorenzo chciał pójść z nimi, ale ponieważ zauważył, że Lucia nie ma najmniejszego zamiaru zaprosić go na tę wycieczkę, a Mónica i Paula najwyraźniej nie będą im towarzyszyć, postanowił przyjąć zaproszenie obu kobiet na kawę w domu Pauli.

Fernando i Lucia doszli do kościoła. Otworzyli drzwi ogromnym żelaznym kluczem, który Lucia wyjęła z kieszeni. Gdy znaleźli się w środku, zamknęła je, żeby nikt im nie przeszkodził. Weszli w milczeniu na piętro edykułu. Fernando znalazł opartą

o ścianę aluminiową drabinę, której użyli, żeby dostać się do klapy prowadzącej do wyższych komór.

Lucia weszła pierwsza na drabinę i dotarła na górę w ciągu kilku sekund. Ponieważ nie znalazła żadnego klucza do tych drzwi, uzbroiła się w lewarek, którym zamierzała je wyważyć. Po kilku nieudanych próbach poprosiła Fernanda o pomoc. Ponieważ potrzebował więcej miejsca, poprosił, żeby zeszła kilka stopni niżej. Lucia była pewna, że zaraz oboje wylądują na ziemi.

Fernando wziął lewarek i jednym uderzeniem wyłamał stary zamek, który upadł z hukiem na kamienną posadzkę. Jednocześnie uderzył łokciem Lucię w kość policzkową, prawie strącając ją z drabiny.

Widząc otwartą drogę do przedsionka, Lucia wspięła się po drabinie, odsunęła Fernanda i weszła do środka, zachęcając go, żeby poszedł w jej ślady.

– Fernando, możesz wejść. Chociaż jest tu mało miejsca, powinniśmy się zmieścić.

Kiedy wszedł do małego przedsionka, Lucia przyglądała się ścianom, szukając okrągłego kamienia, o którym mówiła Raquel. Przedśionek był bardzo mały i nie wyróżniał się niczym szczególnym. Można było dostać się z niego do ostatniej komnaty po dwóch stromych stopniach. Lucia nie mogła znaleźć kamienia. Wszystkie wyglądały tak samo i chociaż próbowała szczęścia, macając każdą najmniejszą wypukłość, ścierała sobie palce, nie znalazłszy mechanizmu otwierającego drzwi.

Fernando zobaczył coś wystającego z jednego z dwóch stopni i schylił się, próbując tego dosięgnąć. Wyglądało to jak kamienna kulka, którą można przekręcić. Po kilku próbach udało mu się przekręcić kamień o dziewięćdziesiąt stopni. Usłyszeli suchy trzask, jakby tarły o siebie dwie kamienne powierzchnie.

– Brawo, Fernando, udało ci się! Wejdz pierwszy, ja pójde za tobą.

Fernando wycelował światło latarki w dwa stopnie, żeby sprawdzić, na ile są stabilne i wysokie, zanim postawi stopę na

którymś z nich. Wszedł po nich powoli. Dostał się do kolejnej komnaty, zwieńczonej kopułą i niższej niż poprzednia. Musiał się w niej prawie położyć. Przez niewielki otwór wpadało do środka światło, zgasił więc latarkę. Lucía weszła i położyła się obok niego. Z boku wejścia, prawie na poziomie ziemi, jeden z kamieni odstawał, odsłaniając wolną przestrzeń. Lucía, która znajdowała się bliżej, popchnęła kamień. Mieli przed sobą małą komorę o szerokości jakichś czterdziestu centymetrów i około trzydziestu długości i wysokości.

– Fernando, zdajesz sobie sprawę, że to najświętsze z miejsc, komnata nowej świątyni esseńskich wspólnot? – Lucía była podekscytowana niezwykłym odkryciem. – Mógłbyś włączyć latarkę?

Fernando leżał ramieniem w ramieniu z Lucią w tak niewygodnej pozycji, że zapalenie latarki i podniesienie jej kosztowało go sporo wysiłku.

Ponieważ nie oświetlał dokładnie miejsca, które chciała obejrzeć, Lucía pokierowała jego ręką tak, żeby widzieć całe wnętrze komory. Zbliżyła się do otworu. Światło latarki odbijało się od ścian, wywołując złote błyski na całej powierzchni.

Komora była wyłożona złotem. Lucía zbadała każdy kąt, ale niczego nie znalazła. Nie było żadnego znaku, rysunku ani przedmiotu.

– Jest pusta, Fernando! To tylko miejsce wybrane do połączenia świętych przedmiotów i teraz jest puste. Musimy zacząć do wskazanego dnia, żeby wypełnić proroctwo.

Fernando też chciał obejrzeć pomieszczenie i musieli dokonać nie lada sztuki, żeby Lucía mogła przejść nad nim i ułatwić mu dostęp do komory.

Lucía zaczęła czuć narastający niepokój, z trudem oddychała. Miała wrażenie, jakby w jej głowie zainstalowano wiatrak, który rozrzucał wszystkie zgromadzone myśli, zostawiając tylko jedną: „Zostałaś wybrana, musisz wypełnić proroctwo”. Przestraszyła się, kiedy poczuła odrętwienie i dreszcze przebiegające ją od stóp do głów. Uznała, że musi poprosić Fernanda o pomoc.

– Czuję się okropnie... Fernando, musisz mnie stąd jak najszybciej zabrać.

Fernando przestraszył się, widząc, jak jest blada i słysząc jej słaby głos. Przecisnął się do wyjścia i podniósł Lucię, żeby wynieść ją do przedsionka. Ułożył ją na ziemi i podniósł do góry jej nogi, myśląc, że spadło jej ciśnienie. Jej stan trochę się poprawił, ale uznał, że lepiej poczekać, aż odzyska siły, zanim spróbują zejść po drabinie. Po upływie pięciu minut Lucia spróbowała podzielić się z nim wrażeniami.

– Fernando, wiem, że mierzymy się z wielką siłą, przerastającą twoją wyobraźnię. Tam na górze jest niezwykła energia, która mnie przeniknęła i która przekazała mi wiadomość. Uznasz to za szaleństwo, ale coś wskazało mi drogę: muszę kontynuować misję powierzoną mi przez Raquel, teraz wiem, że zostałam wybrana. Zapewniam cię, że gdyby nie fakt, że właśnie to przeżyłam, nigdy bym w to nie uwierzyła.

Fernando przyznał, że nie zauważył niczego szczególnego, chociaż starał się zrozumieć reakcję Lucii, bez względu na to, jak była dziwna. Lucia przypomniała sobie swoje własne słowa, kiedy mówiła, że ostatnia komora mogła służyć mnichom za miejsce inicjacji – „latarnię umarłych”, jak nazywali ją niektórzy. Teraz sama przeszła ten etap. Chciała wiedzieć więcej, poznać wszystko lepiej, być w tych samych miejscach, w których prorok miał wizję. Jeśli została wybrana, musi się lepiej przygotować.

– Fernando, tam na górze zdałam sobie sprawę z roli, jaką mam odegrać i że sprawa jest bardzo poważna. Jesteśmy w samym środku doniosłych wydarzeń i przyjmuję moje przeznaczenie, ale muszę się do niego przygotować. Usiadła, złapała go za rękę i spojrzała w oczy. – Muszę jak najszybciej pojechać do Izraela i chcę, żebyś mi towarzyszył! Muszę tam zobaczyć, poznać, zrozumieć jak najlepiej, do czego się zobowiązuję i wiem, że tylko tam znajdę odpowiedź. Musisz pojechać ze mną!

Fernando wiedział, że nie ma wyjścia. Mimo że wszystko to było nieprawdopodobne, on również był świadom swojej misji,

która polegała na chronieniu jej i trwaniu u jej boku.

– Pojadę z tobą – odpowiedział bez wahania.

Samolot izraelskich linii El Al miał wylądować o wpół do czwartej na międzynarodowym lotnisku imienia Ben Guriona w Tel Awiwie. Fernando i Lucia zajmowali dwa z dwudziestu foteli klasy biznesowej i przygotowywali właśnie plan wędrowki, jaką mieli odbyć podczas krótkiego pobytu w Izraelu. Wypożyczą samochód, żeby dostać się do Jerozolimy, i tam spędzą noc. Następnego dnia pojadą nad Morze Martwe zobaczyć Qumran i stamtąd, przekraczając granicę Jordanii, na górę Nebo. Spędzą drugą noc w Ammanie, stolicy Jordanii, i wrócą do Madrytu.

Fernando znalazł w Internecie hotele i informacje potrzebne do dokonania rezerwacji.

Nie było mu łatwo wytłumaczyć się z tej podróży przed Paulą, ale zadanie było znacznie trudniejsze w przypadku Móniki, zwłaszcza kiedy okazało się, że nie może mu towarzyszyć. Poinformował ją o wyjeździe niecały tydzień wcześniej i fakt, że miał odbyć podróż w towarzystwie Lucii nie poprawiał sytuacji. Fernando musiał przyznać, że słowo „zaufanie” w jego ustach coraz bardziej traciło na znaczeniu. Było jasne, że dla Móniki to cios i że on sam będzie długo pamiętał niektóre ze zdań, jakie „podaowała mu” na drogę.

Mimo że ją rozumiał, jej zachowanie kazało mu wątpić w przyszłość ich związku. Po wielu próbach zapewnienia jej, że ta podróż nie wpłynie na ich uczucie, usłyszał tylko: „Fernando, sam wiesz najlepiej, co powinieneś zrobić. Do tej pory nie rozumiałam wielu rzeczy, które robiłeś w przeszłości i zaczynam zdawać sobie sprawę, że nigdy cię nie zrozumiem, a to jest znacznie gorsze”. Powiedziała również: „Rozumiem, że to twój obowiązek, ale nie potrafię zaakceptować, że myślisz tylko o sobie, nigdy o mnie”.

Po tym wszystkim uznał, że najrozsądniej będzie podjąć ten temat po powrocie.

Koła boeinga 777 toczyły się po pasie lotniska w kierunku terminalu przylotów.

Fernando i Lucía odetchnęli z ulgą, kiedy zakończyła się rewizja, której poddawani byli wszyscy pasażerowie, w asyście uzbrojonych po zęby żołnierzy o mało przyjaznym wyrazie twarzy.

Udali się na parking, żeby odebrać wynajęty samochód. Lucía pilotowała Fernanda, zaopatrzona w zestaw map. Po przejechaniu zaledwie pięćdziesięciu kilometrów zatrzymali się pod drzwiami majestatycznego hotelu King David, w którym zarezerwowali pokoje na tę noc. Postanowili wziąć odprężający prysznic, zanim pójdą na spacer do dzielnicy żydowskiej.

– Jutro musimy wstąpić, żeby dojechać nad Morze Martwe, gdzie znajdują się pozostałości grot Qumran, najważniejszej spuścizny naszych esseńskich przyjaciół. W ciągu ostatnich dni zebrałam sporo informacji, opowiem ci o wszystkim przy kolacji.

Lucía założyła bawełnianą koszulkę i krótkie spodnie, ponieważ upał zdawał się roztapiać miasto. Przemierzali labirynt ulic dzielnicy żydowskiej, kierując się w stronę Ścian Płaczu.

– Jak się czujesz, Lucío? Ja wciąż pamiętam Vera Cruz i wolałbym, żebyś nie musiała przeżywać teraz czegoś podobnego.

Ulica była tak zatłoczona, że szli prawie przytuleni.

– Cieszę się, że mogę spędzić z tobą parę dni sam na sam. – Rzuciła mu znaczące spojrzenie, ale natychmiast spoważniała. – Od tamtego dnia nie czułam już niczego podobnego, chociaż przypuszczam, że ta podróż, której tak pragnęłam, będzie dla mnie źródłem ciekawych przeżyć, w każdym znaczeniu tego słowa. – Tym razem spojrzała gdzieś w przestrzeń, jakby mogła zobaczyć w oddali to, o czym mówi.

Ponieważ zrobiło się późno, obejrzeni pospiesznie Ścianę Płaczu, gdzie zgodnie z tradycją włożyli kartkę w jedną ze szczelin. Stamtąd udali się przez Via Dolorosa w stronę Grobu Świętego, a później do Cytadeli Dawida, w okolicy której rozejrzeli się za jakąś restauracją.

Popijając wyśmienite izraelskie piwo, próbowali miejscowych smakołyków. Lucía przez całą kolację opowiadała Fernandowi o szczegółach codziennego życia esseńczyków w czasie ich pobytu w Qumran: od prac na roli i przy hodowli bydła, przez ich oddanie nauce, kopiowanie starożytnych świętych pism, ascezę, po ducha wspólnoty i oddanie bliźnim.

Przy deserze wyczerpali temat esseńczyków i Fernando postanowił skierować rozmowę na mniej poważny temat.

– Powiesz mi, co napisałaś na kartce, którą zostawiłaś w Ścianie Płaczu? – Fernando był zaintrygowany, powtórzył to pytanie już wiele razy.

– Dowiesz się w swoim czasie. – Lucía chciała utrzymać to w tajemnicy, dopóki nie nadarzy się bardziej sprzyjająca okazja.

Nagle przypomniała sobie, że nie opowiedziała mu jeszcze o tym, co wyznała jej Raquel o śmierci jego żony i chociaż źle czuła się w tej roli, postanowiła zrobić to jak najszybciej.

Jak należało się spodziewać, Fernando przyjął tę informację bardzo źle. Powtarzał, że wiedział od samego początku, iż nie chodziło o zwykłą kradzież. Mimo że Lucía próbowała zmienić temat, rozumiała, że dopóki nie poradzi sobie ze złością i bólem, próby rozweselenia go nie mają sensu.

Po drodze do hotelu nie przestawał pytać, jak esseńczycy mogli odebrać mu to, co było dla niego najważniejsze w życiu, choć kierowali się miłością bliźniego.

W końcu się rozstali, każde poszło do swojego pokoju. Umówili się na śniadanie o siódmej rano, po którym mieli pojechać na pustynię, do tajemniczego Qumran.

Widok roztaczający się z równiny, na której znajdowały się pozostałości Qumran był olśniewający. W tle wznosiły się góry, które przebyli od strony płaskowyżu Judei, żeby zjechać do niziny tworzącej rozległą pustynną dolinę, na której osi znajdowało się Morze Martwe.

W ciszy pustyni Lucía i Fernando wysiedli z jeepa, żeby spacerować wśród ruin, gdzie dwa tysiące lat temu esseńczycy wybudowali nową świątynię.

Lucía wzięła Fernanda pod rękę, kiedy oglądali budowle, starając się odgadnąć przeznaczenie każdej z nich, chociaż ich stan pozostawiał ogromne pole wyobraźni.

– Fernando, patrząc na to miejsce, a zwłaszcza jego otoczenie, tak pozbawione życia, odnoszę wrażenie, że esseńczycy wybrali je ze względu na jego czystość. Pomyśl, że od wyjścia z Egiptu lud żydowski musiał przez lata przemierzać pustynne terytoria, żeby dotrzeć do Ziemi Obiecanej. Te pustkowia musiały być dla nich symbolem oczyszczenia, niezbędnym etapem na drodze od zła do dobra, od ciemności do światła, od zniewolenia do wolności.

– Pamiętam, że rozmawialiśmy kiedyś o etapach, jakie musieli przejść templariusze podczas inicjacji – powiedział Fernando. – Pierwszy polegał na nauce, kształceniu, drugi to symboliczna śmierć i odrzucenie tego, co ziemskie, a trzeci oznaczał zmartwychwstanie do lepszego życia, do wiedzy.

– Tutaj mnisi studiowali święte pisma. Kąpali się codziennie przed posiłkami, zanurzali się w tych basenach, które właśnie minęliśmy. Był to sposób na usunięcie nieczystości z ciała, tego, co w człowieku najbardziej ludzkie. Żyli na pustyni, która z definicji jest symbolem czystości i drogą do oczyszczenia.

Odrzucali wszystko, co mieli, i żyli we wspólnocie dóbr. Masz rację, esseńczycy opuścili nieczysty świat, żeby żyć w duchowej świątyni. – Lucía usiadła na kamieniu i spoważniała. – Ja również chcę przejść przez te etapy. Ta podróż jest elementem mojej nauki, żebym mogła zrozumieć, co powinnam zrobić później.

Na koniec zwiedzili niektóre z jaskiń, w których znaleziono rękopisy, ukryte w czasie najazdu Rzymian przez współczesnych Chrystusowi esseńczyków. Wreszcie postanowili ruszyć w

kierunku Jordanii, przez płaskowyż Moab, do góry Nebo i dalej do Ammanu, gdzie zarezerwowali hotel na ostatnią noc.

Kiedy znaleźli się na szczycie góry Nebo, widok zaparł im dech w piersiach. Słońce zaczynało właśnie zachodzić, a przed nimi rozciągało się Morze Martwe i dolina Jordanu. Liczne odcienie ochry gór pustyni mieszały się z pomarańczowym zmierzchem, który z każdą minutą zmieniał barwę. W dole, w głębokiej dolinie, jasnoniebieski kolor morza pozostawał niezmienny od tysięcy lat. Być może widzieli ten sam pejzaż, który ukazał się oczom Mojżesza podczas jego wędrówki z Egiptu. To miejsce nie wymagało słów, tylko przeżywania uczuć wypływających ze świadomości, iż oto podróżnik znalazł się w jednym z najświętszych miejsc na ziemi, gdzie Jahwe ukazał prorokowi Ziemię Obiecaną i gdzie Jeremiasz ukrył część skarbu ze Świątyni Salomona.

Lucia czuła, że to miejsce ma na nią dziwny wpływ. To tu Jahwe wypełnił obietnicę zawarcia przymierza z ludem żydowskim. Jeżeli to ona została wybrana, żeby zawrzeć nowe przymierze, sam fakt znalezienia się w tym miejscu przyprawiał ją o dreszcze i napawał strachem.

– Fernando, obejmij mnie. – Przytuliła się do niego, chciała czuć się bezpieczna wobec zadania, które jej powierzono i wobec wątpliwości co do własnych sił. – Nie wiem, czy będę mogła to zrobić. Dlaczego nie rzucić tego wszystkiego i nie wrócić do normalnego życia? Nie mam dość sił...

Fernando przekonywał ją z całego serca, że powinna spełnić obietnicę.

– Zrozumiałam w tym świętym miejscu, że wszystko, co nam się przydarzyło w ostatnich miesiącach, zaczyna się i kończy tutaj. Nic nie było dziełem przypadku, Lucio, i nie możemy teraz zatrzymać tego, co zostało wprawione w ruch. Tak jak ty nie rozumiem, dlaczego spotkało to właśnie nas i czy to wszystko nie jest po prostu dziwnym snem, ale chcę, żebyś wiedziała, że będę przy tobie, bez względu na to, co się wydarzy.

Przy jego ostatnich słowach Lucía objęła go mocniej.

Zdała sobie sprawę, że kocha go całym sercem i że w czasie tej podróży ma nie tylko przejść inicjację, ale też dostąpić przy nim zmartwychwstania do nowej miłości, jako trzeciego etapu po okresie poznawania się i koniecznej śmierci wszystkiego, co należało do ich poprzedniego życia. On również to zrozumiał. Słowa były niepotrzebne, wystarczyła święta cisza królująca na górze Nebo.

W drodze powrotnej do Madrytu Lucía spała z głową na ramieniu Fernanda, który wiedział, że ma u swojego boku kobietę, z którą spędzi resztę życia. Poprzedniej nocy kochali się po raz pierwszy i przysięgli sobie wierność zrodzoną z przekonania, że jedno jest częścią drugiego.

Paczka wysłana jego ojcu sześćdziesiąt lat temu sprawiła, że Fernando uwikłał się nagle w niezwykłą intrygę, w której mieszały się templariusze z jego krewnymi, papieżę poszukujący relikwii z esseńczykami, którzy teoretycznie zniknęli dwa tysiące lat temu.

Odkrył pochodzenie bransolety, rozwiązując część zagadki.

Potem pojawił się starożytny medalion i kolczyk Matki Boskiej.

Jednocześnie poznał niezwykłą kobietę, Lucię, inteligentną, wrażliwą, bystrą, o niezwykłej intuicji, i nauczył się ją kochać.

Myślał o tym, co może się jeszcze wydarzyć przez cztery miesiące, które dzielą ich od decydującego dnia. Bez względu na to, jak absurdalne mogło się to wydawać, obiecali spełnić prośbę Raquel i zdecydowali się odprawić dziwny rytuał opisany w starym prorocztwie. Co zrobią, jeśli nic się nie wydarzy?

A jeśli okaże się, że po połączeniu symboli trzech wielkich przymierzy rozpocznie się wojna między synami światła i synami ciemności, którą przepowiadali i do której dążyli esseńczycy? Jaka to będzie wojna? Jaki będzie jej wynik? Czyjego miłość do Lucii była szczerą, czy była tylko złudzeniem?

14.

Trzecia komnata, kościół Vera Cruz, rok 2002

– Podaj mi medalion, Fernando, to już koniec!

Fernando wyjął go z sakiewki z czarnego aksamitu i podał ostrożnie Lucii. Wcześniej zrobił to samo z kolczykami Matki Boskiej i bransoletą Mojżesza.

Lucia i Fernando leżeli w wyższej komnacie głównego edykułu Vera Cruz. Wraz z medalionem Izaaka połączyli po raz pierwszy w historii trzy symbole świętych przymierzy. Lucia włożyła je do starej szkatuły, którą umieściła w ukrytej komorze świątyni, zgodnie z obietnicą złożoną Raquel.

Skończywszy, zasłoniła otwór kamieniem. Trwała w bezruchu, patrząc w nieokreślony punkt na sklepieniu komnaty. Odechnęła głęboko i pomyślała o konsekwencjach tego, co właśnie zrobiła. Niezauważalnie jej ciałem znowu zawładnęła siła, która wciskała ją w podłogę, nie pozwalając się ruszyć.

– Myślisz, Lucio, że to, co robimy, ma sens?

Fernando również zaczynał czuć dziwny nacisk na swoje ciało. Nie miał ochoty się poruszyć, jakby coś chciało ich tam zatrzymać, razem i na zawsze. Chociaż musieli zejść do drugiej komnaty, żeby dopełnić rytuału zgodnie z instrukcjami Raquel, mieli jeszcze czas.

– Fernando, chyba wprowadziliśmy w ruch coś niezwykłego. Przeczuję, że nasze życie się zmieni. Możesz myśleć, że to bzdura, ale zacznę czuć, jakbym była tu uwięziona, nie mam

ochoty się ruszyć. Nie wiem, dlaczego tak się czuję, ale wydaje mi się, że powinniśmy wyjść stąd jak najszybciej. Pamiętam, jak skończyła się moja ostatnia wizyta w tej komnacie i nie chcę znów tego przeżywać.

– Myślę, że obudziliśmy ogromną siłę, która była do tej pory uspiona. Jeśli wierzyć Raquel, właśnie rozpoczęliśmy odliczanie do zawiązania czwartego przymierza, walki dobra przeciw złu. – Wziął ją za rękę. – Proroctwo mówiło o trzech znakach, które poprzedzą początek wojny.

– Trzy znaki – powtórzyła Lucía – słońce, które przestanie świecić; ziemia, która zdrzży drugiego dnia i człowiek pozbawiony zmysłów, który pojawi się dnia trzeciego. – Próbowała się podnieść, ale nie miała sił. – Musimy zejść niżej i skończyć, co zaczęliśmy, Fernando! Musimy wyrecytować modlitwę! Kartka, na której zapisała ją Raquel, jest na dole, w mojej torebce. Nie wiem jak ty, ale ja nie mogę się ruszyć. Nie wiem, co się ze mną dzieje!

Fernando czuł to samo. Coś więziło ich w tej komnacie, unieruchomionych i przerażonych możliwością pozostania na zawsze między jej ścianami.

– Lucío, musimy natychmiast stąd wyjść. Coś ma tutaj zbyt dużą władzę nad naszą wolą i naszymi czynami.

Podnieśli się z trudem i zeszli do drugiej komnaty. Lucía wyjęła z torebki kartkę, którą dostała od Raquel i przeczytała na głos:

– *O Jahwe, Ty, który jesteś wszystkim i zechciałeś zawrzeć z człowiekiem trzy wielkie przymierza: z Abrahamem, z Mojżeszem i z Jezusem, zechciej teraz, gdy ich trzy symbole połączyły się w najświętszym ze świętych, rozpocząć czas, w którym zapanuje na zawsze Twoje światło nad światem ciemności. Niech przepadną wszyscy synowie ciemności, którzy występowali przeciw Twjej woli, i niech triumfują na ziemi synowie światła na zawsze i na całą wieczność!*

Wzruszona, objęła Fernanda. Wiedziała, że właśnie spełniła swoją powinność, bo została wybrana. Jedyne, o czym mu nie

powiedziała był strach, że na górze Nebo przeczuła swój los. Nie wiedziała, co teraz się wydarzy, ale te ramiona, które ją chroniły, były jedynym, czego pragnęła od życia. Gdyby miała w nich umrzeć w tej chwili, odeszłaby pewna, że nie pragnęła niczego więcej na tej ziemi.

Wróciwszy z Jordanii i Izraela, Fernando musiał stawić czoło Mónice, głęboko zranionej na wieść o tym, co zdawało się łączyć go z Lucią. Przed upływem dwudziestu czterech godzin złożyła wymówienie, nie chcąc oglądać ani sklepu, ani jego. Zamierzała zacząć nowe życie.

Paula zniosła wiadomość o związku Fernanda i Lucii nieco lepiej, choć żal jej było Móniki, którą widziała u boku brata. Nadal nie wiedziała, co Fernando i Lucía robili lub zobaczyli w Ziemi Świętej ani jakie mają plany, chociaż Fernando obiecał, że wkrótce wszystko jej opowie. Zadzwonili również do don Lorenza, żeby poinformować go, przynajmniej w części, o ostatnich wydarzeniach, co, ku jego rozpaczy, nie pomogło mu niczego zrozumieć.

Dwa dni po wizycie w Vera Cruz Fernando siedział w wygodnym fotelu w swoim mieszkaniu, oglądając wieczorne wiadomości. Właśnie mówiono o trzęsieniu ziemi, które miało miejsce tego ranka na południu Indii i po którym nastąpiły mniej intensywne wstrząsy w większej części Azji.

Wczoraj było całkowite zaćmienie słońca, widoczne na Bliższym Wschodzie i w części centralnej Azji, dziś trzęsienie ziemi. Dziwnie się to zbiega ze znakami z proroctwa, pomyślał.

Lucía również oglądała wiadomości w swoim domu w Segowii. Chociaż pracowała do późna w archiwum, nie mogła przestać myśleć o zaćmieniu słońca poprzedniego dnia. Kiedy wyłączyła

telewizor i położyła się do łóżka, zapagnęła mieć przy sobie Fernanda. Im dłużej powtarzała sobie, że te kataklizmy nie mają żadnego związku z prorocstwem, tym mniej w to wierzyła i czuła coraz większy strach przed tym, co jeszcze może się wydarzyć.

Następnego dnia, trzy dni po wizycie w Vera Cruz, zadzwoniła do Fernanda.

– Oglądasz telewizję? Właśnie podali wiadomość, która chyba zgadza się z trzecim znakiem! W La Coruñii, dziesiątego listopada rano urodziło się dziecko ze sztucznego zapłodnienia, ślepe, głuche i prawdopodobnie nieme. Jego rodzice oskarżają lekarzy, którzy prowadzili ciążę, o błąd w sztuce. Myślę, że przepowiednia się spełnia, Fernando. Jestem przerażona. Wczoraj było trzęsienie ziemi, a przedwczoraj zaćmienie.

– Przyjadę do ciebie do Segowii dziś po południu! Musimy być razem. W każdym razie pomyśl, że to może tylko smutny zbieg okoliczności. Może jesteśmy świadkami rzeczy, które, chociaż bardzo podobne do tych, jakich oczekiwaliśmy, nie są opisanymi znakami. Powinniśmy zachować spokój. Jeśli rzeczywiście coś rozpętałyśmy, nie możemy tego zatrzymać.

Tej nocy się kochali, a ich ciała łączyły się z wściekłą namiętnością. Czuli, że są jednym i w tej jedności, która narodziła się z tego, co przeżyli na górze Nebo, widzieli jasno, że nie mogą bez siebie żyć.

Następnego dnia piękna kobieta przebywająca w więzieniu w Alcalá de Henares oglądała w telewizji wraz z innymi więźniarkami niszczący pożar, który pustoszył dużą część doliny Jordanu. Według komentatora, w ciągu dnia nawet satelity rejestrowały ogromną kolumnę dymu wznoszącą się nad Izraelem, a w nocy

gigantyczne płomienie rozjaśniały niebo i były widoczne z większości terytorium kraju.

Wśród błahych komentarzy towarzyszek kobieta wstała, unosząc ramiona, i ku zdumieniu wszystkich krzyknęła, najpierw po hebrajsku, a potem po hiszpańsku:

– Proroctwo się spełniło! Zostało zawarte nowe przymierze!
– Skrzyżowała ręce na piersi i uklękła. – Zaczęła się wojna synów światła przeciw synom ciemności! Żałujcie za wasze grzechy, bo nadszedł czas sądu!

W ciągu kolejnych tygodni prasa i telewizja na całym świecie informowały z narastającym niepokojem o zaskakujących efektach nagłej zmiany klimatu, jaka dokonana się na całej planecie. W ostatnich dniach jesieni temperatury wzrosły, dochodząc od Moskwy po Toronto do czterdziestu pięciu stopni Celsjusza. Społeczność naukowa była na alarm w związku z pokazywanym przez satelity poszerzaniem się dziury ozonowej nad Antarktydą i tajemniczym pojawieniem się nowej nad biegunem północnym. Lód na biegunach topił się z niespotykaną dotąd szybkością, co powodowało wzrost poziomu morza i powodzie na południowej półkuli.

Wielu polityków mniej cywilizowanych krajów o spowodowanie tych katastrof oskarżało rządy krajów najbogatszych.

Fernando i Lucía obserwowali przerażeni rozwój wydarzeń. Tylko oni wiedzieli, że są efektem czwartego przymierza. Nie mogli uwierzyć, że to oni stali się sprawcami tej katastrofy, ani że Bóg mógł zawiązać nowe przymierze z człowiekiem w tak straszny sposób. Codziennie upewniali się co do swojej miłości, jakby próbowali stworzyć przeciwwagę dla wszystkich nieszczęść, których nie chcieli wywołać.

Lucía postanowiła wreszcie odwiedzić Raquel, żeby wyjaśnić, co się dzieje.

Twarz kobiety rozświetlał promienny uśmiech, kiedy usiadła naprzeciw Lucíi po drugiej stronie zniszczonego drewnianego stołu, w jednym z pomieszczeń więzienia w Alcalá de Henares. Lucía nie podzielała jej radości, jej twarz wyrażała napięcie i ból.

– Pewnie przyszedłeś dowiedzieć się, co się dzieje, albo co ma się wydarzyć w najbliższym czasie. Mam rację? – zagaiła Raquel.

– Oczywiście, że chcę to wiedzieć, chociaż nic nie może zagłuszyć wyrzutów sumienia, że zrobiłam, co chciałam. Nie mogę w to uwierzyć, to wszystko mnie przeraża i wiem, że tylko ty możesz nadać temu sens, o ile w ogóle jakiś sens istnieje. – Lucía pocierała nerwowo nadgarstki.

– Chcesz zrozumieć, jakie siły obudziłaś i ja ci to wytłumaczę. Pomówmy o czwartym przymierzu, ostatnim, jakie Jahwe miał zawrzeć z ludźmi, bo zawiązało się poprzez ciebie, Lucío. Jeśli się nad tym zastanowić, trzy poprzednie przymierza doszły do skutku, kiedy ludzkość, reprezentowana przez jednego człowieka, zgodziła się wypełnić wolę Jahwe. Od Abrahama Bóg zażądał, żeby opuścił swoją ziemię, zostawił rodzinę i dom ojca i odszedł do innego kraju. Gdy spełnił jego wolę, ofiarował mu potomstwo, którego tak pragnął, Izaaka, jego syna, i ostatecznie całą ludzkość. Mojżeszowi nakazał, żeby wyprowadził z Egiptu lud Izraela i w nagrodę dał mu prawo, żyzną ziemię, w której On sam miał zamieszkać, i ochronę przed wrogiem. Trzecie przymierze, z Jezusem Chrystusem, rozpoczęło się od słów Marii, Jego matki, kiedy odpowiedziała na słowa anioła: „Niech się dzieje twoja wola”. Sam Jezus również dał wyraz posłuszeństwa Ojcu, gdy cierpiał na krzyżu, mówiąc: „Wszystko się wypełniło”.

Jednak zawsze, kiedy Jahwe widział, że człowiek nie chce za Nim iść, karał go surowo. Zniszczenie Sodomy i Gomory albo potop to tylko niektóre przykłady.

Wraz z trzema pierwszymi przymierzami Jahwe dał człowiekowi możliwość wypełniania Jego woli. Czwarte przymierze zostanie zawarte tylko z dziećmi światła, z tymi, którzy pozostaną wierni.

Esseńcy od początku czekali na ten dzień, bo wtedy wrócimy z naszego wygnania na pustyni do Jeruzalem, żeby połączyć lud Jahwe w Jego Domu i dostąpić miłosierdzia. Tak brzmi przepowiednia. Wrócimy do Ziemi Obiecanej i połączymy się z woli Jahwe u źródła światła, żeby już nigdy od Niego nie odejść. Dlatego nie powinnaś żałować tego, co zrobiłaś. Tego chciał Jahwe! W końcu dobro ostatecznie pokona zło!

– Raquel, jeśli chcecie triumfu dobra nad złem, jak możecie widzieć dobro w zniszczeniu wszystkiego na ziemi, w śmierci, w obumieraniu natury i samego życia?

Oczy Lucii były zaczerwienione od bólu, a po jej twarzy płynęły łzy. Próbowwała znaleźć rozsądne wyjaśnienie, chciała uwierzyć, że to, co właśnie usłyszała, jest tylko szaloną interpretacją rzeczywistości autorstwa religijnej maniaczki.

– Lucio, będziemy świadkami zagłady znanego nam świata, która rozpocznie nową erę. Większość ludzkości odwróciła się od Boga. To era człowieka, czas postępu i rozwoju pogrążony w oparach pychy. Wiem, że czytałaś nasz tekst o wojnie synów światła z synami ciemności. Mówi on, że *...będzie to czas ratunku dla Bożego ludu, czas wyznaczony dla rządów tych, którzy należą do Boga i na wieczne zniszczenie synów ciemności, tych, którzy należą do Beliala. Prawda i sprawiedliwość rozświetlą wszystkie krańce świata.* Tekst opisuje ze szczegółami, co należy zrobić, żeby pokonać zło: posługi religijne, plany kampanii, przygotowanie do bitwy, manewry i walka. W ten sposób, dosłownie i w przenośni, przepowiada nadejście czwartego przymierza, przymierza końca czasów, ale także początek nowej ery, ery światła, ery Boga. Dlatego nasz powrót w nowym exodusie nie będzie miał jako celu Świętego Miasta w Jerozolimie, lecz

niebiańskie Jeruzalem, w kontemplacji światła. To jest prawdziwe zwycięstwo w bitwie przeciw synom ciemności! – Oczy Raquel błyszczały tak intensywnie, jakby patrzyły przez nie setki pokoleń esseńczyków.

Lucía miała przed sobą kobietę, która namówiła ją do odprawienia ceremonii połączenia trzech symboli, co początkowo było dla niej po prostu kolejnym krokiem na drodze do przygody, do której zaprosił ją Fernando. Pogrążona w myślach, nie słuchała słów Raquel. W jej głowie rozgrywała się inna bitwa, w której obraz apokalipsy, jakiej była świadkiem i o której mówiła Raquel, zbladł, przyćmiony przekonaniem, rosnącym w niej w ciągu ostatnich dni i które mówiło jej, że może podjąć decyzję, która położy kres temu szaleństwu. Zobaczyła nagle małe światełko, jak błyszczącą w oddali latarnię. Stawało się coraz wyraźniejsze, gdy podążała w jego kierunku. Wreszcie wszystkie elementy układanki zaczynały tworzyć w jej duszy jedną całość. To ona była początkiem tej katastrofy i teraz wiedziała, jak powinna doprowadzić do jej końca. Ta pewność dała jej dawno niezaznany spokój. Tylko kiedy myślała o swojej młodej miłości, jej serce przeszywał szarpający ból, który nie pozwalał jej oddychać.

Niespodziewanie Lucía wstała z promiennym uśmiechem i spojrzała w oczy zdziwionej Raquel.

– Raquel, teraz widzę wszystko jasno. Jeśli to prawda, że Jahwe zawarł nowe przymierze z człowiekiem i to ja byłam narzędziem, które wypełniło Jego wolę, przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjście. Dlatego poświęcę moje życie, rozdzielwszy najpierw trzy symbole poprzednich przymierzy.

Myślę, że po mojej śmierci życie pozostanie takie jak to, które znamy. Zobaczyłam, że muszę użyć glebę życia moją śmiercią. I tak się stanie.

Lucía zamknęła za sobą drzwi, nie słuchając rozpaczliwego krzyku Raquel, zdecydowana wyjść naprzeciw przeznaczeniu.

Dwa tygodnie później drobny deszcz, który po raz pierwszy od wielu tygodni chłodził rozgrzaną ziemię, spływał po twarzy Fernanda Luengo, tworząc razem z jego łzami strumienie bólu, kiedy stał nad grobem Lucii. Jej ciało znaleziono w samochodzie zatopionym w stawie w Manzanares el Real, w pobliżu Madrytu.

Kilka dni przed nieszczęśliwym wypadkiem pomógł jej zabrać z Vera Cruz i zniszczyć święte przedmioty. Lucía chciała mieć pewność, że nigdy nie zostaną ponownie połączone. Zapewniła go, że w ten sposób powstrzymają apokalipsę, którą rozpętali, wypełniając esseńskie proroctwo. Była tak pewna tego, co robi, że nie mógł jej nie zaufać.

Po ceremonii Fernando został sam nad grobem. Z niedowierzaniem przebiegał wzrokiem złote litery imienia, które tyle dla niego znaczyło i które teraz stało się synonimem straty. Deszcz zraszający i wypełniający wodą niektóre litery zdawał się ją całować, jakby wynagradzając jej poświęcenie i składając jej hołd. Lucía umarła, nie wiedząc nawet, że anomalie klimatu ustały tak nagle, jak się pojawiły, ustępując temperaturom i warunkom bardziej zbliżonym do normalności.

Fernando ukląkł przed ukochaną i położył się obok grobu, obejmując kamień, pragnąc stopić się z wodą w jednym wilgotnym pocałunku. Wiedział, że Lucía złożyła siebie w ofierze, żeby przywrócić światu życie, chociaż o niczym go nie uprzedziła.

W dniu jej śmierci pożegnała się z nim pocałunkiem, którego nigdy nie zapomni, najczulszym ze wszystkich, jakie od niej otrzymał. W jej oczach widział najczystszą ostateczną miłość. Jednak przede wszystkim Fernando zapamięta na zawsze jej ostatnie słowa, które wyszeptała, głaszcząc go po policzku.

– Fernando, zawsze będę cię kochała.